

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 176.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1884.

— 60003 —

Tom czwarty.

WARSZAWA.
W DRUKARNI JÓZEFA BERGERA,
ulica Elektoralna, Nr. 14.

1884.

4620. 1884. 4.

II.



30.000, -

Дозволено Цензурою.

Варшава, 17 Сентября 1884 г.

X-14276	
4620,	II 4.
/1884	

OPLATY STEMPOWE W POLSCE.

(1775 — 1884).

NAPISAŁ

Dr. Michał Szymanowski.

1. Rau (dr. Karl-Heinrich) Grundsätze der Finanzwissenschaft str. 448 i nast.
2. Pfeiffer: Die Staatseinnahmen, I, 294.
3. Stein (Lorenz): Finanzwissenschaft (wyd. II, 1878) str. 301 i n.
4. Schäffle: Steuerpolitik, str. 52, 457, 496, 507.
5. Dr. Biliński (Leon): „System nauki skarbowej.“
6. Bloch (Jan): Finanse Królestwa Polskiego. Warsz. 1883 r.
7. Dr. Antoni Okólski: Wykład prawa administracyjnego. (Warsz. 1880/4, tomów 3).
8. Dyaryusze sejmowe 1673, 75, 76 i następnych lat.
9. Volumina Legum (wyd. Ohryzki).
10. Dzień. praw. X. Warsz. i Król. Polskiego.
11. Postanowienia uozrediteluago Komiteta.
12. Zbiór przepisów administracyjnych Królestwa Polskiego.
13. Folia luźne biblioteki uniwersyteckiej w Warszawie.
14. Rachunki skarbowe Rzpltej i Księztwa Warszawskiego.
15. Trzetrzewiński: Zbiór praw stempłowych r. 1828.
16. Zbiór przepisów stempłowych r. 1843.

I. Poważną część dochodów państwowych stanowią uiszczenia, pobierane od osób, wchodzących w stosunek i zetknięcie z urzędami i organami publicznymi, z okoliczności pewnych działań i czynności, podejmowanych na żądanie lub w interesie bezpośrednim stron prywatnych, a wymagających udziału tych organów i urzędów. Uiszczenia te noszą nazwę opłat, poborów, taks, stempli i t. p. w ogóle zaś opłat.

W systemacie ustroju budżetowego, opłaty zaliczane są zwy-

kle do podatków, mianowicie zaś do podatków pośrednich (niestałych), lecz umiejętność skarbowa uważa opłaty za odrębną gałąź prawidłowych dochodów państwowych, posiadających właściwe sobie cechy i wyróżnienia, pod wpływem których, pomimo wielkiego podobieństwa do podatków, nie powinny być jednak za jedno z niemi brane.

Głęboki i przenikliwy systematyk umiejętności skarbowej, prof. Rau, mówi: że opłaty wymagane są w tych okolicznościach, gdy pojedynczy obywatel wchodzi w pewne szczególne zetknięcie z urzędem państwowym, lub z pewną szczególną instytucją publiczną. Ztąd wniosek, że opłaty, pobierane od pojedynczych obywateli lub od całych grup obywatelskich, stanowią szczególny rodzaj zapłaty, wynagrodzenia, uiszczanego jużto za wyświadczoną przez państwo szczególną usługę, lub też zwrot wydatków, poniesionych przez państwo, przy wykonywaniu i sprawowaniu pewnej czynności, stanowiącej dla danej jednostki prywatnej szczególną usługę lub korzyść. Widzimy więc ztąd, że w opłatach przeważa i uzewnętrznia się wybitnie pierwiastek wynagrodzenia, wywzajemnienia się za usługę określoną, pewną.

Z tego zapatrywania się na istotę opłat, można sobie z łatwością dwa wyprowadzić wnioski: pierwszy, nieco ogólniejszy, dotyczący analizy samego pojęcia i znaczenia usługi państwowej, — mianowicie: czy te wszystkie świadczenia, do korzystania z których obowiązuje nas państwo i za które wymaga od nas opłaty, taką rzeczywistość mają doniosłość, że bez nich obywatel nie mógłby się obejść (porównajmy np. opłaty szkolne i opłaty paszportowe); *drugi* ściślejszy, dotyczący wysokości, ilości samej opłaty. W każdym razie godząc się z faktem istnienia w państwie takich urzędów i instytucyj, które na zasadzie woli państwowej powołane są do świadczenia owych usług, a obok tego zaznaczając i tę okoliczność, że koszta zasadnicze utrzymania tych urzędów i instytucyj, czerpane są z ogólnego źródła, dostarczanego przez wszystkich obywateli, to jest z podatku, który tylko na cele dobra ogólnego obracany być winien, nie zaś na cele użyteczności pojedynczej, szczególnej, przychodzimy do tego wniosku, opartego na słuszności, że ilekroć jednostka posługuje się w swoim interesie, dla własnego dobra tém, co kosztem ogółu i dla dobra wszystkich istnieje, to za każdy taki wyzysk powinna uiszczyć odpowiednią zapłatę i to właśnie stanowi podstawę prawną, tytuł, do wymagania i pobierania opłat. Wymagalność zaś władz i organów, może się w dwojakim objawiać kierunku. Przedewszystkiem więc może zachodzić takie położenie, że jednostka, obywatel, nie ma żadnego zamiaru korzystania z dobroczynnych zamiarów państwa, z urzędów owych instytucyj i urzędów, przeciwnie, że czuje pewną odrazę do wszelkiego zetknięcia się z temi organami, lub urzędami. Na nic się to nie przyda. Opornemu lub niechętnemu odpowiada państwo, że w imię wyższych interesów ogólnych uwydatniono pewne czynności i działania, których nikt uniknąć nie może i żąda za nie zapłaty;

chcesz więc czy nie chcesz, ale musisz zapłacić za paszport, za kartę pobytu, za książeczkę legitymacyjną (przytaczam je modo exempli). We wszystkich wypadkach tej kategorii wysokość opłat powinna być ściśle i jedynie ustosunkowaną do rzeczywistych kosztów, jakie państwo na ten przedmiot ponosi. Ale weźmy kierunek odwrotny: jednostka w interesie własnym, prywatnym, żąda od państwa pewnych usług, ustępstw, korzyści, pewnych stwierdzeń w imię i pod powagą prawa i państwa, lub pewnych ulg i wyjątków od rygorów prawa ogólnego. W tym drugim razie wysokość opłaty normuje się nie tylko kosztami rzeczywistymi, ale bierze się tu w rachubę korzyść, jaką jednostka na tej drodze osiąga, lub osiągnąć może. Z tego widzimy, że opłaty to głównie mają wspólnego z podatkami, że są ustanowione jedynie przez państwo, lub z upoważnienia państwa, że wpływają do kas publicznych, wreszcie, że służą na pokrycie wydatków, ponoszonych w interesach i dla celów ogólnych.

Z tej charakterystyki opłat wykreśla się stanowisko ich w ogólnym systemacie podatkowym: są one poniekąd uzupełnieniem podatków, ciężar ich spada przedewszystkiem na tych, którzy ze względu na swe osobiste interesa i cele, korzystają z usług organów państwowych, utrzymywanych w zasadzie kosztem ogółu, a więc przyczyniają się stosunkowo do umniejszania tych kosztów, których cały ciężar w razie niebytu opłat, spadałby na ogół. Ponieważ jednak na polu działalności obywatelskiej, wymagającej w danych, szczególnych wypadkach, usług i pomocy państwowej, różne są odcienia i stopniowania, tak pod względem zamożności jednostek, uciekających się do tej pomocy, jak pod względem doniosłości samychże usług, państwo przy stanowieniu opłat bierze w rachunek te okoliczności i dlatego widzimy zachowanie tu pewnej skali, pewnego stopniowania, granice minimalne i maksymalne, przy pozostawieniu i ocenieniu odnośnych organów i urzędów, stanowienia w każdym pojedynczym wypadku, tam gdzie prawo i ustawa wyraźnie i ściśle inaczej nie rozporządziły, wysokości wymaganej opłaty, zawsze jednak w granicach zasadniczego minimum i maximum. Tu więc zachodzi, jak mówi Schäffle, „wyosobnienie zdolności płatniczej każdego kontrybuenta,” co przy dążeniu do największej nawet dokładności w systemacie podatkowym przeprowadzić się nie da. Nie jest więc bynajmniej błędnem umieszczanie opłat w budżetach państwowych w dziale podatków, ale błędnem byłoby zaliczenie dochodu z opłat pod dochody podatkowe, czyli mówiąc inaczej, należy opłatom w dziale podatkowym oddzielne wskazać stanowisko. Okoliczność ta nasuwa nam inne jeszcze spostrzeżenia. W wielu razach ściście rozróżnienie między opłatą a podatkiem z trudnością uchwycić można. Nie ma wątpliwości, że ilekroć uiszczenie jest następstwem usługi bezpośredniej, niejako równoważnikiem działalności państwowej, wywartej na daną jednostkę, lub przez tę jednostkę wywołanej, uiszczenie takie jest bezwarunkowo opłatą; ale cóż powiedzieć mamy o uiszczeniach, wymaganych i pobieranych przez państwo w danych

pojedynczych wypadkach, bez żadnego wzajem-świadczenia, lub też tych gdzie usługa, wzajemświadczenie istnieje wprawdzie, ale ma charakter drugorzędny, na pierwszym bowiem planie stoi interes fiskalny, dobro skarbu, gdzie więc interwencya państwowa ma przeważnie charakter kontrolujący w imię i na rzecz interesów skarbu. Spostrzeżenie to stosuje się najwybitniej do opłat pobieranych przez państwo przy przechodzeniu własności z jednej ręki do drugiej. Wszystkie prawie czynności i akta, dotyczące zmiany posiadania własności, mianowicie też własności nieruchomości, czy to drogą najmu, czy kupna i sprzedaży, spadku lub darowizny, wymagają udziału i uczestnictwa organów państwowych. Za ten udział i uczestnictwo państwo ma prawo żądać wynagrodzenia, zapłaty, świadczy bowiem dla stron kontraktujących lub interesowanych usługę pierwszorzędną doniosłości, uświęcając swą powagą, wyższą nad wszystkie doczesne powagi, niewzruszalność praw nabytych, nadając umowom pod tą powagą zawartym datę pewną; ale państwo korzystając z tej okoliczności wyzyskuje ją na swą korzyść w stosunku bez porównania wyższym, aniżeli je kosztuje wyświadczenie tej usługi, pobiera opłaty bynajmniej nie ustosunkowane do kosztów usługi, ale podatki w najściślejszym tego wyrazu znaczeniu, wprawdzie niestałe, okolicznościowe, lecz tylko nazwą opłat upozorowane. Dokładność więc systemu skarbowego, dobra wiara polityki finansowej wymagałaby przeprowadzenia tu ścisłego rozgraniczenia, i Lorenz Stein, któremu się należy zasługa wykrycia w grupie opłat pierwiastków i źródeł podatku alienacyjnego, usiłował rozgraniczenie to przeprowadzić, co mu się jednak tylko teoretycznie udało.

Wiadomo, że pobór opłat odbywa się dwojakim sposobem: a) bezpośrednio w pieniądzu, b) przez użycie stempla, to jest papieru stempłowego właściwej ceny. Ten drugi sposób ma za sobą zaletę wielkiej prostoty. Użycie stempla skutecznia się dwojakim również sposobem, mianowicie przez sporządzenie aktu, lub dokumentu na właściwym papierze, na ten cel z góry już przygotowanym i odczoanym stemplem państwowym (papier stempłowy), lub też przez naklejenie marki odpowiedniej ceny, na papierze zwyczajnym, na którym akt, lub dokument sporządzonym został. Pobór opłaty w postaci papieru stempłowego, lub marki, polega na tém, że w zasadzie cała czynność wyliczenia ceny użyć się winnego stempla pozostawioną jest samemu interesantowi, który kierując się przepisami i taryfą ustawy stempłowej, sam wylicza wysokość opłaty, nabywa stempel w dystrybucjach i miejscach sprzedaży, nie potrzebuje tracić czasu na sporządzanie rachunku w urzędach i kasach państwowych. Zarazem system ten stanowi wielkie ułatwienie i uproszczenie czynności kasowych, rachunkowych i buchalteryjnych w urzędach państwowych, a więc i wielką oszczędność w kosztach poboru.

Jakkolwiek jednak przytoczona tu metoda wyliczenia i poboru opłat w zasadzie pozostawioną jest kontrybuentowi, wymaga jednak

ze strony państwa kontroli następczej, to jest sprawdzenia: 1) czy do danej czynności stempel *był* użytym, 2) czy użytym był *w cenie* właściwej. Dlatego przepisy i ustawy stempłowe obejmując szczegółowe przepisy, dotyczące przedmiotu, cen, wartości stempla, ustosunkowanej do pewnych aktów i czynności, sposobów użycia i kasowania marek i papieru stempłowego, zawierają w sobie przepisy i postanowienia o karach za wykroczenia, nadużycia i obrazę ustaw o opłatach w ogólności, o stemplu zaś w szczególności. To właśnie stanowi ujemną stronę tej metody. W obec bowiem drobiazgowego formalizmu władz kontrolujących, podsycanego w wielu razach urokiem wynagrodzenia za dostrzeżone nadużycia lub pominięcia, w obec niemożności lub niechęci rozróżnienia prostej pomyłki, lub nieświadomości, od rozmyślnego działania na krzywdę i szkodę skarbu, kontrola i jej stosowanie staje się częstokroć nader uciążliwem i dotkliwem.

Zresztą pobór opłat w postaci stempla nie może stanowić ogólnej formy poborowej; ma on zastosowanie w tych tylko razach, gdy się odnosi do dokumentów piśmiennych i gdy wysokość przypadającej opłaty da się wyrazić w stale oznaczonej i stosunkowo niewielkiej sumie; dla tego też wedle przyjętej w wielu państwach praktyki, najwyższe nawet ceny pojedynczych gatunków papieru stempłowego są nieznacznie umiarkowane, w Austrii np. najwyższa cena arkusza wynosi 20 fl. i wszelka opłata od sporządzanego aktu tę normę przenosząca, pobiera się w gotowiznie. W ogóle więc w tych wszystkich wypadkach, gdzie opłata jest następstwem czynności noszącej charakter przeważnie indywidualny, zależnej od wzajemnego stosunku i interesu stron, gdzie się nie daje wyrazić w stałych, niezmiennych, a przynajmniej w stale ustopniowanych kwotach, gdzie udeterminowanie tej opłaty zależy od różnych momentów i okoliczności, wyrażonych w ustawie w postaci ogólnych zasad i przepisów, tam w miejsce opłaty stempłowej pobór następuje na zasadzie obliczenia przez właściwe organa urzędowe sporządzonego. Ten sposób poboru zwany bezpośrednim, najobszerniejsze też ma zastosowanie i to tém szersze, im częściej zachodzi zbieg opłat z podatkami w ściśłym znaczeniu. W ogóle pod względem formy poborowej, to jest bezpośrednio w pieniądzu, lub w postaci stempla, w większej części państw europejskich przeważa pierwszy sposób, tak zwany francuzki, a mianowicie Austria, Włochy, Belgia trzymają się tego systematu. System stempłowy przeważa w Holandyi — ojczyźnie papieru stempłowego i w Anglii; najobszerniejsze zaś zastosowanie znajduje w Rosyi, mianowicie od czasu wprowadzenia ustawy stempłowej z r. 1874. Nakreśliwszy tę ogólną charakterystykę opłat i wskazawszy istotę opłat stempłowych, przechodzę wprost do załatwienia się z postawionem na czele zadaniem, to jest historią opłat stempłowych w Polsce.

II. Powiedziano wyżej, że ojczyzną papieru stempłowego była Holandya. Wprawdzie w prawodawstwie Justyniana jest przepis dotyczący użycia pewnego rodzaju papieru do sporządzania umów (Nov.

44 de Tabellionibus et ut protocolla in chartis relinquunt, Cap. 2), ale nie ma tam wzmianki o jakiegokolwiek za użycie tego papieru zapłacie, gdyż chodziło jedynie o zabezpieczenie stron od nadużyć i fałszowania aktów. Istotnym wynalazcą papieru stempłowego, a raczej stempłowania papieru był jakiś holender, którego nazwiska nie podaje nam historya. To tylko wiadomo, że gdy Stany Generalne przyrzekły nagrodę za wynalezienie nowego, nie uciążliwego, a jednak obfitego źródła dochodów, zaprojektowano papier stempłowy, wprowadzony tam w r. 1624. Za przykładem Holandyi poszła Anglia (1671), Francya (1673), Austria (1686) i Bawarya (1690).

Wprowadzenie opłat stempłowych w Polsce nastąpiło w r. 1775 z mocy konstytucyi, o której niżej będzie mowa. Wprawdzie w Polsce od niepamiętnych czasów istniały opłaty pobierane za sporządzanie aktów i umów przez urzędników państwowych, na żądanie, lub w interesie stron prywatnych i opłaty te zwane *Salaria* albo pamiętne sądowe i pisarskie, miały przepisane dla siebie taksy już w Statucie wiślickim 1347 r. i następnie w różnych statutach są powawiane i regulowane, zawsze pod powagą władzy królewskiej, a nawet niektóre pobierane były bezpośrednio na rzecz skarbu królewskiego, za wydawane dyplomy, przywileje ¹⁾, przykładanie pieczęci, tak że pomiędzy nimi a późniejszymi opłatami stempłowymi, mianowicie u nas istnieje pewna łączność materyalna, lecz pod względem formalnym zupełnie się od siebie różnią.

Szczególnym zbiegiem okoliczności wielkie zmiany polityczne i organizacyjne, jakim kraj nasz od ostatniej ćwierci zeszłego wieku ulegał, odbijają się wydatnie nawet w ustawodawstwie stempłowym. Sejm 1775 r., ów sejm nadzwyczajny, rozpoczęty w roku 1773, pod węzłem generalnej obojga narodów konfederacyi, sześć razy prorogowany i limitowany, boleśnie pamiętny zarejestrowaniem deklaracyj dworów petersburskiego, wiedeńskiego i berlińskiego z d. 18 i 26 września 1774 r. co do pretensyi tychże dworów do zagarnionych pod swe panowanie krajów, począł się poważnie zajmować poprawą środków dochodowych państwa. Volumina legum oraz Dyaryusze sejmowe najwymowniejszym są dowodem téj doraźnej, lecz spóźnionej już pieczołowitości, jaka w tym kierunku przedsiębrana była. Konstytucya regulująca — „Dochody Skarbowe Obojga Narodów” — zastrzegając ustanowienie dochodów do trzydziestu trzech milionów, za powszechną zgodą stanów zgromadzonych i skonfederowanych, głosi, iż gdyby sposoby podatkowania na sejmie ułożone nie miały złożyć 33 milionów, tedy wbrew aktowi na sejmie traktatowym z r. 1768 zapadtemu a warującemu, iż ustanowienie podatków i powiększenie wojska policzne jest inter materias status wymagających jednomyślności, w tym

¹⁾ Porówn. Vol. L. wyd. Ohryzki. Inwentarz, część I, str. 435 i odnośne statutu w tekście.

jednym razie i wypadku (pro hac sola vice et in eo casu) materje te mają być decydowane na przyszłych sejmach, zawsze w granicach owych 33 milionów, większością głosów (pluralitate). Tym sposobem pod naciskiem gwałtownych okoliczności, zrobionym został wyłom w owęj jednomyślności zgubném mianem liberum veto napiętnowanęj; nie ulega tóż wątpliwości, że raz naruszona zasada z czasem zupełnie uchylonąby była, ale niestety, czasu na to nie stało. W pośród rzeczonęj konstytucyi o dochodach skarbowych mieści się prawo zwane „Papier Stemplowany“ oblatowane w Grodzie Warszawskim dnia 23 kwietnia 1775 roku, niebawem wprowadzone w wykonanie. W wstępie do prawa powiedziano, że między pożytki do Rzeczypospolitéj należące, liczy się używanie papieru stemplowanego, a to za obyczajem Narodów w maxymach podatkovania roztropnych. Według konstytucyi tęg i wydanego w jęg wykonaniu pod dniem 19 Maja 1775 r. przez Komisją Rzeczypospolitéj skarbu koronnego uniwersału, ustanowiono dwa rodzaje opłat stemplowych, mianowicie: proste i ustosunkowane, czyli proporcjonalne, tak jak się obecnie we wszystkich ustawodawstwach opłat dotyczących praktykuje. Ani konstytucya zasadnicza, ani żadne dalsze ustawy w tęg materji u nas wydawane, nie przytaczają pobudek tego rozróżnienia, będącego zresztą następstwem tego rozumowania, że ilekroć w odwołaniu się obywatela do usług urzędów państwowych, idzie nie o proste poświadczenie zaszłego faktu, lub istniejącego położenia, lecz i o uświęcenie przez autorytet państwowy pewnych praw i umów, o nadanie im formalnego charakteru wieczystości i niewzruszalności; ilekroć więc państwo uczestniczy poniekąd w umowie nietylko w obiektywnym charakterze poświadczydciela, ale wskutek właśnie wpływania swego do aktów w charakterze poświadczydciela, daje rękojmię niewzruszalności umowy lub aktu, nadając mu datę pewną, bezsporną, wyższą nad wszelkie zarzuty, nie dość na tęg, — rejestrując akt lub umowę nie dla prostęj jedynie kontroli lub ciekawości statystycznęj, lecz dla bezpieczeństwa stron i najodleglejszych ich prawonabywców i przedstawicieli, do ksiąg szczególnych na ten cel wyłączenie przeznaczonych, tęg samém zapewnia zainteresowanym spokojne i niezakłócone wykonywanie praw z umowy wynikających. Cena tego rodzaju usług nie może być mierzona wartością czasu zużytego przez organ państwowy na jęg spełnienie, tęg mniej wartością zużytego materiału, ale wartością wszystkich następnych korzyści, jakie strony odnoszą przez utwierdzenie swych praw, a zarazem w cenie usługi wnosić się powinny koszta zachowania (konserwacyi) tytułów zasadniczych i instytucyi nad tęg zachowaniem czuwających. Dalęj, od wszystkich aktów i dokumentów wprost z ramienia państwowego pochodzących, lecz obdarzających interesanta pewnemi wyjątkowemi prawami i przywilejami, zapewniającemi mu nietylko korzyści materyalne, ale schlebiającemi jego miłości własnéj, poczuciu godności i wywyższenia, co mianowicie w epoce rozróżnień stanowo-społecznych połączone było z wykonywaniem

pewnych praw i korzystaniem z nich, opłata wyrozumowana ówczesnym zapatrywaniem się ustanowioną została. Z tych pobudek konstytucya 1775 r. przepisuje użycie papieru stempłowego ceny 1-go grosza srebrnego na abszyt lub dymisya, — na memoryały do wszelkich, władz wyjąwszy jurysdykcyą marszałkowską, bo do téj jako mającej w swém zawiadywaniu porządek publiczny i bezpieczeństwo osobiste obywateli, odwoływano się na papierze zwyczajnym, ustanawia opłatę 2 groszową na plenipotencye, 1 złoty od rezolucyi sądowej i 2 złote od wyroku foralnego, na ekstrakt na którym będzie wyrażona suma od 1,000 do 5000 złp. stanowi papier 3 złotych, od sumy na dobrach będącej, od każdych 100 złp. po groszy 2, w takimże stosunku od przywilejów na dostojeństwa duchowne i świeckie, cywilne i wojskowe z intratą od 100 złp. i zaraz potem przepisuje arkusz po złotych czerwonych (dukatów) 60 od przywilejów na biskupstwa, województwa i ministerya; zł. czerwonych 40 od kasztelanii, zł. czerw. 12 od przywilejów na urzędy nadworne, jako to: szambelanów, generał adjutantów, fligieli-adjutantów, kamerjunkturów, tyleż od urzędów wojskowych tytularnych; 200 od indygenatu szlachectwa polskiego, a 50 od dyplomu szlacheckiego. Zarazem konstytucya ustanawia papier na paszport za granicę ceny zł. 10, stempel na karty do gry polskie ceny grosz. srebr. 2 i na karty francuskie po złotemu, oraz po groszu srebrnym od wszelkich drukowanych książek żydowskich i kalendarzy. Uniwersał wymienia szczegółowo miejsca sprzedaży papieru stempłowego, oprócz komor celnych w ważniejszych Rzeczypospolitej miastach i ponawia sankcyą konstytucyi, wedle której *„żaden dokument na papierze nie piętnowanym zapisany, żadnego waloru w żadnym sądzie nie będzie miał i przyjęty nie będzie.“* Wreszcie oznajmuje, że za nielegalną sprzedaż piętnowanego papieru ustanawia się kara; winny ulega karze tysiąca złotych za każdy arkusz przedanego papieru, lub wrazie braku odpowiedniego majątku, więzienia wedle uznania sądu, za fałszowanie zaś piętnowanego papieru karze *szubienicy.*

Na szczególną wreszcie uwagę zasługuje ten ustęp konstytucyi, wedle którego: *„dziedzicom w miastach ich własnych nie tamuje się względem papieru stempłowanego podobne czynić rozporządzenie, które dla samych tylko poddanych dziedzica w miastach jego ziemskich dziedzicznych ma służyć.“*

Pomimo troskliwego zbadania odnośnych źródeł nie dało mi się dociec, czy który z właścicielami miast z przywileju korzystał i czy obok stempla państwowego istniał jeszcze jakiś papier stempłowy prywatny. Zresztą, jak się zaraz przekouamy, ten objaw porządku feudalnego, jakkolwiek przed stoma laty uchwalony, na owe jednak czasy rażący, nie długo się utrzymał. W konstytucyi 1775 r. zastrzeżonem było ułożenie instrukcyi, czyli tak zwaney ordynacyi dla urzędów, akta publiczne sporządzających, będącej rozwinięciem ogólnej uchwały konstytucyjnej. W ordynacyi téj noszącej datę 13 grudnia 1776 r., noszą-

cją nazwę „Uniwersał Najjaśniejszego Pana, za zdaniem Rady przy boku Jego Nieustającej, obwieszczającej ordynacją względem papieru stempowego, dla trzymających akta publiczne,” spotykamy między innymi szczegół wielce ważny, a w samej konstytucyi przemilczany, czy też pominięty, mianowicie ustanowienie stempla wekslowego. Wymieniając bowiem księgi czyli protokoły, jakie w kancelaryach metrykantów i regentów i w ogóle urzędów sporządzających akta utrzymywane być mają, ordynacja orzeka że protokółów tych ma być cztery, z których *drugi* dotyczy tranzakcyi dawnym zwyczajem nie na papierze stemplowanym sporządzonych, ale w której odtąd mają być przyjmowane oblaty i roboracye wszelkich kart ręcznych, *weksłów*, na stemplowanym papierze ceny przyzwoitej będących.

Na najbliższym zaraz sejmie ordynaryjnym warszawskim (od d. 26 sierpnia do dnia 31 października 1776 r.) w materji — „Dochody Skarbu Koronnego,” znajduje się nowe przepisów dawniejszych rozciągnięcie i uzupełnienie, szczegółowo w uniwersałach komisji skarbowej z d. 19 grudnia 1776 r. wyłożone, wedle którego opłata ustosunkowana staje się zarazem progresywną, a mianowicie, gdy wedle konstytucyi pierwotnej (1775 r.) postanowiono, że od sum od 1000 do 5000 złotych ma być opłacany arkusz papieru stempowego za złotych trzy i w tym stosunku dalej; tu już (w r. 1776) znajdujemy rezolucyą, w której opłata pobiera się, poczynając od zł. 100—500 po gr. srb. 2, od 500 do 1000 po 1 zł., od 1000—5000 po 3 zł. i w tej samej ilości za każde 5000 aż do 50,000, od których pobiera się zł. 30, wyżej zaś sumy 50,000—100,000 po zł. 6 i tak dalej podwójnie podwajając aż do miliona, (np. od 150,000 będzie za pierwsze 50,000, 30, za drugie 60, za trzecie 120) rachując każdą wyższą kwotę nad 5,000 za 10,000 i pobierając od każdego końcowych 5,000 po zł. 3. W ogóle opłata stempowa od aktu lub dokumentu na milion zł. sporządzonego wynosiła w tym stosunku 2250 zł., poczynając zaś od miliona, opłata jakkolwiek nie progresywna, ale staje się gwałtowniejszą, wynosi bowiem po zł. 12 od każdego przybywających 5,000 zł. i papier na opłatę tej kategorii jedynie w składzie warszawskim znajdował się do nabycia. Wprawdzie tranzakcyje ówczesne na miliony nie przytrafiały się tak często jak obecnie, z rachunków jednak jakie przeglądałem w archiwum akt dawnych po b. Komisji Skarbu pozostałych i z wzorową dokładnością i jasnością prowadzonych, kwartalnie zamykanych, przez delegatów Komisji Rzeczypospolitej Skarbu Koronnego rewidowanych i poświadczonych, okazuje się że obroty milionowe stosunkowo były bardzo poważne, do czego się przyczyniało istnienie w Warszawie takich domów bankierskich jak Teppera, Prota Potockiego, Kabryta, że pomimo drugorzędne i stempel wekslowy był takiż sam jak i od innych aktów. Uniwersał Komisji Skarbowej z 12 czerwca 1777 r. ważną wprowadza zmianę. Rada nieustająca interpretując prawo sejmowe z 1776 r., że wszystkie actus authenticos, nie wyłączając duchownych, pod nieważnością stemplowane być mają, uchyliła prawo

miastom dziedzicznym służące i podciągnęła je pod ogólną ustawę opłaty papieru stempłowego. Właściwie z rokiem 1776 kończy się prawodawstwo stempłowe Rzeczypospolitej. Konstytucye sejmowe z lat następnych pod koniec r. 1788 nic o stemplu nie wspominają, dopiero pod dniem 5 lutego 1779 r. (sejm czteroletni) są dwie konstytucye, jedna dotycząca Skarbu Koronnego a druga Litewskiego, powiększające znacznie opłaty stempłowe, przeważnie od wszelkiego rodzaju nadań i przywilejów; jako przykład dość przytoczyć opłatę 1000 czer. złotych od godności arcybiskupiej. Wprowadzono również opłatę 100 czer. zł. od orderu Orła Białego i 50 czer. zł. od orderu ś. Stanisława, oraz podwyższoną opłatę od kart, co jest przedmiotem oddzielnej konstytucyi. Wreszcie w preliminarzu dochodowym przedstawionym na sejm grodzieński (16 czerwca 1793 r.) jest tylko jedna pozycja dochodu ze stempla od przywilejów, w Koronie: 100,000 zł., w Litwie 50,000, wszelkie zaś inne źródła dochodu stempłowego są pominięte, ponieważ pobór odbywał się wedle dawnych zasad.

Dla uzupełnienia niniejszego szkicu historii opłat stempłowych w krajach i prowincjach Rzpltej, przytaczam w końcu wyciąg dochodowy za cały peryod funkcyonowania opłat, począwszy od daty wprowadzenia do ostatniej chwili Rzeczypospolitej. Jak może nie wszystkim wiadomo, jedną z pierwszych czynności sejmu stanowiło wysłuchanie rachunków z wpływu i obrotu dochodów skarbowych. Wyznaczeni przez sejm komisarze zawiadujący dochodami Rzeczypospolitej, sporządzali rachunek jeneralny wszystkich dochodów w miarę możliwości i na owe czasy umiejętności, u nas przynajmniej wysoce posuniętej, materyami ułożony; rachunku tego wysłuchiwali i z dowodami sprawdzali delegaci senatu i stanu rycerskiego, poczem gdy komisarze wyrachowali się za czas ubiegły pomiędzy peryodem jednego a drugiego sejmowania, i usprawiedliwili się de omnibus suis gestis et transitis, otrzymywali w uchwale sejmowej należne pokwitowanie. Z rachunków tych wyprowadzony jest poniżej przytoczony wyciąg w tém, co do dochodu z opłat stempłowych dotyczy ¹⁾.

¹⁾ Volumina Legum obejmują działalność prawodawczą do r. 1780. W ostatnim (8) tomie znajdują się konstytucye i uchwały sejmu sześciomiesięcznego, odprawującego się 2 października 1780 r. i dni następnych pod łaską marszałkowską Antoniego Małachowskiego, któremu sekretarował Stanisław Badeni. Sejm 1780 r. tém jest pamiętny, że rozkiełznani posłowie oburzeni projektem zbiru ustaw sądowych, sporządzonym pod przewodnictwem Andrzeja Zamoyskiego, by niedopuszczyć rzucili księgą o ziemię dla zwiększenia hałasu i na wniosek Kamińskiego posła wołyńskiego uchwalili odrzucenie całego projektu, zastrzegając iżby: „na żadnym sejmie aby nie był wskrzeszonym mieć ohoemy” (Konstyt. 2 lutego 1780 r.).

Wszelkie dalsze źródła ustawodawcze rozrzucono są jużto w materyałach przygotowanych do 9 tomu Vol. Legum, jużto w kartkach luźnych i zbiorach staraniem prywatnym nagromadzonych. Posiłkowałem się więc

III. Ustawodawstwo stemplowe polskie z XIX-go wieku zamyka się w peryodzie od daty zapadnięcia uchwały o opłacie papieru stemplowego w dniu 24 marca 1809 r. przez Fryderyka, króla saskiego, księcia warszawskiego, po dzień 1/13 lipca 1884 roku. W przeciągu tych lat 75 uległo nielicznym modyfikacyom. Uchwała 1809 r. razi brakiem jakiegokolwiek bądź systematu; dość przytoczyć nieokreślone rozporządzenie wstępne: wedle którego — „do wszystkich czynności między mieszkańcami Księztwa Warszawskiego zachodzących ma być używany papier stemplowauy,“ — a jakkolwiek w dalszym ciągu uchwały wymienione są rodzaje tych czynności, to jednak w sposób tak ogólnikowy, luźny, że stosowanie ustawy, mogło się stać powodem licznych nadużyć i uciążliwości ¹⁾.

Uchwała 1809 r. przepisuje papier stemplowy do wpisowego w procesach w cenie najniższej groszy polskich 8, jeżeli obiekt sprawy nie przechodzi 100 zł., — groszy 15, jeżeli od 100 zł. a nie przenosi 200 i następnie podwyższa opłatę po gr. 15 od każdych 100 zł. — ostatnia pozycya bardzo obszernej taryfy, nakazuje użycie papieru ceny 1,625 zł. od sprawy milion zł. Do zapisów, poczynając od zł. 1 przed sąd pokoju, do 10 zł. przy podaniu skargi kasacyjnej, w tych też granicach od zł. 1 do zł. 10 najwyżej, zawierają się wszelkie inne noty i pisma sądowe. Do wszystkich aktów umownych i kontraktów, których przedmiot nie przechodzi zł. 200, stempel 8 groszowy, od zł. 200 — 1,000 15 gr., wreszcie od 1,000 zł. aż do najwyższej sumy po gr. 15 od każdego tysiąca. Do kontraktów kupna i sprzedaży dóbr i gruntów i wszelkich praw zapisanych w księdze hipotecznej do 1,000 zł. stempel 8 groszowy a wyżej po 15 gr. od każdego tysiąca; przy kontraktach zamiany, stempel oblicza się od połowy szacunku za jaki nieruchomość przy ostatniej tranzakcyi nabytą została, — przy umowach czynszowych i wieczysto dzierżawnych po zł. 3 od włóki chełmińskiej, od mniejszej zaś przestrzeni po zł. 1 gr. 15. Przepisy

materyałami archiwum głównego biblioteki uniwersyteckiej i archiwum p. b. K. Sk.

¹⁾ Nie chcielibyśmy ubliżyć naszym ustawodawstwom stemplowym bieżącego stulecia, poczynając od roku 1809, a kończąc na najnowszym, ale musimy przyznać, że w porównaniu z redakcyą przepisów zeszłego wieku, jasność i dokładność ma się tu w stosunku odwrotnym do objętości. Przytoczyłem prawie literalnie konstytucye z roku 1775 i 1776 i uniwersały dotyczące stosowności i wprowadzenia ich w wykonanie. W aktach Komisji Skarbu dotyczących tej materyi, nie znalazłem żadnych prawie reklamacyi, lub zapytań co do tłumaczenia wątpliwości albo niejasności; dziś zaś z komentarzy do obowiązującej obecnie ustawy stemplowej możnaby sobie utworzyć niezłą bibliotekę, a mimo to na każdym kroku napotykają się kwestye, zawiloci i dwuznaczności, o których wyjaśnienie długą i odległą trzeba odbywać wędrówkę, by w nowe popaść ciemności.

stemplowe b. Rzpltej nie wspominają ani o opłatach spadkowych ani o podatkach od spadków i darowizn, znajdujemy je w art. 31 uchwały 1809 r. p. t.: „Sukcesye, legacye i doucycy w sposób normalny dla wszystkich legataryszów, spadkobierców kolateralnych, małżonka przy życiu pozostającego, w postaci stempla wartości $\frac{1}{2}\%$ od sumy zapisu lub darowizny, z uwolnieniem jednak od tej opłaty wszelkich zakładów dobroczynnych, naukowych, klasztorów, kościołów i innych pia corpora. Takiej samej opłacie i w tym stosunku podlegają (art. 32) ordynacye i fidei comissa; od wszelkich darowizn między żyjącymi stempel potrójny w stosunku ceny, ustanowionej dla aktów kupna i sprzedaży. Akt zapisania się na sąd polubowny sporządzony być winien na stemplu 10 złotych. Za nieużycie wreszcie przepisane go stempla, ustanawia się kara podwójnej właściwego stempla wartości. Niejasność tego przepisu była powodem reklamacyi, które przez ministrów sprawiedliwości i skarbu w ten sposób rozstrzygnięte zostały, że ściągnięcie kary nie uwalnia bynajmniej od użycia stempla, że więc należy od winnego pobrać potrójną cenę właściwego stempla, z których jedna trzecia strąca się na kupno, czyli dokasowanie papieru ceny właściwej a pozostałość na karę. Przy tej sposobności ustanowiono t. zw. część delatorską na korzyść tego, kto dostrzegł, zaznaczył, lub doniósł władzy skarbowej o dopuszczonem przewinieniu, ta część wynosiła połowę kary, t. j. wartość stempla. Rozdział III uchwały obejmuje przepisy co do opłat sądowych; w sprawach bez oznaczenia szacunku wpis pobiera się od zł. 10,000. Art. 48 obejmuje szczególną klasyfikacyę stron, stanowi bowiem, że w sprawach, których przedmiot na pieniądze oszacowanym być nie może, np. w sprawach o wynagrodzenie szkód, w sprawach rozwodowych i t. p., wpis ma być opłacany wedle stanu osób, mianowicie, jeżeli powód należy do klasy włościan lub do klasy ludzi, których majątek wedle prawdopodobieństwa nie przechodzi 6,000 zł., lub jeżeli jest żołnierzem lub podoficerem, płaci od 500 zł.; drugą kategorię stanowią kupcy cząstkowi (detaliczni), oficyaliści, wojskowi do stopnia kapitana włącznie, ci płacą od 10,000 zł. — wszyscy inni, zaliczeni do klasy III, płacą od 20,000 zł.

Uchwała 1809 roku w miejsce dawnego stempla od przywilejów i dyplomów wprowadza opłatę od nominacyi, czyli patentów na urzędy lub funkcye publiczne (stempel nominacyjny), w stosunku 10% płacy rocznej, a w dalszym ciągu opłat stempłowych w rzeczach administracyjnych zamieszcza i podatki przemysłowe i patentowe i opłaty od tytułów honorowych, podciągając to wszystko pod jedną ogólną kategorię opłat administracyjnych. Żeby dać przykład tej gmatwaniny, jaka w uchwale 1809 panuje, przytoczę, że po opłatach od przywilejów na szlachectwo dla cudzoziemca (3,000 zł.) dla krajowca (1,800 zł.), od przywileju na tytuł ksiązęcy (16,000 zł.), hrabiowski (12,000 zł.) i baronowski (6,000 zł.) — następuje niebawem

opłata od konsensu na trzymanie bilardu (60 zł.), a nieco dalej opłata stemplowa 2,400 zł. za generalny przywilej dla żyda i jego następców za nabycie praw obywatelskich. Uchwała 1809 r., z której tak jak z praw poprzednich i późniejszych wybitniejsze tylko dla przykładu przytaczam momenta, obowiązywała niedługo, albowiem od 1 czerwca 1812 r. weszło w wykonanie „Prawo o opłatach stemplowych,“ zapadłe w r. 1811 i w naszym języku administracyjnym zwane prawem z r. 1811, obowiązujące w Królestwie przez lat z górą 60. O ile w uchwałę z r. 1809 przebija na każdym miejscu pośpiech w robocie, niedokładność, brak systematu, przy widoczném usiłowaniu pochwywania różnych źródeł dochodu, o ile jest ona poniekąd odbiciem tego stanu rzeczy, jaki panował w kraju, przedstawiającym obraz domostwa nawiedzonego burzą, pożarem, rabunkiem niosących pomoc sąsiadów, domostwa, którego mieszkańcy po przejściu grozy nie wiedzą od czego zacząć i gdzie co ustawić, o tyle w prawie z r. 1811 widnieje porządek, systemat, umiętne i konsekwentne połączenie wymagań prawa administracyjnego z ustalonym przez kodeks francuzki porządkiem prawnym. Widoczną jest także myśl przewodnia, słusznego i sprawiedliwego wyzyskania na korzyść skarbu tych wszystkich okoliczności i stosunków, jakie zgodnie z ogólną istotą opłat dają państwu prawo do wynadgrożenia, bez dotkliwej dla stron uciążliwości i tamowania swobody tranzakcyj, bez narażenia interesowanych na obmyślenie wybiegliwych środków obejścia prawa i oszukania skarbu. Prawo z r. 1811 ustanawia siedm rodzajów stempla. — Zwyczajny jednostajnej ceny groszy 10 z przeznaczeniem użycia do tych wszystkich czynności prawnych i administracyjnych, które pod powagą lub też przy jakimkolwiek bądź udziale organów państwowych w interesie stron prywatnych zachodzą. Szacunkowy na podania, trzech rodzajów, 10, 15 gr. i 2 zł. na paszporta zagraniczne zł. 6, na kontrakta najmu i dzierżawy do 300 zł. rocznie groszy 15, do 1,000 zł. 1 i następnie od każdych 500 zł. po gr. 15, do aktów kupna i sprzedaży do 300 zł. gr. 15, do 600 1 zł. do 1,000 zł. 2 i następnie od każdego tysiąca 1 zł., do aktów darowizny między żyjącymi i na testamenta do 1,000 zł. 2 zł. do 10,000 po zł 1 od tysiąca, wyżej zaś nad 10,000 jeden normalny stempel 24 zł. Prawo wyraźnie orzeka, że opłata spadkowa w linii prostej zstępnej i wstępnej nie ma miejsca, lecz w zapisach z części rozrządzałnej nawet dla dzieci pobieraną być ma w stosunku 15 gr. od 100 zł., w linii kolateralnej od wszelkich zapisów po 1 i 1½ zł., od zapisów zaś na rzecz obcych, wcale do sukcesji nienależących, po 3 zł. od sta. — Stempel kosztów sądowych. W zasadzie wszelkie sprawy między prywatnemi ulegały opłacie wpisu pobieranej w stemplu, składanym pisarzowi sądu w cenie odpowiedniej przedmiotowi sprawy. Najniższy stempel ceny 15 gr. w sprawach do zł. 50, najwyższy normowany był w ten sposób, że w sprawach od 800,000 do miliona, wynosił 1,600 zł., od każdego zaś tysiąca nad milion, do-

dawać należało stempel 20 groszowy. Stempel administracyjny pobierano od nadań z łaski monarszej pochodzących, np. od dyplomu na order Orła Białego zł. 1,000, na order Św. Stanisława zł. 500, od pozwolenia noszenia orderów obcych, oprócz saskich i francuzkich, po 2,000 zł., od tytułów honorowych wedle dawnych zasad, wreszcie w złagodzeniu przepisów kodeksu Napoleona na tytule „o małżeństwie“ zamieszczonych, przy udzieleniu pozwolenia na małżeństwo przed ukończeniem lat 18 dla mężczyzn i lat 15 dla kobiet (art. 144 i 145 kod. Nap.), pobierano opłatę w wysokości 300 zł. — Przy zwolnieniu zaś od obowiązku zawierania małżeństw między różnowyznawcami wedle obrzędów obu wyznań zł. 1,000. Pod tymże samym tytułem mieści się stempel nominacyjny, do którego zastosowano umiarkowaną zasadę progresyjną, pobierając od płacy do włącznie zł. 100, zł. 6, do zł. 1,000 zł. 50; wyżej zaś od każdych 100 zł. po zł. 50. Najwyższa opłata, zł. 500, pobieraną była od patentu na mecenasa; zł. 400 od patentu na adwokata i 150 patrona. Pod względem opłat konsensowych, podzielono miasta na pięć kategorii i najwyższą opłatę 720 zł., stosuje prawo do konsensów na założenie teatrów w miastach 1, 2 i 3 rzędu, oraz zł. 600 za pozwolenie pochowania ciała w grobach kościelnych, najmniej zł. 3 od konsensu na założenie fabryki tabaki w miastach 5 rzędu; stempel od kart do gry wynosił od jednej talii kart polskich ceny zł. 1, gr. 3, od kart francuzkich wyrobu krajowego gr. 18, wreszcie od kart zagranicznych, na wprowadzenie których należało mieć zezwolenie ministra skarbu po zł. 6 od talii. Stempel od kalendarzy był dwojaki: od krajowych po gr. 10, od zagranicznych po 2 złote; uchwała z roku 1809 nie wymienia kalendarzy, nie wymienia także stempla od ksiąg żydowskich, który i w prawie 1811 r. nie istnieje. Zarazem w prawach tych, w porównaniu z konstytucjami odnośnemi Rzpltej radykalną znajdujemy różnicę: tamte orzekały bezwarunkową nieważność aktów z pominięciem stempla sporządzanych, — te wymierzają kary, ściągane w oddzielnym gatunku stempla, t. j. k a r n y m, w niektórych razach, mianowicie na urzędników, surowe, oprócz bowiem wynadgrózenia szkody, zrzędzonej skarbowi przez nieużycie stempla, poddające winnego karze 150 zł. za raz pierwszy, 300 za drugi i oddaleniu ze służby lub funkcji za trzecie przewinienie, ale ważność samych aktów milcząco uznają.

Z postępem czasu, w miarę zmian zachodzących w stosunkach politycznych i administracyjnych kraju, prawo z r. 1811 okazywało się już niewystarczającym, już w niektórych swych postanowieniach sprzecznym z istniejącym stanem rzeczy. Sam już fakt przywrócenia Królestwa, ustanowienia zarządu namiestnikowskiego, reorganizacya ministerów i ich atrybucyi, wypadki 1830 r., wszystko to odbijało się w właściwym naturalnie stopniu i na materji stemplowej. Zarządy skarbu i sprawiedliwości wyjednywały u władz wyższych, lub téż same w postaci reskryptów i rozporządzeń, wprowadzały w prawie za-

sadniczém zmiany i modyfikacye, streszczone w dwóch podręcznikach i w zbiorze przepisów administracyjnych Królestwa Polskiego ¹⁾.

Mimo jednak licznych zmian i uzupełnień, prawo z r. 1811 tyle było niekompletném i potrzebie czasu nieodpowiadającym, że już w r. 1838 przygotowanym był projekt do nowéj ustawy stempłowój. Zamierzona atoli zmiana prawodawstwa cywilnego w kraju, stała się podówczas powodem, że projekt ten pod zatwierdzenie monarsze nie został podany i tylko z uwagi na uznaną możność powiększenia z tego źródła dochodu dla skarbu, zaprowadzono w r. 1839 niektóre, zatwierdzone w drodze prawodawczój zmiany jako to: podniesienie ceny papieru stempowego najniższéj ceny z kopiejek 5 do 7 $\frac{1}{2}$, podniesienie ceny papieru do podań i używanie stempla najniższego do arkuszy środkowych, do podań i niektórych aktów. Że jednak prace prawodawcze znacznie się przeciągały, a możność powiększenia opłat stempowych i szukania w tém źródle zasilenia dochodów skarbowych, uznaną została za konieczną jużto przez komitet zwierzchni w Petersburgu, przy naradach nad zniesieniem linii celnéj, już téż przez inny pod przewodnictwem ministra sekretarza stanu Turkułta, do rozpoznania stanu skarbowego w r. 1855 wyznaczony, z tych zatém powodów Komisya rządowa przychodów i skarbu zaproponowała znów w r. 1856 niektóre w przepisach stempowych odmiany, dążące do ich uproszczenia i pomnożenia bez uciążenia kontrybuentów, dochodu dla skarbu, jako to: zniesienie dopłaty 10% na fundusz dróg i spławów, a podwyższenie w to miejsce ceny stempla w najniższym gatunku z kopiejek 7 $\frac{1}{2}$ i 10 na kopiejek 15; uwolnienie kwitów na wszelkie wypłaty rubla jednego niedochodzące, od używania stempla; podniesienie w dwójnasób opłat kolateralnych od spadków i darowizn; zniesienie kredytu drugiéj połowy wpisów sądowych i wyłączenie od używania stempla wszelkich korespondencyi pomiędzy władzami. Wnioski te Rada administracyjna uznała wówczas za usprawiedliwione, a inne jako mniej ważne odłożyła do nowéj ustawy; lecz zanim odpowiedni projekt do Najwyższego Ukazu przedstawiony został, Cesarz Alexander II przy czytaniu protokółu posiedzenia Rady zwrócił uwagę na to objaśnienie i zaznaczył na protokóle, że nieogłoszenie nowego prawa cy-

1) a) Zbiór praw i przepisów stempowych w czasie od dnia 23 grudnia 1811 r. do dnia 10 kwietnia 1828 r., wydanych, ułożonych przez Wincentego Wojciecha Trzetrzewińskiego referenta w komisji rządowój przychodów i skarbu, Warszawa 1828 r. b) Zbiór przepisów stempowych uzupełnionych rozporządzeniami wydanymi od r. 1811, do końca czerwca 1843 r. Warszawa 1843 r.

b) Zbiór przepisów administracyjnych Królestwa Polskiego ułożony na skutek Najwyższego rozkazu wyrażonego w odezwie ministra sekretarza stanu Królestwa Polskiego z d. 9/21 października 1864 r. Nr. 340 obejmuje 67 tomów, (książek 68.) w téj liczbie z wydziału skarbowego tomów 20, zawiera przepisy wydane do r. 1865.

wilnego, nie powinnyby stawać na przeszkodzie w wydaniu nowej ustawy stempłowej i że jeżeli nie zachodzą inne przeszkody, ułożony projekt do ustawy po rozbiorze w Radzie administracyjnej, podanym być może do Jego zatwierdzenia.

W spełnieniu tego zalecenia, przejrzano przedewszystkiém w Komisji rządowej przychodów i skarbu projekt do ustawy stempłowej w r. 1838 przygotowany, lecz przegląd ten okazał, że projekt rzeczony nie odpowiadał już ówczesnej potrzebie i dlatego w r. 1861 przygotowano inny, złożony Radzie administracyjnej Królestwa przy raporcie Kom. rząd. prz. i skarbu z dnia 10/22 września 1862 r., z którego właśnie powstała obecnie uchylona „Ustawa o opłatach stempłowych“ zatwierdzona przez Cesarza Alexandra II pod dniem 25 września (7 października) 1863 (Dziennik praw Kr. Polsk. 1861 r.). Ustawa 1863 r. składała się z dwóch części. Pierwsza obejmuje zasady i przepisy do stanowienia i poboru opłat stempłowych i dzieli się na trzynaście rozdziałów, z których trzy pierwsze wskazują format, cenę i przeznaczenie papieru stempłowego, oraz ogólne zasady oznaczania wysokości opłat; cztery następne od 4 do włącznie 7, obejmują prawidła o ustanowieniu tych opłat w szczególnych wypadkach. Rozdziały 8, 9, 10 i 11 zawierają dalsze przepisy o prenotacyi opłat stempłowych, o wyłączeniach kontroli i zabezpieczeniu dochodu ze stempla, tudzież o sprzedaży papieru stempłowego, a nakoniec dwa ostatnie, to jest 12 i 13, wskazują zasady wymierzania kar kontrawencyjnych i obejmują przepisy przechodnie. Zgoła objęte tu są wszystkie zasady prawa stempłowego, osnute powiększej części na zasadach dotychczasowych, wigcej tylko rozwiniętych i uporządkowanych. Położono zasadę, że opłata stempłowa pobiera się także od umów słownych w razie sądowego uznania ich istnienia, uważano bowiem, że skoro prawo cywilne dozwala dochodzić pretensyi wyływającej z ustnych zobowiązań, słuszném jest, aby w razie gdy sąd istnienie takowego zobowiązania uzna, strona właściwą opłatę skarbowi uiszcza.

Poddano opłacie akty i umowy między Towarzystwem kredytowém ziemskim a właścicielem dóbr, lub innemi pod względem tychże dóbr interesowanemi osobami zachodzące, a mianowicie: akty wypłaty przyznanej przez Towarzystwo pożyczki, jak obligacye, sprzedaż i dzierżawa.

Wprawdzie prawo z r. 1825 o ustanowieniu Towarzystwa kredytowego ziemskiego w art. 207, uwalnia od stempla Listy zastawne, oraz wszelkie korespondencye władz Towarzystwa, tudzież osób interesowanych z temiż władzami, to wszakże zauważono że uwolnienie nie może się odnosić do aktów wypłaty pożyczki, oraz sprzedaży lub dzierżawy dóbr, bo przy tego rodzaju aktach kosztu aktu a tém samém i opłaty stempłowej z samego prawa do strony nabywającej należą, a że tą stroną nie jest Towarzystwo, zatem akta te opłacie stempla ulegać powinny.

Część drugą stanowi taryfa poboru, ułożona w porządku alfa-

betycznym. Podług prawa z roku 1863 opłaty stemplowe pobierane były: 1) od różnych aktów sądowych i pism, w stemplu ceny najniższej; 2) od podań do władz zanoszonych podług ich stopniowania; 3) od umów, zobowiązań i kwitów; 4) od darowizn i spadków; 5) od spraw na drodze sądowej; 6) od nominacji, patentów i pozwoleń. Istniały zarazem tylko trzy gatunki stempla, jeden formatu arkuszowego do aktów, które na stemplu pisane być winny, drugi formatu półarkuszowego do realizowania opłat stemplowych, czyli kasowania i trzeci formatu półwiartkowego na weksle. Poprzednio w miarę rozlicznych gatunków stempla, były także różne nazwy opłat, a niekiedy w jednym i tym samym przedmiocie różna cena lub stopa opłaty, dla jednostajności więc i jasności, ustawa 1863 wprowadziła tylko dwojakiemu rodzaju opłaty, to jest: *procentową* od sum pieniężnych lub wartości rzeczy, jako to: przy umowach, procesach, spadkach, darowiznach, działach, kwitach i t. p. stałą, od różnego rodzaju aktów, pism lub czynności, jako to deklaracji, ksiąg handlowych, obwieszczeń, konsensów, plenipotencji, pozwów, podań, protokołów, wyciągów, świadectw, i t. p.

Do r. 1863 najniższa cena stempla wynosiła kop. $7\frac{1}{2}$, cena ta przeznaczona była zarazem i na arkusze środkowe do niektórych czynności i aktów, przy kupnie zaś papieru stemplowego wszystkich gatunków, pobierano 10% na drogi i spłaty. Ze względu jednak, że rada administracyjna jeszcze pod d. 24 lutego (7 marca) 1856 r. nr. 9,756 uchwaliła zniesienie opłaty drogowej, a w to miejsce podwyższenie najniższych cen stempla do kop. 15, ustanowiono najniższą cenę stempla na kop. 15 przy zniesieniu 10% na drogi i spłaty dotąd pobieranego i używania papieru stemplowego do arkuszy środkowych.

W myśl prawa z r. 1811 i wprowadzanych w nie później modyfikacji, umowy i zobowiązania podlegały następującym opłatom stemplowym:

Umowy o kupno i sprzedaż, i zamianę, tak nieruchomości jako i ruchomości, o dzierżawy wieczyste $\frac{1}{3}\%$ czyli po dwa od tysiąca. Umowy o dzierżawy czasowe po $\frac{1}{10}\%$ czyli po 1 od tysiąca.

Oblig, zastawy, kaucye: przy sumach hipotecznych po 1 od tysiąca, przy sumach niehipotecznych po $\frac{1}{2}$ od tysiąca.

Umowy i akta, których przedmiot nie może być na pieniądze obliczony, podlegały opłacie po kop. 15. Uznając je za nieodpowiednie wytworzonym w następnym peryodzie stosunkom społecznym i ekonomicznym, dążąc zarazem do powiększenia dla skarbu dochodu, podwyższono dotychczasową stopę procentową przy umowach i zobowiązaniach, a zarazem ustosunkowano ją tak, iżby stopa opłaty stemplowej nie była jednakową przy czasowej lokacji z tą, jaka ma być przy unieruchomieniu kapitału, a nadto aby hipoteczne zabezpieczenie sumy, przedmiotem zobowiązania będącej, nie podlegało wyższej opłacie jak od sum niehipotecznych, a to z powodu, że lubo wiarygodność hipoteczna miewa większą rękojmię, to znów dopełnienie

form ku temu wskazanych, większe częstokroć niż opłata stemplowa pociąga za sobą wydatki, przyjęto więc za zasadę: że opłata stemplowa najniższą być winna przy aktach poręczeń i pożyczkach, jako obrotach kapitału krótkotrwałych, wzrastać ma przy umowach o kupno ruchomości, dzierżawę, spółkę, ubezpieczenie, jako obrotach, spełniających się w dłuższym czasie, a dochodzić swego maximum przy unieruchomieniu kapitału.

Jakoż projektowano do aktów poręczeń i kaucyi bez względu czy hypotecznych czy niehypotecznych po $\frac{1}{2}$ od tysiąca, czyli $\frac{1}{20}$ od sta, do umów o zastawy i pożyczki, także bez względu czy hypoteczne czy niehypoteczne, po 1 od tysiąca, czyli $\frac{1}{10}$ od sta; do umów o sprzedaży, kupno i zamianę ruchomości, o spółkę, dzierżawy czasowe, poddzierżawy, najem rzeczy, usług i robót, oraz o dostawy i ubezpieczenie po $\frac{1}{2}\%$, do umów o kupno, sprzedaż i zamianę nieruchomości, tudzież o wieczyste dzierżawy po 1 od sta.

Podług poprzedniej ustawy weksle podlegały téj samej opłacie stempłowej co obligi.

W zamiarze uprzystępnienia stronom użycia stempla wekslowego, prawo z r. 1863 wprowadziło skalę ustopniowaną bardzo umiarkowaną, wynoszącą od pierwszych 300 rs. kop. 15, przy obrotach sum poważniejszych obniżającą się, przy sumach bowiem do włącznie rs. 1,500, opłata odpowiadała $\frac{1}{20}\%$, a od téj sumy zniżała się, wynosząc od rs. 10,000 do sumy najwyższej rs. 7 kop. 50.

Do r. 1863, w sprawach cywilnych pobierano trzy rodzaje wpisów: główny w kwocie najniższej kop. 15 z pewnem ustopniowaniem postępowem do sumy przedmiotu 150,000 rs. (opłata rs. 240) dodając od każdych dalszych 150 rs. po kop. 10; dodatkowy przy wyrokach w biegu sprawy zapadających w wyższych instancjach, wynoszący od kop. 15 do rs. 3 najwyżej i egzekucyjny, wynoszący $\frac{1}{5}$ część wpisu głównego, — nadto w sprawach ważniejszych, mających za przedmiot sumę wyższą nad rs. 1,500. Obok tego dzielono wpis na dwie równe części, jedną opłacaną przy podawaniu sprawy do sądu, drugą, ulegającą poborowi po zapadłym już wyroku. Prawo z r. 1863 uchyliło ów kredyt, jako dla skarbu szkodliwy i w odzyskaniu kłopotliwy, ustanawiając skalę normalną wielce umiarkowaną w przedmiotach do rs. 3,000 po 1% do rs. 9,000 po $\frac{1}{2}\%$, od rs. 9,000 do najwyższej, po $\frac{1}{5}\%$; we wszystkich zaś sprawach cywilnych bez wartości pieniężnej, po rs. 3.

W opłatach nominacyjnych przyjęto zasadę po 2% od płacy rocznie pobieranój.

Opłaty konsensowe jednorazowe podzielono na 5 klas nie wedle kategorii miast jak poprzednio, ale wedle ważności samych zakładów i przedsiębiorstw: najwyższa opłata rs. 30, dotykała przeważnie zakłady i fabryki, najniższa po kop. 15, pobieraną była od patentów

(konsensów) na zakłady podrzędne przez ludność uboższą wykonywane, jako to: garkuchnie, sklepiki, stragany etc.

Co się tyczy opłaty stempłowej od kart, kalendarzy i rubrycel drukowanych, w myśl ustawy z r. 1811 pobieranych, to ze względu, że sprzedaż kart od r. 1851 dopełnianą była w Królestwie na rzecz cesarskiego domu wychowania sierot w Petersburgu, a za to skarb Królestwa otrzymywał indemnizacją rs. 18,386 kop. 10½ rocznie, dochód zaś od kalendarzy był mało znaczący, bo wynosił około rs. 2,800 rocznie, kontrola zaś tego dochodu i dla skarbu i dla stron była uciążliwą i niedogodną, gdy nadto przy podniesieniu najniższej ceny stempla do kop. 15, obłożenie tych przedmiotów opłatą byłoby przeciążeniem, bo ta przenosiłaby częstokroć wartość samego przedmiotu jak np. rubryceli lub kalendarzy ściennych i ludowych, z tych powodów opłatę od kart, kalendarzy i rubrycel całkiem pominięto. Zasadę wymiaru kar kontrawencyjnych jako umiarkowanych, w ogólności pozostawiono w ustawie z roku 1863, z tą tylko odmianą, że za nieużycie stempla do weksli zaprojektowano karę 5^o/o od kwoty, do której nie użyto stempla, a to z tego powodu, że kontrola nad używaniem stempla do weksli jest prawie niepodobną i że tylko obawa wysokich kar zastąpić ją może. Co zaś do kar za przepuszczenie kontrawencyi i inne przekroczenia miano na uwadze, że te dotykając samych tylko urzędników, są zbyt surowe i przez to często pomijane, wysokość ich więc ustanowiono na rs. 1 kop. 50.

Nadmienić tu zarazem wypada, że kontroler generalny Królestwa pomiędzy spostrzeżeniami, jakie przy ogólnym obrazie najwyższej Izby Obrachunkowej za lata 1854 i 1855, względem ulepszeń w niektórych gałęziach służby skarbowej Radzie administracyjnej złożył, mówiąc o dochodzie ze stempla uczynił uwagę, iż przy zmianie prawa stempłowego byłoby słusznem żądać aby, jak to jest w Cesarstwie, weksle, umowy i wszelkiego rodzaju zobowiązania, pisane były na odpowiednim papierze stempłowym pod zagrożeniem ich nieważności, a z tego powodu Rada administracyjna decyzjami w odzewach sekretarza stanu z dnia 27 maja (8 czerwca) 1858 roku nr. 3573 i z dnia 16/28 września 1859 r., nr. 2537 objawionemi uznała: że przy rozpoznawaniu projektu do nowej ustawy stempłowej, nastęrczy się najdogodniejsza sposobność do należytego ocenienia, jak dalece można będzie pomieścić w nim przepis przez kontrolera generalnego proponowany. Propozycja ta nie mogła się ostać w obec współczesnych pojęć o prawie i powadze dowodowej, jakoż w ustawie 1863 utrzymaną została dawna zasada wymiaru kar kontrawencyjnych, bez unieważnienia aktów, chociażby na papierze bez stempla pisane były. Powodowano się w téj mierze niewątpliwie tém rozumowaniem, że jakkolwiek zasada uznawania nieważności aktów prywatnych na stemplu nie sporządzanych, była w dawnych prawodawstwach niemal powszechną, lecz z postępcem prawodawstwa porzucono ją tam nawet,

gdzie poprzednio była zastosowaną, stanowiąc natomiast kary kontrawencyjne; że odjęcie mocy dowodu aktom na stemplu nie pisanym byłoby karą bardzo dotkliwą, nieraz niezastępowaną dla wierzyciela, od którego nie zawsze zależy, jaki rodzaj dowodu dłużnik mu wystawi, a stanowiłoby niesłuszne wzbogacenie w każdym razie współwinnego, bodaj czy nie z ztęj woli dłużnika; że prawo pierwsze miejsce daje dowodowi na piśmie, a po nim dopiero kładzie inne mniej pewne, jak ze świadków i przysięgi, a nadto uznaje jeszcze za ważne nawet umowy ustne, a tómi samém skutkiem unieważnienia aktu piśmiennego, strony musiałyby z konieczności odwoływać się do dowodów ze świadków i przysięgi, a zakres umów ustnych rozszerzać, co wszystko w razie sporów, dla sądów trudniejszém czyniłoby wymiar sprawiedliwości, a dla stron uzyskanie jęj daleko kosztowniejszém.

Rozdział V § 41 ustawy i poz. 202 ustawy przepisuje opłaty stemplowe od zmiany własności nieruchomości lub ruchomych w skutek spadków, majoratów, darowizn i zapisów, stanowiąc opłatę od zapisów i darowizn z części rozrządzałnej w linii prostęj, zstępnęj 2% od wszelkich spadków i darowizn na rzecz wstępných, współmałżonka, dzieci naturalnych uznanych, 3% od krewných, 6% od obcych i powinowatých.

Rozporządzenie tym przepisem objęte ma także swoją historię. Donacje i rozdawnictwa z szcudroblowości monarszęj w kraju tutejszym czynione, uwolnione zostały w r. 1836 przez rozporządzenie Komisji rządowej przychodów i skarbu od wszelkich opłat, jakkolwiek ustawa o donacyach nietylko nie uwalnia donataryuszów od ponoszenia opłat i ciężarów prawami krajowemi postanowionych, ale owszem wyraźnie wkłada je na obdarowanych. Z tego powodu komitet wyznaczony 1853 do rozpoznania stanu skarbu Królestwa, zwrócił na tę anomalię uwagę, a obok tego uznał że dochód ze stempla możnaby znacznie powiększyć przez podniesienie opłaty od spadków pobocznych i ustanowienie opłaty od spadków w linii prostęj. Z tego powodu Komisya skarbu w opracowanym przez siebie w roku 1861, projekcie ustawy stemplowęj zaproponowała, aby przy wszelkich zmianach własności, bez względu czy takowe następują wskutek samego prawa, czy przez szcudroblowość, nie wyłączając zstępných w linii prostęj, pobierać opłatę dla pierwszęj kategorii (dzieci i dalszych zstępných) stosunkowo umiarkowaną, bo po 1/2% podnosząc takową dla następných kategorii do 2, 3 i 6%. W trakcie dyskusyi, że tak powiem gabinetowých, nad ustawą stemplową, która podobnie jak wszystkie z epoki 1861/3 roku prawa i przepisy, pod osobistém kierownictwem i przy bezpośrednim współudziale ówczasowego sterownika spraw publicznych w kraju naszym, margrabiego Wielopolskiego przygotowaną była, margrabia oświadczył się przeciw obciążeniu spadków w drodze samego prawa na zstępných przypadającego, upatrując w tęp obrazę podstawową prawa własności, na zasadzie którego ko-

niecznym, naturalnym spadkobiercą zmarłego bez żadnych wyłączeń i ograniczeń jest jego potomstwo; ulegając atoli pobudkom fiskalnym nie sprzeciwił się wniesieniu projektu w pierwotnej formie do Rady administracyjnej, która projekt w tym punkcie zmodyfikowała.

Ostatnią datą wykonalności z szeregu wielkich prac reformatorskich, podjętych pod sterem Wielopolskiego, ustawa stemplowa 1863, uległa temuż samemu co tańte losowi. Modyfikowano ją *de facto* i *de jure*.

Nowe osobniki administracyjne, mianowicie niższych organizmów, czując się powołanemi do przeprowadzenia wielkich zadań ogólnopństwowych, przeszkodzone z tego powodu w obznajmianiu się z prawami w kraju obowiązującemi, upatrywały w zewnętrznych cechach stemplowych oznaki niebezpiecznego separatyzmu i często wymagały użycia stempla nieistniejącego w sprzedaży miejscowej, lub uiszczania natomiast opłat bezpośrednich, w stosunku ustawą nieokreślonym. Opór przeciw tym wybrykom prawodawców własnego powołania tém był trudniejszym, że w razie nieuległości stosowano zasadę ustaw Cesarstwa, wedle której podania nie opatrzone właściwym stemplem nie ulegały rozbirowi (pozostawały bez ruchu). Na drodze znów prawodawczej nie przepuszczano żadnej okoliczności, zmierzającej do ujednostajnienia praw i przepisów w Królestwie obowiązujących z prawami i ustawami Cesarstwa, a gdzie się to wprost przeprowadzić nie dało odejmowano organizinowi miejscowemu niektóre członki, zastępując je pospiesznie innemi ogólnopństwowego wyrobu i typu. Łatwo zrozumieć o ile uciążliwym i niedokładnym był ruch całości w obec takiej pstrocizny i łataniny, a te cząstkowe operacje ciągle się powtarzały. Minister skarbu w raporcie swym obejmującym motywa do wprowadzenia w Królestwie ustawy stemplowej Cesarstwa, przytacza między innemi: że już w r. 1872 w epoce przygotowywania materyałów do ustawy, która w dwa lata później wydana została dla Imperyi, zaprzętao się myślą podciągnięcia pod nią Królestwa i komisya podatkowa nie znajdowała wielkich w tej mierze trudności, chodziło tylko o pewne zmiany w prawodawstwie i procedurze cywilnej, tymczasem jednak już w roku 1873 uchylono stosowanie przepisu o stemplach nominacyjnych, odnośnie do urzędników przybywających z Cesarstwa na służbę do Królestwa i nieuczestniczących w tutejszém stowarzyszeniu emerytalném; przez Ukaz z dnia 19 lutego 1875 r. wprowadzono do Królestwa, poczynając od dnia 1 lipca s. st. 1876 r. ustawy sądowe Cesarstwa wraz ze wszystkimi opłatami i poborami sądowemi, następnie z mocy ukazu z d. 30 grudnia 1878 r. zastosowano do Królestwa stempel wekslowy w Cesarstwie obowiązujący; na mocy zatwierdzonego pod dniem 15 stycznia 1882 r. wniosku Rady państwa, uchyloną została poz. 202 taryfy stemplowej 1863 r., stanowiącej opłaty od zmian własności w drodze darmej i zastąpiona nową skalą, wedle której od spadków, darowizn, legatów, majoratów, pobiera się w razie przechodzenia majątków

na rzecz małżonków, spadkobierców w linii prostej, zstępnej i wstępnej, dzieci przysposobionych i małżonków dzieci, opłata w stosunku 1^o/_o; na rzecz pasierbów i pasierbic, braci i sióstr rodzonych i przyrodnych, siostrzeńców i siostrzenic 4^o/_o, dalszych krewnych i powinowatych 3 i 4-go stopnia po 6^o/_o, wreszcie na rzecz wszystkich innych po 8^o/_o. Wprowadzona obecnie od d. 1/13 lipca 1884 r. ustawa stempłowa Cesarstwa ma na widoku cel trojaki: polityczny, rugujący szczątki odrębności, odróżniającej administracją tutejszego kraju od innych części państwa, prawny,—ustalający pewną prawidłowość formalną, wreszcie, fiskalny przewidujący znaczne z tego źródła zwiększenie dochodów skarbowych. Czas dopiero pokaże, czy i o ile przewidywania te ziszczone zostaną. W końcu przytaczam tabele wykazowe dochodów stempłowych, a) z epoki 1775—1794, zebrane ze źródeł w archiwach po K. R. P. S. znajdujących się, b) z epoki Księztwa Warszawskiego 1809/15 wedle preliminarzy budżetowych, z tą wzmianką, że w ogóle rachunkowość z tego czasu prowadzona była u nas wedle systematu pruskiego, a w w materyałach pozostałych są wielkie próżnie i braki, tak dalece, że z nich trudno sobie wyrobić pojęć o skarbowości Księztwa Warszawskiego, c) wreszcie z epoki 1815/1866 z dzieła Jana Blocha „Finanse Królestwa Polskiego“ stanowiącego nieocenioną wartość źródło dla skarbowości Cesarstwa i Królestwa ¹⁾.

Warszawa, 5 września 1884 r.

¹⁾ Nie wdając się w szczegółowy rozbiór opłat pobieranych, a dziś tak uciążliwych, od zmian własności, mianowicie nieruchomości, kwestya ta wymaga bowiem oddzielnéj pracy, tę tylko można zrobić uwagę, że opłaty te, zaliczone zupełnie słusznie przez Steina i Bilińskiego do podatków (Verkehrs-Steuer — podatki od przenoszenia), najniewłaściwiej figurowały u nas w taryfie stempłowej.

I. Wyciąg z generalnych rachunków sejmowych percept i ekspens Skarbu Rzeczypospolitej, od dnia 8 kwietnia 1775 do 1 marca 1794 roku.

		D o c h ó d z e s t ę p l o w a n y c h										Uwagi					
Za przeciąg czasu		Papieru		Kart		Kalendarzy		Ksiąg żydowsk.		Ogółem							
Dzień i miesiąc	Rok	Z ł o t e p o l s k i e , g r o s z e i d e n a r y															
Od d. 8 kwietnia 1775 do końca sierpnia t. r.	1775	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	33491	28	12	Nie pokazano szczegółów		
Od d. 1 września 1775 do końca sierpnia.	1776	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	180452	10	15			
Od d. 1 września 1776 do końca sierpnia	1778	642936	14	10 ^{1/2}	95625	15	—	14715	15	—	14295	7	9	767572		22	1 ^{1/2}
Od 1 wrześn. 1778 do k. sierpnia	1780	766277	13	5	108247	15	—	14588	7	9	47280	7	9	936398		13	5
" 1780 " "	1782	790234	29	6 ^{3/4}	77188	11	—	14276	22	9	12659	23	—	894359		25	15 ^{3/4}
" 1782 " "	1784	759198	15	10	58019	4	—	12998	—	—	9732	15	—	839948		4	10
" 1784 " "	1786	776058	27	3 ^{1/4}	85265	10	—	16137	—	—	10580	17	9	888041		24	12 ^{1/4}
" 1786 " "	1788	854040	18	1 ^{1/4}	123839	26	9	17941	22	9	9834	9	9	995655		16	10 ^{1/4}
" 1788 " "	1790	1276001	10	1	58129	10	—	16825	10	9	11523	21	15	1362479		22	7
Od 1 września 1790 do 1 marca.	1791	268559	7	14 ^{1/2}	13733	—	—	6036	22	9	5304	7	9	293633		7	14 ^{1/2}
Od 1 marca 1791 do 1 marca.	1792	1289955	13	1 ^{1/2}	36600	—	—	11372	7	9	9005	13	12	1346933	4	4 ^{1/2}	
Od 1 marca 1792 do 1 września.	1792	661561	3	11 ^{1/2}	20339	28	—	3097	20	—	1447	22	9	686446	14	2 ^{1/2}	
Od 1 września 1792 do 1 marca.	1793	241770	7	17 ^{1/2}	31038	10	6	6774	15	—	4041	5	—	283624	8	5 ^{1/2}	
Od 1 marca 1793 do 1 września.	1793	178532	28	9 ^{1/4}	20292	12	—	1634	7	9	1570	5	—	202029	23	1 ^{1/4}	
Od 1 września 1793 do 1 marca.	1794	67131	26	9	10184	28	—	3761	22	9	876	5	—	81954	22	—	

II. Księstwo Warszawskie.

Departamenta, a) dawne:

- 1) Warszawski,
- 2) Poznański,
- 3) Kaliski,
- 4) Płocki,
- 5) Bydgoski,
- 6) Łomżyński;

b) nowo przybyłe od roku 1810:

- 7) Siedlecki,
- 8) Lubelski,
- 9) Radomski,
- 10) Krakowski.

Dochód z papieru stempłowego i kart netto wykazany jest w budżetach Księstwa Warszawskiego

na rok 1809/10 w ilości złp. 319,635

„ 1810/11	„ „	}	1,041,271
„ 1811/12	„ „		
„ 1812/13	„ „		2,653,225 gr. 15
„ 1813/14	„ „		1,091,870 gr. 2
„ 1814/15	„ „		1,190,945

III. Opłaty stempłowe w Królestwie Polskiem—według Blocha.

Za czas i lata	Dochody z opłat stempłowych	Indemnizacya ze skarbu Cesarstwa za karty do gry	Za czas i lata	Dochody z opłat stempłowych	Indemnizacya ze skarbu Cesarstwa za karty do gry
	Złotych polskich		lata	Rubli srebrem	
Od 1 czerwca 1815 r. do 31 maja 1816.	995000	—	1842	469000	—
Od 1 czerwca 1816 r. do 31 grudnia t. roku.	687000	—	1843	467000	—
1817	1530000	—	1844	477000	—
1818	1591000	—	1845	469000	—
1819	1664000	—	1846	454000	—
1820	1744000	—	1847	468000	—
1821	1695000	—	1848	454000	—
1822	1695000	—	1849	409000	—
1823	1881000	—	1850	406000	—
1824	2326000	—	1851	435000	—
1825	2502000	—	1852	404000	—
1826	2420000	—	1853	385000	15000
1827	2232000	—	1854	442000	18000
1828	2524000	—	1855	445000	18000
1829	2524000	—	1856	410000	18000
Od 1 stycznia do 29 listopada 1830 r.	2342000	—	1857	476000	18000
Od 1 grudnia 1830 r. do 15 września 1831.	2143000	—	1858	485000	18000
Od 16 września 1831 r. do końca 1831.	2086000	—	1859	506000	18000
1832	593000	—	1860	532000	18000
1833	360000	—	1861	577000	18000
1834	2457000	—	1862	537000	18000
1835	2566000	—	1863	621000	18000
1836	2535000	—	1864	394000	18000
1837	2549000	—	1865	815000	18000
1838	2549000	—	1866	949000	18000
1839	2613000	—		900000	18000
1840	2753000	—			
1841	2910000	—			
	2757000	—			
	3096000	—			
	3026000	—			

Wycieczka do Madrytu.

PRZEZ

Eugeniusza Lipnickiego.

Dawne warunki czasu i przestrzeni coraz radykalniejszym ulegają zmianom. W służbie człowieka iskra elektryczna prędkiej obiega kulę świata, aniżeli strzały słoneczne. Podróż, która dawniej wymagała kilka tygodni a może miesięcy, odbywamy teraz w ciągu kilku dni. Ogromną przestrzeń z Londynu do Carogrodu t. zw. „Orient-Express,” przebywa w ciągu 89 godzin, a przebieże ją jeszcze w krótszym czasie, gdy po wykończeniu kolei turecko-bułgarskich ustanie konieczność przesiadania się w Warnie na parowiec. Podróż około świata, która dawniej otaczała śmiałka aureolą bohaterstwa, dziś zasługuje już tylko na nazwę „promenady,” jak swą ciekawą podróż skromnie nazwał br. Aleks. Hübner. Kraje, miasta i miejsca tak odległe, że dawniej wyobraźnia tylko w zachwycie szeptała nam, że je kiedyś ujrzymy, dziś stały się łatwo przystępnymi. Chęć zwiedzenia Hiszpanii jeszcze przed 20 laty dla wielu z nas na dalekim Wschodzie była tém, co budować zamki na lodzie, czyli „chateaux en Espagne.” Dziś miesiąc wolnego czasu i kilkaset rubli wystarczy, aby śmiało niegdyś marzenie urzeczywistnić. W 84 godzin, w wygodnym jak salonik wagonie, nie dozuając głodu i pragnienia, nie narażając się na większe niebezpieczeństwo, aniżeli jadąc z Warszawy do Płocka, docieramy do zachodnich krańców Europy! Wstyd to nazwać podróżą!

Przecież zabrałem się do opisanja takiej podróży do Madrytu, bo sędzę, że pomimo ogromnego mnóstwa po części wybitnych dzieł o Hiszpanii, świeże i podmiotowe spostrzeżenia każdego turysty mogą uzupełnić ten lub ów szczegół obrazu, obojętny dla jednych, więcej zajmujący dla drugich.

I.

Na drodze do Paryża zatrzymałem się w Stuttgardzie, ponieważ

dotąd nie znałem stolicy Wirtembergii i zamierzałem odwiedzić mieszkającego tam od kilkunastu lat d-ra Schaefflego, byłego ministra handlu w federalistycznym gabinecie hr. Hohenwarta (1871).

Że licząca dziś około 110,000 mieszkańców stolica wirtemberska, wzrasta w ludzi i bogactwa, o tém świadczy rozciągające się z pół mili nad koleją przedmieście Cannstadt, o wykwintnych willach i ogrodach, które mieszkańcom stołecznym pozwalają łączyć w wygodny sposób przyjemności życia miejskiego i wiejskiego. W Stuttgardzie wysiadamy w jednym z najwspanialszych dworców europejskich, o ogromnym ganku środkowym i licznych bocznych salach dla odjeżdżających. Nad drzwiami każdej sali w wieńcach kwiatów umieszczone są nazwy głównych miast odnośnej ruty. Do innéj sali więc wchodzą podróżni do Strassburga, do innéj jadący do Rottweilu, do innéj znowu jadący do Heilbronnu i t. d. Napozór jest to rozkład bardzo wygodny, w rzeczywistości chodziło tylko o pretekst do urządzenia kilkunastu sal, bo pociągi nie wyjeżdżają przecież równocześnie. Nadto wszystkie pociągi w dworcu stają na tém samym miejscu, nie zaś raz przed tą, raz przed drugą salą. Opuściwszy więc np. salę strassburską, trzeba jeszcze długo szukać na peronie odpowiedniego pociągu. Słowem ogromny dworzec stuttgardzki, wieczorem lśniący od światła elektrycznego, jest kosztownym zbytkiem, a nie odpowiada swemu właściwemu przeznaczeniu lepiej, niż inny skromniutki dworzec. Zaraz w pierwszej ulicy znajduje się kilka pierwszorzędných oberży. „Hôtel royal,” w którym stanąłem, zasługuje na polecenie. Niedaleko dworca, przy dość obszernym placu, stoi pałac królewski, wystawiony, jak pałac drezdeński, na wzór wersalskiego, naturalnie en miniature. Po prawej stronie widać starożytny, pochodzący z XV stulecia, zamek książęcy o ciekawych arkadach w dziedzińcu; po lewej stronie stoi teatrzyk królewski, bardzo skromny w porównaniu do nowego teatru drezdeńskiego; naprzeciwko zaś pałacu królewskiego, za pięknym parkiem, wznosi się obszerny, t. zw. „Königsbau,” wybudowany pomiędzy r. 1850 a 1860, kosztem króla. Potężny gmach ten składa się z dwóch długich skrzydeł, połączonych ze sobą, szklanym dachem; zewnątrz otacza go z czterech stron poważna kolumnada. W parterze znajduje się kilkadziesiąt składów najrozmaitszego rodzaju, król bowiem wynajmuje cały gmach przemysłowcom. Czy ta szczególniejsza lokacja kapitałów królewskich jest korzystną, nie wiem, ale to pewna, że „Königsbau” pod względem architektonicznym stanowi najpoważniejszą ozdobę Stuttgardu, który zresztą żadną miarą nie dorównywa ani Dreznowi, ani Monachium, ani nawet, co do różnych osobliwości gotycko-germańskich, Norymberdze.

Spędziwszy kilka godzin na obejrzeniu miasta, a wieczór w teatrze królewskim, gdzie dawano grywaną w wiedeńskich teatrzykach przedmiejskich starodawną posę Nestroja: „Einen Jux will er sich machen,” nazajutrz, we wtorek 20 maja, udałem się do d-ra Schaefflego, zamieszkującego drugie piętro przy jednéj z odleglejszych ulic.

Kilka ostatnich lat zmieniło go do niepoznania. Kiedy widziałem się z nim po raz ostani, zdaje mi się przed ósmiu laty, był to brunet, barczysty, silny, zdrowy, nie przypominający w niczém profesora, ślęczącego nad książkami. Teraz przyjął mnie niemal staruszek, całkiem osiwiwały, z szeroką białą chustką na szyi, w długim czarnym surducie. Salon zapełniony najrozmaitszemi drobnostkami, jakby wystawa porcelany, fajansów z chińskich i japońskich figurek; w drugim pokoju, bibliotece, wszystkie pułki książek pokryte bielizną. Gospodarz domu wyjaśnił mi to niebawem tém, że za kilka dni wydaje swą córkę, jedynaczkę, zamąż. W dwugodzinnéj rozmowie przekonałem się, jak stanowcza zmiana zaszła w politycznych zapatrywaniach d-ra Schaefflego. Urodzony 24 lutego r. 1831 w Nürtingen w Wirtembergii, słuchał on zrazu teologii (protestanckiej), wziął udział w zbrojnych ruchach r. 1848, następnie był współredaktorem dziennika „Schwäbischer Merkur,” potem uzyskał stopień doktorski i w r. 1861 został profesorem ekonomii politycznej na słynnej wszechnicy w Tübindze. W sejmie wirtemberskim, a w r. 1868 w niemieckim parlamencie słowem odznaczał się antypruskimi dążnościami. Właśnie temu kierunkowi zawdzięczał, że w r. 1869 był powołany na profesora ekonomii politycznej do Wiednia, bo, jak wiadomo, ówczesny kanclerz austriacki hr. Beust, wszelkie swe rachuby polityczne opierał na anty-pruskich żywiołach niemieckich i starał się pozyskać takowe dla Austrii. Ku zdumieniu federalistów austriackich nagle w lutym r. 1871 po ustąpieniu Potockiego, dr Schaeffle ukazał się na widowni politycznej jako minister handlu w nowym gabinecie hr. Hohenwarta. Powiadają, że sam cesarz, przeczytawszy wydane w r. 1870 dzieło „Socialismus und Kapitalismus” p. Schaefflego, polecił go nowemu prezesowi gabinetu.

Bądź jak bądź, p. Schaeffle był wówczas namiętym przeciwnikiem ks. Bismarcka i polityki pruskiej. Kiedy na jesień r. 1871 gabinet hr. Hohenwarta upadł, jak się domyślano powszechnie, wskutek interwencji dworu berlińskiego, p. Schaeffle, naturalnie, jeszcze mniej taił swą niechęć do polityki pruskiej. Jeszcze w r. 1873 i 1874 mało było mężów politycznych, którzyby byli otwarciej wyznawali swą nienawiść przeciwko ks. Bismarckowi i usilniej ostrzegali przed jego niebezpiecznemi względem Austrii zamysłami, jak p. Schaeffle. Dziś uważa go jako najszczerzego przyjaciela Austrii, nie pojmuje, jak autonomiści austriaccy mogą podejrzywać kanclerza niemieckiego o zamiary wrogie, ceni go jako najroztropniejszego męża stanu niemieckiego i t. d. O takiej radykalnej zmianie zdania nie byłoby warto wspominać ani słówkiem, gdyby był uprawnionym choćby cień tylko podejrzenia nieczystych powodów. Ale w tym razie podejrzenie takie byłoby niesprawiedliwością. P. Schaeffle bowiem, o tém nie można wątpić, jest jaknajmocniej przekonany, że nie on nawrócił się do ks. Bismarcka, lecz przeciwnie ks. Bismarck nawrócił się do niego. Choć nie wymieniany w dziennikach tak często, jak berliński profesor Wagner, p. Scheffle jest najgieniałniejszym reprezentantem t. zw.

szkoły „Socjalizmu katedry” (Kathedersocialismus). Wielkie dzieło jego „Bau und Leben des socialen Körpers” (3 tomy) wprowadzie jako całość, albo raczej w swęj zasadniczej myśli, jest tylko uczoną igraszka. Autor bowiem wychodzi z założenia, że organizm społeczny, czyli naród, jest tēm samēm, co organizm pojedynczego człowieka. Pierwszy, jak wiadomo, z taką analogią wystąpił Meneniusz Agrippa, twierdząc, że patrycyusze w narodowym organizmie rzymskim są tēm samēm, co żołądek w ciele ludzkim. Co w ustach Agrippy, albo w opowiadaniu Liviusza było mniej więcej sprytną bajką, u p. Sch. stało się naukową podstawą socyologii. Jak więc mamy anatomię, która opisuje członki ciała ludzkiego, fizyologię, która opisuje ich funkcye, psychologię, która bada duszę ludzką, tak p. Schaeffle, uważając społeczeństwo jako człowieka na wielką skalę, w wymienioném wielkim dziele tworzy anatomię, fizyologię i psychologię społeczną. Ale to przeprowadzone aż do drobnych szczegółów porównanie pomiędzy człowiekiem a społeczeństwem, jest kardynalnie błędną podstawą wymienionego dzieła. Pomimo tego jest to niezawodnie jedno z najciekawszych i pod wielu względami najbardziej pouczających dzieł lat ostatnich, a bogactwem spostrzeżeń przewyższa wszystkie inne utwory socyologów niemieckich, jak Wagner, Brentano i t. d. Praktyczne zaś wnioski swoje p. Schaeffle wypowiedział w ważnej broszurze: „Die Quintessenz des Socialismus” (1874), w której wykazuje możliwość przeprowadzenia znanego programu socjalistycznego: zniesienie pieniędzy, przedsiębiorstw prywatnych, wprowadzenie wspólności majątku i t. d.

Socjalistyczny kierunek tłómaczy skrajny zwrot, jaki nastął w sądzie p. Schaefflego o ks. Bismarcku. Odkąd kanclerz niemiecki wszedł na drogę socjalizmu państwowego, p. Schaeffle uważa go jako swego druha, aby nie powiedzieć ucznia. Pan Bismarck umie zręcznie uderzyć w słabą stronę niemców. To tēż wezwał p. Schaefflego do Berlina, radził go się, wymieniał z nim (jak nam mówił p. Schaeffle) częste listy, które z czasem będą niezawodnie stanowić nader ciekawy przyczynek do dziejów socjalnej polityki ks. Bismarcka. Wprowadzie p. Leon Say w znakomitē pisemku: „Le socialisme d'état” (Paryż, 1884) powiada: „Le socialisme d'état est une philosophie allemande.” Co do mnie, sędzę, że ks. Bismarck, który nigdy zbytecznie filozoficznych teoryi nie cenił, tak zwanym socjalizmem państwowym posługuje się jedynie w celach dynamicznych, to jest aby podkopać wpływ kół liberalnych i wzmocnić władzę państwową. Pan Schaeffle jednak widocznie wierzy w szczerosć socjalnych „reform” p. Bismarcka i tēm dostatecznie tłómaczy się zwrot w politycznych przekonaniach byłego ministra austriackiego. Gdy więc dawniej potępiał stanowczo centralizacyą (por. „Socialismus und Capitalismus”), dziś twierdzi, że separatystyczne pierwiastki w Niemczech są jeszcze tak silne, iż po śmierci ks. Bismarcka, hr. Moltkego i cesarza Wilhelma, niezawodnie rozsadzą świeżo utworzoną jedność niemiecką; dlatego trzeba popierać

wszelkie usiłowania ks. Bismarcka, zmierzające do ustalenia tej jednności. I tak np.: z socjalnego lub socjalistycznego programu pana Schaefflego wynika także logicznie potrzeba upaństwowienia kolei żelaznych, czyli odebrania ich spółkom prywatnym, akcyjnym, a oddania ich pod zarząd ogółu czyli państwa, bo socjalizm nie rozróżnia pomiędzy państwem, pomiędzy nieograniczoną władzą a wolnemi, samoistnemi indywiduami. Jako federalista, p. Schaeffle mógłby jednak pomimo swych dążności socjalistycznych poprzestać na tém, aby koleje prywatne były upaństwowione w Prusiech, w Wirtembergii, Bawaryi i t. d. Zamieniwszy się w wielbiciela ks. Bismarcka, przemawia teraz nie tylko za upaństwowieniem, lecz także za scentralizowaniem kolei niemieckich, czemu jak wiadomo, dotąd Bawarya, Wirtembergia i t. d., stanowczo się opierają. Rozmawialiśmy także o świeżem wówczas oświadczeniu księcia Bismarcka (w sejmie niemieckim) o „prawie do pracy“ (Recht auf Arbeit, właściwie: prawo zarobku). I tu, całkiem logicznie ze stanowiska teorii socjalizmu, którą w tym względzie pierwszy sformułował a nawet wprowadził w praktykę uczonej francuzki, Ludwik Blanc jako minister robót publicznych w r. 1848, p. Schaeffle z wielką werwą stawał w obronie ks. Bismarcka i usiłował wykazać możliwość tej także „reformy...“

Wyznając szczerze, że rozmowa z p. Schaeffle'm wprawiła mnie w pewien przykry nastrój umysłowy, którego zupełnie pozbyłem się dopiero w Madrycie po rozmowie z Castellarem. W ogóle Niemcy od r. 1871 stają się coraz mniej sympatycznymi, coraz trudniej zrozumieć się z nimi i coraz trudniej teraz nawet w wagonie i w hotelu uniknąć sprzeczek, którą wywołują chętnie z każdym, kto nie ma ochoty składać hołdu potędze, wielkości i wszelkim innym niezrównanym zaletom narodu niemieckiego. Wyjechawszy ze Stuttgartu o godzinie 12 minut 15, o 5¹/₄ stanęliśmy w ogromnym znowu nowym dworcu strasburskim, będącym wzorem obwarowanych i najężonych działami dworców przyszłości — jeżeli militarizm będzie się rozwijał tak samo jak dotąd. Na przestronnym peronie roilo się od żandarmów. Zanim otworzono wagony, komisarz policji z liczną asystencją rozpoznawał pasażerów, bo w kraju reform socjalnych i zamachów socjalistycznych zawsze się nastęrcza sposobność do ścigania niebezpiecznych zbrodniarzy. Dzień był dżdżysty i pochmurny. Może to zwiększało ponury nastrój; ale w r. 1878 przybyłem do Strassburga w piękny dzień majowy i zatrzymałem się tam dzień cały a nie przypominam sobie drugiego miasta o bardziej surowym charakterze. Podejrzliwość, duma, niepewność zwycięzców przebijają tam na każdym kroku, obok tłumionych gwałtownie uczuciach bólesci podbitych. Z swemi ciasnemi, ciemnymi uliczkami, Strassburg nigdy pewnie nie był miastem wesołości, ale teraz jest widocznie „miastem w żałobie.“

Ruszywszy po obiedzie (o 6¹/₂) w dalszą drogę, o zmierzchu przybywszy do Deutsch-Avicourt, ostatniej stacyi niemieckiej, w kilkanaście minut potem docieramy do Igny-Avicourt, pierwszej stacyi

francuzkiej, gdzie wreszcie opuszczamy ciasne i niewygodne wagony cesarsko-niemieckie i po załatwieniu w oka mgnieniu rewizyi kufrów, na grzeczne: „En voiture messieurs“ konduktorów francuskich, wsiadamy do paradnych wagonów prywatnej spółki wschodniej (l'Est). Pociąg pośpieszny składa się z samych wagonów pierwszej klasy; ale jest ich tyle, że w każdym coupé mieszczą się dwie, najwyżej trzy osoby. Wprawdzie i na austriackich kolejach nie łatwiejszego, jak mieć coupé dla siebie: wystarczy mrugnąć na konduktora i wcisnąć mu w zawsze otwartą rękę florena. Ale zato też tych, którzy nie znają austriacko-narodowej, prekuzowanej niegdyś nawet przez ministra Giskrę teoryi „łapówek“, albo którzy z niewczesnego katonizmu wzbraniają się opłacać ten podatek nadzwyczajny, konduktor włącza po 6 do pierwszej, po 8 do drugiej klasy. Natomiast na francuzkich kolejach, przynajmniej na pociągach pośpiesznych, sama spółka kolejowa zabezpiecza turystom wszelką wygodę, nie szczędząc licznych wagonów. Zajmującą rozmowę z rumuńską księżną B., która odwoziła swego syna do szkoły wojskowej w Paryżu a na gabinet Bratiana powstawała z tą werwą i z tym mistrzowstwem w uszczypliwych oszczerstwach, na jakie zdobywają się tylko wielkie panie politykujące, w Epernay przerwała tradycyjna buteleczka szampana. Wreszcie około godziny 6-tój zrana stanęliśmy na dworcu wschodnim w Paryżu.

Wyborna kronika paryska w tak zajmujący i pouczający sposób obznajmia czytelników „Biblioteki Warszawskiej“ z życiem i ruchem Paryża, że popełniłbym gruby pleonasm, rozwodząc się nad Salonem 1884 r., i nad tą niestychanie ciekawą wystawą utworów Meissoniera przy ulicy de Sèze, nad nowym, wspaniałym ratuszem, który powstał na zgliszczach spalonego przez komunę, słynnego w dziejach Francyi „hôtel de ville“, i nad zburzonym teraz doszczętu główném skrzydłem Tuileryi, nad nowym, urządzonym z niestychanym przepychem Edén—teatrem w pobliżu Opery i nad najnowszą sztuką Komedyi francuskiej: „Le député de Bombignac“ i t. d. Nie mogę tylko pominąć uwagi, że Wiedeń, jakkolwiek w ostatnich dwudziestu latach postąpił w sposób zdumiewający, mianowicie pod względem gmachów publicznych, jak nowa opera, muzea cesarskie, pałac parlamentu, ratusz, uniwersytet, pałac sądowy, kościół z wotów, giełda, nowy teatr cesarski i t. d., w porównaniu do Paryża pozostał dotąd zaściankiem. W Wiedniu od trzech lat umyślnie wybrana w tym celu komisya rady miejskiej obraduje nad sposobem zwabienia turystów. Ale cóż turyści mają począć w mieście, gdzie przez kilka tygodni (w czerwcu) grywano w jednym tylko teatrze i gdzie o godzinie 9-ój wszystkie ulice puste?

Wyjechawszy z Paryża w sobotę 24 maja o godzinie 8¹/₂ zrana pociągiem pośpiesznym, mijając słynne w dziejach Francyi i świata miasta: Orlean, Tours, Poitiers i romantycznie rozłożone na wzgórzu starożytne Angoulême, o godzinie 6-ój popołudniu stanąłem w Bordeaux, które nie bez racyi szczyci się przydomkiem: „la ville superbe.“

Począwszy od Angoulême, wzgórze, lasy, ogromne pola zbożowe, zielone łąki i srebrne wstęgi rzek (Isle, Dordogne) składają się na krajobraz nadzwyczaj malowniczy. Przy stacyi Lormont po kilku wiaduktach i przez kilka tunelów docieramy do prawego brzegu Garonny, ogromnej, szerokiej jak Dunaj pod Białogrodem, i jadąc jeszcze kilkanaście minut tuż nad rzeką, stajemy wreszcie w wspaniałym dworcu, zwanym la Bastide. Po kamiennym, spoczywającym na 15 filarach, 500 metrów długim moście, wystawionym pomiędzy r. 1808 a 1821. (pont de la Bastide), dostajemy się na Quai de Bourgogne i minawszy słynny pałac giełdy, w którym Napoleon III niegdyś wypowiedział głośne swego czasu hasło: „L'empire c'est la paix;“ zatrzymujemy się w „Grand hôtel de Nantes.“ Garonna tutaj tworzy łuk, nad którym w kształcie półksiężyca rozsiadła się dzisiejsza stolica Giroudy a starożytna Burdigala. Chociaż z różnych opisów byłem przygotowany ujrzeć miasto wielkie i świetne, rzeczywistość przewyższyła moje oczekiwania. Jakkolwiek od pont de la Bastide do morza, czyli do stacyi Royan parowcem jedzie się siedm godzin, (odległość wynosi 86 kilometrów), największe jednak okręty przybijają do samego miasta. Nad Quai de Bacalan, na północnym końcu miasta, spoczywają na kotwicach olbrzymie okręty francuskie, brazylijskie (bo z Bordeaux do Rio Janeiro jest bezpośrednia komunikacja handlowa) a zwłaszcza północno-amerykańskie o dumnie powiewających banderach gwiazdzystych. W pobliżu tych olbrzymów wielki panuje ruch. To składają, to wnoszą towary; liczne wozy naładowane towarem czekają nad brzegiem, majtkowie, robotnicy, komisyonerzy i pasażerowie krzątają się, ożywiając i uzupełniając obraz portowy. Na rzece parostatki najróżniejszych rozmiarów i kształtów a pomiędzy nimi czółna o szeroko rozpiętych żaglach, przesuwały się ku morzu, to ku miastu. W środku, w pobliżu mostu de la Bastide, malutkie, zwiane parowce (hirondelles bordelaises) przelatują z jednego brzegu na drugi, pełniąc służbę omnibusów. Obraz ten pełen ruchu i życia w północnym kierunku, po prawej stronie rzeki zamykają malownicze góry, gdzie śród bujnych winnic wznoszą się wioski Lormont, Montferrand i zamek Peyronet (Margaux, Lafitte i t. d., leżących na lewym brzegu Garonny, nie widać z miasta). Od dworca południowego (gare St. Jean) aż do północnego quai de Bataclan, turkoczą na szerokim wybrzeżu tramwaje, omnibusy i wykwinne pojazdy. Domy tu wszystkie wysokie, starożytne, ciemno-szare, wcześniej zamykane, kupieckie. W licznych sklepikach wina i kawy, roi się od robotników i majtków. Słowem, tutaj nad brzegiem Garonny, poznajemy odrazu żeśmy stanęli w jednym z największych miast handlowych i portowych Europy, a trzecim miastem portowym Francyi (Marsylia, Havre i Bordeaux).

W środku nadbrzeża, przerywając jednorodność szarych domów, jakby oko nowój, świetnej części miasta, przysuwa się do Garonny wspaniały plac des Quinconces, czyli wywyższony o dwa metry nad brzeg, szeroki taras, przyozdobiony z frontu dwoma, 20 metrów wysokimi

filarami, z których wierzchołków ogromne słońca elektryczne oświetlają rzekę i plac, otoczony z trzech stron gęstemi alejami kasztanów. Ztąd w kilka minut docieramy do pięknego placu de la Comedie, przy którym stoi ów monumentalny teatr, gdzie w r. 1871 sejm francuzki obradował w okolicznościach tak smutnych. Wybudowany pomiędzy r. 1775 a 1780 przez mistrza Louisa, teatr ten długo uchodził jako jeden z najpiękniejszych w świecie; ale i dziś śmiało stanąć może obok najwspanialszych budynków tego rodzaju. Gdyby Voltaire był znał teatr w Bordeaux, nie byłby pewnie napisał: „Les bonnes pièces sont en France et les belles salles en Italie.“

Wielki teatr stanowi czworobok 87 m. długi, 47 szeroki. Po okazałych kamiennych wschodach wstępujemy do wspianego portyku, spoczywającego na korynckich kolumnach. Balustradę zdobi 12 kolosalnych posągów. Na dwu dłuższych bokach wspianą arkady tworzą otwarte ganki. Tylne część, skąd wejście do kulis, skromniejsza, ale odpowiadająca poważnemu stylowi okazałego gmachu. Z portyku kilka szerokich podwoi prowadzi do przysionka, z którego w prawo i w lewo szerokimi gankami dostajemy się do miejsc parterowych, przepyszniemi marmurowemi schodami, w środku przykrytymi bogatym kobiercem, do wyższych pięter i do wykwintnego foyer. Sala lśni się od złota. Tylko na parterze znajduje się kilkanaście przystońniętych łóż. Na pierwszym piętrze dokoła ciągnie się paradna otwarta galerya, na drugim zaś i trzecim piętrze, zamiast łóż lub galeryi, jak u nas, są zgrabne, z wszystkich stron wyłącane, otwarte balkоники o 8—10 krzesłach. Plafon bogato wyłaczany i przyozdobiony kryształowym pajakiem. Wszedłszy w niedzielę wieczorem do téj sali, zapełnionej wykwintną, prawdziwie stołeczną publicznością, zdumiałem, a choć to może wyda się jako herezya, twierdzę, że teatr wielki w Bordeaux, jest poważniejszy od zbyt pstrokatéj sali Wielkiej opery paryskieje, wykwintniejszy od trochę ponuréj sali opery wiedeńskiej, najbardziej zaś uderzający kontrast stanowi swemi otwartymi balkonikami, do równie lśniącego od złota słynnego wenecjańskiego teatru Fenice, gdzie znowu przeciwnie łóże o malutkich otworach, wyglądają raczej na klatki. W ów wieczór grano „Fausta“ Gounoda, wprawdzie niezupełnie tak dobrze jak w Wiedniu lub w Paryżu, ale zawsze tak, jak się grywa w teatrze pierwszorzędnym.

Od placu teatralnego szeroką ulicą de Tourny dostajemy się do głównych bulwarów (Cours de Tourny, cours du jardin public, cours portal i t. d.), które przerzynają całe nowe miasto a wykwintnemi zabudowaniami nie wiele ustępują głównym bulwarom paryskim. Do Cours du jardin public przytyka dobrze utrzymany, o cienistych alejach ogród publiczny z zapełnioną najkosztowniejszemi egzotycznymi kwiatami oranżeryą. Trochę oddalony od środka miasta, ale bardzo wspianą pałac sprawiedliwości przy placu Magenty, zdobią posągi Monteskiusza, Hopitala, Malesherbes'a i Aquesseau'a. Dwaj najslawniejsi syno-

wie stolicy Gaskonii, Montesquieu i Montaigne, mają nadto posągi na placu des Quinconces.

Jeżeli nad brzegiem Garonny Bordeaux przedstawia się jako pierwszorzędne miasto portowe (pomiędzy mostem de la Bastide a quai de Bacalau może się pomieścić 2000 okrętów), a na placu de la Comedie i na środkowych bulwarach olśniewa nas wykwintnością, niemal stołeczną; natomiast w części południowej ciasnemi uliczkami i pyłem wieków pokrytymi domami, na pierwszy rzut oka przypomina turyście, że się też znajduje w jednym z najstarszych miast Europy, które już w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej wydało dwóch znakomych pisarzy rzymskich, dziejopisarza Eutropiusza († 370) i poetę Ausoniusza († 390), a za czasów Hadriana było stolicą Aquitanii. Z tych czasów rzymskich przechowały się tylko szczątki amfiteatru, zwanego Palais Gallien (około 200 r. po Chr.). Najwspanialszą ozdobę starego miasta stanowi słynna katedra ś-go Andrzeja, na rozszerzonym teraz znacznie placu, do którego przytyka parady ratusz, wystawiony około r. 1770 w stylu wersalskim, pierwotnie pałac arcybiskupa kardynała Rohana, później prefektura, potem „Chateau Royal,“ a teraz siedziba rady miejskiej. Co do katedry ś-go Andrzeja, do której dochodzimy starożytną ulicą ś-tęj Katarzyny, pierwotny plan jej pochodził z XI-go wieku; gdy w XVI-tém stuleciu trzęsienie ziemi zburzyło znaczną część świątyni, odbudowano ją w nowszym stylu odrodzenia. Ztąd niezgodna z czystością stylu, ale wielce malownicza rozmaitość architektoniczna katedry. Na wschodniej stronie na wzór włoskich campanile, na kwadratowej trzejpiętrowej podstawie, wznosi się wysmukła wieża „Tour de Peyberland,“ w wyższych piętach wysmukłymi kolumnami przedstawia jakby filigranowe cacko. Nad północnym bogato ozdobionym posągami i płaskorzeźbami portalem katedry wznoszą się dwie wysmukłe 50 metrów wysokie wieże. Nawa katedry szersza, niż nawa kościoła Notre dame w Paryżu, a blisko 30 metrów wysoka. Na dole ściany szerokimi arkadami przypominają starożytny styl romański, natomiast wielkie, śpiczaste, zaopatrzone świeżo w paradnie malowane szkła główne okna, zaznaczają zwycięstwo gotyki. Wykwintny chór o licznych wysmukłych kolumnach i bogatej ornamentyce rzeźbiarskiej, jako też nadzwyczaj poważny, lśniący od złota i białego marmuru wielki ołtarz dopełniają prawdziwie uroczego obrazu...

Spędziwszy niedzielę w Bordeaux, w poniedziałek z rana o godzinie 7¹/₂, z małego dworca południowego (Saint-Jean) wyjechałem do Bayonne. Już od stacy Gazinet zaczyna się ogromna 200 kilometrów długa, 75 do 100 kilometrów szeroka piaszczysta dolina, tak zwane les Landes, pokryta to czerwónemi i żółtými krzakami dzikiego rozmarynu, prosa, paproci i eryki, to też lasami sosien, naciętych celem zebrania ściekającej pod strzałami słońca żywicy. Raz po raz, jakby oazy w puszczy zjawiają się pola żyta, jęczmienia i kukurydzy i trzęsawiska, w których się pasą trzody kóz i owiec. Miast i wiosek

nie dostrzedz. Dworce — to mała szopa w lesie, otoczona kilku nędznymi chatami, jakby w jakiej puszczy amerykańskiej. Dopiero przed stacją Dax nagle po lewej stronie dostrzegamy żyzną dolinę, przez którą wije się srebrny Adour, a dalej na południowym krańcu mgliste wierzchołki Pirenejów. Przed małym, wykwintnym dworcem w Bayonne, dokąd pociąg przybywa około 11-jej, czekają liczne dorożki i omnibusy. Szerokim kamiennym mostem St-Esprit przebywamy Adour i potężną bramę dziewięcjej, bo nigdy nie zdobytej fortecy bajońskiej, potem drugim, węższym mostem mniejszą rzeczkę Nive, wpadającą tutaj do Adoura, następnie jadąc kilka minut nad lewym brzegiem Adoura mijamy wielki, przy obszernym placu musztry stojący gmach o pięknych arkadach, mieszczący w sobie i teatr i prefekturę, jeżeli się nie mylimy, także sale rady miejskiej i liczne składy, kawiarnie i t. d., a więc coś na wzór „Królewskiego gmachu“ w Stutgardzie, wreszcie skręcamy w lewo i w szerokiej, ozdobionej aleją lip ulicy du Gouvernement stajemy przed Grand hotel du Commerce.

Przy końcu téżże ulicy na niezbyt stromém wzgórzu sterczy dawny zamek królewski, gmach ponury o grubych szarych ścianach, niskich okrągłych wieżyczkach a raczej basztach i małych oknach. Dziś są tam koszary. W dziejach Francyi zamek bajoński nabrał rozgłosu w skutek odbytego tam zjazdu Karola IX, jego matki Katarzyny Medycejskiej, jego siostry Elżbiety, żony Filipa II-go i księcia Alby (w czerwcu r. 1565). Nie ulega wątpliwości, że na tym zjeździe królowa hiszpańska i księżę Alba usiłowali skłonić dwór francuzki do użycia surowych środków przeciwko hugonotom; dotąd jednak toczy się pomiędzy dziejopisarzami spór, czy istotnie już na zjeździe w Bayonne ułożono plan do rzezi, czy téż rzeź nocy 6-go Bartłomieja, jak twierdzą drudzy, była improwizacją ostatniej chwili? ¹⁾ I jeszcze drugi słynny w dziejach francuzko-hiszpańskich zjazd odbył się w Bayonne. W kwietniu r. 1808 odegrała się tam smutna tragikomedya pomiędzy hiszpańskim królem Karolem IV, jego synem Ferdynandem VII, królową Maryą Ludwiką i przyjacielem domowym księciem Godoyem z jednéj, Napoleonem I-ym z drugiejj strony. Główne akta dramatu, który po stłumioném przez Murata w Madrycie powstaniu 2 maja, skończył się 10 maja zrzeczeniem się korony hiszpańskiej i przez Karola IV i przez Ferdynanda VII, zaszły nie w samém mieście, lecz w blizkim pałacu Marac, którego mchem zarosłe zgliszcza widać z kolei żelaznej. Raz w nocy śród gwałtownej burzy (r. 1825) zamek zgorzał do szczytu. Kto wzniecił pożar nie wiadomo, według podania ludowego uczynili to zbiegowie hiszpańscy, a gdy krwawo-czerwona łuna buchała w górę, stróż parku miał dosłyszeć szatańskiego śmiechu szyderstwa. Przy zgliszczach pałacu znajduje się 20 metrów

¹⁾ Treściwy rozbiór najnowszych odnośnych publikacji zawiera dzieło: „Westeuropa im Zeitalter Philipp II“ von dr. Martin Philippson, Berlin, 1882.

głęboka studnia, do której, zawsze według tradycji ludowej, każdy przejeżdżający tędy hiszpańczyk wrzuca kamień, bo skoro studnia będzie zapelniona, powróci dla Hiszpanii dawna wielkość i sława!

Na najwyższym punkcie miasta wznosi się ogromna gotycka katedra św. Leona (z XIII stulecia), o bogato ozdobionym posągami i płaskorzeźbami portalu południowym i odnawianej teraz równie wykwintnej fasadzie głównej. Z trzech stron wązkie uliczki otaczają katedrę, do której przysiadły się nawet brudne sklepiki. Na czwartej stronie, na małym placu, stoi pomnik dla dwóch patriotów bajońskich, poległych na barykadach paryzkich 27 lipca r. 1831 z napisem: „Les revolutions justes sont le chatiment des mauvais rois.” Od katedry dwie równoległe ulice rue Pont major i rue des arceaux, o starożytnych domach z ponuremi arkadami, pod którymi znajdują się liczne sklepy, sklepiki i wyborne cukiernie, prowadzą znowu na dół do brzegu rzeki Adour. To „wielkie miasto” na brzegu szerokiej i trochę ponurzej rz. Adour i wązkiej a zwinniej i wesołej, a spieszącej w objęcia „swego oblubieńca” Nivy, nie zadziwia wprawdzie przepychem, jak Bordeaux, ale stanowczo jednak odbija od brudnych i wązkich uliczek zamieszkałego głównie przez Basków t. zw. „małego miasta,” które się rozsiało na trójkącie, utworzonym przez rz. Nivę i Adour.

Po śniadaniu wyszedłem przez długą bramę nad brzegiem rz. Adour do cieniściego parku, gdzie przed małą szopką czekał już złożony z dwóch wagonów i miniaturowej lokomotywy pociąg, odchodzący co pół godziny do pobliskiego Biarritz. W kilkanaście minut wśród zielonych łąk, pól zbożowych i ogrodów, zasianych białymi willami, dojechalśmy do słynnego miasteczka kąpielowego. Ulice jeszcze dostoje, okna różnobarwnych pałacików, przysunięte zielonemi żaluzjami, tu i owdzie białe domy na cześć przyszłych, bogatych lokatorów. Był to śliczny dzień majowy, kiedy wreszcie ujrzałem przed sobą Atlantyki! Ciemno niebieskie fale morza, walczą o lepsze z błękitem niebios. Z ogromnym hukiem fale łamią się o skały dziwacznych kształtów, stojące na straży przed środkiem miasta, a daleko rzucają białą pianę na nizki i piaszczysty (północny) brzeg, zwany côle des Fours, gdzie na krańcu miasta, wśród młodego jeszcze parku, wznosi się wielki, z czerwonej cegły pałac cesarzowej Eugenii. Z wysuniętej najdalej w morze skały, roche percée, cudowna panorama roztacza się przed zdumionym okiem. Przed nami nieskończone morze, zlewające się z sklepieniem niebios, w prawo daleko za willą Eugenii na wyskakującym przylądku fanal, dalej ujście Adoura, a dalej jeszcze ciemny pas, w którym się domyślamy brzegu Francji aż do ujść Garonny; po lewej stronie górzyste brzegi Hiszpanii, tam właśnie przesuwa się powoli parowiec coraz to malejący; obróciwszy się zaś, widzimy amfiteatralnie nad brzegiem rozłożone miasteczko, na północnym krańcu płaski brzeg des Fours, potem wspaniałe Casino, w środku główne miasto, a na południe przytykający aż do morza wysoki skalisty brzeg,

zwany plage des Basques, bo tutaj pewnego dnia w sierpniu Baskowie z ościennych wiosek, przy odgłosach wesołej muzyki, tańcząc i śpiewając, w zwartych szeregach wchodzą do morza i trzymając się mocno za ręce, tworzą jakby żelazny łańcuch, którego nie złamię i najsilniejszy bałwan.

Nad pustym jeszcze brzegiem przechadza się zaledwo kilkanaście osób, mianowicie pewna młoda para, on brunet i wierny typ hiszpańskiego don Juana, ona delikatna blondynka, których spotkałem już w sali jadalnej w hotelu de Nantes i w teatrze w Bordeaux, potem znowu przy śniadaniu w Bayonne, a teraz nad brzegiem morza, zupełnie tak, jak w Szwajcaryi, chcąc nie chcąc spotykamy się na różnych stacjach zawsze z temi samemi turystami; dalej kilka poważnych matron, które snąc wybrały się na całe lato do Biarritz, wreszcie tu i owdzie nadzwyczaj ładne dziewczyny miejscowe, czekające na rozrzutnych — lordów! Bo jeżeli świeżo „Figaro“ palnął artykuł przeciwko „braciom anglikom,“ przekonałem się w Bordeaux, Bayonne i Biarritz, że w tych stronach żaden inny naród nie popłaca tak, jak angielski, choć może należałoby raczej powiedzieć: jak pieniądź angielski. Nie twierdzą jednak bynajmniej, aby w południowej Francyi turyści byli narażeni na zdzierstwo. Owszem ceny hotelów, fiaków i t. d. w Bordeaux i Bayonne znalazłem tańsze, niż nad Renem i nie droższe jak np. w Górnej Austrii. (d. c. n.)

MICKIEWICZ

W PODRÓŻY PO NIEMCZECH I SZWAJCARYI

w roku 1829. *).

NAPISAŁ

Dr. Teofil Ziemia.

I.

Z paszportem w ręku, w którym obok nazwiska znajdować się miał dodatek „sławny poeta polski,“ opuścił Mickiewicz d. 27 maja (według starego stylu 15 maja) 1829 r. granice państwa rosyjskiego. Znowu tedy otwierała się przed nim „daleka, nieznajoma droga,“ ale tym razem do odbywania dróg takich był on już przyzwyczajony. Od dnia bowiem, kiedy po raz ostatni pożegnał Litwę, przebiegał już kilkakrotnie odległości takie, jak z Wilna do Petersburga, z Petersburga do Odessy i Krymu, z Odessy do Moskwy, a ztąd nareszcie znowu do Petersburga. Wszakże gdy dotąd podróżował poeta prawie zawsze w towarzystwie nieocenionego Malewskiego, który z braterską gorliwością pamiętał o jego materialnych potrzebach i wygodach, teraz po rozstaniu się z odprowadzającym go do Kronsztadu Aleksandrem Chodźką, uczuł się naraz zupełnie osamotnionym i osieroconym. Mimowoli przypomniał sobie ów dzień wyjazdu z Wilna, od którego teraz upłynęło właśnie półpięta roku,—i uczuł, że rozpoczyna nową epokę życia.

Po tak długim czasie, spędzonym między obcymi, nie było mu niestety daném powrócić do ukochanej Litwy. Losy rzucały nim znowu w inne strony, gdzie czekały go osłonięone tajemnicą wyroki. Jak na wyjeździe z Litwy, tak i teraz nie mógł się poeta oprzeć rzewnemu uczuciu, jakie go ogarnęło. Ale tym razem nikt z podróżnych nie rozumiał jego położenia ani smutku jego nie podzielał. Dopiero po

*) Ciąg dalszy—Zob. Zeszyt za m. Czerwiec.

czterech dniach pomyślniej żeglugi, stanął nakoniec w Travenmünde a ztąd udał się zaraz do Lubeki. Po noclegu w Lubecce, znalazłszy z niemłą trudnością konie, udał się do Hamburga, zkąd natychmiast 2 czerwca 1829 r., wyprawił listy do Petersburga. W jednym z nich, pisanym do p. Maryi Szymanowskiej, czytamy następujące słowa:

„Nie ma jeszcze tygodnia, jakeśmy wszyscy razem siedzieli u stołu pani, a już znalazłem się o mil nie wiem wiele, a co gorsza, nie wiem, na jak długo zapędzony. Dotąd nie mogę wzmówić w siebie, że jestem tak daleko od Michałowskiego placu i że trzeba odwyknąć i od fortepianu pani i od obiadów panny Julii (Wołowskiej) i od kłótni z panną Celiną. Niestety, wszystko to już mi się stało nieodbitcie potrzebnym... Sam chciałem tój podróży, nie skarżę się na przeznaczenie, znajduję tu tyle rzeczy do widzenia i interesu, a przecież smutno podróżować z tą myślą, że gdziekolwiek przyjadę, nikt mnie nie powita, nikt się z przyjazdu mego nie ucieszy...“

W dalszym ciągu przytoczonego listu cieszy się poeta nadzieją odebrania w Dreźnie listu od p. Szymanowskiej, a dodając kilka słów dla jej siostry i córki, nie zapomniał wówczas do jednej z nich napisać:

„Panna Celina niech mi daruje wszystkie dawne urazy, a o przestrogach pamiętać może, bo zawsze pochodziły ze szczerzej przyjaźni...“

W liście do Malewskiego, pisanym tegoż samego dnia, donosi mu o szczegółach swój podróży, a między innymi pisze, jak następuje:

„Ja ocięzały, nie lubiący nic szukać, nie chcący o nic się starać, liczyłem marki i szylingi, robiłem redukcją monet z całą zimną krwią bankierską... Prowadzę gawędkę z oberżystami, którzy mnie klepią po ramieniu. Wypytyuję się o wszystko, oglądam wszystko... Szczególnie mnie dotąd zachwyca widok zieleności, zapach wiosny, śpiewy ptaków i w drodze chociaż samotny, nie tak mi ciężko na sercu, jak tu w mieście. Spostrzegłem, że odwykłem zanadto od samotności i że kosztować mnie będzie to nagłe oddalenie się od was wszystkich i ten długi pobyt w krajach zupełnie dla mnie bezludnych. Cóż robić! oto jest wykrzyknik, który mi się często z ust wyrывa...“

II.

Po kilkodziowym pobycie w Hamburgu, puścił się poeta w pierwszych dniach czerwca r. 1829 w dalszą podróż po Niemczech. Jakkolwiek zaś z listów jego, wówczas do przyjaciół pisanych, domyślać się można, że z początku zamierzał jechać wprost do Dreznia, przecież różne powody skłaniać go mogły do zatrzymania się przedtém przez pewien czas w Berlinie. Chęć poznania stolicy pruskiej, sława profesorów takich, jak Hegel lub Gans, a wreszcie wiadomość o wielu bawiących tam polakach, przyczyniły się zapewne najbardziej do obrania drogi przez Berlin. Jakoż 5 lub 6 czerwca 1829 r. przybył nasz poeta do tego miasta, gdzie wówczas nie miał jeszcze nikogo znajomego.

Przechadzając się tego samego wieczoru samotnie „pod Lipami“ (Unter den Linden), dziwnym sposobem, może za wskazówką portretu przy wydaniu poznańskim jego poezyi (z r. 1828), poznany został przez bawiących w Berlinie rodaków, a zwłaszcza najprzód przez Eulogiusza Zakrzewskiego. Młodzieniec ów, bawiący wówczas na studiach w stolicy pruskiej, oddawna wielki zwolennik autora „Dziadów“, a nadto i sam próbujący sił na polu poezyi, tak dalece ucieszony był tém odkryciem, że pod jego wpływem napisał nawet wiersz, mający zwrotek, tém bardziej, że z jednej strony dodają one kilka rysów do naszego obrazu, z drugiej zaś świadczą o zapale, jaki wywołał wówczas poeta nasz we wszystkich częściach Polski.

Mickiewicz, toś Ty był! wszakże się nie mylę,
Poznałem Cię za znakiem, coś méj duszy wtłoczył.
Nieznany Ci był, ale ja znałem Cię tyle
Dawniej, niżelim Cię zoczył!

Próżno w pośrodku ludu mnogiego natłoku,
Pomroka Cię zazdrosna wzrokowi ukryła,
Postać Twoja wyrazu pełna, memu oku
Rodaka, wieszczka zdradziła!

Czemuż wtedy uczucia zapalem przejęty,
Drogi mężu, do Ciebie nie śmiałem się zbliżyć,
Nie, nie mogłem, nie dał mi jakiś postrach święty
Dumanu Twemu ubliżyć.

Lecz daruj, żem choć nie dość był śmiały Ci przerwać,
Tak, jak gdy potajemnie przed święconym kwiatkiem
Wyznawca Dryad stanie, lecz nie śmie go zerwać,
Jam Cię spotykał ukradkiem.

Darujesz, jeżeli pojmiesz, co się działo we mnie,
Gdym ujrzeć Ciebie zaczął cieszyć się nadzieją,
Drogi wieszczu, coś śpiewał i dla nas przy Niemnie
Rodaków Twoich nad Spreją.

Być może, że Zakrzewski jeszcze tego samego dnia wyszedł „ukradkiem“ pomieszkaniu poety i doniósł o tém swoim kolegom, albo że dowiedzieli się oni z dzienników, podających zwyczajnie listę osób przyjeżdżających, o przybyciu i mieszkaniu poety; dość, że zaraz nazajutrz rozpoczęły się wizyty i zaproszenia na rozmaite zebrania, obiady lub wieczory, które odtąd powtarzały się prawie codziennie. Nie sama wszakże młodzież okazywała swoje uwielbienie poecie, bo zarówno z nią czynili to i ludzie starsi, zamożni obywatele z Poznańskiego, których dość znaczna liczba, z powodu jarmarku na wełnę, ba-

wiła w owym czasie w Berlinie. W ten sposób w kole rodaków swoich ożywił się w wysokim stopniu duch poety, a nawet niekiedy podnosił się i do wysokości improwizacyi.

Razu pewnego na jednym z takich zebrań, w ciągu ożywionej o rzeczach ojczyźnych rozmowy, poeta zatrzymał się nagle i, zapewne na prośby obecnych, oświadczył, że będzie improwizował. W tej chwili powstała cisza, a tylko przy fortepianie dała się słyszeć nuta dumy z Niemcewicza:

Za szumnym Duiestrem na cecorskiem błoniu...

Mickiewicz, na którego obliczu spostrzegli wszyscy nadzwyczajny wyraz natchnienia, zaczął wkrótce improwizować. Wszyscy byli pod urokiem słów jego, ale nikt ich wówczas nie zanotował ani nie zapamiętał, tém bardziej, że całe towarzystwo pod wpływem uczyły było dosyć rozochocone, a nadto nie miano na pogotowiu papieru ani ołówka. Ale niedługo potem improwizował poeta po raz drugi. Było to na obiedzie, który na jego cześć dawała bawiąca w Berlinie młodzież polska. Tym razem przysposobiono się już do zanotowania improwizacyi. Ale mimo to nie zdołano tego uczynić, bo każdy wolał słuchać i patrzeć na natchnionego poetę. Tylko Wojciech Cybulski zapamiętał kilka wierszy z improwizacyi owej, której treścią była unia Litwy z Polską. Poeta nucił wówczas na melodyą poloneza Kosciuszki i między innymi powiedział te słowa:

Czy to z Litwy, z Poznania,
Chociaż różne nosim bronie,
Nie nam, bracia, nie zabrania
Wspólnie sobie podać dłonie.

Po owym obiedzie udało się całe towarzystwo do mieszkania znanego nam już Eulogiusza Zakrzewskiego, gdzie ofiarowano mu wieniec laurowy. Wtedy to poeta uczuł się znowu natchnionym i improwizował po raz trzeci. Zapamiętał, jaki wówczas wywołał w słuchaczach, był nadzwyczajny. Wyobrażenie o nim może dać opis tej chwili, skreślony przez Wojciecha Cybulskiego w czasopiśmie poznańskim „Rok“ z r. 1845:

„Wieszcz sam stał przez chwilę nieporuszony i niemy. Wnet jakaś cudowna siła rozpromieniła jego oblicze. Wzrok pełen nadzwyczajnego blasku i niewypowiedzianego wyrazu, jednym rzutem, jak iskra elektryczna, przeleciał po przytomnych. Cała osoba Mickiewicza w nadziejską zdawała się być przemienioną istotę. Jakież dźwięk czarujący jego głosu! jaka niepojęta potęga słów jego! Wieszcz-mistrz — postannik Boży — uderzył głosem, jak różczką Arona, w serca słuchaczy — i tży stanęły im w źrenicach!... wszystkich dłonie jak w modlitwie wyciągnęły się ku niemu i każdy z przytomnych krokiem naprzód ku niemu postąpił... Entuzjazm doszedł był do najwyższego stopnia, kiedy poeta, czy to w uczczeniu boskiej twórczości w sobie,

czy w świadomości bezwzględnej władzy swój nad duszami, czy też w zamiarze, aby młodzież, kształcąca się zagranicą i znajdującą w zagranicznej literaturze może więcej, niż we własnej upodobania, właściwszym i zbawienniejszym dla kraju natchnął duchem — kiedy poeta, mówię, w chwili powszechnego uniesienia, kończąc swą improwizację, wyrzekł z całą dumą wewnętrznego przekonania słowa, któreśmy wiernie zachowali w pamięci: „Czyś ty mi Schiller lub Goethe — widział równego poetę?”

— O nie! nie! — odpowiedziały głosy. — Tyś wiesz nad wieszczami! Tyś wiesz z ramienia Bogal! Wiesz z archanielskimi skrzydłami i głosem, dzierżący w ręku miecz archanioła!...

„Ludzie zimni i krótkiego wzroku, pisze dalej Cybulski — nazwą natchnienie takie zarozumieniem i dumą. My nazywamy wewnętrznym przeświadczeniem ducha, który wszędzie, gdzie padnie, nowe życie zapładnia.“ (Pismo poznańskie p. t.: „Rok,” z r. 1845, zeszyt VIII, str. 34).

Dla uzupełnienia tego, cośmy dopiero w owęj improwizacji słyszeli, winniśmy dodać, iż według Libelta, który także był jej świadkiem, miała się ona zakończyć w sposób taki:

Niech mi Schiller albo Goethe
Wskaże równego poetę!
Ja pan rymów; siłą ducha
Wskrzyszam temu, co mnie słucha,
Z piersi mojej pieśń.

Ale zarówno jak Cybulski, tak i Libelt, mówiąc o tém w swój „Estetyce“ (str. 413, wydanie z r. 1849), nie uważa słów tych za dowód zarozumiałości poety, lecz raczej widzi w nich trafne określenie daru improwizacyjnego, — polegającego na twórczym natchnieniu w obec słuchacza i nieograniczonym panowaniu nad formą wiersza.

W ten sposób szybko mijał pocie czas pobytu w Berlinie, zwłaszcza, że prócz tego zajmowały go i ówczesne osobistości tego miasta. Do takich należał przedewszystkiem sławny filozof Hegel. Mickiewicz bywał na jego wykładach uniwersyteckich, ale nie zachwyił się niemi wcale. Hegel bowiem, który w ogólności nie miał daru łatwego wystowienia, wówczas właśnie przez dwie lekcye mówił o różnicy między rozsądkiem a rozumem. Poeta nasz, lubiący zawsze wypowiadać swe myśli jasno i wyraźnie, nawet w gronie największych wielbicieli Hegla, nie wahał się wypowiedzieć swego zdania o sławnym wówczas filozofie. Jakoż raz w towarzystwie rodaków miał się o nim odezwać, że człowiek, który tak niejasno mówi i tak się męczy przez całą godzinę, by rozjaśnić znaczenie dwóch pojęć, pewnie się sam nie rozumie. Ale Libelt, jak wiadomo, wielki Hegla zwolennik, broniąc sławy swojego mistrza, odpowiedział wtedy, że niepodobna wystawić sobie psychologicznego stanu człowieka przy pięciu zdrowych zmy-

słach, któryby sam siebie nie rozumiejąc, mógł mówić całą godzinę i wywierać tak wielkie wrażenie na tak licznych słuchaczach. Wszakże mimo takiej obrony nie dał się Mickiewicz odwieść od swego o Heglu przekonania. Był on zresztą przez całe życie przeciwnikiem owęj mniemanęj filozofii, i niejednokrotnie okazywał do niej swój wstręt nieprzezwyčajny.

Odyniec w „Listach z podróży“ przytacza nieraz wypowiedane w tym duchu zdania Mickiewicza, a także i Cybulski opowiada, że gdy pewnego razu za pobytu poety w Berlinie mówił z nim o filozofii, rzekł mu wówczas Mickiewicz:

— Zamknij filozofa do kościoła lub ciemnego lochu piwniczego, lub każ mu w nocy iść przez cmentarz, a zobaczysz, jak się będzie modlił i żegnał.

Z tego wszystkiego okazuje się tedy, że poeta nasz stał na gruncie zdrowego staropolskiego rozumu i w téj mierze podzielał zupełnie przekonanie Krasickiego, wypowiedziane w znanéj bajeczce:

Zaufany filozof w zdaniach przedsięwziętych,
 Żartował z Pana Boga, śmiał się z wszystkich świętych,
 Przyszła słabość, aż mędrzec, co firmament mierzył,
 Nietylko w Pana Boga, i w upiory wierzył.

Między młodymi polakami, bawiącymi wówczas na studiach w Berlinie, było wielu takich, dla których Hegel był najwyższą i niezachwianą powagą. Do takich zaś, którzy się studjom filozofii prawie wyłącznie oddawali, należał w owych latach prócz Libelta także Stefan Garczyński.

Byli to zresztą według świadectwa Cybulskiego ówczesni przewodnicy młodzieży polskiej w Berlinie, a nawet właśnie niedawno przedtém stali oni na czele dwóch przeciwnych stronnictw, t. j. Garczyński na czele stronnictwa arystokratycznego, Libelt zaś na czele demokratycznego. Ale z przybyciem Mickiewicza znikła między temi obozami wszelka różnica i odtąd pomiędzy całą młodzieżą zupełna zapanowała jedność.

Wpływowi Mickiewicza należy także przypisać to, że Garczyński, dotąd zapalony zwolennik filozofii, zaczął wkrótce potem zajmować się więcej poezją, a w końcu nawet wyłącznie jęj się poświęcił. Za pośrednictwem Garczyńskiego poznał się Mickiewicz z znakomitym Ganssem, profesorem historii w uniwersytecie berlińskim. Ten wkrótce zaprzyjaźnił się z poetą i dał nawet na jego cześć obiad, na który także wielu polaków otrzymało zaproszenie. Ale prócz tego nie omieszkał Gans i publicznie na jednéj lekcyi swojej wyrazić hołdu swego Mickiewiczowi. Było to zwłaszcza wówczas, gdy Gans kreśląc dzieje panowania stu dni po wyładowaniu Napoleona z wyspy Elby, przedstawiał w porywający sposób walkę tego tytana przeciw całej Europie. A gdy wszyscy słuchacze byli pod wrażeniem jego wykładu, wtedy znakomity historyk miał się odezwać:

„Byłby to wyborny środek do nowoczesnej epopei, gdyż wszystkie ludy Europy, jak niegdyś greckie szczepy z Ilionu, występują do wspólnej walki przeciw temu jednemu mężowi. Aby ten wielki przedmiot opiewać, nie znam między żyjącymi poetami żadnego innego prócz tego, który zaszczyt mi zrobił swą obecnością, na tej lekcji jako członek narodu walczącego do ostatniej chwili przy boku bohatera!... Oczy wszystkich — jak powiada Cybulski — szukały po sali tego wymienionego poety bez nazwiska. Wkrótce zaś z ust do ust przechodziło imię jego podane przez znajomych, a następnie wszyscy cisnęli się przy wyjściu około niego, gdy profesor ująwszy go pod ramię, salę z nim opuścił.

Prócz tego poznał się Mickiewicz także z innymi znakomitościami Berlina, jak np. ze sławnym muzykiem Zelterem ¹⁾, któremu zarówno jak i Mendelsonowi przez p. Szymanowską był polecony. W ogólności listy tej pianistki sprawiały mu nieraz w Niemczech przychylne przyjęcie i jednały szacunek. Sam poeta często z wdzięcznością o tem w listach swoich wspomina. Tak np. pisze w jednym miejscu:

... „Byłem u starego Zeltera, bardzo mnie szanuje, bo powiada, że madame Szymanowska sehr klug und gescheidt napisała o mnie, zem wielki poeta. Sie soll das verstehen, Sie ist ja mit dem Herrn Goethe bekannt worden.“ (Kor. I, 47). W innym znowu miejscu (Kor. I, 49) pisze: „Listy p. Szymanowskiej wszędzie najmiliej przyjmowane i wszyscy o nią dopytują się. W Berlinie poznałem Mendelsonów i bywałem u nich, kazali mi bardzo kłaniać się p. Szymanowskiej.

Tak więc według własnych słów poety „w miłém i zacném towarzystwie rodaków i cudzoziemców“ upłynęło mu szybko kilka tygodni w Berlinie, gdy nareszcie z początkiem lipca (1829) postanowił puścić się w dalszą drogę. Tego samego dnia zaprosiła go raz jeszcze młodzież polska na zebranie, ażeby go uroczyście pożegnać. Wówczas śród śpiewów narodowych i ludowych, o które poeta szczególniej prosił — szybko minęło kilka wesołych godzin. Poeta notował sobie niektóre nieznanne pieśni ludowe i w najlepszym był humorze, gdy tymczasem zbliżała się chwila odjazdu. Było to już po północy, gdy całe towarzystwo odprowadziło go do hotelu, gdzie od godziny czekały konie pocztowe. Hrabia Plater, który tym razem miał być towa-

¹⁾ Urodzony w r. 1758, był z początku budowniczym; później odawszy się wyłącznie muzyce, został w r. 1809 profesorem téjże w akademii berlińskiej. On i Eckerman byli szczególniejszymi przyjaciółmi Goethego w ostatnich 20 latach jego życia. Zajmująca korespondencya Zeltera z Goethem wyszła w 6 tomach pod tytułem: „Briefwechsel mit Goethe.“ Znajdujemy tam i kilka wzmianek o Mickiewiczu, które w tłómaczeniu francuzkiem podał Władysław Mickiewicz w dziele: „Mélanges posthumes“ etc., tom II, str. 422.

rzyszem jego podróży, zwrócił uwagę poety na tak znaczne opóźnienie, ale Mickiewicz odpowiedział mu na to:

— Patrz na tych naszych braci, a jeśli masz serce odeślesz konie, abyś sam w ich towarzystwie przeżył chwilę, jakich mało w twym życiu mieć będziesz.

Niebawem wszakże nastąpiły serdeczne pożegnania, a nie długo potem potoczył się powóz gościńcem wiodącym ku Dreznu.

* * *

W opisie powyższym poszliśmy głównie za świadectwem Wojciecha Cybulskiego i Libelta, którzy byli uczestnikami owych wypadków i zgromadzeń. Jednakże i w listach poety, pisanych w owym czasie, znajdują się ustępy, które stwierdzają prawdziwość tego, cośmy wyżej powiedzieli. Tak np. dnia 12 czerwca r. 1829 pisał poeta do Franciszka Malewskiego.

Franciszku!

Piszę do ciebie te kilka słów dlatego tylko, ażebym dowiódł, iż nie lenię się wcale, kiedy mam zrzęczość odezwać się do moich miłych. Siedzę tu od tygodnia, tutejsi polacy dali mi obiad ein wenig burschikos, wieleby o tém pisać... Filozofia tu pozawracała łby, lękam się, abym nie przeszedł na stronę Śniadeckiego, tak mnie nudzą Hegliści. Chadzam na Hegla. Dwie lekcye zajęła różnica między Vernunft i Verstand. Widzę, że należę do dawniejszego pokolenia i jako stationnaire żadnym sposobem nie zrozumieję się z tutejszymi metafizykami...“ (Kor. I, 46).

W innym znowu liście, pisanym do Lelewela, tak mówi poeta o pobycie swym w stolicy pruskiej:

... „W Berlinie, zdaje się, że wszyscy ze mnie byli radzi, bo mnie uczniowie fetowali i w nocy do powozu odprowadzili, a dla poznańczyków obywateli powziąłem szacunek i mam dowody, że mnie nawzajem lubili i najmiliej przyjmowali; z nimi w Berlinie ciągle żyłem.“ I znać miłóm było to pożycie ówczesne dla naszego poety, skoro nad pierwotny zamiar pobyt swój w tém mieście tak znacznie, bo aż do całego przeszło miesiąca zdołał przedłużyć. Ale poeta może nie przeczuwał tego wówczas, jak dobroczynne następstwa dla młodzieży polskiej, bawiącej wówczas w Berlinie, miały wyniknąć z jego krótkiego pośród niej pobytu. Oto, co pisze naoczny świadek owych wydarzeń, Wojciech Cybulski:

„Od tego czasu zgoda, miłość, braterskość, zapal do nauk, obyczajność w życiu i pożyciu, przytém pewien rodzaj egzaltacyi, przecucia i oczekiwania, nadzieja i wiara w przyszłość, ożywiały wszystkich umysły i serca. Zdawało się, jakoby duch promienisty przeniósł się z Wilna do Berlina.“ (Pismo poznańskie. Rok 1845). Całą tę prze-

mianę sprawił niedługi pobyt Mickiewicza w gronie ówczesnej młodzieży polskiej, odbywającej tam swoje studia uniwersyteckie ¹⁾.

III.

Dnia 5 lub 6 lipca 1829 roku przybył Mickiewicz do Drezna. Widać to z listu do Franciszka Malewskiego, pisanego dnia 15 lipca a zawierającego w sobie wiadomość, że poeta „od dziesięciu blisko dni“ bawił już wówczas w stolicy saskiej.

Tu czekały go już od dawna listy z Petersburga od Malewskiego i p. Szymanowskiej, która go znowu tutejszym znajomym swoim nie omieszkała jak najlepiej polecić.

Poeta nie zamierzał w Dreźnie więcej nad 10 dni pozostać; dla tego pilnie korzystał z czasu, aby poznać osobliwości miasta i zaznajomić się ze znakomitościami tutejszymi.

We wspomnianym liście do Malewskiego opisuje, jak sobie w tym celu czas podzielił. Już o 6 rano, w razie pogody, był w „szkole pływania“, po 8 z katalogiem w ręku szedł do galerii obrazów, gdzie zostawał do 12 a nieraz 2 godziny. Potém udawał się „na obiad lub gawędkę, lub wizyty.“

Wówczas bawiło w Dreźnie wielu polaków; dla tego donosi poeta Malewskiemu, że bawi tam „Mazurów i warszawiaków nieledwie tyle, co Niemców, a wszystkie mazurki ładne.“

Zdaje się wszakże, że tym razem nie doznał tu poeta takiego, jak w Berlinie przyjęcia. — Że znajomości, jakie tu wówczas między obcymi porobił, wspomnieć należy Tiecka, znakomitego tłumacza utworów szekspirowskich, oraz Falkensteina, autora dzieła o Kościuszcze.

Z polaków żył tu zniemczały prawie zupełnie Bronikowski, słynny autor wielu w niemieckim języku pisanych, ale głównie do dziejów polskich odnoszących się powieści. Zresztą poznał się tu także z rodziną Dobrzyckich i Łabędzkich, którzy wówczas stale bawili w Dreźnie. Ale podobno najbliżej żył wówczas poeta z Warszawiakiem Kalikstem Morozewiczem, w którego téż towarzystwie dnia 15 lipca (1829 roku) wybrał się do Karlsbadu. Po drodze jednakże zwiedził Szwajcaryą, Saską a następnie przez dni kilka zabawił w Pradze. Tu zawiązał stosunki z literatami czeskimi a szczególnie z sławnym Wacławem Hanką, bibliotekarzem narodowej biblioteki czeskiej, znającym dobrze język nasz i literaturę. Zapalony ten wielbiciel przeszłości czeskiej, dawnych jej wspomnień i pamiątek, starał się wówczas nakłonić Mickiewicza do napisania poematu, którego bohaterem miał być Żyszka. Hanka obiecał nawet naszemu poecie dostarczyć potrzebnych

¹⁾ Do pobytu Mickiewicza w Berlinie odnosi się także list s. p. Karola Libelta do p. Władysława Belzy, podany w ogłoszonej przez tegoż: „Kronice z życia Mickiewicza.“ Lwów 1884.

do tego materyałów, a może już wówczas uczynił to w części przynajmniej.

W każdym razie warto zwrócić uwagę na to zbliżenie się wielkiego poety do najznakomitszych literatów czeskich. — W „Korespondency Mickiewicza“ (tom III, str. 117, wydanie 4), znajduje się nawet list Hanka pisany po polsku, a zachęcający poetę w roku 1832 do powtórnego przybycia do Pragi, aby tam z materyałów do Żyzszki lepiej mógł korzystać.

Niewiarowicz potwierdza także, że z własnych ust Hanka słyszał o téj zachęce do pisania wspomnianego poematu, — a co więcéj mówi on, że Mickiewicz w rzeczy saméj poemat taki napisał. Pierwszą jego pieśń, zaczynającą się od wspaniałego opisu lasów czeskich, czytał nawet kiedyś sam Niewiarowicz w rękopisie. Ale co się z nim później stało, nie umie powiedzieć dokładnie. Pamięta tylko, że rękopis ten już dawniej raz zaginął, później znów się odszukał, ale prawdopodobnie w r. 1848 przepadł na zawsze wraz z wieloma innymi rzeczami poety w czasie jego pobytu we Florencyi. I Lucyan Siemieński, spotkawszy się z Mickiewiczem w Strasburgu w roku 1840, słyszał od niego o owéj zachęce do pisania poematu o „Żyzszce.,,

— Ale przyznam ci się — rzekł mu wtedy Mickiewicz z uśmiechem — że jednooki bohater, przedstawiający się z jednéj tylko strony nienawiści i zemsty, wydał mi się ustępem, nie zaś skończoną całością. W konkluzyi bowiem trzebaby dowieść czego innego, jak się założyło. — Wojny husyckie, choć z taką heroiczną prowadzone zaciekłością, strawiły naród czeski i odjęły mu wszelką żywotność...

Czy wówczas, kiedy poeta takie o tym przedmiocie wypowiadał zdanie, poemat wspomniany przez Niewiarowicza był już gotowy? — Nie umiemy powiedzieć. Być może że tak było; ale znać była to rzecz niewielkich rozmiarów, może tylko jakiś „ustęp,“ któremu widocznie i sam autor wyższego nie przypisywał znaczenia.

IV.

Okolo 20 lipca przybył Mickiewicz z Morozewiczem do Karlsbadu, i razem z nim zamieszkał na Marienbadstrasse, w domu „pod Strzałą“ (zum Pfeil) na II piętrze pod nr. 4. I tu nie brakło poeci stosunków z rodakami, których, jak wiadomo, nie mało bywa po wszystkich wodach zagranicznych. Według zapewnienia Odyńca spotkało i tu Mickiewicza także najserdeczniejsze przyjęcie. Ale poeta podobno nie bardzo skorym był do zawierania znajomości, niektórzy wzięli mu to za złe a ztąd nie obeszło się i bez plotek, które nawet doszły wkrótce i do Malewskiego. Z tego właśnie powodu pisze mu poeta w kilka miesięcy potem z Rzymu (kor. I. str. 51):

„W Karlsbadzie, prawda, że od niektórych poetów uciekałem, bo biorąc wody, niepodobna być w humorze słuchania głupich wier-

szy, ale z całą prozą żyłem w zgodzie. Mieszkalem z Morozewiczem ciągle, on świadek wszystkiego, spytaj go, zkąd te wieści poszły?...

Mickiewicz zresztą nie życzył sobie zabawić tu dłużej nad trzy tygodnie. Z niecierpliwością zatem oczekiwał przyjazdu Odyńca, z którym jeszcze w Dreźnie miał nadzieję się spotkać, ażeby odtąd już przez czas dłuższy razem z nim podróżować. Jakoż 10 sierpnia (1829) spodziewał się na pewno przybycia przyjaciela i w tym celu wyszedł prawie o milę całą na jego spotkanie. Ale nie mogąc go się doczekać, powrócił do siebie w nie najlepszym humorze. Dopiero o 8 godzinie wieczorem tegoż dnia nadjechał nareszcie gorąco oczekiwany Odyniec.

Mickiewicz wybierał się właśnie na wieczór, zwany pospolicie „reunionem,“ i był wielce ucieszony, że karlsbadzkim znajomym swoim mógł przedstawić swego rodaka i przyjaciela.

Odyniec, który świeżo odwiedził Litwę, musiał teraz poecie opowiadać o wspólnych dawnych znajomych. Mickiewicz dopytywał się o wszystkich, o jednej tylko Maryli, ku zdziwieniu samego Odyńca, jak dawniej, tak i teraz, nie wspominał ani słowa. Po dwóch dniach uciechy z przyjacielem, któremu chciał zostawić choć tyle czasu do obejrzenia Karlsbadu, spieszył się poeta w dalszą podróż. Rodacy, bawiący wówczas u wód tamtejszych, dowiedziawszy się o tym zamiarze, chcieli poetę uczcić pożegnalnym obiadem. Ale Mickiewicz wymówił się od tego, zwłaszcza że już wprzód ułożony był projekt ostatniego obiadu a table d'hôte z rodziną państwa Łabędzkich i kilku bliżej znajomych. Obiad ów, w którym wzięło udział ze 20 znajomych, przeciągnął się dosyć długo. Ucztowano wesoło, a do uprzyjemnienia czasu przyczynił się głównie Odyniec, który wiele ustępów z Konrada Wallenroda deklamował z pamięci, pomimo, że Mickiewicz, nie lubiący takiego kadzidla, silnie protestował przeciw temu. Pożegnawszy się już przy świetle księżyca ze swoimi współbiesiadnikami, wrócili obaj przyjaciele do swego mieszkania i nie rozbiegając się nawet udali się na spoczynek, ażeby nazajutrz — jak najraniej w dalszą puścić się drogę.

Zanim jednakże opowiemy dalsze ich podróży koleje, niech nam wolno będzie wspomnieć już na tém miejscu, że dzięki śp. hr. Aleksandrowi Przedzieckiemu w r. 1870 wmurowano na owym domu „zum Pfeil“ pamiątkową tablicę z czarnego marmuru, z oznaczeniem daty pobytu Mickiewicza i numeru pokoju, który wówczas zamieszkiwał.

„Kłosa“ z r. 1876 podały w numerze 580 (str. 88) rycinę tego domu wraz z zajmującym artykułem pana Adama Mieszko-Maliszkiewicza.

Pani Petrek, właścicielka tego domu, takie autorowi wspomnianego artykułu dała wyjaśnienia, gdy ten w r. 1876 bawił w Karlsbadzie:

— Widzisz pan — rzekła — kiedy się zjechał w r. 1870 w Karlsbadzie ten hrabia polski (Al. Przedziecki) z tym drugim panem star-

szym, który przed laty podróżował z wielkim poetą (Odyniec) i razem w tym apartamencie mieszkali, wtenczas po odprawioném nabożeństwie za duszę poety wmurowano tablicę na domu naszym, należącym wówczas do mego ojca. W parę lat ojciec mój umarł, ale stosownie do prośby panów grafów wszystko do dziś dnia zostało, jak było dawniej, chociaż od bytności wielkiego poety upływa z górą lat czterdzieści. Wprawdzie musiałam przemałować spłowiałe ściany i odnowić zużyte meble, ale zresztą nic nie odmieniałam. Bo ten portret, co go pan widzisz, to już późniejszy. Przed paru laty zawiesiła go jakaś Polka, ubrana czarno i płacząca, kiedy tu weszła.

Pan Maliszkiewicz dodaje, że była to córka poety, p. Marya Górecka, a wspomniany portret jest roboty warszawskiego litografa Fajansa podług paryżkiej fotografii Szwajcera, podobno najlepszej ze wszystkich znanych wizerunków Mickiewicza.

Staraniem śp. hr. Aleksandra Przędziwieckiego i Antoniego Edwarda Odyńca znajduje się w tym domu także księga oprawna w safian z napisem: „Album Mickiewicza.“ Wpisali się do niej najprzód ci dwaj jój fundatorowie a po nich następują zapiski: Aleksandra Chodźki, Maciejewskiego, Pola, Kraszewskiego, Andrzeja Zamojskiego, pani Seweryny Duchinińskiej i wielu innych rodaków i cudzoziemców, którzy w latach następnych oglądali pomieszkane wielkiego wieszca.

V.

Wyjehawszy z Karlsbadu dnia 13 sierpnia r. 1829 o 3 godzinie zrana, przybyli nasi podróżni jeszcze tego samego dnia do Marienbadu, gdzie ku wielkiej swój radości spotkali się z matką Juliusza Słowackiego. Głównie też dla jój towarzystwa zabawili tu przez cały dzień następny a nazajutrz, to jest dnia 15 sierpnia, wybrali się w podróż do Weimaru.

Po drodze zwiedzili Eger, miejsce słynne zamordowaniem Wallensteina, gdzie oglądali dom, w którym się to stało i ową włócznię, przechowywaną w tamtejszym ratuszu, co w r. 1634 służyła Buttlero wi do wykonania tego morderstwa.

Zatrzymawszy się przez kilkanaście godzin w Francensbadzie dla zobaczenia się z bawiącym tam kolegą wileńskim Adolfem Januszkiewiczem, podążyli obaj nasi podróżni przez Hof i następnie Jenę do Weimaru ¹⁾, gdzie dnia 17 sierpnia (1829) stanęli w hotelu „Pod słoniem.“ Tu czekały ich już listy nieocenionój pani Szymanowskiej, a między temi dwa polecające ich Goethemu i jego synowej pani Otylii von Goethe. Z listami temi udał się Mickiewicz zaraz nazajutrz do

¹⁾ Czytelnikom znajdującym Odyńca „Listy z podróży,“ przypomni się tu zapewne zabawna scena z szukaniem na mapie Frankfurtu, który przy téj sposobności tak niefortunnie „żydem“ został zalany.

państwa Augustów Goethe, gdzie obaj podróżnicy jeszcze tego samego dnia otrzymali zaproszenie na wieczór.

Pani Otylia, licząca wówczas około lat 40, zrobiła na nich nadzwyczaj miłe wrażenie, tak że jej rozmowa przypominała im z jednej strony pełną uczucia i wyobraźni panią Becu, z drugiej pełną inteligencji panią Balińską, żonę znanego historyka. Pani Augustowa Goethe posiadała nadto wiele nauki, choć nie pragnęła się nią popisywać i w ogóle najmniejszego nie okazywała pedantyzmu.

Mickiewicz, który zawsze wysoko cenił towarzystwo kobiet tego rodzaju, uczuł się w swym żywiole i z wielkim ożywieniem brał udział w rozmowie, która toczyła się około najbardziej zajmujących przedmiotów, a głównie najświeższych zjawisk na polu literatury i sztuki.

Odyniec téż pisze z tego powodu, że pierwszy raz widział go w tej roli „szarmenta nad szarmentami“ i zdumiewał się nad ogromem jego najróżnorodniejszych wiadomości, które tak świetnie rozwijał w ciągu swjej rozmowy z panią Otylią, panną Pappenheim, prawnuczką wielkiego wodza i z p. Eckermanem, znanym wydawcą „Rozmów z Goethem“ (Gespräche mit Goethe). Wyszedłszy zaś z tego wieczoru, nie mógł się powstrzymać od zapytania swojego towarzysza, w jaki sposób nagromadzić mógł tyle wiadomości. Wówczas-to przyznał mu się Mickiewicz, że w ostatnich kilku latach czytywał pilnie wyborne pismo paryskie „Glôbe,“ z którego korzystał bardzo wiele.

Następnego dnia w południe mieli się obaj poeci polscy przedstawić autorowi „Fausta.“ Uprzejma pani Otylia przystała im nawet swój powóz, ponieważ Goethe przebywał wówczas w swoim mieszkaniu wiejskiem, odległym od miasta o kwadrans drogi. Z bijącym sercem przestąpili obaj młodzi podróżni progi „wielkiego poganina.“ W saloniku, do którego ich wpuszczono, znaleźli na kominku jakiś odcinek papieru, na którym Mickiewicz poznał pismo Goethego, znane mu już z albumu p. Szymanowskiój. Schowali go na pamiątkę, gdy wtém dały się słyszeć poważne kroki. Po chwili otworzyły się drzwi i wszedł ten, który na ludziach, widzących go poraz pierwszy, sprawiał wrażenie Jowisza.

Takiego-to wrażenia doznał przecież drwiący ze wszystkiego poeta niemiecki Heine, który wyznaje, że gdy pierwszy raz zobaczył Goethego, mimowolnie spuścił swe oczy, jakby chciał się przekonać, czy obok niego nie ujrzy orła, z gromowemi w dziobie błyskawicami ¹⁾. Nie dziw tedy, że i na polskich poetach od pierwszej chwili sprawił autor „Fausta“ nadzwyczajne wrażenie.

— Wybaczcie panowie — przemówił Goethe po francusku — że

¹⁾ H. Heine: Zur Geschichte der neueren schoenen Literatur in Deutschland: „Wahrlich, als ich ihn in Weimar besuchte und ihm gegenüber stand, blickte ich unwillkührlich zur Seite, ob ich auch neben ihm den Adler saehe mit den Blitzen im Schnabel.“

kazałem wam na siebie czekać. Bardzo mi miło widzieć przyjaciół pani Szymanowskiej, która i mnie zaszczyca swoją przyjaźnią. Od wspomnienia o sławnej z talentu i urody pianistce polskiej, którą Goethe zaszczycił kilkakrotnymi wykrzyknikami: „belle, gracieuse, charmante!“ potoczyła się swobodna o rzeczach literackich rozmowa. Goethe oświadczył polskiemu poetom, że nie obce mu są ich nazwiska, gdyż niektóre ich utwory znane mu są z tłumaczeń, ogłoszonych niedawno przedtém w „Leipziger Jahrbücher.“ I nie był to zapewne tylko zwykły komplement, gdyż w piśmie tém w istocie pojawił się ustęp z „Konrada Wallenroda“ w tłumaczeniu panny Jänisch, oraz Odyńca „Branka Litwina.“

W ogóle okazał poeta niemiecki wielką swoim gościom uprzejmość. Żałował, że dla zbyt wielkiego zajęcia nie miał czasu poznać żadnego ze słowiańskich języków, dopytywał się ciekawie o stan i charakter polskiej literatury, słuchając z uwagą słów Mickiewicza, który mu to wszystko w sposób krotki, ale nadzwyczaj trafny i jasny opowiedział. Mickiewicz mówił do niego ciągle po francusku. Gdy zaś Goethe spróbował odezwać się do niego w swym ojczystym języku, odpowiedział mu nasz poeta po niemiecku, że chociaż znanym mu jest także ten język, nie ma jednak odwagi kaleczyć go w obec autora „Fausta.“ Po tych słowach rozmawiano już do końca w języku francuskim, przyczém Goethe wyrażał się z pochwałami o Janie Potockim i księżnie Lubomirskiej, których poznać miał przed laty sposobność.

Nie chcąc dostojnemu gospodarzowi zbyt wiele zabierać czasu, powstali nasi podróżni, ażeby go nateraz pożegnać.

— Ale ja będę miał przyjemność widzieć dziś jeszcze panów na obiedzie u mojej synowej — odezwał się Goethe, dodając oraz z uśmiechem — będziemy tam mieli kilka pięknych pań i pańien. Spodziewam się, że to zrobi panom przyjemność. Nieprawdaz?

Na te słowa, uśmiechnęli się obaj młodzi poeci polscy, a sędziwy autor „Fausta“ pożegnał ich uprzejmém „do widzenia.“ Tak więc odbyło się to pierwsze Mickiewicza z Goethem spotkanie, upragnione bardzo przez naszego poetę, ale i przez Goethego już od kilku tygodni oczekiwane.

W korespondencji Goethego z Zelterem jest nawet niezaprzeczonego tego dowód. Jeszcze bowiem 12 czerwca 1829 roku pisał Zelter następujące słowa: „Przyjaciółka nasza, p. Szymanowska, zaleca nam a szczególnie tobie jako księciu poetów, poetę pełnego talentu, swojego ziomka polaka. Młody ten człowiek mówi dosyć dobrze po niemiecku i bardzo jest zalecony. Reszty dowiesz się od niego samego.“

W liście Zeltera z dnia 16 lipca 1829 r. czytamy znowu: „Poeta polski zalecony przez p. Szymanowską prosił mnie o list, mogący mu wstęp do ciebie ułatwić; ale nie przyszedł po niego.“ Powyższe doniesienia Zeltera stały się zapewne powodem, że Goethe oczekując Mickiewicza, pomylił się i kogo innego wziął za niego. Widać to z listu

pisanego do Zeltera 18 lipca 1829 roku, a więc wtedy, gdy Mickiewicz był dopiero w drodze do Karlsbadu.

„Poeta polski — pisał Goethe — odwiedził mię, towarzysząc księżnie Wołkońskiej, wśród licznego orszaku. Wymówił ledwie słowo i nie wpadł na dobrą myśl, żeby był sam się u mnie zjawił. Gdyby się nie widziało na tym świecie, jak często korzysta się niezręcznie ze sposobności dogodnej, to należałoby zganić i wytknąć postępowanie takie.“

Na powyższe słowa wkrótce, bo już 23 lipca 1829 r. odpisał Zelter: „Młody polacco musi być osobliwym ptakiem. Nie wiem nic więcej o nim, tylko że miał dla ciebie list p. Szymanowskiej. Mnie odtąd list, który miał do mnie i nie zjawił się więcej.“ Ale niebawem wyjaśniła się pomyłka. Już bowiem 15 sierpnia, a więc jeszcze przed przyjazdem Mickiewicza do Weimaru pisał Goethe do Zeltera: „Pośpieszyliśmy się zanadto z oskarżeniem naszego poety polskiego, zaleconego przez p. Szymanowską: on jeszcze tędy nie przejeżdżał: był to rosyjanin, któregośmy wzięli za niego.“

List Goethego pisany 20 sierpnia 1829 r., jest już wyraźnym dowodem, jak korzystne wrażenie zrobili na nim obaj nasi ziomkowie, bo oto słowa pisane bezpośrednio po ich poznaniu: „Nasz poeta polski dopiero co się zjawił. Kilka dni pierwej byłby bardzo pożądanym wraz z towarzystwem, któreśmy tutaj mieli. Teraz może zabraknie mi czasu na robienie honorów jemu jednemu, co mi się wkońcu staje rzeczą bardzo trudną, prawie niemożliwą. Zdołałem ukończyć moj drugi pobyt w Rzymie, któremu poświęcam tom XXIX; a byłbym zrobił drugie tyle, gdyby nie ten ruch nieustanny, jaki sprawiają mili przyjaciele, którzy nie przynoszą, ani nie unoszą ze sobą. Ale ta jeremiada niech ci nie przeszkadza dać czasem komu jaki mały bilecik: bo z nieprzyjemności chwilowej rodzi się nieraz miłe spostrzeżenie. Było też w istocie rzeczą bardzo zajmującą obserwować i porównywać polaków przybywających z anglikami odjeżdżającymi¹⁾: nie widziałem nigdy przeciwieństwa zupełniejszego.“

VI.

Po tak uprzejmym przyjęciu, jakiego podróźni nasi doznali zaraz na wstępie swojego w Weimarze pobytu, czekały ich odtąd prawie

¹⁾ Ustęp dotyczący podała „Kronika rodzinna“ w polskim przekładzie z r. 1868 (nr. 6) a nadto zamieszczono go także w Odyńca „Listach z podróży.“ Artykuł zaś Wiktora Pavie podała „Biblioteka Warszawska“ z r. 1875 (t. I, str. 282) w pięknym tłumaczeniu a częściowo streszczeniu pióra p. Seweryny Duchinińskiej, autorki „Kroniki paryskiej.“ W dziele francuskiem: „David d'Angers, sa vie son oeuvre et ses contemporains,“ par Henry Jouin. Paris, 1878, — znajduje się wiele szczegółów o Mickiewiczu, wyjętych także ze wspomnień Wiktora Pavie.

z dniem każdym nowe przyjemności i zabawy. Jeszcze bowiem tego samego dnia odbył się na ich cześć obiad u p. Augusta Goethe, a raczej jak wtedy powszechnie mówiono, u jego żony „pani Otylii.“

Mickiewicza, który był bohaterem owej chwili, posadzono między Goethem i panią domu; Odyniec siedział między panną Pappenheim i piękną panią Vogel. Obecny był także Eckermann, który w ogólności najczęściej był przy boku Goethego. Sędziwy autor „Fausta“ był w wybornym humorze, rozmawiał swobodnie i wiele z Mickiewiczem, którego zdania widocznie zatrzymywały jego uwagę, skoro je nieraz siedzącemu naprzeciw Eckermanowi prawie dosłownie powtarzał.

Po obiedzie pokazywał p. August Goethe gościom swoje zbiory, między którymi były i minerały osobliwsze. Na niektórych z owych kamieni zachowane były zęby rozmaitych zwierząt dziś już nie istniejących.

— Żaden przedpotopowy dentysta nie posiadał zapewne piękniejszego zbioru — odezwał się wówczas Mickiewicz, a słowa te tak się podobały staremu Goethemu, że je natychmiast powtórzył obecnym damom, które ich może pierwiej nie dosłyszały. Niebawem powiększyło się koło znajomości weimarskich.

Wkrótce bowiem zbliżał się dzień, w którym stary Goethe, urodzony 29 sierpnia 1749 r., miał obchodzić 80-letnią rocznicę swych urodzin. Z tego powodu spodziewano się w Weimarze wielu gości, a i sam Goethe przeniósł się natenczas do swego miejskiego pomieszkania, aby mu było wygodniej ich przyjmować.

Wkrótce zaczęli się zjeżdżać anglicy, francuzi i niemcy. Do ostatnich należał zwłaszcza poeta Holtey, muzyk Hummel i kilku innych mniej znanych. Z Belgii przybył sławny Quetelet, dyrektor brukselskiego obserwatorium, z Paryża znakomity rzeźbiarz David d'Angers i młody naówczas literat Wiktor Pawie.

Holtey, Dawid i Pawie stanęli w tym samym co i nasi podróżni hotelu, i to nawet w najbliższym sąsiedztwie zajmowanego przez nich mieszkania. Już to samo ułatwiło zrobienie szybkiej z nimi znajomości. Sposób, w jaki się Mickiewicz poznał ze wspomnianymi francuzami był dość oryginalny. Dlatego szczegółowo opowiada go Odyniec, zarówno jak i Wiktor Pawie. Zestawmy tedy ze sobą te dwa opisy, aby z nich całkowity ułożyć obraz.

Było to dnia 24 sierpnia 1829 roku, gdy w hotelu „Pod słoniem“ w sali jadalnej siedzieli przy stole trzech podróżnych. Był to Mickiewicz i dwaj świeżo przybyli francuzi. Mówili z sobą po francusku, a zwłaszcza Wiktor Pawie rozprawiał nadzwyczaj żywo i głośno. Dowiedziawszy się nadto, że towarzysz jego jest Polakiem, chciał mu dać dowód, że niezupełnie obcą jest mu polska literatura. Mówił tedy z zapałem o największym tegoczesnym poecie polskim, którego wszakże nazwiska nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć. Gdy zaś siedzący naprzeciw niego i spokojnie kawę pijący Polak pod-

suwał mu nazwisko Krasickiego, francuz zdziwiony tą nieznajomością własnej literatury, wykrzykiwał z wielką żywością:

— Non, non! ce n'est pas le nom Mic... Mis... Mik... Eh! qui est donc votre grand poete? (Nie, nie! to nie takie nazwisko. Mic... Mis... Mik... Eh! któż tedy jest waszym wielkim poetą?).

W tej chwili wszedł do sali Odyniec, który tym razem później przyszedł na obiad. Słyszał wprawdzie zapytanie p. Pavie, ale na znak dany przez Mickiewicza nie odezwał się jeszcze, choć trudno mu było powstrzymać się od śmiechu.

Tymczasem Mickiewicz skończył swą kawę, ukłonił się swym towarzyszom obiadu, a przemówiwszy do Odyńca kilka słów po polsku, opuścił salę.

— A to i pan polak! — odezwał się wówczas Wiktor Pavie do Odyńca — czy i pan nie znasz nazwiska waszego wielkiego poety?

— Pan chcesz zapewne mówić o Mickiewiczu.

— Tak! tak! mam nawet portret jego u siebie.

— Wszakże to jest ten sam, który wyszedł przed chwilą -- spokojnie odpowiedział Odyniec.

— A to rzecz szczególna — wołał francuz coraz głośniej, uszczęśliwiony tak niezwykłym spotkaniem.

Ale i Dawid d'Angers, bo tym był właśnie ów drugi francuz, ucieszył się bardzo z tak przypadkowego spotkania się ze sławnym poetą polskim.

W przekonaniu, że Odyniec kreślił swój opis pod świeżym wrażeniem tej sceny, poszliśmy tu za jego opowiadaniem. Wiktor Pavie bowiem niewątpliwie znacznie później pisał swoje wspomnienia i dlatego przedstawił to samo z pewnością, choć co do istoty rzeczy mało ważnymi odmianami. Oto własne jego słowa:

— Naprzeciwko nas siedziało w milczeniu dwóch cudzoziemców. Z rysów i akcentu poznaliśmy wkrótce ich narodowość. Po pierwszych ukłonach i oznakach sympatii przeszła rozmowa od polityki na literaturę. Obcy podróżni mówili ze znajomością rzeczy o dziełach i autorach. Imiona koryfeuszów naszych snać przebiegły za Wisłę. W odpowiedzi na ich serdeczne słowa, zacząłem wystawiać imię, które od niedawnego czasu nabierało rozgłosu we Francji, imię Adama Mickiewicza. Mam — rzekłem — w moim pokoju portret litewskiego poety, choć dotąd nie czytałem nic z jego tak sławionych utworów.

— Portret nie musi być podobny — rzekł na to młodszy podróżny ze znaczącym uśmiechem. Starszy tymczasem zarumienił się i zmieszkał. Począłem przypatrywać się lepij... Uderzyły mnie rysy i wyraz oblicza... Był to Adam Mickiewicz!

Jeszcze tego samego dnia rozpoczęła Dawid robotę owego medalionu, który znany jest z pięknego wykonania i nadzwyczajnego podobieństwa. W chwili, kiedy sławny rzeźbiarz na marmurowej tabliczce rozciągał jakąś glinę czerwoną, odezwał się do naszego poety, aby mu po francusku wygłosił ustęp jaki ze swoich utworów. Mickiewicz

wybrał Farysa i wnet zaczął z paniąci tłumaczyć go pięknie a nawet do pewnego stopnia rytmicznie.

— Sublime!—wołał co chwila Dawid a i Wiktor Pawie nie mógł wyjść z zachwycenia. Po wielu jeszcze latach opisując tę scenę, nie zapomniał odniesionego wówczas wrażenia. Oto własne jego słowa:

— Wówczas-to w sposób niezrównanego wdzięku, ten który nigdy jeszcze nie dotknął ziemi francuskiej, wygłosił w mowie naszej pierwsze zwrotki Farysa... Strofy jego gorące, jak płomień czyste, jak śnieg, dziewicze, jak pustynia ludzką nie tkniętą stopą!“

Ale Pawie zachwycił się nie tylko samą poezją Mickiewicza; dopatrywał bowiem w nim i głębszej strony pięknego charakteru, który także umiał należycie ocenić. Mówiąc bowiem w dalszym ciągu o rozmowie z naszym poetą, wydaje mu zaiste piękne i prawdziwe świadectwo, którego, jako z ust cudzoziemca pochodzącego, nie wahamy się tu powtórzyć:

„Bard milczący z natury odchyłał chwilowo zastonę z życia swego. O wielkim rozgłosie dzieł własnych, o wpływie ich na naród, o wpływie największym, jaki objawił się gdziekolwiek w naszych czasach, nie wyrzekł ani słowa.“

VII.

Odtąd z dniem każdym ożywał się Wejmar coraz bardziej; goście przybywający na uroczystość Goethego podejmowani byli uprzejmie na wieczorach lub obiadach u młodszych państwa Goethe. Ale czy dawano obiady na przyjęcie Dawida, czy z kolei Holteya lub Queteleta, nie zapomniano żadnym razem prosić na nie Mickiewicza i Odyńca. W ogólności obydwoj nasi poeci umieli wkrótce zjednać sobie powszechny szacunek i niezwykłą sympatyę. Panie wejmarskie wyznawały otwarcie, że polubiły polaków, ponieważ mają w sobie wiele poezyi. Potwierdza to i Holtey w swoich pamiętnikach, mówiąc, że cały tamtejszy świat damski (Damen-Welt) przeniósł tym razem swe sympatyje, okazywane zwykle dawniej anglikom, na ziomków naszych. Z tego powodu rozpowszechniło się szybko to nabożeństwo do polaków (polnischer Cultus), do którego i sam Holtey, jak mówi—jako dawny naszój narodowości przyjaciel, przyłączył się zaraz z ochotą.

Do owego nadzwyczajnego o naszych poetach, a zwłaszcza o Mickiewiczu, wyobrażenia mógł się prócz osobistych jego przymiotów przyczynić także nie mało i następujący wypadek, który tak Odyniec w swych „Listach,“ jak i sam Holtey w swoich pamiętnikach dokładnie opisuje.

Było to na wieczorze u pani Otylii dnia 27 sierpnia, na którym i stary Goethe był obecny. Rozmowa toczyła się żywo i zajmująco o najrozmaitszych przedmiotach i w rozmaitych kółkach. Mickiewicz rozprawiał z panią Otylią i siedzącymi obok niżej damami. Mówiono właśnie o darze odgadywania najskrytszych myśli i tajemnic serca, a poeta nawet wbrew swemu zwyktemu zwyczajowi pochwalił się tą

razą mimowoli, może tylko w zapale ożywionej rozmowy, że sztukę tę posiada. Przytomne tym słowom damy uznały to za rzecz niemożliwą, chyba że ujrzałyby oczywisty tego dowód. Wówczas dopiero poeta, jakby wezwany do okazania swęj sztuki, oświadczył, że gotów jest każdej z przytomnych dam powiedzieć jęj myśli i tajemnice, potrzeba tylko, aby każda z nich złożyła na tacy swój najulubieńszy pierścionek. W tęg chwili pojawiło się na porcelanowym talerzu kilkanaście pierścionków.

Odyniec patrząc na to zatrwożył się naprawdę, obawiając się, aby nie skompromitował się jego przyjaciel. Ale Mickiewicz skoro mu podano owe pierścionki, obrócił się twarzą ku oknom i przez kilka minut przypatrywał się im wśród powszechnego w towarzystwie milczenia. Naraz zwrócił się ku towarzystwu i z obliczém natchnioném wprawdzie, ale nadzwyczajną pokrytém bladeością, oddawał każdęj z kolei damie jęj pierścionek, choć nie wiedział przedtém, który do kogo należy. Nadto zaś każdęj mówił przy tęg sposobności przytłumionym głosem jakieś tajemnice, których wszystkie słuchały z wielkiém, prawie trwożliwym przejęciem, pani Otylia zaś nawet ze wzruszeniem aż do łez posuniętém.

Poeta nasz odniósł w ten sposób tryumf zupełny; wszyscy przekonani byli, że każdęj z dam powiedział istotną prawdę, a po całém towarzystwie przebiegały słowa podziwu i wykrzykniki: „Es ist doch wunderbar!“ Nawet sam Holtey, zrazu uważał to za żart z góry umówiony, przekonawszy się późnięj, że tak nie było, nie mógł jeszcze po wielu latach pozbyć się zdumienia, jakie go wówczas ogarnęło.

Ile razy — są jego słowa — czytałem potém w pismach francuzkich imię jego, złączone z najniepodobniejszými do wiary baśniami, zawsze mi stawał w oczach ów bladej wajmarski czarodziej z pierścionkami.

VIII.

Tymczasem nadszedł dzień 28 sierpnia (1829 roku), w którym obchodzić miano 80-letnią rocznicę urodzin sędziwego autora Fausta. Od samego rana widać było w Weimarze jakiś uroczysty, prawie świąteczny nastrój, a przytém wielki ruch i w ogólności niezwykle, powszechne ożywienie. Po życzeniach składanych Goethemu w godzinach południowych, w czém i nasi rodacy nie dali się prześcignąć, odbył się uroczysty obiad składkowy w sali hotelu „zum Erbprinzen.“

Poeci nasi otrzymali, jako goście wajmarscy, bezpłatne zaproszenia. Wśród wielu toastów wznoszonych na cześć sędziwego jubilate przemówił krótko i Mickiewicz, a żałować można, że przemówienia tego nie podał Odyniec w swoich listach.

Nazajutrz był znouwu obiad u pani Otylii na cześć Quetelet'a, a wieczorem dawano w teatrze uroczyste przedstawienie Fausta. Być może, że pobudzony tęp Mickiewicz przetłómaczył wówczas prolog

tego dzieła, który potem w r. 1831 w rękopiśmie darował Ant. Góreckiemu. Górecki zaś zostawił go w Dreźnie w r. 1832 u Todwena, w pakiecie opieczętowanym i zaadresowanym, o czym znajduje się wzmianka w koresp. Mickiew. I. 154. Następnego zaś dnia wybrali się nasi poeci wraz z Dawidem i Wiktorem Pawie do niedalekiej Jeny złożyć wizytę rektorowi tamtejszego uniwersytetu, historykowi Lunden'owi, którego dzieła już dawniej znane były Mickiewiczowi; a głównie, aby oglądać pole bitwy, wstawione zwycięstwem Napoleona, odniesionem nad Prusami i Rosyą dnia 14 października 1806 r. Wrażenie, jakie wówczas sprawił widok tego sławnego miejsca, było nadzwyczaj wznioste.

— Uczucia wstrząsające nimi — jak opowiada W. Pawie — malowały się nie tylko w słowach, ale bardziej jeszcze na obliczach naszych. Młode serca wrzały szczerym zapałem. Dawid marzył o tych poległych bez imienia, bez promyka sławy, bez grobowego nawet głazu! Mickiewicz zrazu milczący i zamyślony, smętnie rozbiierał potem problemat téj krwi bratniej, wylanéj tak bezpłodnie a tak wspaniałości myślnie. W téjże chwili szczególne dźwięki, długie, drgające i przeciągłe ozwały się w oddali. Podróżni spojrzeli ku miastu i ujrzeli połykającą w promieniach słonecznych wieżę, z kąd płynęła ku nim spokojna harmonia dzwonów.

... „W tych pełnych dźwiękach — mówi wspomniany autor — czuliśmy jakby ciepłe tchnienie dusz, co ożywiały niegdyś owe ciała rozsiane po szerokiém pobojowisku. Ton ich poważny i łagodny nie kołysał bynajmniej do snu, ani téż jak trąba bojowa nie wzywał do nowych zapasów. Był to raczej jakby hymn finalny wszystkich dysnansów ziemskiego życia“...

Wróciwszy do Weimaru, wybierali się już nasi podróżni w dalszą swą drogę. Korzystał z tego Dawid, ażeby wykończyć rozpoczęty przed kilku dniami medalion. W chwili, kiedy właśnie zajęty był tą robotą w pomieszkaniu poety, wszedł jakiś młody człowiek i wręczył Mickiewiczowi bilecik, na którym były następujące słowa:

Weimar, den 30 August 1829 r.

Herr Mickiewicz ist hoefflichst ersucht dem Ueberbringer des Gegenwaertigen, Herrn Schmeller, einige Stunden zu goennen um das Portrait eines so interessanten Gastes zu nehmen; auch wegen der Zeit mit demselben einige Verabredung zu uehmen.

Hochachtungsvoll

J. W. Goethe.

(Pana Mickiewicza proszę uprzejmie oddawcy niniejszego, panu Schmellerowi, poświęcić kilka godzin, aby mógł zrobić portret tak interesującego gościa, a także umówić się względem czasu.

Z wysokim szacunkiem

J. W. Goethe).

Chwila była właśnie dogodna. Schmeller usiadł i zaczął rysować, gdy równocześnie Dawid zajęty był swoim medalionem. Tego samego dnia byli poeci nasi na wieczorze u gościnnych państwa Peucer'ów, mieszkających stale w Weimarze, a nazajutrz spędzili raz jeszcze wieczór u młodych państwa Goethe. Poraz ostatni spotkali się tu z sędziwym jubilatem, który ich przy pożegnaniu ujął za ramiona i serdecznie w czoło ucałował. Było to zaś z jego strony oznaką życzliwości, którą, jak zapewniała pani Otylia, okazywał rzadko cndzoziemcom i w ogólności w nadzwyczajnych tylko razach. Odchodząc wziął świecę ze stołu i stanawszy we drzwiach, jeszcze raz ręką do ust skinął ku obydwom polakom. W kilka minut potem przysłał przez starszego wnuka dwie kartki i dwa pióra, o które już przedtém za pośrednictwem p. Otylii prosili go nasi poeci. Kartka przeznaczona dla Mickiewicza zawierała następujące zwrotki:

Des Menschen Tage sind verflochten,
Die schönsten Güter angefochten,
Es trübt sich auch der freiste Blick;
Du wandelst einsam und verdrossen,
Der Tag verschwindet ungenossen
Im abgesonderten Geschick.

Wenn Freundes Antlitz dir begegnet,
So bist du gleich befreit, gesegnet,
Gemeinsam freust du dich der That.
Ein zweiter kommt sich anzuschliessen.
Mitwirken will er, mitgeniessen,
Verdreifacht so sich Kraft und Rath.

Von äusserm Drang unangefochten,
Bleibt Freunde so in Eins verflochten,
Dem Tage goennet heiteren Blick!
Das Beste schafftet unverdrossen,
Wohlwollen unserer Zeitgenossen.
Das bleibt zuletzt erprobtes Glück!

Weimar, 28 August.

J. W. Goethe.

Wierz przytoczony ośmielamy się podać czytelnikom w następującém tłumaczeniu:

Różnie się chwile życia toczą,
Nieraz przykrości nas zaskoczą
I jasny schmurzą wzrok;
Ty idziesz sam wśród tego świata,
Dzień bez słodczy ci ulata,
Samotny życia twego tok!

Lecz skoro spotkasz przyjaciela,
 Wnet dusza twa się rozwesela,
 Z dwóch głosów jeden ton;
 Bo gdy się z tobą złączy drugi,
 Czerpiecie słodycz z życia strugi,
 A z prac — potrójny plon.

Niech świat nie stawia wam przeszkody,
 Niech nie rozrywa waszój zgody;
 Cieszcie się każdym dniem!
 Rzeecz swoją róboie jak najlepiej,
 A przyjaźń ludzka niech was krzepi,
 Bo szczęście tylko w tém.

Na kartce zaś, którą dostał Odyniec, były ręką Goethego napisane następujące cztery wiersze:

Diese Richtung ist gewiss,
 Immer schreite, schreite,
 Finsterniss und Hinderniss
 Bleiben dir bei Seite.

Pożegnawszy się serdecznie ze wszystkimi, wrócili już dość późno obaj podróżni do hotelu, aby nazajutrz z zalem opuścić te „niemieckie Ateny“, gdzie w ciągu swego dwutygodniowego pobytu doznali tyle ze wszystkich stron uprzejmości i gdzie długo jeszcze najmilsze po nich miały zostać wspomnienia. Najlepszym tego dowodem jest list p. Otylii Göthe, pisany 3 marca 1830 r. do poety, bawiącego już wtedy w Rzymie. Oto początek tego pięknego i dosyć długiego listu, który może zarazem dać dobre wyobrażenie o niepospolitym umyśle jego autorki:

„Miałeś pan zupełną słuszność do uwierzenia, że nazwisko pańskie nietylko z szacunkiem, lecz także z przywiązaniem żyć będzie w domu naszym i nie zawiedziesz się pan, gdy poweźmiesz przekonanie, że to uczucie będzie u nas trwało niezmiennie. Raczy więc pan sam ocenić, jak miłym byłby mi list pański nawet wówczas—gdybyś pan nie był sławnym człowiekiem—co wszakże nigdy nie jest bez zupełnego na mnie wpływu. Śmieję się pan z mojego wyznania, ale ja podzielam myśl Schillera: „ze wszystkich życia darów największą przecież jest sława.“ (Koresp. wyd. 4-te tom III, str. 120).

W dalszym ciągu listu pisze p. Otylia o młodym polaku, który będąc w Weimarze z najwyższym zachwytem wpatrywał się w rysy Mickiewicza na portrecie zrobionym przez Schmellera. W końcu po wielu uprzejmym a często aż do wyznania głębszego uczucia zbliżonych wyrazach, zaprasza p. Otylia poetę naszego do współudziału w dzienniku pod napisem: „Chaos“, który tylko dla szczupłego koła najbliższych znajomych wychodzić miał w Weimarze. (Es wäre sehr

liebenswertig, wenn sie und Herr Odyniec etwas zum „Chaos“ senden wollten).

Wspomniane pismo nawet Goethe nieraz zaszczycał swą pomocą a Holtey napisał do niego prolog, w którym i nasi poeci są wspomniani:

„Ich seh mich kreizend zwischen beiden Polen.“

Była to aluzya do owych „Pole eins“ i „Pole zwei,“ czyli napisów na kartkach, któremi na składkowym dla Goethego obiedzie oznaczono miejsca dla Mickiewicza i Odyńca, zapewne dla trudności wymówienia lub napisania właściwych ich nazwisk. (Obszerniej o tém w Listach Odyńca i w Pamiętnikach Holteya).

IX.

Pierwszego września r. 1829 o godzinie 9 z rana potoczył się z przed poczty wejmarskiej gościńcem ku Frankfurtowi wiodącym ogromny wóz zwany „Eilwagen,“ który mógł pomieścić w sobie cały tuzin podróżnych. W liczbie tych znajdowali się Mickiewicz i Odyniec, którzy jako wcześniej zapisani na poczcie, otrzymali także miejsca wewnątrz wozu, gdy kilku innych musiało zasiąść w przedniej jego części czyli w tak zwanym kabryolecie. Tu znalazło się na szczęście kilku miłych towarzyszy jak Töpfer, poeta wracający z uroczystości wejmarskiej i miłszy jeszcze od niego, wieloma językami mówiący i w ogólności bardzo wykształcony baron Meyendorff. Wśród ożywionej o różnych przedmiotach rozmowy mijał czas szybko i przyjemnie. Podróżni ani się spostrzegli, jak rychło przybyli do Erfurtu, z kąd po przelotnym obejrzeniu miasta i spożytym obiedzie ruszyli dalej do Gothy. Tu rozstali się z Töpferem, wypili kawę i podążyli znowu do Eisenach a ztąd do Fuldy, gdzie stanęli nazajutrz tj. 2 września. Nie zatrzymując się tu długo, ruszyli dalej przez Hanau, aż wreszcie tego samego jeszcze dnia o godz. 5 po południu stanęli w Frankfurcie nad Menem. Zamieszkawszy w hotelu „zum Weidenbusch,“ korzystali z czasu, aby się czempredziej przebrać i być jeszcze tego samego wieczoru na przedstawieniu opery „Fidelio.“

Nazajutrz udał się Odyniec do banku Rotschilda, aby odebrać pieniądze, które tam już od dawna na nich czekały.

Była to dosyć znaczna sumka, przeznaczona dla Mickiewicza, a wybierana ze sprzedaży dzieł jego, którą się gorliwie zajmowali jego przyjaciele, tacy zwłaszcza jak Malewski w Petersburgu lub Waleryan Krasiński i Joachim Lelewel w Warszawie.

Gdy Odyniec powrócił ze złotem, przyniesioném od Rotschilda i rozłożył je przed Mickiewiczem, nie zdawał się tenże z tego bardzo ucieszonym.

Wywiązała się nawet między nimi z tego powodu rozmowa, w ciągu której wielki poeta utrzymywał, że lepij było dla poezyi

w owych odległych czasach, gdy oddanie się jej nie przynosiło złota. Gdy bowiem — mówił dalej — poczyta zaczyna zysk przynosić, łatwo może zamienić się sama w bałwochwalstwo złota i w ten sposób zgłotać sobie upadek.

Trudno zaprzeczyć, że wiele jest w tém prawdy; ale gdyby nie owo złoto, nie mógłby był poeta odbywać swój dalekiéj podróży.

Otrzymałszy od barona Meyendorfa (z którym rozstali się w Frankfurcie) list polecający do Wilhelma Schlegla, puścili się nasi podróżni 4 września statkiem parowym na Menie do Moguncyi.

Tu w miejscu, gdzie Men wpada do Renu, odnieśli wspaniałe wrażenia a dla obejrzenia miasta, słynnego z dawnéj siedziby jednego z elektorów, zatrzymali się w hotelu „Pod złotym karpim.“ Nazajutrz popłynęli dalej wzdłuż szerokiego Renu, zachwycając się widokami, które się po obydwóch stronach jego brzegów otwierały. Do takich należał zwłaszcza widok olbrzymiej skały zwanéj Loreleyfels, sławnéj z wielokrotnego echa, które tam słyszeć można. Jeden z majtków parowca zagrał na trąbce a nawet lorlejskie echo odbiło ją wielokrotnie i poniosło gdzieś daleko. Poeta nas przysłuchiwał się z uwagą temu zjawisku, które po latach niewiele przypomniato się jego pamięci i wyobraźni, wówczas gdy pisał w „Panu Tadeuszu:“

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało,
 Że Wojski wciąż gra jeszcze — a to echo grało
 I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,
 Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,
 Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progę...

Tymczasem zapadł zmrok wieczorny, a w niedalekiéj odległości ukazało się miasto Koblenca. Poeci nasi stanęli w hotelu „Zum Riesen,“ aby tu przenocować. Nazajutrz po południu popłynęli do Bonn, gdzie zamierzali złożyć wizytę wielce zasłużonemu Wilhelmowi Szleglowi. Słynny ten autor niegdyś przyjaciel autorki „Korynny“ (p. Staël) miał wówczas lat 62 ¹⁾ i oddawna był przy tamtejszym uniwersytecie profesorem dziejów sztuki i literatury. Od delegata, którego uniwersytet wysłał na uroczystość wejmarską, wiedział już o naszych poetach, przyjął ich zatem bardzo uprzejmie i rozmawiał długo z nimi o swoich pracach literackich, o Goethe'm i o pani Staël.

W Bonn rozstali się nasi podróżni na dwa dni, gdyż Odyniec popłynął do Kolonii, a ztamtąd udał się do Akwizgranu dla zobaczenia się, z ordynatem hr. Zamoyskim, który wówczas bawił tam ze swą rodziną. Autor „Listów z podróży,“ o którym przed wielu laty obiegał znany wierszyk:

Z ekstraordinaryjnégj ordynata łaski,
 Odyniec i Ordyniec patrzą w Ogród saski,

¹⁾ Ur. roku 1767 † 1845.

już 9 września powrócił do Bonn, gdzie go w przystani oczekiwał Mickiewicz. Nazajutrz wybrali się w dalszą podróż obaj poeci, zwiedzając w następujących dniach miasta Darmstadt, Heidelberg, Karlsruhe, w których zatrzymywali się przynajmniej przez kilkanaście godzin. W ten sposób dopiero 14 września (1829) przybyli do Strassburga i to w towarzystwie rzeźbiarza Dawida, z którym się z wielką radością spotkali w drodze. Tu zwiedzali osobliwości miasta, zachwycając się szczególnie piękna katedrą. Nareszcie pożegnawszy się z Dawidem, powracającym już wówczas do Paryża, wybrali się dnia 16 września w podróż dalszą, której najbliższym celem była piękna Szwajcarya.

X.

Podróż do krainy Helwetów bywa dla każdego człowieka, a cóż dopiero dla artysty lub poety — ważnym w życiu wypadkiem. Mickiewicz zwiedzał ją kilkakrotnie w swym życiu, a nawet może właśnie nadzieja powtórnego jej jeszcze zobaczenia była powodem, że tym razem nie zamierzał poznać wszystkich jej osobliwości, i ograniczył się tylko do tych, które w owych czasach spotykał po drodze jadący tędy do Włoch podróżny.

Jakkolwiek zaś nie była to jeszcze najpiękniejsza część Szwajcaryi, którą poeta teraz przejeżdżał, przecież widok wodospadu Renu w Szafuzie, — miasta Zurych i jego jeziora, widok Raperswylu, następnie jeziora wallensteckiego i miasta Chur, co wszystko począwszy od 18 września przesuwano się przed jego oczyma, — sprawić mogło i w istocie sprawiło niepospolite na nim wrażenie.

Poeta, który jeszcze w Bonn i później w czasie żeglugi po Renie zabierał się z zapałem do rysowania następujących się widoków, i teraz kilkakrotnie powracał do tego zajęcia. Może nawet wówczas szczerze żałował w duchu, że nie posiadał większej w tej sztuce wprawy, bo z tego, co Odyniec o owych rysunkach opowiada, widać, że były to próby dyletanta, stojącego na najniższym dopiero szczeblu.

Dnia 25 września stanęli nasi podróżni już prawie na granicy Szwajcaryi.

Było to na popasie w Andeer, gdy Odyniec, lubiący jak wiadomo zawsze towarzystwo, chociażby i najmłodszych córeczek Ewy, ujrzawszy przesliczną czteroletnią dziewczynkę gospodarza, wziął ją na kolana i zabawiał swoim zegarkiem.

Mickiewicz oglądał na tę scenę z boku z wyrazem jakiejś niezwykłej czułości w swym obliczu.

Spostrzegłszy to, zapytał go Odyniec, czy kochałby dzieci swoje, gdyby go kiedyś Pan Bóg niemi obdarzył.

— O tyle, o ile byłbym przywiązany do żony — odpowiedział Mickiewicz, i w tej chwili pojawił się na jego twarzy wyraz głębokiego zasmucenia... Wkrótce jednak, jakby chcąc uwolnić się od cisnących

się do serca uczuć, zaczął rozmowę w żart obracać. Mimo to poznać było można, że robi to umyślnie i nie bez zadawanego sobie przy-
musu.

Wyjechawszy z Andeer, przez całą drogę do Splügen był Mickiewicz zadumany, mało mówiący a nawet bladej, jak zwykle bywał wówczas, gdy czuł w sobie poetyczne natchnienie. Jakoż było tak w samej rzeczy. Myśl jego bowiem na wspomnienie o szczęściu rodzinném pobiegła daleko, do staréj ukochanéj Litwy. Wspomnienie téj, do której przed wielu laty napisał:

Precz z méj pamięci!...

nie chciało i teraz jeszcze „usłuchać tego rozkazu.“

Dlatego poeta myśl swą puścił swobodnie, sfolgował wodze uczuciu i wyobraźni — i wydumał ową przesliczną elegią właśnie w ostatnim dniu swego pobytu w Szwajcaryi na wysokości Splügen, z kąd już przed nim otwierały się Włochy. Wówczas to — po raz ostatni w życiu — z głébi serca jego popłynęło ku Maryli westchnienie:

Nigdy, nigdy więc z tobą rozstać się nie mogę!
Morzem plyniesz i lądem idziesz za mną w drogę,
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady,
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady;
I włosy mi się jeżą, kiedy się oglądam
I postać twoję widziéć lękam się i żądam.

Niewdzięczna! Gdy ja dzisiaj w tych podniebnych górach
Spadający w otchłanie i niksący w chmurach;
Wstrzymuję krok, wiecznemi utrudzony lody,
I oczy przecierając z lejącej się wody,
Szukam północnej gwiazdy na zamgloném niebie,
Szukam Litwy i domku twojego i ciebie.
Niewdzięczna! może dzisiaj królowa biesiady,
Ty w tańcu rej prowadzisz wesolej gromady...

Ach! jabym cię za rękę po tych skałach wodził,
Jabym trudy podrózne piosenkami słodził,
Jabym pierwszy w ryczące rzucał się strumienie
I pod twą nożkę z wody dostawał kamienie.
I przeszlaby twa nożka wodą niedotknięta,
A całowaniem twoje ogrzałbym rączkę!
Spoczynekby nas czekał pod góralską chatą;
Tam zwleczoną z mych barków okryłbym cię szatą,
A tybyś, przy pasterskim usiadłszy płomieniu,
Usnęła i zbudziła na mojem ramieniu! . . .

ZJAZD TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO W TARNOWIE

dnia 17, 18 i 19 lipca r. b.

Towarzystwo pedagogiczne galicyjskie, powstałe przed 20 laty z pomysłu znanego lingwisty Bronisława Trzaskowskiego, obecnie dyrektora gimnazjum w Tarnowie, wzięło sobie za cel zgromadzić pod jeden sztandar wspólnej a rozumnej pracy nauczycieli szkół niższych i średnich bez różnicy wyznania i narodowości. Obecnie po dwudziiesiątkach lat swego istnienia, pomimo błędnego rozwoju swjej działalności, zjawia się już w uszczuplonych szeregach, gdyż rusini przystąpili do założenia osobnego stowarzyszenia, a profesorowie gimnazjalni, nie widząc łączności interesów swoich z interesami nauczycieli ludowych, zamyślają o Towarzystwie odrębnym. Zamiar ten nie wystąpił jeszcze z mglistej dziedziny projektów, wszelako odciągnął Towarzystwu pedagogicznemu pewien poczet członków, którzy ze stanowiska swego i wykształcenia mogli byli przodować młodszym braci. Pomimo tych prądów separacyjnych, zostało w Towarzystwie niemało i profesorów gimnazjalnych i rusinów, którzy przenieśli idee karności i jedności nad wszelkie względy uboczne.

Centralny organ Towarzystwa stanowi zarząd główny, przebywający we Lwowie, na którego czele stoją Zygmunt Sawczyński, jako prezes i Teofil Gerstman, jako wiceprezes, obowiązki zaś sekretarza piastuje Franciszek Próchnicki. W ubiegłym roku szkolnym miał Zarząd kilka trudnych zadań, w których musiał występować w obec władzy krajowej w interesie całego stanu nauczycielskiego szkół ludowych w Galicyi.

„Pod koniec feryi zeszlatorocznych — jak powiada sprawozdanie — zaniepokojone zostało nauczycielstwo ¹⁾, całego kraju rozporządzeniem władzy szkolnej, znoszącej wszystkie klasy równorzędne w szkołach ludowych, co pociągnęło za sobą uwolnienie z posady wszystkich zastępców nauczycieli. Tym sposobem przeszło 200 młodych nauczycieli i nauczycielek, pozbawionych zostało nagle sposobu do życia, bez najmniejszej ze swojej strony winy. Zarząd główny Towarzystwa pe-

¹⁾ Zapewne zaniepokojeni zostali nauczyciele, bo pomijając już taki dziwotwór jak wyraz „nauczycielstwo“, żadnego „abstractum“ zaniepokoić nie można.

Red.

dagogicznego na pierwszym swoim posiedzeniu zajął się energicznie tą sprawą i wystąpił deputacją pod przewodnictwem swego prezesa do p. namiestnika, ażeby powitała nowo-mianowanego prezesa rady szkolnej krajowej, a zarazem przedstawiła mu memoriał w sprawie nagłego zwinięcia klas równorzędnych. Pan namiestnik bardzo pochlebnie wyraził się o dotychczasowej działalności Towarzystwa pedagogicznego, uznał wielkie jego zasługi około rozwoju oświaty w kraju i zapewnił reprezentantów zarządu głównego o swojej dla tegoż Towarzystwa życzliwości. Przechodząc zaś do sprawy wspomnianego rozporządzenia rady szkolnej krajowej, znoszącego chwilowe t. zw. paralełki w szkołach ludowych, oświadczył że zdaniem jego „szkoła potrzebuje spokoju i nie może być przedmiotem eksperymentów,“ jeżeli ma się rozwijać prawidłowo i należyte wydawać owoce. Zarazem oświadczył stanowczo, że zarządzenie, spowodowane tym okłótnikiem rady szkolnej, w najbliższym czasie będzie cofnięte, zwłaszcza, że jest nadzieja, że sejm zabezpieczy zapewne fundusz potrzebny do utrzymania naszych szkół ludowych na dzisiejszym stopniu rozwoju. Oświadczenie to p. namiestnika, ogłoszone w dziennikach publicznych, poprawiło od razu znacznie sytuacją, a wiadomo powszechnie, że rada szkolna krajowa wkrótce rozporządzenie wspomniane cofnęła tak, że szkoły nasze tylko chwilowo narażone były na pewien rozstrój.“ Tak więc w sprawie tej Towarzystwo pedagogiczne okazało się dzielnym obrońcą interesów stanu nauczycielskiego w obec instytucji, zarządzającej sprawami wychowania publicznego.

Drugi raz wystąpił zarząd główny już przed sejmem z memoriałem w sprawie zmiany ustaw szkolnych. Usposobienie sejmku było nieprzychylnie memoriałowi, a wydział krajowy pod wpływem, jak się zdaje, marszałka sejmku Zyblikiewicza, ułożył projekt pomnożenia liczby szkół w kraju przez otwieranie t. zw. szkół posiłkowych, w których mieli uczyć czytać i pisać nauczyciele wykwalifikowani, zadawalnijący się taką płacą, na jaką gminy zdobyć się zdołają. Projekt ten nie podobał się już ministrowi oświecenia, a zarządowi Towarzystwa wydał się „dla rozwoju szkoły ludowej niewłaściwym.“ W memoriale swym zarząd „oświadczył się przeciw projektowanym szkołom posiłkowym i nauczycielom niewykwalifikowanym, wyrażając przedewszystkiem obawę, że proponowany w owym projekcie sposób pozyskania nauczycieli do czytania i pisania obalić może w ludności wiare, iż szkoła jest instytucją wychowawczą, a utworzyć w społeczeństwie balast z 2,500 ludzi, których potem usunąć nie tak łatwo będzie rzeczą, odstraszyć adeptów stanu nauczycielskiego i wyludnić seminaria nauczycielskie, obniżyć zatem obecny poziom inteligencji i moralności stanu nauczycielskiego.“ Żądania zaś swoje zarząd sformułował w taki sposób, „aby wysoki sejm, rozpatrując sprawę szkolną, raczył skutecznie sprawiedliwy rozkład kontrahowania funduszy szkolnych, zapewnić rok rocznie znaczniejszy fundusz na zakładanie szkół w tych gminach, które ich jeszcze nie mają, wyjednać u rządu

wystarczającą liczbę inspektorów krajowych i okręgowych, spowodować ścisłą kontrolę w administracyi funduszami szkolnemi okręgowemi, określić ściśle stanowisko swoje w obec władz wykonawczych celem uniknięcia różnic w zapatrywaniach, które niewątpliwie szkodzą dzisiaj sprawie rozwoju szkoły ludowej a nareszcie uspokoić zatrzwożone umysły nauczycieli i napełnić otuchą tych prawników, iż kraj, nie mogąc na razie poprawić ich doli, umie przynajmniej ocenić i uznać rzetelne zasługi, niesione dla dobra oświaty.“ Memoriał ten, wręczony wszystkim posłom sejmowym, sprawił to, iż wniosek wydziału krajowego poparcia u sejmu nie znalazł.

Ocaliwszy tym sposobem po dwakroć interesa stanu nauczycielskiego galicyjского, zarząd główny starał się załatwić jeszcze kilka kwestyi mniejszej już doniosłości. Tymczasem dotkliwa od lat kilku dla nauczycieli kwestya podwyższenia płac i pewnych zmian w ustawie na korzyść nauczycieli wywołała myśl zwołania osobnego wiecu, mającego rozstrząsać powyższe kwestye i obmyśleć środki, zmierzające ku poprawie niemiętego położenia. Nauczyciele trzech powiatów: kołomyjskiego, husiatyńskiego i śniatyńskiego wybrali komitet wiecowy, który ustanowił wnioski odpowiednie. Do zwołania wszelako wiecu nie przyszło, albowiem zarząd Towarzystwa pedagogicznego wziął się do sprawy i zobowiązał się wnioski komitetu przedstawić na najbliższym zjeździe, mianowicie na ośmnastém walnem zgromadzeniu Towarzystwa, na które w roku zeszłym Tarnów zaprosił pedagogów w gościnne mury swoje.

Już raz przed dwunastu laty Tarnów podejmował u siebie pedagogów i obecnie pragnął po raz wtóry dowieść, jak gorąco interesuje się sprawą oświaty krajowej. Wszelako rok bieżący przyniósł Tarnowowi ciężką klęskę powodzi i odzywały się głosy, ażeby zaniechać zjazdu, który w każdym razie miasto na pewne wydatki narazi, a nadto sądzono, że po klęsce nie zdoła ono przyjąć gości tak, jakby należało. Wszelako od pierwotnego zamiaru nie odstąpiono i utworzył się komitet, do którego weszli burmistrz miasta p. Witold Rogojski, jego pomocnik Maksymilian Grabowski, syn Ambrożego, dyrektor gimnazjum Bronisław Trzaskowski, inspektor szkolny p. Fr. Habura, profesorowie gimnazyalni, oraz inne osoby z inteligencyi miejscowej. Postarano się o bezpłatne pomieszczenie i stołowanie członków zjazdu, nadto zarząd główny Towarzystwa pedagogicznego wyjednał znizenie ceny biletów na drogach żelaznych. Ze wszech stron zgłaszali się uczestnicy zjazdu i poczet ich do dnia 11 lipca r. b. wzrósł do 382. Wysłano także zaproszenie do Towarzystwa centralnego jednot nauczycielskich w Czechach, które wyprawiło ze swego ramienia dwóch delegatów p. Jana Mrazika z Kladna i p. Jaua Kobra z Rudnicy.

Uczestnicy poczęli zjeżdżać się dnia 16 lipca z różnych stron do Tarnowa, gdzie oczekujący ich komitet wręczał każdemu z osobna bilet na bezpłatne mieszkanie, dwa obiady, śniadania, ucztę wspólną i kąpiel. W celu bliższego zaznajomienia się między sobą urządzono te-

goż samego dnia po południu wycieczkę do parku ks. Sanguszki w Gumniskach, gdzie administracya dóbr piwem i przekąskami podejmowała gości na koszt właściciela. Muzyka, przygrywająca wycieczce, uprzyjemniała pobyt w rozkoszonym parku, wkrótce téż zgromadzonych ogarnęło wesołe usposobienie, poczęły pękać lody towarzyskiej obojętności, jedni zbliżali się do drugich, zaznajomiono się wzajemnie, a szczególniejszą serdeczność okazywano delegatom czeskim. Powrót jednak nastąpił dość wczesnie, gdyż wieczorem miał odbyć się koncert w sali teatralnej. W koncercie tym brała udział muzyka wojskowa, przybyła z Krakowa, oraz amatorowie i amatorki z grona uczestników. Amatorka miejscowa, panna Kazimiera Nieduszyńska, zadziwiła obecnych pięknym głosem, materyałem na niepowszednią śpiewaczkę sceniczną, a panna Leontyna Szólcówna, nauczycielka ze Śniatynia, przedstawiła się jako śpiewaczka z dobrą metodą i niemałym wyrobieniem. Pięknie także grał na wiolonczeli p. Wollmann przy akompaniamencie p. Jana Czubskiego, znanego już chlubnie kompozytora i autora cenionego niemało „Śpiewnika szkolnego.“ W ogóle koncert wieczorny dał dobreś wiadectwo o rozwinięciu muzykalności w stanie nauczycielskim, który stanowi główny filar stowarzyszeń muzycznych i śpiewackich w Galicyi.

Nazajutrz, po nabożeństwie w starożytniej katedrze, uroczyscie otwarto posiedzenia zjazdowe. W obszerniej i wspaniałej sali kasyna miejskiego w gmachu kasy oszczędności zgromadziło się co najmniej 400 osób. Na estradzie, pokrytej zielonem sukniem, zasiadły oprócz prezesa i wiceprezesa Towarzystwa jeszcze znaczniejsze osoby z miasta Tarnowa. Posiedzenie zagał burmistrz p. Witold Rogojński i wyszedłszy z punktu, że kto ma szkołę, ten ma przyszłość, podniósł znaczenie rodziny i szkoły jako najważniejszych, a dopełniających się wzajem czynników wychowania. Wspomniawszy o zarzutach, robionych szkole i nauczycielom w Galicyi, dodał, że reprezentacya miasta Tarnowa, aby dać dowód, że podobnych zarzutów nie podziela, zaprosiła Towarzystwo pedagogiczne w swoje mury i nie mogąc w skutek tegorocznej kłeski przyjąć tak, jakby należało, ofiaruje im to, czém chata bogata...

Hrabia Potulicki, wicemarszałek powiatowy, w pięknej i krasomówczo wygłoszonej mowie, wspomniał, że hasłem samorządu galicyjskiego były drogi i szkoły, pierwsze kraj buduje, aby wyprowadzić społeczeństwo z niewoli ekonomicznej, drugie, aby wyzwolić je z niewoli duchowej. Mówca zbijał pesymizm względem rozwoju szkół galicyjskich, a podnosząc znaczenie zasad chrześcijańskich w wychowaniu i życiu, wyraził zdanie, że kosmopolityzm i bezwyznanowość przynoszą zgon każdemu, a zatem i naszemu społeczeństwu.

Mowa księdza prałata Gwiazdonia rozwijała zasługi Kościoła w sprawie cywilizacyi i wychowania. Dr. Ringelheim, adwokat, powitał przybyłych w imieniu izraelitów tarnowskich, którzy już zbiera-

ją plony ze zbawiennéj działalności Towarzystwa pedagogicznego, gdyż dzięki jemu, znikają coraz więcej chajdery, a szkoły publiczne napełniają się młodzieżą żydowską, uczącą się miłować kraj, który przyjął gościnnie żydów wtedy, gdy pozostała Europa wypędziała ich i paliła na stosie.

Dyrektor Bronisław Trzaskowski witał uczestników zjazdu w imieniu nauczycieli miejscowych i przypomniał zjazd, odbyty przed dwunastu laty w Tarnowie w chwili, gdy kraj cały skupiał się pod hasłem oświaty ludowej. Dziś w obec tego hasła powstały właśnie i niesnaski i Towarzystwo obsypywane jest niesłusznymi zarzutami. Nawołując do pracy pod hasłem „wiary i miary,“ wzywał na obecną pracę Towarzystwa błogostawieństwa hetmana, którego kości spoczywają w katedrze tarnowskiej.

Zygmunt Sawczyński, prezes Towarzystwa, maż wspaniałéj postawy i niepospolitéj elokwencyi, w dłużéj mowie, hojnie upstrzonej krasomówczemi kwiatami i wspomnieniami przeszłości, między innymi pięknie powiedział o cywilizacyjnój pracy przodków, którzy kładli swój dział na oltarz ludzkości pomimo ciągłych walk, ciągłej trwogi bojowéj, gdzie nie było *nec mora nec requies*, jak powiedział któryś szlachcic w „*Sylva rerum*“ XVII wieku. Mówca, wspominając o przeznaczeniu narodów w statyce dziejowéj, wzywał do ostrożności w ocenianiu wieków przeszłych i rzekł z energią: „Małoletni w sądeniu dziejów ten, kto potępia Kościół i wieki średnie w sprawie oświaty. Nauka, zrywająca z Kościołem, nie będzie żywić, ale truć i o śmierć przypawi.“ W końcu wzywał mówca do pracy *viribus unitis*, a zwróciwszy się do delegatów czeskich, powitał ich jako wystawców pobratymczego narodu, nadmieniając przytém, że, jeśli silnemi są węzły krwi, to węzły ducha są jeszcze silniejsze.

Na to wstąpił na estradę p. Jan Kobr z Rudnicy. Człowiek młody, wspaniałéj postawy, z twarzą inteligentną, już swoją powierzchownością miłe zrobił wrażenie, a mowa jego, wygłoszona po czesku organem silnym, dźwięcznym, wielce korzystne wyobrażenie dała o całym stanie nauczycieli ludowych w Czechach, w imieniu których przemawiał: Podziękowawszy za serdeczne przyjęcie w Tarnowie, mówca nadmienił o starém braterstwie Lecha i Czecha, a potém skreślił dobitnie ważność pracy nauczycieli ludowych w rodzinnym kraju, gdzie wrogi narodowi *Schulverei*u rozpina pajęczce sieci, aby dzieci czeskie odbierać narodowi czeskiemu. Pan Kobr dodał, że wzmagająca się wzajemność czesko-polska i sympatye narodu w ogólności, a nauczycieli w szczególności, pokrzepiają pracowników do dalszych trudów i walki.

Po mowie pana Kobra odczytano telegramy, nadeszłe głównie z Czech. W ogóle od Czechów nadeszło pięć telegramów, mianowicie od Jednoty nauczycielskiej „Komenský“ z Unhost-Kladna, od Towarzystwa „Budecz“ (po polsku), od redakcyi czasopism „Budeczská Zahrada“ i „Paedagogium“ i od Józefa Walca, prezesa jednoty peda-

gogenicznej w Pradze. Od Polaków otrzymano tylko dwa telegramy, od p. Anatola Lewickiego, niegdyś sekretarza Towarzystwa, a obecnie profesora historii w uniwersytecie Jagiellońskim i od redaktora „Kuryera lwowskiego,” p. Rewakowicza, który donosił o konfiskacie numeru „Kuryera” za artykuł p. t.: „Los nauczycieli ludowych.”

Po wybraniu sekretarza, członków komisji lustracyjnej, komisji wydawnictwa „Szkoły” oraz przyjęciu przez aklamacją drukowanego sprawozdania, wystąpił pan Jerzy Kawalec, nauczyciel z Kotołmy, jako referent komitetu wiecowego i odczytał ogólne motywy do wniosków, przez tenże komitet opracowanych. P. Kawalec, rusin z Galicyi wschodniej, czytał dobitnie, głosem dźwięcznym, a elaborat jego odznaczał się staranną polszczyzną. Po odczytaniu motywów ogólnych nastąpiła dyskusya, czy wnioski te przyjąć bez czytania, czy też poddać szczegółowym rozprawom. Za przyjęciem wniosków en bloc przemawiał p. Franciszek Stadnicki z Krakowca i większość oświadczyła się za jego zdaniem, ale wystąpił p. Bolesław Baranowski, redaktor „Szkoły” i energicznie ostrzegał przed zbyt pospiesznym rostrzygnięciem sprawy. Nastąpiła nader żywa dyskusya. P. Wasung z Białozy zażądał otwarcia dyskusji, po nim przemawiali różni członkowie jeden za drugim, płacząc kwestyą i gmatwając zamiast jęj wyjaśnienia. Dopiero p. Julian Maciałowski, dyrektor szkoły na Smoleńniu w Krakowie, nadmieniając, że kwestya podwyższenia płacy podnosi się wytrwale od r. 1875, oświadczył się za wyczerpaniem dyskusji i poleceniem wypracowania memoriału zarządowi głównemu. P. Maciałowski poparł z namiętnem uniesieniem p. Błachowski, dyrektor szkoły w Haliczu i postawił wniosek wybrania komisji, lub oddania całej sprawy zarządowi. Błachowskiemu zaoponował p. Jędrzej Biliński z Kałusza—mówił, że zarząd nie jest właściwie władzą i że komitet wiecowy nic nie zrobił sam z siebie. „Kto głodny—powiadał mówca—ten nieraz tak nieprzyjemnie zapłacze, iż muzykalne ucho tego nie zniesie.” Radził naśladować dziecko, które mówi poprostu „mamo, daj mi kawałek chleba z masłem,” a już rzecz mamy, jak wielki ma być ten kawałek i jak grubo masła nań nałożyć. Proponuje więc wybór deputacyi, któraby przełożyła sejmowi potrzeby stanu nauczycielskiego bez ścisłego określania sposobu, w jaki potrzeby te załatwione być mają.

Wszystkie te mowy przypieczętował dr. Karol Benoni przemówieniem, w którym oświadczył, że jest za stanowczem załatwieniem kwestyi w obecnym czasie. Wspominając skąpstwo obecnego sejmu w kwestyi szkół, porównał to usposobienie z nastrojem pierwszych sejmów, z zapalem sprawy szkolne popierających. Dr. Benoni wzywał obecnych do poważnego traktowania kwestyi, aby krzyki i nieporządki nie były czasem wodą na młyn skąpych i nieprzychylnych. Na tém skończyły się obrady dnia pierwszego.

Po południu nastąpiło odświeżenie pomnika Kazimierza Brodzińskiego. Twórca „Wiesława” za dni pacholęcych był uczniem gimna-

zym tarnowskiego, ztąd téż p. Bronisław Trzaskowski dał inicjatywę postawienia pomnika przed gmachem gimnazjalnym i począł zbierać składki. Pieniądze dawała młodzież szkolna, obywatele tarnowscy, płynęły one z koncertów i przedstawień amatorskich, do kosztów przyłożyła się w znacznej części rodzina wieszczka oraz gorący jego wielbiciel, Bohdan Zaleski. Wykonanie biustu powierzono rzeźbiarzowi Gadomskiemu, który już niejeden pomnik tego rodzaju był wykonął. Popiersie to stanęło na podstawie z piaskowca, wysokości na cztery metry — znajduje się ono na wirydarzu przed gmachem gimnazjalnym po lewej stronie, po prawej ma stanąć z czasem pomnik drugiego ucznia szkół tarnowskich, Józefa Szujskiego.

Uroczystość odsłonięcia rozpoczęła się po południu około godziny czwartej. Oprócz wspomnianych już dostojników miejscowych znaleźli się jeszcze dr. Józef Majer, prezes akademii i p. Rucz, właściciel ziemski dóbr Faszczyce w Powiecie Błońskim, gubernii Warszawskiej, mąż ukochanej córki Brodzińskiego, Karoliny. Na trybunie mówniczej stanął p. Zygmunt Sawczyński i w mowie nieco przydługiej i improwizowanej, jak się zdaje, opowiedział żywot Kazimierza z Królówki, jego znaczenie w literaturze i w końcu złożył podziękę wszystkim, którzy przyczynili się do wzniesienia pomnika. Po ceremonii kościelnej, odprawionej przez ks. prałata Gwiazdonia, spuszczone zasłony, zakrywające pomnik, poczem odśpiewano kantatę ułożoną przez p. inspektora Fr. Haburę. Zabawa muzyczna w ogrodzie miejskim zakończyła pierwszy dzień zjazdu.

Drugi dzień, 18 lipca, zapowiadał się nader zajmująco. Przystąpiono do szczegółowych rozpraw nad wnioskami komitetu. Referent p. Kawalec zasiadł przy stoliku z elaboratem swoim, ale zanim rozpoczął czytanie, toczyły się przedwstępne potyczki; mówcy jedni przycinali drugim, aż wreszcie prezes poddał pod głosowanie wniosek p. Maciakowskiego, ażeby sprawę przekazać zarządowi głównemu. Gdy wniosek upadł, prezes poddał pod głosowanie drugi wniosek p. Starzeckiego, młodego nauczyciela ze Lwowa, proponujący wybranie komisji. I ten wniosek nie zyskał potwierdzenia większości. Milczące zachowanie się kobiet zwróciło powszechną uwagę. „Czy panie wstrzymują się od głosowania?“ zapytał zdziwiony prezes.

— „Nie, my głosujemy przeciwko wnioskowi“ — odparły jednogłośnie. Były one przygotowane do zaciętej walki i nie dziw, między wnioskami znajdowały się dwa projekciki, interesów płci słabiej bezpośrednio dotykające. „A więc sprawa ma być załatwioną na samym zjeździe,“ rzekł z determinacją przewodniczący.

W obec takiego objawu woli obecnych p. Jerzy Kawalec począł odczytywać wnioski komitetu i motywy tychże. Pierwszy wniosek tyczył się obowiązku rad szkolnych okręgowych donoszenia radzie szkolnej krajowej o każdej opróżnionej posiadzie. P. Antoni Żurkowski, kierownik „Bursy Kraszewskiego“ ze Stanisławowa, stawia wniosek zamknięcia dyskusji i poddania wniosku komitetowego pod głosowanie, które téż wniosek zatwierdza. Majer Schlesinger,

nauczyciel z Krakowa, dopomina się głosu, ale mu go odmawiają, bo „czas drogi.“ Od czytania trzech następnych wniosków, dotyczących się zasad mianowania kompetentów, a żądających dania pierwszeństwa istotnej zastudze, zgromadzeni referenta uwalniają.

Następuje czytanie wniosku zmieniającego artykuł 9 „ustawy z 2 maja 1873 r. o stosunkach prawnych stanu nauczycielskiego w publicznych szkołach ludowych.“ Kobiety, zajmujące trzy pierwsze rzędy krzeseł, gotują się do walki, dwie nieco podstarzałe nauczycielki minami swemi dają poznać, że biorą na siebie rolę przywódczyń. Sam referent czuje widocznie niesadność swego położenia, gdyż poczyna czytać głosem niepewnym następujący wniosek: „Artykuł dziewiąty (zmiana tegoż). Powyższe zasady mianowania nauczycieli tyczą się także nauczycielek, które jednak przy szkołach męzkich pod żadnym warunkiem, w szkołach zaś mieszanych samoistnej posady zajmować nie mogą, a kierownictwo w szkołach żeńskich, począwszy od pięcioklasowych, ma być poruczone li tylko nauczycielom (nie nauczycielkom).“ W związku z tym twarzym dla płci słabej postulatem zostawał drugi wniosek, przeznaczający nauczycielkom tylko 75% płacy nauczyciela. Co kierowało wnioskodawcami, że stanęli w tak szorstkiem przeciwieństwie z obecnymi dążeniami do równouprawnienia obu płci, że nie wahali się żądać pokrzywdzenia koleżanek swoich, trudno odgadnąć. Niewątpliwie pozostawali oni pod wpływem tego strachu, który w nauczycielach budzi konkurencja ze strony nauczycielek w Galicyi. Seminarya żeńskie wypuszczają znaczny kontyngens kandydatek pilnych, pracowitych, ożywionych najlepszymi chęciami, a delikatna natura niewieścia broni nauczycielkę od niekorzystnych wpływów otoczenia, co ze strony samego ludu spotyka należne uznanie. Niejednokrotnie nauczyciel, pociągnięty przyrodzoną potrzebą towarzystwa ludzkiego, dotrzymuje włościansom kompanijki przy kieliszku, wtrąca się w ich drobiazgowę sprawę powszednie, przez co naraża na uszczerbek urok, otaczający stau jego w oczach wieśniaka. Kobieta z bardziej wykształconej sfery nie znajduje przyjemności w poufalszych stosunkach z włościankami, a jeżeli zbliża się do nich, to raczej pociąga je ku sobie wpływem swoim, a nie zniża się do ich prostaczych upodobań i nałogów. Ztąd lud nieraz przekłada nad nauczycieli nauczycielki i te ostatnie zagrażają niebezpieczną konkurencją kolegom swoim.

Objawy oburzenia ze strony kobiet towarzyszyły odczytywaniu wniosku i jego motywów. Chwilami przy pojedynczych ustępach garska mężczyznu zdobywała się na oklaski, na co kobiety odpowiadały sykaniem i energicznem tupaniem nogami. Gdy referent ukończył czytanie motywów, wystąpiła pani Ścisławska, nauczycielka z Tarnowa, z mową nader starannie przygotowaną. Pani Ścisławska rozpoczęła obronę nauczycielek od wykazania, jak wiele dróg do pracy na utrzymanie mają mężczyźni, gdy tymczasem kobiety, zniewolone pracować na kawałek chleba poza domem, muszą poprzestać prawie wy-

łącznie na pracy nauczycielskiej, gdyż wyjątkowych zajęć na pocztach i telegrafach w rachubę brać nie można. Sama przyroda stworzyła kobietę na nauczycielkę, kobiety są matkami, pierwszymi nauczycielkami swojej dziatwy i źle nawet jest mężczyźnie, jeśli się pod wpływem matki nie wychował. Mylném jest przekonanie, jakoby niewiasta nie umiała zdobyć należytej przewagi nad umysłami chłopców, owszem chłopcy szanują kobiety. W Ameryce kobiety dopuszczane bywają do stanu nauczycielskiego nawet w szkołach wyższych, a co jest w Ameryce i u nas być może. (Oho!). Kobiety wszelako u nas nie myślą wdziierać się w prawa mężczyzn, poprzestają na tém tylko, co im wydziela ustawa, która daje im nauczanie i kierownictwo w szkołach żeńskich, w szkołach męzkich umieszczane bywają tylko w braku ukwalifikowanych nauczycieli. A czyż takie kobiety nie są właściwsze na nauczycielki, aniżeli mężczyźni bez kwalifikacyi, mężczyźni, co niejednego próbowali w życiu, z niejednego pieca chleb jedli.

Na ten argument odzywają się w sali szalone oklaski, ale p. Żurakowski ze Stanisławowa zabiera głos z uniesieniem i zwraca się do przewodniczącego, aby nie dozwalał wszczynać podobnych kwestyi i robić osobistych przycinków. „Niema tu żadnych przycinków, pani Ścisławska mówi tylko w ogólności,“ odpowiada p. Sawczyński.

P. Ścisławska dalej swoje rzecz prowadzi. W imieniu kobiet rzekła się kierownictwa szkół pięcioklasowych męzkich, ale stanowczo żąda dla nich kierownictwa szkół żeńskich. Coby sami mężczyźni powiedzieli, gdyby mężczyzna otworzył... pensjonat żeński. Mężczyźni sami uznają nieudolność swoją w kierowaniu niewiastami. Wdowiec, mający córki, żeni się poraz drugi, ażeby dzieciom swoim dać... matkę. Pani Ścisławska żąda opuszczenia wniosku. „Wstydzicie się, panowie—powiada energicznie—sami sobie uchybiacie. Wracają się czasy mocniejszego. Zaiste wniosek nas krzywdzący, nie powstał w szlachetném i chrześcijańskiem sercu!“

Rzęsiste oklaski popierały energiczną płci słabiej rzeczniczkę, ale przypadek-figlarz zgotował jej intermezzo, grożące zniweczeniem pożądanego efektu. Na bruku ulicy zaturkotały sikawki, a kłęby dymu oznajmiły o pożarze w pobliżu. W sali powstał zamęt, mężczyźni cisnęli się do okien, wielu z nich wychodziło z sali, tak iż ta wkrótce w znacznej części opróżnioną została, pomimo że przewodniczący wzywał obecnych do pozostania. Kobiety wszelako nie ruszyły się z miejsca, owszem szydziły ze swych przeciwników, że na wieść o niebezpieczeństwie, sromotnie w ucieczce szukali ocalenia. Wszelako nie obawa wyciągnęła mężczyzn z sali, ale raczej zwykła w takich razach ciekawość lub chęć pomagania w gaszeniu. Pożar istotnie był niedaleko, ogień strawił w sąsiedniej uliczce magazyn zbożowy i dwa domy.

Po godzinie nieobecni powrócili do sali i pani Ścisławska dokończyła swęj mowy. W ostatniej części broni zasady, że kobiety mogą zajmować samoistne posady i stawia wniosek przejścia do porządku

dziennego, grożąc zarazem, że w razie uchwalenia wniosku, wszystkie nauczycielki protest podadzą. Rzeczniczka praw niewieścich ustąpiła z pola wśród oklasków kobiet i niemałej garstki męzkiego rodzaju.

Przy stole sprawozdawców powstaje p. Starzecki, jako gorący poplecznik sprawy kobiécj. Zapytuje on referenta, czy w komitecie wiecowym były nauczycielki.

— Nie — odpowiada p. Kawalec — uchyliły się same.

Pan Starzecki z zapałem dowodzi, że energia męzka nie jest dostatecznym czynnikiem w sprawie wychowania (oklaski). Kobiety w szlachetności mogą być nauczycielkami dla mężczyzn (oklaski i mruczenie niezadowolonia). Kobiety dłużej od mężczyzn bawią w seminarium, praca przed egzaminem maturitatis wiecej je wyczerpuje. Dwie panie zasiadają w komisji egzaminacyjnej. Wpływ kobiety na wsi jest daleko większy aniżeli wpływ mężczyzny (oklaski i mruczenie coraz głośniejsze; dzwonek przewodniczącego ciszę przywraca). Nauczycielki poprzestają na skromniejszych posadach i płacach, nie są tyle wymagającami. Zdrowy zmysł nie pozwala, aby kobiety nie miały być kierowniczkami w szkołach żeńskich. Mówca uzasadnia tę tezę, ale na nieszczęście posługuje się dość słabymi dowodami. W końcu powiada, że stanowisko nauczycieli będzie przykrém, jeżeli kobiety-nauczycielki staną się ich wrogami, wzywa więc do solidarności całego zastępu stanu nauczycielskiego bez różnicy płci i stawia wniosek przejścia do porządku dziennego.

Do głosu zapisano się kilkunastu mówców, ale p. Pająk, dyrektor szkoły przemysłowej w Krakowie, wnosi, aby dla oszczędzenia czasu, rzecznicy stron obu wybrali sobie generalnych mówców. Wybór pada na pp. Stanisława Tokarskiego, nauczyciela ze Stanisławowa, oraz na d-ra Karola Benoniego. P. Tokarski występuje jako rzecznik wniosku. Oświadcza, że lubo może się to wydawać nielogiczném, ma zamiar stanąć w obronie nauczycielek. — Dziękujemy za taką obronę, odpowiadają kobiety. Pan Tokarski utrzymuje, że należy oszczędzać niewiasty, aby zajmując samoistne posady na wsi, nie stawały się jako niedźwiedz samotnik. nie zdziaczały, jak się to dzieje nieraz z nauczycielami. Czynność nauczyciela nie kończy się na szkole, ma on być jeszcze dla wieśniaków wzorem pod względem pracy ekonomicznej. Kobiety nie są w stanie zajmować się rolnictwem, pszczelnictwem i t. d. Kobięta nie zdoła poprowadzić klasy z 80 chłopcami (niektóre nauczycielki protestują półgłosem, przytaczając, że one same mają w jednej klasie po 100 chłopców z górą). Mówca powiada, że w rodzinie pierwsze kroki chłopca prowadzi matka, ale dalsze już do ojca należą (kobiety oburzają się). Mężczyźni mają na głowie nie tylko siebie samych, ale jeszcze żony i dzieci; nadmierne zaś rozwinięcie kobiet pociąga za sobą uszczuplenie mężczyzn. Mówca powtarza, że przemawia w obronie samychże kobiet, na co te objawiają nader żywą protestacją. Dociąwszy w końcu panu Starzeckiemu, że mu głównie szło o pozyskanie sobie dobrej opinii u płci pięknej, p. Tokarski za-

myka mowę swą oświadczeniem, że w skutek porozumienia się z komitetem wiecowym odstępuje od drugiej połowy wniosku, odsuwając kobiety od kierownictwa szkół żeńskich, począwszy od pięcioklasowych.

Mówca generalny strony przeciwnej, dr. Karol Benoni, wystąpił na trybunę powitany oznakami zadowolenia i sympatii. Mowę swą podzielił na dwie części, ogólną i szczegółową. W pierwszej części uspakaja przedewszystkiem kobiety, że pokrzywdzone nie zostaną i do protestu nie przyjdzie, wnioski bowiem tyle dla nich niekorzystne, sankcyi opinii ogółu nie pozyskają. Dla niego samego wnioski te są wstrętne. Ci, co radzili nad poprawą swęj doli, źle zrobili, że chcieli dopiąć tego z uszczerbkiem dla nauczycielek. Straszny jest obraz głodu, ale straszniejszym jeszcze, gdy jeden głodny innemu chleb wydziera. Mówca nie jest zwolennikiem bezwzględnej emancypacyi i stosunków amerykańskich, nie chciałby bynajmniej widzieć kobiety na wszystkich stanowiskach, zajmowanych przez mężczyznę, choćby np. na krześle sędziowskiem. Najwłaściwsze stanowisko dla kobiety jest w rodzinie, a wino to nieraz mężczyzn, że niekażda kobieta może sobie stworzyć ognisko domowe (wesolość i oklaski). Mężczyźni wszędzie znajdują zatrudnienie i kawałek chleba, dla kobiet jedynym zajęciem publicznem jest stanowisko nauczycielki, której obowiązki zazwyczaj godnie spełniają. Najwłaściwszem dla kobiety jest zajęcie w szkole żeńskiej, w męzkich szkołach znajdują się one tylko wyjątkowo, co przynosić mężczyznom szkody nie może, gdy przepełnienia na tém polu dotąd niema jeszcze, a każdy wykwalifikowany nauczyciel z łatwością otrzyma posadę. W części szczegółowej dr. Benoni zbija wymaganie Tokarzewskiego, aby nauczyciel był wszystkim dla gminy, gospodarzem, pszczolnikiem, weterynarzem, lekarzem i t. d. Zresztą, jeżeli już o to idzie, dla czegożby kobieta nie mogła zajmować się ogrodnictwem i pszczolnictwem, a przytém pewne gałęzie gospodarstwa mogą być lepiej przez kobiety pielęgnowane. One mogą być wzorem dla kobiet wiejskich w utrzymywaniu domu w należytem porządku. Na jednym ze zjazdów pan prezes przytoczył następujące zdarzenie: „Przyszli do mnie chłopcy ruscy i mówili: dajcie nam panuncję, a nie profesora, bo jak jest panuncia, to zaraz kobiety we wsi są inne, porządniejsze, jakoś czyścić w domu i około dzieci.“ Drugi raz przeciwnie chłopcy przyszli do inspektora okręgowego i mówili: „Weźcie sobie nauczycielkę, a dajcie nam nauczyciela, bo dzieci robią, co im się podoba, a ona tylko ciągle płacze. Nawet człowiek z nią pomówić o niczym nie może, bo ona tylko płakać umie.“ Dowodzi to, że są to wszystko rzeczy indywidualne, że w jednym miejscu stosowniejszym jest nauczyciel, w drugim nauczycielka. W wielu wypadkach tyle sławiona energia mężka nie przynosi należytego rezultatu, natomiast nauczycielki umieją dać sobie radę nawet ze znaczną ilością dzieci. W końcu mówca zwracał uwagę mężczyznom, aby poprawy swego nie pragnęli z uszczerbkiem dla kobiet, bo wniosek ten

niefortunny z oburzeniem byłby przez opinią, dziennikarstwo i sejm odrzucony, wzywa więc reprezentantów komitetu wiecowego, aby wnioski ów sami cofnęli.

Oklaski i podziękowania pań były nagrodą wymownego płci pięknej rzecznika, usposobienie przychylne dla nauczycielek zapanowało w sali i pod wpływem tegoż referent p. Kawalec, po krótkiej obronie komitetu wiecowego ze stanowiska praktycznych względów, w imieniu tegoż odstąpił od wniosków, krzywdzących kobiety, aby nie być nazywanym... kobiecozercą. Zwracając się do sprawozdawców, prosił o wyłączenie owego nieszczęsnego artykułu 9, tytułu I, a zarazem artykułu 22, tytułu II, ograniczającego nauczycielki pod względem płacy.

Wszelako niewszyscy członkowie komitetu podzielali to ustępcze usposobienie p. Kawalca. Pan Żurakowski ze Stanisławowa prosił prezesa o zawieszenie obrad na kilka minut i w imieniu komitetu powołał p. Kawalca na bok dla porozumienia się. Tam otoczono nieszczęśliwego referenta w około i robiono mu gorzkie wymówki za samowolne odstąpienie od wniosku, zarzucano mu perfidyą, uleganie obcym wpływom. Pan Kawalec bronił się niby jeleń, obskoczony przez sforę ogarów, powoływał się na głos opinii publicznej, na groźącą chłostę ze strony prasy, przytaczał i tę okoliczność, że sami nauczyciele mają córki, które też gotują się do stanu nauczycielskiego. Wróciwszy do sali, z goryczą załżył się publicznie na czynione mu zarzuty i odpierał je z energią przekonania o ich niestusznosci. Wtedy to p. Żurakowski w imieniu kolegów komitetowych wraca raz jeszcze do artykułu 9. Połowę artykułu, głoszącą, że nauczycielki „przy szkołach męzkich pod żadnym warunkiem, w szkołach zaś mieszanych samoistnej posady zajmować nie mogą,” stawia jako swój własny wniosek i żąda głosowania pomimo odstąpienia referenta. Głosowanie słabą większością przechyla szalę na korzyść wniosku. Przewodniczący własnym oczom nie dowierza, robi więc kontrapróbkę i ta również za wnioskiem przemawia. Zdziwienie ogólne panuje w sali, kobiety uśmiechają się ironicznie i zapewnniają, że nawet ten cząstkowy tryumf przeciwników do niczego nie doprowadzi.

Referent, p. Kawalec, przystępuje do tytułu II. artykułu 11, który ma być zmieniony na korzyść podwyższenia płac nauczycielskich. Wniosek komitetu proponuje płace w szkołach pospolitych według czterech klas po 800 ztr., 650, 500 i 400, w szkołach zaś wydziałowych według trzech klas po 1,000, 800 i 700 ztr. Klasy te zależne są od urzędowego znaczenia danej miejscowości. W motywach do tego wniosku p. Kawalec zbija uprzedzenie, jakoby Galicya była krajem ubogim.

Dwunastu członków zjazdu zapisuje się do głosu, ale prezes mityguje ich, aby w obec jasności samej kwestyi czasu darmo nie psowali. Dopuściwszy kilka głosów w sprawie formalnej, pozwala zabrać głos prof. Zimmermanowi ze Lwowa, który proponuje dla szkół pospolitych jeszcze wyższe płace, mianowicie 900, 700, 600 i 450 ztr. Pre-

zes poddaje pod głosowanie wnioski komitetu i prof. Zimmermanna, robiąc przytém złośliwą uwagę, że zapewne ten ostatni więcej do smaku nauczycielom przypadnie. I rzeczywiście zostaje on jednogłośnie przyjętym. Świetny rezultat głosowania, pytanie tylko, czy sejm się na niego zgodzi, ale, powiadają sobie obecni między sobą, kto więcej żąda, temu więcej bywa daném.

Na tém kończą się obrady dnia drugiego. Po południu wypada wycieczka do Okocima, gdzie bogaty piwowar, p. Götz-Okocimski, podejmuje liczne grono członków zjazdu. Goście podziwiają ogromny browar, pałac właściciela, piękny park, ogród wykwintny, wszystko owoc szczęśliwych spekulacji piwnych, owoc, zdobyty przez człowieka, który przybył do kraju z dziesięciu palcami. Muzyka gra, nektar gambrynusowy płynie potokami, szkoda tylko, że zabawa przeciągnęła się po za północ, zmieniawszy się w ogólne nudne ziewanie.

Przeciągnięcie zabawy w Okocimie miało i ten skutek, że, lubo początek obrad dnia trzeciego naznaczono na godzinę 7 rano, ledwie o 8½ doń przystąpić zdołano. Referent, p. Kawalec, odczytuje resztę wniosków komitetowych, ważnych dla Galicyi, których jednak po szczególe przytaczać nie będziemy, gdyż należyte ich zrozumienie wymagałoby szczegółowej znajomości organizacji szkoły galicyjskiej. Pięknym epizodem było zjawienie się w sali d-ra Józefa Majera, prezesa Akademii. Mąż ten, zasłużony krajowi i nauce, przyjęty ze czcią należną, przyrzekł, że w sejmie wszelkie życzenia Towarzystwa pedagogicznego szczerze popierać będzie. Gdy p. Kawalec po skończeniu swego referatu schodził z trybuny, zabrzmiały zewsząd so-wite oklaski. P. Ferdynand Badańczyk, kierownik szkoły w Półwsiu Zwierzynieckim, proponuje, aby podziękować panu referentowi za jego trudy.

— Jużeście mu panowie podziękowali — powiada dyr. Sawczyński, robiąc niemą aluzją do wczorajszej sceny na ustępie.

— Czém? — pyta zdumiony wnioskodawca.

— Oklaskami — odpowiada ironicznie zagabnięty prezes.

Resztę wniosków, mianowicie tytuł III „o karach dyscyplinarnych i wydaleniu ze służby“ i tytuł IV „o przenoszeniu nauczycieli w stan spoczynku, o wyznaczeniu im pensyi wysłużonych i zaopatrzeniu wdów i sierot po nauczycielach,“ odczytuje i uzasadnia p. Grzegorz Blij z Kosowa. Wybory, zarządzane potem, wypadają całkowiecie w myśl zarządu głównego.

Po ukończeniu wyborów występują różni członkowie z rozmaitemi wnioskami samodzielnymi, z tych niezłą ilość podaje p. Ferdynand Badańczyk z Półwsia Zwierzynieckiego. Pan Maciałowski z Krakowa proponuje urządzenie burs dla dzieci nauczycielskich; wniosek przyjęto i nadto uchwalono, aby imieniem walnego zgromadzenia wnieść petycją do sejmu o wyznaczenie stałej na ten cel subwencji.

Najciekawszą czynnością dnia trzeciego była dyskusya, w jaki sposób wnioski komitetu wiecowego, poprawione i zatwierdzone obec-

nie przez zgromadzenie, przedstawić sejmowi. Prezes Sawczyński przemówił do obecnych i prosił o zaufanie dla zarządu głównego. P. Kazienko z Brzeżan żądał deputacyi do sejmu, złożonej z czterech członków. Na to odpowiada dyr. Sawczyński, że sejm nie ma prawa przyjmować deputacyi, wolno jednak wnosić petycje za pośrednictwem posła. P. Żurakowski żąda deputacyi, złożonej z prezesa, wiceprezesa i pięciu członków. Co ona ma robić? — zapytuje dyr. Sawczyński. P. Badańczyk proponuje, aby zarząd główny podał do sejmu wydrukowany memoriał, a zarządy okręgowe mają prosić odpowiednich posłów o poparcie. Prezes oburza się, że wnioskodawcy dodają zarządowi kontrolerów i żąda zaufania dla zarządu, który zrobi z wnioskiem wszystko, co należy. Wskutek tego przemówienia p. Kazienko odstępuje od wniosku, a p. Maciałowski popiera prezesa. Głosowanie oddaje sprawę całą zarządowi głównemu, z dodatkiem p. Badańczyka co do podania memoriału do sejmu i szukania poparcia u pojedynczych posłów.

Pomiędzy wnioskami samodzielnymi miał być podany wniosek, aby wywdzięczając się Czechom za przystanie na zjazd delegatów swoich, wyprawić od Towarzystwa dwóch członków na tegoroczny zjazd nauczycieli czeskich w Taborze. W tym duchu podano notatkę, podpisaną przez dwudziestu członków, ale ponieważ myśl ta podobno komuś z członków zarządu głównego nie przypadła do smaku, przeto notatka utonęła pomiędzy szpargalami na stoliku i na jaw nie wynurzyła się wcale.

Wskutek braku czasu pospadały z porządku dziennego zapowiedziane w programie referaty. Jednakże dr. Józef Żuliński, gorliwy referent na wszystkich zjazdach, potrafił uchwycić przyjazną chwilę i nibyto w skróceniu wypowiedział przygotowany przez się referat, pobudzający nauczycieli do brania udziału w kółkach rolniczych, a nadto polecił uwadze ich „Bibliotekę matematyczno-fizyczną,“ wydaną nakładem kasy Mianowskiego w Warszawie oraz „Gramatykę czeską“ prof. Szasteckiego. Na zakończenie posiedzenia prezes Sawczyński zapowiedział, że przyszły zjazd odbędzie się w Przemyśle, a w mowie, zamykającej posiedzenia zjazdowe, rozwoził się nad zaletami ludu polskiego i ruskiego w Galicyi.

Po południu sala obrad zamieniła się w salę biesiadniczą i członkowie zjazdu zasiedli do wspólnej uczy, wyprawionj kosztm miasta Tarnowa. Przy głównym stole zasiedli dostojnicy miejscy i powiatowi oraz przedniejsi z uczestników zjazdu. Muzyka wojskowa przegrzywała z galeryi. Wznoszono toasty i wygłaszano odpowiednie mowy. Dyr. Trzaskowski wniósł toast na cześć cesarza, burmistrz i Rogojski na cześć towarzystwa pedagogicznego, dyr. Sawczyński kwicistm przemówieniem pozdrowił miasto i członków komitetu miejscowego. Dr. Józef Żuliński wygłosił mówkę na cześć duchowieństwa, hr. Męciński w pięknej przemowie pozdrowił delegatów czeskich i złożył hołd zasługom i zaletom narodu czeskiego. Na to odpow

dział p. Mrazik z Kladna mową nader piękną i świetnie opracowaną, w której, dziękując za zaszczytne przyjęcie, wyraził radość swą na widok rezultatów na polu oświaty u bratniego plemienia. Życząc polakom jak najlepszego powodzenia, prosił ich o miłość dla narodu swego i zapewnił, że podobieństwo dążeń i pragnień silniej jeszcze niż węzeł pokrewieństwa łączy oba narody. Mowa p. Mrazika gorąca, serdeczna, zrobiła jak najlepsze wrażenie, a ponieważ jako morawianin ze wschodniej części kraju wymawia literę ł podobnie, jak się ta u nas wymawia, łatwiej było zrozumieć słowa jego aniżeli innych Czechów.

Daléj p. Trzaskowski wniósł toast na cześć rusinów i zaznaczył, że rusini od lat wielu są członkami Towarzystwa pedagogicznego, a jednak dotąd nie było najmniejszej oznaki waśni narodowej w łonie Towarzystwa. P. Maciałowski prawił o „kółkach rolniczych“ w Poznaniańskim i o rezultatach, jakie tamecznemu ludowi przyniosły. Pan Jerzy Kawalec w mowie po rusku wygłoszonej wniósł toast zgody polaków i rusinów, opartej na wspólnej pracy nad oświatą. Rusini obecni zaśpiewali potém piękną pieśń „Mir wam, bratia, nesemo.“ W końcu w mowie na temat „kochajmy się“ p. Bolesław Baranowski humorystycznemi swemi uwagami wprawił obecnych w nader wesołe usposobienie.

Uczestnicy zjazdu rozjechali się wkrótce każdy w swoją stronę, tylko wielu rusinów, niezających Krakowa, udało się do podwawelskiego grodu, a pięćdziesiąt pięć osób pod wodzą p. Romana Vimpelera, profesora gimnazjum tarnowskiego, puściło się na dwudniową wycieczkę do Żegestowa i Krynicy.

Pedagog.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Życie koczownicze w Anglii w XIV-ym wieku p. Jusserand. — Podręcznik archeologiczny: „Życie starożytnych greków i rzymian,“ dzieło erudytów niemieckich Guhla i Konera, przekład na francuzki język pana Trawińskiego. — Nowy zyciorys Dawida Liwingstona, według własnoręcznych notat i listów. — Mowa profesora Joliffier w Sorbonie. — Odezwa akademika Legouvé w sprawie wychowania kobiet. — Zadania konkursowe. — Konferencya o Egipcie Gustawa Olendorfa. — Rozprawa Gounoda o sztuce. — Odkrycie pomnika Georges Sand w La Chastre. — Tom szósty listów téjże autorki. — Pomnik Klaudyusza Jouffroy w Besençon. — Rozmaitości.

Ukazało się w tych czasach nie obszerne, ale bardzo ważne dzieło p. t. „Życie koczownicze w Anglii w XIV-ym wieku“ (la vie nomade en Angleterre). Autor jego p. Jusserand oddaje się wyłącznie badaniom społeczeństwa angielskiego, tak pod względem historycznym jak literackim; za przedmiot tych badań obrał szczególniej wieki średnie. Przed laty kilku zwróciło już na siebie uwagę jego dzieło o „Teatrze w Anglii, od czasu podboju normandów do poprzedników Szekspira,“ wydane niedawno poraż drugi.

Jakkolwiek nowe dzieło autora nosi tytuł „Nomades,“ a więc zdaje się mieć na widoku, jeżeli nie cyganów, to jakąś gałąź tatarów, u których formuła „własność kradzieżą“ jest prawem moralnym, autor przecież mówi wyłącznie o narodzie angielskim, wcale nie koczowniczym, który zachował najwybitniej charakter aryjskiej cywilizacji, to jest ustroj indywidualizmu, zupełnie przeciwny od ustroju komunistycznego ludów cywilizacji pasterskiej. Charakter społeczeństwa angielskiego, tak wybornie określony jest w pracy pana Jusserand, że dzieło jego o życiu koczowniczym w Anglii, może służyć za wzór dla historyi społecznej organizacji wszystkich ludów aryjskich, w ich

najdalszych granicach ku Wschodowi, aż do Wisły i Dniepru. Z tego powodu praca ta zasługuje na pilną uwagę badaczy, śledzących rozwój społeczeństw europejskich; tém ważniejszą ona w kraju naszym, że nie mieliśmy dosyć uczonych specjalistów, którzyby wzięli sobie za cel wyjaśniać pytania, co do ustroju społeczeństwa naszego, pod względem ogólnie europejskim, w stosunku do ludów cywilizacji pastersko-komunistycznej. A przecież pod nawałem tych ludów narodowość polska wyrabiała się i wzmacniała, jak to wykazał Mickiewicz z katedry kolegium francuzkiego.

Ogólnie mówiąc, historycy nasi patrzą na Polskę, jakoby na społeczeństwo obce zachodowi Europy, które zaledwie przypadkowo od czasu do czasu zostawało pod wpływem obcego im, zachodniego żywiołu. W tej niepodległości od Zachodu widzą oni chwałę narodową! Nienawiść ku Niemcom wywołała tak mylne sądy. Przyszło w końcu do tego, że niektórzy uczeni nasi uznali za prawdę systemat polityków niemieckich, jakoby Wisła miała stanowić kres graniczny między wschodnią a zachodnią Europą, i przyjęli nazwę równiny sarmackich od Wisły aż po Ural. A czemuż, pytamy, nie rozciągają owych równin sarmackich, od Odry nawet do niższej Elby, bo wszak i tu widzimy także same płaszczyny jak nad Wisłą?

Przeciwko tym naciąganyim teoryom polityków niemieckich, wola nie ten lub ów uczone, ale cały geograficzny ustrój Europy, który pędzi Dniepr z jego przytokami, zarówno jak Wisłę i Dźwinę, jak Odrę i Elbę w kierunku północnym, a pokazuje Wołgę u źródeł swych tak blizką Dźwinie i Dniepru, wyrwywającą się przecież z tej harmonii hydrograficznej. Stusnie zatem niektórzy naznaczają kotlinę Dniepru, jako naturalną granicę Europy zachodniej czyli atlantyckiej. Teoryą tę wprowadził, jak wiadomo, minister Duruy do wykładu w francuzkich szkołach średnich.

Owa to jedność Europy atlantyckiej okazuje się z równą siłą w głównych punktach rozwoju cywilizacji. Ztąd więc rozwiązanie każdego pytania z dziedziny ekonomii, polityki i ustroju społecznego w krajach zwanych germańskimi i łacińskimi, dotyka zarazem tychże pytań nad Wisłą i nad Dnieprem. Dzieje Polski bowiem są tylko częścią historyi ludów europejskich.

Książka pana Jusserand określa wybornie stan społeczeństwa angielskiego w XIV-ym wieku, w tej epoce przewrotu, kiedy lud włościański począł wyłamywać się z poddaństwa i silny jednością zdobywał pomału niepodległość. Autor wprowadza w ruch rozmaite warstwy narodu, przesuwając przed oczyma naszymi różnobarwne tłumy, pędzone naprzód nie owym instynktem koczowniczym plemion, którym trudno usiedzieć w miejscu, ale raczej potrzebą uskania sobie na przyszłość gniazd stałych i bezpiecznych, obwarowanych prawem od gwaltów i przemoc.

Typy, jakie autor wyprowadza na widownię, niepodobne zapewne do typów naszych; obyczaje angielskie wycisnęły na nich właściwe so-

bie piętno. Rozwój społeczny w inny sposób odbywał się w Anglii za Plantagenetów, niżli u nas za Piastów; a jednak wpatrzywszy się głębiej, spostrzegamy i tu niejaki przybliżenia. Jeśli włościanin angielski powstaje groźnie przeciwko przemocы feudalnych lordów, azaliż i kmięć nasz nie zanosi skarg przed tron Kazimierza Wielkiego? Straszne musiały być te krzywdy kmięci naszych, wołające o pomstę owe łzy ludu, skoro król chłopków przyzwala na prawo odwetu, wspominając hubkę i krzesiwo!

Jusserand nie powstaje przeciw instytucji feudalizmu, wie on, że instytucja ta była koniecznym wypływem wyrobu osobistości u ludów grupy aryjskiej, powstaje tylko przeciw jej nadużyciom i pokazuje smutne ich następstwa, w krwawym odwecie przygnębięego ludu.

Ramy nasze nie pozwalają nam iść w ślad za autorem, zatrzymać się z nim po drogach, po gospodach, wchodzić w progi kościoła, gdzie banita ścigany prawem jedyną znajdował ostoję. W pełnych barwy, drgających życiem obrazach, ukazuje nam autor te rojowiska śpiewaków i lekarzy, w bezustannych wędrówkach od zamku do zamku, od miasta do miasta, owych zakonnych braci, krążących po kraju za kwestą, owych pielgrzymów, zdążających do Kompostelli, Rzymu lub Ziemi Świętej, wreszcie te liczne chmury ludu, istne ptastwo ubiegłe ze szponów jastrzębi, goniące za pracą swobodniejszą i lepiej wynagrodzoną niżeli w gnieździe własnym.

Do najpopularniejszych wędrówców należeli roznosiciele zdrowia lub wesołego humoru: lekarze i minstrele. Autor ukazuje nam charakterystyczne ich typy. Co do szarlatanów, sprzedających zioła i inne leki, postać ich dotąd nie wiele się zmieniła. Dziś jeszcze tak w Anglii jak i we Francji, widzimy na placach miejskich owych wędrównych dentystów, perorujących z wozu, wyrwijających zęby przy huku bębenka, by zagłuszyć jęk pacjentów i przekonać tłum, że operacja odbyła się bez bólu. W ten sam sposób ówczesni lekarze korzystali z ławowierności powszechniej. Na większą uwagę zasługują patentowani medycy tamtych czasów, którzy stosownie do wyroku królewskiego, obowiązani byli składać egzamin przed biskupem londyńskim, lub dziekaniem od Ś-Pawła w obecności czterech fizyków.

Jeden z tych uczonych Jan Gaddesden, nadworny medyk króla Edwarda II-go, niszczył ślady ospy, obwijając chorego suknem czerwonym; w ten sposób leczył następcę tronu. Długo przemyślał nad wynalezieniem skutecznego środka na kamień. „Znalazłem go nakoniec! — mówi w dziele swém „Rosa Angelica;“ zebrałem wielką moc czarnych owadów (krówek) i niemniejszą ilość świerszczów polnych, co skrzeczą w trawie, pociąłem głowy i skrzydełka świerszczom, włożyłem je do garnka wraz krówkami i całą dobę trzymałem garnek w piecu. Potém startem wszystko na proszek, przyłożyłem go do miejsc bolących, w trzy dni choroba ustąpiła, kamień rozkruszył się na części.“ Na chorobę śledziony tenże medyk zaleca siedm głów tłustych nietoperzów.

Mimo królewskiego edyktu wędrowni szarlatani praktykowali po wsiach i miasteczkach, omijali tylko Londyn, gdzie prawo ścigało ich z całą surowością. Jeden z nich Roger Clerck, złapany na uczynku, prowadzony był na koniu na oklep przez całe miasto, przy odgłosie trąb i huku bębnow, stawiony był pod pregiierzem, a na większe pośmiewisko ludu obwieszony różnego rodzaju chirurgicznymi narzędziami.

Głos powszechny powstał na takie okrucieństwo. Przekonano się zresztą, że patentowani medycy nie wiedzą więcej od nieuczonych empiryków, z tą jedynie różnicą, że każą drogę przepłacać swoje leki. Nowy edykt upoważnił zatem praktykę wędrownych lekarzy i lekarek, „którym, jak się wyraża, Bóg dał intuicyjną znajomość uzdrawiających ziół i korzonków, a którzy bez względu na zapłatę, rozdają leki chorym, powodowani miłością Bożą i miłosierdziem dla bliźniego.“

Popularniejsi jeszcze od lekarzy, byli śpiewacy wędrowni: ci nie leczyli chorób, lecz umieli zażegnać troskę i rozweselić umysł. W czasach, kiedy księgi były osobliwością, a dzienniki wcale nie istniały, zastępowały je pieśni Minstreli i Żonglerów: żadne gody nie obeszły się bez nich. Jedni śpiewali, przygrywając na kobzie, gitarze lub wioli, drudzy opowiadali prozą czyny bohaterów, inni znów opiewali miłosne przygody lub bawili słuchaczy sarkastyczną sirwentą. Stara pieśń określa repertuar Minstrela:

Przychodzę do was z dalekiej strony,
 Umieć ja śpiewać na różne tony,
 O Aleksandrze, wieków olbrzymie,
 I o Cezarze, co władał w Rzymie,
 O sławnych bojach Greków z Trojany,
 W których niejeden legł krwią zbryzgany.
 O tym Brutusie, co z druhy swemi
 Pierwszy w angielskiej panował ziemi ¹⁾.
 O tym bogatym królu Arturze,
 Co w złotolitej chadzał purpurze.

Powiem jak Roland na krwawém polu
 Cmy saracenów bił przy Karolu.
 Opowiem wieści o królu Janie,
 I o Izeldzie i o Trystanie,
 O Idoinie, o Izambranie,
 Tych bohaterach głośnych w swym czasie.
 Jakimi chcecie zaśpiewam słowy,

¹⁾ Według bajecznych podań, przechowanych w pieśniach Minstrelów, synowie Eneasza, po zburzeniu Troi, rozeszli się po Europie i pozakładali różne państwa. Romulus zbudował Rzym, Ticiusz zaludnił kraj tokański, Langabert Lombardya, Brutus opanował wyspę na oceanie i nadał jój nazwę Wielkiej Brytanii.

Jam równie świadom francuzkiej mowy
 Jak i angielskiej, — nawet w łacinie
 Pieśń mi strumieniem przez usta płynie.

Takimi to pieśniami zabawiali się lordowie w feudalnych zamczyskach; przybycie wędrownego Minstrela było hasłem powszechniej uciechy. W obszerniej sali zamku urządzona była galerya, naprzeciw ściany, przy której pod baldachimem zasiadał pan domu, otoczony gośćmi i rodziną. Tu śpiewali Minstrele i Żonglery, przygrywając sobie do taktu. Wielcy dostojnicy, za przykładem króla, utrzymywali ich stale na dworach swoich.

W XIV wieku jednak, kiedy lud roboczy podniósł głowę i zaczął coraz groźniej domagać się reform ekonomicznych, pojawiły się chmary Minstrelów, którzy, zamiast śpiewać panom na gody, omijali warowne dworce, a gorącą pieśnią podniecali braci do oporu. Powstało wtedy mnóstwo satyrycznych zwrotek, wymierzonych przeciwko panom. Zabłąkała się i do nas jedna z nich, cytowana jako zabytek starodawniej literatury:

Kiedy Jadam kopał ziemię, Jowa kądziel przędła,
 Gdzie byli wtedy szlachoice?...

Minstrele ówczasem jeli przerabiać pieśni dawne i do ich nuty podkładać nowe teksta. W miejsce Karola Wielkiego, Rolanda, Artura, Lancellota, opiewali innych bohaterów. Ulubieńcem ich stał się przywódca ludowy z wieku XII, słynny banita Robni-Hood. Pieśń mówi jak ten pobożny człowiek, nie opuszczał nigdy Mszy świętej; wysłuchawszy jej, obdzierał wielkich panów i prałatów, a wydarte im łupy szczerze rozsypywał pomiędzy lud ubogi.

Pieśni, siane jak ziarna, padały na grunt dobrze przygotowany i kiełkowały pomału. Spostrzegł to król Edward IV i kazał ścigać surowo tych wędrownych śpiewaków; poznali niebezpieczeństwo wielcy panowie i okryli wzgardą owych Minstreli tak niegdyś ulubionych.

Wędrowne gromady, po największej części, składały się z uciekających włościan. Wiele przyczyn, a między innymi morowe powietrze w r. 1349, zamąciło w w. XIV stosunek poddanych robotników do panów. Przy podrożeniu produktów, szczupła zapłata nie wystarczała im na życie: potrzeba usamowolnienia czuć się dawała coraz silniej, gdy tymczasem wyroki króla i parlamentu utrzymywały statu quo. Biedny robotnik w ucieczce jedyny widział ratunek, przenosił się też bezustannie z jednego hrabstwa do drugiego, w nadziei, że lepszą otrzyma zapłatę. Jakoż nie mylił się: zaraza zdziesiątkowała ludność; potrzeba było wszędzie rąk do pracy. Według prawa, poddany zbiegły z ziemi pańskiej, jeżeli przepędził rok i dzień jeden w wolnym mieście, a pan, nie wiedząc, gdzie go szukać, nie wzywał go do powrotu, stawał się przez to samo człowiekiem wolnym; jeżeli zaś

włóczył się z miejsca na miejsce, a na chwilę wracał do gniazda, wtedy chwytano go i okuwano w dyby.

Bojaźń najsrozszych kar nie wstrzymywała zbiegów od ucieczki. Lud postanowił bądź co bądź wyłamać się z poddaństwa: nie mogąc iść na przebój, używał podstępów. Niejeden chwycił kosztur, wybierał się rzekomo na daleką pielgrzymkę i nie wracał do domu. Wędrówki te poprzedziły i przygotowały wielki wybuch w r. 1381. Lud poznał się i zjednoczył we wspólnej myśli: wędrownie tłumy połączyły mieszkańców południa i północy, opowiadając jedni drugim własne krzywdy i zażalenia. To też na pierwsze hasło, lud wszystkich podniósł głowę, groźnie zażądał reform.

Wprawdzie stłumiono wybuch: ulice londyńskie pociekły krwią pokonanego ludu. Jakkolwiek bądź, nowe więzy nie miały siły dawnych. Był to pierwszy krok do przyszłego wyzwolenia; czas dokonać miał reszty.

Jusserand w konkluzji pokazuje ważne następstwa wędrówek; w nich to widzi tajemnicę owych powolnych przemian społecznych, które uchroniły Anglię od gwałtownego przewrotu, jaki wstrząsnął Francją w wieku zeszłym. „Anglia — mówi autor — z wielu powodów nie potrzebowała zrywać z przeszłością; najważniejszą z tych przyczyn, wpływ owych wędrowców, którzy łączyli w jedność lud wszystkich, rozrzucony po kraju. Jedność ta, stanowiąca jego siłę, pozwalała mu w danym czasie żądać koniecznych ustępstw. Ze jednak najspokojniejsze przemiany, nie odbywają się nigdy bez zamętu i w Anglii krew płynęła nieraz w następnym pasmie wieków. Na taki zarzut wędrowiec angielski odpowiedzieć może znanym przysłowiem: „Z gęstego lasu prosto wybucha płomień.”

Przejdźmy teraz do bardzo ozdobnej i niemniej ważnej publikacji, połączonej z imieniem naszego uczonego ziomka, p. Florentyna Trawińskiego. Mówimy tu o podręczniku archeologicznym, p. t.: „Manuel d'archeologie: la vie antique des Grecs et des Romains.” Autorami tej znakomitej pracy są dwaj erudyci niemieccy, Guhl i Koner; dzieło ich znalazło w Niemczech wielki rozgłos, czego dowodem cztery wydania, powtórzone w krótkich odstępach, jak niemniej przekłady na język włoski i angielski. Tłumaczenie francuzkie wykonał świeżo p. Trawiński. Jest to, rzecz można, wolny przekład; szanując bowiem plan i ogólny układ dzieła, tłumacz zmienił zewnętrzną jego formę, stosując się do smaku czytelników francuzkich. Dodajmy i to, że umiał połączyć z erudycją styl pełen wdzięku i życia.

Dotąd wyszedł dopiero tom pierwszy, poświęcony starożytnym grekom. Drugi tom, obejmujący archeologią rzymską, ukaże się niebawem. Wydawca Rothschild dołożył wszelkich starań, aby ozdobna forma odpowiadała wewnętrznej wartości tej pomnikowej publikacji; pomieścił w niej 559 rycin, wziętych z dzieł najświetniejszych archeo-

logów, jak „Akropolis atenskie” Beulé’go, „Pomniki ceramograficzne” Franciszka Lenormand i wiele innych.

Wstępne słowa skreślił nieodżałowany Albert Dumont. Ten znakomity erudyta, dyrektor szkoły francuskiej w Rzymie, a następnie w Atenach, niezmordowany w pracy około wychowania publicznego, autor licznych dzieł o starożytnych pomnikach Grecyi i krajów nadbałkańskich, umarł w tych właśnie czasach, w 42-gim roku życia, w chwili najsilniej rozwiniętej działalności. Francya oplakuje słusznie skon jego.

Albert Dumont żywo zaleca przełożoną pracę; pokazuje wielki pożytek, jaki przynieść musi dzieło, obejmujące różnostronne objawy życia starożytnych greków: owe pomniki, na których geniusz Hellady wycisnął swoje piętno. Znajdujemy tu, zarówno w bogatym tekście, jak i w ozdobnych ilustracyach świątynie, fortyfikacje, porty, teatry, gmachy, przeznaczone do igrzysk i zebrań publicznych (gimnazya i agory), domy prywatne, sprzęty, ubiory, oręż, narzędzia muzyczne, okazy ceramiki, słowem wszystko, co świadczy o życiu domowem i publicznem. „Každy z tych przedmiotów — mówi Dumont — był celem dążeń i pracowitych poszukiwań. Zasługa autorów niemieckich polega na tém, że nie wchodząc w krytyczne rozprawy, poprzestają na dowiedzionych faktach. Z pomników architektury wybierają najcelniejsze, jakie doszły czasów naszych, obyczaje zaś i zwyczaje wyjaśniają według okazów sztuki, najłatwiejszych do zrozumienia. Wszystko to wykonane z metodą, wyczerpane z najlepszych źródeł krótko, jasno i wiernie.”

Sama klasyczna literatura, wystarczyć nie może tym, którzy pragną wniknąć w życie starożytnych społeczeństw: nauka archeologii jest koniecznym jej dopełnieniem. „Wyroby materyalne, jakie tworzy lud bezustanku — mówi Dumont — noszą w zarodzie właściwy im charakter. Oddziaływa na nie klimat, miejscowość, historyczny wiek danego plemienia, jak niemniej i zewnętrzne wpływy. Utwory te są wyrazem usposobień i obyczajów ludu, który znów czerpie w nich pobudkę do dalszego rozwoju swego. Ztąd więc, zostawiając na boku cuda sztuki, archeologia uczy nas, jak, w starożytnych cywilizacyach badać charakter i obyczaje, słowem geniusz narodowy, w najdelikatniejszych jego odcieniach; archeologia wskazuje prawa, według których dany lud wyrabiał i przeistaczał przez wieki surowy materyał, dla pożytku lub przyjemności własnej; archeologia obejść się nie może bez filozofów, historyków i poetów; nie przeczy im, zawdzięcza im wiele, a przecież sama z siebie wysnuwa odrębny wątek nauki i oddaje zasługę w właściwy sobie sposób.”

Znakomity helenista usilnie zaleca badanie starożytności, która, jakkolwiek niedokładnie poznana w zeszłych wiekach, była jednak mistrzynią wszystkich ludów cywilizacji naszej. „Im bliżej przypatrujemy się grekom — dodaje Dumont, — tém bardziej podziwiamy ich wielkość. Odkąd, z początkiem tego wieku, archeologia stała się

ściśle określoną nauką, starożytność przedstawia nam się w coraz jaśniejszym świetle. Otóż więc, ani historia sztuki, ani badanie starożytnych instytucji i pomników, ani odkrycia lingwistyczne, nie zmieniły pojęć naszych o doskonałości helenizmu. Geniusz ten, który tak już świecił z poza chmur, przysłaniających go częściowo, stał się tém widoczniejszym, tém silniej drgającym pełnią życia, témbardziej harmonijnym, w miarę jak spadała, kryjąca go zasłona, aczkolwiek ta nigdy całkiem nie spadnie."

Podnosi Dumont wielką ważność archeologicznych podręczników, układanych ze ścisłą metodą. Według ich wartości, sądzi o wykształceniu umysłowém danego społeczeństwa. Radzi spopularyzowanie owych podręczników i sprowadzenie ich do rozmiaru malenkich książeczek, na wzór tych, jakie Anglicy rozpowszechnili u siebie.

„Jakże byłoby pożądaném, — mówi on — aby ciekawa publiczność, zwiedzająca naukowe zbiory, znalazła wszędzie pod ręką taką specjalną książeczkę. Niejeden zwiedza muzeum bez najmniejszego pojęcia o epokach, do których odnoszą się pomniki. Myśl jego płącze się chaotycznie: zagląda do katalogu, lecz ten pisany dla specjalistów, w niczém go nie objaśni. Wielką przysługę oddałaby mu książeczka, w którejby wyczytał np., że sztuka grecka zrodziła się mniej więcej na sześć wieków przed erą naszą, że w końcu Vgo wieku przyszła do najwyższego rozkwitu, poczem zaczyna się jój upadek. Mając w ten sposób wskazane sobie najcenniejsze pomniki stylu wszystkich epok, zrozumiałby to, co ma przed oczyma i znalazłby gotowe kadry do dalszych studyów. Bez tych wskazówek, zwiedzanie zbiorów archeologicznych staje się próżnym trudem, kiedy przy właściwém objaśnieniu powinno być zarazem miłą rozrywką i nauką."

Podręcznik archeologiczny erudytów niemieckich, przekładu p. Trawińskiego, złożony z dwóch obszernych tomów, wychodzi poza obręb owych elementarnych książeczek; niemniej przecież poważnie to dzieło zaleca się jasnym i popularnym wykładem, dostępnym dla ogółu. Rozdziały, dotyczące życia rodzinnego, obrzędów religijnych i narodowych, wychowania dzieci i młodzieży, miejsca kobiety w społeczeństwie, stanowią najżywotniejszą część téj pięknej i spokojnej publikacji. Z żalem wstrzymujemy się od przytoczenia wyjątków. W takiém bogactwie trudny wybór: musielibyśmy czerpać pełną ręką, a to przeszyłoby ramy kroniki naszej. Zakończmy więc życzeniem, aby to piękne dzieło znalazło jaknajwięcej czytelników w kraju naszym, a co więcej, wydawcę, któryby je rozpowszechnił w polskim przekładzie. Nabycie gotowych klisz przyszłoby zapewne bez trudności, a tłumacz, który tak znakomicie wywiązał się z francuzkiego przekładu, podjąłby niewątpliwie pracę tak pożyteczną dla kraju swego. Pობudką do niej byłyby mu słowa, któremi Albert Dumont kończy piękną przedmowę: „Jeśli podobnych dzieł brak w jakiej literaturze, bądźcie pewni, że nauka pozostanie tam przywilejem tylko jednostek."

Dzieło erudytów niemieckich, przełożone na język francuzki,

włoski i angielski, azaliż nie powinno ukazać się i w kraju naszym, rozwijającym się tak wszechstronnie, a tak złąknionym wiedzy?

Uwaga p. Dumont, co do potrzeby małych książeczek, zamykających elementarne wskazówki archeologiczne, jakże jest pożyteczną i dla nas? Mało wprowadzić posiadamy zbiorów publicznych, jakie ma na widoku helenista francuzki, tém więcej nam przeto korzystać z nich należy. Jeśli takie książeczki bardzo są pożyteczne dla osób zwiedzających zbiory we Francyi, o ileż pożyteczniejsze dla społeczeństwa naszego. Jakżeby wiele zbiory krakowskie, poznańskie i inne, rozrzucone po kraju naszym, zyskały na takich przewodnikach, ułożonych metodycznie przez specjalistów.

Wyszedł z druku w Lauzannie obszerny, dwutomowy życiorys Dawida Liwingstona, przełożony ze świeżo wydanego dzieła angielskiego. Wiele już pisano o Liwingstone a jednak nowy życiorys wiele nieznanych obejmuje szczegółów, autor bowiem Garden Blaikie, czerpał je z własnoręcznych notat słynnego podróżnika i wzbogacił zbiorem pozostałych jego listów.

Słusznie Anglicy chlubią się Liwingstonem, zowiąc go Krzysztofem Kolumbem XIX wieku. Do czasów jego znano tylko wybrzeża afrykańskie, wymierzono tylko ogromną przestrzeń téj części świata; ale co się mieściło w jej obrębie, pokryte było tajemnicą. Pierwszy Liwingstone zapuścił się w te nieznanne obszary i pociągnął w swe ślady całe tłumy różnonarodowych eksploratorów jak: Backer, Stanley, Cameron, Brazza, Rogoziński, że pominiemy tylu innych. Obliczono, że zdeptał sam 50,000 kilometrów w miejscach nietkniętych stopą europejską, określonych na mapie napisem: *Terra incognita*. Wzbogacił naukę tysiącem nowych odkryć, w dziedzinie astronomii, etnografii, zoologii, a co najważniejsza, zniewolił sobie miłość tubylców, zaszczerpił w nich pojęcia moralne i religijne, podniósł ich do poczucia godności ludzkiej i przyczynił się najdzielniej do powstrzymania ohydneho handlu niewolnikami.

„Z listów Liwingstona widzimy, jak ciężką poniósł ofiarę dla osiągnięcia wielkiego celu. Gorąco kochał rodzinę, a przecież opuścił ją na długo. Nadzwyczaj rzewne listy jego do dzieci: myślą zwrócony w nieskończoność, ukazują synom wielki ideał prawdy i obowiązku poświęcenia.

Pierwszą podróż odbył w towarzystwie młodej żony; później zmuszony był zostawić ją z dziećmi w Londynie; po latach znów wielu, kiedy dzieci podrosły, wierna towarzyska pośpieszyła do męża, pragnąc podzielić z nim cięższe niż dawniej trudy i troskliwą otoczyć go opieką. Zaledwie że się połączyli, umarła, dotknięta żółtą febrą.

„Marya! biedna Marya moja! — pisze Liwingstone do dzieci, ileż to razy, sami, rzućni w te pustkowia, wdychaliśmy za cichém ogniskiem! a teraz ona spoczywa w Skapongo, pod cieniem wielkiego boababu. O! jakżebym chciał umrzeć! Poraz pierwszy gorąco tego pragnę!”

Żył jednak i jak dawniej poświęcał się ludzkości. Niewolnictwo przejmowało go zgrozą, w niczyjém téż sercu wymowny głos amerykańskiej autorki (Beecher Stowe) nie odbił się potężniej. Powieść jój „Chata wuja Tomasza“ czytał z zachwytem, karty jój rzewnemi oblał łzami.

Na wieść o wojnie w Stanach Zjednoczonych, krew zakipiała w jego żyłach. „Żadna siła ludzka, pisał do syna, nie zdołała dotąd rozedrzeć żelaznych kleszców niewoli: bawełna południowców, zapanowała w świecie całym. Wojna podniosła i oczyściła tych yankeesów.“

Wkrótce potem żaloszny ojciec opłakiwał syna poległego w owéj zwyciężonej wojnie.

Liwingstone ukochał murzynów i oni téż gorącą odplacali mu wzajemnością. Śmierć jego doprowadzała lud do rozpacz. Kiedy anglicy zabrali zwłoki zmarłego, aby z należną czcią pochować je w o-pactwie westminsterskiem, gromady czarnych poszły za trumną przez skwarne piaski pustyni, aż do portu gdzie czekały okręta. „Ale imię Liwingstone, mówi biograf, przyrosło do ziemi afrykańskiej, tam przebiega od chaty do chaty, matki szepczą je nad kołyską niemowląt. W szumie wód nieznanego świata, w pogwiździe wiatru nad pustynią, żyje cudowna legenda o tym białym człowieku, który ukochał czarnych!“

W tym samym czasie, kiedy autor angielski odżywił pamięć Liwingstone, we Francji odkryto pozostałą po nim mapę, nieodstępną towarzyszkę jego dalekich wypraw. W jednéj z podróży po Afryce, zatrzymał się na parę miesięcy w Mozambiku dla zaopatrzenia parowca „Lady Ryassa“ na dalszą żeglugę. Przyjął go w domu swoim bogaty portugalczyk Juan da Costa Soares. Opuszczając Mozambik, Liwingstone zostawił u gościnnego gospodarza część zbiorów, a między niemi mapę geograficzną Afryki: miał zamiar obrócić z powrotem drogą na Mozambik; wypadki popchnęły go w inną stronę.

Po śmierci wielkiego podróżnika, Costa Soares darował mapę kupcowi francuskemu, który niedawno przywiózł ją do Paryża. Mapa ta ma długości metr 1 i 30 centimetrów, szerokości 75 centim.; kreślona snać od ręki z dnia na dzień, przez samego Liwingstone i towarzyszków. Rzeka Zambeze oznaczona tu poraz pierwszy z przylotkami swemi. Wzdłuż jój biegu zapisane uwagi, najważniejsze tak pod względem geograficznym jak i etnograficznym. Podróżnicy zapisywali wysokość gór, nazwiska dzikich ludów, ich obyczaje, spostrzeżenia meteorologiczne, jak niemniej dotyczące flory i fauny. Na bliskim pasie rzeki, oznaczone miejsce gdzie zaczyna być spławna; tu i owdzie wskazane miejsca na szczególną zasługują uwagę.

Ta mapa, cała wyzółkła, popękana, była nieodstępną towarzyszką Liwingstone, w długich wędrówkach po pustyni. Pomnik to nadzwyczaj wielkiej wagi, godzien jak skusnie mówią, znaleźć miejsce przy astrolobie Krzysztofa Kolumba. Towarzystwo geograficzne pa-

ryskie posiadało ją na czas jakiś i pozwalało członkom swoim oglądać drogocenny zabytek. Wszelkie usiłowania tegoż Towarzystwa, aby nabyć tę mapę na własność i ozdobić nią swoje zbiory, spełzły na niczém; dzisiejszy właściciel nie wypuści z rąk tego skarbu.

Nieraz już w Kronikach naszych zwracaliśmy uwagę na nowy kierunek, objawiający się we Francyi, a występujący do walki z silnie zakorzenionym w niej centralizmem. Ta walka prowincyi przeciw Paryżowi, który usiłuje zestrzelić w sobie wszystkie żywotne siły kraju, ta walka, powtarzamy, toczy się wolno i spokojnie, ale coraz to nowe osiąga zdobycze i coraz pewniejsze zapowiada zwycięstwo. Centraliści z pogardliwym uśmiechem patrzyli na owe zawiązujące się raz po raz towarzystwa to Felibrów prowansalskich, to Jabłek bretońskich i normandzkich, to Kasztanów z nad Loary, to Zupy kapuścianej z gór Auwernii, tymczasem towarzystwa te rosły w siłę, napływem ludzi wysokięj inteligencji i talentu.

Ten wzrost federalistów, bo tak nazwać ich musimy, objawił się obecnie tam, gdzie najobfitsze może przynieść owoce, bo w członkach uniwersytetu francuzkiego, kierujących wychowaniem młodzieży. Z niesłychanym podziwem naszym, przed kilku tygodniami przy rozdaniu nagród konkursowych w Sorbonie, usłyszeliśmy mowę pana Joliffier, jednego z urzędników tej instytucyi, mowę wyrzeczoną w obec ministra oświecenia i naczelnych władz uniwersyteckich. Uczony mówca, niewątpliwie członek jednego z anti-centralistycznych towarzystw, przemawia silnie za znaczeniem życia prowincjonalnego. W kilku jaskrawych rzutach przebiega dzieje Francyi, pokazuje w jaki sposób dzielnice jęj rządzone niegdyś feudalnym prawem, zrastały się w jedno ciało, aż utworzyły nierozłączną całość, zachowując przecież własne zwyczaje, stosowne do potrzeb miejscowych, własne zabytki literackie i językowe, właściwy sobie charakter, słowem, drogi skarb domowych tradycyi.

W pełnym życia ustępie, mówca maluje prowincye francuskie; przytaczamy tu jego słowa:

„Zatrzymajmy się chwilę w Bretanii. Jak ulubiony jęj bohater Duquesclin, tak Bretania w rodzinie ludów francuskich miała młodocę burzliwą i niespokojną. To uległa, to butna, służyła, lecz nie znosiła jarzma. Nieraz ugodziła w serce wspólnej ojczyzny; ale więcęj odwróciła od niej pocisków. Właściwy jęj geniusz odbija szczególniej w życiu słynnych marynarzy i w dziełach wielkich autorów, od Abelarda do Chateaubrianda. Szeroki, niedościgniony okiem widnokrag, musiał budzić uczucie nieskończoności.

„Wschodnie prowincye, ciągnie mówca, utworzyły granice nasze i umiały ich bronić. Na czele idzie Szampania, pełna odwagi, czujna, strzeże pilnie politycznych i literackich tradycyi, stawia dzielnie czoło najazdom. Burgundya daje nam wielkich oratorów. Z gór Delfinatu występują słynni rycerze: uosobieniem ich Bayard. Franche-Comté

inne zapewnia nam zdobycze na polu nauk pracami synów swoich Lalanda i Cuviera. A z onych wężozów wogezkich małożto wyszło bohaterów, krzepkich jak odwieczne ich dęby? Mamyż przepomnieć, że cztery wieki temu, młoda lotarynka wykrzyknęła z zapamię: „Francya wytacza krew! i cały naród zerwał się na hasło dziewicy!”

Przypomina potem profesor wielkie prace, tak w naukach ścisłych jak w archeologii, dokonane w ostatnich czasach. I coż dało pobudkę, zapytuje, do tylu poświęceń i trudów?

„Miłość nauki nie byłaby dostatecznym bodźcem dla pracowników, gdyby nie łączyła się z nią miłość kraju, w najściślejszym ograniczeniu tego słowa. Weźmy oto mapę Francji; każdy z nas znajdzie tam mały zakątek ziemi, do którego przyrósł sercem, z którym łączą go silne węzły domowych wspomnień. Kraj rodzinny! ileż ten wyraz nasuwa nam żywych obrazów! Dla atenczyka z czasów Sofoklesowych, była to sucha dolina, zarosła oliwnemi drzewy, ciemnym bluszczem i narcyzami. Dla nas, to najczęściej wązka uliczka jakiegoś miasteczka, lub wioska otoczona polem i winnicą; to mały ogródek, który wydawał nam się wielkim a potem dziwnie zmalął, to strumień, który w oczach naszych wielką był rzeką, to młodzi towarzysze zabaw naszych, to stół rodzinny, przy którym stary dziadek opowiadał nam przygody swych lat młodych. Konieczność oderwała nas od tych kątów, ale żyjemy w nich myślą i uczuciem, Opuszczamy kraj ¹⁾, lecz on nas nie opuszcza; unosimy go w najgłębszych tajnikach pamięci, w zwyczajach, w wyrażeniach naszych. Po akcencie miejscowym, nigdy niezapomnianym, poznajemy się między sobą, obojętni stają się odrazu przyjaciółmi. Inni żartują z nas, my nie zważamy na to. Mienimy się z dumą gaskonami, normandami lub bretonami; nazwa auwerniaków wcale nas nie obraża. Wzajemne niechęci prowincjonalne dawno umilkły w obec wspólnych niebezpieczeństw; zatarły się w promieniach wspólnej chwały.

„Jedność narodowa, kończy profesor, nie straciła nic na tém odrodzeniu prowincyi. Dwa uczucia natury odmiennéj zdążają do jednego celu. Wyraz kraj (zakątek rodzinny) jest jakoby ściślej określona forma wyrazu ojczyzna, téj najpotężniejszej abstrakcyi, jaką stworzyło ludzkie słowo. Do wielkiej siły, jaką ma w sobie imię Francya, nazwa miejscowości rodzinnej, dodaje niejaką słodycz macierzystą.

„Wielki przewrót z końca zeszłego wieku nie podarł kart w księdze przeszłości ojczystej. Francya, w której i dla której żyjemy, nie jest czém inném jak starożytną Francją. Taż sama krew płynie w żyłach naszych, jaka płynęła w żyłach ojców; toż samo serce uderza w piersi naszéj. Ojcowie poznają się w nas, jak i my w nich się poznajemy. Kiedy za lat kilka Francya obchodzić będzie stule-

¹⁾ Wyraz kraj (pays), używany przez francuzów na określenie zakątka rodzinnego.

nią pamiątkę wielkiej federacji, wystąpi ona w uroczystości narodowej jako spadkobierczyni nie tylko rewolucji francuskiej, ale zarówno wieków, które ją poprzedziły i przygotowały.“

Mowa ta, wyrzeczona publicznie, przez jednego z urzędników uniwersytetu francuskiego, niesłychaną ma wagę. Jest to żywa protestacja przeciwko dążnościom dzisiejszych władz rządzących, które usiłują wpoić w młodzież to przekonanie, że Francja powinna zerwać całkiem z tradycją dwudziesto-wiekowej przeszłości, a widzieć jedynie początek dziejowego bytu swego w roku 1789. Wiadomo, że na czele tych propagatorów stoi główny dzisiejszy kierownik, minister Ferry.

W kształceniu naukowym kobiet francuzkich, zaszła, jak wiadomo w tych czasach radykalna przemiana. Rząd zoprowadza lycea po większych miastach; panienki różnych warstw społecznych, nie wyłączając arystokracji, ukończywszy nauki czyto w szkole czy w domu, zdają egzamin publiczny i otrzymują dyplom. Nagły ten przewrót zaniepokoił umysły; wywiązała się polemika w dziennikach i przeglądach. „Nie chcemy pedantek! — wołają rutyniści — kobieta więcéj straci na właściwym jéj wdzięku, niżli zyska na polu wiedzy.“ Inni lękają się może współzawodnictwa, lub drżą na myśl zakłóconego pokoju domowego. Słowem, głos powszechny potępia jeśli nie wyższą skalę w kształceniu kobiet, to przynajmniej suchy pedantyzm, przyjęty w wykładach naukowych.

Głos powszechny nie przebrzmiał napróżno. Kamil Sey, główny organizator liceów żeńskich, czyniąc zadosyć opinii publicznej, uznał że wypada zastosować naukę do psychicznego usposobienia kobiet. „Il faut feminiser l'éducation des femmes,“ wyraził się w raporcie urzędowym. Słowo feminiser całkiem nowe, nie zapisane w słowniku akademickim, wywołało znów głośnie zaprzeczenie purystów. Powstała walka o barbaryzm wprowadzony do języka francuskiego. Wnieszał się do niej Legouvé: z całą powagą akademicką rozgrzeszył Seya, uznając, że gdy idzie o określenie nowej idei, tam wyraz nowy przestaje być barbaryzmem, a pozyskuje prawo obywatelstwa.

Zobaczmy jak p. Legouvé uważa to zastosowanie nauki. Mamy sobie za obowiązek przytoczyć tu słowa znanego autora tyłu dzieł poświęconych określeniu stosunków rodzinnych i właściwej pedagogii.

„W przedmiecie historii, mówi akademik, nie ma potrzeby przebrać na prozę pięknego poematu ojca mego „O zasłudze kobiet“ (Le mérite des femmes). Nie idzie tu o wydobywanie ze starych kronik przykładów odwagi, cnoty, poświęcenia, jakie dawały kobiety; nie pora dziś podniecać próżność nowych pokoleń opowiadaniem dawnych zasług. Bynajmniej tego nie żądamy. Minęły dla kobiet czasy gloryfikacji, bije godzina pracy. Ależ ta praca, jeśli ma być pożyteczną, musi być koniecznie stosowną. Zapyta mnie ktoś może: ażaliż dzieła historyczne, inne dla mężczyzn niż dla kobiet? Czyż w łańcu-

chu dziejów są wypadki, idee, prądy, osobistości, przystające szczególnie do tej lub owej połowy rodu ludzkiego, tak samo jak w ziemi spoczywają soki i żywioły karmiące, właściwe dla tego lub owego gatunku roślin? Tak jest, odpowiecie, są bez zaprzeczenia, porównanie to bardzo trafne, udowodnia bowiem, że inteligencja kobieca, zwrócona do historii, znajdzie w niej, jeśli ta historia dobrze przygotowana, najpożywniejsze dla siebie żywioły. Ale spytacie mnie znouu: na czém polega to przygotowanie? jaki grunt historyczny odpowiada dla kobiet? Odpowiem na to, wskazując imię Augustyna Thierry. Oto wzór historyka dla kobiet. Zapewne, że Guizot z właściwym sobie ładu, zarysuje wybornie przed ich oczyma wielkie linie historyczne; Mignet da im gruntowną naukę z ściśłym oznaczeniem faktów i logicznym przeprowadzeniem idei; Thiers w pełnym świetle ukaże im wypadki; Henri Martin zapali w ich sercu miłość Francji i rozwinie przed niemi różnoprzennie całą potęgę narodowego geniuszu; Michelet rzuci im przed oczy błyskawicę, rozjaśniającą nie jeden ciemny zakątek dziejowy; a jednak prawdziwym, wyłącznym ich mistrzem, będzie zawsze Augustyn Thierry. Czemu? bo to co zajmuje, obudzi w nich także zajęcie, bo ma głębokie poczucie dwóch rzeczy najwyższego dla kobiet znaczenia: maluje wybornie jednostki i obyczaje.

„Ścisły jak Mignet, jasny jak Thiers, dokładny jak Michelet, do tych wszystkich zalet łączy dar właściwy sobie, umie jeszcze zabawić. Otóż koniecznym jest, aby nauka historii zabawiła umysły młodych panien. Nauka nie straci nic przez to na powadze, dowodem tego sam Augustyn Thierry. Wielki ten historyk, jest zarówno romansopisarzem.

Jako romansopisarz rysuje każdą osobistość, czyni z niej żywą i rzeczywistą postać; jako romansopisarz podnosi każdy wypadek, bądź tragiczny, bądź rzewny, czyniąc z niego scenę dramatyczną; jako romansopisarz maluje miejsca, czasy, zwyczaje wśród których poruszają się ludzie dawni, słowem na tle zarysów pełnych życia i prawdy, kreśli wielki dziejowy obraz.

„Nie odżyła lepiej stara Szkocja pod piórem Walter-Skotta, jak stara Francja odżyła w powieściach z epoki Merowingów. Tak samo jak Rob-Roy, Wawerly, Templaryusz, zarysowały się w pamięci naszej postaci Fortunatusa i Chilperyka. Trudnoby zapewne napisać i wykładać całą historję w podobny sposób; ale do profesorów należy czerpać pobudkę w tej metodzie, to jest w wykładach swoich zastąpić zyciem abstrakcją.

Od historii przechodzi Legouvé do literatury i zaleca podobną metodę nauczania. „Zapewne, mówi on, że Villemain ze swoim wzniosłym eklektyzmem i miłośnictwem piękna, da poznać młodym panuom arcydzieła wszystkich narodów, na tle miejsca i czasu, w którym były stworzone; Nisard skreśli im niezatartemi rysy, oblicze geniusza francuskiego; Cousin, pełen wytwornego smaku, rozwinie przed niemi niezrównane bogactwo stylu XVII stulecia. A jednak ci wszyscy profe-

sorowie wystarczyć tu nie mogą; trzeba dołączyć do nich Sainte-Beuva. Dlaczego? bo talent jego głównie psychologiczny, w ścisłym zostaje związku z ciekawością kobiecą i przenikliwym ich instynktem, bo żaden krytyk literatury nie czytał głębiej w sercach; jednem słowem, ten krytyk jest niemniej romansopisarzem--a co więcej poetą. Nie myślę ja bynajmniej wyłączać dogmatycznego nauczania, ale powtarzam wszelka edukacja kobieca, w której wyobraźnia nie wzmie udziału, będzie niewątpliwie chybiouą. Dawniej nieuctwo groziło niebezpieczeństwem, dziś zagraża pedantyzm.

Kończy Legouvé przytoczeniem piosenki Berangera: śpiewak żartuje z uczonego, który w lampie widzi jedynie materiał, z którego zrobiona, jój duo i poruszające nią sprężyny: „ja, dodaje, widzę światło i dosyć mi na tém!”

„Światła! światła! powtarza wymowny akademik, bo światło to życie, to urok, to sztuka. Światło ogrzewa, oczyszcza i rozprasza ciemności. Przy prawdziwem świetle nie obawiamy się pedantyzmu, bo pedantyzm ciemny jak noc, nie ma związku ze słońcem.

Jeszcze nie przebrzmiał głos Legouvégo, nastający tak silnie na pedantyzm, a oto w sferach wychowawczych przystąpiono do egzaminu panien, ubiegających się o stopień naukowy. Upadło mnóstwo kandydatek, a między niemi córka p. Bert, jednego z czynnych organizatorów szkół we Francyi. Powód tak ogólnego niepowodzenia zaciekawił dziennikarzy. Wyśledzili wreszcie program i ogłosili go w kolumnach swoich. Dla osobliwości przytaczamy tu problemat matematyczny, zadany do rozwiązania młodemu kandydatkom: „Przyjąwszy, że równa co do wagi bryła złota ma wartość o 15 razy i pół wyższą niż bryła srebra, wiedząc zresztą, że kubiczny centimetr złota, waży 19 gram—26 centigramów, a kubiczny centimetr srebra waży gram 10—51 centigramów, że kilogram złota wart 3437 fr. 50 cent., zachodzi pytanie, jaka będzie wartość kuli srebrnej, której promień wynosi 3 centymetry, pokrytej warstwą złota grubości $\frac{1}{10}$ milimetra?”

Kamigłówka ta, jak słusznie powiedziano, właściwsza do pomieszczenia między rebusami niż w programie egzaminowym.

Panienki, które popełniły najmniejszy błąd w obliczeniu, pod okiem sędziów, usunięte zostały od konkursu, choćby miały celujące stopnie w innych przedmiotach.

Co do kompozycyi literackiej, tak się wyraża programat:

„Wykazać w bajkach Lafontaine'a kilku przykładami współczucie bajkopisarza dla słabych i uciśnionych.“

Program to całkiem niewłaściwy. Ktokolwiek czytał Lafontaine'a wie, że był pisarzem czysto przedmiotowym. Głęboki psycholog maluje doskonale charaktery zwierząt, a raczej ludzi ukrytych pod ich postacią, z niezrównanym talentem dramatyzuje sytuacje: dialogi jego pełne życia i ruchu, dykcya prześliczna, styl mistrzowski, ależ doprawdy nie znamy bajki, w którejby rozrzewniał się nad losem niezsześliwych ofiar. Nie żałuje on wcale tego konika polnego, co prze-

śpiewał lato nie pomny, że przyjdzie twarda zima; nie żałuje owego kruka, któremu lis wyłudził ser pochlebstwem. Pokazuje w nich tylko, jak w tylu innych typach, ofiary próżności, lenistwa, samolubstwa i niezliczonych błędów, ciągnących za sobą nieuniknioną karę.

Niesłusznie byłoby zarzucać Lafontainowi, że nie rozrzewniał się nad losem ucisnionych. Biegły dostrzegacz malował charaktery, z zetknięcia ich wyprowadzał to krwawy dramat, to śmieszny komedya, alboż nie dosyć na tém? Sam nie wychodząc poza obręb analizy, dał innym pobudkę do wyprowadzania z niej skutecznych wniosków. Ależ ta filozoficzna synteza niedostępna dla młodych kandydatek, była dla nich trudniejszą do rozwiązania łamigłówką aniżeli przytoczony powyżej problemat matematyczny.

Sądziimy, że pan Legouvé korzystać będzie z okoliczności i przygotowuje nową rozprawkę przeciw pedantycznemu wykładom.

Sprawa Egiptu, jak wiadomo, żywo dziś zajmuje Francją. W tych właśnie czasach, na doroczném zebraniu towarzystwa młodzi (Union française de la jeunesse), Gustaw Ollendorf w obecności prezydującego Lessepsa wystąpił z konferencyą o Egipcie. W krótkim, ale pełnym życia zarysie historycznym, wykazał bezustanny wpływ, jaki Francya wywierała na ten kraj od czasów najdawniejszych, to jest od epoki Karola Wielkiego.

Później Ludwik Święty prowadził układy z Egiptem. Franciszek I, na mocy traktatu zawiązanego z Solimanem Wspaniałym, wyjednał przywileje nie dla samej tylko Francyi, ale dla wszystkich państw europejskich, prowadzących z Egiptem handlowe interesa.

Od téj epoki zaczyna się rzeczywista przewaga Francyi na Wschodzie. Historia monarchii francuzkiej ukazuje nam pięć traktatów, zawiązananych od czasów Karola IX do Ludwika XV-go. Rzecz godna uwagi, że zmiany jakie zaszły w rządach państwa, nie zmieniły nigdy polityki francuzkiej względem Egiptu, była to polityka tak ściśle narodowa, iż zarówno Rzeczpospolita jak cesarstwo wzięły ją spadkiem po dawniej monarchii. Konwencya utrzymała traktaty ze Wschodem, subwencyonowała w Egipcie kongregacye religijne, które upowszechniały na równinach Syryi, w górach Libanu i nad Nilem język francuzki, a z nim tradycyą dawniej przewagi Francyi.

Rzeczpospolita nie poprzestała na tém; powzięła wielki zamiar i wykonała go z pośpiechem, godnym bohaterskiej epoki. Było to w roku 1798, Magelon był w Kairze posłem francuzkim. W raportach do dyrektoryatu wykrywał niesłychane gwałty mameluków, ucisk wywierany przez nich na tubylcach i zapory tamujące handel z Francją, wbrew odwiecznym traktatom. Zdaniem Magelona Rzeczpospolita powinna podbić Egipt, zamienić go w żyzną i kwitującą kolonią.

Piękny to kraj, dodaje prelegent, oddawna zwracał na siebie uwagę najgenialniejszych mężów stanu. Albuquerque, wielki portugalczyk, zakreślił plan olbrzymi, pragnął odwrócić bieg Nilu i skiero-

wać go do morza Czerwonego. Leibnitz radził Ludwikowi XIV-mu, podczas nieszczęśliwej wojny holenderskiej, aby podniósł cześć upokorzonej Francji wielką wyprawą do Egiptu.

Z kolei rzeczy Ollendorf wylicza znakomite prace komisji, którą Bonaparte zabrał z sobą i utworzył z niej instytut egipski. Należeli do niej wielcy uczeni, jak Say, Geoffroy, St. Hilaire, Monge, Dubois, Larrey, Desgenettes. Prace ich zapełniają dwadzieścia dwa wolumina in folio. Odczytał je pilnie Lesseps, nim rozpoczął prace około kanału Suezkiego.

Myśl olbrzymiego dzieła kiełkowała oddawna w umysłach wyższych, zanim stała się czynem. Dwanaście wieków temu, uczony Amru nalegał na Kalifa Omara, by rozkopał pas ziemi rozdzielający dwa morza. Bossuet w historii powszechniej czyni uwagę, że połączenie obu mórz byłoby wielkiem dobrodziejstwem dla cywilizacji i dla świata. Fourrier, jeden z członków instytutu egipskiego, nastaje silnie na urzęcywistnienie tak wielkiego pomysłu. Bonaparte badał zblizka, od czegooby wypadało zacząć olbrzymią pracę. Porwany wirum wypadków w inną stronę, nie miał czasu spełnić wielkiego dzieła, którem Lesseps tak znakomicie zasłużył się cywilizacji.

Pod tytułem „Wieczory Paryzkie,“ Wolf sprawozdawca z Figara wydał kronikę teatralną z ciągu upłynionego roku. O książce samej mówić nie będziemy, repertuar tegoroczny nie wiele przedstawia zajęcia. Zasługuje przecież na pilną uwagę przedmowa do tej publikacji, skreślona przez słynnego kompozytora Gounoda. Znajdujemy tu nadzwyczaj trafny pogląd na sztukę muzyczną, zastosować go można zarówno do malarstwa jak i do literatury, wszystkie bowiem działy sztuki łączą się ściśle z sobą, ulegając jednemu prądowi.

Gounod powstaje przeciw dwóm dążnościom, które dziś narażają sztukę na niebezpieczeństwo: jedną z nich pogoń za efektem, drugą zbyteczne systematyzowanie.

Efekt może imponować, mówi znakomity mistrz idealista, ale nie zapewnia rzeczywistej wartości utworom, jest to rzecz mody, a moda przemija, gdy tymczasem prawda jest wieczną. Kto goni za efektem, ten nie ma wiary w prawdę. Ten artysta jest więcej samolubem, niż miłośnikiem sztuki swojej. Pogoń za efektem przypomina ową śmieszoną pretensją żaby, usiłującej przybrać rozmiary wołu. Piękno nie objawia się szeregiem efektów, ale od początku do końca sprawia wrażenie spokojne, a zarazem potężne przez doskonałe zrównoważenie wszystkich warunków sztuki, ta właśnie równowaga jest cechą geniuszu.

Artysta, mówi dalej Gounod, powinien przedewszystkiem mieć na uwadze dwie rzeczy, których krytyka dać nie może, jeśli ich sam nie posiada, ani też nie zdoła ich odebrać, jeśli je otrzymał w udziale. Naprzód powinien słuchać wiernie poszeptu własnego uczucia; powtórę obowiązany jest pilną i wytrwałą nauką zdobyć techniczną wiedzę.

W uczuciu odbijają się osobiste wrażenia, w niem leży indywidualność artysty, wiedza techniczna zaś czyni nas panami języka, którym doznane wrażenia wypowiadamy. Uczucie to prawo osobiste, wiedza techniczna to obowiązek powszechny. W tém zawarte całe prawo, poza tém nic i nic!... ani moda, ani krytyka nie tu poradzić nie zdołają.

Dowcipnie żartuje Gounod z artystów, goniących bądź co bądź za efektem. Do nich-to stosuje zabawną parabolę.

Jedni państwo, mówi, utracili żonatego przyjaciela; na wieść o tém postanawiają odwiedzić wdowę. W drodze naradzają się w jaki sposób okazać jej współczucie. „Strzeż się tylko, rzeczże mąż do żony, byś nie okazała więcej żalu niż wdowa.“

W taki to błąd, dodaje Gounod, wpadają artyści dzisiejsi; przesadzają prawdę. Kto chce zbyt wiele dowieść, nie dowiedzie niczego.

Przesadę w tworzeniu systematów określa kompozytor jednym słowem: to istna herezya. Twórca systematu mniema, że posiada całą prawdę, chce wszystko zreformować. Nie wspominajmy mu o wcześniejszych arcydziełach, te nic u niego nie znaczą, nowa metoda wszystko przeistoczyła. Nie wolno już czuć się wzruszonym doraźnie, po prostu: trzeba być poruszonym systematycznie, Nie należy śmiać się ani płakać, bez pozwolenia systematu. Wypada żyć, cierpieć i umierać według systematycznych prawideł, tak jak czynili pacjenci molierowskich lekarzy.

„Przekonany jestem najsilniej, kończy Gounod, że w sztuce nie trzeba należeć bądź do jednego stronnictwa, każde bowiem jest tylko jedną stroną prawdy, nie zaś całkowitą i zupełną prawdą. Jeżeli mnie porusza Mozart albo Rossini, Mejerbeer lub Mendelson, Verdi albo téż Wagner, przyjmuję wrażenie bez oporu, zachowując większe upodobanie w tych mistrzach, których uczucie i forma więcej odpowiadają potrzebie mego serca i rozumu, co należy już do osobistej sympatii, a nie do przesądu bynajmniej rzeczywistej wartości ich utworów.“

Gounod powstaje energicznie na tę sekte, która usiłuje skrepić sztukę prawidłami swemi i kierować opinią stosownie do głoszonych przez siebie zasad.

„Sztuka, mówi bardzo trafnie, liczy dziś za wiele słońc, abyśmy ją mieli zwrócić ku drogom mlecznym. Te zajmują większą przestrzeń niżeli słońce, ale słabsze wydają światło.“

W dniu 10 sierpnia, najskwarniejszym z dni tegorocznych, upał bowiem przechodził 30 stopni, w mieście La Chatre odbyło się uroczyste odkrycie pomnika Georges Sand, dłuta Aimè Milleta. Piękny ten pomnik przedstawia autorkę w siedzącej postawie, poważną, zamyśloną, z piórem w ręku. Inną zapewne widziały ją te miejsca, kiedy w męzkim stroju, na rączym biegunie, z płóciastym okiem, przebiegała okoliczne lasy i pola, tworząc w wyobraźni fantastyczne typy Indyanny albo Lelii.

Do tysiąca osób zasiadło na honorowej estradzie: przydował Lesseps, otoczony gronem delegatów od różnych towarzystw literackich i dramatycznych. Akademia francuzka tylko, najpoważniejsza z ciał naukowych, odmówiła udziału swego w uroczystym obchodzie. Korzystał z tego nieprześlągany wróg Akademii Arsene Houssaye. Jako prezes Towarzystwa literatów, zabrał głos w bardzo oryginalny sposób. Oto krótki ustęp z jego mowy:

„Geniusz nie należy do męzkiego ani żeńskiego rodu. Są męzczyźni, piszący po niewieściemu, jak są kobiety, piszące po męzku. Utrzymywano, że żadne arcydzieło nie wyszło z rąk niewieścich: to wierutna bajka. A naprzód kobiety są matkami, wychowują ludzi; nie dosyć na tém, tworzą dzieła, nawet i arcydzieła.

Akademia francuzka wyrządziła zatem krzywdę kobietom. Rozumiemy, że kobieta nie wchodzi na trybunę, rodzina woli widzieć ją pod dachem domowym, ale nie rozumiemy, dla czego kobiety wykluczone z Akademii francuzkiej. Bo i czemuż jest sama Akademia? Niekiedy starą matroną, to znów przymilającą się zalotnicą, lub też pedantyczną sawantką. Dom jej nie jestże wytwornym salonem i czemuż drzwi jego zamknięte przed kobietami? Nie zapuszczając się w dalekie czasy, któż z nas nie żałuje, że panie de Staël, Delfina Girardin, genialna Rachel i Georges Sand, nie znalazły miejsca w Akademii francuzkiej? Szczęśliwsze od niej Towarzystwa literatów, uświetniły się imieniem Georges Sand, tej nieśmiertelnej acz bez Akademii.”

Albert Delpit, w imię Towarzystwa autorów dramatycznych, podniósł zasługi autorki na tém polu. Zatrzymał się szczególniej na tych utworach, w których Georges Sand wyprowadza na scenę lud roboczy: „Tyś sama jedna — rzekł — umiała zarzucić płaszcz purpurowy poczci na ramiona wieśniaka i wyrobniaka. Twoje sceny wiejskie, spokojem i prostotą, przypominają arcydzieła, jakie Millet wykonał tworzącym pędzlem: też same wizye przedstawiały się oczom naszym; czuliście oboje, że artysta powinien patrzeć w górę i tam ucześcić konicę swoją.”

W parę dni po inauguracji pomnika, Calman Levy wydał szósty tom korespondencji Georges Sand. Owe listy, pisane w ostatnich latach życia, odnoszą się po wielkiej części do czasu wojny pruskiej i komuny. Bolesć z każdego tryska słowa. Gorąca patryotka ostro wyrzuca tym, którzy wypuścili z rąk władzę i oddali ją na łup ślepym szaleńcom.

„Biędny lud! — pisze na wieść o zawiązaniu komuny — biędny lud! popełni mnóstwo gwałtów i zbrodni, i stanie się w końcu ofiarą krwawej pomsty.

„Na prowincyi utrzymują, że to stronnictwo zaprzędane pruskom: oto cała korzyść jego ulicznych tryumfów. Wywołać musi straszny odwet. A prusacy? oni może zakończą bratnią walkę. Jakaż to hańba dla Francyi!”

Wkrótce potem Georges Sand pisze znów do Flauberta.

„Nikczemne próby, jakich Paryż dopuszcza się lub jakie znosi, nie zmieniają poglądu mego na wiekuiste prawa postępu. Od dawna już pogodziłam się z cierpliwością; przyjęłam ją, jak przyjmuję niepogodę, zimę, starość, słowem wszelkie niepowodzenia.

„Nie to mnie zasmuca. Kiedy uschnie drzewo, trzeba w jego miejsce posadzić nowe. Przyczyną smutku mego słabość serca, którą pokonać nie umiem. Cierpienie, a nawet złość drugich, odgania sen z mych powiek. Żal mi tych, co źle czynią; ich stan moralny przenika mnie boleścią. Bierze nas litość na widok spadłej z gniazdka ptaszyny, a jakże nie żałować tylu sumień zagrzebanych w kałuży? Mniej cierpiałam podczas pruskiego oblężenia. Kochaliśmy ten nieszczęśliwy Paryż, wystawiony na klęski; témwięcej cierpimy, że go już kochać niepodobna! Inni znienawidzili go śmiertelnie. Cóż na to odpowiedzieć? Nic!... Pogarda Francyi dla Paryża jest może słuszną karą!”

W liście do Dumasa, Georges Sand surowo potępia ówczesną przemowę Wiktora Hugo: „Piękną miał Hugo sposobność do milczenia, czemuż nie umiał z niej korzystać? Chciwi popularności, którzy kochają tylko lud dla poklasku i wotów, nie mają odwagi powiedzieć mu wręcz: „dzisiaj kochanku jesteś bezczelnym!” W takich-to chwilach potępienie zbrodni i gwałtów, daje miarę szczerości republikańskiej.“

Większa część tych listów pisana do Flauberta. Żywa przyjaźń łączyła Georges Sand z tym głośnym powieściopisarzem, który niejako tworzy ogniwo między ogładnym (!) realizmem Balzaka, a naturalizmem Zoli i całej jego szkoły. Jak tu zrozumieć przyjaźń, gdzie taka przepaść dzieli pojęcia i charaktery? Flaubert przyjmuje z sarkastycznym uśmiechem na ustach, dysekuje serca anatomicznym nożem; Georges Sand, zapatrzona optymistka, błąka się po bezdrożach, ale goni wiecznie za ideałem zrodzonym w jej własnej wyobraźni. Ale co tu rozprawiać o uczuciach? serce ludzkie niewytłómaczoną jest zagadką. Słowem, między zagorzałą autorką Lelii, a zimnym jak lód autorem pani Bovary, zawiązała się żywa przyjaźń: dowodem na to obszerna korespondencya. Oto parę wyjątków bardzo oryginalnych:

„Biędny mój przyjacielu, Kocham cię tém więcej, że coraz widzę cię nieszczęśliwszym. Jak się ty dreczysz! jak ci dolega życie! Skarżysz się bezustanku, a dla kogoż kiedykolwiek życie bywało lepszym? Czujemy je mniejwięcej, rozumiemy mniejwięcej, ztąd mniej lub więcej cierpimy nad niem, a im dłużej żyjemy, témwięcej sprawia nam udręczeń. Przesuwamy się jak cienie na tle chmury, przez którą czasem przebija promyk słońca i wołamy wiecznie o to słońce; ależ do nas należy rozpedzić chmury nasze.

„Zanadto ukochałeś literaturę, ona cię zabija, a ty nie zabijesz głupstwa ludzkiego. Biędne, kochane głupstwo! ja nie gardzę niem wcale, patrzę na nie po macierzyńsku, bo i czémże jest głupstwo, jeśli

nie dzieciństwem, a wszelkie dzieciństwo święte dla mnie. Z jakąż ty ścigasz je nienawiścią, jak zawzięcie z niem walczysz!”

A oto inny list, pisany po śmierci poety Ludwika Bouillet, którego dzieła wydał Flaubert wraz z krytyczną rozprawą.

„Twój wstęp wspaniały, książka cudna — pisze Georges Sand. Tak jest, masz słuszość, nie stał on w drugim rzędzie, wbrew temu, co wyrzekła krytyka, która dziś wszystko niszczy, a nic nie tworzy sama. W ten prosty życiorys przelałeś serce twoje. Rozumiem teraz, czemu umarł tak młodo: umarł, bo zanadto żył duchem. Proszę cię, nie zatapiaj się tak w literaturze i erudycyi. Ruszaj się, przenoś z miejsca na miejsce, ożeń się lub zakochaj, rób co chcesz, a przynajmniej nie pracuj z taką zawziętością!

„W starych moich latach, rzucam się jeszcze niekiedy na potok miłego far niente. Zabawy najdziecinniejsze, najgłupsze wystarczają mi; wracam z tych wybryków krzepka i uspokojona.

Ta przedwczesna śmierć Bouilleta wielką jest klęską dla literatury. Za lat dziesięć nie zostanie nam ani jeden poeta.

Twój język piękny i dobry. Są tam mistrzowskie karty, a jednak gawieź przeczyta je i nie znajdzie w nich nic szczególnego.

Ach! gdybyśmy nie mieli w sobie tej małej wewnętrznej pagody, dokąd uciekamy potajemnie, by rozmyślać nad prawdą i nad pięknem, trzeba by nieraz spytać: i na co się to przyda?”

W dzień urodzin swoich pisze do Flauberta list nadzwyczaj wesoły: „Skończyłam lat 68, zdrowie mam doskonałe, mimo kaszlu, który daje mi przeciw spać, odkąd zanurzam go codzień w małej, ale bystrzej rzeczujące, zimnej jak lód, co pieni się i rozpryska wśród kamieni, kwiatów i wielkiej trawy, pod rozkosznym drzew cieniem. To kąpiel idealna.

„Mieliśmy tu okropne burze: piorun uderzył w ogrodzie naszym, a rzeczka Indra wezbrała jak potok pirenejski. Cóż to za pyszne lato! Zboża wyrosły na sedm stóp; wśród kłosów błyszczą kwiaty; wieśniacy utrzymują, że ich zanadto; niech sobie mówią co chcą, lecz to pięknie. Chodzę do rzeczki pieszo; zmęczona wchodzę w zimną wodę. Doktor nazywa to szaleństwem; niech mówi co chce, ja tymczasem leczę się, kiedy jego chorzy umierają. Mam naturę trawy polnej: woda i słońce, oto wszystko, czego mi potrzeba!”

Miłość dla ludu wiejskiego odbija w tych listach i szczególny nadaje im urok. Nazajutrz, po krwawej klęsce pod Forbach i Wörth, po długiej suszy, która groziła głodem, Georges Sand pisze do przyjaciela: „Deszcz pada na koniec; okropna burza podruzgotała wszystko. Wieśniak orze zagon, przewraca zmokłe siano, grzebie w ziemi, czy smutny, czy wesoły. On głupi — mówią ludzie: to bajka! on umie być dzieckiem w pomyślności, mężem w nieszczęściu, stokroć lepiej niż my, którzy skarżym się bezustannie. On nie wyrzeczce słowa, a podczas, kiedy drugich zabijają, sieje, zbiera, pracuje, naprawia z jednej strony to, co niszczą po drugiej.”

W innych znów listach, kochająca babka z upodobaniem powtarza dowcipne słowa wnuczki: „Moja Aurora zdrowsza, pisze w jednym z nich, ale grymasi jak ją czeszą. Dziś rano rzekła do mnie: Jakbym ja chciała mieć taką łysą głowę jak Charles Edmond (Chojecki); dałabyś mi pokój babuniu.“ Po chwili zapytała mnie znowu, dla czego włosy prędkiej wypadają mężczyznom niż kobietom? Odpowiedziałam, że kobiety daleko rozsądniejsze, dla tego nie łysieją. Dziewczynka jednak nie uwierzyła temu. Żartujesz babuniu, rzecze po krótkim namyśle: kobietom nie brak włosów, bo się stroją w cudze, kiedy nie mają swoich.“

Z La Chatre Ferdynand Lesseps udał się na wschód Francji do miasta Besançon, gdzie przydował inauguracji innego ponnika, poświęconego wynalazcy żeglugi parowej, Klaudyuszowi Jouffroy. Postać to nadzwyczaj zajmująca. Jouffroy należał do tych fanatyków nauki, którzy, odkrywszy wielką prawdę, poświęcili życie całe jej rozpowszechnieniu, a których mozolna praca staje się dla drugich piedestalem do chwały, gdy tymczasem sami umierają w nędzy i zapomnieniu, wystawieni częstokroć na szyderstwa i złą wolę współczesnych.

Urodzony w r. 1751 w Franche Comté, w starożytnym gnieździe rodzinnym, Klaudyusz okazywał od lat dzieciennych szczególne zamiłowanie w mechanice. Bezustannie wybiegał z domu do kuźni lub stolarskiego warsztatu, chwycił z rozkoszą za hebel, piłę, lub młot kowalski, z wielkim zgorzeniem rodziców, którzy pojąć nie mogli, aby dziedzic wielkiego rodu mógł mieć takie upodobania.

Z woli ojca wstąpił do pułku Burbonów. Ale samowolny młodzian, nie mógł nagiąć się pod prawa karności wojskowej. Po gwałtownym zajściu z hr. d'Artois, późniejszym Karolem X, wygnany został na wyspę św. Małgorzaty. Tam, przyglądając się galerom w przepływie ich po morzu, począł rozmyślać, czyby nie można ułatwić mozołu biednym majtkom i zastąpić wiosła siłą pary. Na tych poszukiwaniach szybko zbiegły dwa lata. Wróciwszy do Paryża, pracował wytrwale w tym kierunku, ale napotkał niezłomny opór w ówczesnych inżynierach. Wyśmiany, okrzyczany szaleńcem, młody Jouffroy, zagrzebał się we wsi rodzinnej. Tam, przy pomocy wiejskiego kotlarza, Pourchot, wykonał maszynę parową, arcydzieło geniuszu i cierpliwości. Poruszony nią statek, ukazał się na rzece Doubs w roku 1776.

Spostrzegając niedostatki pierwszej próby, młody Jouffroy zbudował ulepszony parostatek na kołach. Wobec 10,000 widzów, puścił go na Saonę w Lyonie w r. 1783. Akt urzędowy poświadczył ważność wynalazku. Przez rok cały parowiec przepływał rzekę w poprzecz. Mimo to minister Calonne odmówił przywileju wynalazcy: żądał nowych prób na Sekwanie.

Jouffroy nie miał na to dostatecznych funduszków. Przerwała wreszcie prace jego burza rewolucyjna.

W r. 1803, po śmierci rodziców, objął w posiadanie wieś Aubans. Majątek był zniszczony, zamek rozsypywał się w gruzy. Czegoż jednak nie pokona dzielna wola? W braku pieniędzy Jouffroy przy pomocy synów, rozwała jedno skrzydło feudalnego zamczyska; belki i żelastwa poświęca na budowę nowych modeli.

Jakim sposobem Napoleon nie odgadł geniuszem swoim uieoblczonych następstw tak wielkiego wynalazku? należy to do tajemnic, których nie przeniknie rozum ludzki!

W r. 1816, Jouffroy znalazł protektora w tymże hrabi d'Artois, z którym zajście w młodych latach naraziło go na wygnanie. Parowiec jego ukazał się na wodach Sekwany, ale kompanie angielskie pochwyciły już pomysł, wystąpiły do konkursu i odniosły zwycięstwo.

Jouffroy, zrujnowany do reszty, opuścił wieś rodzinną i przeniósł się do Paryża wraz z żoną, która dzieliła jego prace, pociechy i zawody. Podczas gdy mąż bił młotem, biedna kobieta sprzedawała drobne robótki na utrzymanie domu.

Śmierć wiernej towarzyszki, ostatnim była ciosem dla genialnego mechanika. Pozbawiony środków do życia i opieki, schronił się do domu inwalidów.

W r. 1827, Franciszek Arago odkrył przypadkiem w dokumentach niezbite dowody, jako Jouffroy był prawdziwym wynalazcą parostatków. Pisma naukowe uznały jego prawa. Niestety! było to za późno! Starzec, złamany wiekiem i zawodami, dogorywał w cichy ustroni. Umarł w r. 1832.

W lat dwanaście potem, na mocy królewskiego wyroku, imieniem jego nazwano jedną z celniejszych ulic paryzkich. Odtąd imię Klaudyusza Jouffroy zastępnęło w świecie naukowym. W roku 1860 spopularyzował je Ludwik Figuier w dziele p. t.: „Cuda nauki.”

Mimo to jednak głos powszechny przyznawał Dyonizemu Papinowi pierwszy wynalazek parowców. W owacyach jubileuszowych na cześć jego, w r. 1880 Jouffroy nie był nawet wymieniony. Dobodło to do żywego rodzoną wnuczkę Martę Jouffroy. Zaprotestowała silnie przeciw popełnionej niesprawiedliwości, w obec senatorów i deputowanych z Franche Comté, co więcj znalazła w Lessepsie gorliwego opiekuna. Dzięki jęj zabiegom, w roku 1881 Akademia nauk wskazała imię Klaudyusza Jouffroy, jako zasługujące na wdzięczność narodową. Pobudzone tém miasto Besançon zapragnęło uczcić go pomnikiem. Posypały się hojnie składki.

Ten to właśnie pomnik odkryto w dniu 17-ym sierpnia. Zdobi on wodotrysk na wielkim placu miejskim. Posąg wykonany dżutem rzeźbiarza Gauthier, w szlachetnej postawie wynalazcy ukazuje zarazem wielkiego pana i prostego robotnika w chwili wielkiego tryumfu, gdy rozwiązał problemat. Po trzech bokach piedestału pięknę płaskorzeźby, przedstawiają trzy najważniejsze chwile z życia Klaudyusza

Jouffroy. W pierwszej z nich dorodny młodzian wydaje polecenia wiejskiemu kotlarzowi. Druga ukazuje pierwszy parostatek, podobny do arki Noego, płynący po Saonie wzdłuż wybrzeży Lyonu, przy polasku niezliczonych tłumów. W trzeciej zmarły starzec leży na łożu śmiertelném w ubogiej celi domu inwalidów, stary wiarus płacze u wezgłowia, wkoło rozrzucone księgi i plany. Na frontowej płycie wypisane imię i nazwisko, data urodzenia i śmierci.

Lesseps w krótkiej, ale gorącej przemowie, skreślił rys życia wielkiego wynalazcy, poczem złożył publiczny hołd obecnej wnuczce, której zabiegi wywołały wielką manifestacyą. Towarzystwa muzyczne z okolicznych miast defilowały następnie przed pomnikiem, wygrywając melodye narodowe. Z kolei wystąpiło Towarzystwo alzackie ze Strasburga ze zwiniętym sztandarem, pokrytym czarną krepą. Dreszcz przebiegł po całym zgromadzeniu, głucha cisza zapanowała w tłumie, ale milczenie to wymowniejszém było nad wszelkie niewczesne okrzyki. Niejedna łza upadła na sztandar, niejedna potoczyła się po licu zgromadzonych.

Pisma tutejsze powtórzyły ciekawą konferencyą profesora Jett z Glasgowa, o wpływie dziennikarstwa na opinię publiczną. Udowodnił prelegent, że w starożytności podobny wpływ bynajmniej nie istniał. Wówczas-to monarchowie sami kierowali opinią publiczną; proklamacye ich obejmowały wiadomości bieżące, a zarazem wskazywały jak się wypada na nie zapatrywać. Kilka linii wystarczało na oznajmienie i osądzenie wypadku, jaki za dni naszych wywołałby setki artykułów i tysiące depeszy. Jako wzór dziennikarstwa w starożytności, przytoczył profesor następującą proklamacyą króla Artakhshatra, zwanego pospolicie Artakserksesem.

„Przyciągnął z wozami. Mienił się stryjecznym bratem moim. Skłamał. Wbiłem go na pal. Jam Artakhshatra. Odarłem ze skóry jego braci i krewnych. Jam król, syn Daryawuska. Ukrzyżowałem dwa tysiące przedniejszych mieszkańców. Jam sławny, jam wielki i dobry!”

Atheneum angielskie podaje nieznaną szczegóły o śmierci słynnego podróżnika Cooka i o stosunkach jego z tubylcami wyspy Sandwich. Tradycye miejscowe zebrane przez misjonarzy opowiadają, że Cook czczony był jako bóstwo, według zwyczajnych w kraju rytuałów. Pomieszczony między dwoma wykutemi z kamienia bałwanami, uwieńczony w kwiaty, przyjmował hołdy i czcłobitność ludu. Krajowcy dotąd nie mogą przebaczyć sobie jego śmierci. Dnia jednego gdy żołnierze angielscy złupili świątynię w obecności Cooka, czemu on nie stawiał oporu, jeden z tubylców uderzył go w kark maczugą, chcąc się przekonać, czy był rzeczywiście bogiem. Cook jęknął boleśnie. Słyszając to lud zamordował go z gniewem. Gdyby był bogiem, mó-

wiono, nie uczułyby pocisku. Drogo biedny Cook przyplacił swoje bóstwo!

Samuel Longfellow, brat słynnego amerykańskiego poety, wykończył obszerny jego życiorys wraz z poglądem na literackie prace. Będzie to niewątpliwie znakomite dzieło, Longfellow bowiem, sposobiąc się na profesora literatury powszechnej w Haward-College, przebywał długi czas w różnych ogniskach europejskich: Paryżu, Londynie, Rzymie, Florencji i Wiedniu. Znał przytem wiele nowożytnych języków i utrzymywał korespondencyą z uczonymi różnych narodowości. Spisywał codziennie wypadki i wrażenia, brakło mu tylko czasu, by uporządkować te zapiski i zamienić je w pamiętnik. Z tak bogatych materiałów łatwo przyjdzie ułożyć, nietylko zajmujący życiorys, ale co więcej obszerny zarys literatury współczesnej.

Podczas gdy w Europie odbywają się coroczne kongresy w celu zabezpieczenia własności literackiej, Stany Zjednoczone niechęcią słyszczą o żadnych międzynarodowych układach. Silne stronnictwo występuje przeciw nim z całą zaciętością. Interes ludu amerykańskiego, mówią antagoniści, powinien iść przed innymi względami. Owóż lud amerykański pragnie mieć dobre i tanie książki, rząd zatem nie powinien zapominać o tém w układach o własność literacką.

KOCHANOWSKI W PARYŻU.

WSPOMNIENIE JEDNÉJ CHWILI Z ŻYCIA POETY.

(PRZYSZYNEK DO CHARAKTERYSTYKI OBYCZAJÓW WIEKU
ODRODZENIA) ¹⁾.

PRZEZ

Adama Rządewskiego ²⁾.

Kochanowski przez czas studyów swoich paryzkich, zamieszkiwał w tak nazwaném „Collegium Lombardarum,” przy rue des Carmes, założoném jeszcze na początku XIV wieku przez wspólne siły ludzi bogatych, pragnących przyjść z pomocą uczącej się młodzieży. Do tego kolegium ciągnęły go dwa względy: najprzód, że wykładali tu słynni profesorowie, powtóre, że tu osiedlili się towarzysze jego, Andrzej Patrycy Nidecki, znakomity klasyk, późniejszy biskup wendeński, oraz za polaka już całkowicie uznawany, Andreas Dudicius z Horehoviec ³⁾.

¹⁾ Dokończenie.—Patrz zeszyt wrześnieowy, 1884.

²⁾ Podług tego należy sprostować omyłkę, jaką popełniono w zeszycie wrześnieowym drukując nazwisko autora mylnie St. Rz. *Red.*

³⁾ Wobec gołosłownych twierdzeń autora, piszącego literacki utwór fantazyi bez uwzględnienia dokumentów historycznych, zaznaczyć tu wypada, iż równém prawem możnaby przypuścić, że Kochanowski uczęszczał do Collège des trois langues, czyli dziś t. zw. Collège de France, założonego przez Franciszka I na wzór Akademii włoskich, gdzie obok filozofii, matematyki i medycyny, wykładano język hebrajski, grecki i łaciński. Kolegium to założone w celach czysto humanistycznych, by studentom Sorbony, trzymającą się scholastycznej metody, ułatwić dokładne poznanie literatury starożytniej, zdobyło sobie w w. XVI szeroki rozgłos w świecie wykładami Vatablo'a, Danèsa, a następnie Turneba. Wątpić jednak należy, czy Kochanowski po gruntownych studyach, odbytych w ognisku humanizmu w Padwie, mógł szukać jeszcze uzupełnienia wiedzy klasycznej w Paryżu. Prawdopo-

Młodzież, studując naprzód we Włoszech, nabyła już przez to samo prawa zapisywania się we włoskim konwikkie, a lubo nadsyłane naszemu Janowi środki przez brata Kacpra z kraju, pozwalały mu na wygodniejsze aniżeli w kolegium życie, wszakże młodź ówczesna, nie rozpieszczona wcale, wielkich nie miała wymagań, a w kolegium takim był zawsze dach pewny nad głową, było łożo, acz nie puchami zasłane, ale dla młodego wieku aż nadto wygodne, były i utra muros wykłady i siaka taka książnica, a przedewszystkiem mili towarzysze. Zewnętrznie nie wyglądała taka kolonia studencka zbyt bogato. Mieszkanie na trzecim piąterku, wysunięte na facyatce, gdzie się nasi rodacy miescili, składało się z dwóch nierówniej wielkości komnat, wyłożonych ceglaną posadzką. Pierwsza izba duża była i światła i w niej w guście obozowych legowisk urządzili sobie łoża Patrycy i Dudycz, tudzież do wspólnych studyów znajdował się tu stół wielki, koloru naturalnego dębu, żadną farbą nie powleczoney, świecący, kilka krzesel wypłatanych trzcina, szafa z pułkami na skrypta i książki, z biblioteki królewskiej wypożyczone.

Kochanowski nie ze względu na elegancją, gdyż tój wielkim zwolennikiem nie był, ale ze względu na samotność, jakiej potrzebę często Apolinowe dzieci uczuwać zwykły, urządził sobie przytułek w ciasnej, do owej wielkiej izby przytykającej alkwie, gdzie nieład prawdziwie poetyczny panował. Na malenkim stoliku kartelusze papieru, zapisane drobnym pismem. Tam kupiony u jakiegoś włoscha handlarza gipsowy medalion Apolina, ówdzie zarzewiała szpada. Księgi lub pergaminowe wzorzysto malowane rękopisy, rozwarte bądź na stoliku, bądź na krzesłach.

Cały ten kącik przypominał wyraźnie artystę i poetę, ale nie brak tu było także i czystopolskiego narodowego piętna. Nad łożem mianowicie, w złote ramki oprawny, wisiał mały obrazek Częstochowskiej Panienki ¹⁾, a pod konterfektem jój ciemnym i jakby zakopcone-

dobnie pociągało go tu raczej życie literackie, rozbudzone wpływem Ronsarda. Czy jednak z nim zostawał w tak bliskich, jak chce autor, stosunkach, rzecz niemniej wydaje się wątpliwą. Gdyby w istocie tak było, pewnie Kochanowski byłby o nim coś więcej napisał nad to: że go widział (Ronsardum vidi... ks. III. El. VIII). Tak się wyrażamy o osobach, którym zdaleka tylko, lub też w ciągu krótkiego, osobistego spotkania, mogliśmy się przypatrzeć. Że zaś dla niego miał słowa podziwu, to jeszcze nie dowodzi niczego; inaczej należałoby przypuścić, że i z Henrykiem II utrzymywał przyjacielskie stosunki, gdyż w téjże samej Elegii i jemu dłuższy ustęp poświęca. Wreszcie autor myli się, gdy do przyjaciół paryzkich Kochanowskiego i Andrzeja Patrycego zalicza. Gruntowne studjum prof. K. Morawskiego o tym humaniście (Andrzej Patrycy Nidecki, jego życie i dzieła. Kraków, 1884 r.) nic nie mówi o jego pobycie w Paryżu.

Red.

¹⁾ Autor popełnił tu rażący anachronizm. W XVI bowiem wieku

mi farbami namalowanym, nakrzyż na dwóch gwoździach założona gałązka bylicy ze złocistą wierzbina. Roślin tych, również na obcej jak i na naszej ziemi rosnących, nie dostrzega łatwo oko obojętne, ale ten, komu wspomnienie ojczystego kraju głęboko osiadło w sercu, potrafi je dostrzedz, bo one wonią łąk ojczystych do serca jego przemawiają.

Kochanowski, nie chcąc współmieszkańcom swoim snu przerywać, wymykał się przeto bardzo rychło do swojej alkowy, gdzie zażegł kaganek i zrzucawszy ze stołka nagromadzone tam szaty, siadł i białe swe czoło podparłszy dłonią, w głęboką zapadał zadumę.

Czy myślał po wspomnieniach ubiegłego dnia krążyć, czy ku hipokreńskim zwracał się źródłom, trudno to wiedzieć. Wnet jednak mimowolnie przysunął do siebie leżącą na stoliku białą kartę papieru i zaczął szybko coś pisać. Czy kreślił list do rodziny, gdzie myśl z formą, jaką przybiera, nie rachuje się wcale i płynie jak fala szybkiego potoku? Bynajmniej.

Kochanowski pisał bowiem wiersz i to wiersz łaciński, jeden z najpiękniejszych pod względem formy. Jeśli rzymska mowa była do tego stopnia posłuszną woli poety, to o ileż wdzięczniejszymi tony on się odezwie, jeżeli w polski, rodzinny swój bardon uderzy?

Dwie ćwiartki papieru drobniutkim zapełniwszy piórem, gdy już jutrzienka do komnaty zaglądać poczęła, przeczytał sobie półgłosem co był napisał.

Musiał snąć utwór ten przypaść mu do gustu, bo się czuł zadowolonym i rzekł cicho:

— To mu przecież podobać się powinno. — I głośno odczytał po raz wtóry ustęp następujący:

Tutaj dał mi się widzieć ów Ronsard wstawiony,
Co do mowy ojczystej nawiązuje struny,
Słyszając go, ledwom nie rzekł, że to Orfej wtóry
Lub Amfion układa siedmiobrane mury,
Że rzeki zachwycone pęd swój zatrzymały
I na głos niesłyszany ruszyły się skały...

— Tak — wyszeptał — to mu przecież podobać się powinno, boć talent każdy o tyle, o ile na nim współcześni poznać się umieją, dostaje nowych sił i nowych skrzydeł do lotu.

Jak pomyślał tak uczynił.

Ronsard otrzymał około południa kopią epistoły do Sygoniusza, jedną z najpiękniejszych co do języka i co do formy elegii łacińskiej

część dla „Częstochowskiej Panienci” nie była jeszcze zbyt upowszechnioną w narodzie. Stało się to dopiero od połowy XVII wieku, t. j. od najazdu szwedzkiego i bohaterkiej obrony Częstochowy przez Kordeckiego w roku 1655.

Hel.

Kochanowskiego, która zachwyciła go do tego stopnia, że lubo wieszca polskiego z próbek, jakie słyszał, cenit wysoko, to teraz wielki powziął dla jego talentu poetyckiego szacunek.

Zaraz więc, po odebraniu listu, nawiedził Jana w owęj szkolnej kwaterze i nietylko na nim, ale i na towarzyszach jego wymógł słowo, że po upływie tygodnia, wraz z Ossolińskim w jego zamku rodzinnym, zwanym Poissonière nawiedzić go raczą.

Polacy dali słowo, boć zaproszenie było niezmiernie serdeczne, a ten, który je czynił, do pospolitych ludzi nie należał.

* * *

Z Paryża do kraju zwanego Vendôme, droga niezbyt długa, a urozmaicona bującą roślinnością okolicznych łąk. W naszym zimnym i często przez sześć miesięcy mrozącym lub śnieżącym klimacie lato, jakby chcąc kompensaty za chłody dać ludziskom, praży gorącemi słońca promieniami; we Francyi zaś zimy prawda są lekkie, ale też i lata wcale nieupalne: miesiąc lipiec miłém ciepłem tchnąc po kraju, ognistym żarem nie nuży, sił człowiekowi nie odbiera i w ożywionej naturze rozkoszować się dozwala.

Wycieczka taka o tyle zresztą miłszą bywa, o ile droga przez rozkoszniejsze miejsca prowadzi, a już dolina, nazwana Naux du Loir, ciągnąca się blisko na sześć mil, jest nieustającym ogrodem, naprzemiany z owocowych sadów, z sianozęci i małych poletek ziemi, zbożem obsianych złożona. W dali widnieją murowane wieżyczki małomiasteczkowych kościółków, wioski białemi świecą ścianami, rzeka z zieloną barwą płynie w pośrodku, a ponad tēm wszystkiém niby namiot wspinały, zawisło niebo błękitne bez chmurki, które atoli zachowuje tę uroczą wiosenną barwę, nie nabierając nigdy koloru opalowego, który suszą matce ziemi grozi.

W samęj głębi i w najbardziej zacisznym kącie rozkosznej owęj doliny wznosiło się rodzinne gniazdo Ronsardów, zamek, zwany la Poissonière.

Ponieważ poeta, Piotr Ronsard, najmłodszym był z sześciu braci, przeto posiadłość ziemską w działach mu się nie dostała, a gdy dwóch braci zmarło jeszcze w niemowlęctwie, a dwóch służbę duchowną przyjęło, przeto zamek stał się własnością Klaudyusza, który się rycerskiem zatrudniał rzemiosłem.

Klaudyusz de Ronsard, w epoce o której mowa, miał już małżonkę ze szlacheckiego domu de Tierreclin i doczekał się z nią potomstwa; ale że usługi przy Henryku II często obecności jego na dworze wymagały, przeto na miesiące całe z żoną, dziećmi i całym taborem gospodarskim przenosił się do Paryża lub Fontainebleau. Jeśli w chwilach takich młodszemu bratu, Piotrowi, przyszła wtedy ochota użyć wiejskiego wczasu, w zamku rozporządzał się już wtedy jak gospodarz, a pobożna i w obyczajach swych skromna żona Klaudyusza, Katarzyna, rada była jeśli honor podejmowania szwagra na nią nie

spadał, gdyż szwagier słynął z dosyć swawolnego życia i przyjeżdżając w odwiedziny, przybywał w towarzystwie młodzieży i niewiast, które chociaż z zacnego pochodziły rodu, próżnością powodowane, w poglądach swoich i w trybie życia towarzyskiego, rade przypominały epokę Peryklesa. Piotr Ronsard nie harmonizował też bardzo z bratową i najczęściej rodzinne gniazdo nawiedzał, kiedy był pewny, że tam nikogo nie zastanie.

Zamek Ronsardów nie przedstawiał obronnego kasztelu feodalnego, pozory twierdzy mającego; ale był rozkoszną wiejską siedzibą, otoczoną zielenią i kwiatami, niepozbawioną atoli wieżyc kolczastych i mostu zwodzonego i kaplicy z podziemiami, w których kryły się prochy przodków, tudzież owęj majestatyczności poważnej, która świadczy nietylko o zamożności, ile o szlachetnej i dawnej prozapii władzców.

Towarzystwo polskie, zdążające do zamku, składało się z czterech młodzieńców: mianowicie Kochanowskiego, przyjaciela jego Ossolińskiego, Patrycego Nideckiego i Dudycza. Wszyscy obyczajem wieku młodego byli weseli i swobodni, w rozmowie ich krzyżowały się dowcipy jak race, a jeden tylko poeta wpadał od czasu do czasu w zadumę, wysokie czoło pod hiszpańskiem o m b r e r o dłonią sobie gładził i nie zważając na gorąco, jakby to było w jesienne chłody, włoski swój płaszcz na piersiach składał i połami się otulał.

— Ten, który za nas wszystkich czuć i płonąć powinien — ozwał się jowialnie Nidecki — podróż jakby ku biegunowi północnemu odbywa, bo lękając się przeziębienia lub kataru, milczy a tylko poty płaszcz ustawicznie na pierś swoją ciągnie.

— Nie znacie zagadki — zawołał, śmiejąc się swobodnie Dudycz — Jan nasz nowe hiszpańskie szaty dzisiaj przywdział i kłopotce się, by żaden pył na drogocenny jedwab nie upadł. A czy wiecie dlaczego?

— No, dlaczego? — pytał Ossoliński, który wbrew rozmownemu swemu humorowi, był dzisiaj jakiś zamyślony i milczący.

— Juścić — odpowiedział Dudycz — lubo znakomitego francuzkiego poetę wysoko ceni i szanuje, niemniej przeto, nie sądzę, żeby do niego tak się wystroił. Liczy, że w zamku tym spotka kogoś, kto oczy ma czarne jak ciarki, margrabską pieczętuje się koroną a używa imienia starożytnego, z którym prawodawca nasz niedościgniony Horacy, to igrał swawolnie, to czołem bił przed niem, wszystkie cechy niewolnika biorąc na siebie.

— Mój Andrzeju — ozwał się cierpko Kochanowski — proszę cię też, abyś z imienia, czy ono starożytne jest, czy współczesne, czy mu Horacy czy Tibullus hołdował, igraszki sobie nie robił. Wiem, że masz na myśli Lidyą i mam honor ci oświadczyć, że jeżeli wdział strój nowy, nie stało się to dla niej, ale dla sławnego poety, który nas cudzoziemców i obcych, w gnieździe swém łaskawie podejmować pragnął.

— Aż i Lidya tam będzie? — spytał zdziwiony Ossoliński.

— Podług wszelkiego prawdopodobieństwa — odpowiedział sucho poeta, jegomość Ronsardus bowiem oświadczał mi, że z damami na wiejski wypoczynek wyjeżdża.

Ossoliński uśmiechnął się jakoś cierpko i zapewne byłby niezbyt pochlebną co do obyczajów francuskiego wieszca wzmiankę uczynił; ale na uwagi czasu było już mało; gdyż ze strażnicy wieżowej zbliżających się gości dostrzegł herold czy odźwierny i w róg myśliwski czy wojskowy uderzył. Most zwodzony z trzaskiem i brzękiem łańcuchów spadł na fosę i odkryta kolasa przybyszów, zatoczyła się na wybrukowany zamkowy dziedziniec.

Front siedziby stanowiła czworokątna, małemi, jak gniazda jaskółcze na rogach zdobna wieżyczkami, czteropiętrowa baszta, której odrzwia bogato marmurami i gipsową sztukaterią wykładane, wznosiły się na wysokości dwunastu z ciosowego kamienia stopni i tworząc głęboką niszę, formowały rodzaj ganku, na którym francuski poeta z odkrytą głową przybycia przyjezdnych czekał. Skoro ich zoczył, z niekłamana zawołał radością:

— A bywajcie-że mi, bywajcie, wy postokroć mili i potysiącokroć oczekiwani. Dzięki wam, żeście danego słowa dotrzyмали i że do owęj wiejskiej głuszy przybywacie.

A zatem Ossoliński, jako to był już człek u dworu wypróbowany i w komplementach biegły, pierwszy z kolasy wyskoczył i w grzeczności nie dając wyprzedzić zaraz odpowiedział:

— Zaproszenie największego z francuzów jest dla nas prawdziwym honorem; przypuszczać więc nawet nie można było, że na tój ziemi obcy i cudzoziemcy zaproszenia jego nie chybimy.

Ronsard ściskając ręce przybyłych, w miarę ich dobywania się z telegi, mówił:

— Cudzoziemcami a obcymi przecież nie jesteście, wy, którzy ze szlachetnego polskiego pochodzicie narodu.

— A toż jakim sposobem? — zapytał rezolutny i zawsze do głębi rzeczy pragnący najpierw dotrzeć Patrycy Nidecki.

— A no, zuchu mój, w sposób bardzo prosty. Może bowiem nie wiecie o tём, że ród mój właśnie z krwi słowiańskiej czerpie swój początek.

— W łaskawości swęj — wtrącił Kochanowski — Miłość Wasza schlebiać nam raczy, aby tём wygodnięj skłonność wspaniałego serca swojego ku nam wytómaczyć.

— Ależ, bynajmniej — odpowiedział poeta — i ponieważ śniadanie zapewne nie zaraz nam podadzą, a damy prawdopodobnie zupełnie gotowe jeszcze nie są, przeto pokażę wam główne ciekawości siedziby tój, gdzie m ujrzał światło dzienne, aby wam tём wymownięj prawdę słów moich stwierdzić.

— O jakichże damach mówi Miłość Wasza? — zapytał ciekawie Ossoliński, a Kochanowski żywym splotnął rumieńcem.

Ronsard spostrzegłszy szkarłat wykwitający na policzkach poety odrzekł:

— Spójrz na ową barwę róż i na ów rumieniec wieszczą waszego, a dopytywać się szczegółówiędz nie będziesz!

— Owóż, może wam, drodzy moi goście nie wiadomo, że jeśli plemię wasze pokrewieństwo uczuwa z temi ludami, które mieszkają nad Dunajem, na pograniczu między Węgrami a Bułgaryą, tam ojcowie i przodkowie moi mieli dawniej swoje posiadłości i tam się rozradzali. Zwali się oni wtenczas Rossart, czy jednak w papierach starych i w odczytywaniu tego nazwiska nie ma omyłki, utrzymywać nie śmiem. Wiadomo tylko, że w czasie wojen Filipa VI, króla francuskiego z Edwardem III angielskim, jeden z członków téj rodziny przyszedł tu z gronem dzielnych słowiańskich rycerzy i na usługi kraju wycieńzonego wojnami się zaciągnął.

Zagłębiwszy się w owo wspomnienie rodzinne, dał się już unieść zamięlowaniu swemu do rymów:

Il s'emploie si bien au service de France,
Que le Roy lui donne des biens à suffisance
Sur les rives du Loir; puis, du tout oubliant
Frères, pères et pays, Français se mariant
Engendra les ayeux dont est sorti le père
Par qui je vy ceste belle lumière.

Kochanowski podszedł do niego i ścisnął mu rękę z uczuciem i serdecznością.

Ronsard, biorąc pod rękę Kochanowskiego, prosił gości dalej ze sobą dla pokazania im swego rodzinnego gniazda. Postępując zatrzymał się przy bramie wjazdowej, gdzie misternie w gipsie wyrobione były herby rodziny i objaśniał:

— Te trzy ryby, które rzędem jedna pod drugą na tle błękitném widzicie, od niepamiętnych czasów herb rodziny naszej stanowią, a poławiają się podobno jedynie w Dunaju i w języku tamtejszym ross się zowią.

— Płocice po polsku — zawołał z radością Kochanowski i zaraz dodał dalej po francuzku:

— Znam je dobrze, gdyż nieraz za lat mych pacholących pełne ich zanadrza z rzeki do kuchni macierzyńskiej nosiłem.

— Napis na herbie w otoku, mówił Ronsard dalej: „Non fallunt futura merentem,“ oby był dobrą wróżbą dla jednego z potomków tego rodu i oby na nim przynajmniej w dziesiątej części jego gorliwych chęci sprawdzić się raczył!

— Mistrzu, zawołał z zapamiętaniem Kochanowski — dziś cię współczesni zowią „le roy des poètes,“ czyż więc może być cześć od narodu większa?

— Lubo dalekie wędrówki w młodych swych leciech robiłem —

rzekł na to Rousard — niestety jednak los mi nie pozwolił dotrzeć aż do kraju waszego. Słyszałem atoli, że wy wolność ponad wszystko ceniąc, do znaczenia majestatu królewskiego wielkiej nie przywiązujecie wagi. Jeżeli więc znaczenie wyrazu książę, princeps, jako najpierwszego i najprzedniejszego może być uważanem, ty więc, mój Kochanowski, księciem poetów winienes być nazwany w swojej ojczyźnie.

— Oby proroctwo wasze, mistrzu, ozwali się na to Dudycz i Ni-decki jak najprędzej się spełniło. A Ossoliński nie dwornym już tonem, jak to u niego w częstym obyczaju bywało, ale z całą szczerością i zupełnym zapamiętaniem zawołał:

— Stanie się, boć nikt chyba w takim stopniu, jak nasz Jan ukochany, ulubieńcem Pieryjskich pańienek nie jest.

— Nietylko Pieryjskich bo i ziemskich — wtrącił rubasznie Ronsard i zaśmiał się głośno, a widząc, że Kochanowski jak dziewczeczka się płoni, dodał w guście nauki i tonem starszego brata:

— I ja nie wątpię, że to, co nasz kochany hrabia powiada, niebawem się spełni, jedną tylko, młodzieńcze, przyjm od starszego przestrożę, przestrożę, którą już raz przy pierwszym poznaniu miałem odwagę ci zrobić. Ukochaj nadewszystko język swój rodzinny a o łacinie zapomnij.

— Oh, drodzy moi, — rzekł Kochanowski rozczulony i na wsze strony przyjaciółom ręce ściskając — azaż ponad mowę ojczystą jest co dla mnie droższego? Ależ trudno, będąc między ludźmi, którzy języka naszego nie rozumieją, trzeba się do powszechniej uciekać łaciny

— Ależ kończmy te oględziny, tam bowiem na nas i towarzysze i damy czekają.

— Jacyż towarzysze? — zapytał Ossoliński.

— W charakterze sąsiada jeden tylko Du Bellay u mnie od kilku dni bawi — odpowiedział gospodarz.

— A tenże młodzian De Baif? zapytał Kochanowski.

— Czy radbyś, Wasza Miłość — rzekł Ronsard, żeby spór między wami, dzięki niegrzecznej jego inicjatywie i tutaj jeszcze się odnowił?

I nie czekając już na odpowiedź, dalsze osobliwości zamku pokazywał.

A było tam rzeczywiście wiele do widzenia, pomijając bowiem dwie czteropiętrowe baszty, herbami i sentencyjami łacińskimi ozdobione, zastanawiała kaplica, przybrana bogato w złocenia i płaskorzeźby, dalej napisy nad oknami, gdzie rozmaite się spotykały sentencye, a najczęściej powtarzała się „Veritas filia temporis.“ Ponad oknami sali zabaw: „Valuptati et gratiis,“ a nad kuchnią „Vulcano et diligentiae.“ Obok kuchni szła zaraz śpizaranja z napisem „Custodia dapum,“ oraz dwie piwnice: jedna ze słowami „Vina barbara,“ druga zaopatrzona przestrożą dla amatorów win krajowych: „Sustine et ab-

stine.“ Do głównego korpusu pałacowego dotykały prawie stajnie, składy paszy dla koni, bażantarnia, kurniki i wszystkie te maszyny, które życie wiejskiego szlachcica w ruch wprowadzić zwykły.

Kiedy minąwszy gospodarskie to obejście do ogrodu wkroczyli i kiedy od starych buków świeżość i chłód parku na nich powiały, z ciemnego gaju wiązów z leszczyną splecionych wyszła do nich postać niewieścia, której ani Ossoliński ani nawet Ronsard nie poznał, ale którą odgadł Kochanowski, rękę bowiem z pod ramienia gospodarza wysunął, mimowolnie zdjął z głowy hiszpański kapeluszyk i z fantazyją albo może niewytłomaczonym jakimś nerwowym drżeniem, czupryny swojej poprawiał.

Była to Lydia, a czy przez kokieterę, wiedząc że jej to do twarzy, czy też dla zastosowania się do miejscowości, w której gościnę chwilową przyjęła, ubrała się w strój wieśniaczek tutejszych. Bujna więc jej kosa rozpleciona i składkami warkocza skarbowana spadała na plecy, spódniczka biała, kolorowemi wstęgami obszyta sięgała za ledwie niżej kolan, odkrywając nóżki jak utoczone, ubrane w ponsowe pończoszki i w drewniane lekkie saboty, które po wyschniętej uliczce ciągnąc, brząkała niemi jakby grzechotnik. Na rozpuszczonych jej czarnych jak kruk włosach w olbrzymią kokardę uwiązana była purpurowa, świetnie odbijająca wstęga, a śnieżystej białości koszulka, kłócąca się barwami z alabastrową matowością jej szyjki, gubiła naturalne swe draperye w przetykanym złotemi nitkami gorsecie.

— Witajcie zacni przedstawiciele szlachetnego narodu, wołała zdala i podawszy im wszystkim do uściśnienia po kolei drobną rączkę, sięgnęła po kwiaty do koszyczka, jaki zawieszony na lewej ręce miała.

Ronsard tymczasem, obowiązki gospodarza pełniąc, Nideckiego i Dudycza margrabiance przedstawiał, a ona śmiejąc się i szczerząc drobne swe ząbki, mówiła.

— Nazwiska wasze dziwnie brzmią i do spamiętania są trudne, dlatego też o nic nie stoję i cieszę się tem, że wszyscy jesteście signori polacchi i ziomkowie tego muz ulubieńca, który przy pierwszym poznaniu tak nas oczarował. — A gdy przedstawieni się kłaniali, ona tymczasem przebierając w koszyczku szczebiotała dalej:

— Za łaskawe i posłuszne przybycie wasze do wiejskiej pustelni na nagrodę zasługujecie, a cóż wam innego wieść jak kwiaty ofiarować może? Wam więc panowie, którzy mądrości żywot swój ślubowaliście, rzekła do Nideckiego i Dudycza, najwłaściwiej purpurowa róża przystoi, boć kolor czerwony jest kolorem mądrości. Wam zaśię słodki poeta, ofiarowałabym chyba jedynie bluszcz, dla czoła waszego najwłaściwszy, lub za to żeście tak pięknie na cześć Bacha nucili, winną latorośl. Gdy atoli w koszu moim roślin bez kwiecia niema, przyjmijcie więc tę oto lilię, której aromat jest równie silny i upajający jak wasze rytmy.

Obdarowani kłaniali się głęboko i każdy radby był otrzymany kwiat na najwidoczniejszym miejscu na piersi swój umieścić, że jednak

przy stroju włoskim i hiszpańskim nie było wielkich petli do guzów, a tylko haftki i kuafle, przeto Lidya, aby kłopotowi temu zaradzić, wyjęła z gorsetu kilka śpilek i kiedy niemi różę Nideckiemu i Dudy czowi przypięła, zbliżyła się następnie do Kochanowskiego.

— Jeśli łaska Waszój Miłości — szepnęła Kochanowski — przypinajcie ją, Mościa margrabianko jaknajbliżej serca.

— I dlaczegoż to? — zapytała z uśmiezkiem figlarnym, a kiedy Kochanowski, zamiast odpowiedzi westchnął tylko zlekka, ona w ciężką, grubą lamę z trudnością śpilkę wbijając, dodała:

— U nas powiadają, że ten, kogo przy stroju ukolą, niezawodnie podobać się musi. Czy Waszmość tegoby pragnął?...

— Z warunkiem atoli, żeby to odnosiło się do téj, która ranę zadała.

— Ale rana każda boli, a w serce zadana całe już jest śmiertelną?

— Oh! serce to biedne nie lęka się dzisiaj delikatnej śpilki, bo już je na wylot strzała synka Cyteryjskiej bogini przeszyła.

— No proszę, i od jakże to dawna?

— Czyż potrzebujesz pani pytać o to? Czyż nie wiesz, czyje to piękne oczy przed niedawnym czasem Amor za siedlisko wybrał, żeby na mnie biednego i obcego tutaj zasadzkę uczyniły?

Dziewczyna zapłoniła się nieco, ale nie tracąc zwykłej takim czarnobrewym paryżankom rezolucji, dodała:

— Czyż obcom zowiąc się między nami, nie wyświadczasz nam Waszmość krzywdy?

Kochanowski, wstąpiwszy już raz na odwagę wyznań, byłby niezawodnie daleko otwarciej afekt swój wyznał, ale podszedł do nich Ronsard z Ossolińskim. Ossoliński, widząc jak uprzejma Lidya gości przybrała, nie chciał pozostać upośledzonym i zawołał:

— A mnież to z pięknych rączek żaden dar nie spotka? Aż na nagrody zasługują ci tylko, którzy Minerwie a Apollinowi służby swoje oddają?

— Owszem i dla was, Mości hrabio — odpowiedziała Lidya, w koszyczku swym przebierając — jest tu także podarek odpowiedni. Oto ten, szkarłatem świecący irys — rzekła, kwiat odpowiedni z koszyczka dobywając — dla Was, jako dla tego, który zapewne na polu walki liczne tryumfy otrzymywać będzie i jako mąż stanu nawą państwową kierować, symbol to najodpowiedniejszy.

— Ależ łodyga jego szorstka, oścista i niemal raniąca, dla czegoż raczej równie miękki, delikatny, a wonny dar nie spotkał mnie jak tego szczęśliwego poe'tę?

— Suum cuique — odpowiedziała śmiejąc się dziewczyna i do przyśpiewania Ossolińskiemu grubój łodygi irysu się zabrała.

Ronsard tymczasem naglił, aby koniec zabawom tym sielskim położyć i przypominał, że goście zdrożeni więcej jadła aniżeli kwiatów się domagają.

— Ach! mój Boże! — zawołała zgorziona Lidyja — taki przedni poeta i tak ustawicznie ze słodkiego kastalskiego źródła pojoży, o marnych ziemskich potrzebach ustawicznie myśli. Fe! wstyd i zły przykład dla tego, kto w takim zachwycie lilią swą się pieści.

I przy tych słowach wskazała na Kochanowskiego, który ginął w pewnej zadumie i w nieokryślonym bliżej zachwycie.

Rousard się zaśmiał, a gdy ten śmiech poetę polskiego z zadumy rozbudził, figlarka z uciechą klasnęła w dłonie i poleciwszy mężczyznom iść do jadalnej sali, sama w gęsto drzewami ocienioną uliczkę jak lekki ptaszek frunęła.

Gościna w zamku la Poissonière trwała całych dni cztery, a dzięki uprzejmości gospodarza, dzięki pięknym paniom, które do wysokości wykształcenia i pojęć zebranego towarzystwa się dostrajały, dzięki wybornym winom starłej piwnicy i umiejętności zamkowego kucharza, była jedną rozkoszną chwilką. Wdzięku przedewszystkiemi dodawał jój wiek młodzieńczy zebranych, ich skłonność do bujania w sferach prawdziwej poezyi i sztuki i cudowna natura, jaka ich otaczała dokoła.

Do swobody studentów na wakacyach, łączyli oni swą poufałość z Pierydami i Apollinem, a dwie niewiasty, jakie w uciechach ich brały udział, zdawały się im ziemskiemi muz ucieleśnieniem.

Jadalna sala, zdobna przepysznyim kominem, jaki się jeszcze do dnia dzisiejszego w Poissonière, jako jeden z najpiękniejszych zabytków renesansu dochował, słyszała nietylko wznoszone przez nich wiaty, nietylko woń potraw korzennych, ale jeszcze wspaniałe wiersze Ronsarda, co przedniejsze łacińskie Kochanowskiego elegie oraz deklamacye dwóch sióstr, które chętnie zamiętowaniem swém w starożytnych poetach z gościni się dzieliły i kiedy Kassandra szczególniejszą predylekcyą miała dla Homera i z pamięci po całych godzinach zdolna była groźbami imienniczki swój miotać lub płakać z Andromachą i Pryamem; Lidyja natomiast wobec Kochanowskiego na Dydonę pozowała, lub ze swawolnym Horacyim na cześć miłostek i wina słodko-brzmiące strofy nuciła.

Wieczorem następowała przechadzka do sąsiedniego lasu, obcowanie z naturą uroczą, a wonną i zdobienie sobie świata wszystkiemi ułudami, jakie dawały wspomnienia wieszczów starłej Hellady lub Rzymu i własny duch ustawicznie ku wyżynom sięgający.

Oprócz tego, jeśli inni goście w wiejskiej tój zaciszy i w uprzywilejowanym muz przybytku, mimowoli nawet rozkoszować się musieli, dla Kochanowskiego istniał tu czar jeszcze większy. Czuł on bowiem coraz więcej, jak z każdym dniem miłość bierze go w swoje kręgi, a lubo uczucie to mieści w sobie także pewne przykre strony, jednakże w boleściach swoich nawet jest rozkoszném i zdaje się jakoby podlegając mu człowiek, poraz drugi na świat się rodził i żywot jego nowemi barwami się wdziękami.

To zaś uczucie tęp przyjemniejsze wywołać musiało sensacye,

że od chwili wstąpienia w gościnne progi, zgadywał Kochanowski, że przedmiot jego westchnień krzyw mu nie jest, a z dniem każdym prawie odradzające się jego wdzięki, unosiły go w sfery rozkoszue, naziemskie, gdzie tylko bezwzględna piękność i bezwzględna miłość panują; lubo więc po ziemi stąpał, zdawało mu się, że jest w niebie.

Zaraz pierwszego dnia pobytu miłych owych gości, Dudycz a Nidecki wygadali się, że Jan często zwykł po nocach siadywać i że wtedy, kiedy inni śmiertelnicy snem błogostawionym chrapią, on zwykł kuć rytmy i niepomny na pokrzykiwania koguta, czuwa aż Faeton wozem swym złocistym na stropy niebieskie wjedzie.

Opowiadania podobne, mające na celu przyjacielskie zdrwienia z poety, podsunęły Lidyi myśl, za którą niezawodnie wieszcz nasz musiał być wdzięczny. Zastępując gospodynią domu, przeznaczyła dla poety pokoik oddzielny, w którym mógł tworzyć, mógł marzyć, a nawet, skoro uczucie piersi mu nader podnosiło, mógł wyjść do ogrodu i tu w chłodzie nocy i w świeżości natury szukać uspokojenia i ochłody.

Za prawdziwie niewieścią troskliwość, pieczołowitość i domyślność, nie tylko Kochanowski ale i polska potomność wdzięczność wyznawać jój musi, gdyż wśród tych samotnych a bezsennych nocy powstały najpiękniejsze jego łacińskie utwory, a mistrz nasz żył podówczas życiem przyspieszonym i niemal podwójnym. Źródło natchnienia przez swą ekscytującą i twórczą siłę na uznanie zasługuje i dla nas pamięć figlarnej Paryżanki wdzięczną być nie przestanie.

Wśród takiego nastroju umysłu wykończył Kochanowski utwór, zaczynający się od słów: „Quid causa esse putem nullum quod lumina somnum admittunt“ i przypuszczając, że utwór ten męki jego zdolen jest odwzorować, postanowił go przedmiotowi uczuć swych do rozpatrzenia wręczyć.

Szczególniej podobał mu się ten ustęp:

Zkąd ta bożsenność nad memi oczyma?
 Zkąd te dni długie, nocy niespożyte?
 Dlaczego nigdy wypoczynku nie ma
 Ciało znękaue i serce rozbite?
 Toć nie jest febra, ni insze niezdrowie,
 Toć się nie dzieje ni skwarem, ni chłodem,
 Cierpienie moje miłością się zowie.
 Tyś krasawico tych bólów powodem!
 O tobie mówię, ujęty tęsknotą,
 O tobie marzę, dla ciebie to znoszę,
 Przebac mi, przebac, zaklinam cię o to
 Na łuk Kupidów, na serca rozkosze!
 Zzał się nademną a osłodził gorycze,
 Nie daj mnie w pastwę dla marnych kłopotów,
 Może jak Orfej łacniej leśną dziczą,
 Niż twoje serce ugłaskaćbym gotów...

Po przeczytaniu wynurzenia te trafiły do przekonania poety, przepisał więc je charakterem czytelnym i na drugi dzień, kiedy się przy rannem spotkał śniadaniu, wręczył skrypt w ćwiartkę złożony Lidy, z prośbą, aby to przejrzyć raczyła i po przejrzeniu, na podstawie wysokiego swego znawstwa poezyi, powiedzieć zechciała, co o nieudatnej tej próbce trzyma.

Figlarna i sprzeczna natura dziewczyny domyślić się musiała, że zapewne tam zupełne wyznanie, które jak deszcz w wczesnej chmurze na ustach poety, od chwili przybycia jego tutaj zawisło, musi być zawarte i za swoją zdolnością do przekomarzania się idąc, chciała się jeszcze podrożyć i dlatego rzekła:

— Miłościwy panie mój, o talencie waszym tak wysokie mam rozumienie, że gdzież ja biedna i słaba białogłowa na sędziego w takich sprawach podawaćbym się miała? sądziłabym, że raczej powie rzyc to należy naszemu Ronsardowi, którego wyrok przecież stanowczy już będzie.

W sąsiedniej komnacie słyhać już było kroki gości schodzących się na śniadanie, Kochanowski więc drżał cały, a podając papier do rąk nielitościwej piękności, szeptał:

— Nie przeczę, że Ronsard byłby tu sędzią całę kompetentnym a nawet może nie bardzo surowym, wszelako... pragnąłbym, aby twoje piękne oczy, pani, najpierw na tym karteluszu spoczęły.

Wzięła więc kartelusze ów szybko z rąk Kochanowskiego, szepcząc w cichości:

— Nie wiem, czy zdanie moje waszmości na co się przyda, wszakże, z całą szczerością dzisiaj wieczorem je objawię.

Dzień przeszedł zwykłym trybem i lubo Lidya jak zawsze grzeczną i uprzejmą dla niego była, rozmowy jednak z nim unikała, a natomiast chętniej się do Ossolińskiego zwracała.

Pocziwy Hieronim zdziwił się niepomatu, że zapytania margrabianki są mniej więcej tej samej natury, jakie do niego zwracał niedawno de Baif a głównie do stosunków Kochanowskiego, do jego zamożności i majątkowych środków się odnoszące. Że Kochanowski dla pięknej dziewczynki płonie strzelistym upałem, to oczu Ossolińskiego nie uszło bynajmniej, a ponieważ miłość tę uważał za fantazją przelotną, nie obowiązującą do niczego, a mogącą umilić pobyt na obczyźnie, z wrodzonego nadto samochwalstwa polaków, naturalnie o przyjacielu swym wydał jak najlepsze świadectwo; zrobił go magnatem z dziada pradziada i napomknął o wielkich dostojeństwach i godnościach, jakie go za powrotem do kraju czekają.

Lidya upajała się tym hymnem tryumfalnym i od czasu do czasu zpod oka rzucała pełne zadowolenia spojrzenia na piękną a ożywioną twarz Jana, który tymczasem o czémś z Ronsardem z przejęciem się rozprawił. Czy wieści te jój były potrzebne dlatego, że stosunek swój do wieszczki polskiego hymnem chciała uwieńczyć, czy już ogólnie bogactwo a zaszczyty młodą jój główkę przewróciły i do uję-

cia mar znikomych pchały, trudno wiedzieć. Dość, że po tój z Ossolińskim rozmowie, afekt, który i tak już istniał w zarodku a na wzajemnej sympaty i uznaniu wielkiego poetycznego talentu, wyraźnego w młodzieńcu polegał, teraz zaczął zamieniać się na silny, a istotę jój trawiący płomień. Wśród innych towarzyszków jego tylko okiem ściagała, a kiedy zmierzch nocny w polnój ich przechadzce zapadł i las cienisty jeszcze więcej tajemniczości wyrazowi ich twarzy i nawet i postaciom nadał, niby niechcący znalazła się obok Kochanowskiego i drobną swą rączkę pod jego ramię wsunęła.

Kochanowski drżał z rozkoszy i szczęścia i słowy równie lekkimi jak ów wonny zefirek, co wiał wśród dąbrowy, wyszeptał:

— A więc słowa me u Miłościwój Pani łaskę znalazły? a więc śmiałości mój za złe nie bierzesz? a więc ukoić zechcesz rany, które pod wpływem spojrzenia twego w sercu mojem się otworzyły i pozwolisz mieć nadzieję, że gojącego balsamu na nie się doczekam?

Czy mam między najszczęśliwszych się liczyć, czy tóż czarnój rozpacy, a za nią i śmierci dostępu do duszy swojej dozwolić?

— Lidy! — zawołała Cassandra z drugiego końca szeregu spacerujących, a wezwana natychmiast do siostry pobiegła.

Zbytecznym byłoby dodawać, że reszta wieczoru: wspólna z przyjaciółmi wieczerza, twórczość Ronsarda, rozwinięta dziś wspaniałej aniżeli dni innych, deklamacya Kassandry, nie wywierały na Kochanowskiego owego błędnego zachwyty, jakim zawsze przy fetach podobnych zwykł się był przejmować. Milezał, myślą gdzieindziej gonił!

Ponieważ Ossoliński do powrotu do stolicy naglił, ułożono tedy, że jutro o świcie goście w drogę ruszą, z damami przeto dzisiaj już należało się pożegnać, Ronsard bowiem sam postanowił odprowadzić gości do granicy posiadłości swoich.

Stosunek, jaki się podczas tój wycieczki wytworzył między Kochanowskim a Lidyą, oddziaływał bardzo szkodliwie na poetę naszego, który, stanąwszy w Paryżu, wyczekiwał powrotu swojego bóstwa, a gdy je powitał, zaprzął się w najlepszej wierze do jego rydwanu jako najpowniejszy sługa, gotów do wszystkich ofiar nietylko materialnych — o ile go stać było na nie, — ale i umysłowych, które w najpiękniejszych elegiach do rąk przebiegłej, więcej błyskotek aniżeli uczuć chciwój damy swojego serca składał.

Fortuna jego nie mogła jednak sprostać nie milknącym żądanom kapryśnej humanistki, która, rozbierając przedstawione jój elegie w sposób najzimniejszy, pożądała złota — złota — i złota; gotowa przenieść nad naszego poetę każdego, kto by jój fantazy mógł i chciał zadawalniać.

Te okoliczności nietylko utrudniły naszemu poecie położenie materialne, ale trapiły go i moralnie, tak, że towarzysze jego, widząc tak zatrważającą w nim zmianę, a nie mogąc przy największej usilności wpłynąć na niego, aby się z tych więzów oswobodził, zamysłali już napisać do matki, którą Jan z nadzwyczajną tkliwością ko-

chał, czczył i szanował, aby przez nakazanie mu powrotu do Polski wyrwała go z téj przepaści, w którą z każdym dniem głębiej tonął.

*
*
*

Pewnego dnia wpada Ossoliński do kwatery, którą zajmował nasz poeta, wielce zakłopotany i poruszony. — Zastał tu Nideckiego i Dudycza, a z nieobecności Jana może i rad był, gdyż wśród największego wzruszenia zapytał:

— No i jakże Jan się miewa?

— Źle, bardzo źle — odpowiedział ramiona podnosząc Nidecki — wychudł jak szczapa, a melancholik stał się już taki, że ani słowa z niego nie wydusić.

— Nie lękajcie się — wtrącił zawsze pewny swego Dudycz — kryzys przechodzi, gorączka minęła i ospa zda się przejdzie nibawem.

— Oh! bo mu téż siły dziś więcej aniżeli kiedyindziej potrzeba — szepnął tajemniczym jakimś głosem Ossoliński.

— I dla czegoż to? Czyżby mu jakie groziło nieszczęście? — zapytali obadwaj przerażeni.

— Nieszczęście i wielkie — była odpowiedź — matka jego rozstała się z tym światem.

— Nie może być?! — zawołał przestraszony Nidecki.

— Tak ci jest — odpowiedział Ossoliński. — Dziś z dworu polskiego przybył kurjer, przywiózł mi list i tam wiadomość ta właśnie jest wypisana.

— Biedny Jan — rzekł głową potrząsając Nidecki — a on właśnie tak macierz swą miłował, jakby jaką świętą, jakżeż mu to będzie do zuiesienia trudnem.

— Hm, klin klinem szepnął na wszystko z praktycznej strony zapatrujący się Dudycz — najlepsza to pono lekarska metoda.

— Ale, przez Bóg żywy — mówił Ossoliński — luboby mu teraz do kraju coprędziej pospieszać należało, boć to i w działach rodzinnych dopilnować się trzeba; wszelako należy ciężką tę wieść przez pewien czas w tajemnicy zatrzymać i powoli do smutnej nowiny go przygotować.

Kiedy tak rozmawiali ze sobą nadszedł Kochanowski, błąd jak ściana, a z pod hiszpańskiego kapelusza oczy świeciły mu jak karbunkuły gorączkowym jakimś blaskiem.

— A i Wasza Miłość przecie tu zajrzeć raczyłeś? — przemówił Kochanowski szyderczym tonem do Ossolińskiego, przypuszczać muszę, że to zapewne wyłącznie tylko dla towarzyszków moich; jam bowiem rozpustnik, marnotrawnik, kostera, dawno miłość jego straciłem.

— Mylisz się mój Janie, przemówił postępując krok ku niemu Ossoliński i rękę jego ujmując. Jeżeli bym był kiedykolwiek dla ciebie surowy, to wierzaj mi było to dla własnego twojego dobra. Gniewało mnie, że bawiąca się tobą swywolna dama humanistka ze szkodą

naszą wyłącznie cię zajęła i chciałem wszelkimi siłami przed tém niebezpieczeństwem, przed tą przepaścią cię ostrzedz.

— Nie mówmy o tém — rzekł na to, machnąwszy ręką Kochanowski — pogardzono czystym moim i szczerym sentymentem, na złoto, na nędzny kruszec go wymieniano. Oh! teraz coprędzój tylko do siebie, do kraju, do Polskil...

— Jakiż zacny duch przez ciebie, Janie mój, przemówił — zawołał uszczęśliwiony Ossoliński — a więc pakuj manatki, ja także wydania swoich credentials zażądam i za kilka dni najdalej będziemy obaj w drodze ku naszym granicom.

— Tak, łatwo to powiedzieć — rzekł poeta tonem gorzkim — wracać, ale jak?

— Jakto jak?

— Tutaj na uwięzi długi mnie trzymają i choćbym nawet nie liczył tego, co tobie winienem, przypuszczam bowiem, że co do tego za powrotem z ojcowizny się swojej uiszczę; ale tu mam długów kilka tysięcy liwrów i póki ich nie wypłacę ruszyć mi się z miejsca nie wolno. Kiedy to zaś nastąpi, ja nie wiem, a takbym prędko chciał uciec z miejsc tych przeklętych...

— Wszakżeż nie wątpisz o tém, mój Janie, że fortuna Ossolińskich starczy, aby należności podobne pospłacać. Daj więc rachunki a wszystko ureguluje się uczciwie i po Bożemu...

— Jakto? — Wszakżeście mi mówili, że bez grosza jesteście?

— Bez grosza zapewne, jeżeliby on miał iść na fatałaszkę dla francuzkiej jakiejś damy, jeżeli zaś chodzi o to, żeby poetę polskiego Polsce powrócić, na to jeszcze dostatku dowoli się znajdzie.

Kochanowski spojrział na niego dziwnie, gdyż we wzroku jego był wyrzut i żal. Wszakże unitygował się prędko, w oku jego łąza rozrzewnienia się zakreśliła i ścisnąwszy mocno Ossolińskiego prawicę, wyszeptał tylko:

— Dzięki ci, dzięki — tyś praw...

— A więc pozwól — mówił Ossoliński rozrzewniony również — że dzisiaj z wami przez resztę wieczora pozostanę.

I szukając kapelusza, miał się już ku wyjściu, Kochanowski atoli zatrzymał go i mówił:

— Pozostać możesz i owszem będę ci za to nieskończenie obowiązany. Co zaś do rozrywki towarzyskiej, to ja wam dzisiaj służyć nie mogę; ja tak się czuję z nóg ściętym i niezdrowym, że na chwilę na łożu mém spocznię i wczasu, którego dawno nie zażywałem, poszukam.

Że ta żelazna i młodzieńcza organizacja pod wpływem jakiejś niemocy się ugiwała, to było widoczném.

Kochanowski zaledwie do wczółwia się przyłożył, zaraz snem twardym i ciężkim zasnął. Jak długo w nim przebywał, sprawy z tego zdać nie umiał, kiedy się jednak obudził, ciasną komnatkę jego zupełna zalegała ciemność, przez drzwi tylko przymknięte wpadała

struga światła jasnego, oraz dolatywały głosy towarzyszków, które jakkolwiek przyciszone ze względu na jego chorobę i spoczynek, czasami jednak strzelały w głośniejszym jakimś wykrzykniku, którego w wieku młodzieńczym jest tak trudno unikać.

Gwary te jednak poety nie raziły wcale, bodaj z tego względu, że w polskiej odzywały się mowie, a ta mowa tak cudnie łączyła się z widzeniem, jakie co tylko nawiedziło go we śnie głębokim. Śniło mu się bowiem, że jako duch lekki unosi się nad krajem, w którym nie widzisz murów, nie widzisz olbrzymich budowli z kunsztownie ciosanych kamieni układanych, ale pszenica na bujnym łanie się złoci, z łąki jak kobierzec wzorzysto tkanej, ulatuje woń odurzająca, a nad kielichami kwiatów zwieszają się brzęczące pszczołki miodnej słodyczy chciwe. W dali ciemny bór sosnowy, poważnemi konary się kołyszce i w szmerze gałęzi szle jakieś przejmujące do głębi żywiczne wonie, a zdala z horyzontu wystrzela kopułka drewnianego kościółka i sygnaturka z niej również jakby pszczołka brzęczy. Ponad tém zawisło niebo lazuruwe lekkimi siwemi przetykane chmurkami i zdala dolatuje napoły tęskna, napoły skoczna nuta małopolska. W atmosferze tej pierś swobodo, ramionom lekko, duchowi błogo i radby zawieszony tak jak skowronek w powietrzu, w jednym punkcie zawisnąć i niwom polskim kwilić wdzięczną nutę. Niewidzialna jednak siła ciągnie go ku dołowi. Zbliża się doń, zbliża i kiedy stopami tej błogostawionej ziemi miał dotykać, dłoń jego ujęła ręka ciepła i miękka. Obejrzał się i oto widzi niewiastę w czarnej powłóczystej szacie, w ręce wolnej z czarnych paciorek różaniec trzyma, a na twarzy jój powaga i świętość. Spojrzał w te dobrocią nacechowane lica i duch jego się upokorzył, kolana do pokłonu ugięły, bo ta niewiasta, to zacna macierz jego. Głowę synowską z utęsknieniem a uczuciem przycisnęła do swego łona, dtugo ją na niem piastowała, aż, jakby zmuszając się, oderwała ją od swoich piersi, na czole jego pocałunek złożyła i wzięwszy go za rękę, po owych wzorzysto dzianych łąki kobierzcach, po owych żytem wysrebrzanych i bławatkami przetykanych niwach go wiodła. On milczał, bo uroczyste jakieś uczucie serce jego przepeśniało i tylko w oblicze matki od chwili do chwili się wpatrywał. Ona miękka a białą dłonią od czasu do czasu przecierała mu oczy, jakby chcąc mu dokładniejsze przyjrzenie się tym wszystkim wdziękom ułatwić i ręką wolną wskazywała na wszystkie strony horyzontu. Wtém widzenie jako mgła się rozplęnęło, a obudziwszy się, usłyszał dźwięk polskiej mowy.

Był jeszcze pod tém wrażeniem, kiedy towarzysze jego, również wspomnieniami ku dalekiemu krajowi uniesieni, zgodnym chórem, lubo przyciszonym głosem zanucili hymn:

Bogarodzico, Dziewico,
Bogiem sławiona Maryo...

Pieśń ta wywołała takie rozrzewnienie w naszym poccie, że go-

ręciami łzami się zalał, ale te łzy jako balsam łagodząco na niego oddziały i uspokojenie mu niosły. Później wstał, a czując się zdrowszym, podszedł do stołu, woskowy stoczek zażegł i do pisania zasiadł.

Pisał długo i kiedy skończywszy pisać, ułożone wiersze oczami przebiegał, lice jego rozjaśniło się, rozpogodziło i z papierem w rękę wszedł do swych towarzyszków i począł im czytać to, co napisał. Głos jego był drżący ale zarazem metaliczny i silny, a cudne, polskie rymy, jakie się z ust jego wrywały, obijały się jak czarodziejskie zaklęcia o uszy słuchaczy. Był to wiersz, zaczynający się od uroczystej strofy:

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi i w niebie.

Z EKONOMIKI.

I.

Kwestyonaryusz Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. — Brak organizacyi handlowej rzemiosł u nas. — Skargi warsztatów i kupców z Cesarstwa. — Czy u nas istnieje nadprodukcya wyrobów rękodzielniczych? — Ogniska produkcyi rzemieślniczej jednorodnej. — Czy Warszawa może i powinna być centrum produkcyi rzemieślniczej? — Podniesienie miast i miasteczek polskich przez skierowanie do nich ludności wiejskiej bezrolnej, — i rozwój rzemiosł. — Tworzenie oddzielnych osad szewców, krawców, stolarzy, koszykarzy, ślusarzy, zdunów it. p. — Cechy. — Niedola rzemieślnika. — Książeczki rachunkowo-służbowe i wspólne kuchnie. — Konieczność obowiązkowej oszczędności dla rzemieślników. — O kasach oszczędności. — Początek ich powstania w Niemczech, Anglii, Francyi, w Cesarstwie i Królestwie Polskiem. — Oszczędność angielska i japońska. — Porównanie oszczędności u nas, w Galicyi i Czechach. — Czy słuszne są utyskiwania na zbytne formalności u nas. — Porównanie formalności w angielskich kasach oszczędności z naszymi. — Wyższość kas angielskich i co u nas uczynić należy. — Zamierzone reformy ministerjum skarbu. — Interwencya Banku Polskiego. — Utworzenie 70 agentur Banku Polskiego i zakres ich działalności. — Spodziewane ztąd korzyści dla Banku i dla pomysłności narodowej. — Czy uzasadnione są narzekania na wzrost cen przedmiotów pierwszej potrzeby. — Zdania Giffena, Laveleye, Leroy-Beaulieu, Soëtbeera. — Indye wachodnie w roli groźnego konkurenta na rynkach zbożowych. — Gorzelnictwo w Królestwie Polskiem. — Produkcyja w kampanii 1882/3 r. — Ulgi skarbowe w wywozie spirytusu zagranicę. — Zakończenie. — Bibliografia ekonomiki.

Z powodu pewnej stagnacyi w rozwoju rzemiosł, warszawskie Towarzystwo popierania przemysłu i handlu rozesała kwestyonaryusz (wydrukowany także w Bibliotece Warszawskiej za miesiąc sierpień r. b. str. 319 i nn.), z prośbą o wskazanie środków zaradczych i wszelkich uwag, mogących się przyczynić do wyjaśnienia téj kwestyi. Sądzę, że sz. redakcyja zamiesci kilka uwag i myśli w tym przedmiocie

skreślonych, w chęci jaknajwyższej dla pomyślnego rozwoju spraw ekonomicznych i handlowych kraju naszego.

Rzemiosła nasze skoncentrowane są przeważnie w Warszawie i zaledwie w kilku innych miastach. Wprawdzie i w innych miastach, miasteczkach i wsiach spotykamy rzemieślników, lecz ci wytwarzają prawie wyłącznie przedmioty dla użytku miejscowego i najbliższej okolicy. Nawet w głównym ognisku, w Warszawie, rzemiosła nie są należycie zorganizowane i dla tego wytwory ich nie mogą służyć za podstawę rozleglejszego handlu zewnętrznego. Nie mamy dotąd większych warsztatów, większych składów, gdzieby w każdym czasie można nabyć potrzebnej ilości odpowiedniego towaru. Wprawdzie istnieje kilka spółek, np. zjednoczonych stolarzy, krawców, szewców, ślusarzy, lecz te są jeszcze zbyt ubogie i zbyt prymitywnie urządzone, ażeby mogły zadosyć uczynić większemu popytowi.

Warsztaty rzemieślnicze, rozrzucone po całym mieście, działające wprawdzie samodzielnie, ale też bez żadnej organizacji, bez myśli przewodniej, nawet w Warszawie zaspakają przede wszystkim potrzeby miejscowe, a jeżeli wytwarzają więcej nad potrzebę, to jako rozstrzelone i niezorganizowane należycie, nie wiedzą, gdzie się obrócić, gdzie zbyć tę nadprodukcję.

Wprawdzie wiele warsztatów próbuje handlu na zewnątrz Warszawy, głównie z Cesarstwem, ale przemysł a handel, to dwie różne rzeczy, jakkolwiek wzajemnie się dopełniające. Można wyrabiać przedmioty doskonałe i tanie, a mimoto stracić, jeżeli się bierze do handlu bez należytej znajomości handlu, jego potrzeb i dróg zbytu. Zamożniejsi rzemieślnicy próbowali handlu wywozowego, mianowicie z Cesarstwem, ale po większej części ponieśli dotkliwie straty, — stracili zaś głównie dla tego, że działali rozstrzeleni, każdy na własną rękę, należycie nie zorganizowani, nie znający dróg zbytu, ani też rynków, na które się udawali.

Naodwrot, analogiczne słyszymy utyskiwania drugiej strony, mianowicie kupców z Cesarstwa. I oni też często stali się ofiarą niesumienności i podstępu i również często dotkliwie ponoszą straty. I oni bowiem, nie znajdując należycie zorganizowanych ognisk, gdzieby swoje potrzeby zaspakajać mogli, również dorywczo zawiązują stosunki, bądź przy pomocy niesumiennych pośredników, bądź też wprost z warsztatami, ale niższej kategorii. Słowem dobrzy rzemieślnicy nie wiedzą, gdzie i komu zbyć swój dobry towar, a wyplatni kupcy nie znają, u kogo nabyć dobry towar w dostatecznej ilości.

Rozstrzelenie i brak dobrej organizacji warsztatów: oto pierwsze z gravaminów naszych rzemiosł, odnośnie do handlu zewnętrznego z Cesarstwem.

W obec niezmierzonych prawie obszarów Cesarstwa ze stumilionową ludnością, w obec faktów codziennych, że wyroby rękodzielnicze Cesarstwa często niemal prymitywne, znajdują zbyt w olbrzymich ilościach w większej połowie Azji, sięgają Persyi, Afganistanu, Buchary,

a nawet Chin zachodnich; w obec, mówię, tego wszystkiego, śmiesznym byłoby twierdzeniem, że produkujemy nad potrzebę, a skutkiem tego i sprowadzamy zastój w rzemiosłach, będący zwykle zapowiedzią małych krachów a wielkiej niedoli świata rzemieślniczego.

Nie. Wytwarzamy mało, mikroskopijnie mało, lecz i tego zbyte nie umiemy. Dajmy tylko możność np. Czechom, lub jakiemu państewku niemieckiemu korzystania z tak olbrzymich obszarów, jakie leżą przed nami, a zobaczymy, że te Czechy, lub to księstwko stanie się wkrótce najbogatszym krajem na świecie. Ani Belgia, ani Holendry, ani nawet Anglia sprostacby mu nie mogły. Przed nami przebiegają żyły, nie już rudy złotonosnej, ale złota rodzimego, a my ich odkryć i wyzyskać nie możemy.

Powiedzieliśmy wyżej, że nie posiadamy odpowiednich centr rozmaitych gałęzi rzemiosł, należycie zorganizowanych i znanych wielkim rynkom Cesarstwa. W samej rzeczy, tak jest istotnie. Wprawdzie w Warszawie pracują dziesiątki tysięcy różnorodnych rzemieślników, ale podzielonych pomiędzy niewielkie warsztaty, warsztaciki, a nawet pojedyncze rodziny, bez odpowiednich zasobów materyalnych, nie mówię już bez znajomości dróg zbytu. Uboga rodzina rzemieślnicza, kółko, warsztacik, lub nawet warsztat, nie ma zwykle dostatecznego kapitału na zakupienie surowych materyałów, zostaje więc w rękach pośredników, którzy za drogie pieniądze dostarczają im liche surowy materyał, który następnie przetworzony, wyrobiony w odpowiedni przedmiot napowrót odkupują. Ci mniejsi pośrednicy odprzedają wyroby większym hurtownikom, a ostatni zwykle prowadzą temi przedmiotami rozleglejszy handel. Widzimy więc, przez ile to szczebli przechodzi dzieło rąk rzemieślnika, zanim stanie się przedmiotem handlu wywozowego. Wielu tu pośredników wyzyskuje nieświadomość i brak solidarności świata rzemieślniczego. Gdyby to chociaż ci pośrednicy prowadzili handel prawidłowy, obliczony na dłuższy przeciąg czasu, ale niestety! handel niezliczemi dotąd przedmiotami wywozu na rynki Cesarstwa, znajduje się przeważnie w rękach ludzi, mających jedynie na celu wyciągnięcie jaknajwiększego zysku, w jaknajkrótszym czasie. O handlu prawidłowym, sumiennym, mowy tu nie ma, bo téż i być nie może, dopóki ten handel znajduje się w rękach niekompetentnych, niesumiennych.

Trzeba więc przedewszystkiem wytworzyć centra produkcji rękodzielniczej — rzemieślniczej, a gdy te powstaną, to siłą rzeczy i rozwinię się handel prawidłowy.

Czy Warszawa może i powinna być ogniskiem produkcji rzemieślniczej i czy powinna być miejscem wyłącznym wytwarzania przedmiotów rękodzielniczych? Oto pytanie, które jako jedno z głównych i zasadniczych przedstawiamy Towarzystwu popierania przemysłu i handlu do rozwiązania.

Dotąd rzemiosła nasze koncentrują się prawie wyłącznie w Warszawie, lecz ażeby mogły rozwinąć się szeroko i być podstawą han-

dlu zewnętrznego, to, naszóm zdaniem, Warszawa nie może i nie powinna być ogniskiem produkcji rzemieślniczej (podznaczam produkcyi a nie handlu), a tém mniej, nie powinna być ogniskiem wyłączeniém.

Ojcowie nasi byli przezorniejsi! Wytwarzając przemysł fabryczny, wznosili fabryki bynajmniej nie w Warszawie, lub na jej przedmieściach, ale wyszukiwali odpowiednich miejsc pośród pól i lasów, lub też w małych miasteczkach, znajdujących się w odpowiednich warunkach pod względem opału, wody, położenia, dróg komunikacyjnych i t. p. W rozwinięciu tej myśli powstała Łódź, Tomaszów, Ozorków, Pabianice, Żyrardów, Zgierz, Jeziorna, Zawiercie i wiele innych. A przecież po większej części fabryki tych miejscowości mogłyby być dźwignięte w Warszawie, w stolicy kraju. Dlaczego jednak tego ojcowie nasi nie uczynili? oto, że chcieli właśnie wytworzyć owe centra produkcji jednorodnej, o jakich wyżej nadmieniam, chcieli, ażeby Łódź była ogniskiem przemysłu bawełnianego, Tomaszów wełnianego, Żyrardów lnianego, i t. d. Rozumieli bowiem, że gdyby założyli fabryki w Warszawie, to one niejako by się rozdrobniły, rozstrzeliły, nie zorganizowały odpowiednio i nie wytworzyły tych silnych jednorodnych ognisk przemysłowych, jakimi są właśnie Łódź, Tomaszów, Zgierz, Żyrardów i inne. W miejscowościach tych ludność prawie wyłącznie fabryczna, lub związek z fabrykacją mająca, związana zatem wspólnością interesów, tworzy niejako organizm silny, sprężysty i rzutki, daleko swój wpływ rozpościerający. Nic więc też dziwnego, że miasta te znane są dalekim krainom nie tylko Cesarstwa, ale i zagranicą. Jakżeż tu i handel zewnętrzny jest silnie zorganizowany i prawidłowo rozwinięty.

Ojcowie nasi brali co do fabryk wzór z Anglii (Manchester, Birmingham, Sheffield), Saksonii i Szwajcaryi, czemużbyśmy my, ich synowie nie mogli się zapatrzeć choćby i na te tylko państwa odnośnie do rzemiosł?

Czy nie możnaby więc wytworzyć poza Warszawą ognisk rzemieślniczych, jednorodnych np. osad szewckich, krawieckich, stolarskich, kwiaciarskich, koronkarskich, koszykarskich, ślusarskich, zduńskich i t. p. Gdzie obfitość różnorodnego drzewa, dlaczego nie mogłaby powstać osada stolarska, gdzie znowu gleba odpowiednia dla wikliny — koszykarska; gdzie podostatkiem dobrej gliny i glinki — osada zduńska; gdzie obfitość rudy i odpowiednich fabryk żelaznych — ślusarska i t. p.

Osady podobne wytworzyłyby wkrótce przemysł rękodzielniczy, jednorodny, jakich mnóstwo spotykamy w Szwajcaryi, Saksonii, nad Renem, w Belgii. Ludność tych osad związana wspólnością interesów, niewątpliwie nie byłaby tak rozstrzeloną i nie zsolidaryzowaną, bezsilną, jak w Warszawie; ale zsolidaryzowałaby się, niejako skrytalizowała i powołała potrzebne jej do życia instytucye, jak kasy ziemieślnicze, zaliczkowe, związki handlowe i t. p. Takie jednorodne

ogniska rzemieślnicze, byłyby znane nietylko w kraju, ale i w Cesarstwie i wtedy-to kupcy wiedzieliby gdzie się udawać za kupnem odpowiednich towarów i byłiby pewni, że przyjechawszy, zastaną towar w dostatecznej ilości i dobroci.

I dla samej ludności rzemieślniczej lepiej, że takie ogniska powstaną poza Warszawą. Przedewszystkiem warunki sanitarne bez porównania lepsze w pośród bliskiego sąsiedztwa pól i lasów aniżeli w Warszawie. Wiadomo nam w jakich-to lokalach mieszczą się warsztaty rzemieślnicze w Warszawie i w jakich-to okropnych warunkach sanitarnych pędzi nędzny żywot większość naszych rzemieślników. Wysokie ceny lokali, sklepów i warsztatów, oraz przedmiotów życia, główną tego przyczyną, gdy tymczasem stwarzając osady rzemieślnicze na prowincyi, gdzie jeszcze ziemi poddostatkiem, możnaby warsztaty pomieszczać w oddzielnych domkach, pośród sadów, na stokach wzgórz, lub też na brzegu rzek lub strumyków.

Zakładając ogniska produkcji rzemieślniczej jednorodnej, w nowych osadach, lub też małych miasteczkach, podniesiemy te ostatnie z upadku, w jakim się one od czasu Jagiellonów, a raczej od czasu napływu ludności semickiej znajdują. Dobrobyt tych ognisk, pociągnie do nich ludność wiejską, a raczej jej proletaryat.

Ludności bezrolnej wiejskiej, znajduje się obecnie około miliona, która w znacznej części jest ciężarem gmin, a która szybko wzrastając, niewątpliwie z czasem wytworzy taki stan rzeczy, że nowa interwencya państwa będzie prawdopodobną. Trzeba więc tej ludności bezrolnej, temu proletaryatowi wiejskiemu otworzyć upust, ułatwić emigracyą; ale emigracyą nie do Ameryki lub innych zamorskich krain, lecz do naszych małych miasteczek ¹⁾. Ci to przybysze, znalazłszy odpowiednią zachętę i ułatwienia, wytworzą po miasteczkach krajowy, swojski przemysł rękodzielniczy. Przesaną z jednej strony być ciężarem i grozą wsi, a staną się pionierami rzemiosł i nadadzą naszym miasteczkom barwę więcej swojską — narodową.

Tylko jeśli moje myśli, mają się choć w małej części urzeczywistnić, to pierwsze kroki szczególną należy otoczyć opieką. Towa-

¹⁾ Wieś nasza nie choruje jeszcze bynajmniej na przeludnienie, a proletaryat, jaki autor spostrzega, nie pójdzie do miasteczek dla zwiększenia zapętu rzemieślników, bo są to przeważnie włościanie małorolni, z dawniej służby dworskiej pochodzący, obdarowani zbyt małemi działkami roli. Są to prawdziwi *glebae adsripti* XIX stulecia, bo na kilku swoich zagonach nie mogą wyżyć z rodziną, a drażnieni zazdrością względem lepiej uposażonych, wiecznie niezadowoleni, nienawidzą tych co więcej mają. Nieprzygotowani jednak zupełnie, nie będą szukali zaspokojenia swoich potrzeb w pracy rzemieślniczej w miasteczku. Dzisiaj uciekają ze wsi do miasta przeważnie ci, którzy stroniac od pracy ciąglój a trzeźwój na wsi, szukają w wielkich miastach (jak u nas znowu wyłącznie w Warszawie) łatwego, choćby gnuśnego sposobu życia stróżów, stangetów, dawniej dorożkarzy i t. p.

rzystwo popierania przemysłu i handlu miałoby tu piękną, cywilizacyjną misją do spełnienia. Potrzebaby ludność napływową, przyszłych rękodzielników i rzemieślników, ochronić przed dzisiejszą ludnością małomiasteczkową, tak pochopną do wyzyskiwania i ujarzmiania nieświadomych.

Kwestyonaryusz Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, pomimo widocznej pieczołowitości o rozwój rzemioł na ojczystej glebie, budzi w czytelniku poniekąd uwagi pewnej obawy co do swobodnego rozwoju naszych rzemioł. Bo czyż nie doznaje się tego uczucia, przeczytawszy pytanie, czy nie byłoby pożytecznym, zniesienie majstrów tak zwanych konsensowych... i aby każdy, kto chce otworzyć warsztat, zgłosił się do urzędu starszych i tam po odbyciu egzaminu i odrobieniu sztuki, otrzymał świadectwo na majstra. A więc nowe powijaki, nakładane na rozwój drobnego przemysłu. Zdaje mi się, że nie należałoby Towarzystwu popierania przemysłu i handlu stawiać pytań znamionujących, na schyłku XIX wieku, cofanie się (!? Red.) do wieków średnich. Cechy były niegdyś potrzebne i pożyteczne; ale też one spełniły już swoją misją — przeżyły swój wiek. Przynajmniej konieczność przepisów zabraniających np. ludziom nieposiadającym dowodów świadczących o zdolności przygotowywania lekarstw; ale ażeby podobna procedura była dziś potrzebną dla szycia obuwia, ubrania, robienia mebli, lepienia garnków i t. p., nie zdaje nam się właściwem. Czyż i tak już w swoim życiu mało mamy powijków i tak już przywykliśmy do środków ochronnych — państwowych, że kroku dalej zrobić nie potrafimy bez interwencji odpowiednich magistratur? Naszém zdaniem, nie nowych ściśnień i ograniczeń pracy ludzkiej tu potrzeba; ale więcej światła. Gdy powstaną odpowiednie szkoły fachowe, gdy powstaną silne ogniska produkcji rzemieślniczej, to i tęp samém i wyrobione przedmioty będą coraz doskonalsze. Nikt wtedy nie będzie szył złych butów, gdyż nie znajdzie na nich zbytu. Niechby np. Łódź produkowała liche perkalke i perkaliki, niższej dobroci od moskiewskich, to zobaczylibyśmy jak w ciągu paru lat, to kwitujące i bogate dziś miasto, przybrałoby pozór miasta nawiedzzonego silną epidemią ¹⁾.

¹⁾ *Uwaga Redakcyi.* Pogląd autora na kwestyą cechów, tak przezornie podniesioną przez kwestyonaryusz Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, uważamy za bardzo jednostronny, z rzeczywistemi warunkami rozwoju pracy ludzkiej wcale się nie rachujący. Pogląd ten nie przypomina wyrozumowanych opinii, ale jaskrawe frazesy zbyt głośnych teoretyków, którzy w abstrakcyi swojej budują zamki na lodzie, a uparcie odwracają wzrok swój od wszystkiego, co stare, dlatego tylko, że stare, bez głębszego wnikięcia w istotę rzeczy i bez wszechstronnego zbadania przedmiotu. Ze stanowiska ogólnego pojęcia wolności i swobody, możnaby uważać powrót do urządzeń cechowych za pewien rodzaj cofania się, gdybyśmy chcieli dzisiaj stosować dawne

Prawda, że dziś często majstrowie doznają zawodu ze strony czeladzi, lekceważącej swoje obowiązki i zobowiązania, lecz może ta czeladź jest jeszcze częściej krzywdzoną przez swoich majstrów. Po części czeladnicy, a bardzo często terminatorzy, to prawdziwi iloci XIX wieku. Złe karmieni, nie mówię już o przyodziewku, pracujący i śpiący w izbach ciasnych, zatęchłych i bez należytego światła i przewietrzania, są bardzo często prawdziwym obrazem nędzy i rozpaczcy.

Dwa są tu środki złagodzenia niedoli rzemieślnika: po pierwsze potrzebnym byłby prawodawczy przepis (jeżeli takowy nie istnieje), zobowiązujący majstra, ażeby tenże każdemu czeladnikowi lub terminatorowi, najpóźniej trzeciego dnia po przyjęciu do warsztatu, dorę-

przepisy cechowe bez żadnych zmian i ulepszeń; lecz w naszych dość nieprzyjaznych okolicznościach zniszczenie cechów stałoby się ciosem bardzo szkodliwym dla rękodzielnictwa krajowego. Idea wolności i swobody staje się dopiero wtedy niezwykłą potęgą moralną, gdy jest w pewien ład i w pewien system ujęta, inaczej prowadzi do rozluźnienia wszelkiej spójni stosunków społecznych i państwowych, prowadzi do zamieszania pojęć i anarchii, wojującej swywolą, jakby jaką bronią zaszczytą. Nie może być mowy o pożądanym owocach jakiegokolwiek pracy zbiorowej, jeżeli jej do pewnego stopnia nie uporządkujemy w zakresie sfery jej działalności. Urządzenia cechowe i płynące za nimi normy i przepisy co do działalności rękodzielnictwa można uważać za pewne ograniczenie nie swobody wprawdzie, ale lekkoomyślności i swawoli pracujących, za ograniczenie złej woli i złej wiary, broniące od nadużywania zaufania kupujących. Horoskop autora stawiony Łodzi, gdyby produkowała liche perkale, powinien być samego autora przekonać o tém, że teoria jego byłaby zabójczą dla naszego rozwoju. Autor, nie rozbierając znaczenia dziejowego i praktycznego cechów, jako instytucji, która istniała od dawnych wieków; zdaje się przenosić nad nie taką próbę, taką szkołę (!), która w skutkach swoich przewyższy może najzjadliwszą epidemią. Czy nie lepiej zapobiedz takiej epidemii przez odpowiednie urządzenia choćby cechowe? Poteranego raz zaufania na szerokiej arenie zabiegliwości życia powszedniego nie odzyskuje się z łatwością! Kwestya urządzeń cechowych była w ostatnich czasach przedmiotem jaknajstaranniej roztrząsanym na różnych zebraniach rzemieślniczych najoświecieńszych krajów Europy i w sferach rządzących. Za rezultat tych wielostronnych badań należy uważać to przekonanie, że urządzenia te — pomijając w tej chwili kwestyą co do kierunku ich reformy — zostały ostatecznie uznane za pożyteczne i zaprowadzono je w Austrii, w Prusiech, a zdaje się że i w Rosyi w tym właśnie kierunku przygotowują nowe prawo o przemysłe rękodzielniczym. Objawiające się w ostatnich czasach kłopoty ekonomiczne w Niemczech miały swe źródło, jak powszechnie stwierdzono, w zupełnym rozluźnieniu dawnych porządków i przepisów o przemysle rękodzielniczym.

czył książeczkę rachunkowo-służbową przez siebie podpisaną.

Książeczka powyższa winna obejmować: 1) firmę warsztatu lub pracodawcy, 2) imię, nazwisko, datę i miejsce urodzenia przyjętego do warsztatu, 3) datę przyjęcia, termin trwania umowy oraz wysokość płacy, 4) odpowiedni wyciąg z przepisów prawodawczych o rzemiosłach i rzemieślnikach, 5) przepisy specjalne danego zakładu lub warsztatu i 6) szczegółowy rachunek zarobku i otrzymanej płacy rzemieślnika.

Podobne książeczki byłyby rodzajem kontraktu, i niewątpliwie usunęłyby wiele nieporozumień pomiędzy pracodawcami i pracownikami. Takie książeczki rachunkowo-służbowe, naszym zdaniem, są niezbędne także dla służby domowej i folwarcznej.

Drugim środkiem jest dążność do wyemancypowania się z pod zależności kuchni majstrowskiej; czyli pracownicy warsztatów dążyć powinni do urządzenia wspólnej kuchni, przez siebie zawiadywaną. Takie kuchnie mogłyby być oddzielne dla zakładów i warsztatów większych, i wspólne dla kilku mniejszych sąsiednich warsztatów. Za terminatorów płaciłby warsztat umówioną kwotę. Podobne urządzenia (artiele) zbadaliśmy wpośród wojska, oraz robotników przybyłych z wewnętrzných gubernii Cesarstwa i wyznajemy, że te pewnego rodzaju spółki spożywcze w zupełności odpowiadają swemu zadaniu.

Podstawą dobrobytu pojedynczych ludów i całych społeczeństw jest praca i oszczędność, ta ostatnia jest kamieniem węgielnym wszelkich instytucji kredytowych. Przedewszystkiem dajmy ludziom możliwość zarobkowania i nauczmy ich oszczędzać, gromadzić zapasy na czarną godzinę, otworzymy kasy oszczędności, a następnie dopiero wytwarzamy instytucje więcej skomplikowane, jak kasy zaliczkowe systemu Schultze-Delitzscha, kasy przemysłowców, towarzystwa wzajemnego kredytu i t. p. Niechby warsztaty zaprowadziły u siebie obowiązkowe miesięczne np. potrącanie pewnego odsetku na rzecz oszczędności, to jest, ażeby ta oszczędność była obowiązkową, przymusową. Potrącone kwoty warsztat winien niezwłocznie przelać do kasy oszczędności i otrzymywać książeczkę dla każdego z pracowników. Książeczki te przechowywałyby należało w warsztacie pod kluczem majstra i wybranego przez ogół pracowników rzemieślnika. Wrazie przejścia rzemieślnika do drugiego warsztatu, powyższe osoby doręczają książeczkę nowemu pracodawcy za odpowiedniemi pokwitowaniem. Oszczędności rzemieślnika pozostają nietykalne, tenże jednak w razie koniecznej potrzeby, może użyć ich części lub całkowicie; ale nie inaczej, jak za zgodą pracodawcy i wybranego przez ogół rzemieślników. Środek ten ochronny byłby tylko czasowym, dopóki pojęcie korzyści z przymusowej oszczędności nie rozposzechniłoby się więcej w klasie pracującej. Znajduje on zresztą i dziś

faktyczne zastosowanie w wielu kasach zaliczkowo-wkładowych i w niektórych większych zakładach fabrycznych w Warszawie.

Na tém dziś kończymy nasze myśli, spowodowane kwestyonaryszem Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Wrócimy do nich jeszcze i przedstawimy kwestyą więcej wyczerpująco, gdy się przekonamy, że kilka myśli tu rzuconych, znajdują echo w miejscu właściwém i zasługują na dalsze wyjaśnienie.

Wspominając o kasach oszczędności, zwracamy uwagę na często podnoszone pytanie, czy my polacy, rozumiemy korzyść odkładania na czarną godzinę, czy rzeczywiście oszczędzamy, a jeżeli oszczędzamy, to gdzie kryją się nasze oszczędności?

Niewątpliwie, że z dawien dawna ludzie pojmowali korzyść oszczędzania, t. j. wydawania mniej niż się ma dochodu, że zatem oszczędzali, ale te pojedyncze usiłowania nie były powszechne. Odkładane pieniądze, zwykle w monecie brzęczącej, przechowywano w domu, lub też zakopywano w ziemię. Lecz te kryjówki nie były dosyć bezpieczne i nie przynosiły korzyści z przyrastania odsetków. Dopiero w nowszych czasach pomyślano o zbiornikach oszczędności i środkach skanalizowania tychże.

Teми zbiornikami są właśnie kasy oszczędności. Powstały one dopiero w końcu XVIII w. Pierwszą kasę oszczędności otwarto w r. 1765 w Brunzwiku. Następne powstały w Szwajcaryi, a w końcu tegoż stulecia w Anglii. We Francyi w r. 1817, w Cesarstwie prowincye nadbałtyckie już w r. 1824 poszły za przykładem Zachodu; w Petersburgu i Moskwie pierwsze kasy utworzono w r. 1842.

Ukaz z d. 25 czerwca 1843 r. powołał do życia kasy oszczędności w Królestwie Polskiem, oddając je pod zawiadywanie Tow. ubezpieczeń od ognia.

Wszędzie więc widzimy usiłowania skanalizowania oszczędności, lecz jakżeż one w różnych krajach różnemi poszły drogami.

Dziś angielskie kasy oszczędności służą za wzór dla innych. Zaszczepione w r. 1797, posiadały w r. 1881 800,000,000 rubli złożonych przez 3,000,000 uczestników w 6,675 kasach. Jakżeż te cyfry są wymowne, jak potężne i niemal odurzające. W Cesarstwie w kasach oszczędności znajduje się obecnie około 14,000,000 rubli, złożonych przez 142,000 uczestników.

Nie przytaczam tu oszczędności w innych państwach europejskich, wszędzie niemal na setki milionów obliczanych, ale sięgnę myślą dalej, na krańce dalekiego Wschodu. Tamto leży morskie państwo o niewielkiej rozległości, ale z gęstą ludnością, która w ostatnich latach z zadziwiającą, iście amerykańską szybkością zaczęła przyjmować cywilizacyą europejską.

Mówię tu o Japonii. Otóż nawet w tym kraju, podług sprawozdania generalnego pocztmistrza z d. 30 czerwca r. 1882, było 1,161 kas, w których w ciągu tylko jednego roku, złożono około 4,000,000 franków.

A u nas?...

W Królestwie istnieje obecnie tylko ośmnaście kas oszczędności, posiadających razem w d. 1 stycznia 1883 r. 1,549,794 rs., złożonych przez 37,888 uczestników. Jakżeż te cyfry są małe, pogłębiająca małe! Nie będę porównywać Królestwa Polskiego z państwami drugo, ani nawet trzeciorzędniemi Europy, ale śmiało mogę porównać z sąsiednią nam Galicyą, liczącą o milion mniej ludności i każdy to przyzna, tak pod względem ekonomicznym, jak i zamożności znacznie niżj stojącą od królestwa kongresowego.

Otóż w tej - to Galicyi 1 stycznia 1883 r. było wprowadzić tylko 19 kas oszczędności, ale one posiadały 32,059,030 fl., złożonych przez 90,061 składających. W tymże dniu kasy oszczędności w Czechach, posiadały około 265,000,000 fl.

Niektórzy dziennikarze i ekonomiści przypisują mały rozwój naszych kas oszczędności zbytnim formalnościom przy składaniu i podnoszeniu pieniędzy. Zapewne, że pewne, acz małe reformy, mogłyby tu być zaprowadzone, lecz nie należy oczekiwać zmian radykalnych, bo te są niemożliwe i niepotrzebne. Formalistyka w tym względzie nie jest u nas znowu tak wielka, jakby się komu zdawało. Na dowód przytaczam niektóre przepisy z urzędzeń kas oszczędności angielskich, dotąd powszechnie uznanych za wzorowe.

W Anglii przy pierwszej wkładce, uczestnik obowiązany jest złożyć te same objaśnienia co i u nas, o imieniu, nazwisku, stanie, zajęciu i miejscu zamieszkania, ale oprócz tego winien złożyć deklaracyą, że nie należy do drugiej kasy oszczędności. Oświadczenie to winno być piśmienne, na blankiecie przez siebie podpisanym i poświadczone przez jednego z urzędników kasy, lub téż przez osobę kasie znaną, księdza lub sędziego pokoju. Niepiśmienny przykładą na blankiecie swoją pieczęć z zachowaniem powyższych warunków poświadczenia. Do pierwotnej deklaracyi angielskie kasy oszczędności, tak wielką przywiązują wagę, że gdy się okaże niezgodność jej z prawdą, wkładki przepadają.

U nas wnioski na daną książeczkę mogą być składane przez kogokolwiek, w Anglii zaś wkładki wnosi albo sam uczestnik, albo téż jego pełnomocnik, w razie zaś zwrotu kapitału, wniesionego przez tego ostatniego, wymagany jest podpis nietylko właściciela książeczki, ale i tego, który w jego imieniu złożył wniosek.

W Anglii, panna, wychodząca zamąż, winna zmienić i książeczkę oszczędności na nowe nazwisko i dopełnić nanowo formalności pierwszego wkładu.

U nas sprawdzanie książeczki dopełnia się przy pierwszym wniosku po Nowym Roku, w Anglii zaś uczestnik zobowiązany jest przedstawić książeczkę swoją kasie przynajmniej raz w roku.

W Anglii przytém płaci uczestnik szylinga za zagubioną książeczkę.

Te są główne różnice w formalistyce urzędzeń angielskich w po-

równaniu z naszymi. Widzimy z nich, że narzekania nasze na zbytnią u nas formalność, są co najmniej przesadzone i nieusprawiedliwione. Lecz za to u nas są innego rodzaju niedogodności, które nie istnieją w Anglii, a które znakomicie tamują skanalizowanie u nas oszczędności.

U nas suma wkładów nie powinna przewyższać 300 rs., gdy w tak bogatej Anglii, maximum wynosi 200 funtów, t. j. 1,260 rs.

O ile nam wiadomo, prawodawca, ustanawiając u nas maximum na 300 rs., kierował się następującymi względami. Nasza kasa oszczędności, jak nadmieniliśmy, była otwartą w r. 1843, t. j. w epoce względnej do potrzeb obfitości gotowizny u nas. Złożone kapitały kasa oszczędności przelewała do Banku Polskiego na $4\frac{1}{2}\%$, t. j. na odsetek na owe kasy wyższy, niż bieżący w kraju. Obawiano się zatem, ażeby przez zbyt wielki napływ kapitałów, Bank Polski nie był narażony na straty. Stało się jednak inaczej, ludność z jednej strony nie zrozumiała jeszcze tych korzyści, jakie nietylko składający, ale i cały kraj odnosi, gdy jej oszczędności ściekają do jednego bezpiecznego zbiornika, z drugiej zaś strony i stopa procentowa, podniosła się w kraju, można było znaleźć korzystniejszą, lubo mniej bezpieczniejszą lokacyą niż w kasie oszczędności.

Ministerem skarbu pracuje obecnie nad reformą kas oszczędności i bliskim jest już czas, że za inicjatywą p. Bungego i u nas zaprowadzone będą pocztowe kasy oszczędności. Kierunek nad nimi obejmie w Cesarstwie Bank Państwa, w Królestwie zaś prawdopodobnie izby skarbowe.

Pożądaném jest wielce, aby reformą kas oszczędności w Królestwie zajął się Bank Polski, który tak peryodycznie i niemal chronicznie cierpi na anemią pieniężną. W zreformowanych kasach oszczędności znalazłby silny sukurs pieniężny.

Przedewszystkiem należałoby podnieść maximum wniosków przynajmniej do 2,000 rs. dla jednej osoby. Kasy oszczędności otworzyć początkowo we wszystkich miastach gubernialnych, powiatowych i tych, które mają ludności przynajmniej 5,000. Ponieważ otwarcie nowych jakich 70 kas oszczędności pociągnęłoby znaczne wydatki na płace, najem lokalu i t. p., możnaby ich zakres rozszerzyć i nadać im charakter Agentur Banku Polskiego. Takie agentury dopełniałby mogły następujących czynności:

1) przyjmować oszczędności na zwykłych zasadach kas oszczędności.

2) przyjmować gotowiznę na rachunek bieżący i na przekaz dla wypłaty w Warszawie, lub tych miejscowościach, gdzie istnieją jego oddziały i nowe agentury.

3) inkasować weksle, nadesłane przez Bank Polski, lub jego oddziały.

4) wydawać zaliczenia na zastaw papierów publicznych, na zasadach przez Bank Polski przyjętych.

Czynności mogłyby być dopełniane przez kolegium, złożone z buchaltera Banku Polskiego, kasyera miejscowej kasy skarbowej lub miejskiej, oraz z delegata honorowego, wybranego z pośród obywateli miejskich.

Lokal oddzielny nie byłby potrzebny, mógłby być wspólny z kasą skarbową lub miejską, w ostatnim zaś razie miasto niewątpliwie udzieliłoby go chętnie i bezinteresownie. Pieniądze w osobnej kasie ogniotrwałej przechowywaćby można, również w kasie skarbowej lub miejskiej, pod trzema kluczami.

Wydatki na urządzenie każdej agentury Banku Polskiego byłyby następujące: buchalterowi płacy 1200
 kasyerowi skarbowemu lub miejskiemu dodatku 300
 opał, światło i materiały piśmienne 300

Razem rs. 1800

dla projektowanych zaś 70 agentur rs. 126,000.

Cały więc kraj pokryty byłby siecią nietylko kas oszczędności, ale i pewnego rodzaju oddziałami Banku Polskiego, dopełniającymi niezbędne, codzienne czynności. Rozwojowi pomyślności narodowej danoby przez to silny popęd, lecz największą korzyść odniósłby Bank Polski.

Jeżeli w Galicyi 19 kas oszczędności posiada 32 miliony florenów (19,200,000 rubli), to nasze agentury Banku Polskiego w liczbie 70 i z większym zakresem działalności, niewątpliwie skanalizowałyby w pierwszym zaraz roku przynajmniej 4 miliony rubli, złożonych bądź na książeczki oszczędności, bądź na rachunek bieżący. Prócz tego liczyć można przynajmniej 2 miliony rubli bezprocentowo złożonych na przekaz, za inkaso weksli, na spłatę należności bankowych, i t. p. Razem w ciągu pierwszego roku liczyćby można, że kapitał obrotowy Banku Polskiego zwiększy się o jakie 6 milionów rubli, a w ciągu paru lat o 10—15 milionów rubli.

Jak błogie skutki przyniosłoby handlowi i przemysłowi takie zwiększenie kasy Banku Polskiego, tego dowodzić nie potrzeba.

U nas w kraju nie brak gotowizny dla naszych dosyć jeszcze ograniczonych potrzeb ekonomicznych, tylko te kapitały, te oszczędności są rozstrzelone, a więc i bezsilne. Jeżeli ułatwimy ich skanalizowanie i do tego w takiej poważnej i zasłużonej instytucji jaką jest Bank Polski, to zobaczymy, że nasz rynek pieniężny rychło swobodnie odetchnie; powstaną rozmaite instytucje kredytowe, spółki i zakłady kredytowe, dla których utworzenia nie będzie już potrzeby uciekać się do pomocy pieniężnej niemieckiej lub belgijskiej.

W ostatnich czasach coraz częściej słyszemy narzekania, na wzrastające ceny artykułów pierwszej potrzeby. Skargi te w obec najnowszych badań uczonych okazują się nieuzasadnione.

Znany finansista angielski Goschen i „The Economist“ wykazują

cyfrowo, że np. 22 przedmioty żywności w ciągu ostatnich dziesięciu lat obniżyły się na 20% i równają się średnim cenom z lat 1845—1850 roku. Do tegoż wniosku dochodzą: Robert Giffen, dyrektor biura statystycznego Board of Trade, oraz znany ekonomista niemiecki Soëtber.

Co się tyczy przyczyn zniżki cen, to zdania są podzielone. Emil Lavaley przypisuje ją zmniejszeniu bicia monety złotej, gdy tymczasem Leroy-Beaulieu słusznie upatruje upadek cen: a) w postępie cywilizacji; b) w ulepszeniu środków komunikacji i tańszych taryfach; c) w ciągłym wzroście kapitałów, w konkurencji i niżeniu odsetków; d) w udoskonaleniu techniki.

Do tych przyczyn na które i my się piszemy, możnaby jeszcze dodać zastój i przesilenia handlowe, coraz częściej nawiedzające rynki europejskie.

Na rynkach europejskich zjawiają się od czasu do czasu groźni konkurenci, którzy znakomicie obniżają ceny jednych przedmiotów, nie dając podnosić się drugim. W ostatnich np. czasach na targu z bożowym, oprócz Ameryki zjawiają się i Indie wschodnie, w handlu naftą Galicya i Kaukaz. Obydwa te przedmioty znakomicie też wskutek tego staniały.

Pszenica w Anglii sprzedawała się w latach 1838 — 1841 po 78 do 82 szylingów za kwarter i wzrastając dalej, doszła w 1847 roku do 102 szylingów 5 pensów, lecz od tego czasu ceny obniżyły się, tak, że najwyższa cena pszenicy za kwarter w ciągu ostatnich lat dwudziestu była w 1867 r. po 64 szyl. 5 pensów. Obecnie zaś pszenica z Anglii sprzedaje się po 38—45 szylingów za kwarter.

Gdy więc nie ma widoków na wyższkę cen zboża, owszem z polepszeniem się wartości rubla, przewidywać można znaczny upadek cen zboża u nas, to należałoby naszym ziemianom wcześniej się przygotować i zastanowić nad środkami dla odwrócenia klęski grożącej naszemu rolnictwu.

Weźmy np. drugi przedmiot powszechnego użytku — cukier. W 1840 r. centnar cukru w Anglii (112 funtów) kosztował 68 szylingów 8 pensów, obecnie zaś, skutkiem olbrzymiej produkcji w Niemczech, ta sama ilość kosztuje 21 szylingów 9 pensów. Yard sukna w 1840 roku kosztował $6\frac{1}{8}$ pensa, obecnie $3\frac{1}{4}$. Wieprzowina, którą w znacznej części karmią się Anglicy, w ciągu pół wieku prawie w jednej cenie się trzyma, podniosła się tylko wołowina na 35% i baranina 65%.

Hawkins, były skarbnik szpitala ś. Jerzego ogłasza w „Daily News,” że w porównaniu z 1830 r., cena utrzymania chorego w 1870 roku obniżyła się o 1 szyling 1 pens. Lecz aby konsument korzystał ze zniżonej ceny, potrzeba aby w danej miejscowości handel był prawidłowo uorganizowany. Potrzeba, aby pomiędzy wytwórcą i spoży-

wcą było jaknajmniej pośredników, zwłaszcza drobnych przekupniów, oraz aby i gałęzie przemysłu przetwarzające produkt surowy były należycie obsłużone. Często się bowiem zdarza, że np. zboże znakomicie staniało, gdy chleb i bułki utrzymują się w jednej cenie, a nawet drożej.

W Europie, tylko w jednej Anglii, a w znacznej części i w Holandyi, handel wewnętrzny i przemysł są należycie uorganizowane i tam też bez względu na nieurodzaj, ceny zboża wielkim zmianom ulegać nie mogą. Gdy więc jest ogólne dążenie do niżki cen przedmiotów koniecznej potrzeby, to skargi na drożyznę są nieuzasadnione, pochodzą one z szerzenia się zbytku i komfortu, który dawniej był udziałem tylko bogatych, gdy dziś dążą do niego wszystkie niemal stany.

Wyżej wspomnieliśmy o groźnym konkurencie zbożowym — Indiach wschodnich. Że one są niebezpiecznym konkurentem, przyznają nie tylko europejscy rolnicy, ale też i amerykańanie. Ziemia w Indiach bogata, w znacznej części sztucznie nawodniona, w obec zaś gęstości zaludnienia cena robotnika tak niską, jaką tylko w Chinach napotkać możemy; nic więc dziwnego, że w niektórych prowincjach kwarter pszenicy kosztuje 6—7 szylingów.

Pszenica produkuje się w Indiach wschodnich głównie na wywóz na targi europejskie, gdzie ludność miejscowa żywi się przeważnie ryżem i prosem. Zboże indyjskie zjawiało się poraz pierwszy na targach angielskich w 1873 r.; lecz w małej ilości z powodu trudnej komunikacji. Dopiero, gdy pobudowano liczne drogi żelazne i obniżył się fracht drogą morską, wywóz raptownie wzrastał.

I tak wywieziono zboża z Indyi wschodnich na targi europejskie:

	w 1873	395,000	centnarów	
	„ 1878	2,273,000	„	
	„ 1882	19,901,000	„	w pierwszej zaś tylko
połowie	1883	15,714,000	„	

Jestto wzrost nadzwyczaj silny, stosunkowo nawet silniejszy niż z Ameryki, a jednak Indye nie cieszą się jeszcze takimi środkami komunikacyjnymi jak Stany Zjednoczone. Dopiero obecnie Anglicy gorliwie się wzięli do budowy dróg żelaznych w Indiach, żądając od izby gmin gwarancyi kredytu na budowę tychże w ciągu 10 lat po 20 milionów funtów rocznie.

Dla naszych rolników zatem, perspektywa nie świetnie się przedstawia, tém gorzej, im bliżej nadejdzie polepszenie się wartości rubla.

Taki sam widzimy upadek w ostatnich czasach jednej z głównych gałęzi przemysłu rolniczego. Mamy tu na myśli gorzelnictwo, mianowicie w Królestwie Polskiem, prowincye bowiem wschodnie, bynajmniej nie przedstawiają nam tak znacznej zmiany.

Liczba gorzelnii czynnych, wysokość produkcji, w Królestwie tak się przedstawia w ciągu kampanii minionej, to jest w 1882/3 roku;

w gub. Kaliskiej	gorzelni 64	z produkc.	632,002	wiad. spiryt. bezw.
" Siedleckiej	" 64	"	396,721	"
" Piotrkowskiej	" 58	"	344,129	"
" Lubelskiej	" 51	"	320,562	"
" Warszawskiej	" 52	"	291,397	"
" Kieleckiej	" 36	"	205,082	"
" Żomżyńskiej	" 28	"	140,482	"
" Płockiej	" 15	"	122,886	"
" Radomskiej	" 30	"	103,511	"
" Suwałkowskiej	" 28	"	82,852	"

Razem gorzelni 426 z produk. 2,639,624 wiad. spiryt. bezw. w porównaniu z kampanią 1881/2 r., liczba gorzelni czynnych zmniejszyła się o 31, a produkcya o 384,303 wiader.

Dla wytworzenia powyższej ilości 2,639,624 wiader spirytusu użyto w kampanii 1882/3 roku:

kartofli	16,021,273	pubdów
żyta	240,850	"
pszenicy	57,844	"
patoki	53,361	"
słodu suchego	152,462	"
" zielonego	1,036,079	"
drożdży winnych	735	"

Na znaczny upadek produkcyi gorzelnianej w Królestwie Polskiem oddziaływały dotąd dwie główne przyczyny: trudność wywozu zagranicę i kontrabanda. Przeciwno kontrabandzie obmyśla ministerjum finansów szereg środków, które w krótkim czasie mają być wprowadzone w życie, co się zaś tyczy wywozu zagranicę, to, jakkolwiek i tu konkurencya Ameryki olbrzymio się wzmaga, jednak wskutek ostatnich rozporządzeń spodziewać się należy znacznego zwiększenia wywozu spirytusu.

Celem rozwinienia przemysłu gorzelnianego i handlu spirytusem, w r. 1865 przyznano wywozającym pewne ulgi, zasadzające się głównie na tém, że od spirytusu tegości nie niżej 90 stopni, odciągano 3% tytułem premii za utratę przy oczyszczaniu. Prócz tego odliczano jeszcze pewien procent na ususzkę, stosownie do czasu transportu ze składu do granicy.

Ulgi te znacznie wpłynęły na zwiększenie wywozu zagranicę, kiedy bowiem w r. 1865 wywieziono tylko 33,745 wiader, to w 1882 r. eksport podniósł się do 2,400,308 wiader spirytusu. Lecz wywóz ten w porównaniu z ogólną produkcją jest mało znacznym, wynosi bowiem niewiele więcej nad siedmnastą część i jest też mało znacznym w porównaniu z wywozem zboża i z ogólnym wywozem.

W r. 1881 wywieziono z Cesarstwa i Królestwa zboża za 241 milionów rubli, spirytusu zaś za 1,664,000 rs., zatem eksport spirytu-

su stanowi tylko $\frac{2}{3}\%$ wywozu zboża i zaledwie $\frac{1}{3}\%$ sumy ogólnego wywozu zagranicę.

Z uwagi na powyższe rezultaty, oraz, że gorzelnictwo stanowi nader ważną gałąź w przemyśle rolniczym, a nawet znacznie wpływa na dobrobyt ludności wiejskiej, daje bowiem jój zarobek w czasie zimy, ministerium skarbu w roku bieżącym postąpiło krok dalej w ulgach, mających na celu podniesienie wywozu spirytusu zagranicę.

Wiadomo, że wyprodukowany u nas spirytus nie posiada w ogóle mocy wyższej nad 90 stopni i nie jest dostatecznie oczyszczony. Tymczasem na rynkach zagranicznych wymagana jest tęgość najniżej 95 stopni. Ażeby tę moc otrzymać należy spirytus powtórnie oczyszczać, co znowu pociąga za sobą utratę 5 — 6 stopni spirytusu, oraz wymaga znacznych nakładów na urządzenie rektyfikacji i aparaty. Z drugiej strony premium na oczyszczenie wynosiło zaledwie 3^o, było więc niedostatecznym dla doprowadzenia spirytusu do tej mocy i czystości, jakiej wymagają na rynkach zagranicznych. Wskutek tego wywożono spirytus prawie wyłącznie do Hamburga, tam go oczyszczano i następnie wywożono dalej do Anglii, Hiszpanii, Włoch i Szwajcaryi. Ten porządek powstrzymywał szybki wzrost eksportu i pozbawiał zarazem wytworów krajowych korzyści z bezpośredniego zetknięcia się ze spożywczą.

Mniemamy, że ostatnie rozporządzenia ministerium skarbu, zasadzające się głównie na podniesieniu premii do 6^o i dozwoleń eksportu kaźdój osobie, a nie tylko, jak dotąd, właścicielom lub dzierżawcom gorzelnii, znakomicie wpłynę na rozwój gorzelnictwa, zwłaszcza w Królestwie Polskiem, na Litwie i Rusi.

Na tém kończymy niniejszą kronikę ekonomiczną, uzupełniając ją wykazem bibliograficznym dzieł ważniejszych, które się na tém polu w ostatnich czasach pojawiły:

Hildebrand R.: Die Theorie des Geldes. Jena, 1884, str. 146.

Marx R.: Das Kapital. Kritik der politischen Oekonomie. Hamburg, str. XXXIII i 808.

Richter E.: Creditsystem der modernen Misswirtschaft und die Mobilisirung des Besitzes, als Hauptquelle der socialen Gefahr. Heilbron, 1884, str. 64.

Riehl W. H.: Die deutsche Arbeit. Stuttgart, 1884, str. X i 297.

Menger C.: Die Irrthümer des Historismus in der deutschen Nationaloekonomie. Wien, str. X i 87.

Normal-Statut f. e.: Orts-Krankenkasse. Berlin, 1884, str. 121.

Laveleye E.: La crise du libéralisme. Bruxelles, 1884, str. 16.

Cernuschi H.: Le Grand procès de l'union latine. Paris, 1884, str. 121.

Say L.: Le socialisme d'E'tat. Paris, 1884, str. 221.

Rawlinson sir C.: The Municipal Corporations Act. London, 1884, str. 1026.

Giffen R.: The progress of the Working Classes in the Last Half-Century. London, 1884, str. 16.

Marescotti A.: L'economia sociale e l'esperienza. Roma, str. X i 188.

Mangilif.: Il credito agrario. Milano, 1883, str. XV i 287.

Levi E.: Manuale per le Banche popolari cooperative italiane. Milano, str. XXIV i 588.

F. F.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Slovansky Sbornik—artykuły z dziedziny etnografii, historii kultury i dziejów życia literackiego oraz towarzyskiego” Rocznik II. Redaktor Edward Jelinek. Praga, nakładem J. Otty. 1883 roku *).

P. Józef Holeczek, którego studia, obrazki i powieści czarnogórskie pozyskały wielki rozgłos, pomieścić w „Sborniku“ szkic: Tradycje narodowe u Czarnogórców.“ Jest to kartka, karteczka tylko z dziejów literatury, szkic pobieżny, krótki ale ciekawy z powodu nowości przedmiotu. P. Holeczek mówi tutaj o pieśniach i podaniach na Czarnéj Górze; sądzi, że „słusznie serbowie zawdzięczają gęśłom, iż narodowość im zachowały.“ „Potop turecki splukał obiecujące początki kultury... nowe pomniki piśmienne nie powstają, a stare giną... Na Czarnogórze każdy papier idzie na patrony, choćby to była stara cenna książka lub dokument historyczny. Cała historia Czarnéj Góry od r. 1520 do końca XVII wieku jest pokryta mgłą nieprzebitą, nie zachowało się nic oprócz imion władyk, choć były to niewątpliwie czasy wielkich i zaciętych bojów z Turkami. Dopiero w XVIII wieku widzimy trzy próby dziejowe, mianowicie „Latopis czarnogórski, sięgający do r. 1749, „Historię o Czarnéj Górze“ metropolity Wasila Petrowicza i „Rękopism władyki czarnogórskiego Piotra I,“ obejmujący krótką historią od początków aż do r. 1712. W XIX wieku nad historią Czarnogórze pracują Symeon Milutinowicz i Daniło Milakowicz. Ten ostatni przyznaje, że nie wystarczały mu ani te okrucy dziejowe, ani zwykłe źródła, że wiele rzeczy, nawet całe bitwy musiał malować według tradycyi, a zwłaszcza według pieśni ludowych.

Pieśni owe zbierali Symeon Milutinowicz i władyka Piotr II:

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za wrzesień r. b.

pierwszy wydał pod pseudonimem Czubra Czajkowicza „Piewanija cernogorska i hercegowaczka“ (Lipsk r. 1837), drugi zbiorowi swemu dał tytuł „Ogledalo (zwierciadło) serbsko“ i drukował go w Belgradzie r. 1845. Władyka wydał rozporządzenie, aby każdego, kto dobrą pieśń na Cetyni zaśpiewa, prowadzić zaraz do pisarza, który ją niezwłocznie zapisać. Okrom tych dwóch zbiorów jest jeszcze trzeci, o którym p. Holeczek nie wspomina, mianowicie „Pieśni junackie nowszych czasów o walkach Czarnogórców“ znajdują się one w piątym tomie „Narodowych pieśni serbskich,“ zebranych przez Wuka Stefanowicza Karadzicza. a wydanych po jego śmierci przez wdowę Annę Karadziczową (Wiedeń 1865 r.). Zbiór ten zawiera w sobie osiemnaście długich pieśni, opiewających najnowsze wypadki, między innymi jest dramatyzowany poemat o śmierci księcia Daniła, liczący 2256 wierszy i wyśpiewany przez Sawę Martinowicza. Wuk zapisywał sumiennie nazwiska pieśniarzy, od których daną pieśń był zasłyszał, podobnie czynił był Milutinowicz, pieśni zaś w „Ogledalu“ Piotra II są bezimiennie.

Śpiewacy ludowi starali się, o ile możności być wierni prawdzie, ciągle mieli na myśli, aby pieśń zachowała autentyczny obraz faktu. Działające osoby wyliczają się tam dokładnie, również zabici lub wzięci do niewoli i t. d. Im pieśń jest nowszą, tém bywa ściślejszą, pełniejszą i szczegółowszą, tém mniej ma ozdób poetyckich.—„Lud sam w pieśniach historycznych widzi nie utwory poetyczne, ale czystą, niezaprzeczoną prawdę, w której nic zmieniać nie można... Szczyt ambicyi męża stanowi to, aby dokonał czynu, któryby dał podnieść do pieśni i sprawę swego wślawić. Gdyby zaszła obawa, że pieśń będzie stronną, postradałaby swoje powagę i znaczenie i wiara w nią byłaby upadła. Książę Daniło I, gdy chciał zapalić Czarnogórców, podniecał ich temi krótkimi słowy: Pamiętajcie, Czarnogórcy, co gęśle o tém powiedzą!“ A cześć Czarnogórców dla tego symbolu pieśni narodowej była tak wielką, iż wnet poczęli prześcigać się wzajem, dokonywając czynów bohaterskich i strzegąc się wszystkiego, coby na nich cień rzucić mogło.“

P. Holeczek brak pieśni z XVI i prawie całego XVII stulecia wyjaśnia tém, że, lubo niewątpliwie lud ówczesny pilniej jeszcze niż dziś pieśni układał, ale nie wtedy nie zdarzyło się tak wielkiego, aby cały naród wstrząsnęło i wywarło na nim wrażenie przez wieki trwające, drobniejsze zaś przygody padły w zapomnienie a z niemi i pieśni.

Zródł pieśni ludowych na południu słowiańskiem jeszcze nie wysechł i zasługuje na to, aby go śledzić nieustannie, lubo może dzisiejsze pieśni w poetyczności starodawnym nie wyrównywają. P. Holeczek nakłania, aby poświęcać baczną uwagę pieśniom słowian-mohometanów, bardzo licznym, bogatym w poezją, a dotąd mało znanym. Mohometanie mają także swoich bohaterów, o których przy wtórze gęśli śpiewają. Zwraca także autor uwagę na podania ustne o przed-

kach i ich czynach. „Przyniosłoby wielką zasługę, gdyby ten rodzaj tradycyi narodowej pozyskany został dla literatury, nim pocznie ginąć, a co wnet się stanie, gdy do ludu przenikną książki i ten, przestając polegać na własnej pamięci, oczekiwać będzie, że mu to książka lepiej powie... Podobną tradycją spotykamy u każdego plemienia i rodu. Początek jej tam, gdy przodkowie przybyli na Czarną Górę i to z różnych stron i w różnych czasach. Co mówią o czarnogórcach, że to są „uskocy z Kosowa“ do wszystkich się to nie odnosi. W każdym ple-mieniu i rodzie pamiętają, jak w Izraelu o całej swój genealogii, o tém, co znakomitego ten i ów z przodków dokonał; wszelako dat, jak się spodziewać należy, podać nie umieją i nie łatwo je oznaczają.“ P. Ho-leczek podaje kilka przykładów takich genealogicznych tradycyj, które na Czarnéj Górze był zasłyszał.

O stanie słówa ków w ostatnich pięciu latach pisze Jarosław Wl-czek, słowak, znany już z artykułów o rodakach swoich, oraz krótkie-go rysu literatury słowackiej: wszystko to pisał po czesku. We wstę-pie Wlczek opowiada o postępowaniu obecnego rządu węgierskiego ze słowakami. R. 1875 Koloman Tisza zniósł malicę słowacką, a mają-tek jej w ilości 95,867 zlr., zebranych z wdowiego grosza ubogiego narodu, bogatą bibliotekę, zbiór rękopismów, starożytności, monet, za-pas nowych nakładów, wszystko to drogą policyjną, bez żadnego do-chodzenia sądowego skonfiskowano, pomimo że malica była zatwier-dzona osobnym reskryptem cesarskim z r. 1862. Niezadługo potem w sejmie zostały wypowiedziane te pamiętne słowa „niema już narodu słowackiego.“ Już na rok przedtém zniesiono trzy gimnazya i jedno seminaryum pedagogiczne, utrzymywane własnymi słowaków pieniędzmi. Język słowacki wypierano z sądów. Roje koczujących trup madziarskich rozlały po miasteczkach słowackich z cywilizacyjną mi-szą krzewienia języka Petófiiego, potworzyły się stowarzyszenia z tym-że samym celem, miasta na łeb, na szyję otrzymywały inne nazwy, aż wreszcie r. 1879 język madziarski wprowadzono do szkół ludowych, ja-ko obowiązkowy przedmiot, na który poświęca się tygodniowo siedem godzin. W szkołach średnich stanowi on jedyny język wykładowy, co „zrodziło istną epidemją powierzchowności, ograniczoności i igno-rancyi w młodszém pokoleniu renegatów. W niektórych seminaryach zakazano alumnom rozmawiać między sobą po słowacku. W kościele ewangelickim, gdzie od lat czterdziestu bojowano o niezależność, od-dzwoniono na pogrzeb autonomii słowackiej. I tego wszystkiego do-puszcza się naród, który do niedawna tak mężnie i wytrwale walczył o własną narodowość, tego dopuszcza się rząd, którego przewodniczą-cy (Tisza) r. 1880 wygłosił był w sejmie te słowa. „Tylko ten naród ma przyszłość, który nie buduje jej na gruzach innych plemion.“

„Z pułków nietopérzy tak wychowanych, literatura madziarska nie ma żadnego a żadnego użytku; niema pisarzy, niema poetów, niema talentów, tak brzmią jeremiady poczciwszych piór krytycznych ma-dziarskich.“ Z tém łączy się upadek materialny ludu słowackiego,

zależnego jako lud rolniczy od urodzaju; gdy żniwo nie dopisze, panuje nędza nad wszelki wyraz, a skarb rządowy pamięta tylko o czyisto madziarskich okolicach, P. Wlczek przytacza cyniczne wyznanie jednego z przedniejszych madziaryzatorów: „Wielkie nasze usiłowania muszą skupiać się w tém, aby lud słowacki nie dobił się wykształcenia. Musimy usilnie madziaryzować i dojść do tego, aby każdy człowiek mówiący po słowacku, był duchowym niewolnikiem, a każdy słowak, chcący wydobyć się z téj niewoli, stał się madziarem, przynajmniej sposobem myślenia i mową, lubo etnograficznie w madziara przetworzyć się nie da. Choćbyśmy ludu nie znajdźmy zupełnie, nic to nie szkodzi, słowaczczyna za pługiem i na gnoju nie przyniesie nam uszczerbku. Co wszelako sięga po nad pług, po nad motykę, to nie powinno mieć charakteru słowackiego. Biada nam, gdyby lud słowacki otrzymał wykształcenie. Ma on wielkie zdolności, przez zdolności swe podniósłby się w takim stopniu, w jakim rozmnaża się przez swoją płodność. Na to pozwolić nie możemy, gdyż inaczej sławizm w Peszcie potężne zapuści korzenie, a żywioł madziarski na drugi plan zejdzie.“

„Już głębiej upaść nie możemy“ woła poeta Wajansky, „Co gorszego jeszcze stać się może!“ płacze drugi poeta Hwiedzoslav, a p. Wlczek dodaje „słowacy nie upadła, pokonana siłą, lub przewagą duchową, ale przemocą materyalną, a nawet czysto nihilistyczną negacją. Ta jednak nie zabija. Pomimo swoich losów Słowacy pozostała harmonijną całością: ma swoją średnią szlachtę (ziemian), która wprowadziła na zewnątrz politykę renegacji, ale przy ognisku domowem, w chwilach niestrzeżonych, zawsze zdradzi się ze swą mową słowacką, w uczuciu, charakterem; ma swe mieszczaństwo, w którym wiele jest zdrowego jądra, pomimo że po większej części zarosło chwastem renegacji, lub niedbalstwa; ma swoich rolników, szeroką podstawę bytu narodowego, lud zdolny, dobry, śpiewny, do swéj nieurodzajnej ziemi wytrwale przywiązany; ma swą inteligencją w kołach księży ewangelickich i katolickich, adwokatów, i lekarzy, w młodym dorosłym młodzieży, przesładowanej, wypędzanej z ojczyzny.“

Drugą połowę artykułu p. Wlczek poświęcił literaturze ostatnich lat pięciu; mimo wszelkich przeszkód rozwija się ona, słaba liczebnie, ale zawsze stająca jako dowód, że „eppur si muove.“ Przedewszystkiem zaczyna od charakterystyki dziennikarstwa. „Narodni-nowiny“ energicznie bronią stanowiska słowaków, a w felietonie podają beletrystykę i krytykę literacką. „Obzor“ ekonomiczne czasopismo, wydawane przez Licharda, oddziaływa znakomicie przystępnymi dla ludu artykułami; dla niższych warstw niesie naukę i światło. „Narodni klasnik“, wydawany przez Pietra. Historyk Fr. Sacinek redaguje naukowy „Slovensky letopis“, pełen monografii dziejowych, a Wajanskiego „Slovenské Pokl'ady“ są godnym uwagi zbiorem artykułów beletrystycznych, naukowych i krytycznych. Okrom tego są jeszcze znakomicie redagowane pisma kościelne. Pomiedzy literatami najprze-

dniejsze miejsce zajmuje Swatozar Hurban, znany pod pseudonimem Wajanskiego. W „Narodnych Nowinach“ pisze on najwymowniejsze swego narodu obrony, felieton bogaci zajmującymi szkicami literackimi, „Slovenské Pohľady“ zapełnia po większej części utworami swego pióra, jest natchnionym poetą, a jeszcze znakomitszym nowelistą, przechodząc nawet poprzedników swych Janka Kalinczaka i Wilhelma Pauliniego. Po Wajanskim odznacza się jako poeta liryczny Paweł Orszagh (pseudonim jego jest Hwiedzdosław), w pieśniach ubogiego ludu słowackiego. Z młodszych poetów i nowelistów okazuje piękny talent Jędrzej Bella w pieśniach swych w duchu ludowym—zresztą pojawił się cały szereg młodych wierszopisów na arenie literackiej, lecz żaden z nich dotąd nie pozyskał odrębnej indywidualności. Z młodszych w nowelistyce obiecująco występują Józef Szkultéry, Samo Bodicky i Helena Szoltésowa. Za to umilkł Milosław Dumny (właściwie Daniel Bachát), który lubo w wierszowanej poezji nie miał szczęścia, ale lekkie nowelle z ludowego życia nieźle mu się darzyły. Do grobu poszli zdobny nowelista Mikołaj Ferienczik, Jan Botto, poeta, autor Janoszika— a już po wydrukowaniu artykułu p. Włczka Samuel Chalupka, twórca rozkosznych ballad.

Praca nad literaturą ludową postępuje dalej. Paweł Dobszinsky w r. 1880 wydał znakomitą księgę „O obyczajach, zabobonach i grach słowackich,“ obecnie wydaje powieści ludowe. J. Kadawy puścił w świat jeden tom melodyi p. t. „Słowackie śpiewy.“ Za to pieśni bez nut znajdują się w wydawnictwie komisji podaniowej towarzystwa „Slawia“ w Pradze. Próbkę krótkich dziejów literatury słowackiej wydał autor artykułu Jarosław Włczek. Aby zorganizować trochę ruch wydawniczy założono w Turczańskim św. Marcynie akcyjne towarzystwo drukarskie, które za roczną opłatą 1 złr. lub 4 rozmaitego rodzaju książki daje przedpłatcielom. Jednym słowem walka prowadzi się z właściwą plemieniu słowackiemu wytrwałością.

Od ubogiej niwy słowackiej przechodzimy do niemniej biednego, a poczciwie uprawianego zagona serbo-łużyckiego. Zaczny i nam dobrze znany, ksiądz Michał Hórnik w „Echach z Łużyc“ opowiada pokrótce to, co się tam w r. 1882 działo. W politycznym żywocie serbowie łużyccy mają pewne znaczenie tylko przy wyborach, przy których popierają kandydatów partyi konserwatywnej, wiedząc dobrze, iż liberałowie niemieccy, dążąc do jedności państwowej, starają się szkodzić ich narodowości. Z tego powodu napadła na nich „Schlesische Zeitung,“ oskarżając o panslawizm, tóż samo uczyniła „Norddeutsche“ w artykule wstępnym. Pretekst dały składki na cele naukowe łużyckie, płynące od innych słowian, zwłaszcza od polaków. Przeciwno tym bredniom wystąpiła nawet liberalna „National-Zeitung“ oraz katolicka „Germania.“ W sprawach kościelnych brak jeszcze wciąż księży i pastorów, gdyż w nowszych czasach mało młodzieży poświęca się teologii. Studenci serbo-łużyccy w Lipsku nakłonili słowaków, aby postarali się o pastory w Łużycach i rzeczywiście już

dwoch słowaków, Lany i Dobrucky, otrzymali wakujące probostwa. Co do innych, rządy pruski i saski stawiają przeszkody. Dla zapobieżenia temu brakowi konferencya pastorów serbo-łużyckich napomina młodzież ewangelicką, aby w więksym poczcie stanowi duchownemu się poświęcała. Założono także w Budyszynie „towarzystwo pomocy dla uczących się;“ które oprócz rocznych składek otrzymało 6000 marek z zapisu wdowy wieśniaczki Wjelowej z Trzebenic. W Chociebużu na dolnych Łużycach istnieje także podobne towarzystwo w mniejszych jednak rozmiarach. Katolicy mogą przyszłych kapłanów swoich wychowywać w seminaryum łużyckim w Pradze, ale tym obecnie księży brakować zaczyna. W szkołach ludowych jeszcze uczą się dzieci w ojczystym języku, ale rządy saski i pruski radeby wiele wyrugować go zupełnie. Do seminaryów nauczycielskich w Prusach nie przyjmują serbów w należywym poczcie, a okrom tego niektórzy nauczyciele pruscy w kraju serbskim dostali nagrodę za to, że dzieci wyłącznie po niemiecku uczyli.

O stowarzyszeniach mówi ks. Hórnik, że tak w Budyszynie jak i na prowincyi działają należycie, wspomina przytem o koncercie śpiewackim wraz z balem, urządzonym przez towarzystwo śpiewackie w Lubiju. W piśmiennictwie pracowano wedle możności. W górno-łużyckim zaprowadzono tę zmianę, że dawniejszy „Łuziczka“ i „Lipa serbska“ organ omladiny, połączyły się w miesięcznik „Łuzica,“ redagowany przez profesora gimnazjalnego Ernesta Mukę i rozchodzący się w 700 egzemplarzach. „Serbskie nowiny,“ redagowane przez Smolera, mają 2,000 prenumeratorów, tyleż ma ewangelickie czasopismo, „Missionski poset,“ wychodzące pod redakcją pastorów Domaški i Jakuba. „Katholski Poset“ wychodzi w 750 egz. i ma od początku roku 1882 nowego redaktora w księdzu Skale. „Serbski Hospodar“ stanowi dwutygodniowy dodatek do „Serbskich Nowin“ i „Katholskiego Posła,“ redaguje go starannie ks. Kubas, ma już 1,000 prenumeratorów. Naukowość reprezentuje „Czasopis Macicy Serbskeje“ ukazujący się co pół roku pod redakcją ks. Michała Hórnika. Bywają tam artykuły z dziejów literatury samego redaktora, Jencza, Muki, lingwistyczne rozprawy Pfula, poezye różnych osób, między innemi dolnołużyckie utalentowanego samouka, M. Kósyka—w jednym zeszytacie z r. 1882 znajdujemy bibliograficzną notatkę Alfonsa Parczewskiego. Kalendarzy ludowych w Górnych Łużycach wychodzi trzy: „Przedzeńak,“ „Krajan“ i „Polan a Holan“—z tych pierwszy najstarszy drukuje się w 5000 egzemplarzy. Najważniejszém wydawnictwem są „Zebranie dzieła Andrzeja Zejlera,“ najlepszego i najulubieńszego z poetów łużyckich; nakład na to pomnikowe wydawnictwo dały skłładki uczącej się młodzieży serbo-łużyckiej. Z innych książek należy wymienić Jordana, „Najpiękniejsze bajki ludowe“ i Jakuba Barty „Poezye z lat młodocianych.“

Literatura dolno-łużycka także robi postępy, popierana i przez górnych łużyczan. Dziennikarstwo reprezentują jedyne „Bramborske Nowiny,“ wydawane w Chociebużu. Kalendarz „Pratyja,“ którego

pierwsze trzy zeszyty ukazały się dzięki ofiarności Alfonsa Parczewskiego, w r. 1883 stanął na własnych nogach. Największą książką jest nowe wydanie kancjonału „Serbske duchowe kjarliže,“ obejmujące przeszło 600 pieśni—mające zastąpić dawniejsze niezdarne przekłady z niemieckiego, nieraz pozbawione rytmu i rytmu. Do przeróbki tego dzieła zabrała się cała komisya pastorów i nauczycieli, mianowicie pp. Bronisz, Rocha, Temar', Swiela, Jórdan, Kósyk, Kopf, Nyczka i War'ko.

Artykuł swój ks. Hornik kończy następującemi słowy: „Dajemy więc nieustannie znaki życia narodowego i pozostajemy wiernymi słowiańszczyźnie. Niemcy nie przestają sądzić nas niesprawiedliwie i rozprowadają po księgach uczonych i po czasopismach, że nas już nie ma. Tak w „Magazin für die Literatur des Auslandes L. Freytag (r. 1883 str. 563) pisze z okazji książki Schullenburga, tyczącej się serbów (łużyckich) „Ein exclairvirter Volkssplitter, welcher... der unaufhaltsamen Germanisirung binnen Kurzem unterliegen muss.“ My jednakże wiemy, że Niemcy tak już lat kilkaset prorokują, ale mimo wszelkich usiłowań i rozporządzeń prawnych — daremnie!“

Artykuł o krytyku rosyjskim Bielińskim jest tłumaczeniem ze wspomnień literackich Turgeniewa.

Sprawy szkolne stanowią także oddzielną rubrykę w „Sl. Sborniku.“ Znajdujemy tutaj artykuł Maryana Czeszewskiego „O szkole szląskiej.“ Autor datuje wystąpienie „kwestyi szląskiej“ od roku 1848, gdy narody austriackie zbudziły się z głębokiego snu, w który absolutyzm je był pogrążył. Chce on podać obraz szkół na Szląsku, jako komentarz do tylekroć wypowiedzianej prośby o równouprawienie narodowości w szkole. Naprzód dowodzi, iż zdanie niemieckie, jakoby język der sogenannten Wasserpöhlen war platt-polnischer Dialekt, pomieszany z wyrazami niemieckimi, jest nonsensem i odwołuje się do zdania prof. Lucyana Malinowskiego, brzmiącego, że „lud szląski mówi tak czysto jak i w innych krajach naszej etnograficznej przestrzeni, a przymieszki obce nie są tam liczniejsze aniżeli w słowniku ogólnym.“ Podobnie fałszywe zdanie wytworzyli niemcy o języku czeskim w Szląsku Opawskim. Uczony prof. Faustyn Ens nazywa go „Zwittersprache“ i sądzi, że był w najdawniejszych czasach polskim, a potem dopiero pod zwierzchnictwem czeskim nasiąknął wymową i wyrazami czeskiemi. Zdanie to świetnie obalił dziejowemi i lingwistycznymi dowodami profesor Prasek i okazał, że tameczne narzecze jest po prostu starożytną czeszczyzną, podobnie jak polszczyzna szląska ma wiele znamion języka z epoki Zygmuntofskiej. Statystyka, lubo stroniczo prowadzona, okazuje liczebną przewagę słowian nad niemcami, którzy w Szląsku do tego mówią jakimś barbarzyńskim, nieraz wcale niezrozumiałym dyalektem. Cytując znakomite słowa Karola Libelta o wychowaniu, p. Maryan Czeszewski utrzymuje, że „wychowanie musi mieć charakter narodowy, z czego wypływa, że wszelkie nauki winny być udziela-

ne w języku ojczystym. Ale na tém nie dosyć. Nauczyciel nietylko powinien poprawnie mówić językiem, w którym ma nauczać, lecz jeszcze musi znać literaturę i dzieje swego narodu, musi czuć się częścią tego narodu i na uwadze mieć obowiązki swoje względem niego... A czy nauczyciele szlązcy wypełniają ten obowiązek? Czy mogą go wypełniać? Odpowiadamy z żalem w sercu: Niestety, nie! Złój woli udało się zrobić już wiele — bardzo wiele. U nas pełno wyrodków. Mamy ich wszędzie: w urzędach, w sejmie, w szkołach, na kazalnicach, w handlu, w przemyśle, a nawet w polu za pługiem! W szkołach elementarnych wprawdzie język ojczysty jest wykładowym, ale obok tego sześćdziesięcioletnie dzieci już w pierwszej klasie muszą uczyć się po niemiecku. W szkole elementarnej wymagania są już bardzo znaczne. „W następnych klasach język niemiecki ma coraz bardziej stawać się językiem wykładowym, czego inspektorowie szkolni, nadzwyczaj gorliwi germanizatorzy, bardzo ściśle pilnują. Rezultatem jest, że „nauczyciele, zamiast kształcić umysły młodociane, uszlachetniać serce, oświecać głowy, właściwie robią z dziećmi gimnastykę, wyginając język do dźwięków niemieckich i tresują ich pamięć, zmuszając do przechowywania ogromnego słów obcych zasobu.“ A mimo to dzieci po wyjściu ze szkółki ani jednego, ani drugiego języka nie umieją. Lud szlązki wiele dba o to, aby synów posyłać do „szkół,” t. j. do gimnazjów, gdzie język ojczysty jest tylko przedmiotem nadzwyczajnym, nieobowiązkowym, źle wykładanym, traktowanym niedbale — ztąd szkoły są rozsądnikiem renegatów.”

Nie możemy podawać całej treści owego artykułu, popartego nader pracowicie aparatem statystycznym, odsyłaczami do praw, dzieł specjalnych, czém wszystkiem p. Maryan Czeszewski dowodzi, że istotnie Słowianom w Szlązku krzywdą się dzieje pod względem szkolnym, że się praktykują rzeczy, które są sprzeczne nawet z brzmieniem praw i rozporządzeń władzy. Artykuł kończy się temi słowy: „Szlązk, będąc w nader smutném położeniu, istotnie rozpaczliwém, własnymi siłami obronić się nie zdoła. W nierównym boju o równouprawienie nie mógłby zwyciężyć. Niech więc oba bratnie narody, polacy i czesi, nie pozwolą, aby zaginął duch narodowy, który do dziś dnia w Szlązku się utrzymywał. Słowiańscy mieszkańcy Szlązka wytrwale zachowali skarb swój narodowy — język ojców swoich. Tém okazali żywotną swoją siłę i dowiedli, że godni są lepszej przyszłości. W Szlązku stykają się interesa polaków i Czechów. O tém niech nie zapominają polscy i czescy postowie w radzie państwa. Est periculum in mora!”

K. Suzin z Petersburga pisze na kartach „Slov. Sbornika” o „wyższém kształceniu panien i pań w Rosyi.“ Autor, stojący na stanowisku emancypacyjném, krótko, pobieżnie, ale za to w sposób ciężki opowiada o wyższych kursach, t. zw. Bestużewskich dla kobiet i o kursach lekarskich dla tychże.

Józef Holeczek opowiada pokrótce o „elementarnych szkołach

na Czarnéj Górze." Sądzi on, że „jeśli nieprzyjaciele słowian wyrzucają czarnogórcóm, że ci w wykształceniu w tyle pozostali, czynią im wielką i złośliwą krzywdę, zamilczając, dla czego się tak stało. Według autora, już to niemata lubo niebezpośrednia zasługa czarnogórców dla kultury, że bronili jéj przed powodzią żywiołu barbarzyńskiego. „Kaźda porażka, którą czarnogórcy turkom zadali, jest czynem kulturnym, a kaźdy junak czarnogórcski bohaterem kultury." Że i tam były dawniej wyższe tendencye, dowodzi to samo, że w ostatnim dziesiątku XV stulecia założono w Obodzie drukarnią i pierwsze druki serbskie pochodzą z Czarnéj Góry. W ciągłych walkach jednak utonęły wszelkie zarodki oświaty. Dopiero o naukę zaczęto się starać w naszym wieku. Pierwsze kroki zrobiono za władcyków Piotra II, słynnego poety i Daniła I, ale brakowało środków materyalnych. Obecny książę Mikołaj założył drukarnię na Cetyni, postarał się o wydawanie książek i czasopism, a dla pozyskania funduszu szkolnego, wymyślił środek dość radykalny, zarządził obcięcie dochodów klasztornych. Roku 1868 oddał zarząd kościoła i szkoły w ręce metropolity pod nadzorem senatu i księcia. Komisya z władcyką na czele, spisała cały majątek ruchomy i nieruchomy klasztorów. Zostawiono tym ostatnim tyle ziemi, ile potrzeba było na ich kuchnię i dla bydła, resztę oddano w dzierżawę. Duchownym naznaczono płace roczne, a po odciągnięciu sumy na utrzymanie i reparacyą budowli klasztornych, pozostało jeszcze 10,000 złr., z czego wyznaczono pensye metropolicie i nauczycielom, pierwotnie było ich coś koło trzydziestu. Mnichów tych nie było wielu, bo czarnogórcy wołą nosić karabin, aniżeli siedzieć w zaciszu klasztorném. W skutek lepszej administracyi dóbr duchownych, przewyżka dochodu wzrosła w r. 1872 do 56,650 złr. Z tego utrzymuje się 40 szkół elementarnych, sześciu mnichów, dwaj archimandryci, protopop cetyński, protodyakon i władcyka (metropolita), a krom tego dają się wsparcia ubogim ucznióm. Gmina, która chce mieć u siebie szkołę, musi dać budynek i utrzymać go, reszta należy do rządu; nawet opłaty szkolnej rodzice nie wnoszą. Ks. Mikołaj bardzo gorliwie zajmował się szkołami. Przed wojną roku 1874 było ich już 74, z tych 29 na terytoryum tureckim, czego rząd turecki nie bronił. Szkoły te stanowiły wyborny środek propagandy politycznej. Po wojnie szkoła upadła; w roku szkolnym 1880 i 1881 szkół było tylko 22, a uczniów 1,180; — 1,069 chłopców i 111 dziewcząt; według wyznania 1,119 prawosławnych, 25 katolików i 36 mahometan. Procent uczących się w stosunku do 200,000 ludności 0,5 — najsmutniejszy stosunek, jaki tylko być może. Upadek ten był rezultatem pięcioletniej wojny, gdyż w walce wszyscy mieszkańcy biorą udział; nie ma w tym czasie ani zabaw, ani odpustów, ani wesel, a nauczyciele i starsi uczniowie biorą karabin.

W roku szkolnym 1881/2 poczet szkół wzrósł do 24, są to szkoły mieszane, z nich dwie tylko urządzono osobno dla dziewcząt. Uczniów było 1733 — chłopców 1628, dziewcząt 109; według wyznania

było 1667 dzieci prawosławnych, 44 mahometan i 26 katolików. Nauczycieli było 41, nauczycielek 2. Płaca nauczyciela wynosi od 150 do 200 talarów, nauczyciele wychodzą albo ze szkoły duchownej w Cetyni, albo ze szkół w Rosyi, Serbii lub Dalmacyi, skutkiem czego nie są oni jednakowo przygotowani. „Naczelnicy, którzy sprawowali urząd nadzorców miejscowych, w ogóle okazywali dosyć gorliwości, aby szkoły się podniosły, ale byli i tacy, co wcale o to nie dbali. Nawet niektórzy z ministrów dopuścili się względem szkół nadużyć, które dowodzą, że mają oni mało wykształcenia i nie rozumieją korzyści, jaka z porządných szkół wypływa.“ P. Holeczek przytacza kilka przykładów, między innemi, jak minister wojny, pop Ilija Plamenac, kazał r. 1881 część szkolnej budowy w Rijece użyć na skład broni, a dolne piętro kramarzom wynajął, a znowu w Nieguszach naczelnicy część budowy wynajęli na karcznię, a karczmarz znowu pod samą izbą szkolną oborę urządził. Ciekawą anegdotkę podaje autor na końcu „O jednym z nauczycieli, kolega jego, jako zastępca nadzorcy szkolnego, dał następującą opinią: Powiadają, że prowadzenie się jego jest dobre, a ponieważ w tych dniach wyprawiono go do Cetynia do więzienia, będziesz pan miał sposobność sam jego postępowanie ocenić.“

(d. n.).

„Liebsch Georg, Syntax der wendischen Sprache in der Oberlausitz.“ Bautzen 1884.

Rzecz niniejsza, chociaż opracowana w duchu lingwistyki deduktywnej, stanowi jednak ze względu na niektóre spostrzeżenia autora, tudzież ze względu na powołane tu wyniki nowszych badań, u nas jeszcze nieznaných, ważny i pożądaný dla każdego uczonego słowiańskiego nabytek.

Wbrew Miklosiçowi, uważającemu składnię za część gramatyki czyli nauki o formach, traktującą o znaczeniu części mowy (Wortclassen) i form wyrazowych (Wortformen), p. Liebsch utrzymuje, że składnia jest nauką o zdaniu, która jest myślą słowy wyrażoną. Opierając się na téj zasadzie autor przystępuje do właściwego podziału zdania na pojedyncze, gołe i rozwinięte, tudzież złożone. „Zdanie gołe, pojedyncze możnaby porównać, mówi autor, z najniższym zwierząt rodzajem, obdarzonym z przyrodzenia najpotrzebniejszymi tylko do życia członkami. Jako w przyrodzie jest mnóstwo innych zwierząt z mniej albo więcej rozwiniętymi organami, podobnież i w języku obok zdania gołego mamy wiele innych, odznaczających się nader różnolity formą (str. 61).“ W narzeczu łużyckim jak w innych pobratymczych, a nawet klasycznych t. j. greckim i łacińskim jest nierównie większa ilość słów (verbów), stanowiących zdanie całkowite niż w niemieckim albo francuzkim, jako w językach, które z roz-

kładu dawnych pierwotnych powstały. Słowo np. *riecz-i-my* zawiera podmiot (*my*), orzeczenie czyli praedicatum (*riecz*) i spójkę t. j. *copula* (*i*), łączącą podmiot (*my*) z orzeczeniem (*riecz*). Orzeczenie w zwyczajnym szyku łużyckim pod wpływem niemieckiego, ostatnie w zdaniu zajmuje miejsce, lubo porządek odwrotny onych części, istniejący w słowach, dowodzi, że szyk w przyrodzie języków słowiańskich jest swobodny, albowiem obfitość form aryjskich zachowanych w żyjącej mowie słowian, tudzież życie na łonie przyrody przodków naszych były przyczynami, żeśmy nie uciekali się dla ubóstwa językowego do onych środków sztucznych, jakich właśnie chwyciły się plemiona, powstałe z mieszaniny rasy romańsko-celtycko-germańskiej; przyznać nam atoli należy, że analiza, będąca charakterem języków rozkładowych, od wielu wieków i w słowiańszczyźnie panowanie swoje rozpościera. Skutki tego widzimy w organiźmie słowa w stosunku do starostowiańskiego. Utraciliśmy np. *imperfectum* i *aoryst*, zachowany jeszcze w łużyckim; imiesłowy niegdyś rodzajowane przeszły w służbę przysłówków; liczba podwójna coraz to bardziej zamiera, a deklinacja artykułowana znana czytelnikom we francuzkim i niemieckim języku zawładnęła już zupełnie w bułgarskim.

Odpowiednio niemieckiemu „*es*“ w zdaniach nieosobistych, używa się w dawnych pomnikach łużyckich szczególnie w biblii zapomniane je, które okrom starostowiańskiego znikło już w innych narzeczach pobratymczych; np. *To je je* (*das ist est*); *Ty sy kowarj, ja je hiszće sym* (byłeś kowalem, ja nim jestem jeszcze).

Orzeczenie w przypadku 6-ym czyli narzęduiku (on był kowalem) zachowane w litewszczyźnie i wielu narzeczach słowiańskich, zaginęło jednak w serbo-łużyckim; dziś zastępuje się przypadkiem 4-ym z przyimkiem *za*, np. *Jan bie za wotrocza* (sługą, parobkiem). W mowie ludowej zachowały się zaledwie szczątki orzeczenia w narzęduiku i to jeszcze z przyimkiem *z*; np. *to je z hrzechem*.

Lubo wiadomo specjalistom, że tak zwany tryb rozkazujący zaginął w narzeczach słowiańskich, wyrażając się natomiast formą optatiwu (tr. życzącego), istniejącego w greckim, odpowiednią potentialisowi (t. j. trybu możności) w sanskrycie, jednak zwrócenie uwagi przez autora na to zjawisko, ukryte przed oczyma wielu dzisiejszych nawet gramatyków, uważać mu należy za zasługę. Nie sądzimy atoli, aby, jak p. L. twierdzi, przyczyną tego była ludzkość i łagodność słowian, nieznosząca szorstkości, widniejącej w trybie rozkazującym. Czyż utratę innych form up. aorystu, imperfectum i t. d. także przymiotami albo wadami narodowymi tłómaczyć sobie należy? Wpływ jednych narzeczy na drugie, stosunki bądź wojenne bądź pokojowe ludów, zmieszanie się ras i zmiany siedlisk, stanowią widoczne takich zjawisk przyczyny.

Pr. dr. Pful, twórca nowoczesnej pisowni łużyckiej, w słowniku swoim utrzymuje, że forma *strow* (zdrów) w wyrażeniu: *Boh*

daj strow (Bóg daj, abyś zdrów był) jest skróceniem rzeczownika strowje (zdrowie), co zdaniem p. Liebscha być nie może, gdyż w językach słowiańskich jest, był etc. często się wyrzuca; rzecz więc prosta jako wyrażenie: Boh daj strow jest zdaniem ściągnięciem względem: Boh daj, zo by strow był (Bóg daj, żeby zdrów był).

Łużyczanie potwierdzając albo zaprzeczając jakiemuś zapytaniu h a j t. j. h a je, niekiedy ju zam. j ó, j o. Ono h a je znaczy właściwie a jest i wskazuje na łączność odpowiedzi z zapytaniem w jedno zdanie. Dolnołużyckie j o jest tylko przemianą je (jest).

Kończąc to sprawozdanie nadmieniamy, że narzeczce łużyckie, jako będące zabytkiem dawniej mowy słowian połabskich, przedstawia dla badacza polszczyzny ważny do studyów przyczynek. Przejście joty na h należy do cech dyalektu łużyckiego np. hinak=jinak, hiż=jiti=iść); zamiast naszego ch istnieje pierwotne kh, którego jednak nienależy mieszać z sankryckim kh (bo tutaj h wymawia się oddzielnie), spółgł. w bywa przydechową (wona zamiast), a nawet i h (hacz zam. acz). Okrom tego w łużyckim zachowało się wiele form prastarych, zachowanych tylko w starosłowiańskim jak np. imperfectum i a o r y s t.

Praca p. Liebscha jest tylko jakby zarysem obszerniejszego dzieła, które z czasem skreślić zamierza. Mając na uwadze uczonych rozmaitych narodów słowiańskich, książkę swoją napisał w języku niemieckim.

Spodziewać się należy, że składnia p. Liebscha zwróci uwagę specjalistów naszych, pracujących na niwie językoznawczej.

Justyn Feliks Gajslar.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Wrzesień, 1884. — Zarząd Towarzystwa popierania przemysłu i handlu odzywa się ponownie do pośrednictwa prasy w piśmie następującem:

Przemysł drobny wiejski zagranicą a nawet w Galicyi, w Poznańskim i na Szlązku coraz bardziej zwraca na siebie uwagę ekonomistów. Mieszkańcy wsi lub miasteczek rolnych w miesiącach zimowych znajdują bardzo wiele czasu wolnego od zajęć gospodarskich. Zając go korzystnie, jest to zwiększyć dochody ogólne roczne, które znowu wobec ciągłego drobnienia osad włościańskich, zdołałyby pokryć wiele najbardziej niezbędnych wydatków. Wszędzie jednakże rozwój tego drobnego przemysłu zależy od odpowiedniego zaopiekowania się nim bądźto władz rządowych, bądź też instytucji prywatnych. Towarzystwo nasze radoby się tą kwestyją zająć i w tym celu utworzyło w gronie swoim oddzielną sekcją przemysłu drobnego wiejskiego i miejskiego, która sądzi, że zanim obmyślą się sposoby podniesienia przemysłu ludowego, potrzeba poprzednio zbadać, jaki jest stan obecny pomienionego przemysłu w kraju.

Zarząd Towarzystwa odniósł się już do członków Towarzystwa i do osób, specjalnie ze stosunkami drobnego przemysłu ludowego obznajmionych z prośbą o nadsyłanie odnośnych uwag, wskazówek i wiadomości. Gdy jednak znaleźć się mogą jeszcze inne osoby chętne i dokładnie obznajmione z tą sprawą, przeto zarząd za pośrednictwem prasy udaje się do nich z prośbą o nadsyłanie mu wszelkich uwag, myśli i wiadomości, jakie tylko mogą mieć związek z podniesieniem u nas przemysłu domowego ludowego. Potrzebne są mianowicie wiadomości o stanie obecnym następujących działów przemysłu ludowego:

- 1) z działu wyrobów tkackich ręcznych: o wyrobach wełnianych, płótnach, koronkach, czapkach, powrozach i t. p.
- 2) z działu wyrobów ze skóry: o kozuchach, pasach, zaprzęgach, obuwiu i t. p.
- 3) z działu wyrobów z drzewa: o wyrobach bednarskich, koszy-

karskich, rzeźbiarskich, sprzętach domowych i gospodarskich; gontach, zabawkach dziecinnych, cybuchach, tabakierkach, nożykach i t. p.

4) z działu wyrobów z gliny: o miskach, garnkach, fajkach, zabawkach, doniczkach i t. p.

5) z działu wyrobów metalowych, jak: kłódki, zamki, zasuwki, noże, osie, siekiery, łyżki blaszane i t. d.

6) z działu wyrobów z kamienia, np.: kamienie młyńskie, nagrobki, przyciski, popielniczki, figury gipsowe i t. p.

7) z działu wyrobów nabiątu, np.: sery w większym zakresie produkowane — i nakoniec:

8) Kaszarstwo, pszczelnictwo, jedwabnictwo i hodowla ryb po wsiach i w miasteczkach.

O przemysłach powyższych potrzebne są następujące szczegóły: w jakim powiecie, wsi lub osadzie zajmują się danymi przemysłami, co mianowicie wyrabiają, ile tém zajmuje się osób, w razie, jeżeli przemysł potrzebuje warsztatów, to ile owych warsztatów jest w ruchu, następnie przybliżona wartość produkcji w danej wsi lub osadzie, wiadomość jak dawno mniej więcej istnieje w danej miejscowości drobny przemysł i nakoniec, czy produkcja się zwiększa lub zmniejsza, biorąc pod uwagę ostatnich lat kilka.

Oprócz tych wiadomości pożądanymi byłyby odpowiedzi na pytania następujące:

1) Jakie są przyczyny, iż w pewnej wsi lub osadzie rozwinął się tego rodzaju przemysł? czy powodem tego jest obfitość materiału surowego, jak: len, wiklina, glinka, marmur, odpowiedni rodzaj drzewa i t. p.? czy potrzeby mieszkańców? czy jest odbył do fabryk większych, a sprzedaż na zewnątrz powiatu na jarmarkach i jakich mianowicie? czy materiał surowy producenci kupują i gdzie? czy też go sami sobie przygotowują, jak np.: skóry; jaka jest historia rozwoju tego przemysłu w danych okolicach?

2) czy przemysłem drobnym zajmują się mieszkańcy przez rok cały, czy tylko przez jego część?

3) czy osoby, trudniące się danym przemysłem, wyrabiają całe przedmioty tak, jak idą na sprzedaż, czy też tylko części danego przedmiotu, a jeżeli tylko części, to jakie i gdzie je kupić można?

4) czy pracownicy ograniczają się tylko na pomocy rodziny, czy też utrzymują robotników, bądź stałych bądź przychodnych; jaką rolę odgrywa w tém praca kobiéca?

5) jakim sposobem osoby, trudniące się przemysłem wiejskim, dochodzą do wykształcenia fachowego: czy przez terminowanie, czy przez szkoły i czy nie ma w danej miejscowości wyróżniających się samouczków?

6) czy sprzedają produktów zajmują się wprost sami wytwórcy (pracownicy), czy też sprzedaż odbywa się za pomocą pośredników handlowych, a także, czy towary wyrabiane są na zamówienia, czy też na ryzyko producenta?

7) dlaczego przemysł drobny przestał się rozwijać lub upada, czy wskutek wyczerpania materiału surowego, czy z powodu dowozu odnośnych wyrobów z fabryk lub z zagranicy, czy dla obniżenia się wartości wyrobu, czy wskutek tego, że przestano żądać danego wyrobu, czy z powodu braku kapitału obrotowego i kredytu, czy też dla innych przyczyn?

8) jakie rodzaje przemysłu drobnego wiejskiego mogłyby się w powiecie (wsi, osadzie, lub miasteczku) rozwinąć i dla czego, t. j., czy dla zapewnionego odbytu, czy z powodu obfitości materiału surowego, czy na mocy wyłącznej zdatności mieszkańców do pewnego zajęcia, lub też dla innych przyczyn?

9) coby należało zrobić, aby podnieść lub wprowadzić przemysł wiejski w powiecie i czy znajdują się w okolicy osoby, które nawet z pewną ofiarnością w naturze (dom, ogród i t. d.) zechciałyby przyjść w pomoc wytworzeniu się lub rozwojowi drobnego przemysłu?

10) czy w dalszej miejscowości pomiędzy ludnością, zajmującą się drobnym przemysłem wiejskim, nie objawiają się dążności do stowarzyszenia się, bądź w celu zapewnienia sobie kapitału obrotowego, bądź do zakupu materiałów, bądź dla udogodnienia sprzedaży towarów i t. d.?

Nadto oprócz szczegółowych odpowiedzi na powyższe pytanie, byłoby do życzenia, iżby ujawnione być mogły inne szczegóły lub rady, mogące wpłynąć na rozwój przemysłu ludowego.

O nadsyłanie uwag, o ile można w najkrótszym czasie, uprasza Zarząd pod adresem: „Zarząd oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu w Warszawie, ulica Ordynacka, nr. 2.”

— Dnia 10 września zakończył swoje posiedzenia w Odesie „VI zjazd archeologiczny rosyjski,” który obradował tu od dnia 27 sierpnia. Z pomiędzy referatów, jakie rozbiegano, spotykamy i takie, które dotyczą wprost naszych dziejów. Mówili pp. Antonowicz (o pieczarach skalistych nad Dniestrem), Putiatiu (o szkielecach w kurhanach nad Dniestrem i Bohem i o ich stosunku do wykopalisk w Galicji), Matwiejew (o pomnikach sztuki średniowiecznej w Polsce); Lebedincew (o drukach w kijowsko-peczerskiej „ławrze” w w. XVII i XVIII), Markiewicz (o dziełach polskich, jako źródłach lub wzorach dla historii południowo-zachodnich prowincji Cesarstwa Rusi) w w. XVI i XVII, Ewarnickiego (o danych archeologicznych z Zaporoża); Gotfryd Ossowski z Krakowa (o próbie klasyfikacji chronologicznej dla wieku kamiennego, opartej na wykopaliskach jaskiń w okręgu krakowskim i gub. kieleckiej); hr. Bobriński (o kurhanach śmilańskich i. i. Zjazd Odesski, jakkolwiek z oczekiwanej liczby 500, tylko 200 członków przybyło, nie pozostanie bez korzyści dla postępu archeologii, tej nader ważnej nauki pomocniczej historii. Z polaków brali udział w zjeździe Gotfryd Ossowski z Krakowa i prof. Mierzyński z Warszawy.

— W dniach 19, 20 i 21 września, odbywała się w Kijowie uro-

czystość jubileuszowa z powodu 50 letniej rocznicy założenia uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie. Przez dość długi przeciąg czasu, gdy ani w Warszawie ani w Odessie nie było uniwersytetu, a warunki kształcenia się zagranicą były utrudnione, kształciło się tu wiele młodzieży polskiej, która równie w życiu obywatelskim jako i naukowym i literackim chlubnie się odznaczyła. 50 lat istnienia dla uniwersytetu to za mała wprawdzie przestrzeń czasu dla jubileuszu poważnego; ale w każdym razie jest to miłe przypomnienie nadziei, zamiarów i wspólnych trudów dla tych, którzy się tu kształcili. Pierwotkowy projekt tego zakładu powstał wprawdzie daleko wcześniej, bo jeszcze 1805 r.; lecz z rozmaitych przyczyn nie przyszedł do skutku. Dopiero wypadki lat 1830—31 nastęrczyły rządowi sposobność do zmiany dotychczasowego wychowania publicznego w guberniach zachodnich, z którą połączono zwinienie dwóch wyższych zakładów naukowych w kraju, mianowicie akademii wileńskiej i liceum krzemienieckiego. Ukaz cesarza Mikołaja z dn. 8 listopada 1833 r. poleca utworzenie z liceum krzemienieckiego szkoły wyższej z dwoma wydziałami: prawniczym i filozoficznym; w kilka lat później szkołę tę uzupełniono spuścizną po uniwersytecie wileńskim, zamkniętym w r. 1832 i akademii lekarskiej wileńskiej, która istniała lat kilka za ledwie. Po liceum krzemienieckim odziedziczył uniwersytet kijowski większą część swych środków materyalnych i naukowych pomocniczych, jak bibliotekę złożoną z 34,378 tomów, laboratoria, gabinety: mierniczy, numizmatyczny, astronomiczny, muzeum starożytności, zbiory budownicze, przyrządy fizyczne i mechaniczne, 30,000 okazów zoologicznych, ogród botaniczny liczący 15,538 przedmiotów; wreszcie gotowy fundusz zakładowy w sumie 523,627 rs. Z Wilna otrzymał tenże uniwersytet: bibliotekę uniwersytecką liczącą 7,524 tomów, bibliotekę wileńskiej akademii katolickiej i bibliotekę akademii lekarskiej. Większą część profesorów uniwersytet kijowski także po liceum krzemienieckim otrzymał w spadku; w r. 1834 na ogólną liczbę 20 profesorów było z Krzemieńca 16; w r. 1835 na 29 było 20 krzemienieckich. Żywioł polski atoli z biegiem czasu począł słabnąć tak wśród ciała nauczycielskiego jak i wśród studentów, skutkiem tych samych co i w Wilnie i w Krzemieńcu okoliczności. „Kijowska Staryna“ wspomina o bytności cesarza Mikołaja w r. 1837 w murach uniwersyteckich, kiedy poczęły się ujawniać pierwsze wśród akademickiej młodzieży ślady agitacji. W auli uniwersyteckiej oczekiwali go profesowie i studenci, pierwsi po prawej, drudzy po lewej stronie. Cesarz wszedł i nie powitawszy nikogo zwrócił się z surowym upomnieniem najprzód do młodzieży, potem do profesorów. Niebawem z uniwersytetu zostało wydalonych i wysłanych kilku studentów polaków (Bohdanowicz, Bujalski, Gordon, Rutkowski) za rozpowszechnianie wierszy zabronionych. Położenie atoli uniwersytetu kijowskiego, położonego w okolicy zaludnionej przez małorusów i polaków, stawiało go w warunkach nader wyjątkowych ze względu na wymagania. W ro-

ku zatem 1838, podczas agitacji w guberniach zachodnich, uniwersytet kijowski znowu nie pozostał obojętnym spektatorem. Tym razem uniwersytet został zamknięty na jeden rok, 192 studentów wydalono, 22 oddano pod sąd wojenny. Z téj liczby dziesięciu skazano na służbę na Kaukazie bez awansu; pięciu z pozbawieniem szlachectwa (Milewski, Pietruszkiewicz, Sosnowski, Winnicki, Źródłowski), pięciu bez pozbawienia szlachectwa (Czerny, Jurkowski, Lubowidzki, Osiecimski, Szymanowski); wreszcie ośmiu oddano do wojska z prawem awansu (Augustynowicz, Boczkowski, Korsak, Niemira, Perczyński, Strzelnicki, Wysiekiewski, Zawadzki). Uniwersytet jednak nie był przez rok zamknięty; na wstawienie się przez generał-gubernatora Bibikowa, wykłady zaczęły się w nim we wrześniu 1839 r. zamiast w styczniu 1840. W dalszym ciągu w r. 1846 uniwersytet kijowski stał się widownią znanych epizodów z ukrajinofilskiem zabarwieniem. Do liczby zamieszanych w tę sprawę należeli między innymi Taras Szewczenko, poeta i głośny historyk Kostomarow; przyplacili to obadwaj w sposób dotkliwy. Pierwszy został zesłany, drugi aresztowany i osadzony w twierdzy Petropawłowskiej w Petersburgu. Wreszcie w epoce późniejszej przed i po roku 1870 były w uniwersytecie kijowskim jak i w innych rosyjskich mniej ważne rozruchy. Podajemy dla uzupełnienia téj notatki listę kolejną rektorów uniwersytetu kijowskiego od chwili jego założenia. Pierwszym był M. Maksymowicz, drugim od 1836 do końca 1837 W. Ziech; dalej szli: K. A. Niewolin (1837—1843), W. F. Fiedorow do 1847; R. E. Trautvetter do 1859, N. Ch. Bunge (obecny minister skarbu) do 1862; N. D. Iwanyszew do 1865; K. A. Metjukow przez kilka miesięcy 1865, A. P. Matwiejew do 1871, Bunge (powtórnie) do 1875, Matwiejew (powtórnie) do 1878, Bunge (poraz trzeci) do 1880, K. M. Feofitaktow do 1881, J. J. Ruchmaninow do 1883 i N. K. Rennenkampf do dnia dzisiejszego.

— Dnia 23 sierpnia (4 września) 1884 r. zatwierdzoną została „Ogólna ustawa cesarskich uniwersytetów rosyjskich“ (ogłoszona w nr. 92-im „Zbioru praw i postanowień rządu“). Zakres działania téj nowej ustawy nie rozciąga się w myśl Ukazu Najwyższego ani do uniwersytetu dorpackiego, ani do uniwersytetu warszawskiego, zajmującego pod względem organizacji zupełnie odrębne, wyjątkowe stanowisko. Ze względu jednak na to, że znacząca część młodzieży polskiej kształci się na pozostałych 6-ciu uniwersytetach w Cesarstwie, przedstawia Ustawa najnowsza i dla społeczeństwa naszego interes bezpośredni. Zresztą z biegiem czasu znajdują zapewne te nowe przepisy i u nas zastosowanie. W dziejach uniwersytetów rosyjskich stanowią dotychczas 3 ustawy niejako punkta graniczne epok, które najwyższa instytucja oświecenia publicznego w Rossyi przeżyła, mianowicie ustawy z r. 1804, 1835 i 1863. Ostatnia z nich z dn. 18 (30) czerwca 1863 rozpoczęła i na tém polu liberalną zasadę samorządu, wykonywanego przez radę profesorów z rektorami na czele. Władza kuratora miała tylko pośrednie znaczenie. Wcale nie pożądane dążenia społecznej i polity-

cznej natury w ostatnich latach nastęrczały powód do sarkania i do krytyki urzędzeń uniwersyteckich, które nie popierały postępu nauki. Nowa ustawa wprowadza zmiany w 2-ch kierunkach: jedne dotyczą kwestyi administracyjnej czyli organizacyi wewnętrznej władz uniwersyteckich i ich stosunku do kuratora i ministra, drugie odnoszą się do systematu wykładów i egzaminów. W pierwszym kierunku zasada wyboru ustępuje miejsca nominacyi. Co do wykładów, to profesorowie oprócz przedmiotu należącego do zajmowanej katedry, mogą wykładać osobno i inny kurs, a słuchacze mogą dowolnie obrać sobie tego z profesorów, którego kurs najwięcej przedstawia im pożytku. Do wykładu może minister dopuścić osoby posiadające kwalifikacyą naukową w charakterze docentów. Zmieniono także systemat opłaty. Każdy student opłacać będzie na początku semestru oprócz 5 rs. wpisowego t. zw. „czesne“ na rzecz profesora wykładającego, w stosunku 1 rs. od każdej godziny tygodniowo, co wyniesie rocznie około rs. 50. Egzamina są trojaki: 1) częściowe (semestralne i repetycyjne); 2) naukowe (na stopnie magistra lub doktora już po otrzymaniu dyplomu) i 3) egzaminy na dyplom. Pierwsza kategoria egzaminów spycha uniwersytet na stanowisko zwykłej szkoły średniej, przyspasabiającej do studyów uniwersyteckich i pochłania nadzwyczaj wiele czasu bez żadnego pożytku dla nauki, ponieważ ciągłe egzamina zmuszają młodzież do mechanicznego, pamięciowego uczenia się kursów niby lekcyi i nie pozwalają zająć się studyami samodzielniemi.

— Wydział historyczno-literacki Tow. Przyjaciół nauk w Poznaniu odbył dnia 15 września pierwsze po letnich feryach posiedzenie. Złożonego chorobą prezesa, p. Stanisława Koźmiana, zastępował p. Władysław Bentkowski. Przez balotowanie przyjęto na członka pana rzecznika Wolińskiego z Poznania. Pan przewodniczący wznowił przez mecenasa Medejskiego ze Lwowa towarzystwu przyjaciół nauk do wiadomości udzieloną sprawę współprawnictwa w ułożeniu słownika polskiego prawniczego. — Po krótkiej dyskusyi nad przedmiotem tym, po razy już kilka w wydziale historyczno-literackim rozważanym, poruczono ostatecznie komisyi ku temu wybranej, ażeby pomogła w wydawnictwie zamierzonym przez p. Madejskiego przez zebranie terminów prawnych polskich, zachodzących w sądownictwie pruskiem według zmian formalnych tegoż sądownictwa, zaprowadzonych od 1 października 1879 r.

Dr. K. Szulc zdawał następnie sprawę z Kongresu antropologiczno-archeologicznego, który się b. r. na początku sierpnia odbył we Wrocławiu, jak to czytelnikom Biblioteki wiadomo z zeszytu poprzedniego.

— „Istoryczeskij Wiestnik“ w ostatnim zeszycie zamieścił korespondencyą posła włoskiego w Petersburgu, margrabiego Pepoli, który w r. 1863 informował swój rząd o przebiegu sprawy polskiej, w chwili gdy Francya, Anglia i Rosya wystąpiły ze znanemi no-

tami dyplomatycznymi. Czytelnikom Biblioteki nie będzie obojętną treść tej korespondencji, stanowiącej między innymi przyczynek do źródeł historii współczesnej, dla tego zamieszczamy ją na tém miejscu według tłumaczenia ogłoszonego w gazecie warszawskiej „Słowo“ w Nr. 217. z r. b. z dnia 22-go września.

„Wyprawiłem dziś—pisze Pepoli 17 kwietnia 1863 r. do ministra spraw zagranicznych włoskiego, — do waszjéj ekscelencji depe-szę, zawiadamiającą, że posłowie angielski i francuski, jak również minister austriacki, przedstawiają p. Gorczakowowi trzy noty i pismo zbiorowe od trzech poselstw. Noty rzeczzone różnią się bardzo pomiędzy sobą i pod względem treści i pod względem formy. Nota angielska jest nader jadowita. Francuska nota nie powołuje się na traktaty wiedeńskie, ale stawia ewentualną możliwość naruszenia pokoju europejskiego, ton jéj jest wyrozumiały i dla Rosyi życzliwy. Nota austriacka mówi o Galicyi, o niebezpieczeństwach mogących wypły-nąć z polskich zaburzeń i zaklina Rosyą, aby unikała politycznych waśni.

„Taka jest, o ile pomnę treść tych trzech dokumentów. Byłem wczoraj u posła angielskiego i rozmowa nasza zasługuje na uwagę ze strony pańskiej. Lord Napier zaczął od tego, że winienem znać treść noty angielskiej, bo z uwagi na to, co zostało napisane do margrabiego d'Azeglio, powinienem jakoby popierać poglądy Anglii. Przeczytał mi więc notę i zapytał, co o niej myślę. Nie mogłem nie powiedzieć mu, że uważam ją za jadowitą i że wedle mego zdania nie przy-czyni się ona do utrwalenia pokoju. Powiedział mi wtedy, że nota francuska jest bardziej umiarkowana; że jednak angielska jest otwart-sza i podyktowana przez uczucie przyjaźni ku Rosyi. Uśmiechnąłem się i zapytałem lorda, jakiej téż odpowiedzi na tę notę się spod-ziewa?

„ — Myślę—odrzekł,— że zostanie przyjęta przychylnie. A pan jak myśli?

„ — Coby powiedział, odrzekłem znowu ja, minister spraw za-granicznych w Londynie, gdyby otrzymał podobną notę?

„Zapytanie to wprawiło w zamyślenie lorda i przyznał, że mi-nister przyjąłby ją z wielkiem niezadowoleniem. Zawsze jednak za-konkludował, że jego zdaniem, rząd rosyjski okaże się skłonny do umiarkowania.

„Na to i ja nie mogłem nic odpowiedzieć, bo wedle porannych wiadomości, jakie miałem, Cesarz był istotnie pojednawczo uspo-sobiony, ministrowie jednak i wyższe sfery urzędowe podniecały go, a prasa wypowiadała poglądy, które nie mogły być miłemi zwolenni-kom pokoju.“

Nazajutrz Pepoli zdaje w następujący sposób sprawę z audyen-cyi u ks. Gorczakowa:

„Widząc, że ks. unika rozmowy o Polsce, postanowiłem sam za-cząć i odezwałem się nawpół żartem, że księciu zapewne łatwiej jest

udzielić odpowiedź na moją notę dzisiejszą, aniżeli na te, które otrzymał wczoraj. Książę odrzekł, że my włośi jesteśmy zbyt roztropni, iżbyśmy mięszali się do téj smutnej sprawy i wyraził nadzieję, że ja nie otrzymałem zapewne polecenia podtrzymywania przedstawionych Rosyi wymagań. Odrzekłem, że dotąd nie otrzymałem żadnych instrukcyi, oprócz tych, które mu już komunikowałem i zaznaczyłem przy sposobności, jak mi przykro było dowiedzieć się, że książę w rozmowie z lordem Napierem dał się słyszeć, jakoby moje wynurzenia nie miały wielkiej wagi. Książę myślał przez chwilę i rzekł:

„Mam jedno do powiedzenia. Manifest Cesarza jest jasny. Ja nie dopuszczam wyrazu „ustępstwo,“ państwo silne nie ustępuje; wyraz „ustępstwo“ ma znaczenie słabości.

Usłyszawszy to, niewiele miałem do powiedzenia ministrowi i zapytałem go już tylko szczerze: na czém się to wszystko skończy? Nie na tém — rzekł — czego sobie życzą państwa zachodnie. Rosya nie ustąpi i nie odstąpi; raczej zgodzi się na wojnę. Potém sam wspominał jeszcze o kombinacyach zawartych w moich instrukcyach, czyli o przyłączeniu Galicyi i Poznańskiego do Księstwa Warszawskiego pod rządem Rosyi.

Wiem — powiedział, że wielu sobie tego życzy, ale dopóki zasiadam w Radzie państwa, dopóty nic podobnego nie zajdzie. Rosya nie chce rozszerzać swych posiadłości i jeżeli takie wielkie plany przychodzą mi na myśl, to je wprost odpycham jako marzenia fatalne i niebezpieczne dla méj ojczyzny. Rosya musi się uporządkować wewnątrz. Cesarz Aleksander I i Mikołaj zbyt wiele zajmowali się sprawami zewnętrznymi. Pierwszy chciał się z nazwy króla Agamemnona, jaką zyskał na kongresie wiedeńskim a zapominał o tém, że państwo może być wielkiem na zewnątrz wówczas tylko, gdy jest siluém wewnątrz. Polityka Aleksandra II dąży do przygotowania gruntu dla wolności i położenia fundamentu pod handlowe i przemysłowe znaczenie Rosyi. Cesarz mógłby wywierać presyą na ministerjum spraw zagranicznych, polityka bowiem zewnętrzna, której się trzyma, jest polityką nieinterwencyi, ale gdyby moje zasady były niewzględnione, usunąłbym się natychmiast. Cesarz wie, że być ministrem, jest z méj strony ońarą nielada, której zrównoważyć niczém nie można. Bogactw nie potrzebuję, zaszczytów mam po uszy. Dwie rzeczy, które mogłyby mnie zadowolić, nie są w jego mocy: nie może mi dać ani szczęścia domowego, które straciłem ze śmiercią mojej żony ani powrócić... Niezależność stanowiska jest moją siłą “

— Marcina Bielskiego „Komedia Justyna i Konstancyj,“ drukowana w r. 1557 u M. Wierzbicy w Krakowie, znana dotychczas prawie tylko z tytułu, odnalazła się obecnie w bibliotece Zygmunta Czarneckiego w Rusku pod Borkiem w W. Ks. Poznańskim. Podaje o niej wiadomość p. Wisłocki redaktor „Przewodnika bibliograficznego“ w najnowszym numerze swego pisma w tych słowach: „Podzielona na trzy „sprawy,“ czyli po naszymu akty, jest nadzwyczaj ciekawą, tak do charakterystyki samego autora, jak stosunków spo-

łecznych i pojęć ówczesnych.“ Wysyłając dzieło swoje w świat, daje mu autor między innymi taką wskazówkę:

Pójdziecie potem do Rusi,
Boć wždy swe nawiedzić musi,
Zwłaszcza do ziemi Przemyskiej,
Szlachty z dawna towarzyskiej.
Tamem się chował z młodych lat
Każdy mi się zachował rad,
Lud tam z dobrém rozeznanim
Pochadzajcie jedno za nim.

Wspomina swoich stryjów, Prawdziców, a „po żenie“ Okszyców, „którzy „dzierzą się pisma i czytania,“ O Mazowszankach wyraża się bardzo pochlebnie: „bo tam ziemia bardzo ludna, Pani gładka, panna cudna..... dobry obyczaj mają, radzi po polsku czytają.“

— Edward Jelinek wydał jakieśmy to już dawniej pobieżnie wzmiankował w X tomie rozpraw wydziału filologicznego Akademii umiejętności w Krakowie „Bibliografią przekładów z piśmiennictwa polskiego na język czeski (do końca 1882 roku).“ Spis ten, dokonany z istic benedyktyńską cierpliwością, zawiera w sobie blisko 1000 tytułów i niemal 160 imion tłumaczy, między którymi nierzadko spotykamy najgłośniejsze nazwiska piśmiennictwa czeskiego. Wogóle przekłady te są bardzo starannie i umiejętnie dokonane, lubo trafiają się i prace słabe, podjęte lekkomyślnie z małą znajomością języka i niewielkim talentem. Mimo to jednak tak co do ilości, jak i co do jakości przekładów, czesi o wiele przewyższają nas, którzy możemy się poszczycić zaledwie małą ilością tłumaczy z czeskiego i to niekiedy ze słabą znajomością języka.

Najstarszym przekładem z polskiego są Żywoty świętych Skargi, przełożone przez Berliczkę (Scipiona), ale nie drukowane wcale; rękopism z datą r. 1600 znajduje się w bibliotece uniwersyteckiej w Pradze. Zato „Pobożny żołnierz“ Skargi, w przekładzie Tom. Ign. Placalii wyszedł drukiem w Pradze r. 1634. Potem idzie przekład „Myszeidy“ Krasickiego, dokonany przez Roźnianego i umieszczony w Wiedeńskich Listach r. 1815. Odtąd sypią się już przekłady z polskiego, rosnąc z postępem czasu niby tocząca się lawina. Mickiewicza tłumaczyło 32 tłumaczy, głównie Sztulc i Krasnohorska. Słowacki miał 7 tłumaczy, między innymi wybornie go przekładał Otakar Mokry. Krasieńskiego przekładało 12 autorów, głównie Kwapil, jeden wiersz „Zawsze i wszędzie“ przełożył J. Vrchlický—Jrydyona zaś J. W. Fricz. Wyliczenie przekładów z Kraszewskiego zajmuje cztery stronic. Między drukowanymi przekładami znajdujemy i takie, które dokonano z rękopismów, dotąd po polsku niedrukowanych, szczególniej ma być ciekawy rękopism Feliksa Sójkowskiego, przełożony przez Rud. Pokornego i pomieszczony w Pośle z Pragi z r. 1877. Sójkowski, którego żywot obfitował w dziwne przygody, w młodym wieku

umarł w Pradze, gdzie doznał serdecznej gościnności i nader troskliwej opieki.

W tymże samym tomie „Rozpraw“ znajduje się także Edwarda Jelinka „Bibliografia dzieł, rozpraw i artykułów czeskich, dotyczących rzeczy polskich. Część druga (1878—1882 r.). Pierwszą część doprowadzono do r. 1878 Jelinek drukował był przed kilku laty. Podobne prace, dotyczące się literatury chorwackiej i serbskiej, Jelinek wygotował był dla Akademii Południowo-słowiańskiej w Zagrzebiu.

B. G.

— We Lwowie wyszły „Wspomnienia o życiu i działalności Włodzimierza Barwieńskiego,“ zgasłego nie dawno redaktora „Dita“ i pracownika rusińskiego.

W Kijowie N. J. Petrow wydał „Szkice literatury ukraińskiej XIX stulecia, w których literaturę tę dzieli na sześć peryodów 1) Okres pseudoklasycyzmu i parodowanych poezji, zagajony przez J. P. Kotlarewskiego, autora „Enejdy trawestowanej“ 2) Okres literatury sentymentalnej, mającej głównego reprezentanta w Kwitce-Osnowanience, 3) Okres literatury romantycznej, zostającej pod wpływem Mickiewicza i Puszkina, 4) Okres literatury narodowej, mającej na celu połączenie klasycyzmu z romantyzmem, który wydał głównie zbieraczy literatury ludowej np. Maksymowicza, Bodziańskiego i t. p. 5) Okres słowianofilstwa, reprezentowany przez Szewczenkę, Kulisza i Kostamarowa i 6) Okres najnowszego ukrajinofilstwa, przybierający powoli charakter demokratyczny. Autor ograniczył się na literaturze t. z ukraińskiej, pomijając działalność rusinów w Galicyi.

B. G.

— Znane dzieło Edwarda Jelinka „Polskie panie i dziewice“ wyszło w przekładzie polskim, nakładem K. Bartoszewicza w Krakowie. Toż dzieło przełożył na chorwacki A. Tkalczewicz—Weber i pomieszcza w „Viencu“ zagrzebskim; A. Teodorow zaś przeniósł je do literatury bułgarskiej.

Jelinek wydał także niedawno „Historyczne humoreski“ a obecnie pracuje nad zbirką obrazków z życia małoruskiego p. t. „Mogiły ukraińskie.“

B. G.

— Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa wyszły z druku „Wspomnienia z przeszłości, opowiadane Deotymie“ przez Antoniego Edwarda Odyńca, Warsz., 1884. Dzieło to, stanowiące osobną całość, jest niejako drugą seryą ciekawych i bardzo ważnych dla literatury naszej „Listów z podróży.“ Jak w „Listach z podróży,“ tak i tutaj, sędziwy poeta zebrał i opowiedział przyjaciółce-poetce wspomnienia ze swjej przeszłości, z właściwą sobie skromnością, pozostawiając siebie na drugim planie, a zbierając najskrzętniej wszystko, co się odnosiło do całej plejady poetów, z którymi zostawał w stosunkach, a którzy jak planety koło słońca, krążyli koło Adama Mickiewicza. Nie ufając swym siłom, ażeby mógł skreślić zupełny żywot twórcy „Pana Ta-

deusza," wierny druh jego Odyniec składa skwapliwie najcenniejsze do téj biografii cegiełki, które czytająca publiczność nasza z uczuciem głębokiej wdzięczności od sędziwego pieśniarza przyjmuje; pouieważ barwności ciepła, niemiłej i wzorowego języka, jakim Odyniec wspomnienia swoje opowiada, mogłoby wielu młodych pisarzy starcowi pozazdrościć!

— Księgarnia Teodora Paprockiego i Sp. podjęła wydawnictwo dzieła prof. Thompsona, p. t.: „Elektryczność i magnetyzm,” w przekładzie upoważnionym przez autora, a dokonany kompetentnym piórem p. J. J. Boguskiego. Dla pragnących się obeznać z najnowszymi postęпами nauki o elektryczności i magnetyzmie, dzieło to jest bardzo pożądanym nabytkiem. Zeszyt pierwszy już wyszedł z druku.

— „Złotój przędzy poetów i prozaików polskich” opuścił świeżo prasę zeszyt szósty II tomu i zawiera: dokończenie antologii utworów Pola, oraz biografie i wyjątki z dzieł Garczyńskiego, Witwickiego i Gaszyńskiego. Opracowanie biografii treściwe, a jednak wyczerpujące, zasługuje na zupełne uznanie.

— Wydawnictwa gwiazdkowe dla dzieci już się zaczynają pojawiać. Księgarnia Gebethnera i Wolffa, od wielu już lat bardzo czynna w tym zakresie, wydała dziełko obrazkowe dla dzieci młodszych p. t.: „Przygody dziatwy w domu i w szkole,” wierszem, opisała Marya Ciświcka. Wierszyki są bardzo zręczne, a liczne ilustracje zagraniczne Eugeniusza Klimsza, odbite w Stuttgardzie, również jak i ilustrowana okładka, czynią z tego dziełka nader pożądanym dla młodego pokolenia podarek.

— Na 300 rocznicę śmierci J. Kochanowskiego, Redakcja „Przeglądu Polskiego“ sprawiła prenumeratorom swoim miłą niespodziankę, wydając dla uczczenia pamięci wielkiego lutnisty Czarnoleskiego, którego 300 letnia rocznica śmierci na ten miesiąc przypada, zeszyt sierpniowy w podwójnej objętości i poświęcając cały Kochanowskiemu, a ozdabiając go nadto portretem poety, wykonanym w wiedeńskim zakładzie Angerera. Portret ten jest pędzla Matejki. Jak wiadomo, uważany powszechnie za autentyczny portret Kochanowskiego nie odpowiada temu bynajmniej, jak sobie go z życia i pism jego wyobrażamy; możnaby go wziąć za wizerunek jakiegoś starosty, a nie za portret tak podniosłego ducha poety. Otóż Matejko, biorąc motywą z autentycznych portretów, wymalował przesliczny portret Koch. pełen wyrazu i dedykował go niejako ziomkom następującym dowcipnym wierszem:

Konterfekt Jana, pisarza zacnego,
Księciem poetów w Poloniej zwanego.
Malarz Włoch w Czarnolesiu farby udanemi
Imaginował — myślami wdzięcznemi
Krzepion, że wždy za lat trzysty
Poznają, jak wyglądał ten Boski lutnista.

— W uniwersytecie wiedeńskiej habilitował się dr. Ste-

fan Smal-Stocki, jako prywatny docent dla filologii słowiańskiej. Dr. Stocki rozpocząć ma wykłady już w półroczu zimowym 1884/5.

— Wyprawa naukowa Karola hr. Lanckorońskiego do Azji Mniejszej, o której obiegały wieści, szczęśliwie przychodzi do skutku. Wyjechali już w tych dniach do Smyrny: słynny archeolog i budowniczy Niemann wraz z dwoma uczniami, profesor uniwersytetu w Pradze Petersen i doktor medycyny Luchan. Hrabia Lanckoroński sam wyjeżdża z początkiem tego miesiąca, w połowie zaś września wyruszą na tę naukową krucyatę: Marian Sokołowski, członek Akad. jag.; Hardtl profesor uniwersytetu wiedeńskiego i malarz Malczewski. Wszyscy uczestnicy wyprawy spotkają się w miasteczku Adalii, w którego okolicy odbywać się będą naukowe poszukiwania. Podróż obrachowana na trzy miesiące, a hr. Lanckoroński nie szczędzi ogromnych kosztów, celem osiągnięcia jak najobfitszych dla nauki rezultatów.

— W Toruniu w drukarni p. J. Buszczyńskiego a nakładem Tow. Naukowego Toruńskiego, ukazał się opis tego miasta p. t. „Toruń,“ praca nwieńczona na konkursie rozpisany przez Towarzystwo Naukowe Toruńskie. Toruń 1884 str. 113.

— Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszła z druku „Historya wieków średnich“ przez Tadeusza Korzona, wyłożona sposobem elementarnym, z dołączeniem 4-ch map kolorowanych, 46 rysunków i tablic genealogicznych.

— Zasłużona wielostronnie względem literatury naszej firma księgarska Gebethnera i Wolffa rozpoczęła nowe, bardzo pożądane wydawnictwo p. t.: „Biblioteka umiejętności przyrodniczych“ ogłaszając drukiem dzieło Bronisława Znatowicza: *Zasady chemii ogólnej*. Z drzeworytami w tekście. Warsz. 1884 r., str. 392 VI. Zbyteczną byłoby rzeczą dowodzić potrzeby i ważności dzieł takich, systematycznych w języku ojczystym, gdy kształcąca się młodzież nie ma w szkole sposobności poznania nazwisk technicznych naukowych, a wartość dzieła tym większa, im troskliwiej dba autor o czystość i poprawność języka, jak tego mamy dowód w pracy Znatowicza. Chodzi tylko o to, żeby całe społeczeństwo nasze chciało przecie raz zrozumieć potrzebę tej pomocniczej szkoły literackiej, dowodząc swojej dojrzałości obywatelskiej przez jak najszerze i wytrwale poparcie usiłowań małej garstki ludzi dobrej woli. Przykłady innych uboższych daleko pobratymców naszych, dźwigających skutecznie swoje „Maticy“ i Towarzystwa naukowe powinny być dla nas zachętą, nie milknącą nigdy.

— P. K. Król wydał swoim nakładem dziełko p. t. „Słownik naukowy rosyjsko-polski dla uczniów i uczennic.“ Warsz. 1884, str. 211. Skład główny w księgarni K. Prószyńskiego, Krakowskie Przedmieście nr. 45; cena kop. 60. Uwaga co tylko wskazana co do trudności, z jaką młodzież polska walczyć musi, chcąc się obznajmić z terminami naukowymi, określałaby dostatecznie ważność i znaczenie pracy p. K. Króla, gdyby autor był wytknął jasne granice swojej pracy.

Tymczasem słabą stroną tego dziełka jest niesystematyczność planu. Autor oddałby kształcącej się młodzieży nieocenioną usługę, gdyby się był ograniczył na spisie wyrazów technicznych naukowych, choćby, że tak powiem, w niektórych razach cokolwiek rzeczowym, ze wszystkich gałęzi nauk, a pominął część wyłącznie leksykalną, jaką stanowią *denominativa* i *abstracta*. Zdarza się dzisiaj często, że starszemu trudno się już porozumieć z młodszą generacją na polu zjawisk naukowych, ponieważ młodzież nie zna terminów naukowych swojskich, dlatego książka p. K. Króla stanowić będzie nader pożyteczny podręcznik dla kształcącej się młodzieży, — skoro we wskazany powyżej sposób rozszerzoną i udokładnioną będzie.

— Pieśni litewskie. Profesor uniwersytetu w Kazaniu, p. Jan Juszkiewicz, wydał w Petersburgu czwarty tom pieśni litewskich ze zbiorów swego brata, ś. p. ks. Antoniego Juszkiewicza. Tom ten o 900 stronicach nosi tytuł: „*Letuwiszkos svotbinos dajnos*“ (Litewskie pieśni weselne) i zawiera tysiąc sto pieśni z okolic Wielony nadniemieńskiej, pamiętnej śmiercią Gedymina. Wydrukowano je poprawnie głoskami łańskimi i załączono przedmowę w języku litewskim i rosyjskim, podającą rozmaite szczegóły, objaśniające ten bogaty zbiór utworów fantazyi ludu litewskiego.

— Nakładem księgarni T. Paprockiego wyszła z druku komedia w jednym akcie p. t. „*Uwięziona*“ przez p. Zofię Mellerową.

— Nakładem funduszu szkolnego wyszła w Krakowie broszura p. t. „*O Tłómaczeniu*.“ Kilka uwag i myśli podał Jan Czubek, prof. gimnaz. S. Anny, członek komisji język. Akad. Um. 1884, str. 74.

— Nakładem redakcyi Przeglądu Sądów i Admin. wyszła we Lwowie broszura p. t. „*Kredyt melioracyjny*. Projekt przepisów przedstawionych przez Bank krajowy Wydziałowi krajowemu, oraz motywa tego projektu.“ Lwów 1884; str. 62. Gruntowne to studjum znanego zaszczytnie na polu prac ekonomicznych Antoniego Wrotnowskiego, dyrektora Banku krajow. zasługuje na pilną uwagę nie tylko szerszego ogółu czytelników, ale i tych dyletantów na niwie ekonomii u nas, którzy się tą kwestyą pobieżnie zajmują i to zawsze pod adresem Tow. Kred. Z., którego ustawa nie pozwala mu dotychczas pójść w tym kierunku, o czém jednak obrońcy pożyczek melioracyjnych jakby z zasady zapominają.

N e k r o l o g i a.

— Dnia 14 września 1884 r. umarł w Warszawie *Jakób Natanson* b. prof. b. szkoły głównej warszawskiej, mąż zasłużony nie tylko na polu pracy naukowej i przemysłowej, ale i obywatelskiej w najszerszym i najszlachetniejszym tego wyrazu znaczeniu. Bł. p. Jakób Natanson ur. się w Warszawie 20 sierpnia 1831 r. z rodziców wyznania Mojżeszowego. Nauki gimnazyalne odbył w Warszawie i Radomiu. Dla poświęcenia się studyom chemii, którą podówczas dość obszernie wykładano w gimnazjach klasycznych, udał się bł. p. Jakób do uniwersytetu dorpackiego, gdzie w r. 1853 otrzymał medal złoty za rozprawę „O zasadach organicznych” (po niemiecku) zawierającą pierwsze samodzielne jego spostrzeżenia nad zasadą, którą nazywał acetyliakiem. Ukończywszy studia uniwersyteckie w 1854 roku ze stopniem kandydata, napisał rozprawę p. t.: „*Ueber das Acetylamin und seine Derivate*,” która mu posłużyła do otrzymania stopnia magistra (1855). Dla udoskonalenia się w ulubionej nauce zwiedził po opuszczeniu Dorpatu najznakomitsze pracownie chemiczne w Europie i ztamtąd dopiero powrócił do Warszawy, by oddać się samodzielnej pracy naukowej na niwie piśmiennictwa polskiego. Dwutomowy jego „Krótki rys chemii organicznej, ze szczególnym względem na rolnictwo, technologię i medycynę,” wyszedł w Warszawie, w latach 1857 i 1858; później zaś w r. 1866 ukazał się teoretyczny jego „Wykład chemii organicznej podług systematu unitarnego.” Pomiedzy temi dwiema datami zaznaczamy pożyteczną aczkolwiek krótką działalność nauczycielską bł. p. Jakóba jako prof. szkoły głównej, do której nieboszyk był jednocześnie z jej utworzeniem powołany. Mniej pomysłny stan zdrowia nie pozwalał jednak p. Natansonowi oddawać się dłużej pracy w laboratorium i przy biurku z równą jak przedtém usilnością; wydał też tylko jeszcze w r. 1874 „Głos na konferencyi rolniczej o nawozach sztucznych,” oraz przygotowywał zaokrąglenie swych prac poprzednich nad chemią organiczną. Natomiast nie ustawała jego czynność obywatelska: w założeniu Muzeum przemysłu i rolnictwa, w założeniu kasy im. Mianowskiego, w założeniu i utrzymywaniu tak wysoce pożytecznej instytucji jak szkoła rzemiosł przy ulicy Jasnój, — zgoła w różnorodnych przedsięwzięciach, mających na celu dobro kraju, nieboszyk aż do ostatniej ciężkiej choroby żywy brał udział, a nieraz i przodował innym. Więc też cześć zasłużona winna

otoczyć to imię, które się dobrze zasłużyło umiłowanemu przez nieboszczyka krajowi!

— Dnia 21 września 1884 r. umarł we Lwowie, przeżywszy lat 46, **Bernard Kalicki**, sekretarz wydziału krajowego, redaktor czasopisma „Chata” i „Nowiny.” Literatura historyczna traci w ś. p. Bernardzie jednego z najgorliwszych reprezentantów i obrońców kierunku opowieściowego K. Szajnochy, pod którego wpływem ś. p. Bernard pokochał i uprawiał niwę dziejów ojczystych, może bez skalpela anatomizującego badacza krytycznego, ale z namaszczeniem prawdziwie obywatelskim, które w historii widzi nietylko mistrzynią, ale i pocieszycielkę w trudnych życia publicznego warunkach. Oprócz licznych artykułów, rozproszonych po czasopismach, wydał ś. p. Bernard: 1) Dzieje Polski do czytania w chatach i szkółkach wiejskich. Wyd. drugie, Lwów, 1869. — 2) O kwestyi ruskiej. Kraków, Przegląd polski, 1867 r.—3) Kwestya ruska. Lwów, 1871 r.—4) Opowiadania z dziejów Polski. Cz. I, Epoka Piastów, Lwów, 1871.—5) Przewodnik wystawy starożytności lwowskiej. Lwów, 1861 r.—6) Władysław IV królem chłopów. Kraków, 1867.—7) Zarysy historyczne. Lwów, 1869.—8) Przyczynek do historii dziejopisarstwa polskiego w XVII w. Kraków, 1873.—9) Quousque tandem! Lwów, nakładem Przeglądu lwowskiego, w drukarni ludowej, 1877 (w obronie mowy J. Szujskiego nad grobem A. Walewskiego).—10) Bogusław Radziwiłł, koniuszy litewski. Szkic historyczny, Kraków, 1878.—11) Najnowsze sądy o Karolu Szajnosze, z powodu książki: „Dzieje Polski w zarysie,” p. M. Bobrzyńskiego, Kraków, 1879.—We wszystkich tych pracach tchnie duch obywatelski i miłość ziemi, której nieboszczyk służył z całym poświęceniem. Cześć jego pamięci!

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **J. K. Plebański.**

Wydawca *Józef Berger.*

ODSIECZ WIEDNIA

w bitwie walnej 12 września 1683 r.

Opowiedziana na podstawie źródeł współczesnych.

PRZEZ

Leona Chrzanowskiego.

Pogrom Turków pod Wiedniem 12 września 1683 r. przez sprzymierzone wojska chrześcijańskie, jest ważnym faktem historycznym, który wywarł wielki wpływ na dalszy rozwój dziejów Europy. Państwo tureckie, pochłaniając ludy i kraje, rozrastało się olbrzymio w trzech częściach świata ciągłemi przez trzy wieki zaborami, tak, że pomimo odporu wytrwałego przez dwa przeszło wieki, począwszy od bitwy pod Warną (1444), dawanego przez Polskę najazdom tureckim nad Dniestrem i Prutem, posuwało jeszcze wciąż naprzód podboje swoje wzdłuż Dunaju, Sawy i brzegów Adryatyku ku środkowi Europy aż za Kamieniec i po Karpaty w jedną, po Presburg i Wenecyą w drugą stronę. Dopiero od klęski pod Wiedniem poczęło się cofać i chylić do upadku. Wprawdzie już w dawniejszych bojach zastępy polskie rozpraszały często najezdniczych Turków i Tatarów, a zwycięstwo, odniesione nad Turkami przez wojska cesarskie z pomocą francuzką pod St. Gotthard 1 sierpnia 1664 r. i świetniejsze jeszcze zwycięstwo polskie pod Chocimem 14 listopada 1673 r., były to dwa ciężkie ciosy, zadane potędze Osmanów, groźnej dla cywilizacji europejskiej. Ale ciosy te nie były stanowcze. Gdyż oto w dziesięć lat później, z początkiem 1683 r., państwo padyszacha, rozciągające się od Eufratu i oceanu indyjskiego do Tripolizy, a nawet do Gibraltaru, od wodospadów niowych po Karpaty, było jeszcze na szczycie potęgi. Sułtan Mohamed IV pchnął trzykroćstotysięczną armią, zgromadzoną z całej tej ogromnej przestrzeni, na nowe podboje w środek Europy; wódz jego, Kara Mustafa, obległ Wiedeń, przedniemi strażami dotarł do Lincu i Ber-

nu, zamierzając obalić cesarstwo rzymsko-niemieckie, a granice tureckiego państwa aż po Ren rozciągnąć. Lecz rozgromieni pod Wiedniem 12 września 1683 r. Turcy poprzestawali już od téj chwili na obronie swoich dawniejszych podbojów, które tracą jeden po drugim i cofają się coraz dalej. Gdyby zaś Wiedeń wówczas był zdobyty, a Kara Mustafa pobił wojska chrześcijańskie na stokach Kahlenbergu i na równinie przed Dornbachem, zapewne innym torem poszłyby były dzieje Europy.

Wprawdzie były także wewnętrzne powody upadku Turcyi, lecz po większej części wynikły one z powstrzymania rozwoju jéj sił w podbojach na zewnątrz. Państwo z podbojów powstałe, gdy przestaje podbijać, zaczyna upadać.

Dziejowa ważność klęski tureckiej pod Wiedniem, nakazuje poznać tém dokładniej cały bieg téj wiekopomnej bitwy i ścierające się w niéj siły. Należy wyswiecić, czy bez pomocy polskiej byłyby Wiedeń ocalony i Turcy pobici? Następnie należy zbadać: jak wielką doniosłość miało działanie Polaków w tym dziejowym fakcie poskromienia stanowczego zaborczej potęgi tureckiej? Jaki był stan rzeczy na teatrze wojny przed nadejściem armii polskiej? Jakie jéj siły materialne i moralne w stosunku do reszty sił chrześcijańskich? Kto przyspieszył pochód wojsk chrześcijańskich najkrótszą drogą na odsiecz Wiednia, wówczas kiedy spóźnienie odsieczy o dni parę groziło mu zgubą? Kto rzeczywiście kierował wojskami temi w pochodzie i sprawił je w szyk bojowy? Czy na stokach Kahlenbergu wojska cesarskie, czy téż na równinie przed Dornbachem wojska polskie stoczyły bój stanowczy, rozstrzygający bitwę, w której złamano zwycięzki dotychczas oręż turecki?

Zajmującą jest także bitwa wiedeńska pod względem wojskowym. W bitwie wiedeńskiej wojska chrześcijańskie z kilku krajów zebrane i chwilowo pod rozkazy jednego wodza zgromadzone, a liczące 70,000 żołnierzy, odniosły zupełne zwycięstwo nad armią turecką, 153,000 jeszcze wówczas w szeregach pod Wiedniem mającą, bitną, przywykłą do posłuszeństwa rozkazom swojego wodza. Rozstrzygający zaś tę walkę atak stanowczy na główne siły tureckie, na masy spahów i innéj jazdy nieprzyjacielskiej, wykonało 7,000 husarzy i pancernych polskich, po rozwinięciu się na gruncie górzystym, przeciętym wąwozami i winnicami, broniąciami przez oddziały wyborowej piechoty tureckiej, t. zw. janczarów ¹⁾.

¹⁾ Posuwające się równocześnie, po obu stronach tego siedmio-tysięcznego zastępu husarzy i pancernych, pułki dragonów polskich i cesarskich, zabezpieczały tylko boki tych pancernych hufców, uderzających po godzinie 2 z południa na 30,000 wyborowej jazdy tureckiej, osłoniętej ogniem dział tureckich, bijących z boku z okopów przy Weinhausie. Poprzednie, zaraz po południu wykonane ataki kilkunastu ochotaw husarskich i pancernych, w których zginęli Stanisław Potocki, starosta halicki i Modrzewski, miały na

I.

Przegląd i charakterystyka opisów pogromu Turków pod Wiedniem
12 września 1683 r.

Pozostały bardzo liczne współczesne opowiadania o bitwie wiedeńskiej, jużto ogłoszone drukiem, jużto przechowane w rękopismach; lecz żaden ani z współczesnych ani z późniejszych opisów tej kłęski tureckiej nie przedstawił dokładnie, przedmiotowo i bezstronnie a z wojskowego stanowiska całego biegu i postępu bitwy. Naczelnym wódz wojsk chrześcijańskich, król Jan III, w swoich znanych powszechnie listach do królowej Marysieniuki z 9, 12 i 13 września, podał potomności kilkanaście ważnych, lecz urywkowych wiadomości o pochodzie wojsk pod Wiedeń, o ich wodzach, o przygotowaniach do bitwy, lecz o samej bitwie nie pozostawił najkrótszego nawet ogólnego zarysu. Inni wodzowie, uczestnicy i naoczni świadkowie tej pamiętnej walki opowiedzieli lub opisali dokładnie lub pobieżnie, przedmiotowo lub stronniczo różne jej ustępy, w których brali udział lub które widzieli; ale żaden z nich nie nakreślił obrazu całego toku działań obu stron walczących. Takie opisy niektórych ustępów bitwy, skreślone z znajomością spraw wojskowych, znajdujemy np.: w „Dyaryuszu wyjazdu z Krakowa pod Wiedeń Jana III“ napisanym przez czynnego w bitwie oficera artylerii polskiej a wydanym u Grebla w Krakowie 1684 roku; w raportach i zapiskach, stronniczym duchem technicznych, margrabiego Hermmana badeńskiego, ówczesnego prezesa nadwornej rady wojennej cesarza Leopolda, przechowanych w archiwum W. Ks. badeńskiego w Karlsruhe; w liście Jana Jerzego ks. Anhalt do elektora brandenburskiego, datowanym z Wiednia 13 września 1683 r. a znajdującym się w archiwum berlińskim; w bezimiennym po niemiecku napisanej „relacji o świetnym zwycięstwie odniesionym przez wojska cesarskie, polskie, bawarskie, saskie, frankońskie nad wielką armią turecką... 2/12 września 1683 r.“; datowanej „z obozu pod Wiedniem 3/13 września 1683 r.“ a przechowanej w bibliotece miejskiej wiedeńskiej i t. d. Niektórzy świadkowie odsieczy Wiednia, czynni lub nieczynni w tej wyprawie, opisali wprawdzie szczegółowo działania wojenne, ale jedynie tylko, niemieckiej części wojsk chrześcijańskich, i to opisali części stronniczo; o działaniach zaś innych części tej armii zamilczeli całkiem lub krótko tylko wspomnieli. Tak np. postąpił autor rękopisu „O udziale wojsk saskich w bitwie wiedeńskiej 1683 r.“ znajdującym się w archiwum królewskim saskim w Dreźnie; taki również charakter ma „Odpowiedź oficera wojsk cesarskich na list generała

o celu spędzenia przodowych oddziałów tureckich, aby główne siły polskie mogły wysunąć się z wąwozów i lasów dornbacheskich i rozwinąć się w szyk bojowy.

hiszpańskiego, zawierająca szczegóły o kampanii 1683 r.,“ rękopis znaleziony w Nancy 1742 r. a znajdujący się teraz w archiwum inżynierii w Wiedniu ¹⁾. Innym znów, opowiadającym dzieje tej wojny tureckiej, idzie przedewszystkiem o przedstawienie w najlepszym świetle czynności jednego z dowódców wojsk czynnych w tej wojnie lub jednego z rządzców państw ją prowadzących i odparcie zarzutów im czynionych. Np. autorowi „Pamiętnika badeńskiego“ (Mémoire badois), ułożonego z zapisków Hermana, margrabiego badeńskiego, szło przedewszystkiem o odparcie słusznych zarzutów czynionych temu przesowi ówczesnemu nadwornéj rady wojennéj i w tym celu mylnie opowiada fakta, których tyczyły się zarzuty, a milczy o daleko ważniejszych wypadkach wojennych. Wielu świadków pogromu Turków pod Wiedniem, spisało dopiero w wiele lat po wojnie wspomnienia swoje o zdarzeniach i scenach, które odegrały się przed ich oczami; a spisało je często bardzo niedokładnie, jak Mikołaj Dyakowski, pokojowiec króla Jana III w swoim pełnym pomyłek i plotek, lecz żywo napisanym „Dyaryuszu wiedeńskiej okazji roku 1683,“ który nie daje żadnego wyobrażenia o całej bitwie.

W licznych dyaryuszach i relacjach, pisanych w oblężonym Wiedniu, są szczegółowo opowiedziane dzieje oblężenia i obrony tej stolicy, lecz mało wiadomości o działaniach wojsk w polu dla odsieczy Wiednia i o biegu bitwy pod jego murami. Toż samo można powiedzieć o „dyaryuszu“ Kunitza rezydenta cesarskiego w Konstantynopolu, trzymanego w obozie tureckim pod Wiedniem.

Opisy bitwy wiedeńskiej w dziełach współczesnych historyków są bardzo ogólnikowe i niedokładne, często mętne i zagmatwane, nie przedstawiają jasnego obrazu całej bitwy, jak np. opis w dziele Kochowskiego: „Commentarius belli adversum Turcas ad Viennam et in Hungaria anno 1683“ — Cracoviae 1684. A nadto te opisy odsieczy Wiednia w dziełach współczesnych historyków są często tendencyjne, jak w dziele Jana Vaelckerena: „Vienna a Turcis obsessa, a Christianis eliberata... Vienna, 1683,“ (autor był urzędowym „historyografem“ cesarza Leopolda i członkiem nadwornéj rady wojennéj); w dziele Daniela Suttingera: „Eutsatz der... Stadt Wien in Oestreich“ — Dresden 1688; Geelena: „Rélacion succincte et véritable de tout ce qui c'est passé pendant le siège de Vienne... avec la rélation de la victoire signalée, remporté par les armes chrétiennes... Bruxelles, 1684;“ Recolesa: „Vienne deux fois assiégée par les Turcs 1529 et 1683 et heureusement delivrée... à Leyde 1683;“ w czasopiśmie „Theatrum europaeum“ (część 12, wydana w Frankfurcie n. M. 1691 r.). Bardzo zaś mało wiadomości o bitwie wiedeńskiej i w ogóle o działaniach wojsk w polu znajdujemy w dziełach: Mikotaja Hocka, Jana Fischera,

¹⁾ Réponse d'un officier de l'armée de l'empereur à un général espagnol, contenant le détail des actions de la campagne de 1683 — manuscrit trouvé à Nancy dans la boutique d'un barbier en 1742.

Wilhelma Reussa, Herzoga, Kettelera i t. d.; gdyż opisują oni szczegółowo tylko oblężenie i obronę Wiednia, na którą patrzeli. Współczesne plany oblężonego Wiednia, obozów tureckich, pochodu wojsk chrześcijańskich przez góry „Lasu wiedeńskiego,“ ich szyku bojowego pod Wiedniem, narysowane przez Leandra Angissole, Bartłomieja Camuccio, Daniela Suttingera, Hallarta, Romana Hooghe i t. d., są bardzo dokładne co do fortyfikacji wiedeńskich i robót oblężniczych tureckich, lecz niedokładne i w wielu punktach mylne co do przemijającego szyku wojsk chrześcijańskich w polu działających, a jakkolwiek i pod tym względem są użyteczne dla historyka lub chcącego poznać dzieje wojny tureckiej w 1683 r., jednak nie przedstawiają całego biegu i postępu bitwy pod Wiedniem, ale dają tylko pełen pomyłek obraz jęj położenia w jednęj danęj chwili.

Te współczesne opisy bitwy wiedeńskiej a raczję pojedynczych jęj ustępow, należy zestawić razem, porównać krytycznie między sobą, oraz z dokumentami przechowanemi w różnych archiwach a zawierającymi autentyczne wiadomości, aby utworzyć sobie pojęcie o całej bitwie i opisać jęj przebieg.

Z późniejszych bardzo licznych opracowań dziejów oblężenia i odsieczy Wiednia, nie znajdujemy w żadnem dziele dokładnego opisu całego przebiegu bitwy wiedeńskiej, ani nawet ogólnego jęj zarysu. Nie ma takiego opisu ani w jednem z najlepszych dzieł Alberta Camesiny: „Wienns Bedrängniss im Jahre 1683.—Wien, 1868,“ chociaż opracowanem bacznie według źródłowych wiadomości, lecz jednostronnych, czerpanych tylko z archiwów niemieckich; ani w dziełku bezstronnością kierującego się Jerzego Karola Lochnera: „Ueber den Autheil Johann III Sobieski's... Nürenberg 1831,“ który to autor rozporządził bardzo małym zapasem wiadomości i materyałów historycznych; ani w niedawno wydanem obszernem dziele Onno Kloppa: „Das Jahr 1683 und der folgende grosse Türkenkrieg bis zum Frieden von Carlovitz 1699... Graz 1882,“ które podaje wprawdzie wiele źródłowych wiadomości, lecz odznacza się stronniczą usilnością, aby zmniejszeniem sławy i udziału Sobieskiego i wojsk polskich w tęg wojnie (zob. Bibl. Warsz. z r. 1883, zes. 9), a nawet rzuceniem winy kilkunastu ludzi na całą ludność Wiednia, broniącą energicznie tęg stolicy, powiększyć o ile możności chwałę wojsk austriackich i ks. lotaryńskiego, któremu zasług nikt nie odmawia. W dziełach tych czytamy tylko mętny i niedokładny opis niektórych ustępow bitwy, a mianowicie opis potyczek toczonych od rana do południa przez lewe skrzydło armii chrześcijańskiej, złożone z wojsk cesarskich ¹⁾, saskich i korpusu ks. Lubomirskiego, które to potyczki staczane w celu zdobycia równiejszego pod Kahlenbergiem gruntu i rozwinięcia siły, były rzeczywicie przygotowaniem tylko do stanowczęj walki, stoczonęj po południu przez prawe polskie

¹⁾ Wówczas i aż do bieżącego stulecia, mówiono powszechnie „wojska cesarskie“ a nie „wojska austriackie.“

skrzydło tój armii. A właśnie o tym stanowczym boju rzucono bezładnie w dziełach wspomnianych kilka tylko niedokładnych wiadomości.

Słusznie więc w przedmowie do dzieła „Rok wojny 1683“ (Das Kriegsjahr 1683), wydaném w r. z. przez historyczny oddział archiwum wojennego austriackiego w Wiedniu, powiedziano: „Wypadki 1683 r. mające wielkie znaczenie w dziejach świata, były bardzo wdzięcznym polem badań historycznych i dały powód do wielu publikacji, w których jednak miejsce historycznej prawdy zastąpiła legenda romantycznie zabarwiona. Między opisami tych zdarzeń dziejowych na-próżno szukamy całkowitego a przedmiotowo i z wojskowego stanowiska narysowanego ich obrazu.“

Ten oddział archiwum wojennego austriackiego, zajmujący się pisaniem historii wojen („Abtheilung für Kriegsgeschichte des k. k. Kriegs-Archivs“), mając przed sobą bardzo bogate materiały do dziejów wojny 1683 r. w otwartych mu archiwach i bibliotekach publicznych, klasztornych i prywatnych, austriackich, saskich, bawarskich, badeńskich i innych niemieckich, spożytkował bardzo jednostronnie te bogate wiadomości z archiwów niemieckich, a pominąwszy źródła polskie (które w części wymienił, ale ich nie poznał lub z nich nie czerpał), wydał w r. z. z wojskowego stanowiska nakreślone dzieje wojny tureckiej 1683 r., pod napisem „Das Kriegsjahr 1683“ i w nich opowiedział przebieg bitwy 12-go września stoczonej. Jakkolwiek to ostatnie opracowanie historii oblężenia i odsieczy Wiednia przez autorów, dla których stały otwarte wszystkie niemieckie archiwa, jest o wiele lepsze i dokładniejsze od poprzednich i ze znajomością spraw wojskowych napisane, jednak napisane jest stronniczo, z ujmą zasłużonej sławy wojsk polskich w tój wojnie współdziałających. Autorowie tego dzieła opisują szczegółowo i dokładnie czynności wojsk niemieckich, a pobieżnie wzmiankują tylko o działaniach armii polskiej, mianowicie przemilczają jej najświetniejsze czyny. (Zob. Bibl. Warsz. z r. 1883, zesz. 9. Red.).

W dedykacji tego dzieła jubileuszowego „Rok wojny 1683“, wydanego w dwóchsetną rocznicę oblężenia i odsieczy Wiednia, autorowie wypowiedzieli, że ma być ono „spłata honorowego długu nie tylko armii cesarskiej, ale także tym walecznym i wspaniałomyślnym sprzymierzeńcom, którzy ramię do ramienia obok niej walczyli.“ Pomimo tój dedykacji, autorowie „Roku wojny“ bogate materiały historyczne, któremi rozporządzali, wyzyskali, tendencyjnie, starając się zmniejszyć o ile możności ważność i doniosłość działań w tój wojnie wojsk polskich, które naciągnęły nad Dunaj na odsiecz w ostatecznym już niebezpieczeństwie będącego Wiednia i na obronę Chrześcijaństwa, zagrożonego przez zaborczy oręż muzułmański. Wprawdzie autorowie „Roku wojny“ nie posunęli swój stronniczości tak daleko jak Hormayer i jemu podobni; nie fałszowali faktów, które przytoczyli; ale pominęli te fakta, które najwybitniej świadczyły o dzielności i zasługach wojsk polskich w tój wojnie, lub o nich tylko krótko wspomnieli. Zaledwie

uczynili lekką wzmiankę o ich zwycięstwach, a szeroko opisali i przesadzili jedyną w tej wojnie porażkę jazdy polskiej w pierwszej bitwie pod Parkanami 7 października 1683 r. Przemilczeli naprzykład, że w bitwie pod Presburgiem, stoczonej z Turkami i Węgrami 29 lipca 1683 walczył prawie wyłącznie i odniósł zupełne zwycięstwo posiłkowy korpus polski ks. Hieronima Lubomirskiego, chociaż to napisał wyraźnie wódz cesarski, ks. Karol Lotaryński, w sprawozdaniu z 30 lipca do cesarza Leopolda i w liście do króla Jana III z 31 lipca i wszyscy prawie świadkowie bitwy w swych relacjach. Pominęli autorowie „Roku wojny“ zupełnie, że zaraz po bitwie wiedeńskiej wieczorem 12 września, jedynie oddział jazdy polskiej pod dowództwem Miączyńskiego ścigał Turków za Schwechat, dopóki noc nie zapadła, a ścigał z rozkazu króla Jana; natomiast śmiało czynić bezzasadny zarzut Sobieskiemu, że nie nakazał pogoni za uchodzącym nieprzyjacielem.

Tego samego systemu przemilczania trzymali się autorowie opisujący w „Roku wojny 1683“ bitwę wiedeńską 12 września. Szczegółowo opowiedzieli przygotowaniem właściwie do bitwy będące przedpołudniowe potyczki z Turkami na stokach Kahlenbergu i Nussbergu lewego skrzydła armii chrześcijańskiej, pod dowództwem ks. Lotaryńskiego, złożonego z wojsk cesarskich, saskich i korpusu jazdy polskiej Lubomirskiego, (o których działaniach zamilczeli). Przedstawili także dokładnie ruchy środka armii chrześcijańskiej, złożonego z wojsk bawarskich, wirtemburskich i frankońskich pod dowództwem ks. Waldeck, które posuwały się prawie bez boju nie napotykając nigdzie nieprzyjaciela, bo ten skupił siły swoje na obu swych skrzydłach. Mgliście zaś zarysowali i w kilku tylko wierszach wspomnieli o głównej walce stoczonej przez armię polską, która wysunąwszy się w południe z wąwozów Dornbachskich i z lasów Schafbergu, a podczas krwawego starcia się swoich czołowych hufców z Turkami, rozwinąwszy się jako prawe skrzydło wojsk chrześcijańskich, uderzyła po 2-jej godzinie z południa na zgromadzone przeciw niej wojska tureckie. A przecież właśnie ta po 2-jej godzinie walka prawego skrzydła z wojsk polskich złożonego, posuwającego się od Dornbachu, była rozstrzygającym bitwę stanowczym bojem z masami wojsk tureckich, skoncentrowanemi przez w. wezyra przeciw armii polskiej na równinie, gdzie dzisiaj leżą przedmieścia Ottakring, Hernals i Weinhaus. Tutaj to główne siły tureckie rozbiła wielka szarża husarzy i pancernych polskich.

Jednostronność a nawet stronniczość dzieła: „Das Kriegsjahr 1683,“ systematyczne przemilczenia w niem świetnych działań wojsk polskich w tej wojnie i inne jeszcze jego wady wykażę później, tu tylko zaznaczam, że w dziele wspomnianém nie opisano dokładnie a przedmiotowo i bezstronnie całego biegu bitwy wiedeńskiej; mianowicie zaledwie nadmieniono o głównej w tej bitwie walce, stoczonej przez prawe polskie skrzydło armii chrześcijańskiej.

W dwóchsetną rocznicę oblężenia i odsieczy Wiednia wypracował także austriacki Zakład wojskowo-geograficzny plan oblężenia Wiednia przez Turków i bitwy wiedeńskiej 12 września 1683 r. Plan ten nakreślony na wielki rozmiar, bo na skalę 1 : 6250, wywieszony był na wystawie historyczno-wiedeńskiej, w r. z. urządzoncj, a tysiące egzemplarzy tego planu, narysowanego na mniejszy rozmiar (na skalę 1 : 25000), rozeszło się po Europie.

Plan, o którym mowa, w taki sposób był zrobiony, że na teraźniejszym planie Wiednia i okolicy, narysowanym lekko tuszem, przedstawiono barwami stan miasta, warowni wiedeńskich i robót oblężniczych tureckich w dniu bitwy wiedeńskiej 12 września 1683 r. i położenie téj bitwy o godzinie 2 z południa. Mianowicie narysowano wybitnie barwami ówczesne rozpołożenie miasta i jego przedmieści, wały i bastiony, Wiedeń opasujące, oraz przekopy, baterye i roboty oblężnicze tureckie w takim stanie, w jakim były 12 września. Dalej widzimy na planie obozy tureckie, rozłożone naokoło miasta, a przed obozami po południowo-zachodniej stronie na przestrzeni, którą dzisiaj zajmują przedmieścia: Döbling, Weinhaus, Gernshof, Hernals, Ottakring i na równinie między Hernalsem a Dornbachem ustawioną w wielkich masach armią turecką; naprzeciw zaś niżej nadeszłe na odsiecz oblężonego Wiednia wojska chrześcijańskie, narysowane w takim szyku bojowym, w jakim stały o godzinie 2 z południa, t. j., w chwili, gdy po przygotowawczych walkach, od rana do godziny 2 toczonych na stokach Kahlenbergu i Schafbergu, dla zyskania sposobniejszego do walki gruntu, rozwinęły się wielkim łukiem od brzegów Dunaju i Nussdorfu przez Heiligenstadt, Sievering, Potzleindorf, Dornbach, aż za strumień dornbachski i rozpoczynały bój stanowczy.

Dla narysowania topograficznych szczegółów tego planu posługiwał się zakład wojskowy geograficzny współczesnymi planami miasta i bitwy i materiałami historycznymi, znajdującymi się w bibliotece domu cesarskiego, w wielkiej bibliotece publicznej, w archiwach ministerstwa wojny i w bibliotece m. Wiednia, oraz dziełami: Daniela Suttingera, L. Anguissoti, I. Marinoniego i Alberta Comesiny, jak to napisano w objaśnieniach, dołączonych do planu. Szyk zaś bojowy obu armii, narysowano według powyżej wspomnianych planów, jednak szczególnie według wzmiankowanego wyżej dzieła: „Das Kriegsjahr 1683,” o czém w objaśnieniach planu także nadmieniono.

Ten plan bitwy wiedeńskiej przez samo narysowanie stanowisk w armii o godzinie 2 i szyku bojowego wojsk chrześcijańskich, w którym wojsko polskie, tworzące prawe ich skrzydło ku południowi wysunięte, zagraża tureckiej linii odwrotu, a stoi naprzeciw ogromnych zastępów wojska osmańskiego, zgromadzonego przeciwko niemu—wykazuje każdemu, znającemu choć nieco sprawy wojskowe, że to prawe polskie skrzydło stoczyć musiało i stoczyło rzeczywiście stanowczy bój, rozstrzygający całą bitwę. Jednak wytknięta przez nas wyżej tendencyjność i stronniczość dzieła „Rok wojny 1683,” którego

trzymał się głównie Zakład wojskowy geograficzny w narysowaniu tego planu, spowodowała, iż w planie tym są pomyłki i niedokładności, wskutek których plan nie dość wybitnie przedstawia doniosłość działań wojska polskiego w tej bitwie. Pomyłki i niedokładności w narysowaniu na tym planie szyku wojsk i położenia bitwy o godzinie 2 z południa, wykażę niżej, opowiadając sam przebieg bitwy i porównując ten plan z autentycznymi źródłowemi wiadomościami.

Wspomniałem już, że plan bitwy wiedeńskiej, zrobiony przez Zakład wojskowy geograficzny austriacki, przedstawia jej położenie o godzinie 2 z południa. W owej chwili minął już pierwszy przygotowawczy okres bitwy, trwającej od świtu do południa, podczas której lewe skrzydło (wojska cesarskie, saskie i część wojsk polskich) schodząc z obu szczytów Kahlenbergu ¹⁾, zdobywało w uporeczywych walkach położystsze wzgórze nussberskie i na nich się rozwinęło; centrum (wojska bawarskie, wirtemberskie, frankońskie i dragony cesarskie) posuwało się bez boju po stokach Lattersbergu (Latisbergu) w miarę postępu lewego skrzydła, bo nie spotykało nieprzyjaciela; zaś prawa skrzydło, t. j. wojsko polskie, mające posunąć się ku południowi i przebyć najdłuższą i najtrudniejszą drogę przez góry i jary „Lasu wiedeńskiego,” aby wejść na linię bojową, było jeszcze aż do południa w pochodzie z Hermanns-Kegel i Sauberg do Dornbachu. Minął już wówczas i drugi przygotowawczy okres bitwy od południa do 2 godziny trwającej, w ciągu którego lewe skrzydło i centrum odpoczywały rozwinęte już na położystych zdobytych wzgórzach u stóp Kahlenbergu, zaś hufce, idące na czele kolumn polskich, wysunąwszy się z lasów Schafbergu i z wąwozów Dornbachu, a powitane radosnym okrzykiem całego wojska chrześcijańskiego, uderzały kilkakrotnie na przodowy korpus jazdy i piechoty tureckiej, zajmującej obmurowane

¹⁾ Podczas oblężenia Wiednia przez Turków r. 1683 i w całym XVII wieku oba szczyty, zwane dzisiaj Leopoldsberg i Kahlenberg, nazywano Kahlenbergiem. Na północnym szczycie Kahlenbergu, który wznosi się tuż nad Dunajem, stał przez parę wieków zamek, zbudowany niegdyś przez władców Austrii, Babelsbergów, spalony i zniszczony przez Turków 1529 i 1683 r., a przy zamku tym kościółek, pod wezwaniem św. Leopolda, także przez nich zburzony. Kościółek ten odbudował cesarz Leopold w r. 1693 i od tego czasu ten północny szczyt Kahlenbergu zaczęto znów nazywać górą Leopolda, Leopoldsberg. Jednak stara osada pod tą górą zachowała do dziś dnia nazwę Kahlenberger-Dörfel. Na południowym, nieco wyższym i rozleglejszym szczycie Kahlenbergu, który do dziś dnia tę nazwę nosi, stał klasztor Kamendulów i kościół pod wezwaniem św. Józefa; dlatego na niektórych planach z XVII w. góra ta nosi nazwisko Josephsbergu, a dzisiejszy Leopoldsberg miano Kahlenbergu. Klasztor ten i kościół spalili Turcy w r. 1683, ale przed bitwą 12 września w rozwalinach tego kościoła urządzono ołtarz, przy którym w dniu tym o świcie odprawiał słynny kapucyn Marek d'Aviano mszę św., której słuchał król Jan III, otoczony dowódcami wojsk chrześcijańskich.

winnice i laski przed Dornbachem i wyparły go po krwawych starciach, podczas których kolumny głównych sił polskich wyszły z lasów i rozwinęły się na zdobytym gruncie przed Dornbachem. Wówczas-to wojska chrześcijańskie utworzyły jeden, przeszło milę ciągnący się łuk od Dunaju przy Nussdorfie do Dornbachu, a Kara Mustafa, pozostawiając część tylko wojsk swoich naprzeciw lewego skrzydła i środka armii chrześcijańskiej, daleko większą połowę sił zgromadził w potężnych, głębokich zastępach przeciw prawemu polskiemu skrzydłu na przestrzeni, gdzie dziś przedmieścia Hernals, Weinhaus i Ottakring. Właśnie plan, o którym mówimy, przedstawia te stanowiska obu armii o godzinie 2 z południa ¹⁾.

Dłużej zatrzymałem się nad tym planem, narysowanym przez austriacki Zakład wojskowo-geograficzny i przedstawiającym stanowisko wojsk o godzinie 2 z południa, albowiem później w opisie prze-

¹⁾ Król Jan III rozpoznawał 11 września wieczorem z szczytu Kahlenbergu obozy tureckie i rozpoznał całą okolicę między zajętemi przez wojska chrześcijańskie szczytami gór a obozami turockimi. Przejawszy teren gorzysty całej okolicy, poprzeczony wązami i trudny do opanowania, a którego część trzeba było wprzód zdobyć, aby armia chrześcijańska mogła rozwinąć siły swoje i stoczyć stanowczą bitwę z Turkami, — sądził, że cały dzień 12 września zjdzie na przygotowawczych działaniach, t. j. na zdobywaniu położystszych u stóp Kahlenbergu i Schafbergu wzgórz, których, jak mniemał, Turcy uporeczywie bronić będą — i na rozwinięciu na tych wzgórzach całej armii chrześcijańskiej; zamierzał więc dopiero 13 września stoczyć walkę stanowczą. Świadczy o tém list, pisany przez niego do królowej o świcie 12 września, oraz zapiski Hermana, margrabiego badeńskiego i inne współczesne relacje. Lecz gdy po opanowaniu wśród nieustannych, lecz częściowych starć z Turkami wspomnianych położystszych wzgórz i po rozwinięciu się całej armii chrześcijańskiej 12 września do godziny 2 z południa, doświadczone oko Sobieskiego spostrzegło pewne wahanie się w naprzeciw stojących masach wojsk tureckich, — dał król Jan rozkaz wszystkim wojskom chrześcijańskim (których lewe skrzydło i środek już chwilowo odpoczywały) do ataku na całej linii i rozpoczął zaraz bój stanowczy wielką szarżą, wykonaną przez całą wyborową jazdę polską, t. j. przez 7,000 husarzy i pancernych, uszykowanych na prawém skrzydle armii chrześcijańskiej, na główne siły tureckie, zgromadzone pod osobistém dowództwem Kara Mustafy naprzeciw temu skrzydłu. Po obu stronach, lecz w tyle tego zastępu chorągwi husarskich i pancernych, ustawionych w szachownicę w dwie linie i pędzących na ogromną masę wojsk tureckich, posuwały się klusem dla zabezpieczenia boków tego szarżę wykonującego zastępu, dwie wielkie gromady jazdy: mianowicie po prawej stronie 5,000 dragonów polskich, w trzy linie uszykowanych, pod dowództwem generała Maligny (brata królowej polskiej), Jana Gorczyńskiego i Andrzeja Chełmskiego, a po lewej stronie 6,000 dragonów i kirasyerów cesarskich i bawarskich, prowadzonych przez ks. sasko-luksemburskiego i generała Rabatę.

biegu samej bitwy wiedeńskiej muszę, prostując ten plan, odwoływać się do niego, gdyż jest najlepszym z dotychczasowych, a uzupełniony przez nas obraz położenia bitwy o godzinie 2 będzie nam służyć za tło, na którym rysować będziemy dalszy postęp boju.

* * *

W niniejszym artykule przeznaczonym do czasopisma, nie zamierzam szczegółowo opowiadać dziejów wojny tureckiej w 1683 r., lecz zbadawszy w archiwach polskich i niemieckich ¹⁾ źródła do tego ustępu dziejów i korzystając z wydania zbiorów aktów, dotyczących się tej wojny tureckiej, pragnę w zarysie przedstawić odsiecz Wiednia przez wojska chrześcijańskie i cały przebieg walnej bitwy wiedeńskiej, rozszerzając się nieco więcej tylko w opisie tych faktów, które dotychczas mieć były znane lub mylnie przedstawione.

II.

Dążność polityczna Polski i polityka dworu austriackiego przed wojną turecką.

Skutki polityki austriackiej.—Pierwszy okres wojny tureckiej aż do oblężenia Wiednia 14 lipca 1683 r. — Rezultat działań armii cesarskiej i korpusu posiłkowego polskiego ks. Lubomirskiego podczas oblężenia Wiednia.—Zasługi tego korpusu.

Dążeniem polityki cesarza Leopolda I i jego doradców było utrzymać wszelkimi środkami pokój z Turcyą, aby wszystkie siły kra-

¹⁾ Oprócz archiwów wiedeńskich, mianowicie: archiwum ministerstwa wojny i „głównego archiwum ces. inżynierji,” archiwum domu i dworu cesarskiego, „archiwum ministerstwa skarbu, archiwów i biblioteki miejskiej wiedeńskiej; dalej oprócz zbiorów Naruszewicza w bibliotece ks. Czartoryskich w Krakowie i biblioteki rogałińskiej, najważniejsze akta i dokumenta, dotyczące się działań wojennych w 1683 r. znajdują się w domowym archiwum w. ks. badeńskiego w Karlsruhe, gdzie są papiery margr. Hermana badeńskiego, który za Leopolda I był prezesem nadwornej rady wojennej cesarskiej (Hofkriegsrath-Präsident) i zabrał z sobą akta nadwornej rady a w nich sprawozdania i korespondencje wodzów z tą radą, instrukcje im dawane i t. d. W archiwum watykańskim są liczne sprawozdania nuncjuszów papieskich na dworze polskim i cesarskim, oraz inne ważne korespondencje, dotyczące się tak dyplomatycznej jak i wojskowej strony wojny tureckiej w 1683 r., lecz te dokumenta ogłoszone są już w zbiorach aktów wydanych przez Theinora i w „Aktach do dziejów króla III a osobliwie do wyprawy wiedeń-

jów dziedzicznych austriackich i państwa niemieckiego zwrócić przeciw Ludwikowi XIV, w którego czynach i zamiarach upatrywano wielkie niebezpieczeństwo, grożące obu liniom (hiszpańskiej i austriackiej) dynastji habsburskiej. Ta chęć utrzymania pokoju z Turcyą była głównym powodem, dla którego cesarz Leopold odrzucił w 1678 roku przymierze zaczepno odporne dla wspólnej obrony przeciw Turcyi, proponowane ¹⁾ Austrii i innym państwom chrześcijańskim przez Polskę, której myślą przewodnią, kierującą rządem i narodem od chwili zaboru przez Turków Kamieńca, Podola i części Ukrainy, była wojna przeciw zaborcemu państwu Osmanów, dla odzyskania wspomnianych krajów, zabezpieczenia się przed najazdami tureckimi i odwrócenia niebezpieczeństwa, zagrażającego coraz bardziej Polsce od strony Turcyi ²⁾.

Odpowiednio wyżej wskazanej odmiennéj dążności, która zwracała kroki cesarza Leopolda i jego rządu do utrzymania pokoju z Turcyą, wyprawił rząd cesarski z Wiednia 5 lutego 1682 roku wielkie poselstwo do sułtana pod naczelnictwem hr. Alberta Caprara, dając mu instrukcyą ³⁾, aby starał się wszelkimi środkami przedłużyć na dalsze lat 20 traktat pokojowy z Turcyą, zawarty 10 sierpnia 1664 roku w Waswarze na lat 20 ⁴⁾. Wprzód jeszcze, bo w październiku 1681

skiej roku 1683 r. "zebranych i wydanych przez Franciszka Kluczyckiego, Członka komisji historycznej Akademii umiejętności, nakładem tejże Akademii w Krakowie 1883 r. jako VI tom „Aktów historycznych do objaśnienia rzeczy polskich.“ W archiwum państwa w Berlinie znajduje się część papierów z domowego archiwum Sobieskich, przeniesiona niegdyś do Olawy na Szląsku, ztąd dostała się do tego archiwum berlińskiego.

¹⁾ Z propozycyą przymierza zaczepno odpornego przeciw Turcyi wysłani byli przez króla Jana III i stany Rzeczypospolitej polskiej, w marcu 1679 r.: ks. Radziwiłł do Wiednia, Wenecyi i Rzymu, książdz Koryciński do Madrytu, Andrzej Morsztyn do Paryża, Feliks Morsztyn do Danii, Szwecyi i Anglii.

²⁾ Patrz: uchwały sejmu grodzieńskiego z 1678, 1679 r., instrukcyje wydane przez kancelaryą królewską na sejmiki przed sejmem 1681 r., a w nich relacyą z rezultatu poselstw do państw chrześcijańskich; dalej patrz: propozycye korony, przedłożone sejmowi przez podkanclerza w 1681 r., uchwały tego sejmu zerwanego intrygami Paców, instrukcyje z kancelaryi królewskiej na sejmiki przed sejmem, zwołanym na 27 stycznia 1683 r. (w zbiorach Naruszewicza), relacye Proskiego rezydenta polskiego w Konstantynopolu z 1681 i 1682 r.

³⁾ Akta z 1682 w archiwum domu i dworu cesarskiego w Wiedniu.

⁴⁾ Ten pokój a raczej rozejm na lat 20 z Portą w Waswarze zawarty, nie był bynajmniej dla Austrii korzystny. Rząd cesarski tak spieszył się wówczas z ukończeniem wojny z Turcyą, aby był gotowym do odparcia groźnych dla siebie zamiarów Ludwika XIV, że pomimo zwycięstwa 1 sierpnia 1664 pod St. Gotthard nad rzeką Raab — wprawdzie zwycięstwa niestanowczego — odniesionego nad wojskami w. wezyra Achmeda Köprili przez Mon-

roku podczas zebrania się częściowego sejmu węgierskiego w Oedenburgu, wyprawił rząd cesarski barona Feliksa Saponarę do Tökölego i powstańców węgierskich, przyrzekając im zwrot dóbr skonfiskowanych i niejakię ustępstwa, jeżeli Tököli podda się uchwałom zapadłym na sejmie w Oedenburgu, (złożonym przeważnie z stronników cesarskich) i wpłynię na to, aby Porta przedłużyła pokój z cesarzem Leopoldem.

Pomimo, że wszelkie starania posła Alberta Caprara w Konstantynopolu przez cały rok 1682 nie doprowadziły do żadnego rezultatu, a sułtan, zostający pod wpływem ambitnego wezyra Kara Mustafy, zgromadził z całego państwa ogromne siły do obozu pod Adryanopolem, dokąd sam już 8 października 1682 roku się udał, głosząc wyprawę do Węgier; pomimo, że Tököli, zerwawszy układy prowadzone z nim nieszczerze przez rząd austriacki, rozpoczął już w lipcu 1682 r. walkę przeciw wojskom cesarskim w górnych Węgrzech z pomocą Ibrahima paszy, wielkorządcy tureckiego w Budzie i wyrzucał załogi cesarskie z warowni podkarpackich; pomimo ostrzeżeń dawanych przez papieża i rząd polski, który zawiadamiał, iż Turcyja przygotowuje wielką wyprawę i radził czynić przygotowania do wojny i pojednać się z Tökölim i Węgrami, zapewniając im dawne swobody a w tym celu król Jan III ofiarował swoje pośrednictwo; pomimo tego wszystkiego, na dworze cesarza Leopolda łądzono się do końca 1682 r. a nawet i później nadzieją, iż wojnę z Turcyją można odwrócić i pokój z sułtanem przedłużyć.

W nadziei tej utwierdzał cesarza Leopolda i jego doradców, a mianowicie prezesa nadwornej rady wojennej, Hermana, margrabiego badeńskiego, poseł hiszpański margrabia Borgomanero. Ten stary dyplomata, reprezentant hiszpańskiej linii Habsburgów, mający wielki wpływ na dworze cesarza Leopolda, usiłował wszelkie siły cesarstwa zwrócić przeciw Ludwikowi XIV, wypierającemu z tronu hiszpańskiego tanezną linią habsburską. Przedstawiał więc: że niebezpieczeństwo, zagrażające Austrii od strony Turcyi nie jest wielkie, że potrzeba i można, nie szczędząc ofiar i pieniędzy, pokój z Portą przedłużyć a wszystkie siły należy skierować przeciw Ludwikowi XIV, który usiłuje usunąć z tronu nie tylko hiszpańską; ale i austriacką linią Habsburgów. Pod wpływem tego posła i pod wpływem przedstawień dworu hiszpańskiego, wyraziła takie samo zdanie wielka rada, zwołana przez cesarza Leopolda, która w protokole swych obrad odbytych 11 sierpnia 1682 r. wypowiedziała między innemi: „Od wschodu zagraża

tecuculego z pomocą korpusu posiłkowego francuzkiego pod dowództwem ks. de Feuillade i hr. Coligny, zawarł w Waswarze 10 sierpnia pokój z Turcyją, zatwierdzony już 26 sierpnia przez cesarza Leopolda. Mocą tego pokoju, pozostały w Węgrzech te same, co przed wojną granice tureckie, sięgające do Ostryhonii (Granu) i Nowych Zamków, to jest większa część Węgier i Chorwacyi pozostała pod panowaniem tureckim.

co najwięcej utrata paru komitatów węgierskich, zachód zaś grozi domowi habsburskiemu utratą korony cesarskiej¹⁾.

Przeważna większość mężów zebranych na tę konferencją doradzała cesarzowi: zawrzeć pokój z Turcyą, co można osiągnąć, wydając w tym celu w Konstantynopolu znaczną sumę, która w każdym razie byłaby tylko małą cząstką wielkich sum potrzebnych na wojnę z sułtanem; przedsięwziąć zaś należy wojnę przeciw Ludwikowi XIV-mu, ponieważ pokój zawarty z nim oddzielnie przez cesarza zerwał sojusze, łączące cesarstwo z Hiszpanią, Holandya i księżętami niemieckimi. Ta dążność i ten wpływ hiszpański na dworze tak zaślepiły nadworną radę wojenną i jej prezesa, że pomimo nawet ostróg i listów samegoż posła cesarskiego hr. Caprara, donoszącego, iż znikła wszelka nadzieja przedłużenia pokoju z Turcyą, i że wielka armia wyrusza już z pod Adrianopola ku Belgradowi, nadworna rada wojenna w Wiedniu nie przedsięwzięła do 7 grudnia 1682 r. żadnych przygotowań do obrony, sądząc, że w najgorszym razie sułtan nie rozpocznie wojny przed upływem rozejmu, kończącego się w sierpniu 1684 r., na mocy traktatu zawartego w Waswarze 1664 r.

Wprawdzie już w jesieni 1682 r. dyplomacya austriacka rozpoczęła starania o zawarcie układów z Polską, z papieżem, z Wenecyą, Holandya i księżętami niemieckimi dla zapewnienia Austrii posiłków w wojnie przeciw Turcyi. W skutek tych starań zawarła z Austryą jedynie Polska 31 marca 1683 r. znane przymierze zaczepno-odporne przeciw Turcyi²⁾; stanęły także umowy o posiłki z elektorem bawarskim a później z saskim³⁾; papież zaś Innocenty XI, główny orędownik sojuszu państw chrześcijańskich na obronę Chrześcijaństwa przeciw Osmanom i Koranowi, przysłał zaraz w początku 1683 r. cesarzowi Leopoldowi do Wiednia przez kardynała Cibo 1,200,000 talarów bezzwrotnie danych (sześć razy tyle, co rząd austriacki zaliczył Polsce z prawem odebrania sobie tej sumy z dziesięćcin), prócz tego dziesięćcin duchowne przeznaczył na pokrycie wydatków na wojnę przeciw Turcyi i wydał odezwę do całego świata katolickiego, aby na tę wojnę przysyłano pieniądze i wyprawiano ochotników.

Lecz nadworna rada wojenna w Wiedniu dopiero 7 grudnia 1682 r., zaprojektowała pierwsze uzbrojenia i niewielkie powiększenie wojsk, a margrabia Herman badeński twierdzi w swoich zapiskach,

1) W naradzie tej brali udział: margr. Herman badeński, ks. Schwarzenberg, Emerich, biskup wiedeński, hrabiowie: Dietrichstein, Martinic, Notstitz, Starbemberg, Königsegg, Schafgotsche, Sienzen Dorf, Harrach, Kinsky, Jörger, Kaplirz; baronowie: Bartholdi, Abele i Dorsch. Protokół tej narady datowany 11 sierpnia 1682 r. jest w archiwum domu i dworu cesarskiego. Patrz także memoriał hr. Jörger, który zasiadał na tej naradzie.

2) „Akta do dziejów króla Jana III” — Kraków 1883.

3) Co do tych umów, daty i szczegóły są podane niżej w artykule niniejszym.

iż stało się to na jego żądanie wbrew zdaniu innych członków rady. Jednak to powiększenie wojsk o pięć pułków piechoty i trzy pułki jazdy, rozpoczęte istotnie w styczniu i lutym 1683 r. ¹⁾, prowadzone bez energii, było bardzo niedostateczne w porównaniu z wielkimi siłami tureckimi już zgromadzonymi. Jeszcze w lutym 1683 nieliczne wojska cesarskie rozrzucone były po całym państwie ²⁾.

Następstwem tego postępowania rządu cesarskiego było, że gdy w maju r. 1683 ogromne na owe czasy wojska tureckie 275,000 żołnierzy liczące, ruszyły już z pod Belgradu ku Osiekowi nad Drawą, główna armia cesarska, zgromadzona z wielkim wysileniem do obozu pod Kittsee, liczyła tylko 21,000 piechoty i 10,000 jazdy, oraz 6,000 milicyi węgierskiej ³⁾. Tę główną armią miało jeszcze później wzmożnić 7,000 piechoty i 3,600 jazdy, gdy ukończy się formacja nowych, wyżej wspomnianych pułków i nadciągną oddziały jazdy chorwackiej. Reszta wojsk cesarskich, które ogółem liczyły wówczas 54,968 piechoty i 21,600 jazdy, razem 76,568 żołnierzy ⁴⁾, była albo rozrzucona w twierdzach po całym państwie, albo rozstawiona kordonem na granicach od Jabłonki i Cieszyna aż do Zengg nad Adryatykiem.

Szczęśliwym pomysłem, cesarz Leopold powierzył naczelne dowództwo nad temi szczeptymi siłami doświadczonemu i zdolnemu wodzowi, ks. Karolowi Lotaryńskiemu, a sam odbywszy 7 maja przegląd wojsk w obozie pod Kittsee, odjechał do Preszburga, następnie do Wiednia i usunął się poczęści od kierowania działaniami wojennymi, nie mając do tego chęci i nie znając sztuki wojennej. Jednak trudne zadanie naczelnego wodza utrudniała jeszcze ks. Lotaryńskiemu zostająca przy boku cesarza nadworna rada wojenna, a szczególnie jej prezes Hermann, margrabia badeński, poleceniami, dawaniami z oddala od pola walki z za zielonego stolika.

Jeszcze przed odbyciem 7 maja wspomnianego przeglądu wojsk, polecił cesarz Leopold ks. Lotaryńskiemu zwołać w obozie radę wojenną, któraby ułożyła ogólny plan działań i rozstrzygła kwestye, przed-

1) Układy zawarte w styczniu 1683 r., z hr. Lesslie, ks. Croy, hr. Daun, z ks. Karolem Wirtembergskim i t. d. o zaciągi nowych pięciu pułków piechoty, oraz układy zawarte 7 i 9 stycznia i 15 marca z ks. Juliuszem sabbaudzkim (bratem słynnego Eugeniusza), z hr. Coneberg i hr. Herbeville o zaciąg trzech pułków jazdy, znajdują się w ces. archiwum wojennym w Wiedniu, I fasc, aktów z 1683 r.

2) Rozłożenie wojsk cesarskich w lutym 1683 r., zapisane w notatach jeneralnego kwatermistrza Tobiasza von Hasslingena, znajdujących się w ces. archiwum wojennym w Wiedniu—13 Fasc. aktów z 1683 r.

3) Wyciągi z akt nadwornej rady wojennej, z maja i czerwca 1683 r. w ces. archiwum wojennym w Wiedniu i tamże znajdujące się wspomniane notaty jeneralnego kwatermistrza Tobiasza von Hasslingena.

4) Notaty jen kwatermistrza Hasslingena.

łożone w tym względzie cesarzowi 5 maja przez Hermana, margrabiego badeńskiego.

Ten pierwszy plan wojny, ułożony na radzie wojennej, odbytej pod przewodnictwem ks. Lotaryńskiego 8 maja w obozie pod Kittsee, a zatwierdzony w głównych zarysach przez cesarza Leopolda pismem odręcznym, datowanym z Preszburga 9 maja, został odrazu zwichnięty przez szybki pochód armii tureckiej z Osieka nad Drawą przez Stuhlweissenburg pod Jawaryń (Raab) następnie pod Wiedeń ¹⁾. Nic będe więc tu planu tego rozwijać; wspomnę tylko, że pierwszém działaniem wojsk cesarskich jeszcze przed nadejściem armii tureckiej, miało być zdobycie twierdz tureckich: Ostryhonja (Granu) i Nowych Zamków (Neuhäusel), a bronić Węgier zamierzano systemem kordonowym, zwykłym w planach austriackiej nadwornej rady wojennej, rozstawiając, a raczej rozrzucając wzdłuż granic wojska od Karpat i źródeł Waagu, aż za Sawę do Zengg nad Adryatykiem. Lecz przytoczę tu tę część planu i postanowień rady, które tyczyły się współdziałania wojsk polskich w tej wojnie. „Ponieważ już jest zapóźno, aby polacy mogli wykonać na Ukrainie skuteczną dywersję przeciw Turkom“ — jak to napisano w uchwałach na radzie powziętych — przeto należy prosić króla Jana III, aby wyprawił kilkutyśięczny korpus wojsk polskich w dolinę Waagu, gdzie korpus ten działać będzie wraz z pułkami polskimi ks. Lubomirskiego; gdy tymczasem główne siły polskie (stojące wówczas w okolicy Trembowli i Śniatynia, a które na 15 do 20,000 żołnierzy rada obliczała), miały wkroczyć do wschodniej części Węgier i do Siedmiogrodu, co zachęcić powinno do złączenia się z niemi ks. siedmiogrodzkiego, Apafego, obawiającego się, iż go sułtan złoży z tronu, jak to wówczas mniemano w Kittsee. Posuwanie się wojsk polskich w wschodniej części Węgier i w Siedmiogrodzie, może—jak sądziła rada wojenna—skłonić Tökölego do połączenia się z Polakami i cesarzem; w każdym zaś razie, przy ówczesném działaniu wojsk cesarskich od Komorna w zachodnich Węgrzech, rozerwie siły armii tureckiej, idącej od Belgradu, nie dopuści jęj posuwać się ku Jawarynowi (Raab) i Wiedniowi i zwichnię całą wyprawę w. wezyra Kara Mustafy.

Lecz zanim ten plan wojny, z którym miano postać do Warsza-

¹⁾ Postanowienia powzięte na tej naradzie wojennej, spisane własnoręcznie przez ks. Lotaryńskiego i pismo odręczne cesarza Leopolda, zatwierdzające z pewnemi zmianami te postanowienia rady, oraz trzeci dokument tyozący się tegoż przedmiotu, t. j. pismo Hermana margr. badeńskiego, zawierające kwestye, ułożone przez niego i przedłożono cesarzowi, aby polecił roztrząsnąć je na wspomnionęj naradzie w Kittsee; wszystkie te trzy dokumenta znajdują się teraz w domowém archiwum w ks. badeńskiego w Karlsruhe, gdzie złożone zostały z papierami Hermana badeńskiego. W naradzie tej brali udział, prócz ks. Lotaryńskiego, feldmarszałek Herman badeński i starsi generałowie: ks. sasko-lawenburski, hr. Aencas Caprara, hr. Rabatta, ks. Ludwik badeński, hr. Dünewald, hr. Palfy, hr. Gondola, bar. Mercj.

wy hr. Filipa Thurna, jako pośła wojskowego przy królu polskim, był przyjęty lub odrzucony przez króla Jana, został już obalony, jak wspomnieliśmy, szybkim pochodem armii Kara Mustafy. Wódz turecki wyprawił jeszcze w początku maja z Belgradu silny, 30,000 żołnierzy liczący korpus, dla wzmocnienia wojsk tureckich zajmujących oddawna całe wschodnie i środkowe Węgry, będące wówczas prowincją turecką, oraz dla wzmocnienia załóg w twierdzach: Budzie, Ostrychoniu i Nowych Zamków. Następnie w ostatnich dniach maja ruszył Kara Mustafa z armią 250,000 żołnierzy liczącą ¹⁾ (nie rachując mnogiej czeladzi obozowej i pociągów, razem do 60,000 ludzi) z Belgradu do Osieka nad Drawą, a po dwunastudniowym tam odpoczynku, przeszedł Drawę 15 czerwca. W dniu tym wydał w. wezyr odezwę do ludu węgierskiego z tej strony Dunaju, przyrzekając opiekę i bezpieczeństwo wszystkim, którzy uznają królem Tökölego, hołdownika sułtańskiego, opornym zaś groził ogniem i mieczem. Liczna straż przednia i boczne oddziały, złożone z jazdy tureckiej i tatarów, nie spotykając najmniejszego oporu, posuwały się szybko szerokim półkolem przed główną armią turecką, która, idąc przez Mohacz i Stuhlweissenberg, dotarła 30 czerwca do Jawarynu, gdzie za rzeką Raab, przy jej ujściu do Dunaju, stała rozwinęta w bojowym szyku armia cesarska, oparta prawem skrzydłem o Dunaj i twierdzę jawaryńską.

Ale skoro tylko boczny korpus turecki i tatarzy przeszli w bród rzekę Raab wyżej Jawaryna pod Körmend, gdzie mający bronić przeprawy słaby korpus Bathianiego opuścił swoje stanowiska za zbliżeniem się nieprzyjaciela, ks. Lotaryński nakazał odwrót wojskom cesarskim. Znagliło go do tego postanowienia nie tylko obejście jego skrzydła przez boczny korpus turecki, który przeszedłszy rzekę Raab ciągnął ku jezioru Neusiedel, ale także szczupłość sił armii cesarskiej. Według zapisków oficerów tej armii ²⁾, wojska cesarskie, stojące w polu za rzeką Raab pod twierdzą jawaryńską, liczyły 22,000 piechoty i 9,500 jazdy; gdy wojska tureckie, biorąc razem główną armią i boczne korpusy, miały w szeregach ogółem 310,000 żołnierzy, według obrachunku, zapisanego w notatkach wspomnianych.

Ks. Lotaryński, postanowiwszy cofać się pod Wiedeń, wzmocnił jednym pułkiem załogę twierdzy jawaryńskiej, a nakazał całej swjej piechocie i artylerji przejść pod tą twierdzą za Dunaj na wyspę Schütt i pod dowództwem generała Leslie ciągnąć pospiesznie wzdłuż tej wyspy, a następnie lewym brzegiem Dunaju do Wiednia; sam zaś z całą jazdą cofał się prawym brzegiem Dunaju przez Altenburg, Petronel ku Wiedniowi, nie przyjmując bitwy i nie stawiając oporu nieprzyjacielowi. Za cofającemi się wojskami cesarskiemi, posuwała się z wolna główna armia turecka pod dowództwem Kara Mustafy, gdyż

1) Kantemir: Geschichte des osmanischen Reiches—Hamburg, 1745.

2) „Réponse d'un officier de l'armée de l'empereur etc.“

dowóz żywności dla tak wielkiej liczby ludzi i koni nie pozwalał jej szybko postępować. Ale boczny korpus turecki, z jazdy i tatarów złożony, idąc szybko przez Rohrau równolegle z kolumną cofających się wojsk cesarskich, zaskoczył im drogę 7 lipca pod Regelsbrunn i Petronel, uderzył niespodziewanie na kolumnę pociągów, a wymordowawszy ludzi, wpadł na cztery pułki dragonów, rozwleczone w pochodzie, rozbił je i ścigał uchodzących w nieładzie, zanim ks. Lotaryński zdołał dalsze pułki w szyk bojowy sprawić i odeprzeć napad niespodziewany. W tym zaintrymym boju zginął ks. Juliusz Sabaudzki, brat sławnego później ks. Eugeniusza, ks. Tomasz Orenberg, hr. Meliny i do 400 żołnierzy. Rozbitki z pod Petronel zaniósły przesadne wieści do Wiednia, że armia cesarska prawie zupełnie zniesiona i Turcy już są u bram stolicy.

Szczęściem tak nie było. Główna armia Kara Mustafy, pomimo tej porażki wojska cesarskiego przez jego przednie straże pod Petronel, posuwała się od Altenburga bardzo powoli, jużto z powodu wyżej wspomnianego, jużto zajęta łupieniem całej okolicy. Ta właśnie kilkodniowa zwłoka ocaliła Wiedeń. Mieszkańcy tej stolicy i władze miejscowe, mianowicie komendant generał Stahremberg, naczelnik tajnego zarządu gen., hr. Zdenko Kaplirz, wyteżyli wszystkie siły, aby postawić miasto i wały wiedeńskie w stanie obrony. Wytrawny zaś wódz, ks. Lotaryński, uporządkowawszy swoje cofające się kolumny jazdy, przyspieszył odwrót, a wykonał go w porządku przez Fischament do Wiednia, gdzie stanął 8 lipca. Przeciągnąwszy przez Wiedeń, rozłożył się obozem pod miastem na wyspie, na której leży przedmieście Leopoldstadt, oddzielonej od Wiednia odnogą dunajską i na lewym wybrzeżu Dunaju, czekając nadejścia piechoty, idącej z pod Jawaryna lewym brzegiem Dunaju, oraz korpusu generała Schulza i korpusu polskiego ks. Hieronima Lubomirskiego, spieszących z górnych Węgier, z doliny Waagu. Te dwa korpusy doszły już 11 lipca do Wiednia, lecz piechota Lesliego z artylerją, mająca tworzyć załogę stolicy, nadciągnęła zaledwie 13 lipca, równocześnie prawie z przednimi strażami tureckimi. Posuwająca się za nimi armia Kara Mustafy, dotarła 14 lipca pod mury Wiednia i z trzech stron go zaraz otoczyła, gdy boczne oddziały tureckie i przodem pędzące hordy tatarskie dobiły już do Alp w jedną, a do Krems w drugą stronę, paląc wsie i miasta, mordując ich ludność. Tak więc bez boju prawie, oprócz jedyniej zwyciężkiej potyczki pod Petronel, doszła armia turecka aż pod Wiedeń, gdyż bardzo słabe stosunkowo wojska cesarskie nie były w stanie stawić jej oporu.

Ks. Lotaryński usiłował początkowo utrzymać się w posiadaniu przedmieścia Leopoldstadt, leżącego po północnej stronie Wiednia, na wyspie oddzielonej od miasta i od stanowisk tureckich wązkiem ramieniem Dunaju; pragnął on przez to nie dopuścić, aby Turcy otoczyli Wiedeń z tej także strony i zapewnić mu związki z resztą monarchii. Lecz gdy 16 lipca rano Turcy, zbudowawszy mosty z Rossau przez to

małe ramię Dunaju (dzisiaj kanał dunajski) przeprowili znaczne siły na tę wyspę, musiał ks. Lotaryński po całodziennych utarczkach cofnąć się 17 lipca za główne koryto Dunaju na lewy brzeg jego. Odwrót jego zastąpiła straż tylna, złożona z oddziału generała Schultza i z korpusu posiłkowego polskiego, którym w nieobecności Lubomirskiego ¹⁾ dowodził pułkownik Tetwin. Straż ta, broniąc mostów i szańcu przedmostowego na Taborau przeciw przeważnym siłom tureckim, straciła kilkaset ludzi. Z polskiego korpusu zginął w tej potyczce major Greben i wielu żołnierzy ²⁾.

Owczesne położenie rzeczy pod Wiedniem przedstawia wiernie a dosadnie list ks. Hieronima Lubomirskiego do króla Jana, datowany 20 lipca 1683 roku z obozu na lewym brzegu Dunaju naprzeciw Wiednia, przy mostach, przechowany w odpisie w zbiorach Naruszewicza w bibliotece ks. Czartoryskich. Podam tu więc dosłownie wyjątki z tego listu:

„Wczoray z wieczora stanąłem tu nad mostami wiedeńskimi w obozie generalnym, y zaraz konferencyą miałem z Xięciem JMcią Lotaryńskim sekretną około occurentii wojennych. Czynił mi occurentii wszystkich relatią, cokolwiek do dzisiejszego dnia działo się: iako oblegli byli Neuszczel (Neuhäusel, Nowe Zamki) jako od niego odstąpili y pod Jaworyn poszli, y iako się reysterowali od miasta z wojskiem do miasta aż pod Wiedeń, tandem tu za Dunay; iako w marszu idąc pod Wiedeń infestowała ich Orda, y urwali odwód; pokazał potem, iako wielka iest potrzeba iako najprędzszego succursu, aby dać odsiecz miastu, które potężnie jest obleżone, y mocno do niego szturmują. Pytał, iako prędko może się spodziewać succursu od Waszey Królewskiej Mości, który obiecałeś? Odpowiedziałem, że Wasza Królewska Mość ordynował z częścią Woyska swojego Imci Pana Woiewodę Wołyńskiego, y że spodziewam się, że te 20 Chorągwi, które ja prowadzić miałem, pospieszą się przed Panem Woiewodą. Prosił mię barzo, abym pocztą biegł do Waszey Królewskiej Mci, iako iest wielka potrzeba, żebyś Wasza Królewska Mość iako nayprędzey ratował ten zgubiony kray, y dał odsiecz miastu temu, o którym iakoby powątpiewa, żeby się mogło długo trzymać. Y to Miłościwy Panie ochotnie-był uczynił, widząc tak wielką potrzebę ratowania Chrześciaństwa; ale wiedząc, że Wasza Królewska Mość więcey z swoiey

1) Ks. Lubomirski był właśnie wówczas w pochodzie z Olomuńca z 6 chorągwiemi jazdy polskiej, które prowadził dla wzmocnienia swego korpusu i przybył 19 lipca do obozu ks. Lotaryńskiego na lewym brzegu Dunaju.

2) Patrz: w archiwum ministerstwa wojny akta z 1683 fasc. 13: raporty ks. Lotaryńskiego datowane 18 i 22 lipca z obozu przy mostach wiedeńskich, tylko krótka treść tych raportów zanotowana jest w protokóle znajdującym się w archiwum wiedeńskim, zaś odpisy raportów są w archiwum w. ks. badeńskiego; patrz także „Réponse d'un officier de l'armée de l'empereur etc.;" wreszcie liczne dyaryusze pisane w obleżonym Wiedniu.

wielkiej uwagi y rozsądku, co potrzebnego będziesz widział uczynisz, anizeli dla moiey persuasiey, wymówiłem się z tego Xięciu, y na moim mieyscu posyłam przez pocztę Pana Glińskiego, Chorążycza Sandomierskiego, Rotmistrza arkabuzarskiego, który wiezie dla informatiey Waszey Królewskiej Mości wypisany statum rzeczy przy liście Xcia Lotaryńskiego, który w iednym tylko positku WKMcI widzi nadzieię ratunku; a ieżeli WKMcI nie wesprzesz zdesperowanych rzeczy tutecznych, niepochybnie y to miasto zginie. Wszyscy tu ręce opuścili, y są prawie bez rady; zastałem tu obóz rozwleczoney na dobrą ćwierć mili od mostów począwszy niżej Dunaiu nad brzegiem bez żadney circum obrony; Woyska wszystkiego nie masz więcey nad dziesięć tysięcy ¹⁾, bo piechoty wszystkie w Jaworzynie y w Wiedniu y Dragonia wszystka z Panem Dynewaldem poszła pod Krems ²⁾ bronić od czambułów Tatarskich, które się aż w Czechy zagoniły. Tu nie masz tylko kilkadziesiąt piechoty przy armacie a Regiment Dragoński Pana Szulca. Była onegdaj okazya za mostem, który koniecznie Turcy chcieli wziąć, broniła go Dragonia Szulca, gdzie sam generał uderzony y ianczarki, ale nie śmiertelnie ³⁾. Byli tam y ludzie moi kommenderowani, gdzie zginął maior mój Greben, z wielką pochwałą męstwa nieporównanego, bo swoją ręką w oczach Woyska trzebh Turków ściał. Po tey okaziey kazał Xiążę most spalić, y teraz cale żadney communicaciey z miastem nie masz, y żadney wiadomości, co się tam dzieie. Przed kilka dni wycieczkę czyniono z miasta, w którey zginęło Turków półtora tysiąca. Preszpurk przyjął protekcyą Tekielego, o samym zaś Tekielim żadnej tu wiadomości niemasz, gdzie się obraca. . . . Amuniicy y ludzi dosyć jest w Wiedniu, byle-by cuota była, żeby się chcieli bronić. Jakoż chwala tego Generała Sztareberka, kommandanta. Z drugiey zaś strony Turcy mocno atakują, y zaraz przyszedłszy, o sto kroków od contrascarpy szykownie okopali się, y baterye wysypali, z których dzień y noc ustawicznie z harmat do miasta ognia daią. Ztąd WKMcI pomiarkować może, (po niewytrzymaniu takowego szturm) co się stać może. Co naywierniey doniosłszy iestem WKMcI wierney poddany."

Po stanowczém sprzymierzeniu się z Turkami Tökölego, zajmującego całe górne t. j. północne Węgry, po szybkiem owładnięciu przez wojska tureckie zachodnio-południowej części Węgier, w skutek czego ci z magnatów węgierskich, którzy stali dotychczas po stronie cesarskiej (Bathiani, Draskovitz i t. d.) uznali Tökölego królem, słowem: po opauowaniu całych Węgier przez Turków i oblężeniu Wiednia przez

1) W obozie ks. Lotaryńskiego.

2) Posłano ją tam z pod Wiednia 15 lipca.

3) Była to wyżej przez nas wspomniana krwawa potyczka, stoczona 17 lipca przez tylną straż, zasłaniającą odwrót wojsk cesarskich na lewy brzeg Dunaju przez mosty, o których Lubomirski pisze.

armią Kara Mustafy, jedynie przez Szląsk i Morawy była otwarta droga dla wojsk polskich śpieszących na pomoc Austrii i Chrześcijaństwu. Pierwszym zaś celem działań, była odsiecz oblężonego i bombardowanego Wiednia, do którego wałów dotarli szybko przekopami Turcy, biegli wówczas w robotach oblężniczych, a wysadzając minami bastiony, mogli lada dzień zdobyć miasto szturmem.

Ponieważ głównym zadaniem tej pracy jest dokładne przedstawienie przebiegu walnej bitwy pod Wiedniem 12 września 1683 roku, przeto nie będę tu opowiadał dziejów oblężenia Wiednia i dzielnej jego obrony, pomimo której byłaby stolica cesarstwa w połowie września zdobyta, gdyby się odsiecz o kilka dni była spóźniła. Nie będę także opowiadał działań podczas oblężenia Wiednia, armii cesarskiej w polu pozostałej, pod dowództwem ks. Lotaryńskiego i połączonego z nią posiłkowego korpusu polskiej jazdy ks. Hieronima Lubomirskiego. Głównym zadaniem działań tej armii podczas oblężenia Wiednia w okresie od 14 lipca do 3 września było: niedopuszczyć, aby Turcy i Węgrzy zajęli część dolnej Austrii na lewym brzegu Dunaju i Morawie i utrzymać przez to otwartą drogę dla wojsk śpieszących z Polski, Saksonii i Bawaryi na pomoc Austrii i na odsiecz Wiednia. Ważne to zadanie spełniła armia cesarska pod wodzą ks. Lotaryńskiego wśród nieustannych potyczek z Turkami a poczęści i z Węgrami, staczanych od 14 lipca do końca sierpnia; w wszystkich zaś tych bojach brał świetny udział posiłkowy korpus polski pod dowództwem ks. Lubomirskiego z armią tą złączony.

Jednak winienem choć kilka słów powiedzieć o powstaniu, politycznym charakterze i działaniach tego polskiego korpusu posiłkowego. Korpus ten, złożony z dwóch pułków lekkiej jazdy, z pułku dragonńskiego i 400 pancernych, a powiększony następnie kilku chorągwiami później nadeszłemi, liczył 3000 do 4000 żołnierzy; sformowany był w Małopolsce w lutym, marcu i kwietniu 1683 r. na prośbę cesarza Leopolda, za upoważnieniem króla Sobieskiego, a staraniem i w części kosztem marszałka nadwornego ks. Hieronima Lubomirskiego. Pieniądze na zaciąg dostarczał ks. Lubomirski, a głównie cesarz Leopold powiększył części z subsydiów i dziesięcin, przeznaczonych przez papieża Innocentego XI na wydatki wojny przeciw Turkom. Żołd miał być płacony z skarbu cesarskiego po wejściu tego korpusu w granice austriackie ¹⁾. Korpus ten wyruszył w maju 1683 z oko-

¹⁾ Akta z 1683 r. w archiwum ministerstwa skarbu w Wiedniu. W aktach tych jest odpis reskryptu cesarza Leopolda z 14 lutego 1683 r. do hr. Schaffgotscha, prezesa Izby szląskiej, z poleceniem, aby się starał o pieniądze na zaciąg i żołd pułków posiłkowych polskich, które mają być zwerbowane w Polsce przez ks. Hieronima Lubomirskiego z upoważnieniem króla polskiego i w jego imieniu; w razie potrzeby mają na ten cel być użyte dochody szląskie z oddzielnego podatku „na wojnę turecką.“ Do tego listu dołączone było pismo kancelaryi nadwornej z 5 lutego do Izby skarbo-

licy między Krakowem a Żywcem pod dowództwem pułkownika Tetwina, przez Białę, Silciu w dolinę Waagu, gdzie działał wraz z korpusem generała cesarskiego Schultza, a powołany przez ks. Lotaryńskiego pod Wiedeń, przybył tam 11 lipca. Odtąd działał wraz z armią cesarską pod naczelném dowództwem ks. Lotaryńskiego, ale zawsze jako oddzielny korpus posiłkowy polski. Dnia 19 lipca objął nad nim dowództwo ks. Lubomirski, wzmocniwszy go sześciu chorągwiami jazdy polskiej, które przez Otomoniec przyprowadził. Ten polski korpus odznaczył się świetnie, jak wspomnieliśmy, we wszystkich działaniach i walkach stoczonych przez armią cesarską z Turkami, na lewym brzegu Dunaju przez cały czas oblężenia Wiednia. Najważniejszymi z tych walk była zwycięska bitwa pod Presburgiem 29 lipca i krwawa a pomysłna potyczka 24 sierpnia pod Bisambergiem i Stammersdorfem ¹⁾.

wój szlązkiej, rozwijające rozkaz cesarski co do owego zebrania pieniędzy na żołd dla tych pułków polskich, oraz dołączony był wykaz szczegółowy wydatków na zaciąg i żołd szesciotygodniowy dwóch pułków lekkiej jazdy, pułku dragonów i 400 pancernych, które to wydatki wynosić miały 101,000 talarów na zaciąg żołnierzy, a 50,625 fl. na żołd, ogółem 201,125 fl. Lecz następnie w aktach archiwum ministerstwa skarbu nie ma śladu, czy i o ile hr. Schaffgotsche i szlązka izba skarbowa polecenia te spełniły; są tylko korespondenye z tą izbą skarbową o dostarczenie żywności dla korpusu posiłkowego polskiego w czasie jego przechodu na Szlązk. Natomiast znajdują się w archiwum pisma odręczne cesarskie i liczne korespondenye nadworniej kancelaryi z izbami skarbowymi czeską i szlązką o zebranie i przesyłkę 200,000 talarów, które odpowiednio warunkowi traktatu warszawskiego z 31 marca 1683 r., obowiązany był zaliczyć i zaliczył skarb cesarski skarbowi polskiemu dla przyspieszenia przygotowań do wojny przeciw Turkowi (wydatki skarbu polskiego na tę wojnę wynosiły kilkanaście milionów zł. pol., nie licząc wydatków i strat prywatnych), którą to zaliczkę odebrał następnie skarb cesarski z dziesięcin, przeznaczonych przez papieża Innocentego XI na wydatki w wojnie dla obrony Chrześcijaństwa przeciw Turkom. Między innymi cesarz Leopold w piśmie odręcznym z 14 maja 1683 r. do izby skarbowej szlązkiej polecił, aby dla zebrania sumy 200,000 talarów, która, odpowiednio traktatowi, ma być wypłacona skarbowi polskiemu, użył, oprócz dochodów z podatku, „na wojnę turecką,“ także dochodów duchownych z salin, a to odpowiednio do pozwolenia papieskiego. Drugim rozkrytem także z 14 maja do prezesa izby skarbowej czeskiej, hr. Wratysława Mitrowskiego, polecił cesarz obrócić na tenże cel kwotę 40,000 fl., otrzymaną za sprzedane z upoważnienia papieskiego dobra duchowne Janowice w Czechach.

¹⁾ W bitwie pod Presburgiem walczył prawie wyłącznie i zwycięstwo odniósł korpus polski ks. Lubomirskiego, jak świadczą o tém: 1-sze Raport ks. Karola Lotaryńskiego z 30 lipca do cesarza Leopolda, w którym między innymi czytamy: „...mich obligiret hat die Polackhen zu commandiren, Ihnen nachzufolgen, welche den Feindt dergestalten verfolget und in Unord-

Nie zapuszczając się w szczegółowy opis wypadków w tym okresie

nung gebracht haben, dasz derselbe theils gegen die Donau, theils gegen dem Gebührg geflogen; der gröszere Thail Ihrer Armee aber, wie ich vermuthet, sich nach Schiuta retiriret haben müsse. Der Verlust des Feindts Mannschaft ist zwar nicht so considerabel, weil man selbigen nicht hat nachsetzen können und dasz ich nicht gewollt habe, dasz die Polakhen allein Ihnen so weit nachslogen sollen, dasz ich sie nit von den unserigen secundiren khönnte und dasz auch Euer Majestät Cavallerie einer so leichten Reiterei nit hat gefolgen können, haben sie Polakhen den Feindt nit weiter als drei Stunden weit poussiret, wodurch die Türkhen und Rebellen ihre pagage, welche über Tausend Wagen gewesen sein sollen, verloren.'

2) List ks. Lotaryńskiego z 31 lipca z obozu pod Mayereck do króla Jana III, zamieszczony w dziele Daleyraca (v. Deleraca) (który podczas wyprawy pod Wiedeń był często przy królu Janie): „Les anecdotes de Pologne ou mémoires secrets du régné de Jean Sobieski etc.—á Amsterdam 1686,“ i w rękopiśmie Duponta, znajdującym się w bibliotece Raczyńskich w Rogalinie. W liście tym czytamy: „a duce Lubomirsky et omni Officiali et milite Polono, prudenter, fortiter et genuino inclyto nationis polonicae vigore actum sit.“

3) Sprawozdanie dołączone do powyższego listu (patrz „Akta do dziejów króla Jana III,“ str. 219), a w niém ustęp: „Toute la Cavalerie de l'Empereur alloit avec fermeté et joie, mais l'action s'est passéé seule entre les Polonois, qui n'ont rien laissé á faire aux Allemands. On ne pout assez se louer de la fermeté, de la vigeur, et de la conduite de Monsieur Lubomirski et des Officiers et des Soldats du corps qn'il commande.“

4) Notatka w registraturze w archiwum ministerstwa wojny w Wiedniu, zapisana pod d. 17 sierpnia 1683 r., a mieszcząca krótką treść pism odręcznych cesarza Leopolda do ks. Lubomirskiego i pułkownika Tetwina, z pochwałą dzielności i męstwa („valor und Dapferkeit“) tych wodzów i wojska polskiego w bitwie pod Presburgiem.

5) „Relacya potrzeby z Turkami i Węgry pod Presburgiem“ bezimiennego autora, czynnego w téj bitwie, a przechowana w zbiorach Naruszczyca, znajdujących się w bibliotece ks. Czartoryskich w Krakowie, zamieszczona w „Aktach do dziejów króla Jana III,“ str. 203 i następné.

Znaczný także udział polski korpus posiłkowy ks. Lubomirskiego w bitwie pod Bisambergiem, stoczonéj 24 sierpnia przez ks. Lotaryńskiego z wojskami tureckimi pod wodzą baszy z W. Warasdynu nadeszłemi lewym brzegiem Dunaju od Presburga, a wzmocnionemi przez korpus baszy z Erlau, który wyprawiony z armii Kara Mustafy, oblegającéj Wiedeń, przeprowił się przez Dunaj niżej Wiednia i wraz z baszą waradyńskim uderzył na wojska cesarskie, rozwinięte na równinie niedaleko Bisambergu na wschód od Kornenburga. Turcy, rozbici i ścigani aż do Dunaju, stracili kilka tysięcy ludzi w zabitych i utonionych. Sprawozdania o téj bitwie przesłali ks. Lotaryński i ks. Lubomirski z obozu pod Kornenburgiem 25 sierpnia, jak to dowodzi notatka w protokółach registratury w archiwum ministerstwa wojny w Wie-

wojny od 14 lipca do 3 września 1683 r., przechodzę do jej okresu bliżej nas zajmującego. (d. n.).

dniu, jednak nie wiadomo, gdzie znajdują się te raporta. Lecz w bibliotece Raczyńskich w Rogalinie przechowana jest kopia listu ks. Karola Lotaryńskiego, datowanego z obozu pod Kornenburgiem 25 sierpnia do hetmana polnego Sieniawskiego, w którym to liście opisując krótko a jasno tę potyczkę, wychwala waleczność wojsk polskich („la bravour des treupes polonnoises”) okazaną w tej bitwie pod Bisambergiem. Patrz także o tej zwyciężkiej potyczce: „Relation der Victorie, welche die kaysersliche, königliche, polnische und Reichs-Auxiliar-Völker . . . gegen den türkischen Succurs . . . den 15/25 August erhalten haben.” Ta relacja, napisana przez czynnego w tej bitwie oficera niemieckiego, znajduje się w bibliotece miejskiej wiedeńskiej.

Rozszerzyłem się nad świadectwami zasług i męstwa korpusu posiłkowego polskiego pod wodzą ks. Lubomirskiego, gdyż w dotychczasowych opracowaniach dziejów tej wojny tureckiej, jak np. w dziele: „Das Kriegsjahr 1683” przemilczano o wielu czynach tego korpusu polskiego.

PARLAMENTARYZM W ANGLII I IZBA LORDÓW.

PRZEZ

Edmunda Naganowskiego.

Hallam's, Constitutional history of England.

D. Hume, History of England.

Th. B. Macaulay, History of England.

Scott, Essays on Chivalery.

Sir E. Coke, History of the British Parliament.

The Peccage and Baronctey of Gr. Britain and Ireland.

I.

Kiedy dwóch świętych pustelników Tebaidy chciało, razu pewnego, zbadać istotę niezgody i kłótni, jeden z nich, pragnąc to okazać na przykładzie materialnym, położył przed towarzyszem kamień i rzekł:

— Przypuśćmy, bracie, że obu nam potrzeba tego kamienia, obaj go pragniemy posiadać i obaj sobie do niego przysądzamy prawo. Otóż ja, reprezentując stronę jedną powiadam: ten kamień mnie się należy i ty mi go, bracie, musisz ustąpić! Cóż ty na to powiesz?

— Ha, no! — odrzekł łagodnie towarzysz — kiedy ten kamień do ciebie należy, lub gdy ci go potrzeba, to zabierz go sobie, bracie miły i dziękuj Bogu!

Mąż bogobojny niezgody nie rozumiał, że tak powiemy, konstytucyjnie; ani też nie znał jej istoty — bo z istoty swego ascetyzmu, którego podwaliną była posłuszna wiara i wierzące posłuszeństwo, jak z istoty swego powołania, ograniczającego cały kierunek życia do wyznawania Prawdy objawionej — skupił wszelką uwagę około siebie samego i jednego. Nie tak przecież być może z jednostkami, które zakres powołania swego oznaczyły choćby odrobinę szerzej. To rzecz jasna. Nie wchodząc wreszcie w przedmioty kontrowersyi, ani w naturę czynników pierwszo- drugo- i trzeciorzędnych, przekonani jesteśmy, że do końca życia spotykać się będziemy z twierdzeniem i negacją. Bodaj nikomu dowodzić nie potrzeba, że kontrowersya, choćby była i kłótnią, choćby ostatecznie wywołała niezgodę, netylko jest

pożyteczną, lecz i konieczną. O starożytnych sektach akademickich i o ich dyskusjach powiedział Seneka: „Non tam id sensisse quod dicerent, quam exercere ingenia materiae difficultate videntur voluisse.“

Cóż powiemy o fundamentalném znaczeniu stron w państwach konstytucyjnych, od których czynności i wpływu zależy cała maszynerya rządowa danéj społeczności? Bodaj gdzie władzca nawet barbarzyński podejmie rząd swego kraju, nie zasięgając rady czyjéjkolwiek. Rzym, od czasów bajecznych Romulusa, aż do swych dni ostatnich słuchał decyzji stron; czyż nawet z naszych czasów nie ma mężów stanu znakomitych, którzy sławią konstytucyą rzymskiego senatu, jako najwspanialszą puściznę starożytności? Znaczenie zaś tego senatu, jak wszystkich następnych ciał prawodawczych, które z niego wzór sobie wzięły, leży w tém, iż był praktycznie rządem reprezentacyjnym, to jest, że naród cały, lub pewna, liczna część jego posiadała, za pośrednictwem reprezentantów peryodycznie obieranych, ostateczną władzę kontroli, która to władza musi w każdej konstytucyi gdziekolwiek istnieć. Za tém idzie, że naród, lub jego ciało reprezentacyjne musi i powinno być panem całej i kompletnéj kontroli. „Nie potrzeba — pisze Mill — by prawo konstytucyjne dało narodowi tę władzę. Prawo jéj nie nadaje w konstytucyi angielskiéj. Prawo bowiem konstytucyjne w tym kraju nie wspomina ani jednym wyrazem o składzie tak zwanego „gabinetu,“ to jest komisji wykonawczéj, więc i kontroli nad nim nie zaznacza żadnéj. Gabinet ministeryalny powstał w Anglii w początkach panowania Karola II, nie był odpowiedzialnym, nie składał się z mężów, posiadających zaufanie parlamentu, zwano go „kabałą,“ częścią¹⁾, lecz istotnie dlatego, że w pięciu swych członkach reprezentował pięć intryg, któremi król posługiwał się naprzemian, dla sparaliżowania potęgi parlamentu.

Ale gabinet „kabały“ ustąpić musiał z czasem gabinetowi pod każdym względem i najściślej odpowiedzialnemu, a co więcéj: odpowiedzialnemu solidarnie. Niechże dzisiaj parlament odrzuci projekt ministra robót publicznych, gabinet cały, identyfikując istotę swéj powagi z powagą jednego z swych członków, przyjmuje odpowiedzialność i n gremio. Tym sposobem władza kontroli konstytucyjnéj ześrodkowała się w konstytucyjnej większości parlamentu.

Przyjmując w państwach uorganizowanych konstytucyjnie, za zasadę rządu, iż będzie wyrazem zgody ludu (*ανθρωπινη κλισις*) o zgodę tę mu chodzi. Zgody absolutnéj szukać nie będzie; gdyby, szukając, znalazł ją na każdéj pozycji, znakby to był albo najwyższéj doskonałości, lub téż... najuiźszego łotrostwa w społeczeństwie; w obu razach, niepodobieństwa. Powstaje więc pytanie olbrzymiej doniosłości: czy zgoda względna, taka jaka się ujawnia w większości głosów, stanowi i decyduje zgodnie z prawem naturalném; jedném słowem, czy

1) Wyraz „Cabal“ da się złożyć z pierwszych liter nazwisk ówczesnych ministrów: Clifort, Arlington, Buckingham, Ashley i Lauderdale.

można ją uważać jako kryterium sporu? Z pewnością nie! Zgodą zwiemy zabójcze przyjęcie propozycji lub twierdzenia między dwoma, lub więcej stronami. Lecz żeby zgoda była etycznie zupełną, by miała swą pełną wartość moralną, na to potrzeba, aby była doskonałą — assensus ex omni parte bonus. Może się przecież trzech rzezimieszaków zgodzić na okradzenie domu; zgoda będzie zupełną, lecz z pewnością nie doskonałą moralnie.

Mówiąc ściślej do rzeczy nas obchodzącej, nie zaprzeczamy, iż społecznosci samęj się rządzącej, potrzeba zgody doskonałej; téjże zaś być nie może bez poznania i pojęcia wartości przedmiotu, a nadto bez bezinteresowności. Zrozumienie daje wartość moralną propozycji lub twierdzeniu i co za tém idzie: siłę moralną; bezinteresowność stanowi wartość, a względnie i siłę materialną. Obydwa warunki i siły obydwie o tyle się wydatniają w narodach, o ile w nich używają znaczenia moralności i oświata. Nierówny znów stopień moralności i oświaty w masach jednego społeczeństwa, wytwarza niezbędną potrzebę przywódców ruchu ogólnego, nie mówiąc już o przywódcach ruchów i idei poszczególnych. Przywódcy nie są odpowiedzialnymi; niezawsze zawdzięczają swe stanowisko doświadczeniu, nierzadko powodują się ambycją; lecz bez wpływu działać nie mogą: muszą być „popularnymi.“ Nie wchodząc zaś bliżej w to, czy popularność tych osób, które stoją pomiędzy narodem a ciałem reprezentacyjnym, może być miarą ich osobistej wartości i wartości ich zasad, uznajemy sam fakt ich bytu i akcyi za dowód, że stopień cywilizacyi w masach nie pozwala im (i bodaj kiedy pozwoli) ująć bezpośrednio ster swęj własnej reprezentacyi.

A przeto większość parlamentarna w krajach tak wysoko ucywilizowanych i do tego stopnia, że tak powiem, wykwinicie wychowanych w sztuce politycznej, jak Francya, Stany Zjednoczone i Anglia, nie może zasługiwać na miano absolutnie pewnej większości narodowej. Jest ona przedstawicielką swego własnego wpływu, co bardzo wiele znaczy na szali stronnictw, lecz wątpliwęj może być tylko doniosłości moralnej. Mówiąc szczególnie o W. Brytanii i Irlandyi, kładę rozmyślnie nacisk na działalności tak zwanych „organizacyi parlamentarnych“ rozgałęzionych w najrozmaitszych, słabszych dwóch barw głównych odcieniach po wszystkich hrabstwach, okręgach i miastach zjednoczonego królestwa. Organizacye te stanowią jedynie czynnik żywotny stronnictw w stolicach i na prowincyi. One orzekają, one stanowią, one wpływają na wyrok mas narodu. O ile są z jednej strony konieczne, o tyle z drugiej strony, rzetelność przyjęta publiczniego sumienia zniewolona jest uważać działalność ich, jako niebezpieczną w tysiącznych warunkach. Powiemy to zarówno o organizacyach strony jednej jak drugiej: konserwatywnych jak liberalnych; legitymistycznych jak rewolucyjnych.

Działalność organizacyi, około których grupują się istotnie wszystkie wielkie kwestye stanu i pojęcie dobrobytu, lub interesu spo-

łeczeństwa, nie może być wszędzie równą, jak nie może być równą jaką ich liczba, ani ich wpływ. W ogniskach handlu i przemysłu rękodzielniczego, przyjmujących z samej swój istoty i natury, postęp, jako swój sztandar ekonomiczno-polityczny, mniej będzie miała widoków powodzenia, poprostu mniej szansy organizacya zachowawcza. Wpływ klubu liberalnego może tym sposobem być bezustannie na przodzie tam, gdzie klub konserwatywny nie ma pozornie racji bytu. Mniejsza o to, że klub konserwatywny pragnie postępu zarówno jak liberalny! Masy temu nie wierzą; a co najmniej, w oczach ich nie tak samo on pragnie postępu, ani pod tém samym hasłem! W obwodach rolniczych, w miastach uniwersyteckich i katedralnych, żywiących z natury swój do pewnego stopnia instykt zachowawczy, stosunek jest odwrotny. Teorya zachodzi w praktyczną rzeczywistość; jednej od drugiej rozdzielać niepodobna, ale w życiu politycznym jedna drugą często, a nawet rozmyślnie ośmiesza. Póki świat światem, te dwa stronnictwa zachowawcze i postępowe zawsze między sobą ludzkość dzielić będą. Pan Onufry lub p. Eudymion powiedzą: „Lepiej to bywało przed laty!“ Pan Kalasanty lub p. Artur poczieszać się będą że: „Wszystko to będzie lepiej—niebawem!“ Ale tak ci, jak tamci niezbędnie są sobie potrzebni. Wóz konserwatywny stoczyłby się do ciemnej otchłani, gdyby nie posiłkował się, wlokąc swoich pod górę dziejów, wspierającemi go ramionami racjonalnego postępu. A podobnież, bez zachowawczego hamulca, rydwan postępowców rozbiłby się rychło o skały w zbytnim pośpiechu. To więc jest teorya. W życiu politycznym, teże harmonii trudno się dopatrzeć wśród mas ludowych. Zaciekły konserwatysta, zaciekły radykał, zaciekły liberał, z pewnością złym będzie konserwatystą, liberałem, radykałem! Pan Jacek nazwie sąsiada komunistą, a jeżeli, mówiąc z ludem, „ma dobrą głowę“ to cały za nim powiat jeden sąd wyda. Sąsiad w swym powiecie oskarży p. Jacka o spisek na zniszczenie sztuki drukarskiej, i powiat zawyrokuje odpowiednio. Ponad sąsiadami i powiatami stoi kilkudziesięciu mężów, między którymi spór się był wszczął pierwotny. Zwycięstwo jednakże strony jednej lub drugiej zależy od hasła, pod jakim postanowili walczyć i od liczby stronników gotowych w to hasło uwierzyć. *Vox populi, vox Deil...* Nie!... *Vox populi, vox dei* — pisali starożytni, a popularność bożków w ludzie niemniej była problematyczną za czasów onych, jak za dni naszych.

Agitacya polityczna, jaką dziś sam rząd p. Gladstone'a gotów jest zażegnać, grozi jednej części konstytucyjnego ciała prawodawczego W. Brytanii. Opór izby parów wywołał okrzyk—hasło: „Down with the Peers!“ Precz z izbą parów! Hasło to, nie poraz pierwszy podane, używa do pewnego stopnia ogromnej popularności: „As a cry—it must catch well,“ powiedział Russell przed rozruchami nad bilem reformy w r. 1832. W czerwcu tego roku podniósł podobny okrzyk p. Gladstone w izbie niższej, i znowu: Jako hasło musi oddać

dobrą przystęgi! Dlaczego? Bo nikt nie wątpi, ani lord Salisbury, ani prymas anglikański, że izba parów tutejsza potrzebuje reformy. Że parowie pragną zaprowadzić ważne zmiany w konstytucyi swego ciała politycznego, o tém nas niebawem przekonają ich własne wnioski, którym uwag kilka poświęcę pod koniec.

O przyczynie agitacyi, ile że znana jest czytelnikowi z pism codziennych, słów tylko parę powiem, ograniczając się do prostej relacyi. Rząd wniósł był przed blisko czterema miesiącami projekt reformy wyborczej, skutkiem którego liczba uprawnionych do wyborów parlamentarnych, ma się powiększyć w trzech królestwach o dwa miliony i czterysta tysięcy. To pomnożenie wyborców musi za sobą pociągnąć koniecznie nowy rozkład mandatów poselskich, jeżeli ma być zachowany stosunek pierwszych do drugich. Gabinet p. Gladstone'a oświadczył jednakże z góry, że jeden bil tylko przejść mógłby w izbach w ciągu jednej sesyi, że przeto nowy rozkład mandatów przyjdzie pod obrady parlamentu w roku następnym, chyba by nieprzewidziane stanęły na przeszkodzie sprawie cesarstwa. Opozycya przyjęła bil ten w zasadzie, przyjęła go również w drugiem czytaniu, po którym nastąpiły obrady detaliczne całej izby niższej w charakterze wielkiej komisyi. Tu oranżystowscy członkowie, jak Gibson, Plunkett, lord K. Hamilton, starali się ograniczyć projektowaną ustawę do Anglii, Walii i Szkocyi z pominięciem Irlandyi, gdzie napływ nowych wyborców w klasach niższych musiałby zabezpieczyć ogromny wzrost partyi narodowej Parnell'a. Po dość burzliwych obradach opozycya ustąpiła. Z końcem czerwca nastąpiło trzecie czytanie rozpatrzonej w ten sposób ustawy i równocześnie protest opozycyi, żądającej odłożenia projektu do dnia, w którym parlament zapozna się z bilem rozkładu mandatów. Mniejszość opozycyi nie była wszakże zdolną bil reformy wyrzucić. Ztąd, mówiąc w formie oficjalnej, bil ten przeszedł przez izbę gmin jednomyślnie *nemine contradicente*.

Izba parów przyjęła ten sam bil w pierwszym czytaniu, zatwierdzając w ten sposób swą zgodę na rozszerzenie wyborczych przywilejów w narodzie. Po tém pierwszym zaś czytaniu uczyniła to, czego mniejszość nie mogła uczynić w izbie gminu, odrzuciła bil więkzością głosów, jako projekt niezupełny. *Inde irae i* okrzyk: „Down with the Peers!“

Nie mojem jest zadaniem robić komentarze nad tą decyzją izby lordów. Ale dla zadosyćczynienia słuszności zaznaczę argument stronnictwa lorda Salisbury. Jeżeli rząd, uznając konieczną potrzebę wprowadzenia następnie bilu rozkładu, obiecuje go na rok przyszły, jeżeli ważne nie znajdą przeszkody, to opozycya może ze swój strony obawiać się tych przeszkód. Ustawa tegoroczna bez rozkładu, pomnażając liczbę wyborców w okręgach takich np. jakie zależą od olbrzymich wpływów szkoły birminghamskiej, niewieleby pozostawiła krzesel torysom. To jedno. Z drugiej strony i przypuszczając, że ani

sprawy Egiptu, ani Irlandyi, ani nagłe domowe nie zatamują zwyczajnego biegu spraw gabinetu, opozycya wzdryga się dać aprobatę ustawie tegorocznej, zanim się o jej działalność, maszyneryi i całej następnej doniosłości przekona z bilu rozkładu mandatów. Któż jednak upewnić może stronnictwo zachowawcze, że nowy rozkład nie uczyni z tegorocznej ustawy broni śmiertelnej przeciwko jego politycznej egzystencji. „Chcecie—woła opozycya—abyśmy wzniecili ogień dla zgotowania pokarmu. Wszyscyśmy głodni. Ogień—to rzecz dobra i konieczna. Ale czy wy i nasze wiktualia na nim postawicie—na dwoje babka wróżyła! Wolimy więc poczekać, aż przyjdzie do gotowania. Wy macie wodę,—my krzesiwo.

Inaczej rozumują olbrzymie demonstracye, paradyżące ze skwe-ru Trafalgar do Hyde parku! Przeszło trzykroć stotysięcy głosów woła: Precz z izbą lordów! bo w przekonaniu lub urojeniu tych ultrapsychologów politycznego życia narodu, izba lordów jest instytucją wprost wrogą ludowi, złożoną po części z idiotów, po części z gnuśnych pasożytów w najlepszym razie; izba ta jest (słyszymy z beczek i z trybun) gniazdem podłych pijawek, ssących z narodu mienie i honor, zatruwających i uniemożliwiających wszystkie jego najszczytniejsze poloty!

Czém była, czém jest izba parów W. Brytanii i Irlandyi, i jaką sobie sama zapowiada reformę, zapytajmy jej własnych dziejów i jej własnych członków. Między jej własną odpowiedzią a deklamacyami organizacyi znajdziemy rozwiązanie kwestyi.

II.

Początki parlamentu w Anglii sięgają czasów najdawniejszych. Wielkie narodowe wiece znała heptarchia saksońska pod nazwą „Witena-gemote“—czyli zgromadzenie mędrców, które się jednakże zbierały dowolnie, bez powołania królewskiego. Pod hasłem normandzkim, wielka rada była zarazem ciałem sądowniczym, wykonawczym i prawodawczym; stopniowo dopiero jej funkcye sądownicze przeniesione zostały do trybunałów, a wykonawcze do przybocznej rady monarszej. Ślad władzy sądowniczej parlamentu znajdujemy dziś jeszcze w apelacyjnej jurysdykcji izby lordów. W owych czasach, ciało parlamentarne (zwane jedynie radą królewską składało się z większych wasali, a mówiąc właściwiej, z wielkich dzierżycieli koronnych, którzy włości swe trzymali „per baroniam“, cywilną lub świecką i duchowną. Zasada bowiem było systemu feudalnego, iż dzierżyciel każdy obowiązany był stawiać się na dworze swego bezpośredniego zwierzchuika; gdy zaś dzierżyciele „per baroniam“ jednę tylko koronie hołd byli winni, ztąd obowiązkiem ich było stawać przy królu w wielkiej radzie, czyli w parlamencie. Parlament był podówczas jednolity; nie dzielił się na dwa osobne ciała. Pierwszy znak rozdziału i różnicy między magnatami (parami) i szlachtą mniejszą spostrze-

gamy w Wielkiej Karcie króla Jana: arcybiskupów, biskupów, opatów, hrabiów (earls) i większych baronów powoływał monarcha osobnym do każdego pismem; innych zaś dzierżycieli królewskich (tenentes in capite), za pośrednictwem szeryfów i komorników hrabstw ogólnie ¹⁾.

Dzierżycielstwo baronii nadawało więc prawo, przywilej i obowiązek uczestniczenia w parlamencie i dawało dzierżycielowi tytuł barona, czyli lorda parlamentu. Kiedy monarcha nadawał baronowi obowiązek lub tytuł hrabiego, margrabiego, księcia, czynił to osobnym pismem królewskim, czyli dyplomem; ostatecznie i same baronie dyplomu tylko potrzebowały, nie już dzierżycielstwa. W ciągu wieku XIII weszło w zwyczaj, że baronowie mniejsi nie brali udziału w radzie narodowej osobiście, lecz przez swych reprezentantów (locum tenentes). Ale sama zasada reprezentancyi doszła do stałego systemu wtedy dopiero, gdy pozwolono, aby gminy miejskie, które w charakterze korporacyi dzierżyły in capite, posyłały swych przedstawicieli do boku monarchy.

Nie możemy dociec, kiedy właściwie miał miejsce podział parlamentu na dwie izby; lecz gdy z reprezentantami baronów mniejszych złączyli się reprezentanci miejskich korporacyi, dano im wspólnie nazwę „gmin” lub „izby gmin” (House of Commons).

Rychno już przysądzono z władzy królewskiej i sankcyi magnatów, cały wydział finansowy monarchii izbie niższej; za czasów Ryszarda II izba ta zabezpieczyła sobie prawo wyłączne rozporządzania skarbem państwa ²⁾. W miarę, jak wzrastała w potęgę, nalegała

¹⁾ W słynnym tym dokumencie, będącym, jak wiadomo, aktem fundamentalnym swobód i przywilejów Anglii, obiecuje Jan, iż kiedykolwiek zapotrzebuje pomocy lub pieniędzy — „faciemus summonri archiepiscopos, episcopos, abbates, comites et majores barones Regni sigillatim per literas Nostras. Et praeterea faciemus summoneri in generali per vicecomites et ballivos Nostros omnes alios qui in capite tenent de Nobis.“

Że już za panowania tego monarchy nie sami tylko holdownicy koronni zasiadali w radzie narodowej, dowodzi pismo Jana (w r. 15-ym panowania), w którym nakazuje wybór czterech rycerzy z każdego hrabstwa. Oto tekst: „Rex Vicecomiti N. salutem. Praecipimus tibi quod omnes milites ballivae tuae qui summoniti fuerunt esse apud Oxoniam (Oxford) ad Nos a die Omnium Sanctorum in quindecim dies venire facias cum armis suis: corpora vero baronum, sine armis singulariter, et quatuor discretos milites de comitatu tuo, illuc venire facias ad eundem terminum, ad loquendum Nobiscum de negotiis Regni Nostri.“

²⁾ Przed wyprawą przeciwko Ludwikowi IX (1242) wysłał król Henryk III do parów i szeryfów pismo, w którym znajdujemy te słowa: „Archiepiscopi, episcopi, abbates, priores et clerici terras habentes, quae ad ecclesias suas non pertinent, comites, barones, milites et liberi homines pro se et suis villanis Nobis concesserunt in auxilium tricesimam partem omnium mobilium.“ Prawodawstwo należało jednak wyłącznie do parów; gmi-

również, aby potrzebom narodu stało się zadość, zanim zadekretowane będą subsydia na potrzeby rządu i korony. Wpływ parlamentu, lub trafniej: wpływ izby gmin zwiększał się powoli, lecz wyraźnie pod dynastją Tudorów. Potęga ta zagrożoną była ciężko przez militarizm Karola I; skruszył ją zupełnie terorystyczny militarizm Cromwella. Atrybuty parlamentu zaznaczyła dopiero wyraźnie rewolucya r. 1688. W 19 lat później, wskutek unii Szkocyi z Anglią, parlament rozszerzył jednolitą żywotność na całą W. Brytanią; po unii z Irlandyą, ciało prawodawcze przybrało nazwę „parlamentu W. Brytanii i Irlandyi,” którą za dni naszych zmienił hr. Beaconsfield na dumniejszą, „parlamentu cesarskiego.”

Parlament, t. j. obie izby połączone mają prerogatywy następujące:

1) Posiada jurysdykcyą apelacyjną od zwyczajnych trybunałów;
2) może zmienić dynastją, konstytucyą królestwa i konstytucyą swą własną;

3) posiada swoje wyłączne prawa i przywileje, zawarte częścią w aktach publicznych, częścią w tradycyi; do tych należy przede wszystkim maksyma, że wszelka kwestya, odnosząca się do procedury, składu, lub prerogatyw izb, przez nie same tylko może być podjęta i załatwiona. Wybory do izby gmin nie mogą zatem ulegać ankiecie izby wyższej, ani też nie może izba niższa wglądać w prawomoc wyborów parów szkockich i irlandzkich; żaden trybunał pozaparlamentarny nie ma prawa interwencyi między obu ciałami;

4) powaga parlamentu rozciąga się do brytańskich kolonij i posiadłości zagranicznych. Jednakże w zwyczajnym trybie administracyjnym, parlament nie wydaje praw dla kolonij. Jedne z nich otrzymują prawa wprost od monarchy, zasiadającego w radzie (Privy Council); inne mają prawodawstwo swe własne dla rządu wewnętrznego, zależne od sankcyi monarchy i rady, a tylko w przypadkach nadzwyczajnych od najwyższej powagi parlamentu. Najwyższy rząd cesarstwa złożony jest w monarsze, w izbie lordów i w izbie gmin, wspólnie, łącznie i nierozdzielnie.

Monarcha reprezentuje całkowitą i zupełną władzę wykonawczą i powagę sądowniczą. Obowiązkiem jego jest, aby rządził zgo-

ny miały tylko głos doradczy i przyjmowały deocyze izby wyższej. Cf. pismo Edwarda I (1294), nakazujące wybory po dwóch rycerzy z każdego hrabstwa: „Cum plena potestate pro se et tota communitate comitatus praedicti, ad consulendum et consentiendum pro se et communitate illa, his quae comites, barones et proceres praedicti concorditer ordinarunt in praemissis.”

Za panowania Edwarda III parlament zdobył sobie trzy fundamentalne zasady: 1) że król nie może podnosić podatków w kraju bez zezwolenia parlamentu; 2) że konieczną jest, aby obie izby zgadzały się, ilekroć przyjdzie potrzeba zmienić ustawę jakąkolwiek; 3) że izba gmin będzie miała prawo dochodzenia winy w publicznych nadużyciach i prawo oskarżenia radców królewskich, czyli ministrów.

dnie z prawami państwa, za radą ministrów odpowiedzialnych przed parlamentem. W prawodawstwie o tyle bierze udział, że on jeden ma władzę zwołania, prorogacji i rozwiązania parlamentu ¹⁾. Obowiązany jest (od czasu Karola II) zwoływać Izby co trzy lata; ale coroczne egzamina budżetu i jednoroczne zawsze wotowanie zasiłków rządowych, zmuszają go praktycznie do zwoływania parlamentu każdorocznie ²⁾. Monarcha musi być protestantem, choć niekoniecznie członkiem Kościoła anglikańskiego, musi złożyć w izbie parów deklaracją przeciwko Kościołowi rzymsko-katolickiemu, przy obrzędzie koronacyjnym lub poprzednio. Król-wicz katolik nie może być następcą tronu.

Izba wyższa, z charakteru dziedzicznego i arystokratycznego, powściąga prawodawstwo ludowe, o ile ono jest albo zbyt wyłączone, lub też spieszne. Izba lordów może wnosić bile, t. j. projektowane ustawy, wszelkiego rodzaju, wyjąwszy finansowe. Wiemy już, że posiada najwyższą powagę apelacyjną od zwyczajnych trybunałów. Od r. 1672, lordowie duchowni są lordami parlamentu tylko, lecz nie parami państwa. Ich wydział składa się z dwóch arcybiskupów (York i Canterbury) i z 24 biskupów z samej tylko Anglii, zasiadających w imię swych baronii świeckich. Zatem biskupi, których stolice nie są baroniami, lub takowych nie dzierżąc, nie są lordami parlamentu. Do końca lordów świeckich wchodzi:

1) Parowie Anglii, parowie W. Brytanii i parowie Zjednoczonego Królestwa. Jest ich w liczbie ogólnej 423 ³⁾ w chwili obecnej, lecz monarcha może liczbę tę powiększyć dowolnie;

¹⁾ Dwa razy tylko w dziejach Anglii zgromadził się parlament samowolnie: raz przed przywróceniem dynastji Stuartów — i następnie w r. 1688, w charakterze konwenyji rewolucyjnej. Ale dla legalizacji obu zjazdów wydano za Karola II i Wilhelma i Maryi dwa osobne akty uprawniające.

²⁾ Ustawą z pierwszego roku panowania Jorzege I (1714) parlament każdy trwa lat 7, po których musi być rozwiązany. Niepopularność gabinetu, lub śmierć monarchy sprowadzają oczywiście takie rozwiązanie i nowe wybory powszechne.

³⁾ To jest: 4 książąt krwi, 21 książąt (dukes), 19 margrabiów, 109 hrabiów, 25 wice-hrabiów i 245 baronów. Pozwolę sobie nadmienić w tém miejscu, że tytuł baroneta jest poza porządkiem parów i lordów. Noszą go albo głowy starożytnych rodzin szlacheckich, lub też nowo-kreowani. W obu razach jest dziedzicznym i spada na najstarszego syna lub najbliższego członka męskiego rodziny. Głowa rodziny używa przydomku „Sir” par excellence; żona baroneta używa tytułu „lady.” Niższym w randze heraldycznej jest rycerz („Knight”); jest on również „Sir,” ale żona jego pozostaje „Mistress” i tytuł nie jest dziedzicznym. Ludziom (mężczyznom, oczywiście) wykształconym, albo zajmującym wybitniejsze stanowisko w społeczeństwie, dodaje się do imienia i nazwiska przydomek „Esq.” (esquire—kawaler) z grzeczności, ale nie należy już wtenczas pisać przed imieniem nic, a w za-

2) Szesnastu lordów szkockich, wybieranych przez parów Szkocji do każdego parlamentu;

3) Dwudziestu ósmiu reprezentantów parów Irlandyi, wybieranych dożywotnie.

Izba gmin, prócz ogólnego prawa wnoszenia ustaw, ma sama jedna wyłączną władzę dekretowania podatków. Liczba członków zmieniała się często w dziejach. Dzisiaj jest ich 652; mandatów poselskich jest w państwie 658, lecz dwa angielskie i dwa irlandzkie okręgi straciły w bieżącym parlamencie (od r. 1880) swą reprezentacyjną wskutek dowiedzionego im przekupstwa. Rozkład miejsc poselskich jest następujący:

	za hrabstwa;	za okręgi (Borough);	za wszechnioce;	
w Angli i w Walii	187	297	5	razem 489
w Szkocyi	32	26	2	„ 60
w Irlandyi	64	37	2	„ 103
ogólnie	283	360	9	„ 652

Oto w głównych, lecz wystarczających nam zupełnie zarysach całokształt władzy koronnej i parlamentarnej. Poznajemy z niego od razu rażące przeciwieństwo izby parów do izby gmin. Obydwie zachowały coś z tradycyi wieków średnich i coś wzajemnie między sobą wymieniły. Izba lordów pozostaje najwyższą powagą jurydyczną; izba gmin zdobyła sobie najściślejszą kontrolę nad wykonawczeni funkcjami korony. Przedewszystkiem zaś, reprezentanci ludu nie rejestrują już tylko uchwał parów, lecz je po największej części sami wnoszą i przeprowadzają, oczekując sankcyi lordów w formie, a... rejestracji w praktyce. Izba gmin jest wreszcie ściśle reprezentacyjną, o tyle przynajmniej, że jeśli nie moralnie, to urzędowo przedstawia wyraz woli narodu. Izba parów jest dziedziczną i w ogromnej większości i ogromną większością reprezentuje interes kasty. Nie ma w niej wcale reprezentacyi tego pierwiastku w społecznym całokształcie państwa, który z postępem czasu owładnął izbą gmin! Nie ma reprezentacyi przemysłu i pracy. Jeżeli, z jednej strony, interesa handlu, przemysłu, rękodzieł nauki, sztuki i marynarki występują w izbie gmin przed interesami posiadłości ziemskiej, przed potrzebami kościoła anglikańskiego i armii — to stosunek wręcz odwrotny panuje i przeważa w izbie wyższej, gdzie parowie zazdrośnóm patrzą okiem na wszelki objaw wzrostu potęgi materyalnej i moralnej, którójby nie mogli hamować, którójby nie mogli rządzić, która dąży i dążyć konsekwentnie musi do zmniejszenia potęgi ziemiańskiej lordów świeckich na korzyść ogólnych i specyalnych interesów ekonomii współczesnej i do zmniejszenia potęgi materyalnej i urzędowej lordów duchownych na korzyść

dnym razie „Mr.” Piszę to dla tego, że autorowie nasi i inni popełniają najśmieszniejsze błędy w tym względzie. Nakoniec tylko do poddanych W. Brytanii i Irlandyi można adresować w ten sposób. Cudzoziemiec jest sobie Monsieur, Signor, Herr, Pan — stosownie do narodowości.

niezmiernie dziś liczniejszych i głębiej uzasadnionych interesów wolnych kościołów protestanckich.

Biorąc wprzód na uwagę najwyraźniejszy antagonizm w całości kształcie społecznym W. Brytanii, antagonizm położenia do reprezentacji anglikańskiej, widzimy, że kościół anglikański używa bajecznie wysokich dochodów, subwencji i starożytnych fundacji, takich samych (jeżeli tu i owdzie nie daleko bogatszych), jakich używał za Elżbiety i Wilhelma. A przecież Kościół ten urzędowy spada każdego roku do coraz drobniejszej mniejszości w porównaniu z statystyką Kościoła rzymskiego i sekt! Na 35 milionów mieszkańców Królestwa, jest katolików 8 milionów, anglikanów (episcopalians) 6 milionów, a członków sekt innych, (których tu jest przeszło 180), reszta, t. j. 21 milionów. A przecież jeden tylko Kościół anglikański posiada wspańnięte i opróżnione świątynie, obdarzone sownicami, wolne od wszelkich ciężarów! Ten jeden tylko Kościół ma swych w parlamencie dwudziestu sześciu lordów reprezentantów, gdy inne Kościoły ani potrzeb swych zaspokoić nie są w stanie, ani nie mają między lordami duchownymi jednego adwokata swych interesów. Anomalia to obrażająca nie sam liberalizm, lecz prosty zdrowy rozsądek. W obec niej, przyznając muszę, mniej wyraźnie odbijają się przeciwieństwa innego porządku, krępujące do pewnego stopnia racjonalną i słuszną swobodę izby gmin. Nikt mnie nie posądzi o utrzymywanie opinii skrajnej w tym przedmiocie; nie ulega żadnej wątpliwości, że istnienie, powaga i władza izby wyższej są konieczne w każdym konstytucyjnie zorganizowanym społeczeństwie. I nie tylko z powodów wyżej wymienionych, (dla powściągnięcia zapędów izby niższej), bronić jej instytucji pragniemy, lecz głównie i przeważnie dlatego, że w niej samej pozostała dzisiaj jedynie reprezentacja własności ziemskiej, której to reprezentacji coraz mniej widzimy w izbie gmin. W izbie gmin bieg prawodawstwa zależy od kierownictwa przedstawicieli handlu i przemysłu, to jest od kapitału i pracy, ześrodkowanych wspólnie na podstawie handlu i przemysłu. Czyż przedstawiciele interesów rozwoju agronomicznego i rolniczego przemysłu, to jest kapitału i pracy, ześrodkowanych wśród interesów rolnictwa i własności ziemskiej, mają być pozbawieni głosu w prawodawstwie, ich zarówno obchodząc, i obowiązującym? Tém więc, że, jeżeli interesa handlu i przemysłu zarówno z ziemiańskimi wpływają w różnoważnej proporcji na rozwój ekonomiczny i na dobrobyt stanu i narodu, to téż same interesa ścierają się i ścierać się muszą! Jest między nimi harmonia produkcji i silna, słaba jest harmonia pracy; większą się chlubi pracą przemysł rękodzielniczy, górniczy i sam handel; mniej pracuje rolnik oczekujący pomocy przyrody. Większy jest kapitał przemysłu, mniejszy kapitał ziemski; lecz drugi nie zna hazardownych fluktuacji pierwszego. Z natury swój dwójakie te interesa sprzeciwiają się sobie wzajemnie i zawsze tam, gdzie i kiedykolwiek jeden z nich pozyszcze lokalną przewagę. Nie ma upartszych w Anglii torysów nad właścicieli ziemskich

w hrabstwie Lancaster, którego stolica i niektóre parafie przeludniają się robotnikami fabrycznymi; podobnie antagonizm ludności miasta Birmingham do obywateli hrabstwa Warwick.

Reprezentacya więc posiadłości ziemskiej zarówno jest konieczną jak każda inna w ciele prawodawczém. Dla reprezentacyi tój nie ma miejsca w angielskiej izbie gmin, a przynajmniej nie ma go dosyć w obec liczby deputowanych, wybranych z koniecznie większą, liczebną przewagą ognisk przemysłu i handlu. I mniejsza zresztą, w której izbie oni zasięga, byle odpowiadali: 1-sze konstytucyi izby gmin; 2-gie swemu własnemu zadaniu.

Śmieszna by była rzecz, by członkowie izby niższej zasiadali w parlamencie z prawa dziedzicznego; by majorat składał prawodawstwo monarchii w ręce Tompkinsa, dlatego że urodził się przed bratem, nierównie zdolniejszym i godniejszym; by prawodawcy byli z dziedzictwa swego tak dalece wyniesieni ponad „profanum vulgus mortali-um,“ izby bez cienia odpowiedzialności nakładali nań prawa i obowiązki! A taki jest właśnie stosunek izby parów do narodu; stosunek, którego tak długo nie zakłócały swary z izbą niższą, dopóki, w bieżącym mianowicie wieku, interesa handlu i przemysłu nie poczęły się ścierać coraz częściej i głośniej o interesa rolnictwa i posiadłości ziemskiej, dopóki izba parów nie poczęła uczuwać nacisku izby gmin i przeciwko niemu powstawać. Im przeto częstsze i głośniejsze zdarzają się zatargi między obu izbami, tym częściej i głośniej słyszymy o konieczności reformy izby parów.

Powiedziałem wyżej, że reformy tój żądają sami parowie, że czują jój ogromną potrzebę. Czyż mogłoby być inaczej? Czyż najzacieklejszy konserwatysta może nie uznawać konieczności reformy? O zniesieniu izby wyższej parlamentarnej mowy być nie może, to wiemy, mimo ognistych deklamacyi niektórych sekcji radykalnych. Reforma więc sama musi być przeprowadzona stopniowo, a zarys jój taki, jaki się najlogiczniej nasuwa, podałem codopiero: niechże izba wyższa przyjmie do pewnego stopnia konstytucyą niższą; niechże członkowie jój odpowiadają swemu własnemu zadaniu.

Z niebardzo licznych projektów reformy, jakie obiegają po peryodycznych pismach, zwrócę uwagę czytelnika na dwa tylko: pierwszy hrabiego Rosebery, zakomunikowany izbie parów w początku czerwca; drugi zakreślony przez J. S. Milla w jego dziele: „O rządzie reprezentacyjnym“ ¹⁾.

¹⁾ Może nie od rzeczy będzie zapisać tu, dla porównania, skład senatów Rzpltej francuzkiej i Stanów Zjednoczonych. Senat francuzki ulega przewadze izby deputowanych. Składa się z 300 członków, z których część czwartą wybrało Zgromadzenie narodowe dożywotnio. Każdy wakans w tój części wypełniają członkowie, wybierani przez cały senat. Resztę członków wybierają osobne komisye, złożone w każdym departamencie i w koloniach z deputowanych, z radców generalnych, z radców okręgowych i z jednego delega-

Lord Rosebery, należący do stronnictwa whigów ministeryalnych, wykazuje niedorzeczność okoliczności, że gdy izba parów sprawuje wszystkie swe funkcje z udziałem zaledwie trzystu członków, to jest mniejszej połowy liczby ogólnej; w razach nadzwyczajnych zato, kiedy np. chodzi o decyzję większości w ważnych między obu izbami kwestjach ogólnego prawodawstwa, śpieszą do Westminsteru członkowie tak zwani „śpiący“, to jest ci wszyscy, którzy najmniej są uzdolnieni do zabierania głosu, żadnego nie mają doświadczenia, powodują się interesem partyi. Tak biskupi, jak parowie szkoccy i irlandzcy ukazują się w izbie wtedy tylko, gdy ich własne potrzeby konieczne tego wymagają; inni spędzają życie całe zagranicą. Proponuje więc lord Rosebery, aby wykluczyć z izby lordów duchownych; coroczne synody hierarchii anglikańskiej, rządzące Kościołem, mogłyby nadal potrzeby jego przedstawiać jednej lub drugiej izbie za pośrednictwem albo pojedynczych członków, lub też specjalnych *ad hoc* deputacyi. Niechże izba pozostanie dziedziczną; lecz, celem zrównoważenia liczby nie biorących udziału, należałoby zreorganizować izbę, korzystając więcej z przywileju monarchy, to jest pomnożyć liczbę parów i to parów nie dziedzicznych, wyniesionych do godności jużto dla zasług osobistych, już też dlatego, aby reprezentowali w prawodawstwie zawód, w którym sobie wybitne zdobyli stanowisko. Tym sposobem, oprócz posiadłości ziemskiej i arystokracji kraju, zasiedliby w izbie reprezentanci nauki, przemysłu, handlu; doświadczeni z wojskową rutyną i z potrzebnymi armii zasłużeni oficerowie; doświadczeni i zasłużeni admirałowie i reprezentanci marynarki handlowej. Izba wyższa pozyskałaby sobie pomoc mężów wytrwałych i posiadających, obok zdolności osobistych a szeroko uznanych, także zaufanie narodu. Izba zdobyłaby sobie w oczach narodu tę kompetencyą, której brak oburza wielu, a razi wszystkich.

Projekt ten nie poszedł pod obrady, bo bieżąca sesja nie może mu oddać ani reszty swego czasu, ani całej swobodnej uwagi. Wnie-sienie jego dowiodło przecież, że reforma nie znajduje przeciwników między parami. Projekt lorda Rosebery bardzo umiarkowany i słuszny, spotkał oczywiście zapalczywą opozycyą pomiędzy biskupami; potężny zawsze wpływ ich na dworze i w uniwersytetach, broni przywilejów, jakie w charakterze hierarchii duchownej posiadali przed Wilhelmem Zdobywcą. Kompromis pewnego rodzaju zdaje się być koniecznym.

ta każdej rady miejskiej. Zasiadają przez lat 9, a odnawiają się częściowo co trzy lata.

W senacie Stanów Zjedn., używającym przewagi wielkiej nad ciałem reprezentantów, członkowie muszą mieć lat wieku najmniej 30; muszą zamieszkiwać Stan, w którym zostali zamianowani; muszą być narodowości amerykańskiej przynajmniej od lat 9; wybierani są przez prawodawcze izby pojedynczych Stanów; senat odnawia się co trzy lata; mandaty senatorskie trwają lat 6.

Jeżeli skutkiem pewnej zawsze większości, w izbie niższej być musi demoralizacyjna maksyma, iż izba ta może tylko chcieć, aby dopiąć swego, to ta sama maksyma znajduje na każdym kroku identyczne zastosowanie i w izbie wyższej. Z tą przecież ważną różnicą w Anglii, że gdy izba wyższa w nadzwyczajnie rzadkich razach oponuje wyrokom większości popularnej i kieruje się pewnego rodzaju uzasadnioną obawą, to nawet te rzadkie przypadki antagonizmu kończą się zawsze ustępstwem parów i zmniejszają ich konstytucyjną powagę w oczach demokracji, której konwencyonalna ranga i zamożność przestała imponować. Ztąd też nierzadko prawodawstwu tutejszemu brak zupełnie cechy poważnej, chłodnej i bezstronnej refleksyi, a sic volo, sic iubeo staje się coraz wyraźniej aksjomatem tej „popularnej“ większości, której odmówiliśmy z góry charakteru niezbitcie moralnego. Braki zgromadzenia demokratycznego, reprezentującego ogół publiczności, są brakami téjże publiczności; brak specjalnego doświadczenia i wiadomości. Należałoby zatem zgromadzenie to złączyć z ciałem, którego charakterystyką byłoby doświadczenie i nauka. Jeżeli jedna izba przedstawia uczucia popularne, druga winna przedstawiać zasługi osobiste, dowiedzione służbą publiczną i wzmocnione osobistém doświadczeniem. Jeżeli jedna jest izba ludu, druga niechże będzie izbą mężów stanu.

Projekt Milla, odgrzebany z zapomnienia i dyskutowany po klubach i redakcyach, składa izbę wyższą z następujących pierwiastków: Z członków komisji prawodawczej, którzy należeli do komisji reformy izby lordów; z byłych prezesów i sędziów trybunałów; z sędziów komisji sądowniczych, którzy zasiadali przez lat pięć; z byłych ministrów stanu i członków gabinetu poprzedniego; z byłych wodzów armii naczelnych i oficerów armii i marynarki, którzy za zasługi swoje byli otrzymali podziękowania parlamentu; z byłych wice-królów Indyi i Kanady i z byłych gubernatorów kolonii, którzy urząd swój dzierżyli przez lat dziesięć; z byłych podsekretarzy stanu służby dziesięcioletniej. Wyłącza Mill z senatu pisarzów (literatów): „zasługi bowiem ich są względne i nierównie uważane.“

Oto projekt filozofa, mistrza utylitaryzmu Benthama. Nie można mu odmówić doskonałości; lecz pytać można, po jakich stopniach przeprowadzi go prawodawstwo i kiedy?

Mamy już dowody gotowości parów do zreformowania konstytucyi swego ciała; nie wątpimy że reforma przyjdzie do skutku w bardzo rychłym czasie. Jakakolwiek zaś będzie, nie możemy tracić z uwagi przedewszystkiém rozwoju konstytucyi izby niższej, ponieważ od jej charakteru zależy równie stanowisko senatu, jak i cały charakter rządu reprezentacyjnego.

Londyn, we wrześniu.

OSTATNI POGANIE.

USTĘP Z HISTORII FILOZOFII STAROŻYTNEJ.

NAPISAŁ

Wojciech hr. Dzieduszycki *).

III.

Pogaństwo klasyczne przybrało postać ostateczną, stałą, dogmatyczną. Nauka nowoplatoników była tak konsekwentnym wykończeniem nauk wygłaszanych po tajemnicach świętych w postaci bardziej obrazowej i symbolicznej, a po szkołach w sposób wyraźniejszy, ale zarazem mniej dostępny dla ogółu, że całe pogaństwo wnet przyznało się do niej. Kapłani wszystkich najrozmaitszych bóstw po różnych prowincjach uznali, że nowoplatonicy spisali tylko wspólną wiarę. Kapłani Egiptu i Syrii powiedzieli, że Tot albo Quaes nieinną naukę podał przodkom pod figurą, a z wielką dumą wyznawali, że to owe poczarne bóstwa, które czczono po ich świątyniach były symbolami wielkich niewidomych bogów, najbliższej naczelnj trójjedni. Kapłani greccy wiedzieli już oddawna, że trudno wierzyć naprawdę, aby bogowie byli spełnili wszystkie dziwne uczynki, które o nich opowiadali poeci, policzyli te sprawy między baśnie. Teraz z radością się dowiedzieli, że to przecie prawdziwe były sprawy, i to sprawy duchów, zamieszkujących dolne okolice nieba; nie bogów wprawdzie, ale demonów, noszących te same miana co bogowie. Powyżej i dalej przebywali w nieskalanym majestacie Zeus prawdziwy i prawdziwa Hera, Afrodite, Hermes, Chronos i Ares, Apollo i Artemida, po największej części dla oka ludzkiego widome w postaci planet, najjaśniejszych gwiazd. Prócz tego znaleźli potwierdzenie dawnj swojjej czci

*) Dokończenie — patrz zeszyt za m. wrzesci b. r.

dla bohaterów założycieli miast, którym nowa nauka tak znakomite miejsce wyznaczała. Wreszcie ludy dalszej Azji znalazły także zatwierdzenie swoich wierzeń we czci światła i ciał niebieskich, archaniołów i aniołów, którym od dawien dawna jedyne wznosili ołtarze. Wszystkie tedy dotąd niezgodne wiary, objęte granicami państwa rzymskiego ucieszyły się jawną teraz zgodą nauki przodków. Wszystkim przyklasnęły szkoły filozoficzne, które niegdyś tyle wątplenia rozsiały po świecie, a mędrzec grecki się cieszył tém, że gdy zechce wzbije się ponad wielkie bogi, spojrzę oko w oko wielkiej Trójjedni, w niej zatonie, z nią się zjednoczy, unosząc się wysoko ponad wszelką rzeczywistością, ponad czasem, ponad przestrzenią i przemiennością. Wszystkie tedy duchowne potęgi świata uznały naukę Plotyna; mnogie starodawne świątynie ucieszyły się znów odwiedzinami liczniejszych gości, i kiedy wznoszono ofiary, albo gdy czarodziejskie formuły wypowiadano, ofiarom i formułom wierzone raz jeszcze.

Świat był przecie jednością misterną w bóstwie, Nic się nie mogło nigdzie zmienić, aby nie wywołało zmiany w całym stworzeniu, aby się nieureczywistniła w czasie nowa rzeczy postać, aby nowe zdarzenia się nie wychyliły z łona wieczności. Myśmy wielce ograniczone i materyalne istoty; znamy małą tylko część koniecznego związku rzeczy, i nasz umysł niesprosta poznaniu głębszych sprzężyn świata. Tak jak zwierzęta nie mogą zrozumieć czynów ludzkich, tak ludzie dzieł Bożych niepojmą, niepojmą spraw nieco tylko wyższych duchów, bohaterów i demonów, a nawet potęg i dusz umarłych. Świat wyższy jednak dba o ludzkość i chce z ludzkością utrzymać wieczne obcowanie. Górne przeto duchy mnogie prawdy objawiły ludziom. Nauczyły ich ofiar i obrzędów, które w sposób dla nas zgoła niepojęty oddziałują na świat bogów, archaniołów i aniołów, demonów i bohaterów, mocy potęg. Nauczyły nas słów dziwnych, za pomocą których można przemienić porządek natury bez najmniejszego z naszej strony wysiłenia. Nauczyły wróżbiarzy jak mają po locie ptaków, po świecie błyskawic i po wnętrzościach oliar poznawać przyszłość. Słowem nauczyły wielkiej czarodziejskiej sztuki. Kto jęj przeczy, ten nad miarę wywyższa i poniża zarazem rodzaj ludzki. Podwyższa ludzkość ponieważ niesłusznie mniema, że nie ma rzeczy, którychby umysł ludzki bez boskiej pomocy nie pojął, i ponieważ przeczy dumnie temu, czego nie rozumiemy. Poniża nas, ponieważ chce nam wydrzeć moc, którą bogowie nam użyczyli, a za pomocą której miał czarodziej albo niewiasta czarownica mogą zakląć przyrodę całą widomą, albo nawet niewidome bóstwa.

Ofiary i wróżby nietylko kapłańskim były zadaniem. Mąż stanu i wódz także winni byli w państwie rzymskim zabijać wołu, owcę i wieprza na cześć Jowisza największego i najlepszego; oni także przed bojem zaglądali do wnętrzości zwierząt, przed radą baczyli, czy drób zajada ochoczo rzucone ziarno. Państwo rzymskie a świat cywilizowany to były dwie rzeczy, stanowiące jedność zupełną i nie-

rozerwaną. Skoro tedy nowa nauka o magii wróciła owym starożytnym obrzędom religijne znaczenie, stało się to znaczenie uniwersalnem. Kad świata odtąd zawisł od dobrej lub złej wróżby, od szczęśliwie dokonanej ofiary. Cesarz stał się naprawdę bogów najwyższym arcykapłanem, całej ludzkości ofiarnikiem; geniusz Romy a jedyne jego prawa i cywilizacja nie różniły się od siebie, a pośród bohaterów naczelné miejsce zajęli bohaterowie i opiekunowie miasta Rzymu. Majestat imperyi był przez nową naukę podwojonym; Rzym wstąpił między prawdziwe bogi; na seryo mówiono o bóstwie imperatora, w którym przybywała archanielska przynajmniej moc władająca zbiorową ludzkością. To też urzęda gorliwie opiekowały się nową nauką; cała władza potęg politycznych wnet zaciężyła na szali nowoplatonizmu, a gdy szczęśliwi wodzowie Aurelian i Dioklecjan na chwilę przywrócili, choć w ciasniejszych granicach jedność państwa, uczynili to w imię wszechwiednego słońca i nauki neoplatonistów, której służyli ile im tylko sił stało.

Zewnętrzne okoliczności były tedy po temu, aby ta nauka panowanie swoje rozciągnęła uad ludzkością całą, a przynajmniej nad zachodnią częścią starego świata. Najpotężniejsze państwo wyznawało ją stanowczo, ogromne skarby świątynne służyły jój obrzędowi i jój celowi, a ogromne przestrzenie imperyi Rzymskiej i najludniejsze świata kraje były nakryte tłunem niezliczonym ciosowych, marmurowych, złożonych świątyń o mozaikowych posadzkach rzymskich, jońskich i doryckich kolumnadach, połyskujących kopułach; framugach inkrustowanych drogiemi kamieniami, posągach przedziwnej roboty i mnogim kapłaństwem. Nietylko zewnętrzna wspaniałość świątyń mówiła do gminu o wielkości starych bogów; wszystkie prawie były obwiane duchem starożytności, i choć te mury może dźwignęli dopiero Hadryan, Karakala, Aurelian albo Dioklecjan, wiedzieli wszyscy, że na tém miejscu od niepamiętnych czasów, jak mniemano od początku świata, czczono bóstwo opiekuńcze miejsca; urok wieków otaczał tedy świątynią. A jeśli tego uroku nie stało przemawiał za czią przykład: pretor, prokonsul, sam imperator, ze schylonem czołem wchodził na miejsce święte, i pan tylu milionów padał kornie na oblicze przed bóstwem czczonem pośród świątynnej celi; z pokorą otaczały świątynię wojska niezliczone, słano do niej część skarbów zdobytych na wrogu. A jeśli kto czulszy na istotę uczuć religijnych nie dawał się przekupić czią urzędową, upatrując w niej działanie politycznych tylko motywów, mógł się przekonać, że ludzie o wyższym umyśle, filozofowie, którzy zdawali się nie dbać o dobro ziemi, dnia całe spędzali klęcząc przed ołtarzem na kamiennéj posadzce. Lud patrzył ze zdziwieniem na starców zapatrzonych nieruchomem okiem w bóstwo. Ręce wychudłe spoczywały na kolanach, długa broda w piersi; czasem zdawało się, że oddech w piersi mędrca ustawał. Czasem mimowoli do życia przywołany mruczał półgłosem jakieś dziwne wyrazy i przymuszał się znowu do zbożnego osłupienia.

Gmin tych mędrców się lękał jako czarodziejów. Szeptał sobie o nich, że rozmawiają z demonami, a tém większą miał cześć dla ich nauki, że jój nie rozumiał, że jój zgoła nie znał. Gdy mędrzec wychodził ze świątyni garnął się do niego gmin, pytał o przyszłość, opowiadał sny, które mędrzec czasem tłumaczył wedle starych ksiąg z uśmiechem politowania dla tych, którzy dbają o tak nędzne rzeczy jak los przyszły ziemskiego żywota. Wiedziano powszechnie, że dziwne rzeczy działy się czasem w domu mędrca. Tam w głębi była starannie zaciemniona komnata, którą zalegały tajemnicze księgi; po rogach tej komnaty stały posągi starodawne bóstw, nie piękne, najczęściej assyryjskiej lub egipskiej roboty, symboliczne, groźne i poczarne. Na stole leżały dziwne matematyczne instrumenta; przy ścianach stało kilka łożnic zastanych poduszkami i kobiercami; w naczyniach płonęły barwne ognie zaprawne woniami Arabii. Mędrzec o białej brodzie, surowej i bladłej twarzy, z głową nakrytą płaszczem siedział na jednej łożnicy w bieli. Przypuszczano do niego wybrane grono. W środku komnaty zawiązał się w kłębek wąż święty. Kilku chorych obojęd płci spoczywało na łożnicach, oczekując cudownego wyzdrowienia.

Czas jakiś rozmawiał mędrzec o mocy bogów, o najwyższej trójjedni i o prawdziwej cnocie. Nie wszystko rozumieli słuchacze, wiedzieli tylko, że domaga się zupełnej wzgardy rzeczy doczesnych, najbezwzględniejszego poskromienia zmysłów, jałmużny dawanéj z obowiązku bez czułych wzruszeń litości, służby ojczyzny, t. j. państwa rzymskiego, z obowiązku bez utąd ambicyj, postów, nabożeństwa i bezżennego życia. Co więcej, wiedziano, że mędrzec własną naukę ściśle wykonuje bez litości dla siebie, i że w niej znajduje szczęście jakieś dla ogółu niepojęte i otaczano mędrca tém większą czcią.

Otworzyły się drzwi jakieś w górnej części komnaty. Powoli, jakby chodząc po powietrzu, spuszczała się na posadzkę dziewica jakaś o długich rozpuszczonych włosach w bieli, wiotka, wątła, o wielkich, czarnych, połyskujących oczach. Na nią miała się okazać moc bogów nieśmiertelnych. Wąż witał ją podnosząc głowę i sycząc. Pokłoniła się mędrce i siadła naprzeciw niego na małym stołku. Mędrzec utkwiał w nią wzrok przenikający, nieruchomy. Patrzył tak w nią przez chwilę; potem wyciągnął ku niej długie ręce; wyciągnął je i wnet cofnął i znów wyciągnął i znów cofnął. Zaczęła ciężko oddychać, wnet spuściła oczy. Teraz zaczął jój mędrzec udzielać krótkie rozkazy, które wykonywała podobna do posłusznego cienia. Wstawała, chodziła, kłękała, widocznie cudzą tylko wolą poruszana. Wnet osadził ją blady mędrzec znów na stołku. Obecni stawiali pytania, dotyczące nieobcych, albo własnego losu, a zakłęta odpowiadała na nie powolnym głosem, podobnym do głosu, mówiącego przez sen. I to się skończy. Czarodziej przystąpi do dziewicy, jeszcze kilka razy pociągnie po niej rękami, a ona padnie na znak, jakby piorunem rażona. Twarz jój pobleśnie śmiertelnie, oddech się zaprze. Wolno teraz wszystkim do niej przystąpić; i najwierniejszy się przekona, że

wzrok mędrca ją zabił — co więcój odrętwił tak, że i siłą nie zegniesz jej ręki. Strach ogarnął widzów; czują grozę bogów; niewiasty już się niepokoją o los zabitéj, — gotowe ją oplakiwać. Ale kto ma moc zabijania wzrokiem, ten także wskrzeszać umie; mąż święty pochylił się znowu nad umarłą i kilkakrotnie po niej pociągnął ręką. Ciało zaczęło się konwulsyjnie miotać i wydawać dziwne głosy; nareszcie rozwarły się powieki, rozwiązały usta; zakłęcie opuściło dziewczę. Pokłoniła się raz jeszcze mistrzowi i odeszła zdrowa i żywa. Widzowie do głębi wstrząśnieni, uwierzyli bardziej, jak kiedykolwiek w moce nadprzyrodzone. Mędrzec przystąpił teraz do chorych; przesywał ich wzrokiem, dotykał się ich, niejednego uzdrowił cudownie. Wiara uzdrowieni wychodzili, błogostawiając ulubieńcowi bogów.

I nietrudno było bogom służyć. Cnota była dostępną tylko dla wyjątków, którzy już mieli przekroczyć próg materialnego istnienia i stanąć pośród wieczności. Od gminu bogowie nie domagali się cnoty. Dość było, gdy gmin spełniał rozkazy konieczności. O zbawieniu wiecznym dla niego nie było mowy; nie było prawie mowy o służbie prawdziwych wielkich bogów. Dobrze ogół śmiertelnych robił, gdy służył demonom i bohaterom, którzy na ziemię przybywają w tamtych zastępstwie, przybierając tamtych imię i nakazując miłe sobie obrzędy. Bądź cobądź, obcując z demonami, zbliżysz się do bogów nieśmiertelnych i niezmiennych. Należało się tedy spełniać demonów wolę, a ile trudną była cnota prawdziwa, o tyle łatwą była bogobojność powszednia. Demonowie lubili pieśń i wino i rozpustę. Z samych siebie śmiać się lubili. Demon, który na niższym Olimpie nosił miano Zewsa czy Jowisza, rad był, kiedy wołu wieńczonego kwieciami jego przezywano mianem i kiedy go prowadzono po ulicach miasta, płasając, podskakując, klaszcząc popijanemu. Nie gniewali się demonowie za to, że z nich się w głos naśmiewano w teatrze; i owszem, śmiech taki był im miły. Miłymi były pijane ludu biesiady, kiedy rozdawano jadło i napój między tłumy w imię Cezara, albo w imię arcykapłana jakiejś świątyni. Gdy noc już zaszła, wszczęta się przy odgłosie fletów i bębenków święta zabawa, zaczęły się dziwne podskoki i krzyki, wyprawiane przy świetle pochodni. Demonowie kazali wtedy wstydu zaniechać; Afrodyta gminu zajeżdżała między tłum świąteczny. Ludzie rycieli, goniąc po nocy. Młodzieńcy czuli w pobliżu moc Bachusa i Cybeli. Porywał ich płas, porywał ich tan; skakali w powietrze nadprzyrodzoną siłą miotani do kozłów podobni, głowami bili się nawzajem w pierś; pieniły im się usta, toczyły oczy. Rozwarłszy ramiona, kręcili się na miejscu z zawrotną szybkością. Wreszcie chwyтали za noże i własne krajali ciało, nie czując bólu ran. Młode dziewczęta rzucały się na nich i piły ciepłą krew, gdy miała buchnąć z ciała. Czasem wśród szauły porwały młodzieńca w powietrze i żywego rozszarpały na drobne kawały. Tak się objawiała moc demonów na ziemi, starodawnym świętym obyczajem.

A jeśli kto nie czuł się przyciągniętym ani przez górne spekulacje

cye mędrców, szukających dumnie bóstwa, ani przez szalone uciechy gminu i rozpustne jego nabożeństwa, jednak działał roztropnie, jeśli wznosił owe ofiary, o których zapewniano, że odwracają gniew bogów, że sprowadzają odpuszczenie grzechów najcięższych, że przyczyniają się do urodzaju i do pomyślności państwa. Kto te obrządki zaniedbał, ten bywał potępionym przez współobywateli, którzy muiemali, że sprowadza na wszystkich klęski przez swoją bezbożną oziębłość; władze widziały w nim złego obywatela; sam imperator bogobojny nie wiedział, czy czasem niedostatek ofiar nie zniszczy mocy zaklęcia władającego światem? czy czasem złe myśli bezbożników nie podkopują niepojętym sposobem potęgi państwa? czy Rzym nie runie i czy wraz z nim nie runie świat, ponieważ są w państwie ludzie, którzy przepisanych obrzędów nie pełnią? Na nic się nie przyda, że zresztą praw słuchają jeśli się nie kwapią do ofiar; na nic się nie przyda, że się dzielnie potykają w boju, jeśli nie słuchają wróżb świętych. Mącą magiczne moce, które podtrzymują imperium romanum; na zgubę narażają i bogów i ludzi; bo kto wie, czy cały gmach istnienia nie runie, czy gwiazdy nie pogasną, czy demonowie i anieli, archaniołowie i bogowie nie spadną do pustej otchłani, gdy zostanie przerwane tajemnicze duchów obcowanie, którego podstawą od wieków przepisane obrzędy. Gdy tedy Nazareńczycy, czy téż, jak ich pospolicięj zwano, chrześciance, stronili od świętych obrzędów i zabaw, nazywano ich wrogami bogów i ludzi. Byli to wrogowie ustanowionego porządku rzeczy, niebezpieczni iście bezbożnicy. Nie uznawali bóstwa rzymskiego imperatora, choć imperator rządził od Wschodu po Zachód najdalszy i choć na jego skinienie mógł chrześciance pójść do dalekich kamieniołomów i choć krnąbrnemu mogła spaść głowa z karku. Nie pojmowali, że to musi być prawdą, czemu przeznaczanie dało przewagę, że szaleńcem, potępienia godnym, kto się przeciw przemocy buntuje. Sami powtarzali, że każda władza, ustanowiona przez Boga, a nie chcieli słuchać imperatora, wnosząc mu starodawnym obyczajem nakazane ofiary, a wymawiali się śmiesznie, że nie mogą stworzeniu oddawać cześć, przynależną Stworzycielowi.

Iście na żadne nie zasługiwali względy. Szaleńcy ci myśleli, że ludzie mogą i powinni oddawać wprost cześć najwyższej Trójjedni, Bogu, którego jedynie wyznawali; niedorzeczni marzyciele nie chcieli pojąć, że obcowanie z Najwyższym i poznanie prawdy i cuota wszelka są tylko udziałem kilku uprzywilejowanych, że prawdę trzeba chować przed gminem, który ję nadużyć gotów, że sztuka rządu zależała na tém, aby gmin utrzymać w zabobonie i ciemności, aby hołdować jego rozpasanym namiętnościom i niższym instynktom; że mędrzec pozostawia tłum wśród grzechu i upodlenia, dla których one jedynie stworzone a sam się upaja widokiem słonecznego blasku potęg rządzących, albo obdarzając gmin wzgardą wpatruje się w rozumowego, nieczułego, zimnego, choć świetlanego Boga. Nie zrozumieli znaczenia hierarchii wielkiej, którą ustanowili neoplatonicy na niebie, i nie

chcieli poznać, że sami, stojąc u najniższego szczebla, winni milczeć i słuchać i winni się upadlać, skoro tego chciały demony, co zastępowały niebieskich bogów na ziemi. Wszak mędrcy, którzy czasem w twarz patrzeli najwyższej trójjedni, wszak młodzi ziemi dostojnicy, choć mądrzy i dobrzy byli zapewne, skoro byli potężnymi, nie gardzili czasem szalem pijanym, dziką rozpustą i zezwierzęceniem, skoro tak się nadpowietrznym potęgom podobało; wszak w Egipcie kłaniali się zwierzętom, nie chcąc razić tam ustanowionego prawa; dlaczegóż tedy oni sami jedni chcieli być cnotliwsi od mędrców, dumniejsi od prokonsulów i bliżsi bóstwa od kapłanów, płatnych przez Cezara? Zkądże to zuchwałstwo?

Doprawdy, przykro było słuchać ich bluźnierstw! Nie pojmowali tego, że zupełna, nieoderwana nieczułość znamieniem wszystkiego, co piękne i doskonałe. Helleni wiedzieli, że mędrzec prawdziwy mało się troszczy o błędy i biedy gminu, żyjąc sam dla siebie i sam w sobie; że bogowie o tyle bardziej nieczuli i bardziej samolubni, o ile doskonalsi; że Bóg Najwyższy, wielki trójjedyny niebios władca, nieosobista potęga, która była przed czasem i jest poza przestrzenią, odzwierciedla się tylko radośnie i obojętnie we wszechświecie. Helleni także kazali mędrcom pełnić nieubłaganie ciężkie obowiązki; kazali mu być dobrym obywatелеm, dobrym panem, dobrym ojcem, mężem i synem, a w razie potrzeby dobrym niewolnikiem. Ale rozkaz ten wydali nie gwoli czego innego tylko na to, by mędrzec mógł mędrcom pozostać, dbałym tylko o własną cnotę, na rzeczy zewnętrzne zgoła obojętnym. Mędrzec nie dbał o tych, którym robił dobrze; dbał tylko o siebie i o to, by go słabość żadna i chuć żadna nie skusiły na bezdroża, z których nie ma powrotu i nie spowodowały do upadku, po którym nie ma przebaczenia, po którym człowiek staje się głupcem tylko i niewolnikiem namiętności. Mędrzec już miał naprawdę tylko obowiązki w obec siebie; obowiązki w obec drugich nałożone nań po to tylko, aby miał pole, wśród którego mógł się hartować do cnoty zgoła bogom podobnej, nie mając litości ani dla siebie ani dla drugich. Gdy to się wydało słusznym podług praw, sam milcząc zniósł torturę; ale gdy tego prawo ojczyste żądało, obojętnie patrzył na zagładę całego narodu. Był twardy i zimny jak stal. Tém bardziej nieubłaganem było bóstwo każde, które władało światem pięknym, pełnym śmierci i narzekania jednostek. A jeźli mędrzec mówił o boskiej miłości, rozumiał przez to tylko wielką żądę poznających duchów a nie jakieś zmiłowanie się Boga nad stworzeniem, któreby tylko jego piękność okalało i jego doskonałość niszczyło.

A ci chrześcijanie swoje bluźnierstwa tak prowadzili daleko w zuchwałości iście bezdennej, że twierdzili, że w skutek miłości Boga dla ludzi, sam Rozum przedwieczny, samo Słowo Boże, sam Syn przedwieczności początkiem przez Ojca poczęty, zstąpił z niedostępnych błękitów pomiędzy ludzi, że przebywał z nimi długo, zrodziwszy się z niewiasty i to z żydówki i to w domu biednego nie uczonego stolarza.

A co gorsza Syna tego Bożego, który zestąpił z pomyślanego tylko świata, w którym przebywał stokroć wyżej od bogów niecielesnych i od bogów widomych, jaśniejących na sklepie niebieskim, bynajmniej nie na to, aby dać ludziom przykład nieskończenie pięknego i zupełnie niczym niewzruszonego mędrca. Wychował się w ubóstwie; wiódł życie tułaczce; był nad wyraz czuły dla nędzy wszelkiej ludzkiej; chętnie przedstawiał z grzesznikami; płakał, współczując z gminem i nawet sam płakał nad sobą; mawiał ludziom, którzy ze wszystkiemi pozostawali w mocy ograniczonej materyi, że ich grzechy odpuszczono i pospolitego łotra, który do nędzy żywota swego dodał jeszcze żal bezrozumny, zaprosił do rajy wiekuistego. Ale niedość i na tém jeszcze. Słowo, które powinno tylko siebie oglądać pośród wiekuistej szczęśliwości, zaniedbało ten jedyny swój obowiązek, aby na ziemi przyjąć śmierć najhaniańszą, którą zwykli karać łotrów i zbiegłych niewolników. Sokrates umarł, nie chcąc powiedzieć nieprawdy; Kato skonał, nie chcąc ugiąć karku przed obcą wolą, a Chrystus — o zgrozo! — umarł na krzyżu przez litość dla motłochu. I ci szaleni chrześciance myśleli teraz, że przez mękę Chrystusową cały gmin ludzki nieubłaganie ugrzęzł w więzach materyi, może być zbawiony, że cały może się wznieść do poznania prawd wiecznych, że może zaniechać poziomej rozpusty, że może się wydobyć z pod grubej powłoki nieuctwa, że może stanąć na równi z bogami, z aniołami i archaniołami, gdzieś powyżej demonów, jaśniejąc w synowstwie Bożem. I ci ludzie występni chcieli w obliczu imperatora, mędrców i senatu, cały gmin podły i nawet barbarzyńców wezwać do wspólnej miłości i łącznego braterstwa i w głos bajali o jakiejś nowej Jerozolimie, w której miał Chrystus królować zamiast Augusta, w której wyżyny miały być poniżone, a doliny wywyższone, w której pierwszy miał być ostatnim a ostatni pierwszym, w której zgoła miał być do góry nogami przewrócony święty ład światowładnej i boskiej rzeczypospolitej. Tego miana bowiem nie przestało nosić Imperium Romanum.

Słusznie tedy i bardzo słusznie mścili się na chrześcianach demoni zarówno i bogowie. Kiedy lud pisał długo i śpiewał, ryczał i skakał, opętany świętym szaleńcem demonów, powstawał często krzyk wielki przeciw chrześcianom. Ze wściekłością rzucali się wtedy lud bogobojny na tych bluźnierców, podpalał ich domy, taranami walił ich świątynie, wdzierał się z krzykiem do napały zburzonego kościoła; tam ściągano kaptana za brodę ze stopni ołtarza i wleczono go przed trybunał cesarskiego urzędnika, co w todze siedząc, sądził nie już w imię demonów, ale w imię bogów niezmiennych. Sędzia brał starca przed tłumem w obronę; oddawał go pod strażę; kazał jeszcze więzić innych głośniejszych chrześcian w mieście; odbywał z nimi jawną sądową rozprawę, pytał się ich, czy chcą ofiarować bóstwu Augusta i bogom opiekunom rzeczypospolitej. Jeżeli więźniowie krnąbrną odpowiedzą raz jeszcze zatwierdzili swój bunt bezprzykładny, spełniało się nieosobiste prawo; buntownicy szli na wygnanie albo w więzienie,

krnąbrniejszych czy raczej niebezpieczniejszych uwodzicieli czekała śmierć odebrana publicznie. Cała moc Rzymu kazała ofiarować bogom; była to moc dotąd nieprzewyciężona, któż tedy mógł przeszkodzić powszechnemu panowaniu nauki starodawnej, ujętej w kodeks i w prawo przez Plotyna, Porfiriusza i Jamblicha?

Rzecz dziwna; rzecz wytłomaczona tém chyba, że przed Jamblichem brakło pogaństwu silnej organizacyi, że przed Plotynem brakło mu dogmatycznej zwieżości. Dziwaczny zabobon Nazareńczyków miał wielu wyznawców; nigdzie naprawdę wyznawcy Chrześcijaństwa nie stanowili większości mieszkańców, ale w różnych okolicach państwa, a mianowicie w Galii i w Hiszpanii, w Syrii i w niektórych okolicach Azji Mniejszej, duch buntu i nieposłuszeństwa opanował młodzież i niewiasty, i wszystkie prawie warstwy wyższe i średnie społeczeństwa. Tylko władze były wierne prawu i dzięki bogom, lud popolity niedawał posłuchu szaleńcom, którzy go chcieli wyrwać z poniżenia, na które był przez bogów skazany. Wszystko co robiono dotąd przeciw Chrześcijaństwu było śnać niedostateczne, nie wykorzeniło błędu; dorywcze środki nie z wielką przeprowadzone konsekwencyą utwierdziły jeszcze chrześcian w dziwném przekonaniu, że posiadają jakąś siłę mimo to, że władza im była przeciwną, i że mają jakąś przyszłość mimo to, że ten gmin, dla którego chcieli ponosić najkrwawsze ofiary, odwracał się od nich. Chrześcianie za oręż wprawdzie nie porywali i pilnie spełniali wszystkie obowiązki obywatelskie, a przecie byli najniebezpieczniejszym żywiołem w całym państwie. Nie brali żadnego udziału w częstych rewolucyach, wstrząsających wewnątrz państwa, nie umaczali rąk swoich we krwi żadnego zamordowanego Cezara, ale gorszymi byli od wszelkich spiskowców przez swój upór, i przez swoje niepoprawne nadzieje. Dioklecyan tedy cesarz powstał przeciw nim w imię świętej religii państwa i postanowił ich wytępić z oblicza ziemi. Edykty porozlepiane po ulicach wszystkich miast państwa głosiły światu, że wnet bezbożne Chrześcijaństwo przestanie istnieć; wszędzie poburzono systematycznie kościoły, biskupów i księży powieszono i powysyłano na ciężkie wygnanie. Zakazano raz na zawsze chrześciańskie obrzędy, śledzono za nimi bacznie, i tam gdzie chrześcian schwytano na nabożeństwie albo nauce, więziono wszystkich. Przewodzców ścinano toporem albo rzucano bestyom wśród areny na pożarcie, uczestników karano ciężkiem wygnaniem. Bogowie mogli być spokojni: nie zajrzy ich chwale wiara chrześcian!

A jednak nie zgąsta. Wyznawano ją pokryjomu; słyszano nawet w otoczeniu imperatorów wyrazy, które zdradzały, że ludzie najzaciejsi, ludzie którym najbardziej można było zaufać, chrześcianami byli. Ale przynajmniej ta zdrożność trwała w ukryciu; wszystko było przyobleczone w zwierzchnią szatę pogaństwa; nigdzie krzyż, nigdzie napis chrześciański nie raził. Imperya rozwijała się podług własnej świętej tradycyi; konsule i prokonsule jechali do prowincyj

powierzonych ich władzy, ubodzy i zadłużeni bogaczami wracali; od czasu do czasu bunt jakiś jawny albo spisek tajny strącał Augusta albo Cezara ze stolicy do grobu. Coraz więcej awanturników chwytano na chwilę władzę, by ją zaraz tracić. Pośród nieustannych zamieszek przepadała znowu jedność państwa. Każdy cesarz tylko kilkoma prowincjami władał i ogładał się wciąż niespokojnie dokoła, patrząc rychło straci purpurę i życie. Imperator nikomu nie mógł ufać. Zdawało się, że grunt rzymskiemu światu z pod nóg się usuwa. Dygnitarze, którzy służyli demonom, słuchali ich wtedy także, gdy im doradzali zdrady. Szalonym był ten, kto im ufał.

W tém położeniu znalazł się cesarz Konstanty, który panował w Galii, w Hiszpanii i w Brytanii, a przeto w dzielnicy, w której Chrześcijaństwo właśnie było przed wydaniem edyktów Dioklecjana powszechną prawie religią warstw wykształconych; postanowił zrobić śmiały, zachwałny prawie eksperyment polityczny; postanowił się przekonać, czyby nie można oprzeć bardziej stałego panowania na prześladowanym dotąd żywiole. Najpierw, chcąc się przekonać o jego sile, wydał edykt tolerancyi; pozwolił, by znów w Galii i w Hiszpanii w głoś Chrześcijaństwo wyznawano. A skoro to pozwolenie zostało jawnie ogłoszonem, okazało się, że religia prześladowana nie straciła wyznawców. Ukrywano się z nią tylko, a kto ze strachu ofiarował był bogom, ten teraz chętnie przyjmował upokarzającą pokutę kościelną, na to tylko, aby żyć znowu w zgodzie z przekonaniem swoim. Konstanty, obejrzawszy się tedy po chrześcianach, zobaczył że jest na kim się oprzeć.

Zażądał tedy od innych imperatorów, panujących po innych częściach cywilizowanego świata, podobnej tolerancyi, a gdy Maksencusz, pan Italii i Afryki odmówił żądaniu, stanął na czele chrześcijańskiego przeważnie wojska i ruszył na Rzym. Niebawem wzajemne zaufanie i miłość wzajemna połączyły króla z wojskiem. Wojsko czuło, że Konstanty broni jego sprawy i sprawy Chrystusowej. Konstanty był pierwszym imperatorem, mogącym w zupełności zaufać otoczeniu swemu. Wierność wojsk przekonała go o słuszności sprawy, którą broni; w czasie pochodz poznał chrześcijańskie obrzędy i chrześcijańskie nauki, i niebawem uwierzył sam w nową naukę. Raz wieczorem, wnet po zachodzie słońca, ujrzał wraz z wojskiem całym wielki krzyż na niebie i w uniesieniu religijném, którego już dawno nie znali imperatorowie, ukląkł wraz z wojskiem przed niebieskim zjawiskiem, a wojsko zaintonowało psalmy. Też nocy zjawił się Zbawiciel Konstantemu; trzymał krzyż w ręku i wskazując krzyż przemówił do imperatora po grecku, mówiąc, że w tym znaku zwycięży.

Odtąd wojska Konstantego stały się nieprzewyciężonemi. Sam Konstanty tak ufał Bogu swemu, że uprzedzał wojsko całe, nacierając na wrogów na czele swojej konnicy i odnawiając dawne zwycięstwa Aleksandra Wielkiego. Roztratowywał wojska pogańskich imperatorów, roznosił je końskimi kopyty, przekonując je tém samém

o mocy Chrystusowej. Zresztą poganie zdradzali swoich imperatorów, niechętnie im służyli prześladowani chrześciance i Konstanty połączył raz jeszcze w swoim ręku państwo Rzymskie. Postawił nad Bosforem nową stolicę, Konstantynopol, w której nie pozostawił i śladu pogańskiego zabobonu, i zapewnił cesarstwu długie jeszcze istnienie.

Zwyczajném jest fałszywe wyobrażenie o chrześcijańskim cesarstwie Rzymskim i powtarzamy, że Rzym runął, skoro się ochrzcił. Twierdzenie to z gruntu fałszywe i nawet prawdzie wprost przeciwne. Państwo Rzymskie już nie istniało w chwili, w której Konstanty krzyż wywiesił na sztandarze. Istniały tylko cztery państwa zgoła niepodległe: Galskie, Italskie, Ilirskie i Wschodnie, a żadne z nich nie mogło sprostać sąsiednim barbarzyńcom persom, germanom i sarmatom, którzy co chwila nową prowincją zdobywali, a pustoszące swoje zagony zapuszczali aż w samo serce cywilizowanego świata, do bram Aten, Antiochii i Rzymu. Konstanty Wielki imperium Romanum odbudował w całej pełni rozciągłości dawniej, i zmusił europejskich barbarzyńców do tego, by jego majestat uznali, hołdując mu wszędzie aż po brzegi Bałtyku. Jeśli później państwo to dzielono, był to podział czysto administracyjny na zachodnią i wschodnią połowę, przyczem ścisłej łączności między obydwoma państwami nie zapoznawano na chwilę. Zresztą najczęściej jeden bywał tylko imperator w Konstantynopolu. Barbarzyńcy germańscy osiedli w wielu prowincjach państwa i przez pięćdziesiąt lat posiadli u schyłku V-go wieku cały Zachód; niemniej przyjąwszy wiarę chrześcijańską, uważali się za namiestników cesarskich, a zresztą ulegli niebawem znowu orężowi cesarzy. Maurycy, Fokas i Herakliusz panowali w VII-ym wieku po Chrystusie, a panowali jeszcze od Armenii aż do Portugalii, od Galii aż do Egiptu. Dopiero mahometańska burza zniszczyła przewagę Rzymian na świecie; a zresztą Chrześcijaństwo przeniosło niebawem tytuł rzymskiego imperatora na głowę książąt germańskich, którzy istotną władzę cesarską piastowali aż po XIII-ty wiek. Od Juliusza Cezara aż do Konstantego Wielkiego upłynęło tyle czasu, jak od Konstantego Wielkiego do Herakliusza, posiadającego nieukrócone jeszcze prawie panowanie nad cywilizowanym światem. Przed Konstantym państwa Rzymskiego prawie już nie było. Chrześcijaństwo tedy podwoiło trwanie Rzymskiego cesarstwa, a co ważniejsza zapośredniczyło łagodne przejście do czasów nowszych i sprawiło, że cywilizacja nasza tylko dalszym ciągiem cywilizacji klasycznej.

Do historycznego złudzenia przyczynia się w niemniej mierze to, że przed Konstantym Wielkim w samym Rzymie czterdziestu kilku cesarzy; a że chrześcijańskich cesarzy, panujących w Carogrodzie po panowanie Herakliusza, było tylko ośmnastu. Wydaje się przeto, że epoka pogańska o wiele dłuższą od chrześcijańskiej. W istocie ta mniejsza ilość imperatorów świadczy tylko o lepszym ładzie, jaki nastał w państwie. Cesarzowie pogańscy panowali zwykle po siedm do

ósmiu lat; zwykle ginęli śmiercią gwałtowną; za dziwo poczytywano śmierć naturalną imperatora i tylko dziesięciu panów pogańskiej Romy umarło śmiercią zwyczajną. Cesarzowie chrześcijańscy panowali przeciętnie po dwadzieścia lat, umierali śmiercią naturalną, nie obawiali się zdrady i buntów i mogli zwrócić uwagę swoją na ustanowienie praw, któremi się dotąd z małemi odmianami posługują chrześcijańskie narody i na stworzenie chrześcijańskiej architektury, która oryginalnością swoją, pięknnością i wpływem na potomne wieki przewyższała o wiele wszystkie artystyczne pomysły pogańskiego Rzymu. Tylko trzech chrześcijańskich cesarzy zginęło od miecza, a gwałtowną ich śmierć poczytywano za straszną zbrodnię. Wojny domowe stały się za nich nadzwyczaj rzadkimi. Zawdzięczamy im zniesienie prawie zupełne niewoli, zaprowadzenie jedwabiu i szkła, wydoskonalenie muzyki, stworzenie wolnego przemysłu ludów nowożytych i przekształcenie architektury, które dopiero naprawdę umożliwiło istnienie cywilizacji na Północy.

Kto bez namiętności patrzy na stosunki pierwszych czterech wieków cesarstwa bizantyńskiego i kto je porównywa ze stosunkami, które nastąpiły po śmierci Marka Aurelego i które potem trwały przez półtora wieku, ten musi w nich powitać istotny i wielki, a dla przyszłych dziejów ludzkości, nieoceniony postęp. Ujemną stroną tych stosunków stał się później nieznośny fiskalizm, który państwo o zgubę przyprowadził; ujemną stroną była zgrzybiałość łacińskich i greckich ludów, które nie chciały ponosić trudu życia i które wywierały, przekazując swoją cywilizację młodym narodom i arabom, germanom i słowianom. Ale to są rzeczy, które leżą daleko poza zakresem naszych odczytów.

Mógłbym już rzecz swoją skończyć. Ale tytuł odczytów nakłada na mnie obowiązek wspomnieć jeszcze kilkanaście słów o tém, jak pogaństwo przeniosło cios zadany jemu przez Konstantego Wielkiego. Konało jeszcze w państwie rzymskiem przez trzy wieki. Arystokracja starego Rzymu pozostała mu jeszcze wierną przez sto lat przeszło. Starodawna stolica była opuszczoną przez imperatorów, konsularne rody straciły swój wpływ na sprawy świata, posągi bogów opłakiwały po świątyniach dawną chwałę. Cały urok tradycji przemawiał za pogaństwem i senat podawał nieraz do cesarzy prośby, żądające przywrócenia dawnych obrzędów, które, jego zdaniem, niegdyś zapewniły wojenną chwałę Rzymu. Sam jednak nie dobył w téj sprawie oręża, nie miał bowiem na kim się oprzeć. Gmin ten, na który liczono niegdyś, gmin ciemny, który bywał tak niechętnym Chrześcijaństwu, jak długo moc imperatorów Chrześcijaństwo prześladowała, opuścił stare bogi, skoro potęga świecka odwróciła się od nich.

Takim był Julian, książę, z rodziny Konstantego, wychowany w Atenach przez neoplatoników, przywiązany do przeszłości tylko, tęskniący za arystokratyczną religią pogan i za boską wszechwładzą, które pogaństwo dawało Cesarzom. Odziedziczył tron po Konstancyuszu, stryju swym, cesarzu chrześcijańskim, lubo niekatolickim. Zo-

stawszy imperatorem, otoczył się neoplatonikami. Zabronił chrześcianom uczęszczać do szkół. Usiłował pogaństwu wrócić dawną przewagę. W imię bogów postanowił wyprawę przeciw persom, prowadził ją bez najmniejszej znajomości krajów, które najechał pośród fantastycznych przedsięwzięć, naraził wojsko na ciężkie klęski, przekonał je tylko o tém, że jego bogowie niemocni i zginął od perskiej strzały. Wnet po jego śmierci uklękło całe wojsko napowrót przed krzyżem i tyle tylko się zmieniło w państwie rzymskiem, że powrót do dawnego pogaństwa okazał się dowodnie niemożliwym.

Mimo to, jak to mówiłem już, pogaństwo klasyczne wiodło jeszcze długi czas mdły żywot, jakby pośmiertny, nie tylko jako zabobon ludowy, ale także jako nauka, wykładana w Atenach. Neoplatonizm posiadał jeszcze kilku znakomitych pisarzy, pomiędzy którymi najgłośniejszym był Proklus, naczelnik akademii ateńskiej, arcykapłan wszystkich bogów, subtelny myśliciel, nieszczególny poeta i znakomity matematyk. Dopiero edykt cesarza Justyniana, znoszący akademię ateńską, położył koniec urzędowej egzystencji pogaństwa i długiemu żywotowi filozofii greckiej.

JAN ŁASKI, PRYMAS,

jako obrońca interesów narodowych w walce z polityką
Zakonu krzyżackiego w Polsce.

NAPISAŁ

Stanisław Maroński *).

Polityka cesarza pracowała w dwóch kierunkach. Z tytułu cesarza rzymskiego i narodu niemieckiego, rościła cesarzowi prawo do krajów słowiańskich, starając się równocześnie o ustalenie w nich wpływu władzy cesarskiej i o rozszerzenie germanizmu. Obok tego stały na pierwszym planie względy na interes dynastyczny domu habsburskiego, pragnącego jak najwięcej koron zgromadzić na głowach członków rodziny habsburskiej. W myśl tego planu, wyęczał cesarz wszelkie siły, by państwa czeskie i węgierskie, pod rządem Władysława, brata Zygmunta, zostające, odbić domowi Jagiellonów i pozyskać je dla swojej rodziny. A stać się to miało przez połączenie wzięciem małżeńskim wnucząt: Ferdynanda, arcyksięcia austriackiego i Maryi, infantki hiszpańskiej, z dziećmi Władysława, Ludwikiem i Anną. Lekceważąc dotychczas i potęgę Zygmunta i wpływ jego u brata Władysława, sądził, że wyzyskując słabość króla węgierskiego, potrafi dopiąć zamierzonego celu, chociaż przez popieranie dążności Zakonu krzyżackiego, godzić będzie na zgubę Polski. Niebawem przekonał się, że rachuby jego mogły go zawieść. Bitwa pod Orszą, zabezpieczywszy Polskę przed niebezpiecznym sąsiadem, otoczyła wielkim blaskiem tron Zygmunta; a wiele drobnych okoliczności przekonało cesarza o tém, że „szczyry bracia nie rozpoczynali nic bez zobowiązanej narady“ ¹⁾. Do zamierzonych bowiem małżeństw, oświadczył stanowczo Władysław, iż nic bez rady i woli brata swego Zyg-

*) Dalej ciąg—patrz zeszyt wrzośniowy z r. b.

¹⁾ Moraw. II, 309.

munta nie postanowi; że nie godzi mu się zawierać przyjaźni i przy-
mierza, ani wchodzić w związki i stosunki familijne z tym, który brata
jego zaciętą nienawiścią ściga i prześladowa; że dopóki nienawiść ta
trwa, małżeństwa projektowane pod żadnym warunkiem do skutku
przyść nie mogą, że w końcu sprawa jedynie tylko razem ze sprawa-
mi, które pomiędzy cesarzem i Zygmuntem zachodzą, rozbieżną być
może ¹⁾. Nadto dowiedziono cesarzowi, że senatorowie tak węgierscy
jak czescy niechętni są dla koligacyi z cesarzem. Na dobitkę, wystąpił
teraz na seryo niebezpieczny rywal w osobie Jana Zapolyi, szwagra Zy-
gmunta, który, okrywszy się niedawno sławą walecznego rycerza przez
poskromienie buntu chłopskiego w Węgrzech, zwrócił uczucia swoje ku
Annie, córce Władysława, najpiękniejszej swoich czasów księżniczce ²⁾.

Przerażony cesarz zmienił swoją politykę względem Polski i po-
stanowił w przyjazne z Zygmuntem wejść stosunki ³⁾. Sprawę tę po-
ruszył na dworze Władysława poseł cesarza, Cuspinianus ⁴⁾. Wła-
dysław, który popierał politykę austriacko-węgierską, a pragnąc, że-
by zgoda pomiędzy cesarzem a Zygmuntem przyszła do skutku, skwa-
pliwie pochwycił myśl przez posła potrąconą i nie przestawał nam-
wiać brata, żeby się dla ubezpieczenia trwałej zgody z cesarzem zje-
chali ⁵⁾. Stronnictwo narodowe węgierskie i czeskie, nie chciało o tym
zjeździe słyszeć, dowodząc, że cesarzowi dowierzać nie można i że
przyjaźń i koligacya z domem jego, wyjdzie tylko na szkodę krajom
czeskim i węgierskim ⁶⁾. Mimo to, gdy Zygmunt gotowość swoją oś-
wiadczył, postanowiono, iż w marcu zjechać się mają w Brzetyławiu
(Presburg, Posonium ⁷⁾.

Dla bliższego rozbiur tego interesu, zwołał Zygmunt sejm na
dzień 4 lutego do Krakowa ⁸⁾. Równie jak węgry w Budzie, znale-
źli się i polacy w Krakowie, którzy się przeciw zjazdowi oświadczyli.
Już na sejmie pruskim wołano, że układy z cesarzem do niczego nie
doprowadzą; że sprawa pruska, którą na zjeździe rozbiurać zamierz-
no, do końca doprowadzoną nie będzie; że jedynym środkiem pozby-
cia trudności ze strony Zakonu, protegowanego przez cesarza, jest
przeniesienie téj milicyi zakonnej na Podole i dalsze kraje wschodnie ⁹⁾.
W Krakowie dowodzili polacy, że cesarz, jako wróg Polski, nie zasłu-
guje na zaufanie, a król niepowinien mu wierzyć ¹⁰⁾; a gdy nadeszła
wiadomość, iż cesarz nie zaraz do Brzetyławia przyjedzie, lecz po-

¹⁾ Acta Tom., III, 309, 361, 364, 365. 381. Decius II, 323.

²⁾ Tamże, III, 309.

³⁾ Dubrawski, Ilist. Boem. str. 305.

⁴⁾ Tamże, str. 305. Decius, II, 323. Acta Tom., III, 309.

⁵⁾ Tamże, III, 285, 288, 294, 359, 360, 364.

⁶⁾ Tamże, III, 310.

⁷⁾ Tamże, III, 290.

⁸⁾ Tamże, 281.

⁹⁾ Schütz, str. 44

¹⁰⁾ Acta Tom., III, 310. Decius, II, 32.

przednio kardynała Mateusza, biskupa gureckiego, jako pełnomocnika swego przyśle, obrażeni panowie polscy wypowiedzieli, że ubliża to godności króla polskiego, gdyby z posłem, a nie z samym cesarzem miał się zjeżdżać ¹⁾. Ale gdy nie było w radzie królewskiej prymasa, głównego przywódcy i reprezentanta polityki czynu, przebrzmiały te głosy przezorne bez skutku. Panem sytuacji na dworze i pomiędzy senatorami był już Piotr Tomicki, na którego zdaniu głównie Zygmunt polegał. Tomicki zaś, bawiąc często na dworze króla Władysława z poleceniami dyplomatycznymi, zręczny dworak, z dworską sympatyzował partją. Główną zaś podporą tej polityki, oprócz króla, byli nie tak świeccy panowie, jak raczej biskupi węgierscy ²⁾. Za ich pośrednictwem wchodził Tomicki dość często w porozumienia z niemieckimi dyplomatami, którzy potrafili mu zalecić popieranie polityki, mającej połączyć Węgry i Czechy węzłem dynastycznym z domem habsburskim. Zgodnie z takim poglądem, powolniejszym też był dla polityki cesarza w sprawie krzyżackiej, nie popierając, jak Łaski, wypędzenia Zakonu z Prus; ale kontentując się uznaniem przez niego pokoju wieczystego z r. 1466. Jedną i drugą sprawą na zamierzonym zjeździe monarchów miała być załatwiona; a Tomicki sądząc, że się lepiej od Łaskiego Rzeczypospolitej przysłuży, gdy zatarg krzyżacki drogą pokoju i przyjaznego porozumienia ukończy: obstawał przy tém, żeby król w projektowanym zjeździe udział przyjął. Tę politykę popierał także gorliwie przyjaciel jego, Krzysztof Szydłowiecki, podkanclerzy koronny i kasztelan sandomierski, jeden z głównych powierników króla, mąż znakomitych zdolności i niepospolitej dyplomatycznej rutyny ³⁾.

W dniu 5 marca, 1515 r., wyruszył król z Krakowa z licznym nader orszakiem panów i szlachty ⁴⁾, w którym się znajdowali Tomicki, od kilku dni biskup przemyski i podkanclerzy koronny Szydłowiecki, także od dni kilku kanclerz koronny, Jan Lubrański, biskup poznański i inni. Dnia 24 marca zjechał się w Brzetystawiu Zygmunt z Władysławem; a gdy niebawem pełnomocnik cesarski, kardynał Mateusz, się pojawił, rozpoczęto odnośne układy ⁵⁾.

¹⁾ Acta Tom. III, 310.

²⁾ W liście jednym (Acta Tom. III, 381), do Łaskiego pisanym, pisze Tomicki, że w zupełnem przeciwieństwie do biskupów, świeccy senatorowie na owe małżeństwa i na politykę rakuską króla całkiem niechętnie spoglądali: „Egre ferunt seculares regni Hungarie senatores, haec connubia contrahi, nec parum eam ob rem dissentiunt a pontificibus, qui et matrimoniis favent, et desiderii domini nostri Serenissimi suffragantur constanter.“

³⁾ Niesłuszność twierdzenia Hirschberga, jakoby w Polsce za Zygmunta Starego stronnictwa polityczne nie istniały, dostatecznie Zakrzewski (Ateneum, 1882, II, 208 s. qu.) wykazał tak, iż zbyt czynnym jest dalej się nad tém rozwozić.

⁴⁾ Acta Tom. III, 310, 312.

⁵⁾ Tamże, III, 311.

Co do zamierzonych małżeństw, zgodzili się z łatwością obaj królowie i pełnomocnicy cesarscy. Inaczej rzecz się miała ze sprawą krzyżacką. Kardynał Mateusz, zamierzając ją znów na kręte poprowadzić ścieżki, wystąpił z propozycją prawie szyderczą, by rozstrzygnięcie sprawy zdać na rzeszę, albo na elektorów ¹⁾; gdy zaś zdania tego nie przyjęto, podsunął żądanie, że wszelakie uchwały tylko z zastrzeżeniem nietykalności praw cesarskich powzięte być mają ²⁾. Zygmunt, widząc dobrze dokąd ta propozycja zmierza ³⁾, pełen oburzenia odrzucił ją, jako przewrotną i godności jego ubliżającą ⁴⁾.

Tymczasem miesiąc po miesiącu upływał, a cesarz nie przybywał. Wysyłano i listy i postów do cesarza; ale napróżno. Król Zygmunt pisze ⁵⁾ do żony Barbary, że „tak on jak i brat pojąć nie mogą, dlaczego cesarz tak leniwa, a ołowianą nogą do nich przychodzi.“ Tomicki zaś Łaskiemu donosi ⁶⁾, „że zwłoka cesarza już się wszystkim sprzykrzyła.“

Nadjechał wreszcie cesarz 10 lipca 1515 r. ⁷⁾ do Wiednia, a więc mniej więcej w 16 tygodni po przybyciu obu królów do Brzetysławia. Pytamy się tedy, cóż mogło być powodem tego ociągania się cesarskiego? Czyż stały mu się już obojętnymi upragnione dawniej małżeństwa? Bynajmniej! Dla tej sprawy gotów był nawet w. mistrza poświęcić. Owszem jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że cesarz znosił się potajemnie z w. mistrzem, zawiadamiając go o niekorzystnym rezultacie zamierzonych pertraktacji w sprawie krzyżackiej, a zarazem pocieszając go, żeby niepożądaną ewentualności nie brał sobie z nadto do serca.

W parę dni po przybyciu cesarza do Wiednia, d. 16 lipca, nastąpiło spotkanie się cesarza z królem polskim i węgierskim na otwartym polu pomiędzy Haiuburgiem a Brukiem ⁸⁾; poczem na zaproszenie cesarskie d. 17 lipca, Władysław i Zygmunt do Wiednia zjechali ⁹⁾. Świetność zjazdu tego wiedeńskiego opisują naoczni świadkowie słowami zdumienia i zachwycenia. Charakterystycznymi są jednakowoż słowa Decyusza, które Górski w Tomicyanach powtórzył, „że niemcy

¹⁾ Acta Tom, III, 365.

²⁾ „mox id adicere voluit, ut literis caveretur, quod salvo jure imperii id fieret.“ Acta Tom II, 365, 364.

³⁾ Quorum autem id spectaret, non erat magni negotii cognoscere. Tamże.

⁴⁾ „Que insolita conditio uti minus aequa, ita a dignitate nostra prorsus aliena.“ Tamże, III, 364.

⁵⁾ „quod tam pigro plumbeoque pede cesarica Mtas huc proficiscatur.“ Tamże, III, 375.

⁶⁾ Acta Tom. III, 381.

⁷⁾ Tamże, III, 310, 394.

⁸⁾ Tamże, III, 312, 395, 396.

⁹⁾ Tamże, III, 397.

bronią i przyborem wojennym się wyróżniali,“ a polacy i inni, „dzinywnym blaskiem kosztownych szat imponowali ¹⁾“.

Uroczyste zaręczyny, odbyte d. 22 lipca 1515 r. ²⁾ w kościele św. Szczepana między dziećmi Władysława, Ludwikiem i Anną, a wnucami cesarskimi, Maryą i Ferdynandem, przenosiły koronę węgierską i czeską z domu Jagiellonów w dom Habsburgów. Co do sprawy krzyżackiej cesarz nie stawiał dalszych trudności. Gdy się przekonał, że przychylność doradców Zygmuntowych dla Habsburgów nie sięgała tak daleko, żeby propozycje kardynała Mateusza mogły mieć powodzenie, oświadczył jeszcze przed spotkaniem się w Hainburgu Zygmunutowi, iż w. mistrza więcej popierać nie będzie ³⁾. W d. 28 lipca 1515 r. zawartém zostało przymierze, mocą którego cesarz uznał traktat wieczysty toruński z r. 1466; jakoteż się zobowiązał w. mistrza nigdy więcej do oporu nie podniecać; krom tego przyrzekł, że go do pokory i złożenia hołdu królowi polskiemu wezwie i nakłoni ⁴⁾.

Z takiego zakończenia sprawy krzyżackiej na zjeździe wiedeńskim, mógł być cesarz zupełnie być kontent. Skoro bowiem Zakon z Prus nie został wyrzuconym, mógłby zawsze jeszcze nadejść czas, z biegiem późniejszych okoliczności dałaby się walka z lepszymi jak dotąd widokami zwycięstwa podjąć, by, potargawszy traktat wieczysty, dawną, groźną potęgę Zakonu do nowego wskrzesić życia.

Zygmunt, donosząc w d. 3 sierpnia Łaskiemu o skutku i uchwałach kongresu, a uznając, że takie załatwienie sprawy krzyżackiej nie będzie mu po myśli, zaręcza, „że od cesarza więcej nie można było żądać ⁵⁾“; nadmienając, „że cesarz teraz jest naszym najszczerzym przyjacielem, wierzymy, o ile mądrość ludzka przeniknąć potrafi serca ludzkie ⁶⁾“.

Łaski przyjął w Rzymie wiadomość o tak niefortunnym rezultacie układów wiedeńskich z boleścią i żalem, bo rozumiał, że takie załatwienie zatargu krzyżackiego Polsce na dobre nie wyjdzie; że obietnicom cesarza wierzyć nie można, mianowicie, że nader wątpliwém było, czy mistrz będzie miał chęć poddać się uchwałom wiedeńskim.

Niebawem miał i Tomicki przekonać się o tém, że się w sprawie krzyżackiej dał podejść, tak, że Górski, stronnik i wierny sługa jego, mówiąc o tém, nadmienia niby dla uniewinnienia Tomickiego, że ugo-

¹⁾ Decius II, 326. Acta Tom. III, 312: Germani armis et apparatu belli excollebant, contra Sarmate, Po oni... miro pretiosarum vestium splendore anteibant.

²⁾ Tamże, 313, 394.

³⁾ Tamże, III, 390.

⁴⁾ Tamże, III, 314, 411, 415, 420. Dogiel, Cod. Dipl. Pol. 1V, 200, 201, Voigt, IX, 478.

⁵⁾ Acta Tom. III, 415.

⁶⁾ Tamże, „et quantum cor hominis humana prudentia perserutari potest.“

dę wiedeńską trzeba uważać za owoc „fatalnej konieczności”¹⁾.“ Mimo to nie poprzestał Tomicki popierać polityki rakuskiej. Cesarz, poznaawszy go osobiście w Wiedniu, wyrozumiał natychmiast wartość zapewnienia sobie niezmiennej powolności jego. Odznaczając go swém zaufaniem i uprzejmością, osiągnął to, że Tomicki ujęty i olśniony cesarskimi względami, stał się powolnym narzędziem popierania polityki tak fatalnej dla Polski, polityki dynastyczno-habsburskiej i cesarsko-niemieckiej. W dalszym postępie sporu krzyżackiego ujawnia się coraz bardziej ścieranie się dwóch przeciwnych sobie stronnictw; stronnictwa czynu, energicznych postanowień, z niedwuznacznym celem, jak dawniej tak i teraz, wyrugowania Zakonu z Prus, reprezentowanego przez prymasa Łaskiego i stronnictwa niejasnych półśrodków, które się kontentowało poprzysiężeniem traktatu toruńskiego, a którego program pod kierownictwem Tomickiego głównie dopiero na zjeździe wiedeńskim wyraziście przybrał kształty.

W połowie sierpnia wrócił król Zygmunt do Krakowa, gdzie z niecierpliwością, ale napróżno wyczekiwał od pełnomocników swoich, Drzewieckiego, biskupa kujawskiego i Rafała Leszczyńskiego, kasztelana łędzkiego, pozostawionych przy boku cesarza, wiadomości, czy stosownie do traktatu wiedeńskiego i przyrzeczeń danych, został w, mistrz do posłuszeństwa wezwany²⁾.

Wtém stanął prymas w d. 29 października 1515 r. w Krakowie, gdzie niebawem miał doświadczyć, jak głęboko w czasie jego nieobecności podkopano jego powagę i znaczenie; gdy bowiem od biskupa i kapituły żądał, by go, jako legatuma tu uroczyście przyjmowano, nie wahano się nie słuchać głosu swego metropolity, rzekomo z powodu żałoby po śmierci królowej Barbary (2 października), oraz panujących w mieście zaraźliwych chorób³⁾. Prymas, który oporu tego przełamać nie mógł, zdał na drugi dzień sprawę w obec licznie zgromadzonego duchowieństwa z przebiegu poselstwa swego i czynności swoich na soborze, zwracając na to uwagę, że „najgłówniejszą przyczyną jego tak długiego pobytu w Rzymie, była sprawa pruska, której, gdyby z taką gorliwością a żarliwością, jak to uczynił, nie był bronił, król niezawodnie byłby został albo wezwany przed sobór do tłumaczenia się ze swego postępowania, albo też ekskomunikowany⁴⁾.“ Następnie po długich tajnych naradach z królem, które zapewne dotyczyły fatalnego zwrotu w polityce krzyżackiej, tak zgubnie przez Tomickiego pokierowanej, opuścił Kraków.

Wreszcie nadeszły oczekiwane wiadomości od cesarza „z uspokajającemi przyrzeczeniami“⁵⁾, i wpływ Tomickiego, będącego wciąż

1) Acta Tom, III, 309.

2) Tamże, III, 420.

3) Tamże, III, 440.

4) Tamże.

5) Tamże, III, 441.

przy boku królewskim, zatarł wrażenie, jakie obecność prymasa na króla chwilowo była uczyniła: chwiejny król poszedł dalej za polityką półśrodków.

Wiadomości nadeszłe opiewały, że cesarz napomniał mistrza, by powinność swoją wykonał ¹⁾, iż go wezwał, żeby dla ostatecznego załatwienia sporu posłów swoich przysłał ²⁾. Z oświadczeniem powyższem łączono równocześnie i wstawienie się cesarza u Zygmunta za w. mistrzem ³⁾; proponował bowiem jako pośrednika w sporze moskiewsko-polskim króla duńskiego, blizkiego krewnego margrabiego brandenburskiego, a co do sprawy krzyżackiej główny nacisk począł kłaść na układy. Podejrzewał więc Zygmunt cesarza o to, jakoby zamierzał gmatwać sprawę moskiewską z sprawą krzyżacką ⁴⁾. Nawet Tomickiego poczęło postępowanie cesarza zastanawiać, tak że donosząc o tém Lubrańskiemu, biskupowi poznańskiemu, dodaje: „Otóż z tego, Najprzewielebniejszy Panie, poznać możesz, jak daleko jeszcze od portu jesteśmy“ ⁵⁾. Dowodną jest bowiem rzeczą, że cesarz żadnego od siebie do mistrza nie wysłał pisma ⁶⁾, ani posta, któryby w myśl powyższą miał do niego przemawiać; owszem na kilkakrotne mistrza zapytania co do skutku układów wiedeńskich, mistrz albo żadnych nie odbierał odpowiedzi, albo tylko wymijające dwuznaczne ⁷⁾, a gdy 11 listopada 1515 Albrecht 12 posyłając pysznych sokółów w podarunku cesarzowi temuż pisze, że „wierzyć nie może, żeby cesarz w Wiedniu na to był przysłał, iżby on pokój wieczysty poprzysiądz, a Zakon koronie polskiej poddanym być miał“, to i na list ten nie odebrał odpowiedzi ⁸⁾. Ale mistrz dobrze wiedział, że w pewnych wypadkach jest milczenie także odpowiedzią; a gdy krom tego co do szczerości zobowiązań cesarskich już był przynależnie poinformowanym, nim Maksymilian do Wiednia był zjechał, postanowił nie troszczyć się wcale o uchwały wiedeńskie. „Chcemy, pisze do mistrza inflanckiego, podnieść oręż w imię naszej Panny Maryi, św. naszej patronki, w tém zupełném zaufaniu, iż ona nam szczęścia i zwycięstwa udzieli ⁹⁾. Pomoc przyrzekli mi oprócz mistrza inflanckiego, elektor brandenburski, jego brat Kazimierz, dalej mistrz prowincyi niemieckiej i inni panowie niemieccy. Plan wojny, jaki niebawem ułożył, był następujący: Posiłki z Niemiec miały pod Gdańsk się posunąć; on

¹⁾ Acta Tom. III, 439.

²⁾ Voigt, IX, 479.

³⁾ ...placidis pollicitis. Acta. Tom. III, 439.

⁴⁾ Tamże.

⁵⁾ „pro tractanda concordia et dividendis differentiis.“ Tamże, III, 442.

⁶⁾ Tamże, III, 439, 442.

⁷⁾ Tamże, III, 442.

⁸⁾ Tamże.

⁹⁾ Voigt, IX, 460.

zaś wspólnie z mistrzem inflanckim mieli najprzód uderzyć na Żmudź, a po jej zniszczeniu wpaść do Mazowsza i Warmii. Gdyby zaś książę mazowiecki i biskup warmiński po ich stronie stanąć nie chcieli, mieli również i te ziemie ogniem i mieczem spustoszyć; po czem wyruszywszy na Gdańsk, a połączywszy się z zaciężnemi posiłkami z Niemiec, miano spalić i zburzyć zakłady morskie, a miasto szturmem zdobywszy, ku Toruniowi się obrócić i tutaj, jak z Gdańskiem sobie postąpić, a skutek tego miał być, iż Elbląg i Malborg dobrowolnie poddać się będą musiały. Zostawszy zatem panami Wisły i najgłówniejszych miast w Prusiech królewskich, mieli w końcu do Polski wtargnąć, i tutaj „mordem, łupieżą i pożogą tak srodze gospodarzyć, iżby kuchnia i sklep nie pozwoliły więcej polakom Prusy najeżdzać“¹⁾. Otóż to pierwszy owoc polityki rakuskiej Tomickiego!

Tymczasem nadzieje mistrza zawiedli poddani jego sprzymierzeńców. Jak w Polsce stany świeckie i duchowne sarkają, gdy król żądał podatku na obronę kraju i potrzeby wojenne; tak samo i stany państwa Albrechtowego odmawiały pieniężnej pomocy na cele jego wojenne. Prócz tego książęta i panowie niemieccy skorzy byli do czynienia obietnic, lecz ociągali się z ich wykonaniem. Mistrz prowincyi niemieckiej w rozpaczliwem piśmie donosi w-mu mistrzowi, że „zamęt, nieład, zamieszanie w przerażający sposób całe Niemcy ogarnął, że niezgoda, kłótnie książąt niemieckich tak straszne, że od nich żadnej pomocy spodziewać się nie można“²⁾; radzi zatem, „żeby jeżeli król na wykonanie przysięgi nastawać będzie, do jego woli się zastosował, w tej nadziei, że Najświętsza Panna, jako patronka Zakonu, jeżeli nadal Zakon w podwyższeniu zachować zechce, z terażniejszej kłeski go dźwignie“³⁾. Taki obrót rzeczy zniechęcił w. mistrza do tyła, iż postanowił z królem się układać na zasadzie opuszczenia z Zakonem Prus i przeniesienia się do Fryzyi⁴⁾. Chociaż za poradą brata swego, Jana, do wykonania tego planu nie przystąpił⁵⁾; to przecież samo jego powzięcie dobitnie wykazuje, w jak krytycznym Zakon się znajdował położeniu i jak dogodną znów była pora sprawę tę radykalnie zakończyć. Łaskiego uwagi nie uszła zapewne ta dogodna chwila, ale gdy Tomicki przy boku króla bawił, trudnym było przeciwny wpływ wywierać. Nadto na sejmach uchwalono wprawdzie w danej chwili pobory, ale wybieranie ich nie przychodziło do skutku, a w r. 1517 podskarbi w całej Polsce mógł zaledwo zebrać 20,000 zł. wszystkich podatków⁶⁾.

Mistrz krzyżacki poszedł też za radą brata Jana, i porzuciwszy

1) Voigt, IX, 487.

2) Tamże, IX, 501.

3) Tamże, IX, 494.

4) Tamże, IX, 504.

5) Tamże, IX, 505.

6) Acta Tom. IV, 204.

rozpaczliwy plan emigrowania z Zakonem do Fryzyi, uciekł się ponownie do knowania spisków i intryg, względem dobrotliwego króla. Król po dawnemu nieustannie nawoływał mistrza do złożenia hołdu, groził dobytciem oręża, że dłużej szyderstwa i drwin nie ścierpi. Mistrz zaś zaklinał się, że chce być królowi posłusznym i wiernym, że pragnie zgody i pokoju, że żadnych fałszywych nie miał zamiarów; a z drugiej znów strony wchodził podstępnie w tajemne porozumienia i układy z różnymi książętami i z nieprzyjaciołmi jego. Tak gdy mu król wyrzucał, iż jakieś tajemne narady prowadzi, odparł nie bez przycinku uszczypliwego, iż z tego powodu zbyteczułem jest robić wiele hałasu, gdyż królowi przecież wiadomo, że wielu książąt i panów są jego krewnymi, naigrawając się z pogrożek senatorów polskich, głoszących iż 10,000 tatarów wystarczy, by mistrza do posuszeństwa nagiąć a Zakon wytepić ¹⁾.

Do sprzymierzeńców, o których pozyskanie mistrz się przede wszystkim starał, należał jak dawniej tak i teraz car Wasil, „boć, powiada Voigt ²⁾, Albrecht i w. książ oddawna w obec Polski byli sobie naturalnymi sojusznikami.“ To też, gdy w r. 1518 w. mistrz ponownie na dobre do wojny z Polską się gotował, ułożył z Wasilem w skrytości przymierze zaczepne i odporne, mocą którego zawarował sobie pomoc pieniężną na 2000 jazdy i 10,000 piechoty ³⁾. A gdy się dowiedział, iż Wasil za pośrednictwem posła cesarskiego układy pokojowe z Zygmuntem rozpoczął, prosił go jak najusilniej, by wojnę bez wytchnienia prowadził, gdyż mu doniesiono, że tak polacy jako i litwini się wzbraniają na żądany przez króla pobór zezwolić, dopóki pokoju z carem nie zawarł. Król zaś bez pieniędzy ani z carem, ani z nim nie będzie mógł wojny skutecznie prowadzić ⁴⁾. W Rzymie nie przywiązywano wielkiej wagi do sojuszu pomiędzy Albrechtem a wielkim księciem moskiewskim. Papież bowiem wspólnie z cesarzem postanowili, żeby wyprawa przeciw Osmanom oddawna już zamierzona, wreszcie do skutku przyszła, dlatego ogłosił papież Leon X breve, zalecające zachowanie pięcioletniego pokoju między wszystkimi mocarstwami świata ⁵⁾. Ale z tego powodu było rzeczą konieczną, aby Polska, mająca odegrać ważną rolę w tój krucjacie, od strony Moskwy miała spokój. Ażeby tego dopiąć, czynił cesarz przez posłów swoich na dworze Wasila pilne zachody; wypadało więc pobłażliwem okiem patrzeć na spiski i układy Albrechta!

Przy tój sposobności i Maksymilian odstłonił maskę, która od czasu układów wiedeńskich poniekąd kryła jego oblicze. Po dwóch latach od zjazdu wiedeńskiego r. 1517, pisze do króla polskiego i do

1) Voigt, IX, 527.

2) Tamże, IX, 535.

3) Tamże, IX, 536. Moraw. II, 313.

4) Voigt, IX, 537.

5) Tamże. IX, 534.

w. mistrza, iż się z przykrością dowiaduje, że się gotują do wojny między sobą; gdy jednak ze strony turka wielkie grozi niebezpieczeństwo, wypada mu, jako głowie świata chrześcijańskiego temu zapobiedz; dlatego napomina ich, żeby pokój zachowali, wzywając ich zarazem „żeby naznaczyli miejsce i czas, gdzieby pełnomocnicy ich zjechać się mogli dla załatwienia sporu ¹⁾. Oprócz tego wysłał cesarz do Zygmunta posła Herbersteina z budującą nader propozycją, żeby król Zakonowi Prusy Królewskie i Warmię zwrócił, Zakon zaś miał płacić roczny haracz, wyznaczony przez papieża i sześciu elektorów; albo też iżby wszystkie ziemie po prawej stronie Wisły oddane zostały mistrzowi, i to bez wszelkich dalszych obowiązków, albo też, żeby mu za Prusy Królewskie ustąpione zostały Żmudz i Litwa ²⁾. Propozycje powyższe wielką wywołały burzę w Polsce, ponieważ w chwili, gdy dom Habsburgów na zjeździe wiedeńskim zyskiwał dwie korony, cesarz zapomniął zupełnie o zobowiązaniach swoich względem Polski. Tomicki zaś zawiedziony, patrzył upokorzony na skutki fatalnej swjej polityki habsburskiej, co można było poznać z oburzenia, jakiem odąd przeciw mistrzowi pała, nie szczędząc mu nietylko wyrzutów słownych ³⁾, ale i pogrózek. „Skoro się z Moskwą ułożymy, pisze do Fabiana, biskupa warmińskiego, to w. mistrz nasyci się prędko swoją komedią do tego stopnia, iż mu się obrzydzi“ ⁴⁾. W liście zaś do Konstantego, księcia Ostrogskiego odzywa się z oburzeniem, „że zobaczy mistrz, jaką korzyść przyniesie mu jego krnąbrność i zarozumiałość bezczelna“ ⁵⁾.

Zuchwały krzyżak nie brał jednak do serca tych pogrózek bezsilnych. Na uroczystości weselne, jakie odbyły się w Krakowie z powodu zaślubin króla Zygmunta z Boną (19 kwietnia 1518), nietylko że sam nie przybył, ale nawet posła swego dla złożenia życzeń nie przysłał ⁶⁾; co więcej: popierał rabunek i pożogę pruskich rozbójniczych łupieżców; odpowiadając skarżącemu się na to królowi bez ogródki, iż dwom panom, cesarzowi i królowi służyć nie może ⁷⁾.

Król zniechęcony takiem niepowodzeniem polityki Tomickiego, począł zwracać uwagę swoją na Łaskiego. Nuncyusz papieski, Mikołaj Szomberg, brat Dytrycha Szomberga, jednego z najściślejszych po-

¹⁾ Voigt, IX, 518.

²⁾ Instrukcyja cesarska dana Zygmuntowi Herbersteinowi. Tamże, IX, 526—544.

³⁾ Acta Tom., VII, 274; V, 117.

⁴⁾ Tamże, IV, 142: quo (ludo) ubi rps cum duce Moscovie absolvetur facile satiatur, forte etiam ad nauseam.

⁵⁾ Tamże, V, 232.

⁶⁾ Voigt, IX, 540.

⁷⁾ Tamże, Schütz, Wahrhafte und eigentliche Beschreibung der Lande Preussen, str. 458, 459.

wierników w. mistrza ¹⁾, skoro to spostrzegł, przybliżył się niebawem do prymasa, by za jego przyczyną osiągnąć cel swego poselstwa, które dążyło do zawarcia rozejmu pomiędzy królem a mistrzem, dla podjęcia krucjaty przeciw Osmanom, poczem spodziewano się z większą już łaćwoscią położyć koniec zatargom, jakie między Polską a mistrzem od tylu lat istniały. Nuncyusz oświadczył Łaskiemu, że skoro tylko przyczynić się zechce do pomyślnego ukończenia wiekowego sporu, to obiecuje mu godność kardynała i owszem: natychmiast mu ją konferować jest mocen ²⁾. Prymas przekłada mu ulubiony swój plan przeniesienia Zakonu na Podole, a gdy to nuncyusz zadowolnić nie mogło, dodał, iż co do prawno-politycznych stosunków pomiędzy Prusami krzyżackimi a koroną, to te powinny przez lat dziesięć pozostać w zawieszeniu ³⁾. Prymas był tego przekonania, iż skoro się Zakon wyniesie z ziem pruskich, to łaćwiej będzie dokazać już tego, by do nich nigdy nie wrócił, ewentalność, którą w. mistrz doskonale rozumiał. Propozycją powyższą miał jednakowoż nuncyusz królowi w ten sposób przedłożyć, jakoby ona nie z inicjatywy prymasa, ale nuncyusza wychodziła ⁴⁾. Ostrożność taką dyktowała obawa, żeby się temu projektowi nie sprzeciwił Tomicki, coby zapewne uczynił, gdyby się dowiedział, że on wyszedł od prymasa.

Król, usłyszawszy propozycją nuncyusza, oświadczył, iż nim coś pewnego w tym względzie postanowi, z senatorami porozumieć się musi ⁵⁾. Mistrz zaś, powiadomiony o tój propozycji przez Szomberga, zawołał: „Rozumiemy bardzo dobrze, do czego polacy dążą; chcą nas wysłać w okolice, dokądbyśmy nikogo z naszych sprowadzić, ani ztamtąd wydostać nikogo nie mogli“ ⁶⁾. Po odrzuceniu tego projektu, ułożył Szomberg inny i to zapewne na podstawie wskazówek, przez mistrza mu przysłanych ⁷⁾. Według tego projektu żądano dla Zakonu całego prawie powiśla polskiego wraz z Gdańskiem, Podole zaś miał mistrz dostać jako lenno polskie. Na drogę z Prus do ziemi podolskiej żądano duktu ziemi pół mili szerokiego; Zakon warował sobie prawo budowania śpichlerzy i magazynów zbożowych nad brzegami rzek polskich i litewskich. Pod temi warunkami gotów był w. mistrz krzyżacki zawrzeć pokój wieczysty z Polską; ale o tyle tylko, o ile

¹⁾ Voigt, IX, 537.

²⁾ Testament Łaskiego, drukowany u Zeissberga: Johannes Łaski, Erzbischof von Gnesen (1510—1531) und sein Testament. Str. 176.

³⁾ W dopięroco cytowanym miejscu, gdzie prymas o tych naradach pisze, treść układow nie jest wprawdzie podana; ale gdy nuncyusz takowe, jakżeśmy powyżej w tekście zapisali, z niektórymi modyfikacyami królowi przedłożył, wątpić nie można, że były one wynikiem owych parad.

⁴⁾ Zeissberg, str. 176.

⁵⁾ Acta Tom., IV, 359, 361.

⁶⁾ List w. mistrza do Mikołaja Szomberga, Voigt, IX, 550.

⁷⁾ Acta Tom., IV, 362: magister est paratus suscipere eto.

tranzakeya taka nie naruszy w niczém praw papieża i cesarza ¹⁾. Zygmunt nie godził się na odstąpienie krajów, w których obronie naród polski i litewski tyle krwi przelał. Nie zrywając jednak układów, wysłał Łaskiego do Królewca. Dnia 16 grudnia 1518 r. przybył Łaski do stolicy mistrza krzyżackiego, gdzie cztery dni bawił, przyjmowany z wielkimi honorami, ale sprawa, o którą chodziło spełzła, nie postąpiwszy wiele. Prymas nic nie wskórawszy opuścił Królewiec ²⁾.

Tymczasem umarł cesarz Maksymilian (12 stycznia 1519 r.). Przy elekcji nowego cesarza wystąpił obok Karola, króla hiszpańskiego, wnuka zmarłego cesarza a brata Ferdynanda, także i król francuzki, Franciszek I, jako kandydat do korony cesarskiej. Ponieważ Albrecht popierał kandydaturę Franciszka ³⁾, przeto Karol wybrany cesarzem, wezwał mistrza, by niebawem złożył hołd Zygmunтови i wykonał warunki wieczystego pokoju ⁴⁾. Gdy jednak tylko obrażona duma, a nie poczucie sprawiedliwości było pobudką owój groźby, nie brał jęj mistrz bardzo do serca; a gotował się z jak największém wytężeniem do nieuniknionej zdawało się wojny, sprowadzając zaciężne wojsko z Niemiec, zaopatrując zamki i miasta w broń, maszyny wojenne i działa, szukając przymierzy z książętami niemieckimi, z w. kniazem i tatarami ⁵⁾.

W obec otwartego przygotowania zbrojnego rokoshu, niemniej w skutek nacisku miast pruskich, żądających energicznych kroków przeciw mistrzowi ⁶⁾, uchwalono wreszcie na sejmie w Piotrkowie wojnę przeciw mistrzowi. Łaski, wiedząc jak łatwo w Polsce uchwały

¹⁾ Acta Tom., IV, 362.

²⁾ Zeissberg, 181, 182.

³⁾ Voigt, IX, 560, 564, 565.

⁴⁾ Dogiel, Cod. Dipl. Pol. IV, 205. Voigt, 565, IX, n. 1. zaczęcia autentyczność odnośnego pisma Karola do mistrza, utrzymując, że ono jest tylko fabrykatem polskim podsunionym. Gdy tendencyjny historyk, jak wiemy, w sprawach polskich na wiarę nie zasługuje, jeżeli twierdzeń jego dowodne a niepodejrzane nie popierają argumenta; a gdy dowody przez niego co do nieautentyczności powyższej przytoczone, będące tylko bezpodstawnymi domysłami, słuszności nie mają: dlatego téż obojętném jest zaprzeczenie jego. Dziwna! najważniejszym argumentem jest ta okoliczność, iż pismo Karola z 26 czerwca r. 1520, a więc o rok później królowi przesłane, a z którym się poniżej jeszcze spotkamy, zupełnie przeciwnęj jest treści! Jakby to historykowi pruskiemu nie było wiadomóm, że w sprawie krzyżackiej pisma tak od papieży jak i cesarzów do królów polskich wysyłane, często nie tylko w przeciągu jednego roku, ale nawet w przeciągu jednego miesiąca, całkiem odmiennie brzmiały.

⁵⁾ Acta Tom. V, 109, 113, 115, 146, 147. Voigt, IX, 569. Schütz, str. 460. Raczyński, Cod. Dipl. Maj. Pol. str. 262.

⁶⁾ Eyn neues geticht von dem negstvorgangenen Krieg zu Preussen 1520, w Scriptor. Rer. Pruss. V, 340.

sejmowe albo w odwołkę idą, albo też wcale nie zostają wykonane, pospieszył na początku listopada r. 1519 do króla; a uczestnicząc w radzie, roztrząsającej tę sprawę, nalegał, aby król z gotowem wojskiem niezwłocznie rozpoczął wojnę ¹⁾. Lecz i w tej chwili otrzymała przewagę chwiejna polityka połowicznych postanowień Tomickiego. Przybył w tych dniach tutaj do Krakowa, pisze Tomicki, do Łukasza Górki, starosty wielkopolskiego, jakoby laufer ku zdumieniu wszystkich ludzi pan Jan Łaski, arcybiskup gnieźnieński, który zaledwie co przybył, począł agitować w radzie,“ ale „rady jego żaden z senatorów ani nawet i król nie usłuchał“ ²⁾. Po odrzuceniu zbawienną prymasa propozycji ³⁾ uchwalono, aby poraz ostatni wezwać mistrza, by

1) Acta Tom. V, 116.

2) Tamże, V, 116, 117.

3) Zakrzewski, Ateneum (II, 502, 503) twierdzi, że odtąd (t. j. od owęj repulsy prymasa), wpływ jego „powoli zaczyna się podnosić i równoważyć wpływ Tomickiego,“ to tak dalece „iż mógł mieć nadzieję, że Tomickiego albo od boku króla całkiem usunąć, albo zjednać sobie potrafi.“ Na zdanie to zgodzić się nie możemy. Argumenta, które zwrot ten stwierdzić mają, są następujące: 1) Prymas zastępował chorego podkanclerza Tomickiego w Toruniu w przyjmowaniu posłów. Lecz przynależało się to prymasowi, jako posesorowi najwyższego dostojęstwa w Rzeczypospolitej, bez względu na to, czy krom tego osobiście był osobą wpływową lub nie. 2) „Właśnie teraz, mówi Z., sypią się na prymasa zjadliwie Krzyckiego epigramata,“ co będąc poniekąd wyrazem „zadrości i niechęci Tomickiego,“ ma być „dowodem nieomylnym,“ że król działa teraz pod wpływem Łaskiego. Ale w tym samym czasie, pisał Krzycki, folgując swęj żyłce brudno-satyrycznej, paszkwile i na innych biskupów (Acta Tom. V, 82, 160, 161); a niechęć, co więcej nienawiść Tomickiego, widzieliśmy, z daleko dawniejszych datuje czasów. 3) „Najbliżsi prymasowi otrzymują godności;“ są nimi Miedzielewski, który otrzymał biskupstwo kamienieckie i synowiec prymasa, Hieronim Łaski, który mianowany krajczym koronnym, w poselstwie od króla do cesarza niemieckiego i króla francuzkiego wysłanym został. Miedzielewski był starym, zasłużonym prałatem, który w czasie soboru laterańskiego, w poufnych misjach od króla w Rzymie, gdzie poniekąd prawą ręką był Łaskiego, wielkie około dobra Rzeczypospolitej położył zasługi, tak iż bez wszelkich protekcyi godność owa mu się należała. Młody zaś Hieronim był utalentowanym, rzutkim wojewodzcim, rokującym zarówno jako żołnierz i dyplomata wcale piękne nadzieje, tak że i bez prymasa zwrócić był mógł na siebie więcej aniżeli zwykłą uwagę. Prawda że prymas za nim u króla się wstawiał (Acta Tom. V, 164), że również dla innych krewnych swoich u tego o godności prosił (Tamże, V, 164); ale cóż w tém nadzwyczajnego! Wszakżeż prymas nie był ani pozbawiony godności swoich, ani w niełasce króla nie popadł, to mógł u króla znaleźć wysłuchanie prośb swoich, a przytem nie mieć szczególniejszego na niego wpływu. Zakrzewski (str. 502, 503) twierdzi także, że młody Łaski został wysłanym do Francyi, „by rozpoznać, czy Franciszek zechce

się na dzień 25 listopada stawił przed królem w Toruniu, dokąd równocześnie sejm zwołać postanowiono. Mistrz jednakowoż nie przy-

z Polską wejść w ściślejsze stosunki; że gdy król poznał, iż przymierze habsburskie w Wiedniu na nic się nie przyda, Hieronim z woli króla miał nawiązać stosunki z Francją.“ Tegoż zdania jest także dr. Hirschberg z tą tylko różnicą, iż inicjatorem rzekomo zwrotu téj polityki robi Hirschberg Tomickiego, a Zakrzewski prymasa. Tymczasem Zakrzewski sam pisze (str. 504), że o tém Hieronima Łaskiego do Francyi poselstwie nie wiemy. „ani kiedy je u Franciszka I odprawił, ani jakie były najbliższe jego skutki.“ Z pewnością! toć znamy tylko informacyą królewską z dnia 10 kwietnia 1520 r., daną Hieronimowi, według której miał Zygmunt uniewinnić, z powodu, iż Ludwik, synowiec jego, dał przy wyborze cesarza niemieckiego głos swój Karolowi a nie Franciszkowi. Prócz tego miał w. mistrza przedstawić jako krunąbrnego wasalą, który wywoławszy wojnę, króla polskiego wstrzymuje od walki z niewiernymi; w końcu miał, jak to pomiędzy monarchami, nie toczącymi z sobą wojny, zwykle brzmią frazesy grzeczności, oświadczyć, że Zygmunt prosił, by król Franciszek zechciał i nadal tę samą, jak dotychczas, okazywać mu życzliwość i powolność, za co taką samą starać się będzie odwzajemnić i t. d. (Acta Tomic. V, 205). Co zaś do rzekomego wzgardzenia przymierza habsburskiego, a przybliżenia się do Francyi, to w tym punkcie historia całkiem inaczej świadczy. Gdy w Niemczech chodziło o nowy wybór cesarza, a król Zygmunt, wuj i opiekun Ludwika, który jako król czeski do elektorów się liczył, na postanowienia tegoż największy wpływ posiadał, wysłali obydwaj kandydaci do tronu niemieckiego, posłów do Zygmunta z prośbą o jego względy. Francuzkim posłom odpowiedziano, że gdyby przy wyborze trzy głosy przeciw trzem stanęły, głos króla czeskiego padnie na stronę Franciszka (Acta Tomic. V, 59). Jak szczerem jednakowoż to oświadczenie było, widać z tego, iż Zygmunt, pisząc do posłów swoich w Niemczech, mówi, że postanowieniem jego jest starać się o wyniesienie na tron Karola (perstatum in proposito studemusque mirifice ejusdem regis Caroli exaltationi. (Acta Tom. V, 58), że, gdy francuzcy posłowie czwartego tylko żądali głosu, nie chcąc ich inaczej jak zadowolnionych odprawić, obiecującą uczynił im nadzieję, wiedząc bardzo dobrze, że do tego nie przyjdzie (in quo spem illis bonam dedimus, certum habentes ad hoc rem minime venturam. Acta Tomic. V, 58). Następnie dodaje jeszcze te słowa: „Waszemu rozumowi i taktowi zalecamy, żebyście jako wasz cel przed oczami mieli, iż chcemy i pragniemy najjaśniejszego króla Karola popierać; ale że téż pod żadnym warunkiem najjaśniejszego króla francuzkiego obrażać nie chcemy“ (Acta Tom. V, 59). Sądzę, że słowa te dość jasno malują sytuacyą chwili. Różne względy nakazywały Zygmuntowi albo raczej Tomickiemu popierać tak stanowczo Karola. Na dworze króla Ludwika przeważało stronnictwo habsburskie; tak samo na dworze polskim głowa stronnictwa dynastyczno-rakuskiego, Tomicki, wszewładnym cieszył się wpływem. Król zaś Zygmunt przyrzekłbył Maksymilianowi, iż popierać będzie kandydaturę Karola, wnuka jego; krom tego sprawa księstwa Barskiego, w Neapolitańskim królestwie, będącego pod berłem Karola,

był; polacy straciwszy niepotrzebnie kilka tygodni czasu, wypowiedzieli mu wojnę dopiero 28 grudnia 1519 r. ¹⁾).

nakazywała Zygmuntovi stać po jego stronie (Acta Tom. V, 57, 58). Z drugiej zaś strony wiele względów wstrzymywało króla od popierania kandydatury Franciszka. Zakrzewski wprawdzie mówi (str. 501): „Najgorliwsi dotąd przymierza austriackiego zwolennicy na dworze polskim nie mogli nie dostrzec wyraźnie, że wybór króla francuzkiego pod każdym względem nierównio lepiej interesom polskim dogadzał.“ Tak się to teraz zdawać może. Ale czy wówczas wszyscy polscy politycy tego samego byli zdania, to zdaje nam się być poniekąd wątpliwą. Czyżby nie miał się pomiędzy nimi taki znaleźć polityk, któremuby to samo przez myśl nie przeszło, co wypowiedział poplecznik kandydatury Franciszka, elektor arcybiskup trewirski, gdy wskazał na możliwość odbudowania przez wybór ten wszechwładnego frankońskoniemieckiego cesarstwa Karola W., i gdy głosił, żeby tej sposobności, co tak wybornie się nadarzyła, z rąk nie puszczać (Acta Tom. V, 65)? Czyżby żaden z dyplomatów polskich nie miał się zastanowić nad tą ewentualnością, którą elektor arcybiskup moguncki, zwalczający kandydaturę powyższą, wskazywał, gdy mówił: „Otóż wielu było niegdyś we Francyi książąt, teraz zaś liczba ich nader została ograniczoną, gdyż król sam prawie wszystko posiada; dodaje mu to wprawdzie dzielności ducha, ale dzielności tej celem to monarchia, a nam przedewszystkiem zachować trzeba rządu arystokratyczne“ (Acta Tom. V, 63). Obie zaś ewentualności, do skutku doprowadzone, byłyby naturalnie dla bezpieczeństwa Polski wcale niedogodne. Lecz i inny jeszcze względ odciągał polskich dyplomatów od popierania kandydatury francuzkiej. Otóż na dworze Zygmunta wiadano dobrze, iż w mistrz Albrecht, wielki przyjaciel rycerskiego Franciszka, agituje, jakęśmy to już powyżej zaznaczyli, na rzecz jego kandydatury, że nadto stara się o zawiązanie przymierza pomiędzy Zakonem, Moskwą i Francją przeciw Polsce. Toć to on nakłonił cara Wasila, że napisał list do Franciszka z prośbą, by zechciał pomocą i radą swoją wspierać Zakon przez Polskę tak srodze uciśniony; a wysyłając list ten wspólnie z kilkoma pięknymi sokołami w darze, zwracał mistrz uwagę na to, jak wiele carowi na tém zależy, by mógł pozyskać przyjaźń króla Franciszka (Voigt, IX, 560, 561. Karamzin VII. 80). Z powyższego wypływa zatem, że misją Hieronima Łaskiego na dworze francuzkim było, krom uniewinnienia Zygmunta, li tylko sparaliżowanie intryg w mistrza Albrechta. Pomiedzy Karolem zaś a Zygmuntem najserdeczniejsze zachodziły stosunki. Jan Dantyszek, poseł Zygmunta na dworze Karola, donosi Zygmuntovi, że gdy nadeszły od niego listy, poręczające Karolowi głos Ludwika przy elekcji, mocno go uradowały; że mu przosyła wyrazy największej wdzięczności „za tak wielką miłość i zyczliwość, z jaką sprawę jego popiera;“ i że ponownie obiecał iż co tylko dla Zygmunta kiedykolwiek czynić będzie mógł, „osobą swoją i całym mieniem swoim będzie mu pomocnym“ (corpore proprio et bonis suis omnibus nunquam se Mti vtre defuturum. Acta Tom. V, 69). Na razie dotrzymał obietnicy, wczwawszy Albrechta do złożenia holdu.

¹⁾ Schütz, 460, 461. Act. Tom. V, 99. (Bernt Stegmanns) Han-
nentsische Chronik, Script. Rer. Pruss. V, 506. Voigt, IX, 573, 574.

Wojna ta, prowadzona blisko przez półtora roku, nie przyniosła orężowi polskiemu szczególniejszej chwały, a co gorsza, nie osiągnęła celu zamierzonego! O „świątecznych zwycięstwach polskich,“ o których Morawski wspomina, historia nie wiele słyszała. Główną cechą tej wojny było obustronne pustoszenie i łupienie otwartych siół i miast, jakoteż groza mordów, popełnianych na bezbronnej ludności. Zdobywano i tracono obronne zamki i twierdze; staczano liczne drobne potyczki; ale ważnych wypadków, świątecznych czynów liczba wcale nie wielka. Mężowie zaś, kierujący akcją wojenną tak po stronie polskiej jak i Zakonu, to figury ponad zwykły poziom nie wyrastające. Jedna tylko postać ponad nimi wszystkimi się wznosi, mianowicie w. mistrz Albrecht. Że intrygi jego dyplomatyczne, dążące do unieważnienia poprzysiężonych traktatów, potępić należy, to szczegółowo zaznaczyliśmy, że broń, feloniją zbeszczeszczoną, przeciw panu swemu podniósł, tego nikt nie pochwali, ale to nie przeszkadza, by nie uznać wielkich mistrza zdolności, któremi w wojnie tej wcale świetnie zabłysnął. Z największymi mając do walczenia trudnościami i przeciwnościami, bez dostatecznych zasobów pieniężnych i posiłków wojennych, to powalony, to już nad przepaścią zguby swęj stojąc, nigdy nie tracił odwagi, nigdy nie upadł na duchu; a niezwykłą w chwilach najkrytyczniejszych rozwijając energią i stanowczością, zadziwiającą okazał ruchliwość i zabieglivość.

Poznajmy siły, któremi obie strony wojujące rozporządzały.

W. mistrz był panem ziemi, mającej zaledwo 700 mil □ rozciągłości, której dzisiejsza ludność około półtora miliona wynosi, a ówczesna co najwięcej 800,000 głów liczyła. Poddani jego, szczególnie mieszczanie, w wielkiej części Zakonowi niechętni, wątpliwęj byli wierności. Mieszkańcy Bartoszyc (Bartenstein), oświadczyli bez ogródki, że skoro wojsko polskie pod murami ich miasta stanie, nie wiele się będą namyślali, po której stronie stanąć mają ¹⁾; alec nawet w stolicy mistrza, w Królewcu, liczne było stronnictwo, które Polsce poddać się pragnęło ²⁾. Nawet wojsko jego zaciężne, które co najwięcej 16,000, a czasami tylko 4,000 liczyło chłopów, niezbyt wielkięj mu mogło być dodawać otuchy. W nieustannych znajdował się pieniężnych kłopotach, gdy zaciężnikowi poręczanego żołdu płacić nie mógł, co się dość często zdarzało, który się buntował, a wołając „pieniędzy, chleba,“ napadał i łupił kościoły i klasztory, srebro, złoto i klejnoty rabując; a gdy tego nie starczyło, szedł albo w rozsypkę, albo polskiemu wodzowi swoje ofiarował usługi ³⁾. Na rzeszę niemiecką i sprzy-

¹⁾ List Heidecka do w. mistrza. Voigt, IX, 589.

²⁾ Acta Tomio. V, 210. Voigt, IX, 578.

³⁾ Voigt, IX, 579, 583, 584, 589, 627, 628. W. mistrza sekretarz, Fryderyk Zerer, pisze: Aber die Knecht wolten nich sturmen, und war ir geschrey nur: gelt, gelt, gelt. Script. Rer. Pruss. V, 338.

mierzeńców swoich niewiele też mógł liczyć. Car Wasil resztkę przyobiecanych pieniędzy tylko mu wtedy chciał wypłacić, gdy walną wygra bitwę, Toruń zajmie i do Polski jako zwycięzca wkroczy; i nie dał się bynajmniej przez mistrza przekonać, że, by tego dokonać, właśnie pieniędzy mu potrzeba ¹⁾. Elektor zaś brandenburski i mistrz prowincyi niemieckiej (Deutschmeister), jak z rozpoczęciem wojny żwawo a rąco mu dodawali otuchy, tak potem w miejsce obietnic czeze już tylko mieli wymówki ²⁾. Brat jego, margrabia Kazimierz, o nadesłaniu pieniędzy i lancknechtów ani słuchać nie chciał, gdy go mistrz o to prosił ³⁾; tak samo elektor saski na błagania jego o pomoc odpowiedział radą, by się w wojnę z królem polskim nie wdawał ⁴⁾. Król Ludwik i szwagier Zygmunta, Bogustaw Wielki, książę pomorski, zakazali w ziemiach swoich werbunku dla mistrza; ostatni nadto lancknechtom w innych państwach zawerbowanym, nie dozwolił przemarszu przez ziemię swoją ⁵⁾.

Naprzeciw takiemu przeciwnikowi wystąpił naród potężny, zamieszkujący ogromny obszar 14,000 mil kwadratowych, któremu krom hufców zaciężnych i wojska nadwornego, nie trudnym było, jak to prymas Łaski w Rzymie był wygłosił ⁶⁾, 100,000 rycerstwa stawić do boju. Na czele zaś narodu tego stał król wielkiego nader znaczenia i wielkiej powagi w gronie mocarzy europejskich, któremu synowiec jego Ludwik, przyrzekł, gdyby potrzeba była, nieść czynną pomoc, i który w Węgrzech i Czechach popierał czynienie zaciągów pod polskie sztandary ⁷⁾. Krom tego, popierały dwa potężne, przemożne a jak najwierniejsze miasta: Gdansk i Elbląg operacje polskie w czasie tej wojny żołnierzem, bronią i pieniędzmi; toć to gdańszczanie zatokę starą pod Bałgą zawalili, by mistrzowi przeciąć wszelką komunikacją morzem z Niemcami, czego byliby dokonali, gdyby im się było udało i nową zawalić zatokę ⁸⁾. Cesarza, gotującego się do zaciętej walki z królem Franciszkiem I, nie potrzebowano się obawiać; tak samo nie zagrażało niebezpieczeństwo ani od Moskwy, przez hana tatarskiego zaniepokojonej, ani od turka w odległe wojny zaplątanego.

I czémże się to stało, iż w obec tak nierównych sił, gdy Polska w korzystniejszym była położeniu, wojna, wcale sromotny dla uiej ko-

¹⁾ Voigt, IX, 610.

²⁾ Tamże, IX, 563, 570, 595.

³⁾ List margrabiego do w. mistrza z dn. 19 listopada 1519. Voigt, IX, 570.

⁴⁾ List elektora saskiego, z d.: piątek, po oktawie Bożego Ciała, 1519. Voigt, IX, 563.

⁵⁾ Acta Tomio. V, 111, 138, 155, 173, 174. Hanscatische Chronik, w Script. Rer. Pruss. V, 505. Voigt, IX, 559, 572.

⁶⁾ Moraw. II, 303.

⁷⁾ Acta Tomio. V, 111, 155, 156.

⁸⁾ Voigt, IX, 588.

niec wzięła? Zakrzewski sądzi ¹⁾, że nikt wytłómaczyć nie może, jakim sposobem stać się to mogło.

Współczesne źródła dowodzą, jak niedołącznie polacy tę wojnę prowadzili, gdy nieporadność i niedbalstwo obozwładnia wodzów polskich, nie umiejących wyzyskać ani stosownej chwili, ani nasuwających się korzyści i dogodnych okoliczności. Krom tego, szkodził polakom w wysokim stopniu brak stanowczości w postanowieniach lekkiego, na papieża i cesarza oglądającego się króla, równie jak i wielka jego łagodność i dobrotliwość. Oprócz tego wpłynął na to także i przewrót społeczno polityczny, który od końca przeszłego wieku w organizmie państwa polskiego się dokonał. Destruktywne instytucje i „bezzrozumne prawa,“ jak je Zygmunt trafnie nazwał, które „tworząc zbytek wolności, do niewoli i zguby Rzplitej wiodły,“ krepując akcją króla, węgła a bezsilną władzę jego czyniły. Śmiejącą pojacie narodu, wytworzyły uprzywilejowaną kastę narodu, która nie tak dobro publiczne, jak raczej samolubną prywatę miała na celu. Ale przez wyzyskiwanie innych stanów, przez wyzyskiwanie urzędów, instytucji i korzyści państwowych, wyrodził się w pośród téjże szlachty egoizm, co tylko wygodnie chciał używać rozkoszy świata. Dlatego powziawszy wstręt do rzemiosła wojennego, „w domu burzliwa a krnąbrna, do pola już guusną a niedołązną się stała“ ²⁾. Owa instytucja militarna, będąca wyrazem wojennego usposobienia szlachty, owo polspolite ruszenie, jedna z najpierwotniejszych organizacyi militarych, nieomal żadnego nie miała znaczenia. Jakiż téż z niego mógł być pożytek, kiedy moc króla zwoływania jego, ograniczoną została przez sejm ³⁾, któremu przysługiwało prawo odmówić królowi rozesłania wici polspolitego ruszenia. Jeżeli zaś sejm zgodził się na propozycję królewską, ileż to razy, gdy czas zebrania się nadszedł, szlachta się ściagała leniwie, tak, że zawsze po czasie stawała; albo zebrawszy się, bez rozkazów królewskich się znowu rozpierzchła. Krom tego, egoizm epoki stłumił ofiarną patryotyczną uprzywilejowanych obywateli. Szlachta opierała się poborom i podatkom, przyzwalała na nie z największą niechęcią; to téż skąpo było pieniędzy w téjże wojnie na zapłacenie żołnierza zaciężnego. Wreszcie przewaga wpływów Tomickiego na dworze królewskim nad wpływami Łaskiego, szkodziła i teraz krajowi.

Widzieliśmy już wyżej, z jakim szyderstwem odrzuconą została zdrowa a zbawienna rada Łaskiego, by bez tracenia czasu, bezzwłocznie uderzyć na w. mistrza. Niezrażony tém niepowodzeniem, podążył prymas za królem do Torunia, gdzie przy jego boku z innymi panami aż do końca lutego 150 r. pozostał; lecz i w téj chwili wszechwładny podkanclerzy Tomicki i jego stronnictwo, paraliżowało wpły-

¹⁾ Aten. II, 588.

²⁾ Moraw. II, 310.

³⁾ Acta Tom. I. 117.

wy i zabiegi prymasa u króla ¹⁾. Gdy Tomicki zachorował, a prymasowi wypadło w zastępstwie jego przemówić do posłów papieskich, szyderczo donosi o tém podkanclerzy siostrzeńcowi swojemu Krzyckiemu, pisząc, że mowa jego ani królowi, ani panom rady się nie podobą, „boć téż mówił po swoim zwyczaju“ ²⁾, a do Konarskiego, biskupa krakowskiego pisze z oburzeniem, że prymas wciąż jeszcze w Toruniu siedzi, „tak królowi, jak nam wszystkim aż nadto się naprzykrzając“ ³⁾. To téż nie dziwne, iż celem podjętej akcji wojennej, było nietylko wyrugowanie Zakonu krzyżackiego z Prus, jak to Łaski pragnął i radził; ale raczej zmuszenie tylko mistrza do złożenia hołdu, czego się Tomicki domagał. Gdy król do Torunia się zbliżał, jeden tylko głos dał się słyszeć tak w krzyżackich, jak królewskich Prusiech, iż zgotowanym jest teraz kowiec Zakonowi. W orędziu z d. 22 grudnia 1519 r., zawiadamia w. mistrz poddanych swoich, „że król postanowił Prusy zawojować i wojną a pożogą wszelkie ślady rządów Zakonu zniszczyć“ ⁴⁾; w inném zaś ogłoszeniu obwieszcza, że planem króla Zakon zupełnie wytepić, „aby srodze łaknący i resztę jeszcze małego dziedzictwa Najświętszej Panny Zakonowi zabrał“ ⁵⁾. W Gdańsku zaś i Elblągu niewymowna panowała radość, że nadszedł wreszcie czas, gdzie Krzyżak nadobre wypędzonym zostanie ⁶⁾; podkomorzy pomorski, Achacyusz Cema rozgłaszał z ufnością, iż fakt ten nastąpi ⁷⁾. Aleć próżne to były strachy, z jednej i z drugiej strony! W Toruniu wcale o tém nie myślano. Dzielnym prusakom odpowiadał król, że się to nie da zrobić, boć w. mistrz jest jego siostrzeńcem, a krom tego i rzesza niemiecka gotowaby się wmieszać w tę sprawę ⁸⁾; w obec zaś popleczników Zakonu, zaklinał się Zygmunt na wszystko, iż bynajmniej nie myśli o wypędzeniu Zakonu, że zupełnie się kontentuje zmuszeniem mistrza do wykonania przysięgi lenniczej ⁹⁾. To téż gdy się raz zdarzyło, iż Tomicki, uderzywszy w ton prymasa, zawołał, że mistrza i krzyżowców wypędzić trzeba ¹⁰⁾, nikt tego na seryo nie brał.

¹⁾ Acta Tom. V, 136.

²⁾ Tamże, V, 176.

³⁾ Tamże, V, 164.

⁴⁾ Voigt, IX, 574.

⁵⁾ Tamże, IX, 577.

⁶⁾ Eyn neues geticht etc, w Script. Rer. Pruss. V, 340.

⁷⁾ Tamże, V, 340, 346.

⁸⁾ Tamże, V, 341.

⁹⁾ Do begerte Konigliche irleuchtigkeit und Kron zu Poln nich ten orden zu vertroyben, allein er begert, den ewigen friodt seines vatters Kuzimirus zu schweren. Philipp Creuz, Relation wie der abfall in Preussen geschehen, w Script. Rer. Pruss. V, 365. Tomicki pisze do Stanisława z Chodczca: Mtas... abhorruit appetere, vel ordinem hunc opprimere et exterminare velle. Acta Tom. V, 255, 256, 279.

¹⁰⁾ Tamże, V, 144.

Było to bowiem tylko momentalnym wybuchem rozdrażnienia i oburzenia z powodu straty Brunsberku. Gdy więc cele i zamiary, które poruszały tą wyprawą wojenną, nie były zbyt groźne: to też energia i szybkość ruchów nie zdawała się być koniecznie potrzebną. Wszakże w obec takiego programu, było dla dyplomatów i przeróżnych pośredników szerokie pole mącenia tej sprawy.

W ostatnich dniach roku 1519 rozpoczęła się akcja wojenna. Kilka mniejszych oddziałów polskich wpadło do ziemi biskupa pomorzańskiego, Jana Dobeneka. Gdy zaś głównej siły, będącej pod wodzą w. hetmana koronnego, wojewody sandomierskiego, Mikołaja Firleja, również niefortunnego poplecznika układów wiedeńskich ¹⁾, zaufanego królowej Bony ²⁾, spiesznem nie było przejść granicy, ponad którą bezczynnie zostawał: korzystał z tego energiczny mistrz i śmiałym ruchem podsunąwszy się pod Brunsberg, opanował za pomocą zdrajcy burmistrza, silną a mocno obwarowaną twierdzę, co kluczem była do całej ziemi warmińskiej ³⁾, w sam dzień Nowego Roku, 1520 ⁴⁾. Rozważnie, ale energicznie operując, unikał w. mistrz ile mógł, dzielenia swoich sił wojennych, nie osłabiając ich w drobnych załogach: nie kuszając się o zajęcie i obsadzenie każdego miasta, każdego zamku, tylko najsilniejsze i najważniejsze starał się mieć w swój mocy; resztę zaś puszczał mimo, by dla ruchów zaczepnych dostateczne miał zawsze siły ⁵⁾.

Że się nie śpieszono z przejściem granicy, nie sam Firlej temu był winien. Otóż sejm, radzący przez cały grudzień w Toruniu, targował się z królem najprzód o różne przywileje, o prawa na uciemnienie kmiecia, nim celem prowadzenia wojny na dwa wiardunki poboru z łanu zezwolił ⁶⁾. Wkroczyło wreszcie w pierwszych dniach stycznia roku 1520 do Prus główne wojsko polskie, tworzące centrum armii całej, którą liczone na 20—30,000 żołnierzy ⁷⁾, a które krom z polaków, składało się z tatarów i zaciężnych w Szlązku, Czechach, Morawii i Węgrzech zawerbowanych. Równocześnie miało ze Żmudzi i Mazowsza wejść do tegoż kraju wojsko; od zachodu zaś mieli gdańszczanie, elblążanie i żołnierz polski, poczynawszy od biskupstwa pomorzańskiego, zaczepne czynić kroki, oczywiście, że planem było, koncentrycznie na Królewiec operować. Wyborny plan, szkoda, że nie starano się całemi siłami o jego wykonanie.

1) Acta Tom. III, 310.

2) Chmielowski, Aten. I, 75.

3) Acta Tom., X, 137.

4) Eyn newes geticht w Scriptor. Rer. Pruss, V, 341.

5) Acta Tom. V, 141, 142, 170. Schütz 361. Zorer w Script. Rer. Pruss. V, 331. Hanseatische Chronik, tamże, V, 506.

6) Baczko, Ueber die militaerischen Kenntnisse des Markgrafen Albrecht, w Beiträge zur Kunde Preussens, III, 348.

7) Acta Tom. V, 122.

Wojsko, operujące w wymienioném co tylko biskupstwie, gdy stanęło pod Prabutami, zamkiem i rezydencją biskupa i do poddania się załogę wezwało, szyderczą odebrało odpowiedź: „cokolwiekżeście się spóźnili z waszém wezwaniem: właśnie wojsko nasze w doskonałych hauptmanów i żołnierza się opatrzyło: czekamy na was“¹⁾. Mimo to, ekspedycja ta, najenergiczniej kierowana, z najlepszym powiodła się skutkiem; chociaż i ona dość długo trwała, bo dopiero 14 marca, z poddaniem się Kwidzyna, okupacja ziemi téj, z wyjątkiem jednego zamku całkowitą była, a znany biskup Job, zupełnie na łaskę króla się poddał, posłuszeństwo mu swoje przyrzekając²⁾. Zdradziecki ten Niemiec uroczyście oświadczył królowi: „że go w myśl pokoju wieczystego za pana swego uznaje.. że jemu i koronie polskiej wiernym oddać będzie“³⁾; mimo to, skrycie z mistrzem się porozumiewa, pocieszając go, że tylko chorobą zmuszony, przyjął warunki pokoju przez króla mu dyktowane; ale niechaj go to nie niepokoi, gdyż będzie on sobie tak postępował, jak się p o b o ż n e m u kapłanowi przynależy“⁴⁾.

Główna siła polska, pod wodzą Firleja, takich tryumfów nie święciła: zabawiała się zabieraniem otwartych, bezbronnych miast, albo zamków prawie wcale nieopatrzonych: załoga w Rastemborku składała się z 16 luźnych lanckuechtów i 4 śmigownic⁵⁾; niepotrzebnie zatem czas marnowano przy jéj zdobywaniu. Zdobywszy Działdów, zamek⁶⁾, stoczono 13 stycznia pomiędzy Ostrodą i Miłomłynem (Liebemühl) zwyciężką z Krzyżakami potyczkę, gdzie większa ich połowa legła; poczem tak miasta, jak i Dąbrowno (Gilgenburg), Olsztynek (Hohenstein), Olsztyn (Allenstein) zajęto⁷⁾. Morąg, po krótkiej obronie także poddać się musiał. Tutaj mistrz rannym został, w skutek czego parę tygodni w Królewcu leczyć się musiał⁸⁾. Teraz ruszono na ważną, a więcéj jak przez 2000 wojska krzyżackiego bronioną twierdzę Pr. Pazłek (Pr. Holland), osaczywszy ją około dziewięciu tysiącami polskiego żołnierza. W pierwszych dniach jednakowoż lutego, straci-

¹⁾ Voigt, IX, 569, 573. Schütz 461. Przesadne pogłoski podnosiły cyfrę do 80,000. Voigt, IX, 573.

²⁾ Tamże, IX, 576.

³⁾ Scriptor. Rer. Pruss. V, Zerer, str. 330, 331. Pomesaniensis canonici breve Chronicon belli de anno 1520, str. 436, 437. Hansatische Chronik, str. 506. Schütz, str. 462, 463. Acta Tom. 181, 184. Die Ferber Chronik, Scriptor. Rer. Pruss. V, 531. Voigt, IX, 584, 587.

⁴⁾ Voigt, IX, 587.

⁵⁾ Tamże, IX, 592.

⁶⁾ Tamże, IX, 584.

⁷⁾ Zerer, Scriptor. Rer. Pruss. V, 331. Book, Leben Albrechts, str. 100. Voigt, IX, 578.

⁸⁾ Schütz, 462. Zerer, Scriptor. Rer. Pruss. V, 331. Eyn neues geticht, tamże V, 342. Runau, Historie des kleinen zweijährigen Krieges in Preussen, str. 163. Voigt, IX, 578, 580. Acta Tom. V, 156, 167.

wszy około 2000 ludu, od oblężenia odstąpiono, by pod Brunsberk się posunąć ¹⁾. Gdy jednak załoga pażęcka śmiałą uczyniła wycieczkę, w pochodzie swoim pod niebaczną wodzą Firleja napadnięci, pobici i rozproszeni, polacy straszne ponieśli straty ²⁾. Rozzuchwalony tém niepowodzeniem oręża polskiego Krzyżak, zbrojne wysyłał tłumy lanc-knechtów i rajtarów do ziemi warmińskiej, by ją mordem i pożogą napełnić; mistrz zaś Albrecht, skoro wyzdrowiał, uderzył na zamek Melzak, zajęty przez polaków i Czechów, a dobywszy go (14 marca) niemal całą wyrznął załogę ³⁾. Wojsko zaś polskie, ustępując nieprzyjacielowi z drogi, najeżdżało w odwecie w ziemi mistrza bezbronne miejsca, równieź je pałac i niszcząc, a niewinnych mordując ludzi; ale przez to upadł też porządek wojskowy, upadła karność, a niepostu-szeństwo w zdemoralizowanym żołdactwie strasznie się wzmożło ⁴⁾.

W końcu lutego powtórnie do oblężenia Pażęcku przystąpiono, który wreszcie po 8-tygodniowych trudach i usiłowaniach, 29 kwietnia zdobyto ⁵⁾. Gdy biskupstwo pomezzańskie już opanowanym było, gdy książę mazowiecki na czele dzielnych mazurów ponad rzeką Pyszem wojsko krzyżackie na głowę pobiwszy ⁶⁾, miasta i zamki prusko-mazurskie: Jandzoberek, Ryn i Seesten zajął był ⁷⁾; gdy kilka oddziałów głównego wojska, zająwszy zamki Bartoszyce (Bartenstein) i Sępopól (Schyppenbeil) już i w ziemi Natangalskiej się usadowiło ⁸⁾: sądzono, że po zdobyciu Pażęcku, niebawem nastąpi koniec wojny. Aleć ina-

¹⁾ Schütz 462. Wedle listu mistrza, pisanego do Dytrycha Szomberga (Voigt, IX, 590) zachorował na febrę.

²⁾ Schütz 462. Zer. Script. Rer. Pruss. V, 331. Voigt, IX, 579, 580.

³⁾ Schütz, 462, 463. Voigt, IX, 580.

⁴⁾ Script. Rer. Pruss. V, Zer. str. 333. Eyn neues geticht, str. 333. Hanseatische Chronik, str. 507. Acta Tom. V, 185. Voigt, IX, 582.

⁵⁾ Tomicki pisze do Bonera: referunt omnes nullum in eo esse ordinem, nullam disciplinam militarem. Acta Tom. V, 183.

⁶⁾ Script. Rer. Pruss. V; Zer. str. 333. Eyn neues geticht, str. 343. Pomes. can. brev. Chron. str. 437. Hanseatische Chronik, str. 507. Die Ferber-Chronik von 1511—1525, str. 531. Schütz str. 463. Acta Tom. 217. Runau str. 164. List w. mistrza do elektora brandeburskiego, Voigt, IX, 591.

⁷⁾ Princeps quoque Masoviae ad Pisiam insigni proelio superavit et arces aliquot expugnavit. Chronica Olivens. w Script. Rer. Pruss. V, 641. Jak źle w Toruniu panowie o ruchach i sukcesach wojennych wojsk polskich poinformowani byli, świadczy list Tomickiego do Konarskiego, biskupa krakowskiego, w którym pisze, że mazury zajęli castrum hostile cognomento Pysz. Acta Tom. V, 216. Tymczasem zamek Pyez nigdy nie ogzystował. Jest tylko rzeka zowiąca się Pysz.

⁸⁾ List mistrza do Dytrycha Szomberg. z d. 10 marca 1520. Voigt, IX, 529.

częj się stało. Zamiast śmiałym a spiecznym ruchem bez zwłoki uderzyć na Królewiec, poprowadził Firlej wojsko swoje pod Brunsberg, zawsze jeszcze przez Krzyżaków zajęty. Gdy Krzyżacy z zamku nie wychodzili, rozlali się żołnierze polscy po całej okolicy, straszliwie ją plondrując i pustosząc ¹⁾. Z powodu takiego niedbalstwa i nie-dołęztwa, poczęto nawet na dworze królewskim w Toruniu szemrać i sarkać. Głosy jednakowoż niezadowolnienia odzywały się tylko z pośród stronnictwa Łaskiego; to też Tomicki, gdy mu się uskarżał Firlej, iż operacyom jego wojennym w otoczeniu króla przyganiają, nie omieszkał go, jako wiernego swego politycznego adherenta, pocieszyć, pisząc mu, by sobie wcale tego nie brał do serca, albowiem w gronie kompetentnych mężów, zasługi jego zupełne znajdują uznanie ²⁾.

W ostatnich dniach maja, zająwszy po drodze św. Siewierkę i Brandenburg ³⁾, stanęło wreszcie wojsko polskie pod Królewcem. Zamiast szturmem, do którego się pozornie gotowano, miasto to zająć, marnowano i tutaj czas pustoszeniem bezbronnej okolicy ⁴⁾. W dniu 30 maja 1520 r. zawezwał Firlej rajców Królewca i innych miast do poddania się. Przelęknieni rajcy królewscy odpowiedzieli grzecznie i pokornie, „iż, ponieważ wezwanie nie tylko do nich, ale i do innych miast wystosowane zostało, oni, nie znając ich woli, nie pewnego stanowić nie mogą. Niechaj one najprzód dla narady do Królewca przybędą, wtędy nastąpi odpowiedź tak wodom polskim jako i miastom przydatna.” Na to odpowiedział Firlej: „Widać, że wam tylko o zwłokę chodzi; toć dosyć jest ludu w mieście waszém, iż niepotrzebujecie za innymi się oglądać. Innéjżemy się od was spodziewali odpowiedzi, „ale ponieważ wam się tak podoba, niechżeż i przy tém pozostanie ⁵⁾.” I dzięki wcale laurami nie okrytemu wodzowi, sprawa poszła w odwłokę!

Mimo tak niefortunnego przebiegu sprawy, położenie Albrechta było nie do pozazdroszczenia! Już w końcu marca pisał do Dytrycha Schomberga, „że mocno się obawia, że Zakon już do Zielonych Świątek nie pobawi i że szpital szlachty niemieckiej jaknajśromotniej

¹⁾ Acta Tom. V, 254. Voigt, IX, 593 squ. Schütz, str. 463. Script. Rer. Pruss. Zerer, str. 334. Hanseatische Chronik, str. 507.

²⁾ Tomicki pisze do Firleja, Acta Tom. V, 259: Si qui sunt, qui lacere forte vellent vestram Mgciam et ejus labores ac curas, quas hactenus in hoc bello pertulit aliorum invertere: credat mihi vra. Mgcia, quod tales male audiuntur, nec illis fides adhibetur.

³⁾ Script. Rer. Pruss. Zerer, str. 334. Hanseat. Chron. str. 508. Ferber Chron. str. 531. Acta Tom. V, 246, 254, 256.

⁴⁾ Acta Tom. V, 252, 254, 256. Script. Rer. Pruss. V, Zerer, 335. Eyn neues geticht, str. 344. Hanseat. Chron. str. 508. Chron. Olivens. str. 641.

⁵⁾ Voigt, IX, 602.

po wieczne czasy wytępionym zostanie ¹⁾.“ Przed elektorem zaś brandenburskim w kwietniu (?) się skarży, „że rzeczy tak daleko już przyszły, iż musi się więcej swoich własnych poddanych obawiać aniżeli nieprzyjaciół, bo jeżeli najdalej w dwa miesiące nie dostanie pomocy, tedy ogólne nieposłuszeństwo weźmie górę, a on sam życia swego już pewnym nie będzie ²⁾.“ Tak już rzeczy i dawniej stały. A o ileż groźniejszą była sytuacja jego w téj chwili, gdy kule polskie padały na przedmieściach Królewca, gdy każdej godziny wojsko polskie do miasta wkroczyć mogło, gdy dwie trzecie części kraju były w posiadaniu nieprzyjaciela, gdy okręty gdańszczan pod Klajpedą na tyłach mistrza się ukazały, gdy rozprządzał już tylko 4,000 żołnierza, którego nie miał czém żywić i utrzymywać, gdy zewsząd odzywały się głosy poddanych jego, wołające, żeby wieczysty uznał pokój, jeżeli nie chce, żeby go opuszczono ³⁾. To téż mistrz postanowił albo do Infantant albo do Moskwy ucieczką się salwować ⁴⁾.

Aliści w téj, tak krytycznej chwili, przybywa mu dyplomacya w pomoc. Już w miesiącu lutym 1520 r., przybyli do Torunia przetrzani posłowie od papieża, cesarza i różnych książąt niemieckich, ofiarując się ze swoim pośrednictwem ⁵⁾. Ci więc żądali, żeby obustronnie złożywszy broń, przestać krwi rozlewu; i żeby następnie przy ich pomocy w drodze ugody zatarg zakończyć ⁶⁾. Tego jednak już i Tomickiemu było zawiele. Nazywając żądanie to śmieszném ⁷⁾, oświadczył kategorycznie, iż najprzód mistrz uznać winien pokój wieczysty z r. 1466, a potem mowa być może o złagodzeniu niektórych warunków tegoż pokoju ⁸⁾. Stało się więc, iż gdy usiłowania, a nawet i groźby głoszące, że szlachta niemiecka mistrzowi przybędzie na pomoc ⁹⁾, požądanego nie miały skutku, posłowie węgierscy i niemieccy w połowie maja odjechali ¹⁰⁾. Wkrótce potem i to w owéj tak krytycznej dla w. mistrza chwili, przybyli posłowie stanów Prus krzyżackich do Torunia z prośbą o przyzwolenie na rozejm i o udzielenie

1) Voigt, IX, 599.

2) Tamże.

3) Acta Tom. V, 252, 254, 256, 259, 266. Zerzer, Script. Rer. Pruss. V, 335. Voigt, IX, 599—602.

4) Acta Tom. V, 254, 259.

5) Schütz, str. 463. Hanscat. Chron. Rer. Pruss. V, 507. Voigt, IX, 596, 598.

6) Acta Tom. V, 191 sq.

7) Tamże V, 232.

8) Acta Tom. V, 243, 244, 246.

9) Tamże, V, 220.

10) Tamże, V, 232. Voigt, IX, 598 powiada, że posłowie papieża i króla węgierskiego najprzód, a potem inni odjechali posłowie. Tymczasem nie zgadza się to z prawdą co do posła papieskiego, albowiem Tomicki, przebywający w Toruniu świadczy, że tenże nie był wyjechał. Acta Tom. V, 255.

mistrzowi listu żelaznego, by mógł celem rokowań do Torunia przybyć ¹⁾). Nie poraz to pierwszy srogi fatalizm odbierał polakom w chwilach stanowczych rozum i zmysł polityczny. Zamiast czynić, co było w mocy króla, by zabezpieczyć narodowi i życie i przyszłość, zgniółłszy ostatecznie tak nieprzyjazny Polsce Zakon, zgodzono się na układy z mistrzem. Tomicki opierał się temu energicznie, żądając, żeby dopóki mistrz nie podda się warunkom traktatu toruńskiego z r. 1466, nie przyzwolić mu ani jednego dnia rozejmu, „boć on rozejmu dlatego tylko pragnie, by siły swoje pokrzepił ²⁾.“ Ale gdy byli w radzie króla, co gotowi byli szersze jeszcze czynić ustępstwa mistrzowi ³⁾; gdy biskup Zacharyasz Ferreri, poseł papieżki, o którym nawet Krzycki mówi, że to człowiek co najniegodniej wszelakie pląta sprawy ⁴⁾, umiał obałamucić króla i skrupuły co do rzekomego niepotrzebnego przelewu krwi chrześcijańskiej wzniecić ⁵⁾; gdy Fabian Luzyński, biskup warmiński, którego ziemia ogromnie wiele przez wojnę wycierpiała ⁶⁾, również błagał króla, by nie odmawiał rozejmu ⁷⁾; gdy wreszcie posłowie pruscy lamentowali, dość otwarcie wypowiadając, że jeżeli nie będzie końca wojnie, zmuszeni będą odstąpić mistrza, któremu natenczas nic nie pozostanie, jak z kraju uciekać, toć i dobrotliwy, ale słaby król, nie mógł się temu wszystkiemu oprzeć. Począł zatém rozważać, że, chociaż w mistrz „grubo“ go obraził ⁸⁾, toć—(król) był od początku niechętny tój wojnie ⁹⁾, że tylko przez Albrechta zmuszony, ją podjął ¹⁰⁾, że zawsze był przeciwnym rozlewowi krwi chrześcijańskiej ¹¹⁾; a jakżeby teraz miał

1) Acta Tom. V, 243, 244, 246, 253, 255.

2) Tamże, V, 262, 255, 256. *Diu repugnauimus*, pisze Tomicki do Firleja (Acta Tomio. V, 260) *prebero ejusmodi inducias propter damnum ingens et temporis et pecunie, quod inde sequetur. Kasztelanowi poznańskiemu, Łukaszowi Góroo pisze tenże (Acta Tom. V, 244), że byłoby to największą niedołążnością i szkodą, gdybyśmy na niepewne puszczając się ryby, pewną sposobność skutecznego załatwienia sprawy z rąk mieli wypuścić, ogromną moc pieuniędzy strwoniwszy. Do Balińskiego zaś, kasztelana gdańskiego pisze (Acta Tom. V, 246). Głejtem mistrza ubezpieczyć możemy, ale na rozejm żadną miarą przystać nie można; całkiemby to ubliżać musiało godności króla. Nie wątpimy, że owe prośby posłów mistrza są tylko tegoż i Zakonu intrygą i podstępem i t. d.*

3) Acta Tom. V, 254: *ut multa indigna alis concedere voluerunt.*

4) Tamże, V, 370: *et alia multa indignissima miscens.*

5) Tamże, V, 256: *ad intercessionem oratoris summi pontificis.*

6) Voigt, IX, 594, 598.

7) Schütz, str. 463.

8) Voigt, IX, 597. Acta Tomio. V, 256.

9) Tamże, V, 250.

10) Tamże, V, 252.

11) Tamże, V, 255.

czynić trudności co do rozejmu! mianowicie, że i smutny horoskop tułactwa, stawiony przez postów pruskich „kochanemu“ swemu siostrzeńcowi, mocno go niepokoił. Stało się więc, że przyzwolono mistrzowi rozejm 16-dniowy ¹⁾. Mocno to martwiło Tomckiego. Do Jana Zaremby z Kalinowy, wojewody kaliskiego, pisze tedy ²⁾: „Opierałem ja się bardzo, wspólnie z innymi panami, ażeby nieprzyjacielowi ani jednego dnia nie zostawić do wytchnienia; ale przemogli ci, co sądzą, iż wszystko mogą, pod pretekstem zrobienia pokoju, od którego jednakowoż teraz bardzo jesteśmy oddaleni.“ Janowi zaś Bonerowi skarżył się ³⁾: „Już Jego Kr. Mość wbrew wielu radcom i mojemu zdaniu i mojej woli, oświadczył, iż na rozejm 10-dniowy przyzwala. Aliści oni (postowie) nie kontentując się tą hojnością króla, pragną, by 6 dni dodane zostały. Niewiem, co JKMość uczynić raczy; sądzę jednakowoż, że nasi i na te 6 dni przyzwolą, jak byli i chcieli wiele innych jeszcze niegodnych rzeczy przyzwolić, gdyby na ich zdanie król i inni radcy byli przystali.“ Aleć podaremne te skargi! Podkancle-rzy winien był sobie uprzytomnić, że co się teraz stało, to już było tylko konsekwencją nierozsądnej jego polityki rakuskiej; że to owoc, którego ziarno na fatalnym owym był posiał zjeździe wiedeńskim.

(dok. nast.).

1) Acta Tom., V, 256, 260, 261.

2) Tamże, V, 255.

3) Tamże, V, 254.

Wycieczka do Madrytu *).

PRZEZ

Eugeniusza Lipnickiego.

II.

W wtorek 27 maja o godzinii 11 $\frac{1}{2}$ wyruszyłem z Bayonne w dalszą drogę. Był to znowu jeden z tych słonecznych poranków wiosennych, które malowniczym krajobrazom dodają niepospolitego uroku. Przez długi tunel, wydrążony pod przedmieściem Saint Esprit i przez most żelazny na rzece Adour, wjeżdżamy do okolicy górzystej, urozmaiconej kilku wielkimi stawami, zgliszczami zamków (Marac) i mnóstwem pięknych will i chat wieśniaczych. Po lewej stronie widnokrąg zamykają ciemno-mgliste wierzchołki Pirenejów, po prawej z wywyższonej o 20 metrów nad brzegiem morza drogi, raz po raz pomiędzy pagórkami spostrzegamy sine, lekkim wietrzykiem poruszane fale Atlantyku. Za dworczykiem Saint Jean de Luz, okrytym dzikimi różami, pociąg zbliża się do piaszczystej zatoki, przy której na stromém wzgórzu romantycznie wznosi się miasteczko Fontarabie, a po krótkim przystanku w ostatniej stacyi francuzkiej Hendaye, przebywszy wielki kamienny most nad rozgraniczającą dwa państwa Bidassoa, o godzinie 12 $\frac{1}{2}$ docieramy do pierwszej stacyi hiszpańskiej Irunu.

Z opisów Hiszpanii, które zabrałem ze sobą, jeden ¹⁾, wydany przez znanego podróżnika Spiridiona Gopcewicza, o kolejach hiszpańskich wyraża się w sposób tak złośliwy, że mogłoby to niejednego odstraszyć od zwiedzenia Hiszpanii. Owóż opis ten stanowczo mija się z prawdą. Co do mnie, w stacyi Irun wsiadłem do t. zw. sleeping-car u, t. j. wagonu do spania, jakie belgijska spółka międzynarodowa des wagons-lits dodaje do pociągów pospiesznych nagłównych liniach europejskich ²⁾. Wszelako obejrzałem sobie także inne wagony

*) Dokończenie—patrz zeszyt za październik r. b.

1) „Illustrirter Führer durch Spanien u. Portugal.“ Wiedeń 1884.

2) Sleeping-car jest tak urządzony, że z jednej strony wagonu jest

i przekonałem się, że są to te same, których używają koleje francuzkie, a zatem paradne i wygodniejsze, aniżeli w Niemczech, w Austrii i Włoszech (naturalnie wagony pierwszej klasy, bo innych pociągów pospiesznych w Hiszpanii jak we Francji nie mają). Dalej p. Gopcewicz, a po nim i inni turyści gorszą się, że pociągom hiszpańskim towarzyszą żandarmi z bagnetem na ramieniu i wystawiają to jako coś nader przykrego i niepokojącego. Mnie, jakkolwiek nie jestem bynajmniej lubownikiem żandarmeryi, lecz uważam ją raczej jako malum necessarium, ta straż bezpieczeństwa wcale nie zaniepokoiła. Owszem, ci hiszpańscy żandarmi eleganckiej postawy, o śniadój twarzy z czarnym wąsikiem, w czarnych z cienkiego sukna surdutach o srebrnych guzikach i czerwonych wyłogach, w trójgraniastym, w tyle podniesionym do góry kapeluszu, czarno lakierowanym w niepogodę, śnieżno-białą chustką obwiniętym w dzień słoneczny, przypominali mi raczej którąś z wesołych operetek, aniżeli niebezpieczeństwo wykolejenia pociągu, załamania się mostu i czyhających na naszą zgubę brygantów. Wreszcie aby się załatwić jeszcze z jednym zarzutem, jakoby turyści na kolejach hiszpańskich narażali się na śmierć z głodu, wystarczy zapisać, że w Irunie, gdzie pociąg zatrzymuje się całą godzinę, (właściwie pół godziny; ale drugie pół godziny zyskujemy na różnicy pomiędzy czasem paryskim a madryckim; mój zegarek, wskazujący czas wiedeński, w Irunie wyprzedzał o całą godzinę zegary miejscowe), za 3 i pół franka śniadanie jest równie dobre jak w lepszych restauracjach paryskich, około 7 zaś, na stacyi Miranda de Ebro, za 4 franki podają suty obiad z wyśmienitą czerwonym winem. Tém, nawet bardzo wymagający turysta może i powinien się zadowolnić.

Z Irunu, krajem górzystym i małowiczym o godzinie drugiej przybywamy do Saint Sebastianu, który dla Hiszpanii jest tém, czém Biarritz dla Francji. Na wysuniętym śmiało w morze przylądku wznosi się wysokie wzgórze, którego szczyt wieńczy silna forteca, w ostatniej wojnie domowej główna kwatery Don Carlosa. Domy miejskie i wykwintne pałacyki przyczepiły się do podnóża wzgórza.

czasem szerszy, czasem węższy ganek; z drugiej strony zaś kabiny, jakby na okrętach, o dwóch kanapach, z których na noc każda zamienia się w wygodne łóżko, dwa drugie łóżka zawieszają nad niemi. Na dłuższych podróżach, zwłaszcza w noocy, sleeping-car jest wielkim dobrodziejstwem, czego doznałem powracając z Madrytu bez przerwy do Paryża (dwie noce i cały dzień). Natomiast zachodzi ta niedogodność, że z galeryi widzimy tylko jedną stronę drogi, z kabin drugą a nie można, jak w zwykłych wagonach, patrzeć równocześnie na obie strony. Jeżeli więc chodzi o poznanie romantycznej okolicy, nierównie odpowiedniejszemi są tak zwane Aussichtswagen, np. na kolejach austriackich, to jest wagony bez wszelkich przedziałów, o szerokich na wszystkie cztery strony oknach i zamiast zwykłych siedzeń, taborecikach, na których można się łatwo obrócić na wszystkie strony. Za użycie sleeping-caru dopłaca się 20⁰/₀ ceny zwykłego biletu I-jej klasy.

Pociąg tuż nad morzem wjeżdża do wspaniałego dworca, na którym ruch wielki, bo nie tylko z wszystkich stron Hiszpanii goście przybywają tu na letni pobyt; ale także żaden turysta zwiedzający Francją południową, nieomieszka dotrzeć do Saint Sebastianu. Po lewej stronie kolei, tuż za dworcem, na gotém polu spostrzegamy okrągły gmach z czerwonej cegły — to pierwszy cyrk hiszpański a jeden z największych, bo może pomieścić około 20,000 widzów. Gdy pociąg po kilku minutach rusza z miejsca, rzucamy ostatnie pożegnalne spojrzenie na sine fale Atlantyku i wjeżdżamy w labirynt stromych gór kantabryjskich. Pociąg szybko wznosi się w górę. Przy małej stacji, a właściwie samotnej szopie wśród nagich skał, Otzaurte, przypominającej stacyjkę na szczycie Semeringu, przebywszy 1158 metrów długi tunel, stajemy na grzbiecie (614 metrów nad morzem). Tu roślinności, prawie wcale nie ma: nagie góry najeżone są szpiczastymi skałami, rzadko lasek dębowy rozwesela ponury krajobraz w stylu Ruysdaela. W miarę, jak pociąg spuszcza się na dół, kraj przybiera cechę przyjemniejszą. Dolina Alawy roi się od wiosek, nad którymi górują szare, okrągłe wieże kościołów. Z wzgórz po prawej stronie wita nas starożytna Vitoria, stolica prowincji Alawy, wreszcie romantyczną doliną Zadorry docieramy do stacji Miranda, gdzie w głębokim wąwozie szumi wąski jeszcze, ale otoczony już cienistymi kasztanami Ebro. Już po zachodzie słońca dostrzegamy wieże kościołów i wyniosłe dachy zamków dawniej stolicy staréj Kastylii, Burgos, gdzie w kaplicy ratyszowej spoczywają zwłoki Cyda, pierwowzoru poważnej rycerskości hiszpańskiej, której wykoszlawienie wyobraża Don Kichot.

Tymczasem konduktor usiał łóżka w kabinach sleeping-cara, udajemy się więc na spoczynek. O wschodzie słońca obudziłem się w pobliżu Avili. Odtąd po ogromnych wiaduktach i przez kilkanaście długich tunelów pociąg wznosi się na dziko-romantyczne pasmo gór Guadarrama, w której wschodniej części znajduje się słynny w naszych dziejach wojskowych wąwóz Samosiera, aż przez 948 metrów długi tunel Cawady przebywa grzbiet góry, wzniesiony 1359 metrów nad poziom morza. Jestto najwyższy punkt, jakiego dotarła kolej europejska. Szybko odtąd spuszcza się w dolinę, zarosłą obszernymi lasami dębowymi na włościach księcia Medina Celi. Niebawem jednak krajobraz przybiera cechę kamiennéj pustyni: z wszystkich stron piętrzą się szare skały przerzniete wąwozami, na których spodzie szumią strumyki, na polach zaś, zarzuconych kamieniami, jak Karst pod Tryestem, nędzne błakają się kozy i owce; z wyjątkiem małych dworców, nigdzie nie dostrzedz ani wioski ani chaty. Dziś tu jeszcze znać złowrogie następstwo wyludnienia Kastylii w skutek wychodźstwa do Ameryki, a przysłowie które wówczas powstało, że „kto chce podróżować po Kastylii, musi chleb zabrać ze sobą,“ dziś jeszcze popłaca.

Śród tej ponurej puszczy, za małym, ale ładnym dworem, w środku wielkiego parku, spostrzegamy ogromny granitowy pałac Escorial, wystawiony w roku 1565 przez Filipa II, wskutek ślubu, jaki uczynił

przed bitwą pod Saint Quentin. Pałac ten o 15 bramach i 1,110 oknach, kosztował 8,000,000 dukatów. Kiedy raz przed postem portugalskim unoszono się nad ogromnym pałacem, odparł: „Jakże ogromny musiał być strach króla przed bitwą?” Hiszpanie uważają Escorial jako ósmy cud świata. Z kolei nie widać wcale, aby na to zasługiwał, a każdy nieuprzedzony podróżnik chętnie przyzna pierwszeństwo Wersalowi i Schönbrunnowi. To są prawdziwie królewskie rezydencje letnie, gdy ponury śród kamienną puszczy Escorial, był dla Filipa II mniej więcej tem, czém odludna wyspa Capri dla Tiberiusza. Po dwugodzinnej jeszcze jeździe, śród zawsze równie smętnej okolicy, której północny widnokrąg zamyka pasmo gór Guadarramy; o godzinie 7½ stajemy w wspaniałym dworcu Madrytu.

Przed dworcem w długim szeregu czekają omnibusy hotelowe, doróżki, a nieco dalej tramwaje o czterech mułach. Zanim na dachu omnibusu „Hotelu paryzkiego” umieszczono niezliczone kufry i pudełka złożonej z trzech pań i poważnego mężczyzny rodziny angielskiej, z którą odbyłem podróż w sleepig-carze, minęło niemal pół godziny. Wreszcie jedziemy i ciekawym okiem spoglądamy wkoło siebie. Zaraz za dworcem, na stromém wzgórzu, piętrzy się wspaniały pałac, śnieżnobiały, jakoby dopiero wczoraj wystawiony z kararyjskiego marmuru. Grzeczny był członek poselstwa francuzkiego w Madrycie, z którym później bliżej zapoznałem się przy table d'hôte, objaśnia mnie, że to pałac królewski. Objechawszy go zdołu, omnibus stromą drogą zwraca w prawo i teraz znajdujemy się przed wykwintną przednią fasadą pałacu. Naprzeciwko znajduje się piękny park, plaza del Oriente, w której środku na granitowej podstawie stoi posąg Filipa IV, wykonany podług obrazu Velasqueza. Następnie wjeżdżamy do Calle Major, jednej z najpiękniejszych ulic stolicy i przebywszy plac puerta del Sol, zatrzymujemy się przed obszerną narożnią kamienicą przy Calle de Alcalá: to „Hôtel de Paris.” Podręczniki podróże ostrzegają przed nieuczciwością gospodarzy hiszpańskich i zalecają targować się na samym wstępie. Co do mnie, kierowałem się pewnym fatalizmem, na którym wyszedłem dobrze w Madrycie, jak w południowej Francji. Zażądałem małego pokoju. Zaprowadzono mnie do wykwintnie urządzonego saloniku, o grubym kobiercu i białych, lakierowanych, jakby z marmuru ścianach, prawda, że na czwartém piętrze. Ale skoro nie mamy zamiaru przyjmować wizyt, lecz przeciwnie spędzić jaknajmniej czasu w pokoju, wysokość pomieszkania nic nie wadzi. Bez wszelkich targów rozgościłem się więc w wskazanym mi pokoju.

Aby skończyć od razu z hotelem i dostarczyć ewentualnym naszym turystom zacerpniętych nie z Joannów i Bädekerów, lecz z własnego doświadczenia wskazówek, nadmieniam, że w Madrycie jest zwyczaj stołować się w hotelu. Kto się temu prawu nie poddaje, jest jednak zmuszony płacić za śniadanie (dejeuner od 11 — 12) i obiad (diner od 7—9). Krępuje to poniekąd swobodę turystów, za to strawa wysmienita. W Hôtel de Paris na śniadanie podawają trzy potra-

wy (ryba i 2 mięsa), sér i najsmaczniejsze owoce, do tego wybornego czerwonego wina w wielkich karafach do woli. Na obiad rosół, cztery potrawy, lody, cukierki, sér, owoce i zawsze czerwonego wina do woli. Ilekroć wstałem od tych sutych śniadań i obiadów (czyli obiadów i wieczerzy), zawsze przyszło mi na myśl, jak mało niekiedy mądrości zawierają przysłowia narodowe. I tak starodawne przysłowie hiszpańskie opiewa: „Cuatro Espanoles, cuatro caballeros,” czterej hiszpanie, czterej kawalerowie—na co zgoda. Dalej przysłowie to twierdzi, że 4 anglicy, to 4 pijacy; czterej francuzi, to 4 filuci; 4 niemcy to 4 lokaje i t. d., z czém niech się rozprawią anglicy, stanowiący najznaczniejszy kontyngens turystów w Hiszpanii, oraz francuzi i niemcy, którzy teraz walczą ze sobą wszędzie, nawet przy table d'hôte w Madrycie. O nas owo przysłowie powiada: „Cuatro Polacos, cuatro glotonos,” co znaczy: „Czterech polaków, to czterech żarłoków.” Otóż jakkolwiek kuchnia u nas nie podniosła się jeszcze na te wyżyny sztuki, na których stoi w Francyi i Hiszpanii, to jednak co do sutości obiadów hiszpanie zaiste nie mają prawa czynić nam wymówek! Upojony nowością i urokiem Madrytu, grząłem coraz głębiej w fatalizmie rozumując trochę lekkomyślnie, że skoro Bóg dał dojechać aż do Madrytu, starczy także na te kilka dni w hotelu, bo przygotowałem się na gruby rachunek. Tymczasem zapoznałem się z sędziwym a chudym ex-generałem austriackim i tłustym fabrykantem z Lublani, którzy od pięciu tygodni podróżowali po Hiszpanii, a siedzieli naprzeciwko mnie przy table d'hôte. Generał zwłaszcza, śledzący w Hiszpanii śladów Wizogotów i przygotowany na to gruntownie, jak mu się zdawało, lekturą dzieła d-ra Philippsona o Filipie II (w znanym zbiorze Onkena, który i na mnie od trzech lat jakby z puszeki Pandory sypie skarby swoje po 3 marki za zeszyt), codziennie układał się, targował i przenosił z jednego piętra na drugie. Że zaś złe przykłady, zwłaszcza dawane z poważnej strony, psują dobre obyczaje, przeto wreszcie trzeciego dnia z rana zapytałem sekretarza hotelu, co mój pokój kosztuje, na co odparł: 11 franków tout compris, czyli 5 florenów za pokój, śniadanie, obiad i obsługę! Przygotowany na podwójną cenę, już chciałem mu odpowiedzieć słowami barona Gondremarcka z „Vie parisienne” Offenbacha, że nie chcę bynajmniej, aby się dla mnie zrujnował. Ten niewczesny zapęd wygórowanej sumienności pohamowałem rozważą, że dyrekcyja hotelu oczywiście dokładnie obliczyła dochody i wydatki i musi na tém wyjść nieźle. Mnóstwo gości dozwala hotelowi stawiać tak umiarkowane ceny, jakoż przy obiedzie w paradnej i rzęsiście oświeconej sali jadalnej na pierwszym piętrze, do głównego długiego stołu, przyozdobionego świeżemi kwiatami i drogiemi wazami, i kilku pomniejszych stolików, zasiadało około sto osób, pomiędzy niemi naturalnie też kawalerowie miejscowi, nie prowadzący własnego gospodarstwa, jak zwłaszcza pewien młody poseł, którego nie widywałem w parlamencie, ale zato wszędzie, dokąd zdążają turyści, w hotelu, w kawiarniach, w teatrze, na Prado i t. d.

Przebijając się, z okna hotelowego obejrzałem słynny plac Puerta del Sol. Ma on kształt łuku lub otwartego wachlarza i ztąd na wszystkie strony rozchodzą się ulice, zwłaszcza na zachód Calle major, na wschód Calle de Alcalá. Wszystkie pięciopiętrowe domy, o jednostajnych żółtych fasadach, mają długie balkoniki a raczej galerie o żelaznych kratkach. Tylko ministerjum robót publicznych czerwonymi cegłami z białymi gzymsami okien, w którym to stylu są wystawione wszystkie gmachy rządowe, odbija od jednostajnych fasad ościennych kamienie. W środku placu stoi wielka marmurowa, choć nie odznaczająca się ozdobami rzeźbiarskimi fontana. Wkoło niej z wszystkich stron przybywają i odjeżdżają tramwaje, otwarte z boku a ciągnięte przez trzy wychudłe, ale wytrwałe muły; dalej plac roi się od omnibusów i paradnych karet, zwłaszcza gdy wielki świat madrycki z ogrodów powraca na obiad. Na szerokich trotuarach od rana do późnej nocy (t. j. mniej więcej do godziny 2-jej) ruch ogromny. Jak w Wenecyi na placu *š-go Marka*, w Tryeście na *Corso*, w Wiedniu na *Grabenie*, w Peszcie na nabrzeżu *Franc. Józefa*, w Paryżu na bulwarze włoskim — tak w Madrycie ruch miejski skupia się na Puerta del Sol. Tu znajdują się najwykwintniejsze sklepy, kantory wekslarские, księgarnie, tu kolporterzy oskrzyplym głosem wywołują najświeższe dzienniki, tu zbierają się wszystkie zbijobruki obu płci, tu gapią się turyści z czerwonym *Murrajem* lub niebieskim *Joanem* pod pachą, tu czasem samorodni tenorzyści nucą pieśni z werwą, któraby wywołała huczne oklaski w pierwszorzędnym teatrze, tu też czasem, choć stosunkowo rzadko ¹⁾, spotykamy żebraka o strasznie wykoszlawionych członkach. Tak jest dziś na Puerta del Sol i podobnie było tam od wieków. I tak np. w opisie, wydanym w r. 1802 ²⁾, czytamy o tym ciekawym placu: „Tymczasem tłum coraz to się zwiększa. Tu kolporterzy roznoszą dzienniki, tam śpiewacy nucą pieśni, tam znowu kuglarze pokazują swe figle, obok handlarzy cygar i starych ubiorów żołnierze pułków szwajcarskich sprzedają swój towar sycerski. Tu tłum otacza nowelistę, odczytującego na głos dziennik, tam chłopiec z Walencji pokazuje tańczące małpy, tu odbywa się licytacya zegarów, pierścieni i fałszywych diamentów, tam dziewczęta cisną się do stolika pisarza publicznego; tu zatrzymuje nas kaleka-żebrak żałosnym głosem, tam urocza dziewczeczka podaje nam róże; tu czubią się fakini, tam robią miłosne obstalunki“...

Po śniadaniu ulicą de Alcalá wprost udałem się do bulwaru, czyli raczej, jak mówią w Madrycie, salonu del Prado. W środku cieniściej alei kasztanów znajduje się piaszczysty, wygładzony i wymieciony plac, po którym wieczorem gęsty tłum przechadza się, jakby po sali

1) Powiadam rzadko, aby podnieść, że w Madrycie zbroactwo nie jest wcale więcej rozpowszechnione, aniżeli w innych większych miastach, zwłaszcza włoskich.

2) „Gemälde von Madrid“ von Chr. A. Fischer. Berlin 1802.

balowej. Pod drzewami stoją liczne krzesła i ławki, jakby łoże dla widzów. Piękne marmurowe fontany zdobią „salon,” który w prawo przedłuża się aż do Puerta de Atocha, w lewo zaś aż do Paseo de la Castilla. Cały ten długi bulwar stanowi niejako wschodnią granicę starego miasta. Przy Prado, w pobliżu królewskiej galerii obrazów, na wywyższeniu, otoczonym żelaznymi sztachetami, wznosi się olbrzymia piramida na cześć bohaterów 2 maja r. 1808 (dos de mayo). Na tém miejscu, w obronie parku przeciwko pułkom Murata odegrała się najkrwawsza scena ludowego powstania 2 maja. Tu poległo przeszło 1000 madrytczyków, pomiędzy nimi trzej oficerowie artylerji Ruiz, Daoiz i Velarde, którzy byli stanęli na czele powstańców. W wieczór tegoż dnia, po odniesioném krwawém zwycięztwie, Murat odezwał się do hiszpańskiego ministra wojny O'Farilla, że 2 maj Hiszpanię oddał w ręce Napoleona. „Powiedz raczej—odparł O'Farill—że mu ją na zawsze odebrał.“ Istotnie ten 2 maj r. 1808 wydrzążył otchłań pomiędzy narodem francuzkim a hiszpańskim. Wprawdzie dziś inteligencya hiszpańska stoi niewątpliwie po stronie Francyi, bo konserwatyści hiszpańscy czują się zasadami swemi zbliżonymi do konserwatystów francuzkich, a stronnictwo liberalne i republikańskie w urządzeniach Francyi widzi urzeczywistnione swe ideały. Ale to wszystko niema nic wspólnego z szczepowemi sympatjami. Owszem masy ludu hiszpańskiego i dziś jeszcze raczej nienawidzą aniżeli miłują francuzów, oczywiście głównie wskutek owych krwawych walk, które się rozpoczęły 2 maja r. 1808. Ponownie zresztą w Hiszpanii przekonałem się, jak małą doniosłość pod względem praktycznym ma pokrewieństwo szczepowe. Język hiszpański i francuzki, wyrobione na spólnej podstawie łaciny, są zbliżone do siebie może więcej niż dwa inne języki, a jednak francuz nie rozumie hiszpańczyka. Już na stacyi Irunie, dokąd dyrekcya kolei północnej może z pewnej kokieterji narodowej, wysłała samych urzędników i konduktorów, nie mówiących po francuzku, nie można się z nikim rozmówić, ani nawet z kasyerem. Na tramwajach, w teatrze, w Prado usiłowałem zawiązać rozmowę z ludźmi średnich warstw, ale jeżeli który z nich przypadkiem nie mówił po francuzku, co się zdarza, nie było sposobu zrozumieć się, tak samo, jak roku zeszłego w Białogrodzie nie mogłem się rozmówić po „słowiańsku.“ Naturalnie wszyscy ludzie o wyższém wykształceniu w Hiszpanii mówią po francuzku, jak w Zagrzebiu, Białogrodzie, mówią albo po niemiecku, albo po francuzku. Ale co do mas, pokrewieństwo szczepowe, romańskie, nie ma najmniejszego praktycznego znaczenia. Pokrewny język francuzki dla nich jest tak samo niezrozumiały, jak obcy angielski lub chiński. Zauważyłem zresztą, że dziwna, gardłowa wymowa hiszpańczyków nadzwyczaj utrudnia zrozumienie.

Salon del Prado jest tylko niejako przysionkiem ogromnego ogrodu Buen retiro (1400 metrów długiego a 1100 metrów szerokiego), który bezwątpienia zasługuje na nazwę najpiękniejszego ogrodu wiel-

komiejskiego, bo przewyższa i lasek Buloński i Prater wiedeński. W środku, na kryształowo-przezroczystym stawie, otoczonym kamienną galerią, przesuwały się różnobarwne czółenka. Cały zaś ogród przerzyna szeroka, o potężnych lipach aleja. W dziesięciu rzędach, zdążają tędy przepyszne karety, ciągnięte arabskimi kółmi, do wielkiego tarasu na krańcu ogrodu. Przepyszny ztąd widok. Raz spoglądamy na daleki, górzysty krajobraz przerznięty srebrną wstęgą Manzanaresu, a zamknięty na prawo ciemnymi górami Guadaramy; to znowu wzrok zatrzymuje się z radością na tym taborze pojazdów, z których tysiące czarnych oczów błyszczy ogniem, walczącym na ostre z strzałami zachodzącego słońca! Najprzesadniejsze uapożór opisy i powieści o wdziękach niewiast hiszpańskich nie zdołały osiągnąć rzeczywistości. Mistrz pędzla odda tę delikatną białą (wcale nie oliwną) skórę, te czarne wielkie oczy, te zgrabne postacie; ale nie zdoła wyobrazić tego pełnego życia, którym drgają, tej nadzwyczajnej powagi obok dziecinniej wesołości, tego serdecznego uśmiechu obok niezwykłej bystrości. Nie będziemy się więc kusili na opisanie tego, co opisać godnie się nie da. Zaznaczę tylko, że ani w Wiedniu, słynnym z wdzięków niewieścich, ani w Paryżu, słynącym słusznie z elegancji kobiet, nie spotkałem tyle i tak pięknych pań i pańien, co w Madrycie. Czarny, tradycyjny woal koronkowy przeważa. Wprawdzie założyciel ogrodu Buen retiro, znany z dziejów hiszpańskich minister reformator Arauda, wydał rozporządzenie, że panie mogą przechadzać się po ogrodzie w ubiorze francuzkim a — przed wejściem powinny zdjąć woal! Ale i dziś jeszcze, choć starzy w Madrycie (jak wszędzie) ubolewają nad znikaniem stroju narodowego i grasującą modą francuską, w karetach i na chodnikach Buen retiro, starodawny woal hiszpański bardzo znacznie przeważa nad kapeluszem francuskim. Natomiast mężczyźni wszyscy odziani czarnymi tużurkami podług żurnalu paryżkiego i w cylindrach. Sądząc stosunki ekonomiczne Madrytu podług taboru karet i wspaniałej uprząży w Buen retiro, może otrzymalibyśmy nieco przesadne wyobrażenie o dobrobycie mieszkańców Madrytu; bo trzeba by przypuścić, że licząca tylko 500,000 ludności stolica hiszpańska, mieści więcej ludzi bogatych, aniżeli Wiedeń i Paryż, które liczą milion i dwa miliony dusz. Tymczasem rzecz ma się tak, że w Madrycie paradne karety są głównym a może jedynym zbytkiem, gdy w Paryżu i Wiedniu gusta zbyt kłopotliwie rozdrabniają się w różnych kierunkach.

Powróciwszy do miasta, obejrzałem plaza mayor, która nigdy nie zasługiwała na nazwę placu pięknego, ale jest jednym z najosobliwszych. Do tego placu w kształcie czworoboku 122 metrów długiego a 44 szerokiego, nie prowadzi żadna ulica, tylko przez bramy domów z ościennych ulic dostajemy się na Plaza Mayor. Jestto więc jakoby dziedziniec, otoczony ze wszech stron domami wysokimi o czterech piętrach, spoczywających na parterowych arkadach, tworzących ganek, którym obejść można cały plac. Pod temi arkadami

znajduje się skład przy składzie, tylko że to nie te wykwintne składy jubilerskie, które arkadom placu ś. Marka i gankom Palais royal nadają cechę tak świetną, błyszczącą złotem i brylantami, lecz po większej części sklepy najtańszych towarów do codziennego użytku, ubiorów, obuwia, bielizny, wielkich jak koło od wozu czarno-aksamitnych kapeluszy (sombrreros), które noszą torerowie i andaluzyjczycy, szerokich, czarnych, podszytych czerwonym lub niebieskim aksamitem płaszczy (cappas), dalej trafił tytoniu, a zwłaszcza wybornych cygaretek (bo co do cygar, te są bardzo poślednie), sklepy win, restauracje i t. d. W środku placu, otoczony krzakami i żelaznemi sztaketami, stoi posąg Filipa III na koniu. Dawniej tu odbywały się auto da fé, teraz Plaza mayor jest targiem na warzywa i z tego względu dostarcza pożądanę sposobności do studyowania typów ludowych.

Nazajutrz, wracając z galeryi obrazów, wszedłem do pałacu sejmowego, Palacio del congreso, na małym placu przy ulicy San Geronim, blisko salonu del Prado. Przed pałacem stoi posąg Cervantesa, przypominający trochę wychudłą i kościstą postać Don Kiszota według ilustracji Dorégo. Największy pisarz, a zarazem najszlachetniejszy obywatel narodu hiszpańskiego, wzór poświęcenia dla ojczyzny, rodziny i honoru, wzór wyrzeknięcia się próżności, ambicji i poziomych zysków materyalnych, wzór odwagi niezłomnej, wierności i powagi bez dumy, szlachetny jak król, ubogi jak Job, dzielny jak lew, dowcipny jak czart a prosty jak dziecię, Miguel Cervantes zasługuje na posąg wspanialszy; ale miejsce dobrze wybrane, bo któżby swym przykładem mógł jaśniej przyświecać tym, którym naród z wolnego wyboru poruczył pieczę nad honorem i szczęściem kraju? Pałac izby poselskiej jest kopią paryskiego palais Bourbon, a zatem wielkie kamienne schody, wspaniały portyk spoczywający na kolumnach, sala świetna w kształcie semicykla z wyłączeniem łóżami dla widzów. Na krześle marszałka, za którym stoi woźny a raczej herold w średnio-wiecznym, paradnym stroju, siedzi hrabia Torreno, blondyn, w sile wieku, kierujący obradami z wielką werwą i często wdawający się w dowcipne rozprawy z mówcami opozycji. Posłowie, powiększej części poważni, starsi panowie, spoczywają wygodnie na czerwonych aksamitnych nie fotelach, lecz kanapach, łaskę i kapelusz trzymając w ręku, a więc nie robiąc nigdy notatek. W parlamentach niemieckich, ministrowie siedzą na krzesłach ustawionych przed trybuną marszałka, a więc naprzeciwko posłów, wyobrażając tym sposobem władzę niezależną od parlamentu lub „stojącą ponad stronnictwami.“ W parlamencie francuskim i węgierskim ministrowie siedzą w pierwszej ławie posłów w środku, naznaczając tym sposobem teorię angielską, według której rząd jest komitetem wykonawczym parlamentu. Natomiast w hiszpańskiej izbie poselskiej, ministrowie zasiadają w pierwszej ławie na skrajnej prawicy, jako przywódcy większości. Kiedy zwiedzałem parlament, toczyły się właśnie rozprawy nad ostatnimi wyborami. W Hiszpanii, jak w niektórych innych państwach,

nie większość parlamentarna robi rząd, lecz przeciwnie rząd robi większość, czyli innemi słowy, każdy rząd hiszpański w wyborach odnosi zwycięstwo, a każdy mniejszość parlamentarna, nie bez racyi, oskarża potem rząd, że wpływał na wyborców i przeszkadzał kandydatom opozycji. Tym razem zarzuty te podnosili mówcy lewicy, odpowiadał zaś z niepospolitą siłą krasomówczą a zarazem z dystynkcyą męża stanu, minister spraw wewnętrznych p. Romero Robledo, wysoki, blondyn, liczący pewnie około 50 lat. Słuchano go z wielką uwagą, tak samo jak potem p. Sannazara ze skrajnej lewicy, który w piorunującej mowie zbijał wywody ministra. Natomiast, gdy powstał pewien bardzo poważny i gładko mówiący poseł z ław środkowych, sala natychmiast się wypróżniła; tak wszędzie wywody spokojne, słowa odzywające się do rozsądku, nie zaś do namiętności, „nudzą“, a poklask zyskują tylko skrajni!

Odwiedziny w parlamencie przypomniały mi zamiar rozmówienia się z którym z wybitniejszych mężów stanu Hiszpanii. Dzięki listom polecającym z Paryża, mogłem udać się do prezesa gabinetu p. Canovas del Castillo, który jako dziejopisarz zajmuje pierwszorzędne stanowisko w piśmiennictwie hiszpańskiem. Zważywszy jednak, że najnniej rzeczy ciekawych można się dowiedzieć od ministrów w urzędzie, a najwięcej od byłych lub przyszłych ministrów, pojechałem do byłego prezesa rzeczypospolitej hiszpańskiej p. Emiliana Castelara i oddawszy bilet wizytowy, otrzymałem zaproszenie na drugi dzień na godzinę 9-tą wieczorem. Jest to chwila, kiedy w Madrycie wstawają od stołu. P. Castelar zamieszkuje drugie piętro w nowym domu przy szerokim bulwarze Serrany, w lewo od Puerta de Alcala. Dom nie jest okazały, ale bardzo przyzwoity, tylko że białe drewniane, nie pokostowane nawet schody nie przystawają do wykwintności stołecznej. Z skromnego przedpokoju wchodzimy do dwóch salonów, przedzielonych tylko portjerą. W obu salonach białe ściany od dołu do góry pokryte są przeważnie małemi olejnymi obrazami w szerokich złotych ramach. Nie miałem czasu przypatrzeć się dokładnie tej świetnej galerii obrazów, ale zdawało mi się, że niektóre z nich trzeba zaliczyć do arcydzieł i że nawet znajdują się pomiędzy niemi utwory zawczasie zmarłego Fortuniego, najznakomitszego mistrza hiszpańskiego w miniaturowym gatunku rodzajowym i pod tym względem dość poważnego rywala słynnego Meissoniera. Na podłodze w obu pokojach rozpostarty gruby kobierzec o czerwonych kwiatach na białym tle. Zwłaszcza drugi, trochę mniejszy salonik, zapełniony sofkami, wygodnemi fotelami, balzakami, taborecikami z aksamitu czerwonego, ciemno-niebieskiego, żółtego i t. d. Kiedy służący wprowadził mnie do salonu, palito się tam dopióro kilka świec, ale natychmiast rozświecano dwa kryształowe pająki, a nadto postawiono mnóstwo świec na kandelabrach, konsolach i kominku. Widocznie ex-prezydent rzeczypospolitej hiszpańskiej hołduje zasadzie Goethego: „Licht, mehr Licht.“ Przy tém oświetleniu a giorno różno-

barwne malowidła, kobierce i fotele tworzyły całość nadzwyczaj malowniczą i ciepłą.

Kilka minut byłem sam w drugim saloniku. W pierwszym zebrało się kilka osób. Ale zanim miałem czas obejrzeć dokładnie to ciekawe ustronie, szybkim krokiem zbliżył się do mnie ruchliwy p. Castellar, ściskając za ręce, jakbyśmy się byli znali od wielu lat. Liczy on wprawdzie przeszło 50 lat (ur. 1832 r.) i przechodził różne burze, więzienie, wyrok śmierci (r. 1866) i wygnanie, na pierwszy rzut oka nie przypisałbyś mu jednak więcej nad 40 lat. Jest to mężczyzna średniego wzrostu, o silnym wąsie a ogolonój brodzie, blond włosach, choć się urodził w Cadizie, i wielkich, przenikliwych oczach, których blask łagodzą binokle. Mówi bardzo prędko i choć z wybitnym akcentem hiszpańskim, poprawnie po francuzku a z takim ogniem, z tak śmiałymi zwrotami i trafnymi przykładami i porównaniami, że może hiszpańczycy nie przesadzają zbyt, skłaniając Castellara jako największego mówcę tegoczesnego. Po kilku wstępnych uwagach, wesliśmy in medias res. Niedługo przed mym wyjazdem do Madrytu, dzienniki donosiły o zbliżeniu się Castellara do p. Canovas del Castillo. Chodziło mi o to, aby się dowiedzieć, czy były prezydent rzeczypospolitej pogodził się może z monarchią? Otóż tak nie jest, p. Castelar spodziewa się powrotu rzeczypospolitej. Dzisiejszą królową Krystynę, jak wiadomo księżniczkę austriacką, oskarża o wielką dumę, którą odstręcza dworowi nawet monarchistów, rządowi dzisiejszemu zarzuca fałszowanie wyborów i parlamentaryzmu. Dalej, jakkolwiek p. Canovas kilkakrotnie naznaczył swe sympatyje dla Francji, p. Castelar przypisuje dzisiejszemu rządowi skłonność do porozumienia się z Niemcami przeciwko Francji, której on (Castelar) pozostał wiernym i gorliwym przyjacielem. I tak na wiosnę w r. 1871 za rządów króla Amadeusza, p. Castelar wygłosił kilka świetnych mów, w których zaczepiał „tyranów Niemiec“ i militarizm tego państwa, które napadło Francją, aby jój odebrać dwie prowincje i miliardy i które naraża wolność wszystkich narodów na niebezpieczeństwo; wzywał więc rząd hiszpański, aby tych zdobyczy nie uznawał i nie wchodził w żadne traktaty z uowem cesarstwem niemieckiem, lecz na podstawie demokratycznej porozumiał się z narodami szczeru romańskiego. Dziś po 13 latach mąż stanu hiszpański nie zmienił swego zdania co do Niemców. Już w r. 1864 założył był dziennik „Democracia“, w której stawał w obronie wolności indywidualnej, ganił rządy burbońskie, ale też stanowczo potępiał mrzonki socjalistyczne. I w tym względzie p. Castelar pozostał konsekwentnym. Jakoż, gdy dotknąłem świeżego wówczas frazesa księcia Bismarcka o „prawie do pracy“, której państwo powinno dostarczyć wszystkim, i w ogóle tak zwanych reform socyalnych rządu berlińskiego, mąż stanu hiszpański z wielką werwą wykazywał zgubne skutki zwichnięcia, będącej podstawą wszystkich wielkich i wzniołych czynów, i wszelkiego postępu wolności indywidualnej bądźto pod firmą socyalizmu demokratyczne-

go, bądź tak zwanego socjalizmu państwowego. Rozumie się samo przez się, że stanowczo potępiał ową starą, bo już r. 1848 wprowadzoną w życie przez Ludwika Blanca teorią o „prawie do pracy“, którą teraz wygłasza książę Bismarck i niemiecka szkoła socjalistów czerwonych i białych. Siedząc na małej kanapie w drugim saloniku rozmawialiśmy tak dwie godziny z wzrastającym (przynajmniej po méj stronie) zajęciem a zarazem zdziwieniem, jak łatwo nam synom dalekiego Wschodu zrozumieć się z reprezentantem cywilizacji hiszpańskiej. Nie wynika ztąd wcale, abym podzielał wszystkie zasady p. Castelara, owszem w niejednym punkcie byłem odmiennego zdania. Ale nawet dyskutować, sprzeczać się można tylko wtenczas, jeżeli jest pewna spólna umysłowa, cywilizacyjna podstawa. Z ślepych nie można rozprawiać o kolorach, z głuchym nie można sprzeczać się o wyższości wagnerowskiej muzyki przyszłości lub melodyjnej metody Mozarta i Rossiniego. Tak samo rozprawiać, zgadzać się lub sprzeczać można tylko z tymi, którzy wyrosli na pokrewnej podstawie cywilizacyjnej, t. j. mniej więcej od Madrytu do Zagrzebia. Już w Białogrodzie możliwość ta ustaje. Tymczasem dokoła nas na fotelach zasiadło grono poważnych mężów, posłów, profesorów, artystów, a pierwszy, większy salon wypełnił się gęstym tłumem, wśród którego było wielu młodzieży studentów, których p. Castelar, pełniący obowiązki profesora wszechnicy, widocznie zwabia do siebie. O godzinie 11-jej pożegnałem uprzejmego gospodarza, którego zaproszenia na obiad na dzień następny z powodu innych zobowiązań przyjąć nie mogłem. P. Castelar zamierzał w sierpniu zwiedzić Austryą, ale zdaje się, że cholera zamiar ten nateraz zwichnęła.

III.

Przy bulwarze del Prado znajduje się galerya obrazów, real museo. Zdaleka pałac ten nie zwraca na siebie uwagi. Od strony bowiem bulwaru zastaniają go cieniste drzewa, pomiędzy niemi wprowadzone z szczytu Himala cedry o ogromnych, czarno-zielonych gałęziach, spadających aż na dół na trawnik. Z drugiej strony wznosi się wzgórze, na którym stoi klasztor św. Hieronima, za którym widać park publiczny. Przysunętemu do podnóża wzgórza pałacowi, niedostaje więc niezbędnej, zwłaszcza osiadłym szeroko na ziemi gmachom w stylu greckim, perspektywy. Katedry gotyckie nie potrzebują przestronnych placów, bo tam i tak oko dąży koniecznie w górę. To też prawie wszystkie starożytne katedry gotyckie były blisko otoczone kościoł z votów, nie dodaje świątyniom gotyckim szczególniejszego uroku. Wystawmy sobie natomiast kościół św. Magdaleny u podnóża wzgórza i bez téj wspaniałej perspektywy, jaką tworzy najprzód szeroka ulica, potem place de la Concorde, a w końcu na przeciwnym krańcu symetrycznie ustawiony palais Bourbon! Otóż real museo

jest gmachem na wpół w stylu greckim, na wpół w stylu renesansu florenckiej. Wspaniały portyk, który jednak nie znajduje się naprzeciwko bulwaru del Prado, lecz z boku, kolumnami i marmurowymi wschodami przypomina wejście do świątyni greckiej, natomiast dwie fasady podługowate, z których jedna zwrócona do bulwaru, masywnymi kształtami odtwarzają florencki palazzo Pitti, tylko że w środku zgrabna kolumnada urozmaica jednostajność długiej ściany. Wzniesiony na obszernym, płaskim a nieco wywyższonym placu pałac real museo, byłby już pod względem architektonicznym świetną ozdobą każdej stolicy. Tak trzeba poprzestać na tém, że mieści w sobie jedną z najkosztowniejszych, a jak twierdzą niektórzy, najkosztowniejszą galerię obrazów całego świata.

Jakoż pomiędzy 2,200 płótnami mamy tutaj 64 utworów Velasqueza, 46 Murilla, 58 Ribery, 10 Rafaela, 66 Rubensa, 20 Poussina, 68 Giordana, 22 Van Dyka, 54 Breughela, 10 Klaudyusza Lorraina, 16 Guida Reniego, 75 Ticyana, 54 Tintoreta, 25 Pawła Veroneńczyka. Rafaela, Ticyana i t. d., można studyować w galeriach włoskich, francuzkich i niemieckich. Aby poznać dokładnie szkołę hiszpańską, która w XVII wieku zajęła pierwsze miejsce, trzeba koniecznie zwiedzić real museo. Przynosi to wielki zaszczyt rządowi Hiszpanii, że pomimo gwałtownych przesilen i ciągłych kłopotów skarbowych, umiały zatrzymać w kraju prawie wszystkie arcydzieła swych mistrzów.

Sztuka malarska w Hiszpanii rozwinęła się pod wpływem wielkiego realisty i często w wyborze swych tematów odrażającego Józefa de Ribera (1580—1656). Potém podwójnym kierunkiem wznosi się do szczytu swego: w realistycznym przewyższył innych Velasquez de Silva (1599—1660), malarz, a nawet marszałek nadworny Filipa IV; w idealnym Bartłomiej Murillo (1618 — 1682), obaj zrodzeni w Seville, pierwszy twórca szkoły madryckiej, drugi sewilskiej. Wszyscy to wiemy z podrózników dziejów malarstwa. Ale nikt ani z najlepszych opisów, ani z rozpowszechnianych coraz więcej rycin, nie zdołał sobie utworzyć pojęcia o rzeczywistém mistrzostwie tych dwóch wielkich mistrzów, dopóki nie stanie w Madrycie przed ich wiekopomnymi utworami.

Jak w galerji florenckiej „Tribuna,” w Luvrze paryzkim „salon-carré,” tak w real museo galerja „de la reyna Isabel” stanowi salę honorową. W Dreźnie dla jednej Madonny Rafaela urządzono osobną salę albo raczej kapliczkę, pełną zawsze lubowników, spoglądających z uniesieniem na ten utwór cudowny. Ileż-to takich kapliczek trzeba by urządzić dla arcydzieł galerji „de la reyna Isabel!” Aby pominąć liczne płótna Rafaela, pomiędzy nimi tę uroczą N. Maryą Panę z Dzieciąciem i św. Annę na tle wonnego krajobrazu, znaną pod nazwą „perła,” bo Filip IV, nabywszy ten obraz, rzekł: „To będzie perła mojego zbioru;” i aby pominąć liczne arcydzieła Rubensa, Tintoreta, Poussina, Lorraina, widzimy tu słynne obrazy Velasqueza: „Apollo

w kuźni Wulkana," „Los boracchos," „Błazen Filipa IV" i inne, oraz Murilla: „Madonna," „Adoracya pasterzy" i t. d. By zrozumieć dokładnie Velasqueza, trzeba jednak odszukać jeszcze w innych salach umieszczone utwory jego, jak: „Las hilanderas" (fabryka kobierców), „Chrystus na krzyżu," „Las meninas" (rodzina królewska), „Poddanie Bredy," zwane także: „las lanzas" od lasu dzid w tyle obrazu, portrety Filipa IV, ks. Fernanda, Olivareza i t. d. Zaiste Velasquez jest nie tylko jednym z najznakomitszych portrecistów wszystkich wieków, ale największym biografem wśród malarzy! Każda z tych jego twarzy królów, książąt i królewien, odsłania nam tajemnicę swego serca i umysłu. Aby typy ludzkie tak zbadać, ożywić, uwiecznić, jak to uczynił Velasquez, do tego potrzeba owiej siły twórczej, jaką dziś wśród malarzy historycznych posiada jeden Matejko, jakoż „Stańczyk" jest rodzonym bratem „Bouffona" Velasqueza. Ale także w obrazie rodzajowym Velasquez jest mistrzem pierwszorzędnym. Jakiżto mistrzowski ten kontrast pomiędzy słoneczno-młodzieńczą postacią Apollina, a temi rubasznymi kowalami w kuźni Wulkana! „Los boracchos," pijacy, jest jednym z pierwszych utworów Velasqueza, to też koloryt jeszcze trochę suchy, ale już cała genialność wielkiego mistrza odsłania się w tym realistycznym oddaniu sceny, które sprawia, że „upajamy się widokiem tych pijaków." Na tym obrazie mistrz uwydatnił różne stopnie pijaństwa. Ten piękny, uwieńczony zielonym liściem młodzieniec, z podniesioną jakby do śpiewu lub przemowy ręką, stawia pierwszy krok na drodze, na której ta grupa tłoczącej się czerni, lub ta inna grupa głupowato śmiejących się do nas z obrazu twarzy, dochodzi do zezwierżenia. Nie można z najpospolitszych, a nawet najbrzydszych wypadków codziennego życia skorzystać świetnie, jak to uczynił Velasquez na tym słynnym obrazie.

Ktokolwiek jednak w sztuce szuka przedewszystkiem piękna, a my śmiało zaliczamy się do tych „optymistów," ten niewątpliwie przyzna pierwszeństwo Murillovi. Jestto mistrz czystości, dziewiczości i wzniosłości. Wzrok jego pełen słońca, serce miłości, dusza gorącej wiary. Jego Madonny, to prawdziwie niebiańskie postacie, a nawet ten przeważający na jego obrazach kolor biały (czystość) i niebieski (wierność), ma coś anielskiego. Dzięki opiece swego ziomka Velasqueza, Murillo, w r. 1643 dostał się do Madrytu i tu przez dwa lata studyował zbiory królewskie. Potem cichy i skromny mistrz powrócił do rodzinnej Sewilli i wnet wslawił się obrazami, któremi ozdobił kościół św. Franciszka. Największą sławę jednak zjednał sobie ośmiu wielkimi utworami w kościele szpitala św. Jorge de la Caridas. Pracując nad „Zaręczynami św. Katarzyny" w kościele OO. Kapucynów w Cadiksie, spadł z rusztowania i wskutek odniesionych ran umarł 3 kwietnia 1682 r. w Sewilli, gdzie w r. 1660 był założył pierwszą szkołę malarską. Geniusz Murilla stał wyłącznie w służbie kościoła. Rzeczy świeckie uważał snąć jako niegodne pędzla swego. Kiedy nawet Rafael często swym Madonnom daje tło ziemskie („la belle jardi-

nière" w Luwrze, „la vierge à poisson,” „la vierge á la rose,” „la sainte famille á l'agneau" i t. d. w real museo), Murillo chętnie swe Madonny na obłokach, kwiatach, gwiazdach lub księżycu wznosi w strefy niebiańskie. Trudno wyobrazić sobie większej sprzeczności pomiędzy kierunkiem idealno-wzniosłym, a gminno-realistycznym, jak ta, która zachodzi pomiędzy utworami Murilla a przesadnie wystawianego w Niemczech Dürera, przenoszącego Rodzinę Najświętszą w ponure domki i dziedzińce norymberskie!

Oprócz wymienionych już powyżej utworów Murilla w sali honorowej, słynna jego „Immaculata“ zdobi jedną z sal pobocznych (nr. 878 katalogu). Tu mistrz w stylu eterycznym („style vaporoso“) doszedł do szczytu swego. Z najniewinniejszą a zarazem najpoważniejszą twarzą dziecięcą, którą kiedykolwiek wymarzył mistrz pędzla, z wielkimi, ciemnymi, zadumanymi oczami i złożonymi rękami, N. Marya Panna spoczywa na półksiężycu; śliczne aniołki z liliami, różami, palmami i bluszczem na białych chmurkach krążą około N. Panny. Obraz ten zdolny i najtwardszego sceptyka wprawić w nastrój uroczysty. Inny utwór Murilla, uważany przez niektórych jako jego dzieło najznakomitsze, znajduje się w akademii San Fernando przy ulicy Alvala. W środku płótna ś. Elżbieta (santa Izabel) trędowatemu chłopcu myje zakrwawioną głowę. Po lewej stronie stary żebrak oczekuje tego samego dobrodziejstwa, po prawej, staruszka z wdzięcznością i uwielbieniem spogląda na świętą niewiastę; dwie urocze dziewczeczki podają świętej Elżbiecie naczynia z wodą. Jestto jeden z rzadkich obrazów, na których Murillo z swój zwykłej wysokości idealnej zstąpił na poziom ziemski. Ale ileż tu mimo tego poezyi! A jakaż ogromna różnica pomiędzy tą sceną a odrażająco okrutnymi płótnami Ribery!

Nie możemy tu już wspomnieć o innych, mniej znanych u nas mistrzach hiszpańskich, jak Juanez, Prado, Moro, Essalante, Cano, Tristan, Covello i inni, którzy jednak nawet obok Rubensa, Tycyana, Veroneńczyka, zwracają na siebie uwagę. Wspomnimy tylko jeszcze o trzech obrazach interesu miejscowego. Są to najprzód dwa portrety Filipa II, który Madryt uczynił stolicą monarchii. Pierwszy obraz pędzla Rubensa, przedstawia króla na paradnym karym arabskim koniu o długiej grzywie i ogonie, w lśniącym pancerzu, okrytym czarną burką hiszpańską i w kapeluszu z piórami. Twarz króla wyraziła, poważna. Za nim w powietrzu wznosi się otyła flamandka (z skrzydłami anioła!), kładąc na głowę królewską wieniec laurowy. W dali widać bitwę, choć jak wiadomo, Filip II nie lubił się narażać na kule. Drugi obraz Antoniego Moro (1512—1588) przedstawia króla w starości. W bogatym salonie Filip II stoi w czarnym ubiorze, lewa ręka, oparta na rękojeści szpady, prawa na poręczy krzesła. Podługowata, wynędziała twarz kryje się w szerokim, koronkowym, białym kołnierzu, na głowie wysoki czarny kapelusz. Na pierwszym obrazie przebija fantazyja malarza-dworaka, który też umiał tak pięknie wyideali-

zować dzieje Katarzyny Medycejskiej (w Luwrze); na drugim poznać odrazu mistrza realistycznego kierunku Velasqueza. Cały ten szereg królów hiszpańskich, wywodzących swój ród od arcyksięcia Filipa Pięknego i Johanny (szalonój), ma coś nader smętnego i melancholijnego; gdyby Karol V, Filip II, Don Carlos, Don Juan d'Austria i t. d. nie byli się rodzili na tronie, przypominaliby Larę albo Korsarza, Lambre albo Wacława. Przed tym, zupełnie widocznie wiernym portretem Filipa II, te wspomnienia mimowolnie się nasuwają.

Trzeci obraz, utwór Franciszka Rizi (1608—1685), wyobraża ostatnie auto da fé na Plaza major w r. 1680. Obejrząwszy plac ten, trzeba też przypomnieć sobie dawniejsze, krwawe przeznaczenie jego. W tyle, arkady domów zamienione w łoża. W środkowej siedzą król Karol II z żoną, po prawej i lewej stronie panie i panowie dworu. W środku placu, gdzie teraz stoi posąg Filipa IV, na estradzie obradują sędziowie. Ustawione amfiteatralnie krzesła, po lewej stronie zajęli duchowni, po prawej stronie widzowie świeccy. Na ołtarzyku pomiędzy estradą sędziów a krzesłami duchowieństwa, właśnie co odprawiono Mszę świętą. Na przodzie szlachta, policyanci i zakonnicy wprowadzają dziwnie ubranych delikwentów. Stosu, na którym będą spaleni nie widać. Będzie on wzniesiony niezawodnie na miejscu, gdzie stoi estrada sędziów. Ribero byłby to przedstawił w barwach żywszych, płomienistszych, aniżeli dyskretny Rizi!

W parterowych salkach real museo, są umieszczone niektóre utwory tegoczesnych mistrzów hiszpańskich; mianowicie znakomity obraz: „Donna Juana la locca“ Józefa Pradilli. Kiedyśmy ten utwór ujrzeli poraz pierwszy na wystawie paryskiej w r. 1878, wprawili nas poprostu w uniesienie. Po sześciu latach spotkawszy się tymczasem z „Juaną“: na wystawach monachijskiej i wiedeńskiej, a teraz znowu w Madrycie, mógłbym tylko powtórzyć to, co o znakomitym utworze Pradilli pisałem z wystawy paryzkiej do „Gazety Warszawskiej“ (w sierpniu 1878 r.). Wszyscy zresztą znawcy, choć zrazu krytyka francuzka uporczywie milczała o „Juanie“, przyznali jęj czasem pierwszeństwo, na wszystkich wystawach otrzymała nagrodę.

Otworzona w kilka dni przed mým przyjazdem do Madrytu w pięknym różnobarwnym pałacyku, śród parku buen retiro corcezna wystawa obrazów (z francuzką „salon r. 1884“) dostarczyła mi pożądanę sposobność zapoznania się nieco dokładniej z dzisiejszém malarstwem hiszpańskiem. Głównie uderza stanowczy zwrot do tematów historycznych. Zaraz w pierwszej, centralnej sali spostrzegliśmy dwa wielkie obrazy: „Wjazd króla Jakóba do Walencji“ Fernanda Richarta i „Expoliarium“ Jana Luny. Pierwszy powstał pod wpływem Makarta. Ta sama w głównych zarysach kompozycya, co na „Wjeździe Karola V-go do Antwerpji“ mistrza wiedeńskiego, tylko że zamiast półnagich dziewcząt, królowi Jakóbowi towarzyszą pancerni żołnierze. Na obrazie Richarta zbytęcznie przeważa kolor biały a cała ulica, którą wjeżdża król zwycięzki, wystana kwiatami, podobuiej-

sza do gobelinu niż do obrazu. Z tém wszystkiém znać, mianowicie po wykończeniu szczegółów, że młody mistrz hiszpański posiada niepospolity talent. Jan Luna, urodzony w Manili, uczeń akademii madryckiej, już w r. 1881 za obraz „Śmierć Kleopatry“ otrzymał drugą nagrodę. Młody mistrz ten lubuje widocznie w tematach okrutnych. Co to znaczy: „Expoliarium“? W sklepie cyrkowym, zwanym „spoliarium“, składano ciała zabitych lub śmiertelnie zranionych gladiatorów. Nazajutrz wpuszczano krewnych i przyjaciół do rozpoznania trupów. Równocześnie niewolnicy, głównie murzyni, na powrozach wywlekają trupy po szerokich wschodach na dziedziniec, gdzie spłoną na stosie. To wywlekanie trupów gladiatorów nazywa się „expoliarium“ i stanowi tło obrazu Luni. Pokaleczone trupy, zwierzęce figury niewolników, zrozpaczone twarze krewnych i przyjaciół, to wszystko składa się w groźną całość. Mistrz zamierzał strofować „barbarzyństwo rzymskie“, wywiązał się z tego zadania zwycięzko, tylko szkoda, że kosztem piękna, które powinno być zawsze głównym celem malarstwa.

W ogóle, na obrazach młodszych mistrzów hiszpańskich śmierć zajmuje zbyt szerokie miejsce. Są oni nadto zarażeni tym czarnym pesymizmem, który filozof Martin w „Candidzie“ Voltaira streścił w uwadze, że świat został stworzony „pour nous faire enrager.“ I tak Jan Agrasot, uczeń szkoły Walencji, wystawił: „Śmierć generała del Duero,“ 27 czerwca r. 1874 pod Monte Muro. Śmiertelnie zranionego wodza adjutanci konno uprowadzają z bitwy, z twarzy żołnierzy i oficerów poznajemy, że ten wódz był ulubieńcem wojska, z rycerskich rysów konającego jakby nas dolatywało szlachetne: „dulce et decorum est pro patria mori.“ Joachim Sorolla, także w Walencji, przedstawił scenę z bohaterskiej obrony parku madryckiego przeciwko francuzom 2 maja r. 1808. Mieszczanie i mieszcanki przy jedyniej armacie ustawionej w bramie ogrodu, staczają ostatni, rozpaczliwy bój przeciwko nacierającym gwałtownie żołnierzom. Są na tym obrazie drobne usterki, niejako błędy gramatyczne, ale jest malowany z duszą. W inny znowu sposób śmierć, a raczej potęgę śmierci, wystawia Moreno Carbonero na obrazie „La conversion del duque de Gandia.“ Ten sam temat opracował dawniej francuzki impressionista Jean Paul Laurens. Don Franc. Borgia, księżę Gandii, późniejszy następca Lojoli w zakonie Jezusa, kochał się w pięknej cesarzowej Izabelli. Kiedy umarła przy pożogu, Borgia jako wielki koniuszy cesarza Karola V-go odprowadzał jęj zwłoki do grobowca w Grenadzie. Tam kazał otworzyć trumnę, ale ujrzawszy twarz ukochaną strasznie zeszpeconą śmiercią, padł w objęcia jednego z rycerzy i poświęcił się służbie bożej. Równie znakomicie podobną scenę oddał Muñoz de Grain na obrazie: „Los amantes de Teruel.“ Czém w Weronie był Romeo i Julia, tém w Hiszpanii są kochankowie z Teruel, Diego i Izabella, o których śpiewa pieśń ludowa:

„Los amantes de Teruel,
Que en vida en la muerte
Siempre se quisieron bien.“

W środku kaplicy w otwartej trumnie spoczywają zwłoki świeżo co zmarłego Diega. Śród żałobnego nabożeństwa młoda Izabella, którą ojciec zmusił wyjść za innego, rzuca się na kochanka i umiera. Jestto jeden z najznakomitszych obrazów tegorocznej wystawy. Ale i na tém nie kończy się szereg obrazów grobowych. Trzebaby jeszcze wymienić; „Ostatnie chwile Filipa II-go“ Casanowy, „Hamleta“ Barbudy, „Smierć króla Pedry“ Monterey, „Lopez de Vega na cmentarzu“ Urii, „Cerwantes piszący przed śmiercią dedykacją do hrabiego Lemos“ Olivy Rodriga, „Antonio Perez po torturze“ Bersusa i t. d. Jakkolwiek więc zwrot do kierunku historycznego i mistrzowskie wykonanie szczegółów zapowiadają świetny rozkwit malarstwa hiszpańskiego, jednostronność i jednostajność ponurych tematów dotąd ten rozkwit wstrzymuje.

To też hiszpańczycy powinni wystrzegać się przesadnych sądów, jakimi się niekiedy upajają. I tak najpoważniejszy organ madrycki „Epoca“ dopuściła się wielkiej przesady, oświadczając z powodu tegorocznej wystawy: „Wystawa r. 1884 jest tryumfem malarstwa hiszpańskiego nie tylko w własnym kraju, ale w całym świecie romańskim. Portugalia jest zbyt małą, aby wydać własną szkołę. Włochy nie mają malarstwa narodowego, dawno zniknęły słynne szkoły florencka, lombardzka, rzymska, wenecjańska; jedni z malarzy włoskich, jak Talloni, Ferrari, Neno, popadają w alegoryzin germański, lub tworzą sceny religijne bez wiary; inni naśladowają i przesadzają manierę Fortuniego, ani nawet Morelli, Passini, de Nittis nie odznaczyli się na wystawie paryżkiej (1878) i na rzymskiej (1882). Malarstwo francuzkie żyje tylko z okrucichów dawniej wielkości i sławy. Tak więc wśród narodów romańskich malarstwo hiszpańskie zdobyło teraz pierwsze miejsce.“ Otóż w tém wszystkim jest dużo przesady. Przejeżdżając przez Paryż, naturalnie zwiedziłem „salon“ tegoroczny. Jakkolwiek „Hołd pruski“ Matejki prym trzymał, było tam kilkanaście wielkich obrazów pierwszorzędnych i kilkadziesiąt utworów rodzajowych i krajobrazów, z którymi hiszpańskie: „Łup wojenny“ Galegosa, „Diana w kąpielii“ Peredy, „Widok Neapolu“ Seneta i t. p. ani porównać się nie mogą. Dziś weszło w modę domyślać się we wszystkich dziedzinach upadku Francji. W sztuce ten domysł jest całkiem fałszywy. Hiszpańczycy będą musieli jeszcze wiele pracować, zanim się będą mogli w malarstwie spółubięgać z francuzami. Nateraz mogą być dumni z tego, że znowu zajęli poważne stanowisko w gronie innych narodów. Przypisywać sobie pierwszeństwo, zakrawałoby na śmieszna zaściankowość, niegodną tak oświeconego narodu!..

Łaskawi czytelnicy teraz mają prawo zapytać: a gdzież te rzeczy dziwne, fantastyczne, potworne, specjalnie hiszpańskie i niepojęte dla nas,

słowem, te rzeczy, które nazywamy: Cosas de Espana? Rzeczy te istnieją, a są niemi „byki,“ „toros,“ jak w skróceniu zowią to hiszpanie, aby oznaczyć walkę z bykami, czyli corrida de toros. Wrażenia, jakie sprawia ta mania, nie mogą lepiej uwydatnić, jak przypominając pewien ustęp z drugiej części Don Kiszota. Tam cyrulik u łóża chorego rycerza smutnej postaci opowiada (w wydaniu ilustrowaném Dorégo, tom II, str. 10):

W zakładzie obłąkanych w Sewilli zostawał pewien licencyat, który otrzymał swe stopnie na wszechnicy Ossuny ¹⁾, ale byłby niezawodnie téż zwaryował, choćby był studyował w Salamance. Po kilkoletnim pobycie w zakładzie, ów licencyat w listach, napisanych rozumnie i dowcipnie, zapewniał arcybiskupa, że tylko cheiwi krewni nieprawnie zatrzymują go u czubków. Arcybiskup polecił przeto swemu kapelanowi zbadać stan rzeczy. Kiedy kapelan przybył do zakładu, rządca oświadczył mu, że wprawdzie licencyat często rozmawia bardzo rozsądnie, ale w końcu wpada w takie szaleństwa, że co do liczby i wielkości wyrównywają najrozsądniejszym zdaniom, które był wypowiedział poprzednio. Nie przestając na tém oświadczeniu rządcy, kapelan udał się do licencyata, rozmawiał z nim całą godzinę i nabrał przekonania, że to nietylko człowiek zdrowy na umyśle, lecz bardzo wykształcony i rozsądny. Zażądał więc od rządcy uwolnienia pacyenta. Licencyat nie chciał opuścić zakładu, nie pożegnawszy się z swymi kolegami. Kapelan, dyrektor i kilka innych osób towarzyszyli mu na téj wizycie pożegnalnej. Z początku wszystko szło dobrze. Wreszcie licencyat stanął przed klatką pewnego waryata i oznajmił mu, że jako wyleczony opuszcza zakład.

— Ty wyleczony! — odparł szaleniec -- he! he! niech cię Bóg prowadzi. Ale przysięgam na Jowisza, którego majestat reprezentuję na ziemi, że za ten błąd, które popełnia Sewilla, wypuszczając cię z zakładu i uważając cię za rozumnego, tak srogo ukarze to miasto, że pamięć przetrwa wieki. Amen. Nie wieszże, iż będąc Jowiszem, mógłbym piorunami swymi zburzyć miasto? Lecz nie uczynię tego. Wstrzymam tylko przez trzy lata deszcz. Ach! tyś wolny, tyś zdrow, tyś rozumny, a ja jestem chorym, związanym, błaznem!...

Obecni uważnie przysłuchiwali się krzykom i słowom waryata; ale licencyat zwróciwszy się do kapelana i ścisnąwszy mu rękę, rzekł poważnie:

— Niech waszmość nie lęka się wcale i nie zwraca uwagi na groźby tego szaleńca; jeżeli on jest Jowiszem i chce wstrzymać deszcz, to ja jestem Neptunem, ojcem i Bogiem wód i sprawię więc, że deszcz będzie padał ilekroć mi się będzie podobać i będzie tego potrzeba.

Na to kapelan:

— Jednakże, panie Neptunie, nie wypada drażnić pana Jowisza. Niech więc wasza wysokość nateraz pozostanie w swój klatce.

¹⁾ W Ossunie wszechnicy nie było.

Innym razem, gdy będziemy mieli więcej czasu i sposobności, przyjdziemy wyprowadzić cię.

Dyrektor i obecni buchnęli głośnym śmiechem. Licencyata zaś rozebrano i osadzono znów w klatce.

Podobnie, jak ów licencyat, hiszpanie grzecznością, powagą i rozsądkiem ujmują przychodnia i zdają się kłamać zadawać wszelkim ujemnym opisom i paszkwilom. Dopiero „byki“, „toros“ w tym narodzie tak szlachetnym, przyzwoitym i oświeconym, nagle odstawiają coś, co zakrawa bardzo mocno na szaleństwo, a przynajmniej równie zdrotną jak pod względem gospodarskim, tak pod względem estetycznym manią! Kiedy przebrawszy się w dzień przyjazdu do Madrytu (środa, 28 maja), wyszedłem na ulicę Alcala, aby się dostać do Prado i do galeryi obrazów, na placyku sewilskim spostrzegłem małą drewnianą budę a przed nią gęsty tłum ludu, tworzący szpaler. Sprzedawano tam bilety na nadzwyczajne przedstawienie w cyrku, które się miało odbyć dnia następnego. Od 9-tój zrana do samego południa, pomimo 35 stopni ciepła, z 10,000 osób kupowało bilety. Raz poraz stojący w szpalerze zapraszali przechodniów na swe zdobyte wytrwałością miejsce w pobliżu budy. Tego rodzaju przemysł świadczy tylko, iż rzeczywistego przemysłu w Madrycie nie ma. Inaczej, młody i zdrowy człowiek nie stałby kilka godzin na placu sewilskim, aby wreszcie sprzedać swe miejsce za kilkadziesiąt centimów! Swoją drogą aźiotaż kwitnął w kawiarniach, restauracjach i hotelach. Miejsca po 4 pesety (franki) sprzedawano po 8. Cena miejsc zależy od tego, czy są w słońcu czy w cieniu (bo cyrk nie jest przykryty). Łoża o 10 miejscach w cieniu, kosztuje 100 peset. Popołudniu, przechadzając się po mieście, we wszystkich składach księgarskich i fotograficznych, widziałem w oknach portret słynnego espady Manzantiego, który wstawiał się w innych miastach Hiszpanii, miał w czwartek przedstawić się poraz pierwszy publiczności stołecznej, dalej portret dawnego ulubieńca madrytczyków espady Rafaela Moliny z przydomkiem Largarljo (jaszczurka), niemniej portrety sześciu czarnych byków z obór donny Dolores Montyo w Muruwie, które miały mieć zaszczyt zginąć od szpady słynnych matadorów. Stowem, nie było można uczynić kroku, nie spotykając się z „bykami.“

W hotelu przy obiedzie o tém tylko była mowa. Kilkunastu podróżnych po Hiszpanii umyślnie urządzili się tak, aby na czwartek przybyć do Madrytu. Mój generał austriacki zapomniał o swych studiach gockich i twierdził, że trzeba koniecznie przypatrzeć się temu widowisku narodowemu; fabrykant, rumieniąc się coraz bardziej dzięki czerwonemu winu, potakiwał, jak zawsze. Co do mnie, oświadczyłem tym panom, że jak nie poszedłem w Paryżu do abattoiru, tak samo nie czuję się bynajmniej zobowiązanym być w Madrycie na rzezi byków i koni. Nazajutrz zrana, w ten wielki czwartek, pojechałem do nader przyzwoitego młodego pana L. M., do którego miałem listy polecające. Przyjął mnie z serdecznością hiszpańską czyli staropol-

ską, bo to to samo. Pomówiwszy o różnych rzeczach poważnych, p. M. zaczął mnie gorąco zapraszać do swój łoży w cyrku, jest bowiem zaabonowany na cały sezon, to znaczy, że nie licząc przedstawień nadzwyczajnych, co niedzielę przypatruje się „bykom.“ A nie jest to zaiste „un petit maitre,“ jak ich z francuska opisuje Le Sage w „Gil Blasie,“ lecz człowiek poważny i wykształcony, zajmujący już wpływowe stanowisko. Skoro więc usłyszałem go unoszącego się nad bykami, znalazłem się mniej więcej w tém samym położeniu, co ów kapelan w zakładzie obłąkanych w Sewilli, gdy licencyat odstąpił swą manię nep-tunowską!

Kiedy po śniadaniu znowu ulicą de Alcalá szedłem do wystawy obrazów, wszystkie tramwaje, omnibusy, wykwintne karety, przedpotopowe bryki i malutkie wózki dążyły w stronę puerty de Alcalá, za którą na gołym polu stoi cyrk. Jestto jeden z największych w Hiszpanii, kamienny, z maurytańskimi arkadami, mogący pomieścić 20,000 widzów. W dni nadzwyczaj uroczyste kilkanaście tysięcy nadto przed cyrkiem przygląda się przybyciu aktorów i widzów i czeka na wieści o przebiegu „corridy.“ Przedstawienie rozpoczęło się o godzinie 4. Od téj chwili ulice Madrytu wydawały się zupełnie wyludnionemi. Około godziny 7 wracałem do hotelu. Teraz ulica de Alcalá przedstawiała obraz niesłychanie malowniczy. W otwartej karecie, wyprzedzonej pikierami w wspaniałych mundurach, król Alfonso, w czarnym ubiorze, z żoną i siostrami, wracał z „corridy.“ Potém gęsty tłum pojazdów, zapełniając całą szczeroką ulicę de Alcalá, toczył się ku puerta del Sol. Przepelnione tramwaje, ciągnięte przez trzy wychudłe muły, powoli posuwają się naprzód. Obok paradnych karet, które zwracałyby na siebie uwagę znawców w lasku Bulońskim, skrzypli zakurzone omnibusy, zapełnione na dole i na dachu namiętnie gwarzącymi pasażerami, ciągnięte przez 8—10 mułów. Tam znowu malutką dryndulkę o parze kół ciągnie dwóch osiołków, zaprzężonych wdłuż. Jestto jakoby wystawa wszelkiego rodzaju pojazdów, używanych w Hiszpanii od 300 lat. Muły i osły ozdobione różnobarwnymi wstęgami i dzwonekami. Dźwięk dzwonek, krzyk stangretów, gwar wracających w uniesieniu z „corridy“ widzów, sprawiają wrażenie ogłuszające. Nagle wszczynają się ogromna wrzawa: oto w otwartym powozie, z miną królewską, w paradnym aksamitnym płaszczku, i lśniącym od złota żupanie, jedzie bohater dnia tego Don Manzanini. Jestto typ pięknego hiszpana, o bladéj twarzy, kruczych włosach i czarnym wąsiku, nadto pono jedyny szlachcic czyli don pomiędzy torerosami. Zapełniający trotoary przechodnie, z których żaden nie zdjął kapelusza gdy król przejeżdżał, witają torera głośnie „vive Manzanini!“ W powozach, wyprzedzających bohatera, wszyscy obracają się, aby go podziwiać, w tylnych powozach wstawają z posiedzeń, aby go nie stracić z oka. Mężczyźni powiewają kapelusami, panie chustkami. Powtarza się to, gdy przejeżdża Molina Lagarlio, a nawet piccadorowie, w malowniczych strojach, jadący po czterech

w otwartych powozach uczestniczą w zapale publiczności. Ten powrót z cyrku, pod względem malowniczości przewyższający słynną Praterfahrt wiedeńską (1 maja), a nawet podobno słynne procesje na wyścigi w Anglii, niezawodnie stanowi najciekawszą część „byków.“

Z ulicy, potem z balkonu hotelu przypatrywałem się temu malowniczuemu widowisku. Wszedłszy do rzeźbiście oświetlonej sali jadalnej, spostrzegłem siedzących w framudze okna mych dwóch turystów austriackich. Ale, że nie wyglądali wcale wesoło, manewrowałem tak, aby się nie spotkać z nimi — przed rosołem. Obok mnie siedziały trzy panie, angielski, matka, córka i ciotka, a dalej głowa rodziny. Wiedząc że angielski mają bardzo silne nerwy, zwłaszcza gdy chodzi o obejrzenie osobliwości, poleconej przez Murraja, z ciekawością na twarzach mych sąsiadek śledziłem wrażeń „byków.“ Nalawszy sąsiadce (matce) wina, pozwoliłem sobie zapytać, jak się bawiła w cyrku? Mężczyźni, doznawszy wrażeń nieprzyjemnych, najchętniej milczą, kobiety lubią pozbyć się ich czémprędzej wymownymi wynurzeniami. To téż angielska, jakoby z wdzięcznością przyjęła zapytanie i zaczęła opowiadać.

— Skoro prezes corridy (był nim don Gregorio Pane, choć zwykle ten urząd pełni burmistrz, a nawet w Madrycie podobno sam król), wśród grobowej ciszy dał znak chustką, przy dźwięku wesołego marszu weszła do areny tak zwana Kadryla. Na arabskich karych koniach o długich grzywach i ogonach, wjechali czterej heroldowie w starohiszpańskich, aksamitnych strojach; za nimi postępowało 18 konnych picadorów w żółto-czerwonych żupanach, z niskimi, szerokimi, stómkowemi kapelusami na głowie, z dzidą w rękę; potem wpędzono galopem kilkanaście par obwieszonych dzwonekami mułów, które dobite konie i byki wywloką z areny; wreszcie otoczeni torerami i banderillorami w świetnych aksamitnych ubiorach, na paradnych arabskich koniach, wjechali główni bohaterowie walki don Manzantini i Rafael Molina. Kilkunastu chulosów, czyli sług w białych bluzach o czerwonych obwódkach pieszo tworzyli straż tylną. Przy dźwiękach muzyki i ogłuszających okrzykach 20-tysięcznego tłumu widzów, orszak kilkakrotnie przeszedł się po arenie, w końcu zatrzymał się przed lożą „prezydenta.“ Skoro tenże zrzucił obwinęty w chustce złoty klucz do stajni byków, heroldowie, picadorowie i muły opuszczają arenę. Torerowie zsiadają z koni, zrzucają z siebie aksamitne płaszcze i stawają, jak baletnicy, w jedwabnych pończochach, trzewikach o złotych sprzążkach, krótkich, aksamitnych spodniach, pas obwinęty czerwoną chustką, w wyszywanych złotem aksamitnych jaczkach, na śnieżno białej koszuli i w małych, czarnych, trójgraniastych kapelusikach. Wpuszczony do areny pierwszy z sześciu sławnych, karych byków, „Morito” „que era un bonito toro,” jak jeszcze tego dnia zaznaczały nadzwyczajne dodatki dzienników, zatrzwozony ogromnym tłumem widzów, nie miał najmniejszej chęci walczyć, lecz rozpaczliwie skakając na ścianę areny, szukał wyjścia. Tym-

czasem torerowie drażnią go żółtymi i czerwonymi chustkami, gdy byk zniża łeb, aby uderzyć rogami w chustkę, torero z jaszczurczą zwinnością odskakuje na bok. Wreszcie banderillorowie ranią byka ostrymi strzałami, ozdobionymi chorągiewkami. Już kilkanaście strzał utkwilo w skórze „Morita.“ Teraz byk wpada w wściekłość. Przy ścianie areny, nie już na paradnych koniach, lecz na wynędzianych, po większej części ślepych szkapach, istnych Rosinantach, czekają piccadorowie. W chwili, kiedy byk się zbliża, piccador rani go dzidą. Teraz byk całą siłą pchnie rogami w brzuch konia, który upada, gdy piccador zręcznie zeskakuje na drugą stronę, aby niebawem powrócić na innej szkapie. Tymczasem byk, pędząc po arenie, uderzył już śmiertelnie drugiego i trzeciego konia. Czasem zdychający już koń pod morderczym cięciem piccadora, powstaje raz jeszcze na nogi, aby otrzymać drugie pchnięcie byka. Osłabiony utratą krwi i walką byk, wreszcie już tylko tłoczy się po arenie. Wtedy zjawia się don Manzantini i otrzymawszy od prezydenta pozwolenie na ubicie byka, z długim mieczem, którego rękojeść obwinęta czerwona chustką, staje w środku cyrku. W chwili, kiedy się byk zabiera do ostatniego, rozpaczliwego pchnięcia rogami, matador zatapia mu miecz pomiędzy rogami w grzbiecie na tém miejscu, gdzie cięcie jest zabójczem. Śród hucznych okrzyków: „Vive Manzantini, ole, ole!“ byk martwy upada na piasek, poczem wpędzone w galopie czwórki mułów, galopem wywlekają dobite konie i byka, gdy tymczasem matador z dumą królewską przechadza się po cyrku, kłaniając się na wszystkie strony.

Byłyśmy, dodała angielfka, blizkie zemdlenia. Spojrzałyśmy po sobie i ujrzałyśmy twarze nasze śmiertelnie blade. Cofnęłyśmy się w tył łoży i nie widząc już niczego, słyszałyśmy tylko od czasu do czasu dźwięki muzyki, ryki byków, olbrzymi szmer 20-tysięcznego tłumu i przerażające okrzyki radości. Po dobieciu trzeciego byka (bo sumienny turysta angiłk wytrwał tak długo), wyniosłyśmy się czempredzėj, aby odetchnąć świeżem powietrzem!—Jestem mocno przekonany, że przynajmniej te panie drugi raz nie pójdę na „corridę.“ Tymczasem także, siedzący na przeciwko generał austriacki o tyle odetchnął po przykrych wrażeniach, aby się spowiadać. Był on w bitwach i widział nie mało koni, rozszarpanych kulami armatniami, ale przyznał się bez wahania, że już po pierwszym akcie, gdy jednemu z zranionych koni, aby go jeszcze raz popchnąć do „walki“ urznięto wnętrzości, opuścił cyrk, a fabrykant pocieszał się, że przecież nie „cały Madryt“ był w cyrku, gdyż dotarwszy do bram retiru, spotkał tam mnóstwo powozów. Jakkolwiek jednak istotnie nie cały Madryt był w cyrku, wieczorem wszędzie mówiono tylko o „nadzwyczajnym przedstawieniu,“ dzienniki zapełniały kilka łamów opisami i ilustracyami „corridy,“ rozdawano ulotne pisemka i portrety Manzantiniego z łbem byka jako winieta, a nawet pojawiły się utwory muzyczne, dedykowane „al distinguid Manzantini!“ Co gorsza,

w sobotę od 9-ej z rana, znowu stał gęsty szpaler przed kasą biletową na placu sewilskim, aby się dobijać miejsc na przedstawienie niedzielne.

Mój młody hidalgo na zapytanie, czy niema opozycyi przeciwko tym brutalnym widowiskom, odparł, że wysmianoby każdego, któryby się o to pokusił. Tak źle nie jest. Napoważniejszy dziennik hiszpański „Epoca“ w kilka dni po owém nadzwyczajném przedstawieniu, oświadczyła. „Podczas gdy najlepsze nasze przeglądy miesięczne upadają z braku abonentów, w każdym roku sprzedaje się mniej książek, malarze nasi wynoszą się za granicę, piśmiennictwo nie zapewnia już ani chleba, ani stanowiska i wskutek tego ruch umysłowy ustaje, — w takim czasie torerowie zarabiają tysiąc duros (duro = 5 franków) na miesiąc, przedsiębiorcy robią majątki, a 6 do 7 dzienników dla byków prosperują.“ Dlatego „Epoca“ ironicznie zaleca zmienić starodawne godło Madrytu i wywiesić w jego miejsce skrwawiony miecz torera! Podobno téż, na wzór naszych stowarzyszeń przeciwko pijaństwu, tworzą się w Hiszpanii stowarzyszenia przeciwko manii „byków.“ Dotąd jednak nie znać skutków tego prądu reformatorskiego, chociaż możemy zaznaczyć, że panie hiszpańskie (t. j. przyzwoite), chociaż tylko zwiedzają cyrk i to zwłaszcza wtedy, gdy jest zapowiadzana obecność dworu, który znowu ze względu na nałogi i przesady mas, nie śmie zerwać z tradycją „byków.“

Kiedy w r. 1563 Filip II z Toledo przeniósł się do Madrytu, nowa stolica Hiszpanii liczyła tylko 12,000 mieszkańców, kiedy umierał liczyła ich 300,000 i uchodziła jako najświetniejsza stolica ówczesna. Wtedy powstało przysłowie: „Kto nie widział Madrytu, nic nie widział.“ Przysłowie to z czasem tak samo przeżyło się, jak drugie: „Kiedy się porusza Hiszpania, drży świat cały.“ Aby poznać miasto wspaniałe, dziś nie potrzeba koniecznie zwiedzić Madryt, ale nikt pewnie tego ciekawego, posiadającego wybitną, odmienną, oryginalną cechę miasta nie opuści bez wrażeń bardzo silnych a przeważnie dodatnich.

LIUBUSUA,

LUBUSZA, LUBUSZ.

STUDYUM GEOGRAFICZNE.

Podobieństwo brzmienia imion własnych wprowadza nieraz w błąd, brak źródeł dostatecznych utwierdza w nim, a powaga badacza rozpowszechnia go; na podstawie zaś takiego błędu snują się w nieskończoność przeróżne wnioski i wyrabiają zdania mylne, które z jednego na drugie przechodzą pokolenie.

Nie ubliżając powagom, o których wspominać będę w toku téj pracy, sądzę, iż zestawienie odmiennych i sprzecznych zdań przyczynić się może do wyjaśnienia zachodzących wątpliwości, do głębszych w danym kierunku badań, lub do odróżnienia prawdy dziejowej od domysłów autorskich.

Rozpatrywać tu zamierzam Dytmara merseburskiego Liubusua, którą dziejopisarstwo nasze albo mylnie przezywa albo z innymi, podobnie brzmiącymi miesza miejscowościami.

Nazwa Liubusua, pisana także Liubuzawa, Lubuzua, Luibusua i Libusua, mogła niegdyś w ustach słowiańskich brzmieć: Lubuzawa, Lubuzwa lub Libuzwa i utrzcć się z czasem na: Lubuża, Lubusa, Lubusza lub Libusza, a ponieważ pisownią Libusua uważano w nowszych czasach za niepoprawną, pozostaje nam wybór między Lubuża, Lubusa i Lubusza. Z tych nazw jedną wypada nam wybrać, przyswoić sobie i konsekwentnie używać w mowie i w piśmiennictwie; przeistoczenie zaś takie jak np. Lubusz i Lubucz uważam za mylne, pierwotwór bowiem téj nazwy jest rodzaju żeńskiego i w tym rodzaju przechował się w nazwie zmienzonej Lebusa, którą zamieniono z czasem na Lebusę i Lebus.

Owóż ta Lubusua, którą zwać będę Lubuszą, znaną już była

wtedy, gdy o Lubuszu, z nad Odry, najczęściej mieszanym z Lubuszą, kronika świata jeszcze nie wspomina. Pod rokiem bowiem 931 opowiada Dytmar, biskup merseburski, że Henryk I, cesarz niemiecki, obsadzając Lubuszę, zniwolił obrońców jej do schronienia się do położonej w dolnej części miasta warowni i do poddania się; następnie kazał zburzyć tę część, która pustką stała aż do r. 1011 ¹⁾.

Przy tej wzmiance o Lubuszy wspomina Dytmar, że później rozwozić się o niej będzie obszerniej. I w rzeczy samej mówi o Lubuszy, składającej się z dwóch części, z których jedną z gruzów dźwignął, obwarował i załogą opatrzył w r. 1011 Henryk II. Pominąwszy jednolitą w nowszych zwłaszcza wydaniach kroniki Dytmara pisownią nazwy Liubusua, zauważyć wypada, że szczegóły podane w przywiedzionym powyżej ustępie zgadzają się z tém, co kronikarz później donosi; o tożsamości przeto Lubuszy Dytmarowej wątpić nie można.

Ta Lubusza więc stała na miejscu dzisiejszej wsi, zwanéj Lebusa, Lebus lub Lebus, między Damną i Śliwinem ²⁾, o dwie mniej więcej mile na wschód od Halsztrowa Czarnego ³⁾, na dawnych historycznych Łużycach, a obecnie w tak zwanéj pruskiej Saksonii. Lubusz zaś, stolica niegdyś biskupów lubuskich, zwany z niemiecka Lebus, leży na lewym brzegu Odry, na północ od Frankfurtu, w dawnej piastowskiej Wielkopolsce, a obecnie w Brandenburgii.

Jak tedy Lubuszę najdawniejsi kronikarze uważali za nazwę rodzaju żeńskiego, tak Lubusz, pisany: Lubus, Lubusc, Lubuc, Lubucz, Liubus, Libuz, Libusz, Lebus i t. p., uchodził zawsze za nazwę rodzaju męskiego. Tej zachodzącej w istocie rodzajów różnicy nie mamy powodu zacierać i tym sposobem niepotrzebny załóg wprowadzać do naszej nomenklatury historycznej.

Mieszanie obu miejscowości, o którym wspomniałem na wstępie, uwydatnić następującemi przykładami.

Szafarzyk ⁴⁾, powołując się na Dytmara merseburskiego, przeżuwa, że Lubusza nie jest Lubuszem; Lubuszan swoich mieści na północ od Ślubian czyli Selpulów, między Odrą i Sprową, w okolicy Lu-

1) Urbem quoque Liubusua, de qua in posterum lacius disputatur sum, diu possidens, urbanos in munuciuunculam infra eandem positam fugere, et se dedicio fieri compulit. Ex eo die, qua haec tunc incendio iuste perit, usque ad nostra tempora habitatores caruit. Thietmari Chron. I, 9, w Monum. Bielowskiego.

2) Liubusua ist Lebus, zwischem Dahme und Schlieben. Roepell. Gesch. Pol. I, 126 i inni.

3) Schwarze Elster.

4) „Tymczasem ze słów Dytmara i ze związku dziejów wynika, że miasto to (Liubusua) leżało niedaleko rzeki Łaby; dlatego też dowodliwsze jest zdanie tych, którzy je mieszczą w dzisiejszej wsi Lebusa, położonej w obwodzie Herzbergskim.“ Staroz. Słow. I, 731.

busza wielkopolskiego, a nie w „obwodzie Herzbergskim,“ jak mylnie o nim sądzi Z. Komarnicki, tłumacz kroniki Dytmara, w jednym z przypisków swoich do strony 14. Szafarzyk bowiem wspomina nawiasowo o mieście Liubusua, którego szuka „niedaleko rzeki Łaby,“ a wracając następnie do Lubuszan Adama Bremeńskiego i Helmolda, którzy według niego graniczyli ze Ślubianami, mówi o nich, że przez długi czas należeli do Polski i że w ich ziemi założono bardzo wcześnie biskupstwo. Że Szafarzyk tu nie miał Lubuszy na myśli, najwymowniejszym tego dowodem jest powołanie się jego na Wohlbrück'a, monografa biskupstwa Lubuskiego, który przecież nie o Lubuszy łużyckiej pisał, lecz o Lubuszu wielkopolskim. Komarnicki dodał do słów Szafarzyka: „U Lubuszanów, należących przez długi czas do Polski, założone było bardzo wcześnie biskupstwo“ — dwa wyrazy od siebie: „tych tu“ t. j. Lubuszanów, przez co przekręcił myśl jego i podsunął niezgodne z prawdą twierdzenie, jakoby w „dzisiejszej wsi Lebus, położonej w obwodzie herzbergskim“ założono bardzo wcześnie biskupstwo. Lubuszanie zresztą z okolicy Lubuszy łużyckiej, nad Halsztrowem Czarnym, nie przez długi, lecz przez stosunkowo krótki tylko czas należeli do Polski, o czém Szafarzyk dobrze wiedział, pisząc o Lubuszanach z nad Odry.

Lelewel ¹⁾ tymczasem, chcąc pogodzić Adama Bremeńskiego Liubuzzi i Helmolda Leubuzi z Dytmarową Liubusua, nie waha się oznaczyć ją nad Odrą, w miejsce Lubusza wielkopolskiego i uważać ją za kresy zachodnie dzierżaw Bolesława Chrobrego.

Nie mam pod ręką wydania kroniki Dytmara, które przytacza Lelewel, przypuszczam więc z wszelkiém prawdopodobieństwem, że badacz ten powołuje się na te z niej ustępy, gdzie kronikarz mówi o obwarowaniu Lubuszy przez Henryka II i o zburzeniu jęj przez Bolesława Chrobrego. Te dwa ustępy są w ścisłym związku z tym, który przywiódłem powyżej. U Dytmara zachodzi Liubusua w ogóle trzy razy i wyraża jedną i tę samą miejscowość; a jak Henryk I nie mógł zdobywać i palić Lubusza wielkopolskiego, tak Henryk II obwarowywać go nie mógł, ponieważ ani jeden, ani drugi nie dotarł aż do tego Lubusza i ponieważ ani jednego zdobycze ani drugiego nigdy nie sięgały pod Odrę. Lubusz należał do Wielkopolski od niepamiętnych czasów, Bolesław nie burzył własnych grodów, a kresów dzierżaw jego ku zachodowi nie nad Odrą, lecz gdzieindziej, tak jak Lubuszy Dytmara szukać trzeba. Lelewel, chwyciwszy się raz Lubusza wielkopolskiego czyli nadodrzańskiego, pomija całkiem Lubuszę łużycką, o czém powie się więcej poniżej.

¹⁾ Jest prócz Leubusów czy Liubuszów miasto Libusua nad Odrą (Ditm., VI, p. 390, 394) dziś Lebus, siedlisko Leubusów, gdzie było biskupstwo od Bolesława Wielkiego założone, na zachodzie Odry w stronie, gdzie Warta do niej uchodzi, sięgać miało ku zachodowi, gdzieby oręż jego granice zakreślił. Pol. w. śr. I, 486.

Co do wspomnianych Lubuszan, oznacza Papłowski ¹⁾ jednych podług Szafarzyka w okolicy Lubusza wielkopolskiego, mylnie zwanego na mapie jego Lubuszą, między Odrą i Sprową, na północ od Ślubian, a drugich na prawym brzegu Halsztrowa Czarnego, którego bieg niedokładnie jest kreślony, w okolicy Lubuszy łużyckiej, mylnie oznaczonój i zwanój: „Lebus wieś blisko Hertzberga.“

W ścisłym związku, jak zauważyłem powyżej, z pierwszą zachodzi w kronice Dytmara poraz drugi Liubusua pod r. 1011.

Wróciwszy ²⁾, mówi kronikarz o Henryku II, do ulubionego Międzyborza, zawarł tam rozejm pięcioletni; następnie, za radą niektórych, polecił, ażeby odbudowano i wzmocniono miasto, zwane Lubuszą. Ztąd rokowało wielu nieszczęście, jakiego niestety doznać ono miało w bieżącym jeszcze roku. Przybyliśmy dotąd w końcu stycznia i z należytą pobożnością obchodziliśmy uroczystość Oczyszczenia N. Maryi Panny; w 14 dniach wywiązaliśmy się z polecenia i zostawwszy załogę w miejscu, wróciliśmy do domu. Obok tej mieściny (urbs), od strony północnej leży miasto (civitas) o dwunastu bramach, doliną tylko przedzielone. Gdym starannie rozpatrywał się w tém mieście, przypomniałem sobie Lukana i poznałem w niém dzieło Juliusza Cezara i świetny rodzaj budowli rzymskich. Miasto to mieścić mogło w sobie przeszło 10,000 ludzi; mniejsze zaś, któreśmy odbudowali, stało pustką od czasów Henryka I, a w jaki to sposób oplakany runęło niebawem, wytłómaczę, skoro tylko opowiem wypadki, jakie zaszły w tym czasie.

Do wojen Chrobrego z Henrykiem II, jest kronika Dytmara najważniejszém i niezbedném źródłem; pisząc o nich, pominąć jój nie można. Słowa kronikarza, krom niektórych poprawek, pozostały dotąd takimi, jak je był napisał, ich interpretacya zaś ulegała i ulega najrozmaitszym zmianom. Nie tuszając, że w tej mierze powiem coś nowego, zwracam uwagę na niektóre wyrażone w powyższym ustępie zdania.

¹⁾ Mappa Słowiańszczyzny lechickiej.

²⁾ Tunc iterum sibi percarum Merseburg inuisit, et firmata ibi ad 5 annos mutua pace, cum consilio paucorum urbem Liubusuam dictam edificare et confirmare precepit; de qua multi predixere venturum, quod in hoc anno, pro dolor, agnoscunt, non esse falsum. Ad hanc venimus in fine mensis Ianuarii, et ibidem Sanctae Dei genitricis purificationem veneratione iusta peragentes, in 14 diebus opus inpositum compleverimus, et presidio urbem munientes, remeavimus. Iuxta hanc in parte aquilonari stat civitas, quam a predicta nil nisi una vallis dividit; et in hac 12 portae sunt. Hanc cum diligentor lustrarem, opus Iulii Caesaris et magnam Romanorum structuram, Lucano ammonente, tractari; haec plus quam 10 milia hominum capere potuisset. Minor autem, quam tunc perfecimus, ab primo Hoinrico rege ad hoc tempus Vacua erat, et quam flebili miseria haec cito corruerit, enumeratis, quae inter haec acciderant, explicabo. Thietm. Chron. VI, 39.

Henryk II, jak mówi kronikarz, kazał obwarować Lubuszę *cum consilio paucorum*. Wynika ztąd, że większość głosów doradczych była temu przeciwną, a szukając powodów, odpowiadamy sobie bez nadwężenia możliwych prawdopodobieństw: ponieważ Lubusza łużycka leżała w kraju spornym, wrogim Niemcom, w którym uwijali się może harcownicy Bolesława i drobne oddziały Niemców; ponieważ leżąc na prawém Połabiu, odcięta była od głównych sił niemieckich, skoncentrowanych na lewém Połabiu, któreby w razie wezbrania rzeki mogły nadejść w pomoc wysuniętym naprzód ku wschodowi czatom;—ponieważ siłe zbrojnej Chrobrego przeciwstawić wypadało cały ogrom rycerstwa niemieckiego z niezliczonymi sprzymierzeńcami i cały szereg sterzających nad Łabem twierdz, a nie sklejoną naprędcę warownią z stosunkowo nieliczną załogą; ponieważ na możliwe wycieczki drobnych hufców Bolesława odpowiadać należało takimiż, licznymi, ruchomymi oddziałami lekkiej jazdy, a niezasklepioną zamurami garstką strażników. Takich i tym podobnych głosów doradczych łatwo domyślić się można ze wzmianki lakonicznej—lakonicznego zwykle, gdy chodzi o rzeczy słowiańskie, Dytmara. Przekupstwo, — Chrobry bowiem i złotem umiał wojować, — w obozie niemieckim nie odgrywało chyba żadnej roli w tym wypadku; byłby o nim niezawodnie wspominał kronikarz, gdyby go się był dopatrył.

Prócz tych głosów doradczych, było téż wielu takich, którzy przepowiadali nieszczęście, jakie spełnić się miało niebawem. Nie ulega wątpliwości, że nie byłoby takich przepowiedni, gdyby Henryk był obwarowywał miasta, położone nad Sołą, Halsztrowem Białym, Muldą, lub na lewym brzegu Łabu; tam bowiem czuli się niemcy podówczas już u siebie. Z ziem zaś słowiańskich, między Łabem i Sprową, wypierała słowiańska Polska tłocząca się ku wschodowi niemczyznę, a ponieważ Lubusza leżała w tych ziemiach, dzierzonych niegdyś przez margrafów i uważanych przez niemców za słuszną na poganach zdobyć; ztąd ów wykrzykniuk boleści Dytmara: *pro dolor!* na wspomnienie losu, jaki ją czekał.

Przy opisie wreszcie Lubuszy nie wymienia kronikarz żadnej rzeki, a byłby niezawodnie o tém wspominał, gdyby ją taka np. oblewała rzeka jak Odra.

Nie dostrzegł wszystkich tych i tym podobnych, nasuwających się przy czytaniu nieprzychylnéj słowianom kroniki, napozór drobiazgów, Lelewel ¹⁾, a czerpiąc z tego samego co inni źródła, odmiennie od nich twierdzi, jakoby Henryk II odwiedzał, budował i umacniał miasto Liubusua (Lebus) nad Odrą na granicach Polski leżące. Twierdzenie to odnosi się ma do r. 1011.

Przeprowiwał się Henryk II przez Odrę w r. 1005 dwukrotnie: raz, gdy szedł na Międzyrzec; było to poraz pierwszy gdy nieprzyjacielska stopa Niemca dotknęła się ziemi polskiej i drugi raz, gdy wra-

¹⁾ Polska wieków śr. II. 162.

Prócz tych kronikarzy swojskich, przytoczę tu jeszcze Ebbona ¹⁾, biografa Ottona, biskupa bamberskiego, który wspomina: „Julin a Julio Cesare condita et nominata.“

Dytmar więc przypisuje Cezarowi założenie Lubuszy łużyckiej i Międzyborza czyli Merseburga, a Ebbo zakładać mu każe Julin na Pomorzu, przy ujściu Odry, zwany także Jumną, Winetą, Wolinem, Wolgastem i t. d.

Nasi kronikarze przypisują zgodnie Julii, domniemanej siostrze czy córce Cezara, założenie dwóch miast, z których jedno również zgodnie zowią Lubuszem od imienia Juliusza, a drugie rozmaicie.

Zkąd ci kronikarze zacerpnęli tę wiadomość, nie wiem, zastanawia mnie atoli, że Boguchwał wpadł na Volin czyli na Julin Ebbona.

Kadłubek i Mierzwa piszą o miastach-bliźniętach, czyli przyległych, Boguchwał o dwóch grodach, a obie kroniki bezimienne o dwóch ogólnikowo miastach.

Wyrazy *geminas urbes* przypominają wprawdzie Dytmarową Lubuszę, składającą się z dwóch części, doliną tylko przedzielonych, możnaby nawet przypuszczać, że większa część (*civitas*) Lubuszem, a mniejsza Lubuszą (*urbs*) zwaną była, trudno atoli z tym przypuszczeniem pogodzić odnośną drugą nazwę kronikarzy naszych: Lublin, Volin i Lubin.

Lublinem zażartował sobie Kadłubek z czytelnika; o Wolinie (Julin) mógł być Boguchwał dowiedzieć się z przystępnych sobie źródeł, Lubin zaś zdaje się być dowolnym kronikarzy utworem, mogącym oznaczać Lubin na Szlązku, Lubin wielkopolski z klasztorem Benedyktynów, albo też inną jaką miejscowość, której w obec tych danych, bliżej określić nie można.

Czy wreszcie kronikarze nasi Lubusz mieli na myśli, czy Lubuszę, wzmianka ich nie objaśnia w niczem Dytmarowej *Lubusua*.

Tę Lubuszę, składającą się z dwóch części, zdobytą i spaloną niegdyś przez Henryka I, dzwigniętą następnie z gruzów i obwarowaną przez Henryka II, zburzył w dniu 20 sierpnia 1012 r. ²⁾ Bolesław Chrobry.

Tymczasem Bolesław, mówi o tym wypadku Dytmar ³⁾, dowie-

¹⁾ Mon. Biel., II, 49.

²⁾ Według innych w r. 1011.

³⁾ *Interim Bolislavus de nece archipresulis certus congregato exercitu Libusuan, de qua predixi, peccit, et quia sciebat, ob effusionem Albis ex nostra parte nullum urbanis posse ad auxilium venire, castra metatus est ibi. Miles eius ad bellum hortatus accessit, et defensor ad modicum resistit. Magnam enim hanc urbem nil nisi mille homines tuebantur, cui vix totidem suppetent. Bolislavus ad prandium sedebat, et satellites suos iam victores urbem ingredi gaudens cernebat. Porta aperitur et multorum sanguis effunditur... Divina tunc inmani preda ac urbe incensa, victrix turba cum seniore suo lacta rediit.* Thietm. Chron. VI, 48.

dziawszy się o zgonie arcybiskupa, zgromadził swe wojsko i uderzył na Lubuszę, o której mówiłem powyżej, a ponieważ wiedział, że dla wezbrania Łabu z naszej strony nikt załodze w pomoc nie przyjdzie, rozłożył się tam obozem. Żołnierz jego szedł śmiało do boju, obrońca słaby tylko stawiał opór. Tysiąc tylko chłopów broniło tego wielkiego miasta, do którego obrony wystarczyłaby zaledwie potrójna ich liczba. Bolesław siedział przy uczcie i z rozkoszą patrzył na wkraczających do miasta żołnierzy swoich. Rozwarła się brama, popłynęła krew obficie... Rozdzieliwszy następnie niezmierne łupy i podpaliwszy miasto, wrócił wesoło zwycięzki zastęp z wodzem swoim na czele.

Wezbranie więc Łabu przeszkodziło Niemcom przyjść w pomoc zagrożonej załodze, która, co z tych słów wynika, znajdować się musiała w pobliżu wspomnianej rzeki. Przy kilkomiłowej bowiem przestrzeni mowy być nie może ani o pomocy, ani o przeszkodzie, jaka nagle powstała wskutek wylewu rzeki.

W ziemiach spornych, między Łabem i Sprową, nie było w r. 1011 — 1012, o ile wiadomo, prócz w Lubuszy, żadnej innej załogi niemieckiej. Mogły odbywać się tam różne harce i mało znaczące potyczki między wojskiem polskim a niemieckim; mogły krażyć tam drobne oddziały jednego i drugiego obozu, choćby dla zwożenia żywności, — wynikałoby to z samego położenia rzeczy. Milczy o tém kronikarz, którego wielkie tylko i doniosłe zajmują wypadki, a przedewszystkiem sprawy niemieckie.

Lelewel, upatrzwszy sobie raz Lubusz z nad Odry, nie pyta o nic; dla niego Liubusua a Dytmarowa jest tym właśnie Lubuszem. Toż samo twierdzili wprawdzie Beckman, Guadling, Mascovius i inni, zdanie atoli J. A. Wagnera, wydawcy kroniki Dytmara ¹⁾ „Ex descriptione, quam Dytmarus hic et in superioribus de urbe Libusua dedit, colligendum est, eam non adeo longe ab Albi dissitam fuisse,” powinno było zaważyć w krytycznym zmyśle Lelewela, jak, między innymi, zaważyło u Szafarzyka ²⁾.

I Naruszewicz nie wiedział, gdzie podziąć Lubuszę. Liubusua a Dytmarowa jest u niego jakieś Lubenau, o którego położenie geograficzne nie troszczy się wcale; wyczytawszy zaś z „Rocznika Kwedlinburskiego,” że Bolesław „Dalmantiae” terminos occupavit, urbem Coloci noviter instauratam dolose expugnat, et utrinque magna strage peracta, cum captivis nostris domui reversus est,” przełożył sobie zachodzącą w tym ustępie Coloci na Kołodcz, „teraz Colditz niedaleko Lipska” i przypisał Chrobremu dwie zdobycze: Kołodca na lewém i miasto Lubenau na prawém Połabiu.

Ten sam ustęp znajduje się także u Annalisty saskiego, z tą atoli

¹⁾ 1807 r.

²⁾ Staroż. słow. II, 731.

³⁾ Dalemintiae.

różniącą, że zamiast Coloci, co uważa się za błąd pisarski, czytamy e o loci. Naruszewicz miał oba te źródła pod ręką; szedł za pierwszym, a chcąc pogodzić Coloci „Rocznika Kwedlinburskiego” z Dytmarową Liubusua, wyprawił Chrobrego, pomimo wezbrania Łabu, wprzód do ziemi Dalemińców pod Kołodez, a następnie do Lubenau. Lelewel ¹⁾, rozpisawszy się o tém i zbijając Naruszewicza, obsta-je przy swoim Lubuszu z uad Odry.

Zastanawia tu następujące zdanie Lelewela, wywołane kronikarskiém: Dalemanciae terminos occupavit: „Zajęcie granic Dalemincy, mówi rzeczony badacz, między Czarną Elsterą a Elbą, stawało się rzeczą konieczną w obec obsadzonej od Niemców wylewem nabrzemiałej Elby.“ Wynikałoby ztąd, że na lewym brzegu Łabu stali Niemcy, a wojsko polskie zajęło kraj między Łabem i Halsztrowem Czarnym, który Lelewel tu zowie Dalemincyą. Jeżeliś tedy odgadł myśl uczonogo badacza, pytam dlaczego nad Odrą szukał zburzonej przez Bolesława Lubuszy? — Pominąwszy to, zachodzi tu pewna wątpliwość co do nazwy Dalemincy.

Ziemie Dalemińców czyli Głomaczy oznacza się zwykle między Łabem i Halsztrowem Białym, na zachód od Myszen ²⁾, przy górnym biegu Muldy i Kamienicy ³⁾. Tam szukał Naruszewicz miasta Coloci, tam też mniej więcej oznacza tę ziemię Lelewel; z przywiedzonego atoli ustępu jego wypadaloby, że ziemia ta sięgając pod Halsztrow Czarny, zagarniała także pewną przestrzeń prawego brzegu Łabu, i w rzeczy samej oznacza Lelewel na północny wschód od Myszen „Thalaminci“, co przecież niczem innym być nie może jak wspomniana tu Dalemińców ziemia.

Między Łabem tymczasem i Halsztrowem Czarnym leżała ziemia Mileńców czyli Milczan, którą Lelewel posuwa ku wschodowi, ażeby miejsce zrobić swoim „Thalaminci.“

Nie przesądzając, o ile w tym wypadku Lelewel zrozumiał rocznikarza Kwedlinburskiego i czy w ogóle Thalaminci jego utrzymują się w obec krytyki, wracam do tegoż rocznikarza, który przecież mógł być uważać Łab za granicę (wschodnią) Dalemincy, czyli ziemi Głomaczy i to zgadzałoby się też z powszechnie przyjętém co do jej granic mniemaniem; ale w takim razie znikłyby Thalaminci Lelewela, a Bolesław Chrobry nie szukając tych granic nad Halsztrowem Czarnym, byłby się posunął na prawy brzeg Łabu, naprzeciw Myszen naprzykład, lub Strzeli. Droga ta znaną była Chrobremu; nie też nie zbija takiej interpretacji. Dytmara ⁴⁾: cum seniore suo... rediit znaczyć nie może, iż wojsko zwycięzkie z wodzem swoim poszło sobie do nieokreślonego bliżej domu, domem bowiem wodza i wojska był

1) Polska W. śred. II, 165, sq.

2) Miśnia, Meissen.

3) Chemnitz.

4) VI, 48.

podówczas obóz, lub Sciciani Dytmarowe, gdzie Chrobry, krótko przed zburzeniem Lubuszy, rokował z arcybiskupem magdeburgskim. Umiął też Bolesław odrywać od głównej siły swojej oddziały i wysyłać je na zajmowanie ziem i grodów; nic więc nie wyklucza prawdopodobieństwa, że po zburzeniu Lubuszy sam wrócił do Sciciani, a silny oddział wysłał na prawy brzeg wezbranego Łabu, gdzie Daleminciae t. j. ziemi Daleminców czyli Głomaczy terminos occupavit.

Podobnie jak Naruszewicz wyprawia Szajnocha ¹⁾ Chrobrego z pod Głogowy i gdy wylew, mówi, „Elby komunikacją pomiędzy załogami niemieckimi przeciął, zgromadził Bolesław liczne wojsko, przebył pod Strelą rzekę Elbę i spustoszywszy całą zaelbiańską okolicę, przypadł pod Libusę“ ²⁾.

Myli się Szajnocha, twierdząc, że krótko przed tą wyprawą na Lubuszę Chrobry siedział pod Głogową. Sciciani bowiem Dytmarowe, o którym właśnie wspominałem nie jest ani Życzem ³⁾ na Szlązku, jak chcą niektórzy, ani Ciosańcem w Wielkopolsce, jak bez najmniejszej podstawy przypuszcza Lelewel. Gdy następnie wylew Łabu przerwał komunikację między stojącym na lewym brzegu jego wojskiem niemieckim a jedyną, znaną załogą w Lubuszy, leżącą na na prawem Połabiu, to też ten sam wylew nie dozwalał Bolesławowi przeprować się na lewy brzeg, gdzie stali Niemcy. O Strzygli wreszcie, gdzie Chrobry miał uskuteczyć swą przeprawę, oraz o pustoszeniu całej „zaelbiańskiej okolicy“ milczą źródła pod rokiem 1011 — 1012.

I nowszych czasów badacz J. Bartoszewicz ⁴⁾, rozróżniając nazwy Lubusza i Lubusz, mięsza to, co się do nich odnosi. „Toż, mówi rzeczony autor, z taką skwapliwością poskoczył, dowiedziawszy się o zgonie Walterda, pod Lubuszę. Aby przegrodzić zaś poznańską dycecezyą od magdeburgską, postanowił król w zdobytych na cesarstwie ziemiach dźwignąć nowe biskupstwo, piątą stolicę z kolei. Występowała tego sama konieczność. Biskupstwo poznańskie najogromniejsze było w całej Polsce, i chociaż cały kościół z niego wyrastał, szerokie jeszcze zalegało przestrzenie wschodnie. Czyste niepodobieństwo było powiększać je na nowo w stronę zachodu. Biskupstwo miszeńskie pozostało w lechickich ziemiach niemieckich, dla Łużyc można było nowe postanowić. Na ten cel wybrał Bolesław gród stary nad Odrą, Lubusz, i posadził w nim biskupa, którego poddał pod metropolią gnieźnieńską.“

Ustęp powyższy przekonywa, że autor uważa Dytmarową Liubusua za Lubusz z nad Odry, za stolicę niegdyś biskupów lubuskich.

¹⁾ Bolesław Chrobry, 146.

²⁾ Tak Szajnocha zowie Dytmarową Liubusua.

³⁾ Seitsch.

⁴⁾ Dzieła IV, 155.

Pominąwszy ten błąd kardynalny, z którego wysnuły się inne, zwracam uwagę na twierdzenie przywiedzonego autora, jakoby Chrobry zakładał biskupstwo w zdobytych na cesarstwie ziemiach, które przecież nie leżały między Poznaniem a Magdeburgiem, i w których dla przegrodzenia obu dyecezyi, Chrobry nie mógł zakładać i nie zakładał żadnego biskupstwa. Zdobytemi na cesarstwie ziemiami były Łużyce i ziemia Milczan, których położenia geograficznego gdzieindziej szukać trzeba. Łużyce nie sięgały też w r. 1011—1012 pod Lubusz nadodrzański, w którym Bolesław nie dla Łużyczan zakładał biskupstwa i t. d.

Bartoszewicz nie znając położenia geograficznego Lubuszy, którą instynktem tylko przeczuwał na Łużycach, dał się uwieść podobieństwem brzmienia i dla utwierdzenia się w tych niejasnych pojęciach powołał się na Moraczewskiego. Ten prawiąc za Naruszewiczem o Kołodcu i Lubenie (Lubenu) i znając przytem dokładnie położenie Lubusza nadodrzańskiego, sądzi, że tenże zowie się właściwie Lubiążem. Lubiąż tymczasem zwany z niemiecka *Leubus* jest miasteczkiem z klasztorem niegdyś Benedyktynów i następnie Cystersów, które leży wprawdzie nad Odrą, ale na prawym jej brzegu i nie w Wielkopolsce piastowskiej, lecz na Szlązku, między Wołowem i Lignicą, na północny-zachód od Wrocławia.

Najnowszej wreszcie daty historyk, p. Bobrzyński ¹⁾, wynalazł „Lubucz“ i przeznaczył biskupstwo lubuskie „dla świeżo zdobytych krajów nadłabskich.“

Na tych przykładach ograniczam niniejsze studyum, pozostawiam dalsze i wszechstronniejsze w poruszonym tu przedmiocie poszukiwania naszym uczonym badaczom.

E. Callier.

¹⁾ Dz. Pol. w zar. 75 i 76.

KORRESPONDENCYA NAUKOWA.

Gdzie należy szukać historycznego „Crisgove?”

Miejscowość historyczną Crisgove, głośną pokojem upakarzającym, jaki zawarł Bolesław Kędzierzawy z cesarzem niemieckim, Fryderykiem Rudobrodym (Barbarossa) w r. 1157, będącą aż do najnowszych czasów przedmiotem sporu nierozstrzygniętego pomiędzy historykami naszymi, wskazują wydawcy „Kodeksu wielkopolskiego“ w istniejącej dotychczas wsi Krzycko, nad jeziorem tegoż nazwiska, na północnym zachodzie od Świącchowy (Schwetzkau), między Wschową (Fraustadt) a Śmigłem, w powiecie Wschowskim, obwodu regencyjnego Poznańskiego. Wieś Krzycko jest gniazdem rodzinnym Krzyckich, herbu Kotwicz, wstawionych przez Andrzeja, arcybiskupa gnieźnieńskiego, głośnego poetę i dyplomata w pierwszej połowie XVI stulecia. Dzisiaj znajdujemy tu dwie wsie tegoż nazwiska: Wielkie-Krzycko i Małe-Krzycko, graniczące ze sobą, a przechrzczone przez administracyą pruską na Gross-Kreutsch i Klein-Kreutsch.

Pod nazwą *Critsko* występuje ta wieś poraz pierwszy ¹⁾ w przywileju, wystawionym r. 1294 przez Przemysława II na rzecz klasztoru Lubińskiego; zważywszy atoli, że dokument ten jest rekapitulacyą wszystkich poprzednich w tym celu nadań, przypuszczać można, że Krzycko istniało już długie lata przed wspomnianą datą. Spotykamy je w dyplomacyach i kronikach pod nazwą *Critsko*, *Krziezko*, *Crzyzsko*, *Kreutsch*.

Klasztor Lubiński, założony około r. 1113, zwyczajem ówczesnym wyposażonym był należycie. Najdawniejszy dokument, odnoszący się do tegoż klasztoru, jaki się dotąd przechował, zamieszczony jest w „Nowszym Kodeksie wielkopolskim,” między r. 1225 a 1227, nosi mylną datę roku 1181 i nie wymienia żadnych osad. Wydającym ten dokument jest Wladislaus dux magnus Polonorum, któ-

¹⁾ Kod. Dypl. Wielkop. 1877.

ry, potwierdzając nadania przodków swoich, wspomina wyraźnie o wszystkich wsiach i ludziach, należących do klasztoru Lubińskiego. Przypuszczenie więc, że i Krzycko tym przywilejem objęte było, ma wszelkie prawdopodobieństwo za sobą. Wspominam zaś o tym szczególnie dlatego tylko, ażeby zbliżyć starożytność Krzycka do r. 1157 i poprzeć zdanie wydawcy „Nowszego Kodeksu wielkopolskiego“ co do historycznego „Crisgove“, któremu tu słów kilka poświęcę.

Nazwa Crisgove, tłumaczona Krisgowem, Kryzgowem, Kryszgowem, Krzyszkowem i t. p., dostała się do historyi naszej z listu Fryderyka I, cesarza niemieckiego, pisanego we wrześniu r. 1157 do Wibalda, opata korbejskiego. Wtém Crisgove upokorzył się Bolesław Kędzierzawy przed Fryderykiem i przyjął warunki pokoju, których później nie dopełnił. Polacy, opiewa przywieziony list, przy zbliżaniu się naszym uciekli, spalivszy Głogowę i Bytom. Niemcy przepawili się przez Odrę pod Głogową w dniu 22 sierpnia 1157 r. i postępowali za wojskiem polskiem, posuwając się ku Poznaniowi.

Otóż fakta historyczne, którym nikt nie zaprzecza. Niezgodni atoli ze sobą są dziejopisarze co do geograficznego położenia tej miejscowości, którą Fryderyk nazwał Crisgove.

Naruszewicz np. domyśla się, że to Kargowa i zowie zawarty tam pokój zgodą kargowską; za nim poszli inni, a między nimi T. Morawski. Przeciw temu przypuszczeniu, które nie ma za sobą lingwistycznej nawet podstawy, przemawia położenie topograficzne tejże Kargowy, gdyż niepodobieństwem prawie, ażeby Fryderyk z wojskiem swoim miał większych jeszcze przeszkód w swym pochodzie szukać w klinie między Odrą a Obrzycą, jakich dosyć spotkał, postępując za znajdującymi się w odwrocie na własnej ziemi zastępami polskimi i wreszcie niepewność historyczna, czy taż Kargowa w ogóle istniała w r. 1157.

Lelewel, w swoim wydanym roku 1844 Atlancie historyi polskiej (4), oznacza Krisgove na północ od Głogowy, na wschód Krosna i na południe-zachód Poznania. Miejscowość ta leżałaby więc w okolicy dzisiejszych Rakoniewic i Wielichowa.

J. Papłowski na swój mapie Słowiańszczyzny Lechickiej oznacza nad Obrą, na wschód od Kargowy i południe Kopanicy, jakieś Krzykovo, które, jak się zdaje, przypominać ma Crisgove Fryderyka Rudobrodęgo.

Miechowita kładzie też miejscowość między Wrocław i Poznań, coby nie bez pewnej podstawy naprowadzić mogło badacza na Krzywiń.

Roepell wreszcie, a za nim Bielowski ¹⁾ i Smolka ²⁾, oparci na zasadach lingwistycznych, sprowadzili owe Crisgove do Krzyszkowa, leżącego o trzy mile niemieckie na północ-zachód od Poznania i o prawie tyleż mil na zachód od Warty.

¹⁾ Pomn. Dz. polski II, 22.

²⁾ Mieszko Stary, 270.

„Polacy — mówi Smolka — nie odważając się bronić Głogowy i Bytonia, cofnęli się w głąb kraju, spaliwszy obydwie twierdze, wojska cesarskie pomknęły się za nimi do Wielkopolski, do Mieszkowej dzielnicy. Jeśli miało przyjść do walki, to już tylko linii Warty zależało bronić polskim ksiądzetom.“ Mówiąc następnie o upokorzeniu Bolesława Kędzierzawego, kończy: „Krzyszków nad Wartą był widownią téj hańby“ (str. 271).

Pomimo tak znakomitych powag, jakeimi bez zaprzeczenia są wspomnieni powyżej dziejopjsarze, przechylam się ku zapatrywaniom wydawcy „Nowszego Kodeksu wielkopolskiego“, który w dodatkach i sprostowaniach zamieszcza następujące, godne uwzględnienia uwagi:

„Crisgove nie jest, jak się zdaje, leżące na zachód-północ, a tylko o dwie mile odległe od Poznania Krzyszkowo; raz, że, biorąc kierunek pochodu niemców, ciż, idąc do Krzyszkowa, pozostawiliby Poznań już w tyle, a powtóre, że nie jest prawdopodobném, aby Fryderyk Barbarossa miał w tak małym oddaleniu od stolicy i to pomiatając ją, zatrzymać swój zwycięzki pochód. Według brzmienia dypljmatu, przeszedł on Odrę, jak się zdaje, powyżej Krosna, gdyż inaczej nie byłby dotknął dyecezy Wrocławskiej, a musiał tego dokonać w pobliżu Bytonia i Głogowy, kiedy polacy oba te obronne miejsca spalili z bojaźni, aby się w ręce nieprzyjacielskie nie dostały. Godzi się raczej przypuścić, że Crisgove, które według powyższych uwag musi leżeć w kierunku od Głogowy ku Poznaniowi, jest wieś Krzycko, od Poznania 11 mil odległa.“

Do tych uwag pozwolę sobie dorzucić jeszcze i tę okoliczność, że Fryderyk miał do walczenia z przeszkodami, jakich dostarczała ówczesna topografia kraju i jakich przysparzały mu uchodzące przed nim hufce. Nie był to wcale pochód Cezara tryumfatora. Choroby dziesiątkowały zastępy niemieckie; brak żywności dał się czuć na każdym kroku. Stanowczej kłęski nie mógł Rudobroby zadać Kędzierzawemu; upokorzenie się ściganego nieprzyjaciela uważał za szczyt zwycięztwa i wyniósł się z kraju najechanego zadowolony, że tego zwycięztwa nie potrzebował drożej okupić¹⁾. Jest także wszelkie

1) Polacy, acz mieli lud niemały z Rusi i z Polski, wszakże nie chcieli z nimi bitwy stoczyć, jako z ludem zbrojnym, k'tomu że nie równo im było: ale tak poczynali jako z Konradem, z kątów się wyrывая, trapiłi ludzie cesarskie, najwięcej te, którzy żywności szukali; k'temu naszj popalili byli guma, zboża i trawy wszędzie wokoło, aby niemcy nie mieli żywności i t. d. (M. Bielski, Kron. 121),

Toż samo pisze Miechowita, dodając: *sed et fluxus ventris dysentericus exercitum Imperatoris invasit, ex qua peste plurimi cadebant, et moriebantur. Caeteri metu percussi, reversionem a Caesare precabantur. Caesar non habens pugnandi copiam, quoniam nec hostis ad configendum apparebat, nec castra, aut civitates munitae ad expugnandum in Polonia reperiebantur, soli agri innocui exurebantur et vastabantur. Igitur turpe ratus Caesar absque*

prawdopodobieństwo, że wojsko niemieckie szło prostą drogą, jedynym niezawodnie podówczas traktem, na Wschowę ku Kościanowi, że się zatrzymało pod Krzyckiem. Nadto zachodzi tu i ta wątpliwość co do Krzyszkowa, czy ono podówczas już istniało. Sprawozdanie wreszcie nazwy *Crisogwe*, pisanéj ręką niemiecką, do Krzycka nie odbiega zbyt znacznie od prawideł lingwistycznych.

W każdym razie zasługują uwagi wydawcy „Kodeksu wielkopolskiego“ na uwzględnienie, w obec braku bowiem pozytywniejszych danych, przemawia za nimi wszelkie prawdopodobieństwo.

E. C.

Korespondencya z W. Ks. Poznańskiego.

Jedna nas dzisiaj przeważnie zajmuje sprawa, sprawa stanowiska reprezentacyi naszej w sejmie pruskim i parlamencie niemieckim, mianowicie: czy postowie nasi mają nadal rządzić się dotychczasowymi zasadami postępowania swego, czy téż odstąpić od regulaminu, obowiązującego postów poznańskich w tak zwaném „Kole poselskiem“ od r. 1849 na rzecz polityki pozytywnej.

Dla objaśnienia téj kwestyi muszę się cofnąć 36 lat wstecz, do chwili, w której ówczesni postowie nasi w sejmie pruskim uznali potrzebę zasadniczego obwarowania postępowania swego i swych następców tak ze względu na interesa kraju jako i ze względu na interesa i prawa natury ogólniejszój, przechodzącej granicę W. Ks. Poznańskiego. Podczas sejmu w r. 1848 panowała jeszcze pewna luzność postępowania między postami naszymi; jedni postowie, jak np. Gustaw Potworowski i Marceł Żółtowski, twierdzili, że nasi reprezentanci powinni stanąć osobno, w ścisłym tylko między sobą porozumieniu; drudzy opiniowali, że bez pomocy przychylnéj nam wówczas lewicy sejmowéj, niczego dopiąć nie zdołamy, że należy więc z nią głosować i tym sposobem zapewnić sobie sprzymierzeńca. Z pomiędzy tych dwóch opinii przemogła druga, z tą wszelako odmianą, że wolno było pojedynczym postom wedle ich przekonania zająć stanowisko t. zw. dzikich, t. j. nie krępujących się poglądami żadnego stronnictwa, głosujących z zupełną swobodą we wszystkich sprawach. Swoboda tego rodzaju miała ten skutek, że się postowie nasi na różne rozdzielili strony, a następny krótkotrwały sejm przedstawił weale

fructu discedere, per medium Vladislai ducis Bohemiae, circa villam Crisogwe, inter Vuratslaviam et Posnaniam consistentem in hunc modum cum principibus Polonorum convenit etc. Erat in magna difficultate res Germanorum i t. d. t w i e r d z i Kromer. I Długosz w podobnym świetle przedstawia kłopoty Niemców.

niepocieszny widok głosów naszych, gdy jedne przemawiały za — a drugie przeciw danym propozycjom, co témbardziej było niepożądaném, że w ustawie nie było żadnej wzmianki o jakiegokolwiek odrębności W. Ks. Poznańskiego, którą warował był dla nas kongres wiedeński, a król w odezwie swój potwierdził. Kiedy więc w lipcu r. 1849 nowy sejm się zebrał, przystąpili posłowie polscy bezwzględnie do utworzenia osobnego „Koła“ czyli zorganizowania odrębnego stronnictwa sejmowego, które obwarowali statutami, do dnia dzisiejszego obowiązującymi. Zadaniem „Koła“ jest odtąd pilnować odrębności W. Ks. Poznańskiego, jako części składowej, ale pod opieką prawa międzynarodowego zostającej części odrębnej w państwie pruskiem, ujmować się w ogóle za prawami narodowości polskiej w Prusiech, nie mieszać się do spraw nam obcych i występować solidarnie. Posłów naszych było wówczas w Izbie II-jej, z W. Ks. Poznańskiego: August Cieszkowski, ks. Janiszewski, Janeccki, Krotowski i Floryan Lisiecki (ostatni trzej adwokaci), Adolf Łączyński, dr. Wład. Niegolewski, Kajetan Morawski, Palacz (włościanin), Erazm Stablewski, Trąpczyński, Feliks Wężyk, Franc. Żółtowski, Marcełi Żółtowski, i Franc. Żychliński. Z Prus Zachodnich: Elminowski, Klingenberg i Pokrzywnicki (adwokat). Z górnego Szlązka: ks. Szafranek i Gorzałka. Oprócz tego byli jeszcze trzej członkowie polscy wybieralni wówczas Izby I, Aleksander Brodowski, Piłaski (sędzia) i Gustaw Potworowski. Tych-to 23 polaków spisało regulamin i sformowało t. zw. „Koło poselskie.“ Sejm r. 1849 miał za zadanie przejrzeć nadaną monarchii pruskiej konstytucyą. Kiedy przyszło do dyskusji nad § I konstytucyi, wnieśli dostojnie nasi do tego artykułu poprawkę, opartą na stypulacjach traktatu wiedeńskiego i na opierającej się na nich odezwie królewskiej z 15 maja 1815 r. Dla informacyi Izby ogłosili drukiem broszurę w której zestawili dokumenta, tyżące się prawnopolitycznego stanowiska W. X. Poznańskiego do Korony pruskiej i dołączyli do nich dokładne objaśnienia, pióra Augusta Cieszkowskiego. Wywody tej broszury nie były przecież nadzwyczajną nowością dla członków Izby poselskiej i prusaków w ogóle, ponieważ już w r. 1848 wystąpił poseł Arntz z Elbląga w znakomitej swój mowie, w wymownym nader głosie, z taką samą obroną praw niemieć i interesów narodowości naszej. Traktat wiedeński opisał wprawdzie w niedość ścisłej formie prawa nasze; ale mimo to, przedstawiały postanowienia jego w obec Izby pruskich, reprezentujących obok Korony monarchią pruską, jedyną prawnopolityczną podstawę dla naszych posłów. Przy głosowaniu nad § I konstytucyi upadły tymczasem wszystkie poprawki przez naszych posłów proponowane. Po przedyskutowaniu całej konstytucyi i po zatwierdzeniu jej przez Izby, wyznaczył rząd dzień 6 lutego 1850 r. do zaprzysiężenia tego prawa, regulującego stosunek prawny poddanych do Korony, mającego nadal strzedz powagi i majestatu rządu równie jak i praw i wolności obywateli pruskich. Dnia poprzedniego złożyli posłowie W. Ks. Poznańskiego w obudwóch Izbach mandaty, tłómacząc postępowanie swoje następującą deklaracyą:

„Zważywszy, że konstytucya, mająca się zaprzysiądz, nie gwarantuje ani narodowości naszej w ogóle, ani W. Ks. Poznańskiemu praw mu przynależnych, co chociaż nie zawiera wcale ich zaprzeczenia, może jednak dać powód do niebezpiecznych wniosków;

zważywszy, że pomijając nawet to przemilczenie, sama konstytucya w moc artykułu 118 wystawioną jest na niespodziewane zmiany, przez co wprawdzie wiele rzeczy dotąd pominiętych można będzie w niej zamieścić, ale także i odwrotnie, prawa odbierać i uzasadnione *iura quaesita* odmawiać;

zważywszy, że owo samo w sobie nieprzesadzające niczego milczenie konstytucyi o prawach W. Ks. Poznańskiego właśnie przez tenże artykuł 118 głównie niebezpiecznym się staje, gdyż zagraża pośrednio temuż W. Ks. Poznańskiemu poddaniem się pod władzę prawodawczą niemieckiego związku;

zważywszy wreszcie, że zaprzysiężenie konstytucyi, wykonane wśród takich okoliczności przez niżej podpisanych posłów W. Ks. Poznańskiego, mogłoby mieć pozór, jakoby oni 1) rzekli się praw i przywilejów swego kraju i narodowości, 2) dobrowolnie poddawali się pod kompetencją związku niemieckiego;

nie mogą niżej podpisani, jako posłowie i uczestnicy praw rewizyjnych, złożyć tej przysięgi i dlatego składają mandaty.“

Po tym akcie nakazał rząd nowe wybory. W W. Ks. Poznańskiem wybrano — ile się dało — tych samych posłów, aby jawnie potwierdzić i pochwalić ich postąpienie, zgodne zupełnie z zapatrywaniem się mieszkańców polskich W. Ks. Poznańskiego. Obywatele W. Ks. Poznańskiego nie godzili się na te głosy mniejszości, które doradzały politykę usunięcia się od współudziału w sejmie, a to wychodząc ze stanowiska, że konstytucya była już teraz *lex lata* i że posłowie nasi, zachowując swą odrębność, wedle brzmienia protestu z 5 lutego 1850 r., będą mieli ciągłą sposobność odzywiania się i czuwania tak nad prawami naszymi jak i nad korzyściami, jakie płyną i dla nas z źródła swobód ogólnokonstytucyjnych.

Rozważywszy wszechstronnie wyłuszczone powyżej względy, z łatwością zrozumie czytelnik aspiracje czasu teraźniejszego, poburzonego w wysokim stopniu przez niepowołanych krzykaczy i zachmurzonego wybuchem podrażnionych nieco miłości własnych i utracień osobistych, które jakby w złej godzinie zapomniały o tém, że jeżeli komu, to nam pod berłem pruskiem przedewszystkiem o tej maksymie republikańców i jurystów rzymskich pamiętać należy: *Suprema lex Salus Republicae est!*

Od pewnego już czasu dały się tu i owdzie słyszeć głosy, że podstawa, na której się opierała dotychczasowa, nasza reprezentacya, stała się nieodpowiednią, coraz słabszą, a nawet szkodliwą. Coraz niepowściągliwsza w tym kierunku krytyka, głośliwa i narzucała publiczności pogląd, że potrzeba, aby posłowie nasi na szerszej niż dotąd operowali podstawie, a mianowicie, aby obszerniejszy brali udział

w pracy sejmowej, równie sejmu pruskiego, jako i parlamentu niemieckiego.

Krytyka, o której mówimy, opiera się głównie na dwóch przypuszczeniach, które twierdzą, 1) że podstawa traktatu wiedeńskiego i płynących z niego przyrzeczeń z r. 1815, bynajmniej nie wystarcza dla obrony naszej, że przypominanie bezustanne jednych i drugich nie tylko żadnej nie wykołatało ulgi, ale przeciwnie — przyczyniło się w znacznej mierze do coraz natarczywszej germanizacji; 2) że ludzie, chcący pracować na sejmie i w parlamencie, a widzący, że dotychczasowe stanowisko posta naszego takiej pracy nie dostarcza, albo składają mandaty, albo mandatów przyjąć nie chcą.

Przypatrzmy się bliżej tym opiniom!

Jeśli by odwoływanie się na traktaty i przyrzeczenia królewskie stanowiło istotnie główniejszy powód coraz natarczywszej germanizacji, tedy wniosek łatwy, że należałoby poprobować czy przez przytłumienie skarg naszych potrafiemy nieco ugłaskać furor germanizatorski. Mniemamy że nie, i że natarczywość germanizacyjną spowodowało w znaczniejszej części olbrzymie rozwielenie się Prus z jednej strony, a osłabienie nasze i to bardzo lekkomyślne i marnotrawcze z drugiej strony. Twierdzenia naszego nie myślimy w tej chwili dowodzić. Natomiast pytamy się, czyby może próba nie wysuwania częstego naprzód argumentu traktatów i przyrzeczeń, nie wypadła na większą naszą niekorzyść, uszczuplając wagę jednej podstawy prawno-politycznej, której naruszenie a potem pogwałcenie, jako nielegalne, wytykali postowie nasi, począwszy od sejmów prowincjonalnych, szeregiem nieprzerwanym lat dwudziestu, a potem schodząc do sejmów berlińskich od r. 1848 aż do dni dzisiejszych. Rząd pruski i cała Europa przestała już wprawdzie i to nie od dzisiaj, kępować się „bibułą“ traktatów wiedeńskich, i to o tyle, o ile one były, lub są dla pewnych potęg niedogodne. W traktatach tych chodziło wprawdzie o utrzymanie t. z. równowagi między mocarstwami, ale wiadomym jest o przecieź dostatecznie, że tę równowagę starano się zabezpieczyć koncesjami ważnymi dla naszej właśnie narodowości. Czytam w tej chwili w „liście otwartym“ p. Witolda Skarżyńskiego do „Gońca Wielkopolskiego“, że „dziwić się trzeba, jak może jeszcze kto wiarę swoją opierać li na bibule traktatów wiedeńskich.“ Tak stawiać kwestyę, jest to ułatwiać sobie niepomierne dalsze wywody, a przedewszystkiem ten, że pod osłoną szumnych wycieczek na pole traktatów wiedeńskich i przyrzeczeń królewskich, zaniedbywaliśmy zbyt często, nie tylko na sejmach ale i w kraju, imać się ciągłej, sumienniej i umiejętniej pracy, która nie wlepie oka w jeden punkt gdzieś w obłokach, nie mniema, że przez wygłaszanie bezustanne i enfatyczne: iż nam się niesprawiedliwość dzieje — spełniamy już całe nasze zadanie, ratujemy honor narodowy i na laurach wtedy spoczywać możemy.“ Takie uogólnienie zarzutów przeciwko zasadom, jakich się dotychczas trzymało „Koło postów polskich“ musi chybić celu zamierzonego, bo

mija się z prawdą. Jeśli bowiem który z obywateli postów, czy niepostów, zbyt sprawnie szumu i zbyt wiele lśniącego wygłaszał frazesów, to powszechnie tak się rzeczy układały i dotychczas tego uczą, że uchodziło im to tylko tak długo, dopóki obok tego szumu i tych frazesów była równocześnie rzetelna zasługa, i praca — dłużej zaś niel...

Wielu z krytyków dotychczasowej podstawy reprezentacji naszej chciałoby, abyśmy się więcej niż dotąd powoływali na prawo Boskie, prawo natury i na fakt, że istniejemy i istnieć nadal chcemy. Nie widzę, aby dwa pierwsze argumenta podziały, albowiem właściwem prawem Boskiem dla Prus jest wszechwładztwo państwa, idea, którą i nasze radykały za przykładem doktrynerów paryzkich i berlińskich społeczeństwu naszemu lekkomyślnie narzucają; co zaś do prawa natury, to i ono skłania się dzisiaj u chciwych wielkości uczonych niemieckich, autoramentu pruskiego, na stronę przywilejów t. z. naturalnych, które przysługiwać mają jednemu rasom przeciw drugim, a więc tutaj:—rasie germańskiej nad słowiańską. Wobec takiego położenia rzeczy, w obec tak dzikich pojęć, doktryn i teorii polityków pozytywnych, nie należałoby z tak lekkim sercem porzucać traktatów i zobowiązań monarszych, które bądź co bądź potwierdzają ten fakt, że wierzymy, myślimy i pracujemy nie jako Niemcy, obok powoływania się na dowody i dokumenta, że i nadal według tych samych przyrodzonych i traktatami przyznanych praw wierzyć, myśleć i pracować nie przestaniemy.

Przypatrzmy się teraz drugiej opinii, która głosi, jakoby ludzie, chcący no seryo pracować, stronili od postowania dlatego, że stanowisko dotychczasowe posła polskiego nie dostarcza mu pola pracy pozytywnej. Z przypuszczenia tego wynikałoby loicznie, że funkcya poselska jest pewnym rodzajem synekury i będzie nią tak długo, dopóki ¹⁾... Tutaj krytyka nie jest dosyć jasną; proponuje bowiem: żeby Koło polskie we wszystkich ile możności komisjach brało udział, bo tylko taka praca może wyrobić ze zdolnych naszych postów ludzi wyćwiczonych fachowych, do rządu sposobnych. Co do tego, że nasi posłowie mieli dotąd rodzaj synekury i nią się zadawali, niech się posłowie sami wytłomaczą; my ogólnie tylko tutaj powiemy, że krytyka taka przesadziła w nałożeniu farb na obraz, i że to za grube nałożenie mieć trzeba za „moyen de guerre.“ Jeśli jest dość wielu takich, którzy mandat złożyli lub przyjmą go nie chcą, to z bardzo i bardzo małym wyjątkiem—nie dlatego, jakoby mniemali że, przy dobrej woli, urząd posła naszego nie dostarcza pracy na seryo, ale dla różnych innych powodów. Jedni np. dlatego, że w ich przekonaniu nie w jakiejbądź akcji lub w metodzie naszej parlamentarnej leży nadzieja zmiany na lepsze, drudzy dla skołatanego zdrowia, lub wiel-

¹⁾ Nie możemy w tym miejscu zrozumieć dokładnie myśli sz. Autora. Przecież poselstwo w parlamencie niemieckim połączone jest z wielkimi kosztami, tak że ludzie niezamożni sprostać im nie mogą. *Red.*

kić trudności wydalania się na długi czas z domu. Oto faktyczny stan rzeczy ¹⁾.

Stanowisko posła naszego takie, jak dotąd, nie jest pozbawione, mianowicie przy dobrej woli sposobności do istotnej pracy. Jeśliby nie wolno było posłowi uczęszczać na posiedzenia komisji, skoro nie jest jej członkiem, to ma oprócz pracy w komisjach, wielorakie inne pod ręką sposoby poznajomienia się z kwestyami, które oczekują decyzji Izby. Potrzeba więc, żeby „Koło polskie“ nie licząc na taką dobrą wolę, ułożyło regulamin ad hoc, na mocy którego musiałyby każdy poseł należeć do jakiejś sekcji, na któreby się prace „Koła“ podzielić musiały i tym sposobem poznajomiał się ex officio z potrzebnym dla objaśnienia rzeczy materiałem.“ Natomiast z tendencją zreformowania „Koła“ w kierunku pracowania naszych posłów razem z niemcami we wszystkich ile możności komisjach, dlatego zgodzić się trudno, że gdyby „Koło“ charakter swój zmieniło, a tylko wtenczas możnaby przypuścić, że niemcy polaków do komisji chętniej niż dziś wybierać zechcą, nie zrównoważyłyby przypuszczalny zarobek intelektualny pojedynczych posłów szkody, jakąby poniosła idea „Koła“ czyli stronnictwa polskiego, idea bardzo ważna i potrzebna dla społeczeństwa, nienawykłego do pracy solidarnej, nie uznającego karności i tego zaprzania się własnych aspiracji, gdy o dobro ogółu chodził

Ludwik Żychliński.

Poznań 11 października 1884 r.

¹⁾ Nie chcemy wkrazać na pole szan. korespondenta i współpracownika naszego; ale sprawa, o której mówi sięga nieco dalej, szerszej i głębiej.
Red.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Gramatyka czeska,” napisana przez I. Szasteckiego; Warszawa, 1884.

„Sposób nauczania się po czesku w 18-tu lekcjach,” podany przez Pawła Byczkowskiego; Warszawa, 1884.

Ostatnich lat kilka dało nam niezbity dowód, że wzajemność słowiańska, zwłaszcza stosunek pomiędzy narodami słowiańskimi, odchowanymi w cywilizacji zachodniej, był istotnie potrzebą wewnętrzną tychże narodów. Świetny rozwój stosunków polsko-czeskich, związanie słabych jeszcze, ale wielce obiecujących węzłów z chorwatami i słowęciami, rozbudziły nieklamany interes względem tych ludów pobratymczych i to daleko więcej może w samej publiczności, aniżeli w piśmiennictwie naszym, które zawałone okrawkami literatur zachodnich, Słowiańczyźnie nader skąpo miejsca użycza. Przed dwudziestu laty było całkiem inaczej. Ludzi, zajmujących się studjami słowiańskimi, policzyłeś niemal na palcach, a między „uczonymi,” usłyszałeś nieraz zdanie, iż „w piśmiennictwach mniejszych narodów słowiańskich nie znajdziesz nic takiego, coby na uwagę naszą zasługiwało.“ Zdawało się niejednemu, iż ludy słowiańskie znajdują się wciąż w takim stadium patryarchalnego rozwoju, w jakim poznaliśmy je w pierwszych latach narodowego ich odrodzenia.

Wszelako już wtedy byli tak odważni ludzie, co usiłowali dać podręcznik do nauki języka czeskiego, jakby w przeczuciu, że mowa i literatura Czechów z czasem ogólniejsze obudzą zajęcie. Prace te zazwyczaj marniały w rękopismach, nie mogąc znaleźć nakładcy. Wiemy naprzykład, że jeszcze w r. 1862 panna Sylwia Prądyńska wygotowała odpowiedni podręcznik, do którego wydania zabierał się księgarz Cels Lewicki, lecz rozporządzając zbyt małymi środkami ma-

teryalnemi nie mógł się zdobyć na wydrukowanie książki kosztownej z powodu braku czcionek czeskich w Warszawie. Tylko zbiegowi okoliczności zawdzięczał p. Józef Krzywicki, że udało mu się znaleźć nakładcę na swą gramatykę, tłómaczoną z Tomka, w osobie ruchliwego początkowo księgarza J. Okońskiego. Gramatyka ta przez lat kilka rozchodziła się bardzo powoli, ukazała się bowiem w dobie, gdy jeszcze z nadludzkim wysiłkiem łątać trzeba było lody przesądu i niedbalstwa, a w gruncie rzeczy grubego nieuctwa na polu lingwistyki i historyi ludów słowiańskich.

„Krótka gramatyka czeska Władysława Tomka, przetłómaczona przez J. Krzywickiego“ wyszła w Warszawie r. 1866; przekład jej był rezultatem zasiewu, który był rzucił ś. p. T. B. Kwiet, profesor b. Szkoły głównej. Lekceważono tę pracę, której wprawdzie nie pisano w zastosowaniu do potrzeb publiczności polskiej, wszelako była ona gruntowną i niejednemu dobrze posłużyła. Zajęcie się czeszczyzną już w dobie po jubileuszu Kraszewskiego wyczerpało resztę zapasów tej książki; drukowana w niewielkiej ilości egzemplarzy, po latach piętnastu zeszała wreszcie z półek księgarskich. Drugie wydanie okazało się jednak zbyt późnym, gdyż od innych pracowników można było spodziewać się pracy lepszej i rzeczywiście zabrał się do niej prof. Szastecki.

Szastecki jest lingwistą szkoły wielkopolskiej, czyli ks. F. Malinowskiego. Szkole tej możnaby nie jeden uczynić zarzut, wszelako niepodobna nie przyznać, że zrobiła olbrzymi krok postępu w porównaniu z dawniejszą empiryczną gramatyką naszą, której symbolem w W. Ks. Poznańskim była gramatyka J. Muczковского, tak jak w Królestwie Polskiem jest jeszcze dziś Gramatyka polska Teodozego Sierocińskiego. Szkoła Wielkopolska dała pohop do korzystania z wyników lingwistyki i gramatyki porównawczej a studia nad językiem naszym wprowadziła na szeroki gościniec badań ściśle naukowych. Jasna rzecz, że uczeń takiej szkoły miał więcej danych do dokonania podobnej pracy, aniżeli dyletant-literat lub gramatyk starego pokroju, niemający pojęcia nawet o kategoriach gramatycznych.

Ze stanowiska praktycznego, szkoła wielkopolska ma tę wadę, iż usiłuje niezwłocznie wprowadzić w czyn pisownią swoją, która wprawdzie w obec dzisiejszej plataniny jest istotnie postępową i duchowi języka odpowiedniejszą; ale przyjmuje się nader opornie, tak iż niedawno komisya ortograficzna w Akademii krakowskiej nie na wszystkie odważyła się punkta. Pisownia jest tylko najzewnętrzną stroną dzieła literackiego, pierwszą łupiną pokrywającą treść właściwą, a jednak nałóg ma taką w tych rzeczach siłę, iż nie jeden zraza się do książki dlatego jedynie, że go razi w niej... niezwykła pisownia ¹⁾. Pan Szastecki pod względem praktycznym niemało tedy za-

¹⁾ Nie przecząc temu, że pisownia jest zewnętrzną stroną dzieła, przyznajemy jednak tej szacie głębsze nieco znaczenie, łączące się z organizmem

szkodził swojej pracy przez wprowadzenie do niej jotacy przy samogłosce i, narzędnika na ym, im zamiast ém, iém, nareszcie terminologią i systematyką gramatyczną, postawieniem w przypadkowaniu miejscownika przed narzędnikiem, co wszystko wprawdzie na poważny zarzut nie zasługuje, ale czyni jego „Gramatykę“ nie pojętą dla tych, co z braku przygotowania lingwistycznego lub z duchowego lenistwa odstręczają się od jej formy, do której nie przywykli. Za pisownią tę istotnie recenzenci niektórzy chłostali autora i to z daleko większą surowością, aniżeli rzecz sama zasługiwała.

Stawiliśmy zarzut co do pisowni na samém czele, jedynie dlatego, aby co prędzej załatwić kwestyą, która nastęrcza się na pierwszy rzut oka czytelnikowi i częstokroć niekorzystnie usposabia go względem książki. Ze stanowiska naukowego właściwie nie robimy autorowi zarzutu, z tego tytułu, żałujemy tylko, że doktrynerstwem swém p. Szastecki utrudnił materialne powodzenie książce, istotnie sumiennej, napisanej z gruntowną znajomością rzeczy i zasługującej na wszelkie uznanie. Uznania tego poskąpi mu chyba krytyk dyletant, piszący o wszystkim, a najwięcej o tém, na czém się nie zna wcale, ale nigdy recenzent sumienny, przejęty poczuciem odpowiedzialności za każdy wyraz swego sądu. Prof. Nehring, który pracę p. Szasteckiego przeglądał był w rękopiśmie, wyraził się o niej w ten sposób: „Praca jest pilna i staranna. Znajduję, że gramatyka ta jako książka podręczna przeznaczona dla polaków odpowiada przeznaczeniu“¹⁾. Na sąd ten piszemy się w zupełności, ale dokładność krytyka nakazuje zaznaczyć pewne słabe strony „Gramatyki.“

Przedewszystkiem uważamy za niedostateczne obrobienie głosowni. Na samym wstępie prof. Szastecki dzieli samogłoski na: długie, krótkie i miękkie. Jest to pomieszanie dwóch zasad podziału, — samogłoska bowiem miękka może być krótką i długą, jak to zresztą i sam autor zaznaczył. W głosowni brak także prawidła bardzo ważnego, mianowicie tak zwanego przegłosowania, czyli zwałenia samo-

fonologicznym języka, a uważając ją do pewnego stopnia za wyraz konwenyonalności, w której się naród wychowywał przez wieki, widzimy w tej okoliczności słuszny powód oburzenia przeciwko wszelkim lekkomyślnym nowatorom, którzy lekceważąc zwyczaj narodowy, obrażają poczucie indywidualności ducha narodowego. O ile popieramy dążność poważnych lingwistów i nauczycieli języka do ujednostajnienia pisowni, o tyle ubolewamy nad coraz rozmaitszomi pomysłami nieupoważnionych nowatorów. Ks. Fr. Malinowski nie marzył o reformie pisowni dla użytku praktycznego; ale jako lingwista, szukał kłucza do otworzenia tajemnic fonologicznych w organicznej budowie wielu form gramatycznych języka polskiego. Skromne te zamiary zasłużonego gramatyka, wydeśli niepowołani adwokaci jego poglądów do rozmiarów nopuszonego nowatorstwa, silniejszego arogancją aniżeli prawdziwą nauką gramatyki i lingwistyki. *Red.*

¹⁾ Zob. „Slovanaky Sbornik,” rocznik II, str. 55.

głoski [pod wpływem spółgłoski miękkiej, który to wpływ zarówno działa na samogłoskę następującą jak i poprzedzającą. Sformułowanie należyte owego prawidła rzuciłoby jasne światło na wiele zjawisk flekcyjnych, które, trzeba jednak przyznać, szczegółowo w części o odmianach zaznaczone zostały.

Za to naukę o odmianach i składni znajdujemy bardzo starannie opracowaną na podstawie dobrych źródeł. Możliwy tutaj życzyć sobie więcej porównywania z językiem polskim, co by np. należycie wyjaśniło, dlaczego *lo ket* (łokieć) wyjątkowo należy do II klasy deklinacyjnej to jest do męskich, zakończonych na spółgłoskę miękką. Gdyby prawidło o przegłosowaniu należycie sformułowanem zostało, końcówki téjże II klasy *e* zamiast *a*, *i* zamiast *u*, (a także końcówki w żeńskich na *e* lub *ě*) nabrałyby innego znaczenia; możliwy przytém zmniejszyć liczbę poddziałów, co zresztą jest rzeczą podrzędnego znaczenia, lubo to p. J. F. Geislera wielką zgrozą napełnia. Qui bene distinguit bene docet, a oddzielenie jednego od drugiego w „Gramatyce“ p. Szasteckiego starannie zostało przeprowadzonem. Robiono zarzut p. Szasteckiemu drobiazgowości w prawidłach, mnóstwa wyjątków i t. p. Dziwny to zarzut, skierowany przeciwko dokładności autora. Wprawdzie ze względów praktycznych byłoby pożądanem pewne rozróżnienie rzeczy głównych od drugorzędnych, ku czemu dobrze posłużyłoby użycie trojakiemu drukowi, ale można liczyć, iż gramatyki téj używać będą przedewszystkiem ludzie dojrzałsi, którzy sami rozróżnienia owego dokonać zdołają. Minęły już te czasy, gdy uczy-cy mordowali swoją pamięć nad wyjątkami i w ogóle nad drobiazgami gramatycznymi, jednakże pożądanem jest, aby każdy pracujący nad językiem znalazł je w książce podręcznej dla informacyi w razie potrzeby.

Gramatyka p. Szasteckiego nie jest wyłącznie teoretyczną, owszem, począwszy już od deklinacyi I, wszędzie po każdym oddziale mamy dodane przykłady, składające się z pojedynczych zdań, a w końcu przy składni znajdują się trzy kawałki treści ciągłej. Przykłady dobrał autor bardzo trafnie, tak że mogą one wiele nauczyć bacznego czytelnika. Niekiedy jednakże brak tam przy niezrozumiałym wyrazie znaczenia, np. w pierwszych przykładach (str. 15) nie objaśniono wyrazów „*hřbitov*“ (cmentarz), „*střed*“ (centrum. środek). „*vrah*“ (zabójca); wyraz „*skutek*“ (uczynek) objaśnionym został dopiero na str. 25. Znie-wala to do szukania wyrazu w słowniczku, niekiedy jednak wyrazu nie objaśniono w przykładzie, a w słowniczku go niema np. „*žulovy kámeu*“ (str. 131). Są to wszelako rzadkie wypadki niedopatrzienia, które pracy p. Szasteckiego ani trochę wartości nie ujmują.

Do gramatyki dołączył autor mały słowniczek, obejmujący około 800 wyrazów. Zamiarem p. Szasteckiego było dać tak zwany słowniczek dyferencyalny, to jest zawierający tylko wyrazy różne brzmieniem i znaczeniem od polskich, co nie zawsze konsekwentnie przeprowadzono. Bez wyrazów takich jak „*bibli*“, „*božé*“, „*bratr*“,

„buditi čelo,“ „dāti,“ „důstatek.“ i innych słowniczek mógłby się był obejść. W podaniu znaczenia znajdujemy gdzie niegdzie pewne niedokładności, brak uchwycenia należytego odcienia, lub niedodanie znaczenia ważnego i więcej od podanych używanego. Tak np. przy „beseda“ należało koniecznie dodać „klub,“ „resursa,“ „bída“ znaczy więcej jeszcze niż nasza „biéda,“ bo „nědza“ (biéda jest „chudoba,“ nowsze), „bohužel“ — znaczy nie „żał Boże“ a „niestety,“ „mládek“ nie znaczy młodzian, młodszy czeladnik w browarze lub młynie, „mravně“ przedewszystkiém znaczy „moralnie,“ „skladatel“ nie znaczy autor, ale kompozytor (autor „spisovatel“) i t. d.

Są to jednak nie tyle błędy, ile drobne niedokładności, które wytknęliśmy z obowiązku krytyckiego, przyznając zresztą książce p. Szasteckiego wielkie zalety staranności i sumiennego opracowania. Z książki téj istotnie po czesku nauczyć się można, jest ona obecnie jedynym podręcznikiem dla polaków, odpowiadającym swemu celowi. Nie jest jednak „gramatyką filozoficznie opracowaną,“ jak ją nazywa naiwny krytyk „Tygodnika Mód“ (Nr. 39); kto zechce szukać prac filozoficznych (właściwie lingwistycznych) nad czeszczyzną, t. n. nauczywszy się od p. Szasteckiego po czesku, sięgnie do prac Miklosicza, Hattali, Gebauera i innych. Że p. Szastecki tak daleko nie sięgał, gniewa się nań p. Geisler, któremu to wielce wadzi, że gramatyka p. Szasteckiego jest ciężką, że autor wykrzykniki poczytuje za część mowy, że nie odrzuca za przykładem Miklosicza składni rządu i lekceważąc odsyła czytelnika do Sierocińskiego, który w każdym razie, jak nam przynajmniej się wydaje, pod względem lingwistycznym obok surowego krytyka stanąć może.

Powiedzieliśmy, że „Gramatyka“ p. Szasteckiego jest dzisiaj jedynym podręcznikiem polskim, z którego po czesku nauczyć się można, nie przynajemy bowiem, by ktokolwiek na serio nauczył się po czesku z wyższej jednocześnie książeczki, krzykliwie zareklamowanej, a noszącej tytuł: „Sposób nauczania się po czesku w 18-tu lekcyach, podany przez Pawła Byczkowskiego.“ Młodociany twórca tego „Sposobu,“ z lekkiej ręki niezbyt kompetentnych przyjaciół wypromowany na mistrza czeszczyzny, powziął istotnie niezły pomysł zastosowania do tego języka metody praktycznej, przystępującej od razu do czytania tekstu z dosłownym przekładem pod spodem. Metodę tę poraz pierwszy zastosował był do łaciny Hamilton, po nim zaś użył jęj do nauki nowszych języków Robertson, z nięj także porodziły się znane metody Ahna, Ollendorfa i innych. Jest to droga bardzo pojętna dla tych niecierpliwych umysłów, które nierade wchodzą przez bramę prawideł gramatycznych do czytania obcych autorów. Są nawet tak wyjątkowe umysły, które uczą się bez gramatyki obcego języka. August Szenoa, chorwat rodem, rozumiał wszystko, mówił i pisał po czesku bardzo poprawnie, a jednak zapewniał, że gramatyki czeskiej nigdy nawet nie brał do ręki. Wszelako metoda ta bez gramatyki obejść się nie może, podaje ją też p. B. w kondensowanej

postaci po odrobinie przy każdej lekcji praktycznej. Aby podobny podręcznik ułożył w sposób odpowiadający celowi, na to potrzeba w autorze dwóch nieodzownych warunków: zręczności metodycznej i gruntownej znajomości danego języka. Autorowi „Sposobu“ brakowało obu tych warunków. Książeczka jego ujawnia nader niedostateczną samą czeszczyzną znajomość. Postaramy się wykazać to na-przód na praktycznej stronie książeczki, jako stanowiącej główną jej wagę.

Wyrazy czeskie w stosunku do polskich można podzielić na trzy rodzaje. Jedne brzmią tak samo jak po polsku (częstokroć z małemi fonetycznemi zmianami) i toż samo co u nas mają znaczenie. Inne podobne są do polskich; ale mają inne znaczenie, częstokroć pokrewne naszemu; ale też nieraz bardzo od niego dalekie. Inne wreszcie są różne od naszych i brzmieniem i znaczeniem. Pierwszego rodzaju wyrazy p. Byczkowski objaśnia należycie, ale też one właściwie objaśnienia nie potrzebują. Drugi rodzaj wyrazów tłumaczy niewolniczo równobrzmiennemi wyrazami polskimi, niewiadomo czy z zasady, w każdym razie bardzo fałszywej, czy też w skutek słabej znajomości czeszczyzny. Przypuszczamy, że prędzej z tego ostatniego powodu, w czem nas utwierdza i to, że z wyrazów czeskich, obcych brzmieniem naszemu językowi, rzadko który należycie przełożył. Przykładów tej nieznamości języka czeskiego znajdujemy bardzo dużo, niemal na każdej stronie.

I tak na samym początku pierwszej powiastki (Otokara Jedliczki) str. 12. „Na obloze“ tłumaczy p. Byczkowski przez: „na widuokregu“ a to znaczy „sklepienie niebieskie;“ „postyla“ nie znaczy „otacza“ a „zaściela;“ „krajina“ nie znaczy „krajinę;“ a „okolicę;“ „dovádívá děvčata“ nie są „żartobliwe dziewczęta“ a swawolące.“ Tyle błędów znajdujemy w ośmiu wierszach! Na następnej (13) stronie znajdujemy „na okolních kopcích;“ przełożone fałszywie przez „na pogranicznych kopcach;“ tymczasem to znaczy „na okolicznych wzgórzach;“ „po powietrzi“ nie znaczy „do powietrza“ a „w powietrzu“ (użycie przyimka czeskiego do w znaczeniu naszego w, stanowi charakterystyczną cechę języka). „neradno“ nie znaczy „nie radzi się“ a „niebezpiecznie;“ (przystówek ten jest niewolniczym tłumaczeniem niemieckiego „nicht rathsam“). Na następnej stronie (14) „obraznost“ (fantazja, wyobraźnia) tłumaczy się przez „obrazowość“ (sic), „shrnuło se“ przez „zgarnęło się;“ tymczasem to znaczy „zbiegło się, zebrało się;“ „sudičky“ mają być według p. Byczkowskiego „wieszczki;“ tymczasem są to „dziewice losu.“ Klasycznym jest błąd na następnej stronie: „Vhny... laškují se sma vým obrazem měsíce;“ według p. Byczkowskiego ma to być „fale pieszczą się śmiejącym obrazem miesiąca;“ tymczasem właściwie znaczy: „fale igrają z uśmiechniętym odbiciem księżyca;“ a zatem p. Byczkowski nie rozumie, że tutaj „se“ nie znaczy zaimka „się“ a przyimek „z“

Na następnej stronie (16) widzimy takie curiosa „upináme tam

oko“ „kierujemy tam oko,“ a to znaczy „wznosimy tam oko,“ „mýliny“ przełożono przez „knieje,“ a tymczasem znaczy to „karczowiska, polanki leśne.“ Na str. 18 „kol spanilých tváří,“ przetłómaczono przez „koło wspaniałej twarzy,“ tymczasem należało przełożyć „dokoła pięknych lic;“ „vyrušil ji“ nie znaczy „poruszyło ją“ a „zbudziło ją, wyrwało.“

Byłoby zbytceźnym przechodzić kolejno wszystkie błędy w książeczce p. Byczkowskiego, od których wolną nie jest niemal ani jedna stronica. Przejrzyjmy więc tak na chybił trafił to, co bardziej rażącego samo nam wpadnie w oczy. Na str. 26 „ranní klekáni,“ ma być „ranne dzwonicie na nabożeństwo,“ tymczasem jest to „na Anioł Pański.“ Na str. 29 „Zářečých Jan,“ nie można nigdy tłómaczyć przez „Zarzeckich Jan,“ tylko „Jan Zarzecki;“ tego sposobu nazywania dzieci zapomocą dopełniacza od imienia rodziców nasz język nie zna wcale. Na str. 31 czytamy: „S okazałym pychem vzal si... děvčě,“ co ma niby znaczyć „Z okazałym przepychem wziął sobie dziewczę,“ tymczasem jest to „z ostentacyjną dumą ożenił się z dziewczęciem.“ Na str. 36 „zdrcující ma być „szarpiący,“ tymczasem jest „druzgocący.“ Na str. 37 „nežalowały zbytečně“ nie znaczy „nie gderwały zbytceźnie“ ale „nie skarżyły się niepotrzebnie,“ „představený“ nie jest „przedstawiciel“ a „wójt,“ „hospodský“ znowu nie znaczy „gospodarza“ a „karczmarza“ a „ostatní“ nie „ostatni“ ale „pozostały.“ Na str. 45 „špatně pochodil“ nie znaczy „szpetnie wyszedł“ a „žle trafił.“ Na str. 53 „chasník“ nie znaczy „młodzik,“ ale „parobek.“

Na str. 58 czytamy „z očí šlehalý jí blesky,“ „z oczów smagały jój blaski“ a powinno być „z oczu jój wypadały błyskawice;“ „rušit“ nie znaczy „naruszać“ ale „burzyć“ lub jak w daném miejscu „obrażać,“ „navrh“ nie jest zamiar“ a „projekt.“ Na str. 64 „žadost“ nie znaczy „żądanie“ a „prošbę, pragnienie,“ „zbytek“ nigdy nie znaczy to, co polski wyraz „zbytek“ ale „resztką, pozostała część,“ „zachránit“ nie jest „ochronić“ a zachować; „tuby“ nie jest „tęgi“ a „wytrwały, silny,“ „obražel se“ nie znaczy „wyobrażał się“ a „odbijał się,“ „téměr“ nie znaczy ani „tak samo,“ ani „tój miary“ tylko „prawie,“ „kolísání“ nie znaczy nigdy „kołysanie“ ale „falowanie“ a tutaj „wahanie się.“ Ciekawém jest na str. 81 przełożenie wyrazu „šosák“ przez „frakarz, noszący frak, arystokrata,“ tymczasem wyraz ten, wzięty od długich szosów u fraka, oznacza „zacofańca,“ to samo co niemieckie „spießbürger.“ Na str. 94 „bevousý obličej“ nie znaczy „bezwąse oblicze,“ a „twarz bez zarostu,“ właściwie „bez brody,“ „vous“ bowiem nie znaczy „wąs“ a „brodę,“ o czém niektórzy nasi czechofilowie nieraz zapominają. Na str. 104 „odměni“ ma to być „odmieni,“ tymczasem znaczy to „wynagrodzi.“ Tamże wyraz „námitka“ (zarzut) otrzymał od p. Byczkowskiego aż cztery znaczenia (dowód, wykład, przypomnienie, polecenie), wszystkie cztery nietrafne. Tamże „osvědčil“ nie znaczy „oświadczył“ ale „okazał.“ Na str. 105 „zvikiála na novo ůmysl,“ przekłada autor przez „zwicktała

nanowo umysł," dziwoląg ten niezrozumiały popolsku tém jest nietrafniejszy, że „umysł" nie znaczy nigdy „umysł" a „zamiar,"

Tamże jest ciekawe „trapné postaveni," mające znaczyć „trafiące postawienie," a znaczące właściwie „kłopotliwe, przykre położenie" i t. d.

Aż w głowie się mąci, spotykając takie mnóstwo błędów, dowodzących, że ten, kto w 18 lekcjach chce uczyć publiczność po czesku, sam jeszcze 180 przynajmniej wziąć powinien lekcyi, ażeby się po czesku nauczył.

Wybraliśmy tylko drobną cząstkę tych błędów, jest ich bowiem tak wiele, iż wykaz ich zabrałyby znaczną część kart „Biblioteki." A jak się przytém nasz autor z językiem polskim obchodził! Co to ma być „klin téj czarownej nocy?" Wyraz klin (łono) istotnie używa się u ludu w południowo-zachodniej części kraju naszego, ale w języku piśmienniczym nie ma prawa obywatelstwa. Jak się podobają czytelnikowi takie wyrażenia, jak „ciasne objęcie snu," „psy wesoło obskakiwali" (str. 18), lub „padła waszemu Janowi do oka" (str. 44), „groza," „chwilami zaśie zabrzmięwa to laskiem jako tkliwe jęczenie" (str. 65), „mamoniarze (sic) przyznawali prawdę" (str. 52), „rozczochrane myśli," „wiercił głową" (str. 93), „wykasane rękawy" (str. 105) i tym podobne.

Może czytelnik sądzi, że część teoretyczna, gramatyczna jest lepszą? Na samym wstępie czytamy jako przedsmak następujące prawidło fonetyczne „ov=polskiemu ou, wymówionemu razem, prawie jak oł lub ą." Przeczytawszy coś podobnego, prawie nie chce się wierzyć własnym oczom, gdyż to daje do myślenia, że nauczyciel czeszczyzny w 18 lekcjach, chyba nigdy czechów mówiących nie słyszał. Jaki ma sens takie prawidło, że „rosyjskie oto i oro odpowiada czeskiemu la i ra" — czyż sobie autor naprawdę nie zdaje sprawy z tego, dla jakiej publiczności książeczkę swoją przeznaczył? W oddziale o odmianach nie ma żadnych wzorów, ale zato tam znajdują się kolosalne błędy. Np. (str. 19) Boleslav (rodzaju męskiego) ma mieć dopełniacz Boleslave, a przypadki 3, 5 i 7 Boleslavi (!). P. Byczkowski widocznie coś zastyszał o nazwie miasta Boleslav, które jako rodzaju żeńskiego, zakończone na spółgłoskę niegdyś zmiękczoną, ma przypadki poboczne na i. A jakie tam zamieszanie w prawidłach o odmianach, jakie przeskakowanie od rodzaju do rodzaju, jaki brak rozgraniczenia! Kogo nauczą czegoś takie prawidła jak „czasami także końcówka wo odpowiada czeskiej vi, lub „inne końcówki czeskie mniej więcej takie, jak polskie?" W rozdziale o stopniowaniu przyśłówków, dowiadujemy się tylko o stopniowaniu nieprawidłowém, o prawidłowém zaś tutaj nie ma ani słoweczka.

W prawidłach gramatycznych p. Byczkowski chytya tylko to, co mu się przypadkowo nastrecza, zapomina o rzeczach ważnych jak to widzimy na każdym kroku. Np. na str. 55 w rozdziale o zaimkach, podane są tylko trzy przypadki od zaimka *co*, jaki=ký, a zapomniano

powiedzieć, że także używa się jaký. Z zaimków nieoznaczonych podany jest tylko „lockterý=ledakterý“ (sic). Toż samo powierzchowne chwytnie tego, co się pod rękę nawinęło, widzimy w nauce o słowach, a nadto o przyimkach, spójnikach i wykrzyknikach. Te trzy części mowy pomieścił p. Byczkowski na niecałej stronnicy, zapominając czy snadź nie wiedząc, że system przyimków czeskich wielce różni się od naszego i polakom dokładnie wyłożonym być powinien. Między przyimkami jeden udał się p. Byczk. znakomicie (str. 95): „przez=prčs lub skř (skře).“ Autor, uczący nas po czesku, nie wie, iż niema żadnego przyimka skř lub skře, a jest skr z, w którym r i z osobno się wymawiają.

Aczkolwiek nie wyczerpaliśmy bynajmniej ani w dziesiątej części błędów książeczki p. Byczk.—jednakże sądzimy, że z tego, cośmy już powiedzieli, czytelnik przyjdzie do przekonania, że z niej ani w 18, ani w 100 lekcjach po czesku się nie nauczy. Nie rozumiemy, dla czego na błędy te nie zwrócili uwagi chwalczy „Sposobu“ p. Byczkowskiego, nie już tacy, co o czeszczynie najmniejszego nie mają pojęcia, ale nawet taki p. Geisler, który umie po czesku. A jednak tenże p. Geisler, co tak surowo obszedł się był z p. Szasteckim, niezadługo potem nieskąpo wychwalał Byczkowskiego i „Sposób“ jego publicznie zalecił.

„Sposób“ ten ma na czele „Przedmowę“ curiosum sui generis. Moglibyśmy przemilczeć o tym zbiorze niedorzeczności, gdyby nie to, że tutaj w karykaturalném skupieniu znajdujemy nonsensa, które pojedynczo słyszeliśmy już byli nieraz od niektórych naszych młodszych czechofilów. P. Byczk. zwyczajem młodszych miłośników polskich rzeczy rozpoczyna od żalosułej skargi nad tém, że my w porównaniu z czechami, u których „nie ma prawie tygodnia, aby nie ukazało się jakie (sic) dzieło (!), czy to traktujące o polakach, czy też będące przekładem z polskiego,“ my nic względem czechów, albo przynajmniej bardzo mało robimy. Takich jeremiad czytamy pełno przy lada sposobności, aż zdejmuje ochota powiedzieć panom Jeremiaszom: „toż u licha róbcięż, panowie, sami więciej albo przynajmniej lepij!“ Narzekania te może miały dawniej pewną podstawę, ale dziś sami narzekający sobie uwłaczają, bo przyznają się do tego, że sami nie robią nic albo bardzo mało.

Drugi znakomity wyskok autora przytaczamy in extenso: „Nasi literaci, nie znając zupełnie (sic) czeskiej literatury, mają o polskiej przesadne wyobrażenie, sądząc, że jest ona czémś nieskończenie wyższém w porównaniu z czeską. Trudno mi w kilku słowach rozstrzygnąć, któremu z dwóch narodów należy się pod tym względem pierwszeństwo. To tylko powiem, że, jeżeli polska literatura mickiewiczowskiego okresu przewyższa czeską współczesną, za to obecna literatura polska bezwarunkowo (!) stoi niżej od czeskiej, co do jakości i co do ilości swoich działaczy. Dosyć wspomnieć o takich poetach czeskich, jak Vrchlicki, Czech, Pokorny, Neruda, Halek, Heyduk,

Sladek, Krasnohorska i bardzo wielu innych europejskiej sławy (!)¹⁾. Trzeba pamiętać, że źródło, z którego wypływa nasze piśmiennictwo, jest szczupłe; (a to co znaczy?) obejmuje ono dotąd bardzo nieznaczną część Polaków, przeważnie szlachtę: chłop polski nawet i czytać nie umie“ i t. d. Mimowoli nasuwa nam się pytanie, gdzie jest źródło podobnej abdykacy i pokory narodowej w młodzieniaszku, który, jak się z tego pokazuje, nie zna ani polskiej ani czeskiej literatury. Gdyby p. Byczkowski miał w ręku choć „Katalog bibliograficzny słowiański,” wydawany w Pradze corocznie i obejmujący wszystkie literatury słowiańskie (z wyjątkiem rosyjskiej), przekonałby się, że w tym „Katalogu“ już pod względem ilościowym pierwsze zajmujemy miejsce — pomimo wszelkich nieprzyjaznych okoliczności. Nie może tu być mowy o ilości gazet, bo dziennikarstwo rozrodzone zresztą w Czechach, skutkiem odmiennego położenia politycznego, nie stanowi właściwej literatury.

W dalszym ciągu czytamy (str. IX): „Aby ułatwić uczenie się znaczenia wyrazów, w przekładzie polskim dobieierałem takich, których pierwiastek jaknajbardziej (sic) jest do czeskiego zbliżony. (A zatem autor tak często dobieierał fałszywie). Dlatego też umieściłem wiele słów, bądź wziętych ze staropolskiego języka... bądź przezemnie (sic) wprowadzonych.“ To też dlatego tak smutnie język polski w książeczce p. Byczkowskiego wygląda, że młodzieńcowi zachciało się już na ławce szkolnej być twórcą w dziedzinie języka.

Niesmaczną jest reklama, zrobiona przez autora przyjacielowi swemu, p. Miriamowi, który ma być „prawie wyłącznym“ pracownikiem dla utrzymania wzajemności polsko-czeskiej i już „na tém polu zrobił bardzo wiele.“ Pracuje on podobno nad przyswojeniem w całości polskiej literaturze Vrchlickiego — zadanie nielada, bo już dziś tego jest coś tomów przeszło 10, nie licząc tłumaczeń. Według p. Byczkowskiego „przekłady Miriama są tego rodzaju, że sam Vrchlicki nazywa go najlepszym tłumaczem jego myśli i przyznaje, że częstokroć przekład Miriama przewyższa oryginał.“ Aczkolwiek powątpiewamy, by Vrchlicki istotnie wyraził się w podobnie nieprzyzwoity sposób, to jednak bądź co bądź byłoby wielką naiwnością brać za dobrą monetę komplementa autorów dla swoich tłumaczy, Vrchlickiego na żaden język nie przekładają tyle, co na nasz, więc nic dziwnego, że na tłumaczy naszych jest łaskaw aż nadmiernie.

Mnożstwo błędów w książeczce, która ma uczyć, nie czyni pracy p. B. nabytkiem dla literatury pozytywnym, bo kompromituje nas w oczach Czechów, właśnie w tej chwili, gdy ci energicznie zabrali się do gruntownego rozbioru dzieł czeskich o literaturze polskiej, aby wypełnić lekkomyślny dyletantyzm na tém polu. Książeczka p. B.

¹⁾ Halek umarł przed dziesięciu laty — o Zeyerze, talencie pierwszorzędnym, godnym stanąć obok Vrchlickiego i Czecha, p. Byczkowski suadził ani słyszał.

jest jednym z najfałszywszych kroków pod tym względem. Wino wielce umniejsza młodość i brak doświadczenia autora, który, podając ucho wzajemnej admiracji, nie zastanowił się nad tą prawdą, że w tym wieku należy się uczyć, a nie nauczać publiczność, że dzieła, na jakie się był porwał, mógł dokonać jedynie wytrawny znawca języka czeskiego, wykształcony lingwistycznie i wyćwiczony dydaktycznie. Obecny błąd literacki p. Byczkowskiego, mający tytuł „Sposobu nauczania się po czesku w 18 lekcjach,“ nic a nic nie przesądza o jego przyszłości piśmienniczej, co więcej usposabia nas nawet sympatycznie dla autora, który, poznawszy realne warunki naszego życia narodowego, dojrzałszemi owocami literaturę naszą pedagogiczną bogacić może. Widzimy bowiem u niego zapał dla sprawy, gorączkowe pragnienie okazania go w czynie, co, lubo prowadzi do niepożądanych ze stanowiska obiektywnego przedwczesnych deklamacji, ale zawsze lepszym bywa od apatyj i samolubnej poziomości.

Bronisław Grabowski.

„Slovansky Sbornik — artykuły z dziedziny etnografii, historii kultury i dziejów, życia literackiego oraz towarzyskiego” Rocznik II. Redaktor Edward Jelinek. Praga, nakładem J. Otty. 1883 roku *).

Z artykułu p. Hanusza Klimy „Narodowi dobroczyńcy serbscy“ dowiadujemy się, jakie sumy pozostawili testamentem rozmaici patrioci na cele naukowe w Serbii. Byli to Ilija Milosawljewicz Kolarac, Misza Anastasijewicz, Nikola Czupicz, Sawa Tekelija, Stefan Stratimirowicz, Platon Atanackowicz i Wasa Ziwanowicz, po większej części kupcy, ludzie mało wykształceni, ale dobrze pojmujący ważność nauki dla rodaków swoich.

Większość artykułów historycznych w „Slov. Sbor.“ odnosi się do naszych dziejów. Józef Łepkowski ozdobił karty jego krótkim artykułem p. t. „Ubiory w Polsce.“ Po kilku wstępnych uwagach, że polacy wiele od obcych przejęli, ale też i niejedno światu dali, pan Łepkowski napomyka że „ubiór wogóle jest pod względem kroju w zgodzie z architekturą i ze stylami sztuk pięknych. W nim przejawiają się też same znamiona, co w malarstwie i rzeźbiarstwie — ubiór był gotycki, renaissance, rokoko, a nawet klasyczny.“

Według pana Łepkowskiego najdawniejszy ubiór polski stanowiły zupan, pas i opończa... Szuba była zwierzchniem odzieniem... futro bywało znakiem dostojności. Dalej pokrótce przechodzi rozmaite ro-

*) Dokończenie. — Patrz zeszyt za październik 1884.

dzaje odzienia, zmiany ich, a w końcu jako materyał do dziejów ubrania przytacza obrazki w rękopisach Erazma Ciołka i Baltazara Bema, dzieło Łukasza Gołębiowskiego o „Ubiorach w Polsce“ i publikacją Jana Matejki, w której na jedenastu tablicach podane są sumiennie i artystycznie zestawione obrazy ubiorów, używanych w Polsce od r. 1200 do 1795.

Czesław Koryciński dał artykuł p. t. „Stosunki Czech z Polską i znaczenie ich w politycznym ruchu szlachty polskiej w XV wieku.“ Artykułowi temu, napisanemu z dobrą znajomością rzeczy, wiele zaszkodziły ciasne ramy, nie pozwalające rozwinąć należycie materyału ciekawego, ważnego, a mało dotąd opracowanego. Pan Koryciński mówi głównie o wpływie ruchu husyckiego na szlachtę polską, który to wpływ, nie tyle silny pod względem religijnym, miał daleko większe znaczenie w dziedzinie społecznej i politycznej. W Czechach ruch ten zmierzał przeciwko magnatom z powodu ich obyczajów cudzoziemskich i ducha wyłączności, przyznającego sobie jedynie prawo do rządów. W Polsce głos wolności, dolatujący z nad Wełtawy, pobudził szlachtę, aby domagała się praw swoich. Wybuch rewolucyjny w Czechach r. 1419 wywołał w Polsce r. 1422 statuty warteńskie, przywracające statut wiślicki i reformujący sądy; po ostatecznym zaś uorganizowaniu rządu czeskiego na zasadzie demokratycznej r. 1436, wychodzą w Polsce r. 1454 tak zwane statuty Nieszawskie, zaprowadzające równouprawnienie szlachty z panami i ustanawiające sejm, demokratyczny organ rządowy. Ruch ten w Czechach przeszedł w jawne powstanie, w Polsce zaś odbywał się spokojnie, co wynikało z okoliczności odrębnych w obu krajach. Tezy powyższe, należycie rozwinięte i uzasadnione, z bogactwem z czasem filozofią naszych dziejów poglądem do pewnego stopnia nowym, a w każdym razie ważnym. Koniec artykułu wypowiada potrzebę wzajemności polsko-czeskiej w sposób stanowczy, ale poważny, trzeźwy, bez żadnych manifestacyjnych lub ugruntowanych uniesień.

Kartką do dziejów owej wzajemności i to bardzo dla nas ciekawą jest artykuł Koldy Malinskiego (pseudonim) p. t. „Księżniczki polskie na tronie czeskim.“ — Czesi dali nam Dąbrówkę, a jak chce pan Malinsky i Maryą Józefę, córkę cesarza Józefa I, króla czeskiego, żonę Augusta III (właściwie niemkę), od nas znówu dostali Swatawę, małżonkę Wratysława II, Elżbietę, żonę Sobiesława II i Rejczkę (Ryckę), żonę Wacława II oraz Wiołę Cieszyńską, poślubioną Wacławowi III. Ród Przemysławów głównie zwracał się ku imperyum Germańskiemu, to też na dwadzieścia siedem znanych z imienia monarchii czeskich aż piętnaście pochodziło z Niemiec. O trzech polkach pan Malinsky sądzi nader pochlebnie, powiada, że one zasługami swemi, niby rzadkimi klejnotami ozdobiły tron Przemysławów. „Jest to trójca gwiazd błyszczących, które uiby zwiastunki lepszych czasów przyszły do nas od Wschodu; naród czeski błogosławił je za życia, błogosławił je i po śmierci.“

Swatawą u Czechów nazywano Świętosławę, córkę Kazimierza I Odnowiciela. Gdy brat jej Bolesław Śmiały zawarł pokój z księciem czeskim Wratysławem, ten ostatni, straciwszy drugą swoją żonę, zażądał ręki młodocianej księżniczki polskiej. Wierny sprzymierzeniec cesarza Henryka IV otrzymał od niego koronę królewską i Swatawa wraz z mężem ukoronowaną została — była więc pierwszą królową czeską. Na tronie nie usłano jej różami; musiała ona niejedno uciepić od swego pasierba Brzetysława, zwłaszcza gdy ten po nagłym zgoinie ojca Wratysława otrzymał tron czeski. Między dziećmi Wratysława trwały swary i współzawodnictwo i owdowiała królowa niejednokrotnie opuszczała swoje zacisze, aby interwencją swą przywracać zgodę i jedność rodzinną, a przynajmniej łagodzić zaciekłość bratniej waśni. Swatawa dożyła lat Nestorowych a pod koniec dni swoich miała tę pociechę, iż najukochańsze z dzieci swych, Sobiesława, który czas jakiś zajmował był ważne miejsce w wojsku Bolesława Krzywoustego, widziała na tronie czeskim.

Wnuk świętej niewiasty, Swatawy, Sobiesław II, pojął za małżonkę Elżbietę, córkę Mieczysława Starego. Aczkolwiek mamy bardzo niewiele wiadomości o tej księżnie, wszelako sądząc z kolei losów jej małżonka, możemy wnioskować, że tron dla niej bynajmniej nie był źródłem rozkoszy. Sobiesław nosi w dziejach zaszczytny przydomek „księcia sielskiego,” księcia chłopków. Z więzienia wydostał się na tron książęcy, ale współzawodnik jego, Fryderyk, odjął mu z czasem panowanie, zmusił do ucieczki na wygnanie dobrowolne, gdzie też nieszczęśliwy władca prędko żywot zakończył. Autor przypuszcza, że Elżbieta, jako córka Mieczysława, który wiele musiał być znosić od arystokracji i hierarchii, była niewątpliwie wychowaną w zasadach demokratycznych i należy jej przypisać wielką część tych zasług, za które Sobiesław z księciem sielskim został nazwany.

Inną postać wyrazistą w dziejach czeskich, lubo nie promieniącą takim czystym blaskiem jak dwie poprzedniczki, przedstawia Rejczka, czyli Ryksa, córka Przemysława, króla polskiego i Ryksy szwedzkiej. Miała ona lat dziesięć, gdy ojca jej zamordowali zdradziecko margrabiowie brandebursey, którzy osierocone dziecię wzięli pod swoją opiekę i zaręczyli nawet z młodzieńcem ze swego rodu, tylko śmierć narzeczonego od okropnego tego związku Ryksę uwolniła. Król Wacław II, pretendent do korony w Polsce, dla umocnienia wrzekomych praw swoich pojął za żonę Ryksę, która imię swe musiała przemienić na Elżbietę. Urodziła mu córkę Agnieszkę i po roku owdowiała. W krótko umarł ostatni król z rodu Przemysława, Wacław III; czesi obrali sobie panem Rudolfa wnuka Rudolfa Habsburskiego, i zobowiązali go do poślubienia jednej z wdów królewskich; Rudolf wybrał sobie naszą Rejczkę czyli Ryksę. Nowy król nie potrafił przywiązać do siebie narodu, który nie lubił go za skąpstwo, niezwyčajne w tak młodocianym wieku; nazywano go „król kasza,” bo wszystko, nawet kaszę, z Wiednia sobie sprowadzał. Za to gorąco

miłowała go jego małżonka, a choć w rok niespełna umarł, chowała go w pamięci i miłość swą dla niego przeniosła na cały ród Habsburgów, co jej niejedną przykrość przyniosło. Wyparta z Pragi przez nowego króla Henryka Korutańskiego, osiadła w dobrach, danych jej jako wiano przez Wacława i przemieszkiwała w mieście Hradcu, ztąd nazywano ją królową Hradecką. W nowej siedzibie rozpoczął się nowy okres jej żywota, nader romantyczny. Serce wdowy, która jeszcze trzydziestu lat nie liczyła, zapłonęło miłością dla urodziwego magnata, Henryka z Lipěj. Faworyt wzbił się w znaczenie, usiłował wywierać stanowczy wpływ na sprawy domu królewskiego, co zgotowało mu więzienie, ale król Jan z czasem go wypuścił i nawet wyniósł do nowych godności. Co więcj: ów pierwszy na tronie czeskim Luksemburg, typ błędnego rycerza, zapłonął miłością do niemłodej już królowy Hradeckiej, co sprawiło wiele zgorszenia po kraju. Elżbieta wszelako opamiętała się i z poprzednim kochankiem wznowiła stosunek; po kilku latach ułożyła go do snu wiecznego. Odtąd w Hradcu zdala od huczego świata przeżyła resztę dni swoich i zmarła r. 1336, mając dopiéro lat piędziesiąt. Miasto Hradec błogosiławi jej pamięć, gdyż wiele jej bardzo zawdzięcza.

Sam redaktor „Sbornika“ poświęcił naszym dziejom artykuł p. t. „Czartoryscy w Puławach.“ Stanowisko autora względem naszej przeszłości charakteryzują dobrze słowa wstępu „O szlachcie polskiej z czasów podziału potężnego niegdyś Królestwa, nierzadko panują nader stronnicze poglądy. Wielu pisarzy z nadzwyczajną troskliwością zebrali wszystko, cokolwiek rzuca ujemne światło na owoczesną szlachtę polską, a nieprzyjaciele kraju i narodu, czerpiąc z tego ochoczo, nie znajdują lepszego nad to gruntu do swych napaści i zarzutów. Wszelako niesprawiedliwem byłoby wiedzieć jedynie o nieporządkach w sejmach polskich, o fatalném liberum veto, o niedobrze zrozumianém słowie „wolność,“ o pijatykach, sporach rodzinnych, zgubnych namiętnościach i t. d., zaiste należy wiedzieć téż o czynach i przymiotach szlachty polskiej, któremi odznaczyła się w dziejach polskich. A że było dobrych stron dosyć, temu, Bogu dzięki, nikt nie zaprzeczy.“ Dalej autor opowiada czytelnikom „Sbornika“ charakterystyczne szczegóły o tych „małych Atenach,“ pragnąc uwydatnić znaczenie Puław dla oświaty i literatury narodowej.

Do historii chorwackiej odnosi się wyjątek z dzieła Tadeusza Smicziklasa p. t. „Kilka stronic z nowszych dziejów chorwackich (ze szczególniejszym względem na ideję ilirską);“ przełożył go, a raczej siew przerobił B. Popelka. Pr. T. Smicziklas dwutomowém dziełem swém „Poviest Hrvatska“ odrazu zajął nader zaszczytne stanowisko pomiędzy historykami słowiańskimi. Głęboka nauka, rozległe studia źródłowe, spokój w wykładzie treści, przyrodzona malowniczość i wyrazistość w opowiadaniu bez silenia się na efekt zewnętrzny, wszystkie zalety trzeźwego talentu dziejopisarskiego nadają dziełu p. Smiczikla-

sa niepospolitą wartość. Zresztą jemu dopiero udało się podać rodakom należyty całokształt dziejów ojczystych, co też odpowiednio ocenioném zostało. Z dzieła Smicziklasowego poznajemy, że Chorwacy pomimo wcześnej utraty odrębności politycznej, mimo połączenia się z królestwem węgierskiem, a potem wejścia w skład monarchii Habsburgów, odgrywała zawsze samodzielną rolę na południu słowiańskiem i cywilizacyi zachodniej oddała wielką przysługę jako „antemurale Christianitatis“, żywy mur piersi junackich, zastaniający cywilizacyjną pracę Zachodu przed zalewem barbarzyństwa Ottomańskiego. Niemysłimy się rozszerzać nad dziełem prof. Smicziklasa, któremu zresztą zamyślamy oddzielne poświęcić studjum, powiemy tylko, że dla niezających całkowitej pracy historyka chorwackiego, wycinek p. Popelki stanowi ciekawy obraz odrodzenia się chorwatów, któremu to odrodzeniu się impuls dały błogie rządy francuzkie w zdobytej przez Napoleona I „Iliryi.“ Przed oczyma czytelnika przesuują się kolosalne postacie generała Marmonta, energicznego wielkorządcy Dalmacyi, Ludwika Gaja, tyle wielkiego w pierwszej potowie swój działalności, hr. Janka Draskowicza i innych pracowników narodowych, walka o narodowość z fatalnemi zachciankami i uroszczeniami madziarów aż do mianowania hr. Jelacicza banem trójjedynego królestwa. Doba to zaiste ciekawa, pouczająca i budząca szczere cywilizowanego świata sympaty.

Pomiędzy powyżej wymienione artykuły wplecione są gdzieniegdzie szkice z podróży po Słowiańszczyźnie, okrom jednego, wszystko pióra samego redaktora. Głównie tyczą się one naszego kraju. W sposób lekki, miły dla zwyczajnego czytelnika p. Jelinek opowiada o „bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie“, o swych „odwiedzinach u Kraszewskiego“, dla którego chowa w duszy niemniejszą cześć niż my chowamy, o stosunkach obecnych i dawniejszych na Litwie, o wsi Sziszce pod Lublaną, gdzie się urodził pierwszy poeta słowiański, Walenty Wodnik, przesuwa nam przed oczyma panoramę obrazków z podróży po Dunaju. Krom tego p. Ottokar Mokry, znany ze swych przekładów Słowackiego, pomieścił w „Sborniku“ kartkę z podróży po Styryi i Krainie p. t. „W ojczyźnie Słoweńców.“

Osobną rubrykę poświęcono korespondencyi sławnych slawistów pomiędzy sobą. Są tu listy Jana Kollara do Kopitara i Erbena, Karola Zapa do Erbena i bardzo dla nas ciekawe listy Hauki i Purkyniego do autora „Historyi Prawodawstw słowiańskich.“ Zap długi czas bawił we Lwowie i w Galicyi: tu pojął był za żonę dotąd tak mile wspominaną przez Czechów Honoratę z Wiszniowskich; tęsknił do Pragi, do działalności narodowej i literackiej w tém ognisku powoli odradzającej się Czechii i to uczucie tęsknoty, wyczekiwania przeniesienia urzędowego do ojczyzny odbija się w obu listach jego do Erbena. W dalekiej stronie studyował pilnie literaturę polską. Z okazji zbioru pieśni czeskich, wydanych przez Erbena, Zap. pisze „Wielce mi na tém zależy, abyś pan zechciał przejrzyć dzieła Wójcickiego.

Są one wprowadzie bardzo niekrytyczne, ale podają tę dobrą myśl, jakby dał się przedstawić cały żywot naradowy, nietylko jak nam się teraz przedstawia, ale téż jakim był za starodawnych czasów. Czytaj pan jego Gawędy i Zarysy domowe, a zobaczysz, jak wplata w powieści przysłowia naradowe, jak przedstawia żywot szlachecki, pojęcia i zabobony... Autorowie polscy przetrząsają starą swą literaturę, a każde miejsce, które im odśłania dawny stan narodu i ludu, oświaty, obyczajów, pilnie wypisują i zestawiają. Na to należałoby u nas zwrócić główną uwagę. Beletryści polscy są obecnie snadź najbardziej oryginalnymi i najbardziej narodowymi w całej Europie...“ A dalej nieco powiada o zbieraniu pieśni, powieści i przysłówiów i w końcu dodaje: „Zalecam przytém pilne czytanie podobnych zbiorów innych słowian, a przedewszystkiém polskich, jako najbliższych, abyśmy się umocnili w duchu słowiańskości, nam szczególniej potrzebném, gdyż otoczeni niemczyzną i przejęci nią, bardzo często z trudnością rozpoznajemy co nasze a co cudze...“

Hanka, który miał pretensyą do poliglotyzmu słowiańskiego, pisywał do Maciejowskiego przeważnie po polsku, jak na czecha dość dobrze, lubo mieszał wiele czechizmów i nawet rusycyzmów. Człowiek ten miernego umysłu, małej nauki, ale dobrej woli i uczynności, pomagał Maciejowskiemu w wyszukiwaniu czeskich źródeł do „Historji prawodawstw słowiańskich“ i załatwiał różne małe jego zlecenia.

„Slovansky Sbornik“ pomieszczał kiedy niekiedy przekłady z poetów słowiańskich; z polskich poezji znajdujemy tam trzy wierszyki Konopnickiej: „Ostatnie pieśni,“ „Na Rabsztynie“ i „Fragment;“ wszystko tłómaczone przez Eliszkę Krasnohorską,—oraz „Słonko“ Asnyka i „Pożegnauie“ Romanowskiego, w przekładzie Jana Neczasa.

Dział przeglądów literackich zajmuje się dziełami we wszystkich językach słowiańskich, uwzględniając może najbardziej naszą literaturę, gdyż na 79 rozbiórów i wzmianek sprawozdawczych, 19 poświęcono książkom polskim; resztę zaś 60 utworom we wszystkich pozostałych językach słowiańskich, oraz dziełom niemieckim, francuzkim i angielskim, o ile te słowian się tyczyły. Przytém nie pominięto żadnego zjazdu polskiego bez odpowiedniego referatu, a zmarłych: Szujskiego, Maciejowskiego, Anczyca i Henryka Szmita uczczono nekrologami.

Rodzaj felietonu stanowią „Rozdziały słowiańskie (Slovanské kapitoly),“ które pisze sam redaktor, ukryty pod nazwą dość przejrzystą E. J. Pravda. W pierwszym mówi o „przekładach z literatur słowiańskich,“ biorąc za godło słowa Żółtkowskiego, „Zły tłómacz podobny jest do lokaja, który zlecenie pańskie niegodziwie opowiada.“ Zaznaczywszy pocieszający objaw rosnącego zajmowania się pobratymczemi literaturami, p. Jelinek przyznaje ze smutkiem, że lubo pięknie brzmi to, że czesi liczą około 2000 przekładów z literatur słowiańskich, wszelako wiele z tych tłómaczeń jużto pod względem wyboru, jużto w skutek niezadawalniającego wykonania, korzyści lite-

raturze nie przyniosły. Uwagi autora, skierowane do tłumaczy czechskich, są bardzo słuszne, ale musimy złagodzić nieco ich pesymizm, gdy sobie wspomnimy nasze przekłady. Zajęcie się nasze czechami i ich literaturą nie może się równać z tą pracą, którą czesi naszemu piśmiennictwu poświęcają, jednakże jest ono dziś o wiele większe aniżeli przed laty dziesięciu, tylko niestety do tłumaczy wcale szczęścia nie mamy. Niepowołani aspiranci, a jeszcze gorzej aspirantki do kunsztu piśmienniczego, nie przygotowani należycie ani pod względem gramatycznym, ani pod względem leksykalnym, zaledwie z grubszą obrabującą się z tokiem mowy czeskiej, już chwytają za pióro macerując poezję i powiastki. Na szczęście większość ogromna tych lekkomyślnych przekładów tonie w koszach redakcyjnych, ale kiedy niekiedy przemycają się na karty pism czasowych tłumaczenia, będące dla znających się na rzeczy dowodem, że dla fabrykującej je młodzieży pilniejszym jest mazać bibułę aniżeli nauczyć się języka, z którego tak skwapliwie przekładają. Wprawdzie możemy się usprawiedliwiać tem, że nie posiadamy dotąd słownika czesko-polskiego, stąd panowie tłumacze w odgadywaniu znaczenia wyrazów muszą rządzić się instynktem lub poczuciem, ale mimo to „lokajstwo, opowiadające niedo-dziewie pańskie zlecenie“ staje się u nas groźnym, a zatem caveant redactores!

Blżej nas obchodzi III Kapitoła „My u nich, a oni u nas.“ Jest to śmiały a słuszny wykrzyk oburzenia na te jednostki, które, stykając się z obcymi, jakby za obowiązek poczytują sobie mieć dobre stosunki narodów pomiędzy sobą. P. Jelinek powiada: „Nie ma na świecie nic niesprawiedliwszego i nierozumniejszego nad sądenie narodowości według pojedynczych osób. Indywiduum jest tylko kroplą w morzu, a nawet tysiąc kropli jadu nie zatruje morza. A jednak nie należy lekceważyć tej okoliczności. Z doświadczenia wiemy, że właśnie jednostki, które nigdy i niczem przynieść pożytku nie mogły, niekiedy wielce szkodziły.“ Przechodząc w dziedzinę wzajemności słowiańskiej p. Jelinek uznaje, że „najidealniejsze dążenia rozumnych uprawiaczy, nie zmęczonych a bezinteresownych pracowników na polu zbliżenia się narodów słowiańskich, bywają nierzadko po barbarzyńsku deptane i znieważane bezpośrednio, lub pośrednio przez żywioły całkiem nie powołane, nieudolne lub tendencyjnie duchem złego przesiątkę“... „Na pytanie, czem się to dzieje, że czesi w ziemiach słowiańskich, a naodwrot słowianie u nas zajmują niekiedy i w pewnych kołach stanowisko wprost przeciwne idejom naszym, odpowiemy pokrótce, że reprezentanci nasi u nich, a ich u nas nie są właściwie reprezentantami swoich narodów.“ W dalszym ciągu autor uderza z niekłamanym oburzeniem na tych awanturników, poszukiwaczy chleba i kariery, co to sypią się niby plewy, rozwiewane wiatrem, na wsze świata strony, służą wszędzie partyom mocniejszych i zrczenie wyyskują niekorzystne dla ludności miejscowej stosunki. Świętą zgrozą napętniają go owi „Pemacy,“ hałastra urzędnicza, którą system Ba-

cha wypłynął był na Galicyą i z której polacy czerpali pojęcie o narodzie czeskim. Jakby dla pocieszenia się w obec takich wspomnień p. Jelinek przywodzi sobie na myśl ks. Tupego i Kwietę, którego pamięć żyje dotąd w Warszawie. „Kto Kwietę poznał, czci nie tylko pamiętkę jego, ale żywi także szacunek dla narodu, z którego tenże pochodził. A przez co pozyskał Kwiet tyle pięknej pamięci? Przez to jedynie, że zawsze zachowywał należny takt w obec społeczeństwa, na łonie którego żył i działał jako profesor. Wolny od wszelkiego osobistego wyrachowania i brudnego egoizmu, nie upędał się za dotychczasnymi korzyściami, ale postępował tak, jak nakazuje rozsądek.“ Załatwwszy się dość obszernie a dosadnie ze swymi niecznymi współziomkami, p. Jelinek zwraca się do słowian, bawiących w Pradze, a przedewszystkiem do polaków. Szczery, serdeczny nasz przyjaciel nie obwija prawdy w bawełnę i wrzekomym reprezentantom naszej narodowości w Pradze wytyka ostentacyjne popisywanie się z polskością, pomiatanie gospodarzami domu, pseudopañskie fanaberye, jednym słowem grzeszną lekkomyślność. Niestety, nie jest to bynajmniej przesada, było w Pradze kilku, a może nawet kilkunastu panów, których nietaktowne, mówiąc bardzo ogólnie, postępowanie, najzupełniej usprawiedliwia gorzkie te wymówki. Czesi, stykając się z podobnemi indywidualniami, nieraz powiadają, że „polacy są dziwni ludzie.“ P. Jelinek mówi z oburzeniem „naród tak delikatny, tak gracki i zarazem tak towarzyski, a zwłaszcza tak zręczny w obejściu, jakim jest miły nam naród polski, zaiste nie zasługuje, aby go w taki sposób hańbiono poza granicami ojczyzny.“ Sam pan Jelinek wiele znieść musiał od podobnych polaków, z których jeden, turbator literacki, przez przeciąg roku narobił niedorzeczności bez liku, poobsypywał gościnie przyjmujących go prażan grubiaństwami, a w dodatku rozbił „Koło polskie“ na dwa wrogie sobie dziś stowarzyszenia.

W tymże felietonie p. Jelinek nie oszczędza i innych słowian. Tym, co pomiatają Czechami, jako kraikiem małym, równającym się pod względem obszaru jednej gubernii, przypomina, że „ta gubernia św. Wacława tworzyła w świecie epoki, że w niej już w wiekach średnich rozwinęła się dojrzałość narodowa i religijna, że w niej rozwinęło się własne piśmiennictwo, własna sztuka, własne prawo historyczne i słowiańskość.“ Artykuł kończy się temi słowy: „To wszystko mając na względzie, tém goręcej i ochotniej oddajemy raz jeszcze hołd tym rodakom naszym poza granicami ojczyzny czeskiej, jako też i miłym braciom słowiańskim w naszym kole, którzy należycie dbając o honor swego narodu i pojmując znaczenie dostojnej reprezentacji, sami wyłączają się od gorzkich uwag, powyżej skreślonych. A tacy byli i są! Oby ich dobroczynny wpływ szerzył się z dnia na dzień coraz dalej i dalej, aby ta plewa nasza tém wyraźniej rozeznana była od złotych kłosów. Bóg da, że wtedy narody ani w części nie będą sądzone według pojedynczych awanturników, ekscentryków i wyrod-

ków, nastęrczających się tu i owdzie, ale według prawdziwej i rzeczywistej swjej wartości. A rezultat będzie z pewnością pod każdym względem zadawalniający.“

W innym felietonie p. t.: „O prawdzie słowiańskiej w literaturze naukowej“ p. Jelinek wytyka swoim rodakom, że „o wzajemnych stosunkach słowian wiedzą tyle, co nic,“ że użalają się nad waśniami narodowemi i religijnemi, ale ich nie rozumieją, że unikają trwożliwie drażliwych kwestyi, „aby snadź ideały słowiańskie nie doznały uszczerbku,“ że ich schlebiające pobratymcom frazesy, dla tych ostatnich żadnej nie mają wagi.“ Wzywa więc, aby, poznawszy istotne położenie rzeczy u innych słowian, mierzyli je słuszną miarą. „Palladium idei słowiańskiej stanowi idea ludzkości!“

Śmiałe to słowa w obec słabnącego wprawdzie, ale niewygasłego dotąd uroku pierwotnych doktryn wszech-słowiańskich, doprowadzonych przez gawieź epigonów do balastu nonsensów, który przygniata despotycznie pojęcia wielu czechów o sprawach słowiańskich. Trzeba przyznać, że działalność „Slovanskiego Sbornika“ jest reformą na tém polu, dokonywaną z zapałem, ale bez hałasu i ostentacyjności. Życzymy mu wytrwania na tój drodze i uie wątpimy, że trudy jego uwieńczy... powodzenie.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Październik 1884. — W dniu 11-ym września odbył się w uniwersytecie warszawskim akt zamknięcia roku naukowego 1883/4. Przed sprawozdaniem dorocznym, jakie odczytał profesor Tress, przemowę miał rektor uniwersytetu p. Ławrowskij, zachęcając młodzież uniwersytecką do wytrwałej pracy, chwając jej zachowywanie się w roku ubiegłym, i wyrażając nadzieję że i w roku akademickim rozpoczynającym się dla niej obecnie, również przestrzegać będzie swoich obowiązków. Z kolei potem spawozdanie odczytane przez profesora Tressa, zawierało wiadomości o działalności profesorów i studentów w roku ubiegłym, jak i dane statystyczne, dotyczące liczby studentów, konkursów i t. d. Wydział historyczno-filologiczny uniwersytetu warszawskiego ogłosił następujące temata na prace kursowe w roku bież. Z historii powszechniej: 1) Wewnętrzny ustrój Germanów według Tacyty (De Germania od VII—XXVII); przetłumaczyć odpowiednie ustępy z Tacyty i szczegółowo określić ten ustrój, opierając się na dziełach: Guizot'a, Frieman'a i innych. 2) O powstaniu francuzkich gmin miejskich, według Thierrego, Guizot'a i innych. 3) Rozbiór tragedji Szekspira „Król Lear.“ Z filologii słowiańskiej: 1) Fonetyczne i gramatyczne odrębności narzecza czeskiego, różniące się od wielkorosyjskiego i polskiego. 2) Rozbiór gramatyczny pieśni weselnych serbów, wydanych przez W. Karadzića. Z literatur słowiańskich: 1) Franciszek Władysław Czelakowsky i znaczenie jego w historii narodowego odrodzenia Czechów. 2) Styl Flaska z Pardubic i jego „Nowa Rada.“ Dwa ostatnie temata przeznaczono dla studentów III-go i IV-go kursu sekcji historii literatur słowian zachodnich. Z historii literatury polskiej ogłoszono następujące temata: 1) Spór literacki pod koniec XVI i w początku XVII stulecia z powodu konfederacji warszawskiej 1573 r. 2) O pamiętnikach Mikołaja Marchockiego. 3) Szymon Starowolski, jako pisarz polityczny. 4) O dyalogach jezuickich. 5) Charakterystyka Wespazyana Kochowskiego, jako poety lirycznego. 6)

O „Dworzankach“ Jana Gawińskiego. 7) Charakterystyka języka poematu „Wojna Chocimska“ Wacława Potockiego. Z historii ludów słowiańskich: 1) Mitologia słowian zachodnich. 2) Walka Bolesława Chrobrego z Niemcami. 3) Stosunki Czechów, Morawian i Polaków do wieku XII-go. 4) Działalność św. Cyrylla i Metodeusza pośród słowian zachodnich, oraz losy liturgii słowiańskiej na Morawach, w Czechach i Polsce. 5) O życiu słowian bałtycko-polańskich według kroniki Dytmara. Z historii starożytnej: 1) O stosunkach dzieł Liwiusza do Polibiusza. Z historii średniowiecznej: 1) Skreślić poglądy najnowszych historyków na początek feudalizmu w Europie. Z historii słowian zachodnich dołączono jeszcze kilka tematów oprócz wyżej wymienionych, mianowicie: 1) O życiu Pomorzan, według życiorysu Ottona Bamberskiego. 2) Ustrój państwowy Czechów i Polaków, według źródeł drukowanych w „Fontes rerum bohemicarum.“ (Kronika Kosmasa prask. i Monumenta Poloniae I). Z językoznawstwa: Porównanie narzeczy polabsko-drewlańskiego i bałtycko-kaszubskiego.

— W dniu 15 października r. b. odbył się w Zakładzie narodowym Im. Ossolińskich we Lwowie uroczysty akt dorocznego posiedzenia, pod przewodnictwem zastępcy kuratora, d-ra Antoniego Małeckiego. Przewodniczący, powitawszy serdecznym słowem zgromadzonych i złożwszy hołd pamięci znakomitego fundatora Zakładu, skreślił treściwie rezultat całorocznej jego czynności, wspominał o trudnościach z jakimi ten jedyny w kraju Zakład, o charakterze tak przeważnie narodowym, ma do walczenia, wskazał drogi, po których dotąd kroczył i te, na które wprowadzićby go należało, a przede wszystkim podniósł, że dawnym już życzeniem kuratorowi było otwierać czytelną biblioteczną dla publicznego użytku także w godzinach wieczornych. Niestety, ziszczeniu tego życzenia stoją na przeszkodzie nader szczupłe fundusze, któremi Zakład rozporządza, a o których najmylniejsze chodzą w kraju wieści. To też, dopóki ogół gorętszym niż dotąd udziałem i ofiarnością nie zechce przyczynić się do podniesienia materialnego bytu Zakładu, o żadnych reformach na większą skalę, jako niemających realnej podstawy, marzyć nawet nie można.

Po przemowie kuratora, odczytał pan Bełza, skryptor biblioteczny, doroczne sprawozdanie z czynności Zakładu, w czasie od 13 października 1883 r. do 12 października r. b. Z obszernego tego sprawozdania, które świadczy wymownie zarówno o troskliwym zarządzie Zakładu Ossolińskich, jak i o nader chlubnych rezultatach jego naukowej i publicznej działalności, podajemy tu w streszczeniu najgłówniejsze momenta.

I tak: do katalogu rękopisów przygotowuje się nieustannie dalszy materiał, a teraz właśnie krząta się dyrekcja około ukończenia drugiego tomu, którego pierwszy zeszyt znajduje się już od roku w ręku świata zajmującego się nauką. Nad katalogiem realnym druków pracuje się również bez przerwy. Praca ta, zmusna i wymagająca

wiele uwagi, posuwa się z wolna, gdyż Zakład, wobec nawału rozmaitych bieżących zajęć, posiada zbyt mało sił roboczych, aby mógł pracować z większym pośpiechem. Mianowicie, katalogowanie nowych darów i książek zakupionych, zadosyćczynienie wszelkim wymaganiom publiczności, ciągła troska o odpowiedni porządek w zbiorach, przeprowadzenie dwóch kontroli książek w ciągu roku wypożyczonych: oto zajęcia, które zaliczyć należy do stałych w bibliotece.

Z ważniejszych nabytków do biblioteki wymieniamy następujące: Teki Lukasa, obejmujące w 44 tomach różne materiały źródłowe do dziejów polskich XVII wieku, wypisane z archiwum francuskiego ministerstwa spraw wewnętrznych i z innych archiwów zagranicznych; papiery po ś. p. Ludwiku Nabelaku, składające się przeszło z 30 fascykułów, zawierających w sobie materiały do historii polskiej XVIII wieku; złożone w darze bibliotece przez p. Adama Wiszniewskiego dwa rękopisy i papiery, pozostałe po ś. p. jego ojcu, Michale Wiszniewskim, autorze historii literatury polskiej, i ciekawy a nader rzadki rękopis, pochodzący z daru pani Idy Marszałkiewiczowej o 1500 stronnicach, który nosi na karcie tytułowej napis: „Archiwum, czyli wypracowania towarzystwa ćwiczącej się młodzieży w literaturze ojczyźtej w r. 1818.“

Zakład Ossolińskich, jak zawsze tak i tego roku utrzymywał ciągle stosunki z wielu towarzystwami w kraju i zagranicą, odwiedzając się za ich wydawnictwa, swojemi własnymi. Tak samo też nie ograniczał swój działalności tylko na obręb samego Lwowa, albowiem jak w poprzednich latach, tak i w tym roku dostarczał dzieł ze swoich zbiorów różnym bibliotekom w kraju i za granicą, do użytku polskich i cudzoziemskich uczonych.

W tym roku zbiory biblioteczne i muzealne wzrosły w dzieł drukowanych, unikatów o 1230, atlasów i map o 6, rękopisów o 108, rycin o 195, przedmiotów należących do zbiorowni przybyło 50, rzeczy muzealnych 83. W przeciągu ubiegłego okresu czasu wydano w pracowni naukowej 2377 czytelnikom 2810 rękopisów, 6620 dzieł, 14,932 tomów. Wynika z tego ten rezultat, że co do liczby dzieł i rękopisów, wydanych do publicznego użytku, rok bieżący przeszedł wszystkie poprzednie lata. W czytelnicy górnej, przeznaczony dla młodzieży i szerszej publiczności, liczba uczęszczających w ciągu 219 dni biurowych wynosiła 12,998 osób.

Po odczytaniu tego ze wszech miar pocieszającego rezultatu z dorocznych czynności tej znakomitej instytucji, pierwszy skryptor Zakładu Ossolińskich, p. Bronisław Czernik, odczytał zajmującą rozprawę własną o stowarzyszeniu literackim młodzieży we Lwowie w latach 1818 i 1819, opartą na owem Archiwum Kirchenerowskim, pochodzącem z daru pani Marszałkiewiczowej, o którym była wyżej mowa.

— Przy otwarciu roku szkolnego 1884/5 d. 2 paźdz. r. b. w Uniw.

lwowskim, wypowiedział J. Magn. Rektor prof. dr. Ludwik Kloss mowę, z której pewne ustępy zasługują na uwagę szerszego koła czytelników. Po wstępnych słowach serdecznego powitania, zwracając się do zadania i działalności uniwersytetów, zauważył przede wszystkim dostojny Rektor, że wielkość i ważność posłannictwa tych najwyższych zakładów naukowych wypływa z kierunku działania tychwszystkich nauk, któremi one Kościół, Państwo i w g o ł e społeczeństwo zasilają; charakter zaś posłannictwa tych nauk jest nawskroś humanistyczny, ponieważ dotyczy głównie dóbr os o b y człowieka, podczas gdy instytucje realistyczne tylko r z e c z y człowieka mają na względzie. Bóg, duch rozumny i świat ciał, oto trzy przedmioty humanistycznej nauki, którą uniwersytety na swych wydziałach teologicznym, filozoficznym, jurydycznym i medycznym uprawiają, a zarazem przechowują z pokolenia w pokolenie, ażeby bronić należnej równowagi. Inaczej mógłby się wyrodzić monizm, odmawiający na korzyść jednej strony prawa bytu w umiejętności stronom drugim. Tak np. oparty wyłącznie na gruncie nauk przyrodniczych, monizm taki musiałby popaść w m a t e r y a l i z m, w którym człowiek, wraz z duchem swoim, ze swym rozumem i umiejętnością rozplynałby się w proces fizyologiczny jakiegoś poszczególnionego biegu i obrotu materji, a humanistyczność nauk uniwersyteckich straciłaby cały swój fundament. Podobnież zresztą wypadłoby z przyjęcia wyłącznie monizmu myśli, bo wówczas powstałby idealizm, który również usuwa humanistyczność nauk, sprowadzając Boga i świat do samej myśli tylko. Owóż uniwersytet przez swe cztery wydziały i stany „*facultates et ordines*,” jest twierdzą przeciwko wszelakiemu monizmowi, tj. przeciw utracie równowagi. Jego wydział teologiczny strzeże poznania Boga osobistego, a zarazem rzeczywistości ducha ludzkiego i przyrody; wydział filozoficzny strzeże rozumu i samoistności ducha ludzkiego, jakoteż rzeczywistości przyrody materialnej— w czem mu wydział medycyny dopomaga. Nareszcie wydział prawniczy broni osoby człowieka i praw jego w społeczeństwie. W wieku bieżącym zwrócono się wprawdzie nader gorliwie do badań świata materialnego, ale to poniekąd tém się tłumaczy, że dwie inne kwestje, o Bogu i duchu ludzkim, zostały w swój istocie już załatwione przez filozofią i dogmatykę chrześcijańską. Uniwersytet tedy jako skarbnica nauk humanistycznych i żywe ognisko umiejętności, jest zarazem twierdzą, w której się przechowuje świadomość samoistności ducha ludzkiego, osobowości Boga żywego i rzeczywistej przyrody. Ztąd to powszechne dlań uszanowanie, tudzież opieka nad nim Kościoła, państwa i cywilizowanych narodów. Nasz lwowski Uniw. ma takie samo posłannictwo, którego, wedle sił dopełnia, a prócz tego—co dziś w stuletnią rocznicę jego istnienia godzi się zaznaczyć— ma on jeszcze zadanie, wskazane sobie przez Monarchę, konstytucją i naród, ażeby tysiącletnią kulturę zachodnią narodu polskiego dalej prowadził ku zupełnemu odrodzeniu obywateli tej ziemi.“

Nareszcie dostojny mowca podał krótki przebieg spraw ważniejszych, które zasłyły w ciągu ubiegłego roku, oddał cześć publiczną śp. ks. Kostkowi, profesorowi teologii i ś. p. ks. Formaniószowi, szlachetnemu zapisodawcy cennej biblioteki na rzecz Uniwersytetu, a w końcu, ponowił nadzieję pozyskania wydziału lekarskiego, bez którego lwowska „Alma Mater“ wielce chroma i nie może spełniać w całości swego powołania.

— *Monumenta Poloniae historica.* („Pomniki dziejowe Polski“). Lwów 1884. T. IV. Pod tym tytułem rozpoczął ś. p. August Bielowski przed dwudziestu laty wydawać we Lwowie pomniki historyczne, odnoszące się do dziejów średniowiecznych polskich. Z podziwienia godną pilnością, trudem i ofiarnością zbierał po wszystkich zakątkach blizkich i dalekich materyały historyczne, zebrane porządkował i wzięwszy sobie za wzór „*Monumenta germanica hist.*“ Pertza opracowywał krytycznie, objaśniał naukowo i wreszcie w r. 1864 ogłosił tom 1-szy długoletniej, mozolnej pracy, po którym w r. 1872 nastąpił tom drugi. Przez to wydawnictwo zdobył sobie Bielowski wieniec nieśmiertelnej zasługi obywatelskiej, bo poświęcił mu nie tylko swój czas i siły umysłowe, lecz złożył w ofierze nauce nawet swój grosz ciężką zbraną pracą. Badacz dziejów polskich z epoki Piastowskiej nie potrzebował odtąd błąkać się i szukać po różnych bibliotekach i wydawnictwach źródeł autentycznych, wydanych krytycznie, ale znajdował wszystkie materyały historyczne w jednej publikacji. Akademia Um. w Krakowie poczytała też sobie zaraz po zawiązaniu się swoim za jeden z pierwszych obowiązków przyjść w pomoc tak ważnemu dla zbadania naszej przeszłości wydawnictwu i przyjęła na siebie nakład dalszych tomów „Pomników dziejów Polski“, do których materyał był już nagromadzony. Przystąpił tedy Bielowski do wydania 3-go tomu „Pomników dziejów Polski“, ale przed ukończeniem druku przecięła śmierć (12 października 1876) nie jego pracowitego, szlachetnego żywota. Po śmierci Bielowskiego zajął się tym wydawnictwem gorliwie komitet redakcyjny, utworzony, z członków oddziału lwow. komisji historycznej Akademii, dr. Kętrzyńskiego i dr. Liskiego, pod przewodnictwem dr. Małeckiego, i przybrawszy sobie odpowiednich pomocników, wydał już w r. 1878 rozpoczęty przez A. Bielowskiego tom trzeci, a że obfite materyały jeszcze i w tym tomie pomieścić się nie mogły, zabrał się niezwłocznie do opracowania czwartego tomu, który przed kilkoma tygodniami pojawił się w handlu księgarskim. Z relacji, jaką o tomie 4-tym „Pomników dziejów Polskich“ ogłosił w gazecie Lwowskiej uczony lwowski L. Tatomir zapisujemy tymczasem następującą wiadomość o treści tego tomu.

Tom 4-ty „Pomników dziejowych Polskich“, liczy 992 stron formatu wielkiej osemki i zawiera 41 źródeł (przeważnie „*Żywotów ŚŚ.*“) i krótszych zapisków historycznych. Wydawcy opatrzyli każdy pomnik wstępem krytycznym i licznymi przypiskami objaśniającymi, a w końcu

umieścili indeks nazwisk, ułatwiający poszukiwanie. W bogatym tym zbiorze, do którego dostarczyły materiały głównie biblioteki krakowskie i lwowskie, zasługują szczególnie na uwagę następujące pomniki, dotąd nietylko nigdzie drukiem nieogłoszone, lecz nawet wcale nieznanne: O św. Wojciechu biskupie, Żywot św. Stanisława, biskupa krakowskiego, śmierć i cuda błogosławionego Wenera, biskupa płockiego, i Przeniesienie św. Floryana. Zresztą, wyjąwszy 9, zawiera tom ten same takie źródła, które chociaż znane uczonym w rękopisach, nie były jednak dotąd jeszcze wydane, a temsamem nie były też dostępne dla szerszych kół pracowników na polu dziejów ojczyźnych. Znajdujemy tu między innymi po raz pierwszy wydrukowane w krytycznym opracowaniu: Wypiski Jana Długosza z niepewnych źródeł, Traktat Henryka, syna Zbigniewa z Góry, przeciw Krzyżakom, najezdnikom Królestwa polskiego, Żywot i cuda św. Kingi, księżnej krakowskiej, Cuda św. Jądwi, królowej Polski, O życiu i cudach św. Jacka przez Stanisława, lektora krak. Zakonu kaznodziejskiego.

— Komitet wydawnictwa dzieł Długosza zawiadoma, z przyczyny licznych zapytań o ostatni tom dzieł Długosza, że powodem zwłoki w wydaniu tego tomu, który według numeracyi stanowić ma pierwszy tom wydawnictwa, jest odkrycie nowego rękopisu dzieła Długosza o „biskupach wrocławskich.“ Tekst tomu był już ustalony i gotowy do druku, gdy hr. Konstanty Przezdziecki dowiedział się od ks. Chodyńskiego, iż w bibliotece katedry wrocławskiej znaleziono w roku bieżącym rękopis Długosza, obejmujący „Żywoty biskupów wrocławskich.“ Ks. kanonik Ignacy Polkowski, który się podjął wykończenia tomu pierwszego, zniósł się natychmiast z uczonymi braćmi ks. Chodyńskimi, w celu porównania tekstów i zanotowania wariantów, o ileby się znalazły. Ta okoliczność wstrzymała również ukończenie indeksu... Jedynie zatem interes czysto naukowy jest powodem zwłoki w ukazaniu się zbioru pism mniejszych Długosza. Pisma te wydane zostaną tylko w języku łacińskim. Prenumeratorzy otrzymają prócz tego osobny tom „Indeksu“ do pięciu tomów łacińskich „Historii.“

— Kwestya pochodzenia głągolicy i stosunku jęj do kirylicy od lat 2 zajmuje znowu uczonych słowiańskich. Przed kilkadziesiąt laty spierano się zacięcie o to, co jest starszem: — głągolica czy kirylica, aż wreszcie wzięto górę zdanie Szafarzyka, który sądzi, że głągolica jest starszą, że ją utworzył Konstantyn czyli Cyryl, apostoł słowiańszczyzny, kirylicę zaś ułożył św. apostołów Klemens, późniejszy biskup Welicki. Teoryi Szafarzyka nie zdołały dotąd obalić namiętne nieraz wystąpienia przeciwników, którzy koniecznie zaszczyt pierwotności i starszeństwa chcieli utrzymać na rzecz kirylicy.

Obecnie weszła na porządek dzienny kwestya pochodzenia gła-goli cy. Kwestyą tą głównie zajął się czech Leopold Geitler, profesor w uniwersytecie zagrzebskim. Aby zbadać należycie gła-golicę, Geitler w r. 1875 podróżował po Macedonii, w r. 1878 zrobił wycieczkę na wyspy dalmackie. W r. 1880 znowu dotarł do góry Synaj i tam w klasztorze prawosławnym znalazł dwa nader ważne pomniki, które zaliczył do końca wieku X, mianowicie psalterz i tryebnik czyli agendę, oba pomniki pisane gła-golicą. Gotując do druku paleografiją gła-golicą, zebrał znaczną ilość kopii fotograficznych i starał się zbadać ciemną kwestyą pochodzenia owego pisma.

Tymczasem lingwista angielski, dr. Izaak Taylor w „Archiv für slavische Philologie“ (V str. 191) wystąpił z domysłem, że gła-golica wzięta jest z kursywy greckiej, kirylica zaś z pisma uncjalnego, litery znowu te, których brakuje w abecadle greckiem, powstały z połączenia pojedynczych liter ze sobą ¹⁾.

Prof. Geitler na hipotezę Taylora nie zgodził się, ale wydał w roku zeszłym dziełko p. t. „Die albanesischen und slawischen Schriften,“ gdzie dowodził, iż gła-golica powstała na zasadzie pisma albańskiego. Aby uzasadnić swój domysł, Geitler podjął pracę niełatwą, mianowicie usiłował na podstawie rękopismów z IX (?) wieku odtworzyć pismo staroalbańskie, jakiem mogło być ono przed dwunastu wiekami.

Z inną hipotezą wystąpił w r. b. Wsiewołod Miller w „Czasopiśmie ministeryum oświecenia narodowego,“ wychodzącem w Petersburgu z artykułem „Przyczynek do kwestyi o abecadle słowiańskiem.“ Miller sądzi, że gła-golica jest rezultatem osobistego tworzenia, że głoski, wspólne językom greckiemu i słowiańskiemu, wzięte są z pierwszego języka, litery zaś, których niema w greczyźnie, pochodzą z pisma perskiego z doby Sasauidów, zachowanego na monetach i napisach. Miller mniema, że św. Cyryl wynalazł gła-golicę, biskup zaś Klemens kirylicę, ale że Cyryl miał już przed sobą jakiś wzór, prototyp przyszłej kirylicy. Ponieważ pismo gła-golickie okazało się niepraktycznem wskutek niesnadności w pisaniu i zbytniego skomplikowania, przeto Klemens powrócił do dawniejszego abecadła, udoskonaliwszy je według wzoru gła-golicy. Pismo to pierwotne miał znaleźć Cyryl, czyli właściwie Konstany w Korsuniu u chazarów, gdzie osadnicy słowiańscy wyznawali już chrześcijaństwo i mieli tém pismem napisaną ewangelią i psalterz. Pismo owych słowian korsuńskich było według Millera mieszaniną liter greckich i wschodnich. Twierdzenie swoje Miller popiera ustępami z legend Paunońskich o św. Cyrylu i Metodym, które powiadają, że Konstany w Korsuniu

¹⁾ Podobnego zdania jest archimandryta Amiloob, wydawca ewangelii Haliickiej z r. 1144. Sądzi on, że gła-golica wzięta została z kursywy greckiej, niektóre zaś litery z łacińskiego lub hebrajskiego.

znalazł był pismo ruskie, którym napisane były ewangelia i psalterz.

Ostatnie, jak dotąd, słowo w tej sprawie zabrał profesor uniwersytetu petersburskiego, chorwat Jagicz, w niedawno wydanej książce p. t. „Cztery artykuły krytyczno-paleograficzne.“ Jagicz odrzuca hipotezy Geitlera i Millera. Według niego głągolica powstała z kursywnych minuskuł greckich i wprowadził ją Konstantyn-Cyryl, kirylicę zaś ułożono z uncjalnych liter greckich, a znaki obce greczyźnie przejęto z głągolicy. Kirylicę zaprowadzono na dworze cara bułgarskiego Symeona, przy współdziałaniu tego monarchy, który był gorliwym literatury starosłowiańskiej mecenasem. *B. G.*

— W ostatnich zeszytach czasopisma Akademii południowo-słowiańskiej w Zagrzebiu (Rad jugoslavenske akademije znanosti i umjetnosti) znajdujemy nekrolog Wacława Aleksandra Maciejewskiego, pióra prezesa Akademii, kan. Raczkiego. Tenże Raczki podał tam gruntowną pracę p. t.: „Stan wewnętrzny Chorwacyi do XII w.“ W artykule tym dowodzi, że chorwaci, jak i w ogóle słowianie, nie mieli niewolników, że jeńców wojennych po jakimś czasie darzyli wolnością, dając im do wyboru, albo, żeby wolni u nich pozostali albo też, ażeby powrócili do domu. Dalej powiada, że niewola rozwinęła się pod wpływem greckim i germańskim, że cudzoziemcy doznawali gościnności, gdy tymczasem u Niemców żadne prawo ich nie zastępowało. Słowianie w ogóle, a więc i chorwaci mieli, według Raczkiego, szlachtę wyższą i niższą, że też szlachta powstała z naczelników rodów, żup i całych plemion. Tamże prof. Armin Pawicz podał życiorys Juniusza Palmoticza, poety dubrownickiego z pierwszej połowy XVII w. Dzieła tegoż Palmoticza wyszły niedawno w wydawanym przez Akademię zbiorze, p. t.: „Stari pisci hrvatski.“ Zawierają one w sobie głównie prace dramatyczne, oraz słynny poemat epiczny „Kristiada“, przerobiony z Hieronima Widy. Palmoticz należy do najlepszych poetów dubrownickich, język jego i forma poezyi są za klasyczne. *B. G.*

— Matica chorwacka w Zagrzebiu rozesłała niedawno książki, wydane na r. 1883. Jest ich siedm — dzielą się na dwa działy: na „Bibliotekę naukową“ i „Bibliotekę dla zabawy.“ Do pierwszej należą „Kobieta w domu i w społeczeństwie“ Błażeja Lorkowicza, przypominająca nieco „Pamiętkę po dobrej matce“ Hofmanowej, dalej „Nowoczesne wynalazki“, napisane przez Szulka, Kiszpatowicza i Rosiego, oraz przekład z G. Maspera „Dzieje narodów wschodnich w starożytności“, dokonany przez G. Manojłowicza. W drugiej „Bibliotece“ jest pierwszy tom „Zbioru powieści Augusta Szenoi“, zawierający w sobie jego najstarsze powiastki i nowelki, romans „Pani Sabina“ J. Sisolskiego (Eug. Kumicicza), dramat Wład. Mażuranicza „Hrabia Jan“ oraz poezye Fr. Markowicza „Z młodych dni“, gdzie obok pięknych poezyi oryginalnych są także wyborne tłumaczenia z polskiego

(Marya, Farys i kilka innych rzeczy). Roczna składka członków Maticy wynosi 3 złr. B. G.

— Franciszek Vymazal, znany ze swój „Antologii słowiańskiej“ w przekładach czeskich, wydał w Bernie morawskim „Początki języków słowiańskich (dziewięciu języków piśmienniczych oraz języka litewskiego)“. Są to przystępnie podane gramatyki języków: starosłowiańskiego, rosyjskiego, polskiego, serbskiego czyli chorwackiego, bułgarskiego, słowiańskiego, małoruskiego, słowackiego, serbo-łużyckiego i litewskiego. Do każdój z nich dodane są teksty jako wzór języka. Książka ta ma stanowić pierwszy tom „Biblioteki wszechsłowiańskiej.“ Tenże Vymazal wydał w Bernie „Zasady gramatyczne języka serbskiego czyli chorwackiego.“

Również w Bernie wyszła „Gramatyka języka starobułgarskiego (starosłowiańskiego)“ przez B. Popelkę. Jak widzimy, ruch lingwistyczny w Czechach wzmaga się niepomiernie B. G.

— Prof. dr. Ewernicki miał na niedawnym zjeździe archeologów w Odessie ciekawy odczyt „O topografii Siczy zaporoskiej.“ Według badań prof. Ewernickiego, dokonanych na miejscu, okazało się, że wysp zamieszkiwanych niegdyś przez kozaków istnieje dotąd 218; progów „porohów“ na Dnieprze jest dziewięć. Sicz Zaporozka siedm razy zmieniła siedzibę. Pierwszą była Chortycka, założona w r. 1557 przez ks. Dymitra Wiśniowieckiego; opuszczona w rok potem, wznowiona była na początku XVII wieku z natchnienia hetmana Sahajdacznego, pamiętnego udziałem w bitwie pod Chocimem. Obecnie na Chortycy osiedli niemcy koloniści, a o przeszłości powiadają tylko stare wały. Drugą Siczą była Tokmakowska na wyspie Tunak, gdzie przebywał Bohdan Chmielnicki. Trzecia Nikicka, z której Chmielnicki wyruszył na wojnę w r. 1648; dzisiaj znajduje się tam miasto Nikopol, lecz miejsce samój Siczy zalała woda. W cerkwi miejscowej zachowały się: armata, obraz, kubek hetmana Sierki i Nowy Testament, ważący 120 funtów. Czwarta na Czertomeliku, gdzie dzisiaj leży wieś Kopyłówka, powstawała po dwakroć w r. 1594 i 1652. W r. 1709 wojska Piotra W. zburzyły ją do szczętu. Tutaj żył Sierko i Sahajdaczny. Piątą Kamieńska, przy rzece Kamionce, z istniejącą dotychczas mogiłą atamana Hordejenki. Szóstą była Aleszkowska. Siódmą wreszcie Krasnokutowska lub Nowa, zniesiona z rozkazu cesarzowej Katarzyny w roku 1775. Zachowało się w niej wiele pamiątek po Zaporazcach, którzy rozproszyli się ztamtąd, udając się nad Don i Dunaj.

— Niemieckie Towarzystwo historyczne w zachodnich Prusach rozpoczęło wydawnictwo godnego uwagi dzieła historycznego pod tyt.: „Urkundenbuch des Bisthums Kulm“ (biskupstwa Chełmińskiego), w opracowaniu d-ra Wölky. Dzieło składać się będzie z czterech zeszytów, z których pierwszy i drugi obejmować będą czasy krzyżackie (1243—1446), a trzeci i czwarty czasy panowania polskiego. Ze-

szyt I, zawierający ark. 35 wyszedł już z druku.

— W obec licznych trudności napotykanych w stosowaniu nowego prawa stempłowego, zwracamy uwagę czytelników Bibl. Warsz. na pracę p. Aleksandra Strasburgera p. t.: „Podręcznik do opłat stempłowych, obowiązujących w Królestwie Polskiem od dnia 13 (1) lipca 1884 roku.“ Jest to podręcznik ułatwiający obliczanie opłat stempłowych, z którego od paru miesięcy korzystają już regenci i instytucje hipoteczne. Obecnie książkę tę wydawca powiększył przez dodanie dwóch wykazów alfabetycznych dokumentów podlegających opłacie stempla. W pierwszym z wykazów podane są dokumenty przedstawiane przez osoby prywatne do władz rządowych i administracyjnych lub też wydawane osobom prywatnym przez władze powyższe, w drugim wymieniono dokumenty, mające związek z bankierskimi, handlowymi i przemysłowymi czynnościami. Obydwa wykazy opatrzone licznymi uwagami w języku polskim, zmierzającymi do wyjaśnienia różnych wątpliwości. Wykazy te stanowią bardzo pożądaną ułatwienie w stosowaniu nowego prawa przy sporządzaniu nowych dokumentów i pism tak urzędowych jak prywatnych. Uwagi i objaśnienia chronią od błędów w stosowaniu prawa, a tém samém zapobiegają ewentualnym wysokim karom, którym ulega każda osoba niezachowująca przepisów prawa stempłowego. Dla tych względów zalecamy książkę p. Aleksandra Strasburgera, jako podręcznik prawdziwie praktyczny, udzielający dokładnych i ściśle na prawie obowiązującym opartych wskazówek, jak należy sobie radzić z nowymi opłatami stempłowymi przy załatwianiu każdego nieledwie interesu, lub zawieraniu bodaj najmniejszej tranzakcji.

— Akademia Umiejętności w Krakowie wydała trzeci tom dzieła Tadeusza Korzona pod tyt. „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta (1764—1794).“ Badania historyczne ze stanowiska ekonomicznego i administracyjnego. Kraków, 1884, str. 461. Tom trzeci dzieła p. Korzona poświęcony jest wyłącznie sprawom skarbowym, z których każdą stara się dokładnie objaśnić w jej historycznym rozwoju i znaczeniu, czerpiąc potrzebne wiadomości nie tylko ze źródeł urzędowych i opinii współczesnych; ale i z porównania skarbowości polskiej z finansami państw ościennych, głównie Europy zachodniej w wieku XVIII-ym. Zgodnie tedy z praktyką rachunków skarbowych w Polsce czytamy tu obszernie, szczegółowe wiadomości o „skarbie króla JMci“ (stosunki pieniężne St. Augusta), o „skarbie Rzeczypospolitej koronnym i litewskim;“ dalej mamy przedstawiony obraz „Stanu skarbów obojga narodów w okresie I-ym“ (do r. 1772), poczem poznajemy „Reformy i zasoby skarbowe w okresie II-im,“ „Działalność finansową sejmu czteroletniego w okresie III-im,“ — „Stan skarbu w okresie IV-ym (po r. 1794). W dodatku zaś czytamy spis ofiar z lat 1788—1792 i 1794. Wśród tekstu znajdujemy znaczną ilość tablic i numerów, które dla badań szczegółowych mają wartość bardzo wielką. Sumiennosc w gromadzeniu wszelkiego ro-

dzaju świadectw, objaśniających stan ekonomiczny kraju, — niezmordowana pilność w porządkowaniu tego materiału, roztropna powściągliwość w ostatecznych konkluzjach o pojedynczych kwestyach — to są cechy dodatnie i tego tomu pracy Korzona, który zasłużył się wielce dziejopisarstwu naszemu przez zebranie i krytyczne zestawienie tak szacownego materiału historycznego.

— Firma księgarska i nakładowa pp. Gebethner i Wolff, zaśluzona tak wielostronnie we wszystkich gałęziach literatury polskiej, naukowej, równie jak i beletrystycznej, wydała w ostatnim czasie kilka dzieł trwałej wartości naukowej i literackiej, na które zwracamy uwagę czytelników Bibl. Warsz.

a) Antoni Prohaska: Szkice historyczne z XV wieku. Kraków i Warszawa 1884, str. 357. Książka ta zawiera sześć rozpraw ściśle naukowych, opracowanych starannie na podstawie źródeł autentycznych z całą metodologiczną ścisłością. Tytuły pojedynczych rozpraw wskażą treść dzieła, dlatego je zapisujemy. 1) Konrad Wallenrod w poczty i w dziejach.—2) Przed Grünwaldem.—3) Zawisza Czarny.—4) Husyta polski.—5) Trefniś Heme u Witolda.—6) Zabiegi Ciołka o infułę.

b) Dr. Antoni J., opowiadania. Serya IV. Warsz. 1884, t. I, str. 415; zawiera: 1) Senatorska dola. — 2) Chamska dola.—3) Palestiant z wieku XVII. — 4) Pan Balcer z Godzimierza Wilga. — 5) Na szpakowym szlaku.—6) Gospodarstwo skarbuika czerwonogrodzkiego w kamienieckiej warowni. — 7) Emir Rzewuski.—8) Początek handlu polskiego na Czarném morzu i żegluga po Dniestrze. — 9) Jeden ze szczepów zasłużonego rodu. Tom II, str. 458: 1) Hrabia Redux.—2) Sprawa Tarnowska. — 3) Nieszczęśliwy Władysław. — 4) Z dziejów Polesia.—5) Aleksander Weryba Darowski.—6) Maurycy Gosławski. Nie potrzeba nadmienić, że wszystkie te prace odznaczają się wysokim talentem opowiadania i sumienném obrobieniem sympatycznego, znanego publiczności autora.

c) Henryk Sienkiewicz: „Ogniem i mieczem.“ Powieść z lat dawnych. Wydanie II przejrane i poprawione. (Z portretem autora). Warsz. 1884, tomów 4. Utwór ten utalentowanego autora potrafił w wysokim stopniu zainteresować nie tylko szersze koła publiczności polskiej, ale i pierwszorzędnym naszym krytyków, tak, że czytelnicy Bibl. Warsz. z przyjemnością powitają to drugie poprawione wydanie. Na utwór, o którym mowa, nie należy patrzeć jako na powieść historyczną, gdzie krytyk szuka charakterów, dokładnie na podstawie źródeł zbadanych, gdzie archeolog, strategik, geograf wymaga wierności z faktami danej epoki i karcie powieściopisarza za to, że nie dał nam wiernego obrazu historycznego danej epoki. Dzieło Sienkiewicza jest poematem w formie opowieści, poematem, który, poprzestając na psychologicznym związku charakteru, — nie krępuje się zanadto faktycznością historyczną. Tymczasem poprzestajemy

na tój uwadze, ponieważ drukować będziemy w najbliższym czasie wyczerpujące o tём dziele studjum Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.

— W chwili, kiedy bliższe kółko przyjaciół, kolegów i znajomych obchodziło uroczyste 25-letni Jubileusz działalności autorskiej Michała Bałuckiego, księgarnia Teodora Paprockiego w Warszawie uskuteczniła zbiorowe wydanie drobniejszych prac tego zasłużonego autora, p. t.: „Nowelle i Obrazki,“ tomów cztery, w których publiczność polska znajdzie przy łagodnych błyskach swojskiego humoru i dowcipu, przyjemną i nauczającą rozrywkę.

— Komitet wydawnictwa dziełek ludowych Towarzystwa pedagogicznego, kilka lat temu zawiązany, wydaje co miesiąc jedną polską i jedną ruską książeczkę, opowiadanie dla ludu przeznaczone, w którém mieści się pożyteczna nauka. W ciągu bieżącego roku wyszły między innymi prace Hopcasa, Bron. Roli, Rom. Starkla, Semena Smereki, Krystyny i Parasiewicza. Pod osłoną licznych pseudonimów kryją się imiona najznakomitszych i doświadczonych autorów ludowych. Niepodobna szczegółowo rozbierać tych wydawnictw, ale przyznać trzeba iż „Komitet,“ posiadający w p. Szczęsnym Parasiewiczu gorliwego redaktora i administratora, pięknymi i lud ujmującymi, pełnymi zdrowej i zbawiennej nauki wydawnictwami, zasługuje na wdzięczność wszystkich prawych obywateli kraju.

Jeżeli komitet ma na względzie lud w ogóle, to wydawana przez Towarzystwo pedagogiczne „Biblioteka dla młodzieży,“ ma głównie na celu pokolenie dorastające, jak to już sam tytuł wskazuje. W najnowszym tomiku „Biblioteki dla młodzieży“ powszechnie i wysoce poważany historyk (pod pseudonimem A. Rogali) w przystępny dla młodych czytelników sposób przedstawia najważniejsze przygody z życia Tadeusza Kościuszki. Z innych wydawnictw, Towarzystwa pedagogicznego,“ wypada zwrócić uwagę na dziełko p. t. „Budowa, życie i pielęgnowanie ciała ludzkiego.“ Brak dzieła obejmującego wykład anatomii i higieny dla młodzieży, oddawna dotkliwie uczuć się dawał. Zaradza temu nareszcie książka wspomniana, będąca tłumaczeniem słynnego w Niemczech i przekładanego na wiele języków dziełka dr. Bocka, dokonaniem przez p. Hipolita Parasiewicza. Z zadania swego, z powodu zawitej nomenklatury anatomicznej wcale niełatwego, tłumacz wywiązał się bardzo dobrze, Towarzystwo zaś nie szczędziło kosztów, by ozdobić dzieło licznymi odpowiednimi rycinami i wydać je w formie ozdobnej.

— Władysław dr. Nehring, profesor uniwersytetu wrocławskiego — autor jednego z najlepszych podręczników historii literatury polskiej, wydał obecnie dzieło p. t. „Studia literackie.“ Poznań nakładem księgarni A. Cybulskiego, str. 398. Książka ta mieści w sobie następujące artykuły: „Pieśń Bogarodzica.“ „Treny“ Jana Kochanowskiego, „Odprawa postów“ J. Kochanowskiego, Wespazyan Kochowski i jego „Liryki,“ „Psyche“ Andrzeja Morsztyna, „Poezye“ Kra-

sickiego. „Grażyna i Konrad Wallenrod“ Mckiewiczza, „Pan Tadeusz“ Mickiewiczza, „Balladyna i Lilla Weneda“ Słowackiego, „Nieboska Komedia“ Krasińskiego, „Irydion“ Krasińskiego. Dzieło swe autor poświęcił pamięci Jana Kochanowskiego, jako w roku jubileuszowym zgonu poety.

— W Kijowie u Bolesława Koreywy wydał Julian B. (uczyński) książeczkę z widoczną miłością przedmiotu starannie zapisaną, p. t.: „Jan Sobieski do dwudziestego roku życia. Kijów, 1884, str. 107. Tablica genealogiczna Żółkiewskich i Sobieskich. Autor przeznaczą dochód czysty z rozprzedaży tego dziełka na pomnik Mickiewiczza. Dziełko to zalecamy do przeczytania ucząccej się młodzieży dla poznania trybu wychowania dawniejszego.

— Ferdynand Kudelka wydał w Krakowie ciekawą broszurę p. t.: „Wojenne siły polskie w odsieczy wiedeńskiej.“ Kraków, 1883, str. 21. Tytuł co tylko wspomniany nie wyraża dokładnie myśli autora, który nie ograniczył się na obliczeniu sił polskich, pod stolicą Austrii walczących (około 60,000); ale wskazał wszystkie siły, jakie Rzplta ówczesna do akcji przeciw Osmanom na różne pola bitwy wprowadziła (przeszło 100,000). Studium Leona Chrzanowskiego, którego druk w zeszytie niniejszym rozpoczęliśmy, wyjaśnia dokładnie kwestyą przez p. Kudelkę stawioną.

— Gustaw Blatt, kandydat nauk filologicznych, który w zeszytie jubileuszowym „Przeglądu Polskiego“ wydanego w Krakowie za m. sierpień p. t. „W trzechsetną rocznicę Jana Kochanowskiego (1584—1884), zamieścił rozprawę pod nap. „Spostrzeżenia nad językiem Jana Kochanowskiego“ (str. 176—184), wydrukował w 3-im tomie sprawozdań komisji język. Akad. Um. studyum p. t. „Archaizmy w języku Jana Kochanowskiego,“ które wyszło w osobnej odbitce (str. 25).

— Kazimierz Promyk (K. Prószyński) wydał ciekawą nader książeczkę, zasługującą na uwagę ogółu p. t. „O Janie Kochanowskim z Czarnolasu, jego pieśniach i pamiątkach po nim. W 300 lat po śmierci tego pieśniarza. Z kilkunastu obrazkami według fotografii zdjętych na miejscu przez autora. Warsz. 1884 r., str. 96.

— Teodor Stahlberger c. k. dyrektor gimnazyum św. Jacka w Krakowie, wydrukował w programie gimnaz. św. Jacka z r. 1884 w tłómaczeniu niemieckim 8 pierwszych trenów Kochanowskiego. Tłómaczenie p. St. odznacza się nadobną formą przy wierném oddaniu myśli pierwowzoru.

— P. Maryan Sokołowski wydał rozprawę „O wpływach włoskich na sztukę odrodzenia u nas, z powodu wystawy zabytków z czasów Jana Kochanowskiego. Kraków, 1884, str. 25. Jestto odbitka artykułu z powołanego wyżej zeszytu „Przeglądu polskiego.“

— P. Ferdynand Bostel wydał w osobnej odbitce z „Przewodnika naukowego i liter. z r. 1884-go ciekawe nader, sumienne i metodycznie opracowane studyum p. t. „Zakaz Miechowity“ Lwów 1884

r., str. 54. Tytuł cotylnko powołany nie objaśnia czytelnika dostatecznie o treści samego dzieła. Pierwszą drukowaną kronikę polską (u Hier. Vietora w Krakowie 1519 r. Nakładem L. Decyusza) spotkało we dwa lata rozporządzenie, zakazujące jej rozpowszechnienia dla pewnych przyczyn („nonnulla ex causa vetitam“), a po zmianieniu miejsc inkryminowanych otrzymał Decyusz 25 paźdz. 1521-go r. nowy przywilej na jej drukowanie. Autor porównywa tedy to drugie wydanie z pierwszém i rozbiera powody dla których rodzina panująca i niektórzy oligarchowie dla zaspokojenia miłości własnej i próżnej chwały nie wahali się zadać gwałtu relacyi sumiennego historyka.

brak
karty ogłoszenia

PŁONNE ZACHCIANKI.

Satyra X-ta Juwenalisa.

PRZEŁOŻYŁ Z JĘZYKA ŁACIŃSKIEGO

Felicyan.

Jak świat szeroki, że w mgłach ludzie błądzą,
Od szkody dobro rzadko kto odróżnia.
Rzekłbyś: że w głowach naszych dziwna próżnia
Włada zarówno wstrętem jak i żądzą!
Jakichże działań, w ich pożytek szczerze
Wierząc, a oraz gorącemi modły
Bogom się przykrząc, człek nie przedsięwzię—
Które w zjściu wielce go zawiodły?
Runął niejeden ród z odwieczną chwałą,
Że go zbyt skrzętnie niebo wysłuchało.
Nietylko w boju, lecz i w sennéj ciszy,
Zguba na ciebie w twych pragnieniach dyszy.
Ten i ów mówca, w grzmiących słów zapędzie,
Na własną głowę swą spiskować będzie.
Milon z Krotony, choć mu zazdroszczono,
Nadmiaru własnej siły stał się pastwą.

Weźmy szkodliwsze jeszcze żądź plugastwo.
Oto, drapieźnie wchodząc w mir z mamoną,
Radbyś, by skrzynia, gdzie masz skarby twoje,
Tyle nad inne mogła być pękata,
Ile wieloryb, mdłych delfinów roje
W morzu ogromem swego cielska zgniata.
A przecież — pomnij — w one dni przekłętę
Gdy Neron władał — wielką dlań przynętę
Miał Longinowy pałac niedaleki,
Zbyt porośłego w pierze Sad Seneki,

Wreszcie wyniosły portyk Lateranów —
 Przeto, z pomocą kohort swych czeladki
 Wziął je jak swoje. Ty się zaś zastanów—
 Że w chatach lichych żołnierz gość to rzadki!
 Zważ także: — gdybyś nocą był w podróży—
 Niechbyś i mieszek z sobą miał nieduży—
 To, co krok, z guzem albo z życia stratą
 Spotkać się mogąc, drżysz na lada drzewa
 Ciebie po miesiącu. Człek zaś goły zato,
 Swobodnie w uszy złodziejowi śpiewa.

Cóż ztąd, gdy wszyscy, jakby się zmówili,
 Co dzień się modlą: — Ach! niech w każdej chwili
 Mam coraz więcej! Niechbym był jedyny
 Bogacz, któremu dziwią się ludziska!—
 Głupi! Truciznę, czyż ci w kubku z gliny,
 Podadzą? Raczéj, mniejszą miéj ochotę
 Na ucztach spełniać czary szczerozłote,
 W których Setińskie wino szumiąc pryska!

Więc mniemam, słusność miał i ten, co z nory
 Byle nos wytknął, wnet od śmiechu pęka—
 Jak i Heraklit, wiecznym płaczem chory.
 Choć wyznam: bicz mój i świerzbiąca ręka
 Chętniej mię ciągnie stać przy Demokrycie —
 Bo zresztą, nie wiem, czyli człeku stanie
 Mieć tzy na wieczne ludzkich głupstw płkanie!

Więc chodź tu mędrcze, któryś prześmiał życie.
 Prawda? Za dni twych, wszak nie były znane:
 Bisiory, lśniące w liczną szlaków zmianę—
 Topory w pękach z giętej brzozy witek—
 Wspaniały naszych trybunałów zbytek—
 Rydwany świetne — okazałe nosze—
 Orszaków licznych przepych?—Więc, patrz, proszę...
 Ten tam jegomość, który przez gawiedzie,
 Na wzniosłym wozie dumnie stojąc, jedzie
 Wśród kłębów pyłu cyrkowego—biadaż
 Nam śmiertelnikom zwykłym!... Cóż powiadasz?
 Tunika na nim błyszczą tak wzorzysta,
 Z jakiej zaledwie bogów król korzysta.
 Płaszcz tak rozległy zdobi mu ramiona,
 Jak na arenie w skwarne dni opona—
 Głowę zaś wieniec ciężki, jak nieczyja
 Nie zdoła dźwignąć przy tej głowie szyja—
 Więc téż niewolnik, z którego pot kapie,
 Dzierży go nad nim w swéj żylastej łapie.

Tak. W jednym wozie pan i sługa lichy,
 By tryumfator mniej miał grzesznej pychy!
 Z berła mu orzeł wśród kadzideł wionie—
 Trębacze przodem, a przed niemi długa
 I ztąd i zowąd wyzwoleńców smuga,
 Wreszcie, przy pyskach wiodąc jego konie,
 Pieczeni pańskiej w samą miarę syci
 Suną, w bogactwie białych szat, Kwiryli!

Więc Demokrycie, któryś z byle błazna
 Śmiał się, mym śmiechem ja twój śmiech zwyciężę.
 Bo wiedz, że, byle pora im przyjazna,
 Przykłady wielkich cnót i tęgie męże,
 Nawet gdzie ludzie w mądrość ubożuchni,
 W zapowietrzonej nawet znajdziesz kuchni.

Więc, jeśli rozgłos, władza, pełne skrzynie,
 Płacz nawet ludzki, śmiechu wart jedynie—
 To dość, byś człeczce, gdy ci się nieszczęści,
 Pod nos Fortunie przytknął kułak z pięści—
 Bo cóż tam z tego bogom, że od raua
 Twym pocałunkiem brudzisz im kolana?

Iluż wielkościom, ich dostojenstw błogi
 Ciężar, przedwczesnie zdrowe podciął nogi
 — Precz już z waszemi rozgłośnemi dzieły!—
 Więc ich posągi dzielnie młot w łeb wali —
 Ich rydwan w drzazgi padł pod ostrzem stali—
 Niewinnym nawet, które go ciągnęły,
 Nie przebaczone szkapom!... A tam w dali
 Ten piec ogromny co płomieńmi dymi —
 Czemuż-to w niego miech dmie tak olbrzymi?
 Cóż w nim topnieje? To nic. To bronzowy
 Sejana Kolos. Ludu! z jego głowy,
 Którąś cził jako drugą w całym świecie
 Tuż po Cezarze boskim — wnet będziecie
 Mieć na pamiątkę, wśród radości dzikięj,
 Patelnie, garnki, łądle i nocniki.
 Więc dalej! Drzwi twe co tchu wieńcz w wawrzyny!
 Do Kapitolu byka pędź w ofierze!
 Jedzie na haku trup Sejana siny
 Wprost na Gemonie! — Cóż za pysk odęty!
 Cóż za paskudna mordal! Powiem szczerze:
 Zawszem ku niemu czuł przedziwne wstręty.—

O, ty hałastro! zawsześ jest jednaka.
 Przed powodzeniem gnie się twoja szyja—
 A zwałonego walisz w kark biedaka!
 Więc gdyby Bóstwo, co Hetruryi sprzyja,
 Wyznawcę swego dzielniej było wsparło,
 I on Cezara chwycić mógł za gardło
 Do stóp go swoich zgiąwszy — to w tój dobie,
 Tegoż Sejana, co na pastwę tobie
 Wydany został, w uniesieniu pustém,
 Błogosławionym czcilibyś Augustem...

Ha! lecz cóż robić ma ten gmin pstrokaty
 Odkąd zyskowne kreski z rąk mu wzięto?
 Dawniej rozdawał w głosowaniu święto:
 Kwestury, legie, rządu, konsulaty,
 Dziś, gdy się nudzi i jest głodny przytém,
 Dwóch tylko rzeczy żąda z groźnym zgrzytem:
 Chleba i igrzysk!

— Więc niejeden jeszcze,
 Słyszę, o kark swój zimne cierpi dreszcze?—
 — Cóż chcesz. Jak w garnku wre po mieście całém!—
 — Prawda. Błatego tylko co widziałem
 Miłego sercu memu Brutidiusza,
 Jak ołtarz Marsa swém błaganiem wzrusza.
 Mocno się lękam, że ten człek, jak srogi
 Ajaks, któremu przeszkód poskąpiono,
 Zmuszony będzie z własnej woli, w łono
 Wbić sobie sztylet. — My też, co tchu w nogi!
 A zaś następnie, póki zdrową głowę
 Na karku noszą, wrogi Cezarowe
 Wytykać palcem bądźmy wielce śmieli.
 Byle wyraźnie nasi to widzieli
 Słudzy i domownicy. Bo nuż który
 Swych własnych panów donieść wprzód wyśpieszy,
 To, wśród gorliwców rozhukanój rzeszy,
 Nikt już nie będzie panem własnej skóry.—

Tak-to z przyczyny zguby Sejanowój
 Tłum sobie szepcze. Więc tę rzecz zważywszy,
 Osądź: czy ten był z ludzi najszcześniejszy.
 Wczoraj, przed sobą w dół schylone głowy
 Widząc; gdy dziś już nikt mu nie zazdrości,
 Że on buławy, oraz krzeszła z kości,
 Jak chciał, rozdawał? Lub czy życzyś może,
 Jak on, Cezarem rządzić w owój porze,

Gdy ten w Kaprei w gusta i w rozkosze
 Po uszy tonął? Wreszcie, rozważ proszę:
 Miał przecież Sejan (choć on nikogo
 Zabijać nie chciał—lecz, że ludzie mogą
 Władzy się nie bać) jak ostrożność każe:
 Kohorty własne i przyboczne strażę,
 Słowem nie lada groźnie zbrojne siły—
 Te zaś, gdy runął, czyż go obroniły?

Ach! w powodzeniu—jak chce prawda stara—
 Chwil złych a dobrych, nie jest równa miara!

Więc, niż w nędzarza tego siedzieć skórze,
 Czyżbyś nie wolał, w Gabiach gdzieś, nie duże
 Albo w Fidenach mieć urządowanie,
 Wreszcie w Ulubrze, gdzie w łachmany tanie
 Kryjąc przed światem godność twą Edyla,
 Pilnować mogłeś wag i te, co chwila,
 Jeśli fałszywe własną kruszyć dłońią?

Ztąd przyznaj: Sejan nic się nie znał na tém,
 Co jest prawdziwe dobro. Ludzie gonią
 Za złotem, sławą, władzy majestatem
 A to jest tylko w sposób najgorętszy
 Gmach stawiać, który, im się wyżej piętrzy,
 Tém jest szczyt jego od padołu dalej;
 Ztąd i upadek z nim, gdy on się zwali,
 Mniej albo więcej niebezpieczny bywa.

A Krassus? Pompej? Wreszcie ten, nie syty
 Zwycięstw, co pierwszy w jarzmo wprzął Kwiryty;
 Cóż ich zgubiło? Władzy chuć łapczywa,
 Którą, by zdobyć, mniejsza tam o środki!
 Ztąd, strzeż się chciwym być w modlitwie słodkiej;
 Bowiem słuchając twego pożądania,
 Złośliwe Bóstwo zguby ci nie wzbrania!
 Mało kto z królów, bez śmiertelnej rany,
 Lub choć bez guza, poszedł w kraj Plutona;
 Nikt zaś z ciemięców w łożu swém nie skonał

Modlisz się znowu, by twój syn kochany
 Kiedyś z wymowy zyskał cześć współbraci.
 Podczas gdy jeszcze ledwie on obole
 Minerwie skąpój za naukę płaci,
 A tuż z książkami bose mu pacholę
 Tobałek niesie. Zgubneż to życzenie!
 Z niém już nie jeden w życie grał szalenie!

Bo jest z wymową, jak z wezbraną rzeką,
 Która cię porwie Bóg wie jak daleko,
 Wreszcie zatopi lub o dno rozbije.
 Włożył w tę żądzę Cycero swą szyję;
 Lecz żaden partacz, gębę psuć ochoczy,
 Choćby chciał, Rostrów swoją krwią nie zbroczy.
 Ach Cyceronie! Cóż cię, pytam, zmusza
 Wbrew lekceważyć miecze Antoniusza?
 Skoro, spokojny, mogłeś żyć z twą chwałą,
 Gdybyś na wszystkie gadał tylko tony
 To, co niechcący raz ci się wyrwało:
 „O ty szczęśliwy Rzymie! narodzony
 Za konsulatu mego!“... Liche rymy;
 Lecz od nich, w skutkach, wiele mniej cenimy
 Twe Filippiki — choć są arcydzieła!

Taż sroga Parka tego dni przecięła,
 Który w Atenach, jak sam chciał, szalenie
 To lud swój wstrząsał — to go gromem trwogi
 Dretwił — to głuche w nim uciszał wrzenie.
 Złych Bóstw zrządzeniem jakiś blask złowrogi
 Dniał nad kolebką jego, skoro później
 Miał go od młota ojciec i od kuźni
 Oderwać, na to tylko, by skrzydlatem
 Działając słowem, sam się stał swym katem ..

Zwycięzkie łupy — na wyniosłej żerdzi
 Pancierz z przyłbicą co się nad nim sierdzi —
 Wóz, który wodza wrogów był kolaską —
 Naw zahaczonych dzioby, oraz flagi; —
 Wreszcie spętanych jeńców orszak nagi
 Na szczycie łuku wyrzeźbiony płasko —
 Oto, co człowiek ponad wszystko ceni!
 W co krew swą wkłada, cierpiąc niestychanie!
 I w czém bywają nawet skojarzeni
 Z barbarzyńcami, grecy i rzymianie!
 Bowiem, jest większa sławy cześć, niżeli
 Zasługi cichéj. Cóżby z cnoty komu,
 Gdybyście za nią świetny dank odjęli?
 Więc téż dla srogiéj chwały z walk pogromu
 Ojczyznę nawet nieraz poświęcano,
 W zamian za szumną wzmiankę, wyrzezaną
 W głazie, strzegącym szczątków bohatera —
 A ten niewierny prochów stróż, pod lada
 Korzeniem chwastu, sam się w proch rozkłada —
 Gdyż grób tak samo jak i czełek umiera!

Weź Hannibala. No, i co téż ważą
 Popioły tego wodza ponad wodze,
 Którego ciasną zdał się więzić strażą
 Obszar, gdzie z lewój Maury bitne srodze,
 Z przodu dwie Syrty w groźnej wrą obronie,
 Od strony prawej Nilu ciepła wstęga,
 Wstecz zaś Etyopy którym służą słońce?
 Hiszpanią wchłonał—Pireneów sięga, —
 Alpy, wał z lodu, próżno mu straszliwa
 Stawi przyroda—groźby jéj złowieszcze
 Depcze, brnie w śniegach, góry przerąbywa —
 W Italię wtargnął—lecz mu nie dość jeszcze
 — Nic nie zrobiłem — woła w srogim szale —
 Póki bram Rzymu z zawias nie wywałę,
 By na Suburze zatknąć znak zwycięzki! —
 O! cóż za postać! Jak brzemienna w kłęski!
 Na słońia grzbiecie, ten mąż jednooki,
 Z twardéj wykuty zdał się być opokil
 Cóż ztąd? Wnet runął... Chwało! ty czczy dymie!
 Ten, co w wymiary urósł tak olbrzymie,
 Że im potomność dziwi się daleka,
 W dłoń, godną berła, wzięwszy kij tułaczy,
 U drzwi Pruzyasza zbyt cierpliwie czeka,
 Aż się ten królik zbudzić ze snu raczył
 I ów, co światem trząśł bogaty w pychę,
 Ani go strzałą dłoń sprzątnęła człęcza,
 Ani od kuszy poległ, ni od miecza;
 Ale poprostu, żdźbło trucizny liche,
 W pierścienia oczku z swą zabójczą siłą
 Zdolne się zmieścić, jednym tchem pomściło
 Krwi pod Kannami wytoczone strugi...
 Idź! idź szalony! Rwij przyrody pęta
 Na to jedynie, abyś w czas nie długi,
 Z potwora, którym dzieci wprzód straszono,
 Zabawą stał się chłopcom ulubioną,
 Oraz ćwiczeniem szkolném dla studenta!...

Świat nasz zaszczupty był Aleksandrowi,
 Rwał się w nim, dusił, jakby wśród wysepki
 Odludnej, który z naszych zbójców krzepki —
 Aż gdy się w grodzie owym zastanowi,
 Który garncarski przemysł mógł jedynie
 Tém obwarować, co ulepisz w glinie,
 Tam, w sarkofagu jednym, wzupełności
 Jak najwygodniéj zmieścić swoje kości!...

Tak, śmierci tylko niezmożona władza
Całą lichotę naszą dzielnie zdradzał

Niegdyś, jak twierdzą Grecy, (gdyby można
Uwierzyć temu), przez Athosu szczyty
W okrętach płynąc, Persów szła bezbożna
Przemoc; a zato, jak po ziemi bitój,
Przez wód odmęty, w sposób dziwnie prosty,
Dudniły wozy, mając z naw pomosty.
Także, podobno, nieraz owe zgraje,
W popasach, rzeki wypijały całe;
Taką przynajmniej, na ich cześć, pochwałę,
Przy szklance, Sostrat, po partacku baje.
A przecież, jakże wracał ztąd w swe progi
Ich wódz szalony, który w sposób srogi
Różgami wiatry zćwiczył, jak w jaskini
Eol im gniewny nigdy nie uczyni,
A zaś Neptuna w dyby wziął — i kto wie,
Jak wiele brakło, żeby go pamiętném
Jak niewolnika nie naznaczył piętném!
Ztąd chyba jakiś bóg bez klepki w głowie
Chciałby być w służbie u takiego pana...
To téż zaledwie z życiem go uniosła
Na lichój krypie krwią kurząca piana,
A téj zaś krypy rudel oraz wiosła,
Wśród zbitych gęsto trupów się plątały —
I ten był koniec owéj znacznej chwały!

Z tém wszystkiém, czy ci świetnie się powodzi,
Czy téż byt lichy klepiesz w nędzy szarój —
Błagasz Jowisza: by ci ten dobrodziej
Dał jaknajpóźniej pójść na wstętné mary.
Lecz maszże czego życzyć: byś był stary?
Spójrzże na twarz tę, co do siebie samój
Nie jest podobna — na te zmarszczki, plamy —
Na tę obwisłą gębę — słowem, wdzięki,
Jakim podobnych, potwór długoręki,
Małpa się żadna w lasach swych nie wyprze!
Między młodemi różnie się tam zdarzy:
Ten powabniejszy, ten ma członki chybsze,
Ten w sobie tęższy, ten jest gładszej twarzy.
Lecz, starzy wszyscy bracia są rodzeni —
Chód im się płacze, język ich szepleni —
Jak małe bębny mają łeb bezwłosy,
I także same zasmarkane nosy.

Zgrzybialec, strawy nawet zżuć nie zdoła.
 Swój żonie, dzieciom — wreszcie wszystkim zgoła,
 Sobie jest nawet wstrętny coraz bardziej,
 Tak, że już chyba tylko nim nie wzgardzi
 Łapigrosz Cossus, myśląc, że on zato
 W swym testamencie wspomni go z odpłatą.
 Już w podniebieniu stracił zmysł wszelaki, —
 Za nic mu cenne wina i przysmaki.
 Też o kochaniu ani myśl nieboże!
 Choćbyś do rana gniótkł bezsenne łożo,
 Człek próżno wtedy chciałby — gdy nie może!
 Daj pokój głupcze — bo pomyślą jeszcze:
 Że w twój niemocy, gdy cię żądza pali,
 Radbyś lubieżne uspokoić dreszcze
 W haniebny jakiś sposób... Idźmy dalej.
 Cóż ci z muzyki dźwięków, miły bracie —
 Choćby Seleucus śpiewał przy swój lutni,
 Lub inny jaki, który jeszcze butniej
 Niż on się puszy w szychem tkaniej szacie —
 Gdy nawet nie drgniesz, skoro niespodzianie
 Zagrzmi ryczące trąby z bębnem granie?
 Lub czyż takiemu nie jest jedno zgoła:
 Czy on w teatrze, zdala, wśród gawiedzi,
 Czy też na miejscu jaknajpierwszém siedzi —
 Skoro do niego sługa już nie zdoła
 Inaczéj gadać, jeno z wrzasku siny:
 Że tam ktoś z gości przyszedł w odwiedzinę —
 Lub chcąc powiedziéć: która jest godzina?

Zresztą, gorączka tylko wzburzy chyba
 Krew, równie w żyłach skrzepłą, jak ma ryba.
 A zato, uiby wojsko, gdy zaczyna
 Iść wstępnym bojem — w sposób najezdniczy
 Choroby zewsząd walą w stare zdrowie.
 Któż je wymieni wszystkie, któż wyliczył
 Łacniejby pono Oppii kochankowie,
 Albo być mogli owi wymienieni,
 Których lekarską wiedzą swą, w jesieni
 Themison sprzątnął, albo przyjaciele
 Których Baziliusz sprzedał, lub tych wiele
 Których znów Hirrus odrwił, a do nędzy
 Hamillus przywiódł — albo pułk młodzieńczy
 Tych, których Maura w jedną noc wycieńczy.
 Nawet, co prawda, wyliczyłbym prędzej;
 Ile i jakie dziś posiada włości
 Ten, co mi brodę golił w mój młodości.

Więc temu strzyka, tego znów coś łamie,
 Ten kurcz ma w łydce, temu cierpnie ramię,
 Ten, ślepym będąc, przez zazdrość wyrzeka
 Na jednookich. Tego papką z mleka
 Potrzeba karmić — temu znów biesiada
 Pociesznie gębę wprawia w ruch, jak bywa
 W jaskółczém gnieździe, kiedy dziatwa chciwa
 Swój głodnej matce z dzioba karm wyjada.

Ale nad całe ciała to zgrzybienie,
 Utrata głowy gorsza nieskończenie.
 Człek nazwisk własnych sług swych zapomina,
 I nie poznaje nawet już sąsiada,
 Z którym wieczerzę jadł — a na ostatek
 I lubych dzieci — choć co do tych dziątek
 Tak lekce branych, ta jest w tém przyczyna,
 Że w testamencie, już ich na rzecz Phiali
 Z dziedzictwa wyzuł — lecz mu się to chwali —
 Bo któż miał inny wyposażyć godnie
 Tę, która sobą, wszystkich stron przychodnie,
 W zamtuzach, w każdój obdziałała porze?

Lecz, dajmy nato, nie zgłupiejesz może.
 To znowu wtedy człowiek zwolna traci:
 Najukochańszą żonę, siostry, braci,
 I zda się na to tylko żyć, ażeby
 Wszędzie, gdzie spojrzy widzieć mógł pogrzeby.
 I tak, sierocy, smutny nieskończenie,
 Wiecznie w żałobnej szacie włókt istnienie,
 Widząc w tém karę za zbyt długie życie!

Jeśli Homera słowom uwierzycie
 Nestor tak długo niemal żył, jak wrona.
 — Jaki szczęśliwy! Widział rzeczy tyle!
 Tylu wyniańczył! tylu kładł w mogile!
 Z winobrań tylu moszcz pił i jadł grona!
 Ale posłuchać proszę tego człeka,
 Gdy on, na starość zwłoki Antylocha
 Płonące widząc, głośnym płaczem szlocha —
 I jak ztorzczy losom, jak wyrzeka!
 — Ach! czyżem zbrodnię spełnił niesłychaną,
 Że mi tak długie lata żyć kazano?

A tenże Peléj, gdy Achilla płacze?
 A znów Laerta pełne łez rozpacze,

Gdy zgadł, że syn gdzieś na strzaskanym maszcie
 Walczy z przemocą fal?—A teraz zważcie—
 Niechby był Pryam, w złote dni w Pergamie
 Zgasł, w Assaraka idąc grodziec stary—
 Byłby go Hektor z braćmi niósł, na ramię
 Wspaniałe wzięwszy króla tego mary,
 A tuż za nimi, Polikseny śladem
 Idącój w zdartych szatach, z licem bladym,
 Oraz Kassandry, z łkaniem słowa wieszczce
 Wygłaszającej—szłyby płaczki łzawe...
 Ach! niechby w czas był umarł, zanim jeszcze
 Zuchwałą Parys jął budować nawę!...
 A tak—żyć długo na cóż mu się zdało?
 Na to, by padłszy z sercem zakrwawioném
 W swych gmachów gruzy, widzieć mógł przed zgonem
 Ogniem i mieczem Azyą wskrós zniszczała!
 Wtedy bezsilny szermierz ten, z swój głowy
 Przepaskę złotą zdartszy, pierś obnaża,
 I z bronią w dłoni pada u ołtarza
 Jowiszowego—jak ten wół wiekowy,
 Co w służbie pluga marnie zdartszy siły,
 Pod nóż własnego pana kark pochyły
 Sam nadstawiając, szybkiej śmierci czeka!...
 Jeszcze choć Pryam zginął trybem czteka—
 Lecz jego żona... tożże gdy mogiła
 Ją ominęła—jak pies wściekły wyła! —

Ku swoim spieszę. Już mię nie rozczula
 Ni Mitrydata los, ni Lydyi króla,
 Któremu Solon mądre wieszczzył słowo:
 By strzegł się pychy, aż u kresu stanie;
 Lecz zważcie, proszę, dołę Maryuszową—
 Jego hańbiące pęta i wygnanie—
 Jego tułactwo na Minturnów bagnie—
 I jak on, chleba łaknąc, dłoń zaciska,
 Gdy wśród Kartagi nędznej rumowiska,
 W sercach przechodniów litość wzbudzić pragniel
 Tak to on smutnie skończyć miał! A przecie,
 Czyż mógł szczęśliwszy człowiek być na świecie,
 Gdyby był, z wrogów krwawe wzięwszy myto,
 W boju wyzionął duszę zwycięstw sytą?
 Lub kiedy w jarzmo dzikie gnąc Teutony,
 Wysiadał z woza laurem uwieńczony?—
 Próżno też Pompej, mogąc w swojej porze,
 Zwyczajną umrzeć śmiercią, padł na toże

Jadem Kampańskich błot śmiertelnie słaby.
 Lud cały, wodza płacząc, wnet mu nowe
 Siły wymodlił, na to tylko, aby
 Z karku mu potem zdrową wzięto głowę!
 Nie tak Cetegus, Lentul. Oba oni
 Nie utracili włosa z ponad skroni,
 A nawet krnąbrny Katyliua z całym
 W kraje Plutona powędrował ciałem.

W końcu, rozważmy rzecz następną jeszcze:
 Byle Wenery gdzieś na szczycie wzgóрка
 Posąg ujrzała przywiązana matka,
 Wnet modlitewne w nią się budzą dreszcze;
 By syn jój piękny był, lecz zwłaszcza córka
 Oby być mogła jak bogini gładka!
 I czyż ją nawet gromić można za to?
 Toćże Latona czuła się bogatą
 Wdziękami swojej Diany. Lecz znów sądzę,
 Że jest zbyt płochym ten, co żywi żądę,
 By miał Lukrecyi twarz i kształty ciała.
 Także Wirginia, z przyjemnością może
 Za garb Rutilii dziśby wymieniała
 Powabną postać swą i lica hożeł
 Co zaś do syna—to ten, jeśli bywa
 Dorodny, wtedy jest dla rodzicieli
 Opieka nad nim wielce uciążliwa!
 Gdyż gładkość rzadko królowanie dzieli
 Z czystością uczuć. Dobrze to, jeżeli
 W domu obyczaj dawny mu starannie
 Wpajacie—zwłaszcza, jeżeli go zaszczyca
 Umysł niewinny, i jak w skromnej pannie,
 Wstyd łatwo kraśne rumieniący lica.
 Rzecz to nie mała. Tego nie jest w stanie
 Dać najtroskliwsze bliskich stróżowanie,
 W co wyposaża hojna dłoń przyrody.
 Lecz—czy do końca wytrwa ten pan młody?
 Bowiem rozpusty powab tak jest słodki,
 I ma w swój ręce tak rozrzutne środki,
 Że dla niej, kupić, choćby krewnych, fraszkał
 Czyż to brzydkiego kiedy młodzieniaszka
 Rzezańcem uczyniono? Lub czy kiedy
 Neron, z dostojnych paniąt gdzie czeredy,
 Garbusa porwał, zyza lub charłaka
 Lub kuternogę? Więc gdy rzecz jest taka,
 To ty się modląc, aby syn twój luby
 Był pięknym, pragniesz jego własnej zguby!

I on sam z siebie, stać się jeszcze może
 Bezwstydnym wszetecznikiem, cudze łożo
 Plamiącym chętnie. Wtedy niech się lęka,
 Że go zdradzonych mężów dotknie ręka.
 Choćby pod Marsa rodził się planetą,
 Zręcznych tu sideł nie uniknie przeto.
 A różnie bywa. Ludzie zemstę krwawą
 Ponad odwetu lubią wznosić prawo.
 Ten od sztyletu zniknął tajemniczo—
 Tego pletniami głośno na śmierć zćwiczą—
 Temu takiego zrobią coś, co lepiej
 Zamilczeć.—Widzę, myśl cię błoga krzepi:
 Że twój Endymion wiecznie wierny będzie
 Tój tylko, którą kocha. Lecz w tym względzie
 Któż wie: do siebie czy go nie przytuli
 Serwilia, która kabzę ma pękata?
 A on jój wcale nie kochając, za to,
 Obedrze miłą babę do koszuli,
 Gdyż wie, że taka, gdy w objęciu wzdycha,
 Czy to jest Oppia, czy Catulla licha,
 Gachowi duszę oddać jest gotowa!—

Lecz od zepsucia jeśli się uchowa,
 Czyż może piękność szkodzić młodzieńcowi?
 — Weź Hipolita i Bellerofona.
 Pierwszego Fedra w brudny uścisk łowi,
 A Stenobea ku drugiemu kona
 Z miłości kazirodnój. Cóż ci powiem?
 I ten i tamten źle skończyli! Bowiem
 Czeluścią piekeł dusza jest kobieca,
 Do nienawiści gdy ją wstyd podnieca.

A cóż takiemu czynić pozostawa
 Jak Siliusz, gdy mu padła kreska krwawa,
 Że Cezarowej żonie się podoba,
 Wziąść go za męża w swe małżeńskie łożo?
 Panicz to całą gębą i ozdoba
 Swojego rodu! Cóż mu to pomoże?
 Porwany, zgrozą i przestraczem siny,
 Drży pod palącym wzrokiem Messaliny.
 A ta, w wezgłowiach, z których szkartat płonie
 Siedząc, w dziewiczej mając skroń zastłonie,
 Wśród gajów, kędy widać ją z daleka,
 Jawnie, w dzień biały, oblubieńca czeka.
 Przy niej świadkowie, augur—aż i oto,
 Jak zwyczaj każe, posagowe złoto

Na misach wnoszą. A tyś myślał pono:
 Ze się to stanie w sposób ukradkowy?
 Nie—ona prawnie chce się stać twą żoną!
 Masz wóz i przewóz. W razie twój odmowy
 Zginiesz, nim słońca zgaśnie blask zachodni.
 Jeśli zaś zechcesz być współnikiem zbrodni,
 Potrwasz dopóty, aż ta wszystkim znana
 Rzecz, dojdzie wreszcie aż do uszu pana,
 Który ostatni swój się hańby dowie—
 To zaś nie może człeku wyjść na zdrowie.
 A wreszcie, jak sam zechcesz, króluj sobie
 W téj panowania twego krótkiej dobie—
 Czy tak, czy owak, zawsze skończysz na tém,
 Ze się twój piękny ugnie kark przed katem.

— Jakże? Więc o nic błagać nie należy?—
 — Tak sądzę. Dobrze zrobisz, gdy najszczerzej
 Zaufasz bogom w rzeczy téj wyborze,
 Która ci trwałe szczęście przynieść może.
 Oui nam, z darów, co pod ich są władzą,
 Zamiast przyjemnych, pożyteczne dadzą,
 Gdyż przekonanie silne mam, że w niebie
 Lepiej kochają człeka, niż on siebie.
 I tak; popędem ślepych żądz wiedziony
 Człek najmądrzejszy, życzy sobie żony,
 By pożądaną z niej się cieszył dźwiatwą,
 Lecz tylko bogom jednym wiedzieć łatwo:
 Co będzie warta żona ta, i jakiej
 Wartości także będą twe dzieciaki?

Jednak, jeżeli w sobie już ponętę
 Konieczną czujesz błagać Niebios łaski,
 Na to, byś flaki zwierząt im, lub święte
 Z białego wieprzka dawać mógł kiełbaski,
 To proś, by, godną ofiar twych wymianą,
 Zdrową ci duszę w zdrowém ciele dano.
 Więc umysł mężny—więc i bez obawy
 Śmierci, za którą owszem człowiek prawy
 Przyrodzie wdzięczność winien mieć—więc siłę.
 Co przeciwnościom twardo dotrwać zdoła—
 Więc—izbyś nie znał co jest gniew, i zgoła
 Niczego nie chciał co z pozoru mite—
 I niż w pierzynie Sardanapalowej
 Gnić w pośród kobiet oraz uczt sromoty,
 Wolał, wysiłkiem serca tudzież głowy;
 Spełniać wielkiego Herkula roboty.

To wszystko sobie sam dasz z własnej chęci—
Gdyz tylko w cnocie szczęście się tu święci.

Więc ty, Fortuno! któraś jest głupotą
Ludzką wszechmądra, chciój posłuchać oto:
Ani byś istnieć mogła z siebie saméj!—
Bo my jedynie własną cię pomocą
Bóstwem robimy, i nie wiedzieć po co
Ni ztąd, ni zowąd w niebie umieszczamy!—

NOWE PRZEPISY EGZAMINACYJNE

DLA KANDYDATÓW NA NAUCZYCIELI SZKÓŁ ŚREDNICH W AUSTRYI *).

W grupach matematyczno-przyrodniczych zaszyły o tyle zmiany i podwyższenia lub zrównania wymagań, o ile to postęp tych nauk, ustanowienie jednej komisji egzaminacyjnej dla kandydatów szkół realnych i gimnazjalnych i postawienie jednego celu w tych przedmiotach obu szkołom za sobą pociągnąć musiało. A najpierw ilość grup i ich dowolność usunięto. Kandydat tych przedmiotów do szkół realnych mógł sobie (podług § 5 dawnych przepisów) matematykę, geometryą wykreślną z rysunkiem geometrycznym, fizykę z teoretyczną, nauki przyrodnicze opisowe, i chemią dowolnie łączyć, byle tylko w jednym z nich udowodnił wiadomości, potrzebne dla nauczyciela udzielającego w wyższych klasach, a w drugim przynajmniej na klasy niższe. Ztąd to podobnie jak w grupie językowej można było spotkać nauczyciela ukwalifikowanego jednocześnie do nauczania języka wykładowego i matematyki, lub fizyki, lub nauk przyrodniczych opisowych tak i tu z mniejszym tylko brakiem uwzględnienia powinowactwa przedmiotów spotkać można było nauczyciela ukwalifikowanego do nauczania matematyki na wyższe, chemii na niższe klasy, lub chemii na wyższe a nauk przyrodniczych opisowych na niższe, albo geometrii wykreślniej na wyższe a nauk przyrodniczych lub chemii na wyższe klasy itp. kombinacyi, bo na to wszystko przepisy dozwalały.

Nowe przepisy, pozostawiając dawne zestawienie matematyki z fizyką, jako przedmiotów głównych na całe gimnazjum i nauk przyrodniczych opisowych na wyższe, z matematyką i fizyką na niższe klasy, róższerzają ich walor i na szkoły realne, a oprócz tego stanowią dla tych ostatnich następujące grupy: 1) matematykę jako przedmiot główny a geometryą wykreślną lub z rysunkami geometrycznymi i fizyką, jako przedmiotami pobocznymi (a więc 2 kombinacje); 2) historią naturalną i chemią ze sobą jako przedmioty główne, albo jeden

*) Dokończenie — patrz zeszyt za lipiec r. b.

z nich jako przedmiot główny w połączeniu z dwoma przedmiotami pobocznymi, jako to: matematyką, fizyką, chemią, historią naturalną i geografją, z czego po odrzuceniu grupy HNmf. (hist. nat. jako przedmiot gł. a mat. i fiz. jako poboczne) wspólniej szkołom gimn. i realnym, pozostanie jeszcze wprawdzie wielka dowolność wyboru, bo aż w 11 możliwych kombinacjach, ale zawsze taką, że obok hist. naturalnej będzie matematyka, fizyka, chemia, geografia, a obok chemii, matematyka, fizyka, hist. naturalna, geografia, które w ścisłym ze sobą pozostają związku. Geometrii wykreślnej lub rysunku geometrycznego z hist. naturalną lub chemią już tu nie spotkamy, bo te mogą się tylko łączyć z matematyką jako przedmiotem głównym.

Jak w powyższych, tak i w tych grupach wymagania podniesiono. W matematyce jako przedmiocie głównym żąda się od kandydata już nietylko znajomości matematyki elementarnej i takiej znajomości rachunku różniczkowego i całkowego, jakiej potrzeba do zastosowania w fizyce i zrozumienia matematycznych fachów ale „znajomości arytmetyki ogólnej, geometrii syntetycznej i analitycznej, rachunku różniczkowego i całkowego itd. zastosowania do geometrii; nadto początków rachunku przemienności (waryacyjnego) i zaznajomienia się z zasadami nowszej teorii funkcji.“ W fizyce oprócz znajomości głównych faktów na podstawie matematycznej i doświadczalnej, musi znać kandydat i „metody fizyki doświadczalnej“, musi wykazać „znajomość zasad mechaniki analitycznej i zasadnicze zrozumienie innych działów fizyki matematycznej, jakoteż zdolność zastosowania tych zasad do rozwiązania łatwiejszych zadań.“ Znajomość głównych zasad chemii, astronomii i geografii matematycznej pozostaje ta sama, co dawniej, ale oprócz teorii ma kandydat wykazać się z praktycznego zajęcia w pracowni fizycznej co najmniej przez dwa półrocza, w pracowni chemicznej przez jedno półrocze.“ Ta tylko obecnie w przepisach zaszła zmiana, że od szczegółowego egzaminu z tamtych przedmiotów może być kandydat uwolniony, „jeżeli przedłoży pomyślne świadectwa z kollokwium, którym się właśnie w tym celu poddał: Wynik zaś zajęcia w pracowni należy udowodnić świadectwami przełożonego, lub przedłożeniem dziennika pracowni.“ Ważnym dodatkiem przepisów jest ostatni ustęp, aby kandydat okazał „dokładniejszą znajomość używania i konserwowania przyrządów, oraz najlepszych metod demonstracyj“ — z uwagi, że fachowemu nauczycielowi matematyki i fizyki przypada zwykle urządzenie gabinetu fizykalnego, który dla nauczania tego przedmiotu w szkołach średnich jest niezmiernie ważny.

W chemii, która jako przedmiot specjalny, tylko w realnych szkołach bywa wykładana, wymagania o tyle tylko podwyższone, że przepis żąda od kandydata „znajomości nowszych teorii chemicznych łącznie z teorią elektro-chemiczną Berzeliusza.“ Zresztą przykładą się tu znaczną wagę do wprawy praktycznej i zastosowania w fabrykacji, handlu i przemyśle. Kandydat musi praktycznie w pracowni poczynić próbne doświadczenia.

Postęp nauk przyrodniczych w ostatnich lat dziesiątkach, rozciągający się na wszystkie ich działy, musiał spowodować i zmianę wymagań stawianych kandydatowi przy egzaminie nauczycielskim. „Znajomość utworów przyrody ważniejszych pod względem praktycznym, szczególnie posiadających pewne właściwości i często się pojawiających, ich rozpoznanie i oznaczenie“ nie może obecnie już wystarczyć; kandydat, podług nowego przepisu, musi posiadać „gruntowną znajomość najważniejszych faktów z morfologii, anatomii, fizjologii i paleontologii roślin i zwierząt i ich geograficzne rozpostarcie,“ musi posiadać „znajomość układów przyrodniczych powszechnie uznanych,“ „faktów z morfologii i fizjologii minerałów, i znajomości nauki o budowie i o przemianie skorupy ziemskiej.“ Rozległość tych nauk czyni niemożliwem posiadanie gruntowne wszystkich działów; ztąd też przepis nowy żąda „obszerniejszych wiadomości, gruntownych studyów i praktycznego zajęcia w jakim instytucie, przynajmniej w jednym z tych trzech działów;“—w pozostałych zaś powinien się praktycznie ćwiczyć przynajmniej przez jedno półrocze.

W geometryi wykreślnej, którą niniejszy przepis ściślej z geometryą łączy, są wymagania umiejętnie sformułowane, ze szczególnem uwzględnieniem konstrukcyjnych, praktycznych przedmiotów politechniki. „Dowód pewności i wprawy w rysunku konstrukcyjnym ma kandydat złożyć częścią za pomocą świadectw szkoły politechnicznej, częścią za pomocą uwierzytelnionych samoistnie wykonanych rysunków z geometryi wykreślnej.“ Te ostatnie są nauczycielowi niezbędnie potrzebne, aby na ich podstawie mógł dojść do teoretycznej znajomości metod i praw geometrycznych, aby w następstwie tego umiał istotne tylko rzeczy wybrać i przedstawić uczniom i tym sposobem ograniczając przedmiot umożliwi jego zrozumienie uczniom.

Stajemy nakoniec przed propedeutyką filozoficzną. Że nauka ta w gimnazyum a szczególnie w ostatnim roku jest koniecznie potrzebną, o tém w najkompetentniejszych kołach nigdy nie wątpiono. Wszystka bowiem wiedza, jaką uczeń w drobnych atomach przez przeciąg lat ośmiu sobie przyswoił, potrzebuje teraz koniecznie skoncentrowania, które jej tylko dać może nauka zajmująca się samą czynnością duszy. To zadanie spełnia logika i psychologia.

Z tego wysokiego ich zadania wynika zarazem trudność nauki a w ślad za tém trudny wybór nauczyciela, któryby z zamiłowaniem przedmiotu a odpowiedniem do niego wykształceniem i przygotowaniem uczynił naukę tém, czém być powinna. Przepis dotychczasowy łączył ten przedmiot jako główny, albo z filologią klasyczną, albo z historią i geografją, albo nakoniec z matematyką i fizyką, z których uzdolnienie do nauczania w obec filozofii potrzeba było mieć tylko na niższe gimnazyum. Przepis ten atoli nie wydał pożądaných owoców; kandydatów, zgłaszających się do egzaminu z téj grupy przedmiotów, było coraz mniej (jedna bowiem tego rodzaju usta-

wiona posada przy gimnazyum, przedstawiała nieświatne widoki) i filozofia zeszała na to, że ją sobie obierali za przedmiot do uzupełnienia ci filologowie, którzy wymaganiami z filologii na całe gimnazyum nigdyby zadostyć uczynić nie mogli, skoro na niższe po dwakroć lub po trzykroć do egzaminu siadali. Ztąd téż poszło, że w ostatnich czasach, nawet na tego rodzaju posady konkursów nie rozpisywano; jeśli się znalazł przy gimnazyum jaki doktor filozofii, wkładano nań ten obowiązek, jeśli nie, oddawano to w ręce ochotnika lub sam dyrektor nauczania się podejmował.

Powód więc braku kandydatów do nauczania propedeutyki nie leży w zmniejszeniu się interesu dla filozofii, ale w matych, jak to widzieliśmy, widokach.

Nowy przepis, wykluczając stanowczo możliwość kombinacji historyi powszechnéj z filozofią, łączy ją tylko z filologią klasyczną lub matematyką i fizyką, przy czém podnosi wymagania w tych przedmiotach pobocznych, żądając w filologii kwalifikacyi na całe gimnazyum z języka greckiego, a w grupie matematycznej z matematyki. „Nowe to wymaganie — mówią motywa rządowe — okazuje się tak pod względem rzeczy jak pod względem pedagogicznym uzasadnioném, raz dlatego, że ma na oku badanie źródeł greckiej filozofii, powtóre, że nadaje nauczycielowi silniejsze stanowisko w wyższém gimnazyum.”

„Od kandydatów — mówi Nowy przepis — którzy mają uczyć filozofii, wymagać należy zaznajomienia się z głównymi zagadnieniami filozofii i ich historycznym źródłem w ogóle; dalej znajomości jakiegoś wybitnego systemu filozoficznego na podstawie studyów dzieł głównych któregośkolwiek z filozofów nowszych czasów (np. Descartes, Leibnitz, Locke, Hume, Kant). Oprócz tego winni oni co do przedmiotów propedeutycznych (psychologii empirycznej i logiki), wykazać umiejętne owładnięcie takowych, oraz udowodnić zdolność jasnego i zrozumiałego rozwinięcia najważniejszych ich punktów w celu nauczania.”

Jakie to mają być owe „główne zagadnienia” filozoficzne o stosunku do niezuanych p o b o c z n y c h, dlaczego kandydat ma być zdolnym do rozwinięcia tylko „najważniejszych punktów” logiki i psychologii — a mniej ważnych niezrozumieć? — oto pytania, które się nasunęły d-wi Vogtowi (prof. filozofii i pedagogiki w uniwersytecie wiedeńskim) i które w rzeczy samej każdemu przy tym przedmiocie nasunąć się muszą. To téż prof. dr. Vogt nazywa ten przepis, skoro dowolność dopuszcza, nieprawem i przepisem zbytecznym, a nawet szkodliwym ¹⁾, zwłaszcza, jeśli zważymy, że nauczyciel psychologii rozumiejąc tylko „najwyraźniejsze jój punkta,” nie potrafi wybrnąć z chaosu, jaki obecnie wskutek rozwoju nauk przyrodniczych, do teoryi téj nauki się wcisnął i zamiast podać uczniom prawdy i unormować myślenie, stanie się apostołem doktryny i wzniesi zamęt i sceptycyzm.

¹⁾ Dr. Th. Voigt: Das pädagogische Universitäts-Seminar... Leipzig 1884. str. 10 i 11.

Na tém kończymy przegląd wymagań, stawianych kandydatom w poszczególnych przedmiotach grup naukowych. O nauczaniu religii, rysunków, śpiewu i gimnastyki, nie mówi nowy przepis, odwołując się tylko (w art. I, 2, 3), na osobne do tych przedmiotów istniejące normy.

3. *Forma egzaminu, czas jego trwania i podział.*

Kandydat, który sobie obrał pewną grupę przedmiotów egzaminu na podstawie swych studyów uniwersyteckich, w tych przedmiotach podług wymagań w ustępie drugim przedstawionych, należyte osiągnął przygotowanie, a więc spełnił obok innych warunków główny przypuszczenia go do egzaminu (ustęp pierwszy niniejszej pracy), ma przed sobą trzy stadya, trzy stopnie, na które wkraczając z osobna, stanąć może u celu upragnionego.

Pierwsze stadyum stanowią wypracowania domowe piśmienne; „powinny one obejmować szczegółowe przedmioty egzaminu w ten sposób, iżby kandydat mógł udowodnić zdolności do pracy umiejętnej i gruntowności swych wiadomości zawodowych (art. XIX, 1). W tym celu otrzymują kandydaci wszystkich fachów „temat treści ogólniejszej filozoficznej, pedagogicznej lub dydaktycznej“ — „aby mieć sposobność udowodnić nabyte wykształcenie filozoficzne, a z drugiej strony okazać jasne pojmowanie związku swoich przedmiotów z zadaniem ogólnego wykształcenia i zastanowienie się skuteczne nad ich traktowaniem w nauce szkolnej.“ Następnie otrzymuje z przedmiotu głównego jedno zadanie i z przedmiotów pobocznych do jednej grupy należących także jedno—razem z dydaktycznym tedy zadań trzy. I tak np. kandydat, chcący uzyskać kwalifikacyą do nauczania języka niemieckiego w całym, a filologii klasycznej w niższym gimnazjum, otrzymuje temat niemiecki, temat grecki do opracowania po łacinie i temat dydaktyczny. W grupie filozofii z filologią lub matematyką, albo w grupach języków nowożytnych wypadnie podług powyższej zasady zadań cztery: np. z języka francuzkiego, angielskiego, niemieckiego i dydaktyki lub z filozofii, matematyki, fizyki i dydaktyki.

Na tym punkcie musimy zaznaczyć różnicę i postępowanie nowego przepisu w stosunku do dawnych, podług których kandydat wskutek składu swęj grupy nawet 5 (!) tematów do opracowania domowego otrzymywał. Działo się to zwłaszcza w grupie języka krajowego (w Galicyi polskiego) z filologią klasyczną, przy której kandydat otrzymywał wypracowanie np. z języka polskiego, łacińskiego, greckiego, niemieckiego i dydaktyki, albo w grupie nauk przyrodniczych, gdzie zwykle otrzymywano temata z dwu nauk opisowych, z matematyki, fizyki i dydaktyki. Kandydat, który się na taką grupę przedmiotów odważył, otrzymawszy temata, nie wiedział, którego się jąć pierwęj, zwłaszcza, że termin oddania tych wszystkich wypracowań, wyznaczano po 12 tygodniach (!) od dnia otrzymania tematów; wprawdzie mógł

on być na prośbę przedłużany, ale zawsze to krępowało ochotę do pracy kandydata, który może jako suplent przy gimnazyum zajęty, ledwo miał czas w tym terminie rozpatrzyć się w temacie i środki pomocnicze do jego opracowania zgromadzić.

Regulamin pruski poleca przy wyborze tematów do wypracowań domowych uwzględnienie studyów lub życzeń kandydata, jeżeli to z celem egzaminu da się pogodzić; jeżeli nie, poleca przynajmniej kilka tematów dać mu do wyboru. W obec tego ułatwienia i w obec faktu, że kandydat ma najwięcej 3 zadania, stawia mu przecież ten regulamin termin 6 miesięcy, który na skutek umotywowanej prośby do roku może być przedłużony. Nowy przepis austr., nie idąc za pierwszym, poszedł przynajmniej za drugim, chociaż zadaleko i stanowi dla opracowania każdego zadania przeciąg czasu trzech miesięczny, wskutek czego zwykłym terminem jest 9 miesięcy; termin ten może być nawet jeszcze o drugi raz tyle posuniętym t. j. o 18 miesięcy a nawet z pozwoleniem ministra jeszcze nad to o 2, 3, 4 lub więcej miesięcy przedłużony.

W tém nieograniczonym przedłużaniu terminu widzimy tylko popieranie nieograniczonych i niczém nie krępowanych tematów, jakie egzaminatorowie zadają; cóż to będą w przyszłości za temata, jeżeli obecnie dawali egzaminatorowie kandydatom do rozstrzygnięcia w przeciągu kilku tygodni kwestye, jakich oni sami w przeciągu miesięcy jeżeli już nie lat, rozwiązać nie mogli. Czyż więc tego rodzaju temata mogą służyć za podstawę do ocenienia zdolności egzaminanda kandydata skromnego urzędu nauczycielskiego przy szkole średniej?

Na czele wypracowania i w toku rzeczy ma kandydat uwydatnić, o ile korzystał ze środków pomocniczych literackich, na końcu zaś ma położyć „piśmienne oświadczenie, że złożone wypracowanie jest jego własną pracą, i że prócz wskazanych źródeł i środków pomocniczych nie posługiwał się niczém inném (Art. XIX, 5) Kandydaci, którzy osiągnęli stopień doktora filozofii, przedewszystkiem na uniwersytetach krajowych, lub którzy byli już czynni na polu literacko-naukowym, mogą przyjęte lub drukowane prace do życiorysu dołączyć, a komisyja egzaminacyjna może je przyjąć za wypracowanie domowe szczególnie z tego przedmiotu, z którego treść pracy wyjęta. Jeżeli komisyja téj pracy nie przyjmie, wolno jéj obstawać przy wymaganiach prawem przepisanych. (Art. XIX, 6).

Opracowane i przesłane komisyi temata wręcza Dyrektor fachowym egzaminatorom, którzy je oceniają, bacząc nietylko na samodzielność i fachową gruntowność, ale na jasność myśli i stylistyczną poprawność. Do oceny dodaje egzaminator wyraźną uwagę, czy praca oceniona „wystarcza do dalszego ciągu egzaminu w zakresie przy zgłoszeniu się zamierzonym“ tj. czy praca up. w przedmiocie głównym wystarcza lub tylko do pobocznego przedmiotu przyjętą być może.

Jeżeli oceniający zadanie pedagogiczno-dydaktyczne uzna za stosowne lub potrzebne, może sobie zastrzedz w dodatku do piśmiennej oceny omówienie go przy egzaminie ustnym, o czém kandydata przy

wezwanu do wypracowań pod nadzorem ma się uwiadamiać. Ma to być poniekąd kompensata dla tych profesorów filozofii i pedagogiki, którzy się domagali egzaminu ustnego z historii pedagogiki, historii szkół i ustawodawstwa szkolnego. Czy atoli takie przygodne omawianie wypracowania, bez prawnego skutku i wpływu na egzamin, czy kandydat dał odpowiedzi dostateczne lub nie—może być kompensatą egzaminu—wątpić należy. Półśrodkami nigdy nie osiąga się celu—forma nie zastąpi rzeczy.

Niedostateczne opracowanie części prac domowych nie pociąga za sobą zupełnej reprobacyi, jeżeli komisya dostateczne wypracowania przyjinie. Jeżeli zaś wszystkie wypracowania dały tylko dowód, że kandydat nieprzysposobiony należyce do egzaminu, wtedy komisya zawiadamia jego i wszystkie w państwie komisye egzaminacyjne o reprobacyi.

Kandydat, którego prace przyjęto wstępnie w drugie stadyum egzaminu; na piśmienne wezwanie komisyi stanąć musi najdalej w przeciągu dwu lat od czasu przyjęcia prac, do zadań piśmiennych pod nadzorem. Czy podobne ryczałtowe poddawanie kandydatów egzaminowi pod nadzorem, bez względu na potrzebę i uznanie komisyi na podstawie wypracowań domowych, opiera się na słusznej i racjonalnej zasadzie, nie chcemy wyrokować, ale że ono przysparza egzaminatorom pracy a nie zawsze daje w rezultacie pożądany obraz bystrzej i pewniej wiedzy kandydata, że jego zaś nawet obok świadomości sumiennej pracy i poczucia honoru zmusza nieraz do używania wzbронionych środków pomocniczych—to pewna rzecz i znana. Bo jeśli do wypracowań domowych żądaliśmy tematu w pewne granice ujmującego przedmiot i stawiającego kwestyą jasno, to tém oględniejszego wyboru potrzeba tutaj, aby nie przekroczyć granicy tego, co kandydat bez wszelkich środków napisać jest w stanie. Surowszy, nierównie wyższe wymagania stawiający, ale więcej wyrozumiący regulamin pruski ogranicza ten egzamin do przekładów językowych i rozwiązywania zagadnień matematycznych; przepis austriacki pozostawia to woli Komisyi, których członkowie nieraz bardzo młodzi, bodaj nie młodszy od kandydatów samych, nie mając należytego pojęcia o celu i drogach egzaminu, zadają temata do rozpraw a nie do krótkiego opracowania w oznaczonych godzinach i bez wszelkich środków.

Liczba wypracowań pod nadzorem stosuje się do ilości przedmiotów grupy obranej. W grupie historycznej osobno pracuje kandydat nad tematem z historii austriackiej i osobno z historii powszechniej; w przyrodniczej z tych dziedzin nauki opisowej, których w domowym zadaniu nie opracowywał. Kandydat chemii dokonywa rozbioru chemicznego pod nadzorem, filolog ma jeden temat opracować w języku łecińskim.

Ponieważ dawna praktyka, podług której kandydaci tak długo bez przerwy (najwięcej atoli 12 godzin) pracować mieli pod nadzorem, aż gotowe oddali wypracowania, okazała się dla ścisłego nadzoru nieprzychylną, bo umożliwiawała podczas przestanków dla posiłku używanie

rozmaitych wzbronionych środków, nowy przepis przeznaczają dla wypracowania z przedmiotu głównego 10 godzin z przerwą dwugodzinną po 5 godzinach, a 5 godzin dla wypracowania z przedmiotu pobocznego. Wypracowanie więc z przedmiotu głównego ma dwie części, z których każda na osobny temat opracowana tworzy dla siebie całość. Ilu kandydatów ma razem pracować, zależy od uznania komisji.

Kryteria oceny tych wypracowań są te same co przy wypracowaniach domowych, tylko przepis na usterki stylistyczne względny być poleca. Oceniający egzaminator udziela dyrektorowi swój opinii o wypracowaniu jeszcze przed terminem egzaminu ustnego. Jeżeli kandydat opracował dane temata w sposób niedostateczny, musi ponownie zgłaszać się do egzaminu, i tylko w wyjątkowych razach nie potrzebuje powtarzać wypracowań domowych; jeżeli zaś szczęśliwie przepłynął Scyllę i Charybdę, staje przy trzecim i ostatnim stadium — przy egzaminie ustnym.

Powyżej już naszkicowaliśmy wymagania i grupy przedmiotów, stanowiących przedmiot egzaminu; mówić przeto o treści egzaminu ustnego, byłoby zbyt cennym. Zajmiemy się atoli na chwilę jego stroną formalną.

W pierwszym rzędzie nasuwa się pytanie kiedy i w jakiej formie odbywa się egzamin ustny? Kiedy — nie mówią nowe przepisy zupełnie; podług dotychczasowej praktyki ustanawiano dwa terminy w roku — w drugiej połowie maja i w drugiej połowie listopada. Na tento czas ma komisja wzywać wszystkich kandydatów do egzaminu piśmiennego pod nadzorem; w dwa lub trzy dni po jego ukończeniu rozpoczyna się egzamin ustny, podług listy złożonej przez sekretarza komisji. „Wolno jest komisji odbywać naraz egzamin ustny z dwoma kandydatami, ale tylko wtedy, jeżeli ubiegają się o uzdolnienie do nauczania w jednym i tym samym zakresie nauki. Atoli gdzie tylko można, należy kandydatów pojedynczo egzaminować.“ I w rzeczy samej, nawet obszar lokalu nie pozwala zwykle jednocześnie więcej niż jednego egzaminować kandydata. Egzamin cały trwa 4—5 godzin, z których na przedmioty główne przypada po 1½ godziny, na poboczne po trzy kwadransy.

Dotychczas obecnymi bywali przy egzaminie: dyrektor komisji i egzaminatorowie, publiczności wstępu nie dozwolano. Nowy przepis stanowi w tej mierze, że „komisji wolno odbywać egzamin publicznie, wszelako wstęp dozwolonym będzie tylko za kartą, wydaną na nazwisko petenta przez dyrektora komisji“ (art. XXI, 5). I słuszna. Jeżeli bowiem nie było powodów otaczać się tajemnicą, to z drugiej strony potrzeba było zapobiedz wciśnięciu się niepowołanych, którzyby potem ujemne strony odpowiedzi kandydata czynili przedmiotem publicznych dysput.

Egzaminatorami są fachowi członkowie komisji; jeżeli który zastąpi, egzaminuje członek komisji najbliższego fachu. Oprócz

przedmiotów grupy obranej, jest przedmiotem egzaminu dla każdego kandydata język niemiecki i język wykładowy (gdzie nim nie jest język niemiecki); dla filologów: historia grecka i rzymska, dla historyków i filologów nowożytnych: język niemiecki i polski, filologia klasyczna w szczerpym zakresie gramatycznej pewności i przekładu ustępów z klasyków, nie zawierających szczególnych trudności.

Komisya uważa kandydata wtedy za uzdatnionego, (na posiedzeniu gremialnie odbytém) jeżeli w zupełności wymaganiom przepisany uczynił zadość; główne wotum stanowi głos fachowego egzaminatora; — w razie równości głosów rozstrzyga dyrektor. Nawet znakomite wiadomości w jednym przedmiocie nie mogą kompensować niedostatków innego przedmiotu (art. XXII, 1). Orzeczenie ogólne z motywami dołącza się do protokołu spisanego z egzaminu ustnego i ogłasza się kandydatowi zaraz po zapadnięciu uchwały.

Jeżeli kandydat w zupełności nie odpowiedział wymaganiom, tak, że nawet komisya nie mogła powziąć nadziei, aby kiedy mógł braki wypełnić, wtedy nie pozwala się mu nawet powtórzyć później egzaminu; jeżeli zaś braki są mniejsze, wyznacza do powtórzenia egzaminu termin roczny, lub w wyjątkowych wypadkach uwzględnienia godnych, półroczny. Zarazem orzeka komisya, czy kandydat ma powtarzać egzamin od pierwszego stadyum i czy ze wszystkich przedmiotów swęj grupy; od egzaminu atoli piśmiennego, pod nadzorem i od ustnego uwolnienie jest niemożliwe. Braki w przedmiotach dodatkowych, o których powyżej mowa była, nie pociągają za sobą powtórzenia całego egzaminu, ale sprowadzają zawieszenie ostatecznego wyroku o kandydacie i zatrzymanie mu świadectwa dopóki braków nie wyrówna. Termin powtórzenia jest zwykle dwu, lub kilkomiesięczny.

Jeżeli przy powtarzaniu egzaminu kandydat znowu przepadnie, musi prosić o pozwolenie składania jeszcze raz egzaminu samo ministerium oświaty. Trzeci raz poprawiać egzaminu nie wolno.

Kandydatom wszystkich grup, prócz matematyki z fizyką lub geometryą wykreślną, może komisya po przyjęciu zadań pozwolić na podział egzaminu w ten sposób, że najpierw składają go z przedmiotów pobocznych a potem z głównych, lub najpierw z jednego, potem z drugiego przedmiotu głównego, atoli w obrębie czasu dozwolonego (2 lata). Zgłaszać się do egzaminu do niższego gimnazjum nie można, bo się tematów do wypracowań piśmiennych na takim stopniu nie otrzymuje; tylko w orzeczeniu komisji o całym egzaminie, wolno jęj przyznać kandydatowi tylko facultetem docendi w klasach niższych. Przepis ten zmierza do usunięcia tych kolizyj, w jakie władze szkolne popadały w obec kandydatów, którzy jako zastępcy nauczycieli czynni przy gimnazyjach, po pomyślném złożeniu egzaminu na niższe gimnazjum, według dotychczasowych przepisów, uzupełnienie jego ad calendarum graecas z różnych przyczyn odkładali.

4. Świadectwo i jego znaczenie.

Na podstawie protokołu i innych aktów egzaminowych wydaje komisya kandydatowi świadectwo, zawierające zupełne jego nationale i studia, dalej wyszczególnienie przedmiotów wypracowań domowych i pod nadzorem, następnie całego egzaminu ustnego i przy każdym orzeczenie o wyniku, nakoniec sąd ogólny. Jeżeli kandydat, uznany za uzdatnionego, wyszczególnione być musi, jakich przedmiotów, w których klasach i w jakim języku wykładowym udzielać może.

Stopni świadectwa, jak to w używaniu w Prusiech, austriackie ustawy egzaminacyjne nie znają; nawet wszelkich dodatków do ogólnego sądu, ograniczających go lub wzmacniających i podnoszących, przepis wręcz zabrania, odwołując się na to, że w osnowie świadectwa jest już uwidoczniiony stopień uzdolnienia kandydata.

Świadectwo to powinien podpisać dyrektor komisji i egzaminatorowie głównych przedmiotów; dotychczas podpisywali je wszyscy członkowie komisji.

W świadectwie reprobowanego kandydata uwydatnionóm być ma, na jak długo reprobacya moc zachowuje, jeżeli nazawsze, należy to wyraźnie położyć (art. XXIII, 1).

Jeżeli kandydat w całości wypełnił wymagania przepisu, świadectwo otwiera mu drogę w pierwszym rzędzie do starania się o pozwolenie odbycia roku próby, w drugim o posadę rzeczywistego nauczyciela w szkole średniej. Naturalnie, że kandydat, który już lat parę w zawodzie nauczycielskim jako zastępca jest czynny, roku próby odbywać nie potrzebuje; o posadę zaś wtedy tylko prosić może, jeżeli konkurs rozpisany.

Gorsze położenie jest tych kandydatów, którzy nawet po złożeniu egzaminu i odbyciu roku próby, nie mogąc osiągnąć posady nawet zastępcy nauczyciela, zmuszeni są szukać utrzymania w t. zw. guwernerkach, jeżeli nie chcą aplikować po lat kilka bezpłatnie, mrąc z głodu. Szczęśliwy, któremu los nadarzył sposobność otrzymania takiej guwernerki lub lekcyi prywatnych w miejscu, ale jeśli musi wyjechać na wieś i praktykę przerwać, powinien się dobrze rachować z czasem, aby nie minęło lat kilka, a on potem nie był zmuszony egzaminu powtarzać.

Przepis bowiem wyraźnie stanowi, że „świadectwo traci moc prawną, jeżeli kandydat w ciągu następnych lat pięciu nie wstąpił do praktyki na próbę, tudzież, jeżeli czynność jego nauczycielska w szkole publicznej doznała przerwy więcej niż przez lat pięć“ (art. XXIV, 2). I tu postępek wielki w stosunku do przepisu dawnego, który czas ten tylko na lat trzy ograniczał. Dziś bowiem w obec zmiany stosunków, mogłoby się wnet znaleźć wielu takich, którzyby egzamin powtarzać musieli, osobliwie między historykami i matematykami! Pruski regulamin jest w tym względzie prawie ostrzejszy, bo, jakkolwiek liczby

lat nie oznacza, pozwala kolegium szkolnemu prowincjonalnemu zmuszać do egzaminu uzupełniającego tych nauczycieli nawet, którzy, starając się o posadę nauczyciela starszego, przez dłuższy czas od egzaminu w wyższych klasach nie uczyli.

Jeżeli atoli interesowany udowodni przed komisją egzaminacyjną, że w czasie przerwy pracował na polu umiejętności lub dydaktyki, wtedy ona może uznać świadectwo i nadal za ważne; jeżeli je zaś odrzuci, może kandydata, ubiegającego się jeszcze o świadectwo, uwolnić od domowych wypracowań, ale nigdy od wypracowań pod klauzurą lub ustnego egzaminu.

5. *Rok praktyki próbnej.*

„Po złożeniu egzaminu powinien każdy kandydat postarać się o zajęcie przez jeden rok w gimnazyum lub szkole realnej w celu wyrobienia praktycznego swych zdolności nauczycielskich.“ Tak opiewa nowych przepisów art. XXV, punkt 1, nie różniąc się w tém określeniu od przepisu dawnego; podobnie rzecz się ma i z określeniem, że kandydatowi stoi wolny wybór prowincyi, ale władza szkolna przeznacza mu zakład.

Podług dotychczasowych przepisów atoli, o ile one w praktyce zastosowanie mieć mogły, kandydat stawał pod opieką dyrektora, który mu podług jego kwalifikacyi i z uwzględnieniem potrzeb zakładu wyznaczał przedmioty i klasy do nauczania; zaznajamiał go z celem nauki w téj klasie i wymaganiami, jakie uczuom na tym stopniu stawiać można, dalej z prawami szkolnemi i przepisami karności. W wyznaczonych mu godzinach (najwięcej 6 tygodniowo w 1 lub 2 klasach) uczył wprawdzie kandydat samodzielnie, ale pod ciągłą kontrolą dyrektora i gospodarza klasy, do których wskazówek miał się ściśle stosowywać. Osobliwie w początkach miała być ta kontrola częstą, ze szczególném uwzględnieniem braków kandydata; później, jeżeli kandydat okazał zdolności, a w razie choroby którego z nauczycieli zastępstwo było konieczne, powierzano kandydatowi samodzielną naukę nawet w kilku klasach. Oprócz tego hospitowanie godzin nauczycieli tego samego fachu i doświadczonych w swym zawodzie, miało stanowić drugi czynnik wykształcenia się kandydata.

Nowe przepisy polecają każdego, a co najwyżej dwu kandydatów przydzielić fachowemu nauczycielowi „pod szczególny fachowy kierunek.“ W pierwszym półroczu hospituje kandydat tylko jego godziny i innych nauczycieli, a potem dopiero pod nadzorem profesora fachowego w pewnych godzinach sam uczy podług wskazówek profesora. „Nasuujące się objawy życia szkolnego, to co na lekcjach traktowano lub co się ma traktować, metodyczne obrabianie poszczególnych rozdziałów przedmiotu ze względu na stopień nauki, rozdział całego zadania nauki, odpowiadający planowi nauk i czasowi, zakładanie i utrzymywanie zbiorów środków naukowych, karność szkolna,

literatura szkolna przedmiotu, uwagi godne rozprawy pedagogiczno-dydaktyczne, szczególnie plan organizacyjny szkół średnich i t. p. do rzeczy należące kwestye, stanowią poza lekcjami w szkole w obu półroczach przedmiot częścią okolicznościowych, częścią regularnych, np. tygodniowych pogadarek między profesorem a kandydatem, stosownie zaś do okoliczności, mogą być także tematem do opracowań piśmiennych.“

Może nawet kandydat uczyć w drugim półroczu samodzielnie, ale nie bez kontroli, osobiwie przy klasyfikacji, aby w ocenie zachować harmonię z pierwszym półroczem. Nastąpi to tylko wtedy, jeżeli rozdzielenie przedmiotu jest możebnym; inaczej kandydat i w drugim półroczu pozostaje na tym stopniu jak w pierwszym. Dyrektor ma od czasu do czasu przekonywać się o przysposobieniu kandydata i o należytem instruowaniu go przez profesora.

Od dawnego do nowego przepisu postęp widoczny, szczególnie w oddaniu kandydata pod opiekę fachowego nauczyciela, w konferencyach i pogadankach, których przedmiotem mają być albo bieżące, albo ogólne kwestye pedagogiczno-dydaktyczne; użycie ich nawet do wypracowania piśmiennego, może być bardzo korzystnym.

Wszystek ten postęp atoli nosi na sobie cechy połowiczności, czegoś, co ma mieć charakter seminaryum pedagogicznego, ale niemi nie jest.

Kandydata po egzaminie, w którym tylko swą wiedzę fachową miał okazać, bo ogólnego wykształcenia filozoficzno-pedagogicznego, nie wiele mu potrzeba było do wypracowania domowego z tego przedmiotu — kandydata takiego z teorią fachową, ale małą a najczęściej żadną pedagogiczną, oddać na praktykę, to znaczy oddać go na pastwę naśladowania metody drugiego, albo, powiedzmy otwarcie, rutyny, którą sobie w większej lub mniejszej mierze ma przyswoić. Przepisy nowe w obec dawnych, stanowią w tej mierze rzekomy tylko postęp: bo, czy kandydat pod kierunkiem dyrektora, czy fachowego jakiego starszego nauczyciela rok ten przepędzi, nie wielką z niego wyniesie korzyść. Między nauczycielami szkół średnich niewielu, a raczej wyjątkowo tylko znajdują się tacy, którzyby pedagogią za umiejętność uważali i jej badaniu wolne poświęcali chwile. „Teoria należy do uniwersytetu, praktyka do szkoły!“ — jest hasłem rozporządzeń i praw ministerstwa oświecenia, a w ślad za tém i hasłem nauczycieli szkół średnich austriackich. Ile kto przygodnie posłyszał podczas studyów uniwersyteckich, tyle uważa za zupełnie wystarczające do ugruntowania swych pedagogicznych doświadczeń, które zwykle są tylko rutyną.

Między młodszymi nauczycielami znajdują się już tacy, którzyza swój jako sztukę a nie jako rzemiosło pojmują; ależ młodszym nie przypadnie w udziale kierownictwo kandydata, ich więc poglądy pozostaną bez wpływu na niego.

Dziwno doprawdy pomyśleć, czém w praktyce będzie ów przepis

(oparty na wielkim optymizmie i dobrej wierze), aby nauczyciel fachowy omawiał z kandydatem w okolicznościowych i regularnych pogadankach kwestye pedagogiczno-dydaktyczne, wskazywał mu literaturę szkolną przedmiotu i rozprawy pedagogiczno-dydaktyczną, pouczał o książkach szkolnych i ich użyciu i t. p., jeżeli sam ani czasu ani sposobności, a co najważniejsza, nawet ochoty nie miał nad temi rzeczami się zastanawiać, jeżeli dyskusye tego rodzaju, wszczęte na konferencyi lub w prywatnej rozmowie uważał za spory de lana caprina, a widząc rozprawy drukowane w tym przedmiocie, litował się nad bibułą, która tyle głupstwa na swym grzbiecie nosić musi! Ciekawi jesteśmy, w jaki sposób nauczy taki nauczyciel fachowy kandydata ekonomii czasu, skoro on jój praw sam nigdy nie przestrzegał, jak mu ułatwi rozkład materiału na poszczególne metodyczne lekcy, skoro on sam w życiu nic podobnego nie robił, a nawet napotkane w tym kierunku usiłowania kolegi wyśmiewał?!

Szczęśliwy to będzie kandydat, który w opiekę innego a nie takiego dostanie się „fachmana“, jakiego wizerunek powyżej naszkicowaliśmy; inaczej bowiem zamiast zachęty do pracy w swym zawodzie spotka ironią i sarkazm, zamiast poważnej instrukcyi zbywające półsłówka; będzie pionkiem do wypełnienia wakujących godzin, eksperymentatorem na własną rękę, nakoniec z własnych mrzonek pedagogicznych sługi, takim jak jego poprzednicy i wzory—rutynistą i rzeźmieśnikiem.

Środki i wskazówki podane przez nowe przepisy do niczego nie doprowadzą: stopniowe wprowadzanie kandydata w urząd nauczycielski będzie z małemi odmianami takim samym eksperymentowaniem, jak objęcie odrazu zupełnych tego stanu obowiązków.

Jeżeli wogóle władze uznają potrzebę pedagogicznego przygotowania kandydata i to tak teoretycznego jak i praktycznego, rozpocząć trzeba reformę od góry. Trzeba uznać pedagogią wprawdzie za filozoficzną umiejętność, ale umiejętność, wymagającą osobnych studyów i dla tego utworzyć na uniwersytetach obok katedr filozofii, katedry umiejętnej pedagogiki; trzeba przepisy o tyle zmienić, aby kandydat mógł być wolny od wypracowania domowego pedagogicznego, ale zobowiązany do słuchania przez 2—3 półroczy filozoficznych i pedagogicznych wykładów, do składania kolloktywów a po tej teorii do praktycznych ćwiczeń w seminaryum pedagogiczném, połączoném ze szkołą ćwiczeń. Katedry przeto pedagogiczne z seminaryami są niezbędnym postulatem, jeżeli nie chcemy iść po omacku. Lekarzem zostaje tylko ten medyk, który „teoretycznie i praktycznie“ wiedzę swą okazał, aby dać gwarancją, że mordować ludzi nie będzie; w pedagogice tylko panuje swoboda: — na zabójstwa umyślone nie ma paragrafu, i dla tego wolno zabierać bezkarnie przyszłość dzieciom, pełnym zdolności a rodzicom nadzieję jedyną.

Reszta przepisów tego artykułu (XXV.) odnosi się do stanowiska kandydata w szkole i jego stosunku do władzy. Kandydat, któ-

rego postępowanie jest przez dyrektora uznane za szkodliwe dla zakładu, może być nawet natychmiast usunięty; grono nauczycielskie wydaje potem opinią, którą dyrektor z doniesieniem Radzie szkolnej przesyła. Rada ta albo kandydata do innego zakładu przenosi, albo podaje ministerstwu wniosek o zupełne usunięcie go od zawodu nauczycielskiego.

Po ukończeniu roku próby wydaje dyrektor zakładu kandydatowi świadectwo, zawierające sąd o jego dydaktycznych i pedagogicznych zdolnościach, z podaniem klas i przedmiotów, których uczył. Dopiero na podstawie takiego świadectwa w połączeniu ze świadectwem komisji egzaminacyjnej może się kandydat ubiegać o posadę nauczyciela zwyczajnego, naturalnie jeżeli miejsce opróżnione.

Cały przepis co do roku próby jest z małemi zmianami taki jak w Prusiech i dlatego dzieli wszystkie jego ujemne strony. Pomijając inne powyżej już podniesione trudności w jego wykonaniu, dodać tu winniśmy, że wobec przeciążenia nauczycieli pracą, a dyrektorów biurą pisaniną, trudno przypuścić nawet, aby kandydatem na seryo zająć się mogli i zechcieli. Będzie się ich zawsze uważać za złe konieczne tam, gdzie są zbyt czynnymi, i tolerować nawet z jawnemi usterkami; gdzie zaś potrzeba nauczycieli z powodu przepełnienia klas, włoży się zaraz na nich obowiązki nauczyciela i ani nie pomyśli o udzielaniu wskazówek i wytykaniu błędów. A tymczasem trzeba pamiętać o tém, że kandydat ma nie tylko uczyć ale i uczyć się, trzeba wiedzieć o każdej jego lekcji, o każdej hospitacji, o każdym zadaniu piśmiennem przezeń poprawioném, a w takim razie trzeba nie mieć nic więcej do czynienia, tylko to mieć za główne zadanie, jak to bywa w seminarjach nauczycieli dla szkół ludowych. Seminarium tedy pedagogicznego! i jeszcze raz seminarium!

Zbierając wszystkie zmiany nowych przepisów w stosunku do danych, możemy je ująć w te kilka punktów:

1. Nowe przepisy ustanawiają jedną komisją egzaminacyjną dla kandydatów tak gimnazyów jak szkół realnych.

2. Czas studyów akademickich ustanawiają na lat cztery.

3. Wykształcenie kandydatów poruczają przedewszystkiém uniwersytetom, fachowe tylko i specjalne szkół realnych przedmioty zostawiając akademiom technicznym i politechnikom.

4. Grupują przedmioty podług pokrewieństwa i stosownie do postępu nauk wymagania podwyższają.

5. Znaczą stanowczo lekcją próbną i zaprowadzają rok praktyki próbnej.

Zanim jeszcze owe przepisy wyszły, i tylko jako projekt ministerstwo komisjom do opinii je przedłożyło, już powstały głosy opozycji, szczególnie ze strony techników. Towarzystwo politechniczne (niemieckie) w Czechach, i grono profesorów politechniki praskiej, wie-

deński, gradeckiej, wniosły do ministerstwa oświaty petycje, żądające zachowania samodzielności komisji egzaminacyjnej dla kandydatów na nauczycieli szkół realnych, albo przynajmniej usunięcia przepisu, aby kandydaci na uniwersyteckie wykłady uczęszczać musieli. Pisma fachowe i niefachowe, zajmując się rozbiorem nowych przepisów, poddawały szczególnej krytyce artykuły, podług których kandydat z ukończonym gimnazjum i studjami uniwersyteckimi, może w przedmiotach realnych zarówno do gimnazjum jak i do szkoły realnej kwalifikacją uzyskać a w ślad za tém i stanowisko, podczas kiedy kandydaci ze szkół realnych i politechniki, tylko o posady w szkole realnej kompetować mogą. Podnoszono wyższość oddziału ogólnego (Allgemeine Abtheilung) na politechnikach, od wydziału filozoficznego na uniwersytetach, twierdząc, że uniwersytet kształci badaczy a politechnika nauczycieli; w zapędzie zaś polemicznym dostało się i humanitarnemu wykształceniu, opartemu na umarłych językach i ich gramatyce, dostało się niepraktyczności gimnazjów i w nich podrzędnej (?) roli nauk przyrodniczych — dlatego tylko, że sprawiedliwości stało się zadość, i że dopatrzone w jednoczeniu komisji dążenia do zjednoczenia szkół średnich klasycznych i realnych w jedno.

Walka pozostała prawie zupełnie bezowocną. Stanowczy przepis nie wiele się różni od projektu, chyba tylko brakiem motywów; mimo usterek oparty na racjonalnych podstawach, stanowi postęp istotny i znaczny. Szkoda tylko, że wszystko poniekąd aż do szczegółów utworzone na modłę pruską; wszelkiéj nawet nowości wprowadzić się bano, jeżeli nowościąby była i ze względu na przepisy pruskie. Ale i to da się wytłómaczyć konsekwencją: cała organizacja szkolna w Austrii była zawsze naśladownictwem Prus, nic dziwnego więc, że i tym razem hołowano tradycyi.

ODSIECZ WIEDNIA

w bitwie walnej 12 września 1683 r.

Opowiedziana na podstawie źródeł współczesnych *).

PRZEZ

Leona Chrzanowskiego.

III.

Układy o danie pomocy Austrii.—Marsz wojsk posiłkowych, dążących na odsiecz Wiednia, polskich i niemieckich. Siły tych posiłków. Plan działań. Marsz połączonych wojsk chrześcijańskich pod Wiedniem. Bitwa 12-go września.

Wojska polskie koronne starego zaciągu, t. j. istniejące przed nową formacją wojsk, nakazaną przez sejm w kwietniu 1683 r., a liczące około 12,000 żołnierzy, stały aż do lipca tegoż roku na wschodniej granicy Rzeczypospolitej w okolicy Trembowli i Śniatyna, gdyż ciągle groziło niebezpieczeństwo, że Turcy mający już w swym ręku od r. 1672 Kamieniec i znaczną część Podola, rzucą się wraz z Tatarami na Polskę. Wspomniałem już, że według ułożonego w d. 8 maja, na radzie wodzów cesarskich w Kettsee planu, postanowiono prosić króla Jana, iżby wojska polskie na wschodniej granicy stojące wykonały dywersyjne działanie, wkraczając z Podola do Węgier i Siedmiogrodu. Lecz gdy armia turecka, nie spotykając oporu posuwała się szybkim pochodem pod Wiedeń i nie tylko nie było wątpliwości co do kierunku wyprawy tureckiej, ale nawet dywersyjne działanie w Węgrzech byłoby bezskutecznym dla ocalenia Wiednia i trzeba było nieść mu bezpośrednią pomoc jedyną drogą przez Szląsk i Morawy,

*) Dalszy ciąg, zob. zeszyt za m. listopad.

której jeszcze nieprzyjaciel nie przeciął,—ruszyły wówczas 16 lipca wojska polskie koronne z pod Trembowli i Śniatyna szybkim marszem przez Lwów i Kraków ku granicy szląskiej. Podczas tego pochodu hufców koronnych starego zaciągu, łączyły się z nimi spieszące z różnych ziem i województw ku Krakowu chorągwie jazdy i pułki piechoty nowego zaciągu, sformowane świeżo na mocy uchwał sejmowych ¹⁾, polecających powiększyć siłę wojsk koronnych o 24,000 t. j. do 36,000 żołnierza a litewskich do 12,000 żołnierzy.

Król Jan III zanim wyjechał na wyprawę pod Wiedeń zabezpieczył wschodnie kresy Rzeczypospolitej od napadu Tatarów, pozostawiając tam parę chorągwi i załogi po zameczkach i dając polecenie hetmanowi kozackiemu Kunickiemu, aby przedsięwziął wyprawę na Tatarów; południową zaś granicę od strony Węgier, zastonioną łańcuchem Karpat, umocnił, dając rozkaz aby kilka małych oddziałów piechoty zajęło przesmyki przez Karpaty w Stariej wsi, Żywcu i Jabłonce. Zabezpieczył także Polskę od tej strony przez układy z Tökölim, którego usiłował pogodzić z cesarzem Leopoldem wyjednaniami dla Węgrów zapewnienia im dawnych swobód narodowych. Wreszcie zdał radzie senatorskiej wewnętrznie rządu kraju a jego obronę kasztelanowi krakowskiemu, Andrzejowi Potockiemu. Zabezpieczywszy tak Rzeczpospolitą, ruszył 15 sierpnia z pod Krakowa za wojskiem polskim koronnem przez Szląsk i Morawy nad Dunaj, nie mogąc doczekać się nadejścia hufców litewskich, zatrzymanych intrygami kilku panów.

Wojska koronne ciągnęły przez Szląsk dwoma szlakami, które schodziły się w Ołomuńcu, mianowicie przednia straż, z kilkunastu chorągwi wyborowej jazdy złożona, a prowadzona przez hetmana polnego Hieronima Mikołaja Sieniawskiego, szła krótszą drogą bliżej granicy szląsko-morawsko węgierskiej, zastaniając z czoła i z lewego боку główne siły polskie w ich pochodzie. Ten przodkowy korpus wyprawiony 12 sierpnia z okolicy Krakowa, szedł przez Białą, Cieszyn, Ołomuniec, następnie przez Wischau, Zelevice, Nikolsburg. Za Nikolsburgiem dojechał (31 sierpnia rano) do tej przedniej straży król Jan, który 24 sierpnia odłączył się w Raciborzu od głównej armii polskiej, zmuszonej wraz z artylerją i obłogami iść powolniej, i pospieszył naprzód z trzech tysięcznym oddziałem wojsk lekkich, aby połączyć się z Sieniawskim, gdyż obawiał się, że hetman, wzywany przez ks. Lotaryńskiego do szybkiego z nim połączenia się i rozpoczęcia wspólnie działań ²⁾, ruszy pod Wiedeń przed nadejściem głównej armii polskiej. W godzinę po połączeniu się oddziału królew-

¹⁾ Uchwały sejmowe o powiększeniu wojska streszczone były w piśmie do archiwum, podpisanem na sejmie generalnym 17 kwietnia 1683. To pismo do archiwum, którego kopia jest w bibliotece wilanowskiej, zamieszczono w „Aktach do dziejów króla Jana III“ str. 80 i następne.

²⁾ Listy ks. Karola Lotaryńskiego z 6 i 25 sierpnia (w odpisach w bibliotece rogańskińskiej) do hetmana polnego Sieniawskiego.

skiego z przodowym korpusem Sieniawskiego, zabiegł królowi drogę, pod Hollabrunn ks. Lotaryński, naczelny wódz wojsk cesarskich i feldmarszałek Waldeck, dowódca wojsk frankońskich i wirtemberskich, dla złożenia królowi uszanowania, naradzenia się z nim o planie działań i zasiągnięcia jego rozkazów. Od chwili tego pierwszego spotkania się ¹⁾ obu znakomitych wodzów, króla Jana i ks. Karola Lotaryńskiego, współzawodników niegdyś do korony polskiej, zawiązały się jak najlepsze między nimi stosunki, które ks. Lotaryński także po zwycięstwie pod Wiedniem utrzymywał, uszanowanie dla króla Jana zachował, chociaż dwór cesarski po klęsce tureckiej postępowanie swoje względem Sobieskiego całkiem zmienił, mniej już go potrzebując. Po odpoczynku w Hollabrunn, ruszył ten przodowy korpus polski dalej i 3 września stanął w Stadteldorf (dzisiaj Stetteldorf) niedaleko Dunaju, gdzie w zamku stetteldorfskim król Jan założył swoje parudniową kwaterę.

Główne siły polskie prowadzone przez hetmana w. koronnego, Stanisława Jabłonowskiego, wyruszywszy z pod Krakowa 14 sierpnia, ciągnęły przez Lipowiec, Mysłowice, Bytom, Góry Tarnowskie, dokąd królowa z dworem odprowadzała króla i gdzie zatrzymano się przez dzień 21 sierpnia, czekając na kilka chorągwi nowego zaciągu ciągnących od Częstochowy. W Górach Tarnowskich powitał króla Jana imieniem cesarza Leopolda gen. hr. Caraffa i wręczył królowi listy cesarza i ks. Lotaryńskiego, błagających o szybką pomoc, gdyż Wiedeń jest w wielkim niebezpieczeństwie ²⁾. Dalej szła ta armia polska

¹⁾ Spotkanie to swoje z ks. Lotaryńskim opisał król Jan w liście do królowej, datowanym 31 sierpnia z Heiligenbron (Hollabrunn), przemilczając o naradzie co do przyszytych działań wojennych, o których zwykle do królowej nie pisał. Na tej naradzie ułożono, że król stanie chwilowo kwatera w Stetteldorfie i tam przybędą do niego wszyscy dowódcy innych wojsk chrześcijańskich, spieszących na odsiecz Wiednia, w celu ostatecznego ułożenia planu działań i otrzymania rozkazów. Wspominają także o tém spotkaniu się króla z ks. Lotaryńskim w Hollabrunn królewicz Jakób i oficer artylerji polskiej w „Dyariuszach“ swoich.

²⁾ Te listy cesarza Leopolda i ks. Lotaryńskiego oraz list tegoż księcia z 19 sierpnia, przechowywane w archiwum Sobieskich w Willanowie, podał Coyer w dziele: „Jean Sobieski roi de Pologne“ — Varsovie 1761 i Amsterdam 1761. Korespondencja między cesarzem Leopoldem a królem Janem była dość żywa w ciągu sierpnia i września 1683 r. Z korespondencji tej znamy listy cesarza do króla (oprócz listu z 28 kwietnia) z 3, 13, 14, 24 sierpnia, 7, 10 i 13 września, wszystkie pisane w języku łacińskim, oprócz dwóch z 24 sierpnia i 7 września pisanych własnoręcznie po włosku — (zamieszczone w „Aktach do dziejów króla Jana III, wydanych przez Akademię umiejętności w Krakowie 1883 r.). Ale daleko żywszą była korespondencja między królem Janem a ks. Lotaryńskim, mianowicie podczas pochodu wojsk polskich ku Dunajowi. Przechowały się w całości listy ks. Lotaryń-

pod dowództwem hetmana Jabłonowskiego przez Głowice, Raciborz, Opawę, Ołomuniec, a stąd tą samą drogą idąc, którą wprzód ciągnął przodowy korpus Sieniawskiego, doszła do Städteldorfu, gdzie się z nim połączyła i zaraz ruszyła dalej. Cała ta połączona armia polska (32000 żołnierzy) przeciągała 5 września pod zamkiem stetteldorfskim, przed którym król Jan, otoczony książętami niemieckimi i jenerałami cesarskimi, przeglądał chorągwie i pułki „prowadzone przez obu hetmanów w bardzo pięknym porządku a ks. Lotaryński i jenerałowie cesarscy chciwie i z wielkiem ukontentowaniem patrzali na wyciągnięte na równinie wojsko“ ¹⁾, które tegoż dnia stanęło nad samym Dunajem przy mostach naprzeciw Tullu ²⁾.

O danie posiłków cesarzowi przez elektora saskiego toczyły się długo w 1683 r. układy, zanim w lipcu tegoż roku stanęła pierwsza umowa między pełnomocnikami cesarskim i saskim, którą tylko w części zatwierdził cesarz Leopold ³⁾. Pomimo nieukończenia układów,

skiego do króla Jana z 21, 31 lipca, z 5, 7, 15, 19, 21, 26 i 28 sierpnia i listy króla do ks. Lotaryńskiego z 22, 23 lipca, z 6, 11, 22, 24, 28 i 29 sierpnia (zamieszczone w „Aktach do dziejów króla Jana III“). Prócz tego w archiwum ministerstwa wojny w Wiedniu i w archiwum domowem w. ks. badeńskiego znajdują się wyciągi lub notatki z kilku innych listów ks. Lotaryńskiego do króla Jana, mianowicie z 28 czerwca, w którym książę donosi, że Turcy dotarli do Jawaryna i że zawezwał ks. Lubomirskiego, aby się łączył z główną armią cesarską, z 2 lipca, w którym prosi, aby król o ile można najapieszniej, przysłał przynajmniej 5000 żołnierzy w posiłku do głównej armii.

¹⁾ Dosłowny ustęp z „Dyaryusza wyjazdu z Krakowa pod Wiedeń Jana III r. 1683“ — pisanego przez bezimiennego oficera artylerji polskiej, który był czynny w tój wyprawie, a wydanego nakładem i drukiem Grebla w Krakowie 1684.

²⁾ Patrz: listy króla Sobieskiego do królowej; „Comentarius“ Kochowski; „Dyariusz“ królewicza Jakóba; „Dyariusz wyjazdu z Krakowa pod Wiedeń Jana III . . .“; „Réponse d'un officier de l'armée de l'empereur à un général espagnol etc.“; list wojskowego polskiego z orszaku króla, datowany 4 września z Szturmdorfu nad Dunajem a przechowany w zbiorach Naruszewicza; „Dyariusz“ Dyakowskiego i t. d.

³⁾ W układzie tym elektor saski, Jan Jerzy III; żądał aby wojska saskie, które 13 sierpnia miały przekroczyć granicę czeską, utrzymywane były od tego dnia przez skarb cesarski; zastrzegał, aby uchodziły tylko po trzy mile na dzień, odpoczywając co dzień trzeci i otrzymywały po dwa funty chleba, jeden funt mięsa, 4 seidle piwa na każdego żołnierza dziennie, dostarczane przez władze cesarskie; dalej żądał, aby pod jego dowództwem zostawały nietylko wojska saskie, ale także pułki z okręgów państwa niemieckiego t. j. frankońskie, szwabskie i wirtemberskie. Cesarz Leopold przebywający w Passawie zatwierdził tylko warunek o dostarczaniu dla wojsk posiłkowych saskich żywności, i układy toczyły się dalej, bo elektor podczas rowolnego pochodu swego przez Czechy wyprawiał parokrotnie pełnomocników swoich do cesarza

na wiadomość o oblężeniu Wiednia i dotarciu zagonów tatarskich aż pod Berno i Linc, zawezwany przez posta cesarskiego hr. Lamberga, ruszył elektor Jan Jerzy (ojciec późniejszego króla polskiego Augusta II) 11 sierpnia z pod Drezna na czele sześciu pułków piechoty i sześciu pułków jazdy. Wojskami temi dowodził imiennie sam elektor a rzeczywiście generał saski Goltz. W dniu 14 sierpnia te posiłkowe wojska saskie przekraczały granicę czeską w Gajersbergu i szły powoli krajem czeskim drogą przez Pragę, zatrzymując się często z powodu toczących się jeszcze rokowań między elektorem saskim a cesarzem o warunki niesienia pomocy oblężonemu Wiedniowi. Spisawszy swe warunki w rodzaj ultimatum, posłał elektor 20 sierpnia z Pragi szambelana Frisen do Passawy do cesarza, a choć nie odebrał odpowiedzi, ruszył dalej i 29 sierpnia wojska saskie przeszły południową granicę Czech w Neuhausie a 31 sierpnia stanęły w Bystrzycy ¹⁾. Stąd przez Waidhofen i Horn doszły pułki saskie 3 września do Meissau niedaleko Kremisy, gdzie się zatrzymały, gdyż Krems było zajęte przez korpus wojsk cesarskich gen. Lessbiego i dopiero 5 września weszły do Kremisy, skąd przepравиły się na prawy brzeg Dunaju ²⁾.

Jeszcze 26 stycznia 1683 r. zawarł cesarz Leopold z elektorem bawarskim, Maksymilianem Emanuelem, przymierze odporne przeciw Francji i Turkom; lecz dopiero po oblężeniu Wiednia przez Kara Mustafę stanęła 6 sierpnia ostateczna konwencya między pełnomocnikiem cesarskim Kaunitzem a elektorem bawarskim o danie cesarzowi czynnej pomocy ³⁾. I „jakkolwiek bowiem stany państwa niemieckiego nie dotychczas nie orzekły o udzieleniu pomocy przeciw Turkom“ — (napisano w wstępie tej konwencyi) — jednak elektor, zważywszy na niebezpieczeństwo zagrażające Chrześcijaństwu i na taki stan rzeczy, że „wrazie zdobycia Wiednia przez Turków, nie ma już oprócz kilku przesmyków i rzek, żadnej twierdzy, któraby zasłaniała państwo niemieckie i Bawaryą,“ chętnie da pomoc cesarzowi. Mocą tej konwencyi obo-

do Passawy. Patrz w archiwum ministerstwa wojny w Wiedniu, akta z 1683 r. fasc. 7.

¹⁾ Z Bystrzycy posłał znów elektor saski 31 sierpnia generała Flemminga i radcę tajnego Bose do cesarza z zapytaniem: gdzie ma być punkt zborny dla wojsk posiłkowych i z przedstawieniem, że wprawdzie zgodzi się, aby król polski objął naczelne dowództwo nad wszystkimi zgromadzonymi wojskami chrześcijańskimi, ale zastrzega, aby rozporządzenia wystosowane przez króla polskiego do niego, jako dowódcy wojsk saskich, nie były w wyrazach rozkazujących. Otrzymałszy w nocy z 31 sierpnia na 1 września odpowiedź krótką, że Krems jest miejscem zbornym, ruszył 1 września z wojskiem swoim przez Waidhofen ku Kremis.

²⁾ Rękopis „o udziale wojsk saskich w odsieczy Wiednia w 1683 r.“ w archiwum królewsko-saskim w Dreźnie.

³⁾ Odpis tej konwencyi znajduje się w archiwum ministerstwa wojny w Wiedniu, akta z 1683 r. fasc. 8.

wiązał się elektor posłać w pomoc korpus wojsk, złożony z 4,800 piechoty, 3,400 jazdy i 14 lekkich dział a cesarz przyrzekł dodać temu korpusowi dziesięć dział cięższych. Dowódcą tego wojska posiłkowego bawarskiego miał być sam elektor, który jednak oddał dowództwo generałowi swemu, Hanibalowi Degenfeldowi, zastrzegając, że tenże ma słuchać poleceń tylko feldmarszałka ks. Waldeck, dowodzącego wojskami z okręgów państwa niemieckiego, (a ten znów odbierał rozkazy od naczelnego wodza wojsk chrześcijańskich króla Jana III). Zobowiązał się nawet elektor zapłacić później za żywność wojsku swemu dostarczoną.

Lecz jeszcze przed zawarciem téj ostatecznej konwencji cesarz, donosząc elektorowi 19 lipca o oblężeniu Wiednia przez Turków, wezwał go, aby odpowiednio do warunków wyżej wspomnianego przymerza, zawartego 26 stycznia, dał mu pomoc przeciw Turcyi. Elektor Maksymilian Emanuel zgromadził zaraz część wojsk swoich i ruszył z nimi ku Lincowi: mianowicie cztery pułki piechoty, zebrane pod Straubing, wsadzono 25 lipca nastatki i wyprawiono Dunajem do Lincu a następnie do Kremsy, pięć zaś pułków jazdy (około 3,000 koni) i artylerya wyruszyły 28 lipca z pod Scharding prawym brzegiem Dunaju do Lincu. Piechota bawarska, wyprowadzona na statkach Dunajem, była 13 sierpnia w Krems, gdzie połączyła się z stojącym tam korpusem wojsk cesarskich generała Lesslie; jazda zaś ciągnąc prawym brzegiem Dunaju doszła 17 lipca do Mautern, miasta leżącego naprzeciw Krems i tam się zatrzymała. Ten korpus posiłkowy bawarski wzmocniły w kilka dni później nadeszłe oddziały wojsk z Pfalcu bawarskiego i Solnogradu ciągnące (około 3,000 piechoty) a policzone do posiłkowych wojsk bawarskich ¹⁾.

Za wojskami bawarskimi nadciągły do Kremsu i Mautern 25 sierpnia wojska posiłkowe z okręgów państwa niemieckiego, liczące 6,000 piechoty i 2,000 jazdy pod dowództwem feldmarszałka ks. Waldeck.

Król Jan III, przybywszy 3 września do Stetteldorfu, zadziwił się nie zastawszy tam jeszcze posiłkowych wojsk niemieckich, o których przybyciu dawno mu donoszono ²⁾, a nawet nie zastawszy tam zgromadzonych wojsk cesarskich, chociaż cesarz Leopold w liście wręczonym królowi przez gen. Caraffę jeszcze 20 sierpnia w obozie pod Górąmi Tarnowskiemi i ks. Lotaryński w listach z 15 i 19 sierpnia prosili go i zaklinali, aby wyprzedziwszy armią polską, przybył „swoją tylko osobą“ objąć dowództwo nad wojskami cesarskimi, gdyż

¹⁾ Dokumenta z archiwum bawarskiego podane w Staudingera *Dzielniku*: „Das königlich bayrische 2. Infanterie—Regiment Kronprinz. 1682—1882“—München 1882.

²⁾ Wprawdzie nadeszły już wówczas wojska posiłkowe bawarskie i z okręgów państwa niemieckiego, ale stały o kilka mil wyżej nad Dunajem pod Mautern i Krems.

„obecność“ jego tyle waży, co cała armia,“ jak pisał ks. Lotaryński z obozu pod Angern w liście z 19 sierpnia. Główny korpus wojsk cesarskich pod osobistém dowództwem ks. Lotaryńskiego, stał jeszcze 3 września w obozie niedaleko Korneuburga pod Bisambergiem, który był podstawą jego działań w przeszłym miesiącu i teraz, mających na celu wzbronienie hufcom tureckim, wypadającym z Węgier lub części armii tureckiej z pod Wiednia, przeprawy przez Dunaj, opanowania kraju na lewym jego brzegu i przecięcia drogi nadciągającym wojskom posiłkowym. Dopiero 4 września wyruszył ten główny korpus wojsk cesarskich z pod Korneuburga lewym brzegiem Dunaju ku mostom naprzeciw Tulln budowanym, piechota zaś generała Lesslie i dragony Dünewalda obozowały jeszcze 3 i 4 września pod Krems.

Zaraz po przyjeździe króla Jana do Stetteldorfu, przybyli do jego głównej kwatery na zamku stetteldorfskim: ks. Lotaryński, elektor saski i inni książęta niemieccy, oraz generałowie wojsk cesarskich i posiłkowych niemieckich, aby powitać króla polskiego i ułożyć plan działań w celu odsieczy Wiednia i otrzymać od niego rozkazy. Tu już bowiem objął król Jan naczelne dowództwo nad wojskami cesarskimi i posiłkowymi niemieckimi, a to odpowiednio wyrażnemu warunkowi przymierza zaczepno odpornego, zawartego między cesarzem Leopoldem a królem Janem i Rzeczpospolitą polską, w Warszawie 31 marca 1683 r. ¹⁾.

¹⁾ Osnowę tego traktatu zaczepno-odpornego, spisane go w języku łacińskim, wyjętą z archiwum w. ks. litewskiego, zamieścił Mateusz Dogiel w „Kodexie dyplomatycznym Królestwa polskiego“ (Tom I str. 337 i nast.). W traktacie tym wyraźnie zastrzeżono, że ten z obu monarchów obejmie naczelne dowództwo nad połączonymi wojskami, który będzie obecny w obozie. Jednak zdaje się, że albo obok tego traktatu, zawartego z królem i Rzeczpospolitą, umówione były między Sobieskim a posłami cesarskimi tajne warunki, albo też niektóre warunki traktatu samego wniesione zostały do ksiąg archiwalnych nie w całej osnowie, lecz tylko w skróconej treści. W czasopiśmie i broszurach współczesnych, które ten traktat ogłosiły („Neu- vermehrte Donauström“, „Ottomanische Pforte“ „Merkury“ holenderski, a szczególnie „Theatrum Europaeum“), warunek co do naczelnego dowództwa podany jest obszerniej i dokładniej, niżeli w osnowie traktatu, zamieszczonego w Kodeksie dyplomatycznym Dogiela a wyjętym z ksiąg archiwalnych w. ks. litewskiego. I tak w „Theatrum Europaeum“ w części 12, wydanej w Frankfurcie nad M. 1691 r. ten warunek traktatu brzmi: „Jeżeli J. K. Mość Król polski będzie osobiście brał udział w wojnie, obejmie także nad armią cesarską naczelne dowództwo jako generalissimus. Jeżeli zaś J. C. Mość, a nie król polski, wyruszy osobiście w pole, obejmie naczelne dowództwo także nad armią polską.“ Nadmienić tu należy, że ta druga część warunku dodana była tylko dla formy, gdyż wiadano, iż nie będzie z niej korzystał cesarz Leopold, który tylko dwa razy w życiu odbywał przegląd wojska, a nigdy żadnym jego oddziałem nie dowodził.

W naradzie odbytej na zamku stetteldorfskim 3 września w głównej kwaterze króla Jana i pod jego przewodnictwem, wzięli udział:

Nie ulegało więc żadnej wątpliwości, że król Jan III, jak tylko przybędzie nad Dunaj i wojska jego połączą się z cesarskimi, obejmie naczelne dowództwo nad wojskiem także cesarskim, a nawet cesarz Leopold w liście doręczonym królowi przez hr. Caraffę i ks. Lotaryński w listach z 15 i 19 sierpnia wzywali usilnie Sobieskiego, aby wyprzedzając armią polską przybył sam i objął dowództwo nad wojskiem cesarskim. Cesarz Leopold w liście z 12 sierpnia wręczonym przez generała Caraffę królowi Janowi pisał: „Oczekujemy już nie wojsk waszych, ale przybycia W. K. Mości, bo jesteśmy przekonani, że gdy osoba W. K. Mości stanie na czele wojsk naszych, to choćby te były nie liczne, samo imię W. K. Mości straszne naszym wspólnym wrogom, uczyni ich klęskę pewną.“ — Ks. Lotaryński w liście z 15 sierpnia wręczonym także przez gen. Caraffę, pisał: „Proszę usilnie W. K. Mości, abyś raczył przyspieszyć Twój przyjazd i nas osobiście wparł z pierwszemi hufcami Twego wojska, abyśmy pod Twojem dowództwem pospieszyli na pomoc Wiedniowi, i świat chrześcijański od tyranii poganów zasłonili.“ („Enixe rogo Vestram Maiestatem, ut accelerare suum motum velit, nobisque personaliter cum primis copiis sui exercitus assistere, ut Ea duce Viennae periclitanti succurratur, Orbique Christiano a pagauorum tyrannide provideatur“).

Elektor saski w układach z cesarzem Leopoldem o danie posiłków, zastrzegł sobie, jak wspomnieliśmy, dowództwo nad swojemi wojskami, albowiem wojska jego nie należały bezpośrednio do wojsk cesarskich, przeto nie tyczył się warunek traktatu warszawskiego, orzekający, że król polski jeśli przybędzie na wojnę, będzie naczelnym wodzem wojsk także cesarskich. Jednak elektor saski zgodził się na naczelne dowództwo króla Jana i nad wojskami saskimi, a przed bitwą wiedeńską wobec niebezpieczeństwa chętnie spieszył sam po rozkazy i „parole“ do tego doświadczonego wodza (patrz listy króla Jana do królowej). Dzisiejsi historycy niemieccy, nawet tacy jak Onno Klopp i historyczny oddział archiwum wojennego wiedeńskiego w dziele „Das Kriegsjahr 1683,“ chociaż usiłują z ujmą sławy i zasług Sobieskiego, powiększyć sławę ks. Karola Lotaryńskiego, jednak przyznają najwyraźniej, że król Jan III był naczelnym wodzem, „generalissimus,“ wszystkich wojsk chrześcijańskich w odsieczy Wiednia.

Gdy piszę tu o traktacie warszawskim z 31 marca 1683 r., nadmienić jeszcze muszę, że tak szumnie niedawno głoszone przez pisarzy niemieckich „zasilki“ pieniężne dane w 1683 r. przez Austryę Polsce na wydatki wojenne, ograniczały się — jak to wyraźnie zapisano w traktacie — do sumy 1,200,000 złp. czyli 200,000 talarów wypłaconych przez Austryę Polsce, nie jako za siłkę, ale jako za liczkę, którą następnie skarb austriacki miał odebrać i odebrał istotnie w większej jeszcze sumie z dziesięć, przeznaczonych przez papieża Inocentego XI Polsce na wydatki w wojnie przeciw Turcyi. Warunek traktatu warszawskiego co do téj zaliczki brzmiał, jak następuje:

„Quoniam vero bellum prae foribus iam adest, executio autem Comi-

wódz wojsk cesarskich, ks. Karol Lotaryński, prezes nadwornej rady wojennej, margr. Herman badeński, dowódzca wojsk posiłkowych z okręgów państwa niemieckiego, feldmarszałek ks. Waldeck, elektor saski wraz z generałem Goltz rzeczywistym dowódcą wojsk saskich, obaj hetmani Jabłonowski i Sieniawski, dowódzca oddzielnego korpusu posiłkowego polskiego, ks. Hieronim Lubomirski, generał artylerii Marcin Kątski ¹⁾, oboźny koronny Marcin Chełmski, dowódzca wojsk bawarskich generał Degenfeld, starsi generałowie wojsk cesarskich: ks. sasko-lawenburski, hr. Silviusz Caprara, hr. Lesslie, ks. Ludwik badeński, hr. Rudolf Rabata i komisarz cesarski przy wojskach polskich, hr. Breuner, książęta ochotnicy: ks. sasko-gotayski, ks. Eiscnach i t. d.

Ks. Lotaryński, zawezwany przez przewodniczącego radzie króla, aby „jako gospodarz“ i najlepiej znający kraj i położenie obu stron walczących, zabrał najprzód głos, wskazał stan rzeczy pod Wiedniem, stanowiska tam armii tureckiej, położenie oblężonego Wiednia i potrzebę jaknajrychlejszej jego odsieczy; następnie przedłożył plan działań w celu odsieczy Wiednia, ułożony już poprzednio w naradach z królem Janem i Hermanem, margr. badeńskim ²⁾. Mianowicie za-

tiorum in contributionibus praestandis tam cito haberi nequit, Tum Sacra Caesarea Majestas duodecim centenis millibus florenorum Polonicalium currentis in Regno monetae, Regno Poloniae et Magno Ducatui Litvaniae succurret pro primis et praesentibus belli expensis, idque in continenti post subscriptionem praesentis Tractatus, cuius summae refusionem nunquam a Republica praetendet. A Sanctissimo nihilominus Pontifice eiusdem omnimodam sibi fieri compensationem curare liberum erit.“

Te wyplacone 1,200,000 złp. czyli 200,000 talarów odebrał sobie sam skarb austriacki z dziesięcin z Medyolańskiego i Neapolitańskiego, przeznaczonych przez papieża Inocentego XI na wydatki wojny z Turkami, chociaż w następnym artykule traktatu warszawskiego przyrzekł cesarz użyć całego swego wpływu u króla hiszpańskiego, aby te dziesięciny wyplacone były przez cały czas aż do zawarcia pokoju, samój tylko Polsce. Zresztą jak ta suma 1,200,000 złp. była małą w porównaniu z wydatkami poniesionymi przez Polskę na wyprawę wojsk pod Wiedeń, okazuje akt przechowany w zbiorach Naruszewicza, świadczący, że na pierwszą zapłatę wojsk „starego i nowego zaciągu, postanowionego uchwałą Rzeczypospolitej na sejmie 1683 r. potrzeba było 5,449,920 złp.

¹⁾ Na przechowanym w zbiorach Naruszewicza akcie wykazującym „komput wojska itd.“ i w kilku innych aktach pisano „Marcin Kątski,“ zaś w zamieszczonym w kodeksie dyplomatycznym Dogieły odpisie traktatu warszawskiego z 31 marca 1686 r. wymieniony jest między pełnomocnikami „Martinus Kącki.“

²⁾ Dla ułożenia planu działań w celu odsieczy Wiednia, toczyła się od lipca r. 1683 korespondencja między królem Sobieskim a ks. Lotaryńskim. Sobieski pisał jeszcze w końcu lipca z Warszawy, że najlepiej po przeprowadze-

projektował, aby wojska chrześcijańskie przepawiły się zaraz na prawy brzeg Dunaju pod Krems i pod Tulln, a zgromadzone na równinie tulskiej ruszyły pod Wiedeń albo najkrótszą drogą, jedne wprost przez góry „Lasu wiedeńskiego“ na Kirling, drugie drogą wzdłuż Dunaju przez Klosterneuburg, albo też gościńcem naokoło części tych gór przez Judenau, a zajmąwszy silne stanowiska na górach naprzeciw obozów tureckich, schodząc z tych gór, stoczyły bitwę z Turkami. Projekt ten popierał margr. Herman badeński w imieniu cesarza i swoim, jak to twierdzi w swoich zapiskach i w pamiętniku ¹⁾.

niu się wojsk pod Tulln lub pod Krems, iść na odsiecz Wiednia wprost przez góry, oddzielające Tulln od Wiednia, a zapytywał się ks. lotaryńskiego, czy te góry są bardzo wysokie i lesiste, sprzeciwiał się zaś flankowemu działaniu przez Presburg. Wprawdzie listu tego dotychczas nie można było odszukać w archiwach, lecz o powyższej jego treści świadczy odpowiedź ks. lotaryńskiego z 5 sierpnia 1683 r. z obozu pod Entzersdorf i dołączone do tej odpowiedzi sprawozdanie ręką sekretarza ks. lotaryńskiego napisane, a podane w rękopiśmiennych pamiętnikach Duponta, który odbywał wyprawę pod Wiedeń w orszaku króla Jana. W sprawozdaniu tém ks. lotaryński, dając żądane przez króla objaśnienia co do okolicy między Krems i Tulln a Wiedniem, pisze: „Od Krems i Tulln do Wiednia idzie się lasami, któremi okryte są góry spadziste, ciągnące się od Dunaju aż do Styryi; lasy te nie są bardzo gęste, a góry ciągną się aż do obozu nieprzyjacielskiego i dotykają go na przestrzeni mil kilku. Wskutek tego armia chrześcijańska będzie miała korzystne stanowisko, jak to WKMOść słusznie zauważyłeś w Waszym liście ostatnim, który spowodował zwolanie przed trzema dniami rady wojennej, na której ks. Lubomirski i wszyscy generalowie uznali słuszność rozumowania WKMOści o trudnościach niesienia pomocy Wiedniowi wszelką inną drogą; gdyż idąc od Presburga ku Wiedniowi, trzeba by się przepawić przez rzeki Fischa i Schuneket (?) w obliczu nieprzyjaciela.”

Z zestawienia źródłowych wiadomości wykazuje się, że przyjęty i wykonany następnie plan działań dla bezpośredniej a jaknajrychlejszej odsieczy Wiednia, pochód wojsk chrześcijańskich wprost przez góry „Lasu wiedeńskiego“ w celu wydania bitwy Turkom pod murami Wiednia, pochodził z inicjatywy króla Jana i przez niego był przeprowadzony. Wprawdzie współdziałał w tém skutecznie ks. lotaryński, który zaraz plan ten pojął, przyjął i rozwinął, znając daleko lepiej okolice Wiednia niż król Jan, który przed przybyciem pod Wiedeń znalazł tylko z niedokładnych ówczesnych kart geograficznych.

¹⁾ Zapiski te Hermmana badeńskie i z nich pobieżnie obcą ręką ułożony „Mémoire badois“ znajdują się w archiwum domowém w. ks. badeńskiego w Karlsruhe. Lecz te zapiski i pamiętnik napisano już po wojnie r. 1683 w celu, jak się zdaje, odparcia zarzutów, czynionych przez siewiczaniną nadworną radę wojenną z różnych powodów, a szczególniej, iż zaniedbał przedsięwziąć zawnazsu przygotowań do wojny, łudząc się nadzieją, że dyplomacya austriacka zdoła odwrócić wojnę z Turcyą. Zarzucano mu także słu-

Lecz kilku wodzów niemieckich wystąpiło przeciw temu planowi. Przedstawiali oni trudności i niebezpieczeństwo przeprowadzenia wojsk przez bezdrożne góry „Lasu wiedeńskiego“ w pobliżu ogromnej armii tureckiej. Nadto sądzili ryzykownym bardzo bezpośredni atak na nieprzyjaciela, mającego trzykrotnie większe siły i radzili przedsięwziąć ostrożniejsze działanie flankowe. Mianowicie projektowali, aby wojska chrześcijańskie szły lewym brzegiem Dunaju aż do Presburga, przepłynęły się tam przez rzeczkę i zagroziły komunikacyom armii tureckiej, przez co mogą ją zniechęcić do odstąpienia od oblężenia Wiednia. Inni znów generałowie niemieccy, sądząc także bardzo ryzykownym atak na przeważnego siłami nieprzyjaciela pod Wiedniem w silnych stanowiskach stojącego, doradzali, podobne jak pierwsi działania flankowe, ale na prawym brzegu Dunaju. Radzili oni, aby wszystkie wojska chrześcijańskie przeszły na prawy brzeg Dunaju pod Krems, a osadziwszy piechotę i artylerią przesmyki w górach „Lasu wiedeńskiego“ i oparłszy o te góry swoje lewe skrzydło, wykonały marsz flankowy przez St. Pölten i Wiener-Neustadt. Zagrożenie przez to komunikacyom armii tureckiej, miało ją zmusić do odstąpienia od Wiednia.

Przeciw obu tym zdaniom wystąpili: margr. Herman badeński (jak twierdził w swoich pismach po wojnie), ks. lotaryński, a najsilniej król Jan, poparty przez hetmanów polskich. Margr. Herman przedstawił: że marsz flankowy armii chrześcijańskiej czy to przez Presburg, czy Wiener-Neustadt krajem zupełnie zniszczonym przez tatarów, jest trudny i prawie niemożliwy z powodu braku żywności, która dowożona może być dla niej tylko Dunajem, z okolic leżących wyżej nad tą rzeką; dlatego wojska chrześcijańskie muszą działać wzdłuż tej rzeki wyżej Wiednia; pod Presburgiem nie znajdują wojska chrześcijańskie materiałow na most dla przejścia Dunaju, a nieprzyjaciel, mający w swym ręku prawy brzeg tej rzeki niżej Wiednia, nie dozwoli sprowadzić pod Presburg materiałow na most. Ks. lotaryński przytoczył ważniejsze jeszcze powody przeciw projektom działań flankowych. Przedstawił, że Kara Mustafa, który sądzi, że lada chwila zdobędzie Wiedeń szturmem, co jest możebnym, nie odstąpi od oblężenia Wiednia wskutek projektowanych flankowych działań armii chrześcijańskiej, mających zagrozić jego komunikacyom, ale tém zważniej będzie szturmował do miasta, które może być nawet wzięte przez Turków podczas tego flankowego pochodu wojsk chrześcijańskich.

Król Jan, wysłuchawszy tych zdań, oświadczył się tylko za nie-

sznie, iż z jego inicjatywy pochodziły instrukcye, dawane w imieniu cesarza Leopolda przez radę nadworną wojenną ks. lotaryńskiemu, nakazujące temu wodzowi rozsyłać na wszystkie strony wojsko, które ohoiał mieć skupione, aby mógł stawić jakikolwiek opór Turkom, a następnie, aby zdołał niedozwolić, iżby Turcy przecięli drogę, którą miały nadciągnąć wojska posiłkowe na odsiecz Wiednia.

zwłoczną przeprawą wojsk polskich i cesarskich pod Tulln, a saskich pod Krems na prawy brzeg Dunaju i za szybkiem zgromadzeniem następnie całej armii chrześcijańskiej na równinie tulskiej i natychmiastowym (po zabezpieczeniu mostów na Dunaju) jej marszem pod Wiedeń, aby tam uderzyć na Turków; ale nadto za pochodem najkrótszą drogą wprost przez góry „Lasu wiedeńskiego“ i wzdłuż prawego brzegu Dunaju przez Klosterneuburg, bo należy przyspieszyć o ile możliwości odsiecz Wiednia, której gorąco wzywają waleczni obrońcy, gdyż miasto może być, jak piszą, każdej godziny zdobyte ¹⁾. Obawy generałów niemieckich z powodu wielkich sił nieprzyjaciela, uspakajał król Jan następującemi słowami: „Patrzcie na wodza prowadzącego wojsko, a nie na tłumy, które on prowadzi. Któż z was, panowie, gdyby stał na czele dwakroć sto tysięcy żołnierzy, pozwoliłby, aby pięć mil od jego obozu nieprzyjaciel most zbudował na wielkiej rzece. Ten w. wezry jest nieudolnym wodzem“ ²⁾.

Hetmani i dowódcy polscy popierali zdanie króla, przypominając, że wojsko polskie uderzało często na trzy i czterokrotnie liczniejszych Turków i zwyciężało i że wojskom tureckim, złożonym przeważnie z jazdy, trudniej będzie działać na gruncie górzystym ³⁾.

Powyżej streszczony plan działań, poparty i uzupełniony przez Sobieskiego, na radzie przyjęto i król wydał zaraz rozkazy odpowiednie dla rozpoczęcia jego wykonania.

Przerywając tu opowiadanie toku wypadków, winienem uczynić ogólną uwagę.

Przedstawione wprzód położenie rzeczy pod Wiedniem i na całym teatrze wojennym, fakta wyżej przytoczone, projekta zwłoki w niesieniu pomocy Wiedniowi, podawane przez kilku wodzów niemieckich na radzie 3 września w Stetteldorfie, wykazują jasno, że Wiedeń byłby zdobyty z pewnością, gdyby na jego odsiecz nie nadeszła armia polska. Nawet po nadejściu nad Dunaj wojsk polskich, wynoszących blisko połowę wszystkich wojsk chrześcijańskich, zgromadzonych na odsiecz Wiednia ⁴⁾, sądziło wielu wodzów niemieckich bardzo ryzyko-

¹⁾ Listy Starhenberga i Caplirza z 27 sierpnia, przedłożone Sobieskiemu przez ks. lotaryńskiego, znajdują się w archiwum w. ks. badeńskiego w Karlsruhe, zaś odpisy ich w archiwach ministerstwa wojny w Wiedniu.

²⁾ Coyera „Jean Sobieski roi de Pologne;“ Daleyraca „Les anecdotes etc.“

³⁾ O obawach wodzów niemieckich i chęci odwołania stanowczego spotkania się z Turkami, wspominał Sobieski w liście do królowej pisanym po tej naradzie wojennej 4 września z Stetteldorfu w wyrazach: „Nie trzeba, widzę, się było obawiać, aby byli czego tu przed nami nie zaczęli; bo i teraz jeszcze niektórzy radziby albo zwlekali jeszcze jaki czas, albo zbytniego upatrują bezpieczeństwa: ale to nie nasi.“

⁴⁾ Wojska polskie nad Dunajem będące, 8 września 1683 r., miały w szeregach blisko 32,000 żołnierzy, (nie licząc wojsk litewskich, które

wném przedsięwzięciem niesienia Wiedniowi bezpośredniej pomocy, tudzież marsz wojsk chrześcijańskich wprost pod tę stolicę i wydanie tam bitwy turkom. Odradzali oni tę bezpośrednią odsiecz i projektowali ostrożniejsze manewry flankowe w celu zagrożenia komunikacyom nieprzyjaciela, co mogło go zniechęcić do odstąpienia od Wiednia, jak mniemali, a projektowali to w chwili, gdy wiadano, że turcy już od miesiąca dotarli przekopami do rowów twierdzy, wysadzili uastępnie minami szerokie wyłomy w dwóch bastyonach (zankowym i löbel-skim), a nawet w częściowym szturmie 4 września wdarli się już byli do miasta, jeżeli zaś przepuszczą szturm powszechny, mogą każdej godziny zdobyć Wiedeń i zburzyć.

Czyż ci, którzy po wzmocnieniu o połowę wojsk chrześcijańskich przez nadejście armii polskiej, zaprawnej w bojach z turkami i po podniesieniu ducha tych wojsk przez obecność sławnego wodza, lękali się stoczyć bitwę z turkami dla oswobodzenia Wiednia, byłiby wykonalni odsiecz tej stolicy, gdyby nie nadszedł nad Dunaj Sobieski z wojskiem polskim?

Po tych słowach zwracających uwagę na jeden z faktów ¹⁾ wykazujących, jak donośnym i stanowczym było współdziałanie polaków w pogromie turków, który położył na zawsze kres zaborczej potędze tureckiej, groźnej dla cywilizacyi chrześcijańskiej, powracam do opowiadania dalszego rozwoju zdarzeń.

Po ułożeniu 3 września ogólnego planu działań w celu odsieczy Wiednia, nakreślił król Jan tegoż dnia wieczór lub 4 września szyk bojowy „ordre de bataille,” w którym wojska chrześcijańskie miały stanąć do walnej bitwy z turkami pod Wiedniem, a stosownie do tego szyku bojowego miały już ciągnąć z pod Tulln kilku kolumnami przez góry.

„Korpus ²⁾ stanowiąc mają wojska cesarskie, pisał król Jan w swym rozkazie ³⁾, którym dodamy oddział marszałka nadwornego

w październiku nadsięgnęły), a wszystkie wojska chrześcijańskie wraz z polskimi zgromadzone na równinie tulskiej 8 września, liczyły około 79,000 żołnierzy.

¹⁾ Inne fakta ujrzymy przyglądając się bitwie wiedeńskiej.

²⁾ Tak zwano wówczas środek szyku bojowego, odnośnie do nazwania „skrzydłami” innych części szyku.

³⁾ Brulion tego rozkazu wydanego przez Sobieskiego, jako naczelnego wodza wojsk chrześcijańskich, napisany przez niego własnoręcznie w języku francuzkim, a naznaczający miejsce w szyku bojowym dla każdego oddziału, znajdował się w archiwum Sobieskich w Willanowie, zkażd z częścią tego archiwum przewieziony do Olawy na Szlązku, dostał się z Olawy do Wrocławia, a następnie do Berlina, gdzie jego facsimile kazał zrobić Edward Raczynski, a facsimile to znane jest z wielu odbió. Ten pierwotny brulion rozkazu uzupełnił zapewne zaraz król Jan kilku ważnemi szczegółami i zakończającem go wezwaniem do wszystkich generałów. Przytaczając zaraz niżej

(Lubomirskiego) i cztery lub pięć chorągwi naszych husarzy, w których miejsce dadzą nam dragonów albo raczej piechoty. Tym korpusem dowodzić będzie ks. Lotaryński.

„Prawe skrzydło zajmie armia polska pod dowództwem hetmana w. koronnego i innych polskich generałów ¹⁾).

„Panowie elektorowie saski i bawarski z wojskami swemi tworzyć będą lewe skrzydło i niém dowodzić; dodamy im także kilka chorągwi husarskich, w których miejsce dadzą nam dragonów lub parę pułków piechoty. Działą będą wszędzie rozdzielone: gdyby panowie elektorowie nie mieli ich dostatecznej liczby, doda im dział ks. Lotaryński.

„Ks. Waldeck z wojskiem z okręgów państwa niemieckiego stanie na krańcu lewego skrzydła przypierając do Dunaju, a rozwijając się w lewo i czyniąc pół obrotu, zagrozi prawej flance nieprzyjaciela, albo przynajmniej wrzuci do Wiednia posiłki, gdybyśmy nie zdołali spędzić tak szybko nieprzyjaciela, jak się spodziewamy. Ks. Waldeck będzie dowodził tym korpusem ²⁾).

„Pierwszą linią tworzyć będzie piechota z działami. Za tą linią postępować będzie druga linia utworzona z jazdy. Gdyby jazda pomieszana była z piechotą w jednej linii, utrudniałyby sobie nawzajem przeprawę przez przesmyki, wąwozy, lasy i góry. Lecz gdy wojsko schodzić będzie na równinę, jazda zajmie stanowiska w pierwszej li-

osnowę tego „ordre de bataille“ już uzupełnionego, t. j. w takim brzmieniu, w jakim wydany rzeczywiście został, wskazać w przypiskach różnicę z pierwotnym brulionem. Ten uzupełniony już „ordre de bataille“ Sobieskiego podali zaraz niektórzy współcześni historycy, mianowicie: Recoles w dziele „Vienne deux fois assiegée par les Turcs 1529 et 1683 — Leyde 1684; Dupont w swych pamiętnikach znajdujących się w rękopiśmie w bibliotece rogalińskiej; Coyor w dziele wydanem w Warszawie 1761 „Jean Sobieski roi de Pologne“ i w Amsterdamie w tymże roku pod napisem „Histoire de Jean Sobieski roi de Pologne“, w którym korzystał z wielu dokumentów, znajdujących się w archiwum Sobieskich.

¹⁾ Ten ustęp w pierwotnym brulionie brzmiał tylko: „Prawe skrzydło zajmie armia polska.“ W rozkazie wydanym rzeczywiście uczynił powyższy dodatek, gdyż sam dowodził naczelnie wszystkimi wojskami chrześciańskimi. Jednak w czasie bitwy wiedeńskiej popołudniu 12 września, gdy główną akcją i stanowczy bój rozpoczęło prawe polskie skrzydło armii chrześciańskiej, osobiście tém skrzydłem dowodził.

²⁾ W brulionie ten ustęp brzmiał: „Pan Waldeck stanie z wojskami państwa niemieckiego albo pomiędzy ks. Lotaryńskim i elektorami, albo na krańcu lewego skrzydła, aby rozwijając się w lewo i czyniąc pół obrotu doszedł do miasta obracając się tyłem do Dunaju.“

nii, mianowicie tyczy się to naszych husarzy, którzy pierwsi uderzyć mają na wroga ¹⁾.

„Gdybyśmy ustawili wszystkie nasze wojska w trzy tylko linie, długość ich frontu wynosiłaby przeszło półtóry mili, co nie byłoby korzystnym, bo prawie skrzydło sięgłoby ²⁾ za rzekę Wiedenkę, która powinna nasz prawy bok zasłaniać; przeto należy ustawić wojska w cztery linie, a czwarta linia stanowić będzie rezerwę ²⁾).

„Dla większego bezpieczeństwa piechoty przeciw pierwszym uderzeniom jazdy tureckiej, które są zawsze bardzo żwawe, można użyć „spanischen Reiter,“ ale bardzo lekkich, aby już bez trudu mogła nieść piechota i przy każdym zatrzymaniu stawiać przed frontem batalionów.

„Proszę wszystkich panów generałów, aby w miarę jak wojska schodzić będą z ostatnich gór na równinę, każdy zajął miejsce wyznaczone mu w tym rozkazie“ ³⁾.

Zaraz po naradzie 3 września rozjechali się wodzowie niemieccy i polscy do wojsk swoich, aby przyspieszyć ich pochód pod Tullu, opóźniony z powodu kilkadniowych deszczów. Mianowicie elektor saski udał się do Horn, ks. Waldek i generał bawarski Degenfeld do Mau-tern, generał cesarski Lesslie do Krems, hetman Jabłonowski i Marcin Kątski do Hollabrun, a ks. lotaryński do obozu wojsk swoich pod Korneuburgiem.

Król Jan zwiedził 4 września mosty budowane przez inżynierów cesarskich na Dunaju naprzeciw Tulln, w miejscu dogodnym, gdzie wśród koryta tej potężnej rzeki leżą wyspy i kępy. Lecz mosty nie były wówczas jeszcze ukończone, o co uskarżał się Sobieski w liście do królowej pisanym tegoż samego dnia z Stetteldorfu. Naglił król o ukończenie mostów, tém więcej, gdy 5 września przybyły znów zpod Korneuburga ks. lotaryński, przedłożył Sobieskiemu listy generałów Starhemberga i Kaplirza z Wiednia, którzy wzywali jaknajrychlejszej odsieczy, gdyż oblężeni wyteją już ostatnie, coraz bardziej słabnące siły, aby odeprzeć ponawiane szturmy.

W dniu 5 września nadszły, jak wspomnieliśmy wyżej, główne siły polskie, prowadzone przez hetmana w. koronnego Jabłonowskiego, a mijając zamek Stetteldorfski, przed którym przeglądał je król,

1) Pierwotnie w brulionie ten ustęp był następującej osnowy: „Postawiliśmy w projekcie szyku bojowego w pierwszej linii piechotę tylko z działami bez jazdy, a to z powodu przesmyków, wąwozów, lasów i gór, których przebywanie utrudniałaby piechocie jazda, gdyby z nią była zmieszana. Lecz gdy wojsko schodzić będzie na równinę, jazda, mianowicie nasi husarze przejdą odstępami między oddziałami piechoty i pierwsi uderzą.

2) W brulionie ten ustęp brzmiał: Przeto należy ustawić wojsko w cztery lub pięć linii i jeszcze znaczne oddziały postawić, jako rezerwy za każdym skrzydłem i za środkiem.

3) Tego końcowego rozkazu nie było wcale w pierwotnym brulionie.

szły wprost nad Dunaj do mostów. Po ukończeniu mostów, dla których zabezpieczenia usypano szańce przedmostowe na obu brzegach Dunaju, rozpoczął się przemarsz wojsk za Dunaj. Przechodziły najnajprzód 6 września wojska polskie na prawy brzeg Dunaju i stawały obozem na równinie tulnskiej. Przeprawa wojsk polskich wraz z ich artylerją trwała dzień cały, gdyż mosty pływające, zbudowane za lekko ze statków i tratw na bystrym a wezbranym deszczami Dunaju, przerywały się kilkakrotnie. Większa część taborów i wozów, należących do wojska polskiego, została jeszcze 6 września wieczorem na lewym brzegu i na wypach, przez które prowadziły mosty, bo część wozów z żywnością miano wyprawić za wojskiem na statkach Dunajem do Greifensteinu, gdyż w marszu przez góry ku Wiedniowi nie chciano brać żadnych wozów i taborów.

Przez noc z 6 na 7 września obozowało samo tylko wojsko polskie na prawym brzegu Dunaju pod Tulln, o 4 mile od głównej armii tureckiej pod Wiedniem stojącej i jeszcze przeszło 150,000 żołnierzy liczącej. Wprawdzie równinę tulnską, na której stało wojsko polskie rozdzielone Dunajem od reszty sił chrześcijańskich, oddzielały także od armii tureckiej bezdrożne wówczas góry „Lasu wiedeńskiego“, a dwie tylko drogi prowadziły zpod Tulln ku Wiedniowi: jedna bliższa wzdłuż prawego brzegu Dunaju przez Klosterneuburg, druga krótsza okrążająca część tych gór przez Judenau. Otóż wojsko polskie, stojąc obozem na równinie tulnskiej, zastąpiło się łańcuchem straży i wyprawilo wspomnionemi drogami podjazdy dla powzięcia wiadomości o ruchach nieprzyjaciela i ostrzeżenia zawczasu gdyby się przybliżał, aby wojsko mogło stanąć w pogotowiu do walki. Wspomnieć tu należy, że Klosterneuburg nie był zajęty przez Turków, bo zdołała go obronić garstka mieszkańców i kilkuset żołnierzy cesarskich i polskich (stało tam od końca lipca 200 żołnierzy polskich z korpusu Lubomirskiego). Ks. lotaryński posłał także na podjazd pułkownika Heislera z 600 dragonami, dając mu polecenie, aby dotarł na Kahlenberg i znakami z tej góry dawanemi zawiadomił obrońców Wiednia o zbliżaniu się odsieczy, przez to zachęcił ich do wyteżenia sił dla kilkodniowej jeszcze obrony.

Zaraz za wojskiem polskiem przechodził 7 września na prawy brzeg Dunaju po mostach pod Tulln główny korpus wojsk cesarskich, który przyszedł zpod Korneuburga i stawał obozem na równinie tulnskiej obok wojsk polskich. Równocześnie zaczęły nadciągać pod Tulln idące od Mautern prawym brzegiem Dunaju wojska bawarskie, frankońskie i wirtemberskie, a za nimi korpus piechoty cesarskiej Lesliego i wojska saskie, które przepawiły się przez Dunaj pod Krems.

W dniu 8 września w południe — właśnie w chwili, gdy Kara Mustafa pchał silny oddział janczarów do ostatniego szturm na bastyon lübelski, wysadzony w części minami — zgromadzone już były na prawym brzegu Dunaju na równinie tulnskiej, o 4 mile od Wiednia wszystkie wojska chrześcijańskie. Było to ważnym strategicznym zwy-

ciężstwem, odniesioném bez krwi rozlewu przez śmiałe a przezorne działanie króla Jana i ks. lotaryńskiego, a także wskutek nieudolności i pychy wodza nieprzyjacielskiego.

Kara Mustafa lekceważył bowiem wojska spieszące na odsiecz Wiednia, których siły nie znał, a nie chciał wierzyć doniesieniom, że sam król Sobieski z armią polską nadciąga; mniemał on, że nadszedł tylko szczupły oddział polski, a wojska cesarskie, pomimo tego wzmocnienia, nie ośmiela się uderzyć na ogromną jego armią. Zajęty wyjątkownie a gorączkowo działaniami w celu opanowania Wiednia, nie wyprawił silnego korpusu pod Tulln, który mógł niedopuszczyć budowy tam mostów, a przynajmniej utrudnić i opóźnić przeprawę wojsk chrześcijańskich przez Dunaj. Nie wysłał nawet zawczasu choćby małych oddziałów piechoty, aby okopały się na Kahlenbergu i w przesmykach przez góry „Lasu wiedeńskiego,“ wskutek czego wojska chrześcijańskie mogłyby jedynie powoli i z znaczną stratą przebyć te góry i zbliżyć się pod Wiedeń. Zaniedbał to wszystko pyszny Kara Mustafa, wódz niebaczny i zaślepiony potęgą sił swoich, a zajęty tylko jedną myślą, aby jaknajprędzej zdobyć Wiedeń, przeznaczając go na stolicę oddzielnego państwa zachodnio-tureckiego, które marzył założyć. Niektórzy opisujący oblężenie i obronę Wiednia sądzą, że po zburzeniu ravelinu zamkowego, po wysadzeniu minami szerokich wyłomów w bastyonach zamkowym i löbelskim, po wielkiem osłabieniu załogi wiedeńskiej przez choroby i straty, poniesione w szturmach i wycieczkach, mogli turcy zdobyć Wiedeń, gdyby przypuścili szturm powszechny wszystkimi siłami; mniemają zaś, że Kara Mustafa usiłował częściowemi tylko szturmami i ciągłym bombardowaniem zniechęcić miasto do układów i poddania się, a nie nakazał powszechnego szturm dla tego, iż wojska tureckie może zdobyłyby wówczas Wiedeń, ale zarazem, według swego zwyczaju, byłyby zniszczyły i spaliły szturmem wziętą stolicę, w której w. wezyr swój trou postawić zamierzał.

Zgromadzone na równinie tuluskiej wojska chrześcijańskie liczyły ogółem około 79,000 żołnierzy ¹⁾.

W tej ogólnej liczbie znajdujące się tam wojska polskie miały w szeregach 31 do 32 tysięcy zbrojnych i 30 dział (rachując wraz z tylokrotnie wspomnianym trzecztyśięcym oddzielnym korpusem jazdy polskiej, który pod dowództwem ks. Hieronima Lubomirskiego działał pod Wiedniem od 11 lipca wraz z armią cesarską ²⁾; miano-

¹⁾ W sprawozdaniach i zapiskach współczesnych różnie podana jest liczba wojsk chrześcijańskich pod Tulln zebranych, między 84,000 a 65,000 żołnierzy. Jednak z porównania źródłowych wiadomości o sile każdego z wojsk chrześcijańskich zgromadzonych na równinie tuluskiej, okazuje się, że liczba ich wynosiła około 79,000 i 154 dział.

²⁾ W raportach ks. Lotaryńskiego i listach cesarza Leopolda nazywany jest ten korpus „polnische Völker,“ „polonica militia.“ Wyżej pisałem już obszerniej o tym korpusie.

wicie było: husarzy i pancernych 10 do 11,000, lekkiej jazdy 3,000, dragonów 5 do 6,000, piechoty 10,000 i oddzielny 3,000 wówczas liczący korpus jazdy Lubomirskiego ¹⁾.

Wojska cesarskie pod Tullu liczyły: 10,000 jazdy, 8,000 piechoty, razem 18,000 żołnierzy i 70 dział, rachując bez polskiego korpusu ks. Lubomirskiego ²⁾. Posiłkowe wojska saskie: 7,000 piechoty, 2,000 jazdy, 1400 artylerji i pociągów, razem 10,400 ludzi i 16 dział ³⁾. Posiłkowe wojska bawarskie i salcburskie: 7,500 piechoty i 3,000 jazdy, razem 10,500 żołnierzy i 26 dział ⁴⁾. Wojska z okręgów państwa niemieckiego (Reichs-Truppen) 7,000 piechoty, 2,500 jazdy, razem 9,500 żołnierzy i 12 dział ⁵⁾.

Podczas nadszycania reszty wojsk pod Tullu 8 września, zgromadzili się tam raz jeszcze dowódcy wojsk na naradę w namiocie Sobieskiego. Wskutek téj narady król Jan zmienił w dwóch punktach swój 3 września ułożony plan sztyku bojowego („ordre de bataille“), który podaliśmy wyżej. Pierwszą zmianą było, że lewe skrzydło uszykowanej do boju armii stanowić będą zaprawne już w bojach z turekami wojska cesarskie i oddzielny polski korpus ks. Lubomirskiego, wzmocnione wojskami saskimi i pięciu chorągiewami husarzy; a skrzydłem tém dowodzić będzie ks. Lotaryński. Natomiast wojska bawarskie, wirtemburskie i frankońskie, które w pierwotnym planie miały tworzyć lewe skrzydło, lecz które nie walczyły jeszcze z turekami, a większa ich część nieodbyła nawet żadnej kampanii ⁶⁾, staną w centrum sztyku bojowego pod dowództwem ks. Waldeck wraz z parą chorągiewami jazdy polskiej i 23 szwadronami dragonów i kiryasierów cesarskich, prowadzonych przez ks. sasko-lawenburskiego i gen. Rabatte. Ten korpus jazdy cesarskiej stanowić ma prawą połowę centrum i dotyczyć prawego skrzydła armii, które to honorowe a w daném położeniu bardzo ważne i niebezpieczne stanowisko pozo-

¹⁾ Patrz na końcu tego artykułu oddzielną notę o sile i składzie wojsk polskich nad Dunaj przybyłych.

²⁾ Daniel Suttiger. Według wykazu szczegółowego zamieszczonego w dziele „Das Kriegsjahr 1683,“ a ułożonego z wiadomości zaczerpniętych w wiedeńskich archiwach ministerstwa wojny, siła wojsk cesarskich zgromadzonych na równinie tułńskiej (wraz z wyprawionymi podjazdami), wynosiła 21,000 żołnierzy i 70 dział, gdyż w wykazie tym zaliczono wyraźnie do wojsk cesarskich ów oddzielny korpus jazdy polskiej ks. Lubomirskiego.

³⁾ Rękopis „o udziale wojsk saskich i t. d.“ oraz Suttiger.

⁴⁾ Dokumenta z archiwum bawarskiego w dziełku Staudingera i „Réponse d'un officier de l'armée de l'empereur etc.“

⁵⁾ Daniel Suttiger — i „Das Kriegsjahr 1683.“

⁶⁾ Bezimienny autor listu przechowanego w zbiorach Naruszewicza pisał „z obozu pod Sztundorfem o pół mili od Tullu“ 4 września: „bo tu siła takiego wojska, które nie tylko Turczyzna, ale żadnego jeszcze nie widziało nieprzyjaciela.“

stawiono armii polskiej, tak jak w pierwotnym planie, dodając jój tylko 4 bataliony piechoty niemieckiej ¹⁾.

Powyżej wskazaną zmianę w planie szyku spowodowało nietylko żądanie elektorów, aby ich wojska stały w środku szyku, ale głównie wzgląd, że wojska cesarskie były zaprawne w boju, jak to wspomnieliśmy, a lewemu skrzydłu przeznaczano w przyszłej bitwie trudniejsze zadanie niż środkowi, bo miało „zająć prawej flance nieprzyjaciela—jak to pisał Sobieski w swoim rozkazie—i wrzucić posiłki do Wiednia w razie, gdyby nie powiodło się spędzić tak szybko nieprzyjaciela, jak się spodziewamy.“

Wojsko polskie tworzyć ma prawe skrzydło w szyku armii chrześcijańskiej na bitwę pod Wiedniem: postanowił to Sobieski wraz z innymi wodzami i ułożył według tego 3 września swój „ordre de bataille,“ a zatwierdził 8 września zmieniając w kilku tylko punktach ten plan szyku bojowego. Postanowiono to nietylko z powodu, że wojsko polskie miało prawo do honorowego stanowiska, jakim, według ówczesnego zwyczaju, było prawe skrzydło. Był jeszcze drugi ważniejszy powód. Przewidywał Sobieski, a może i inni wodzowie, że najtrudniejsze i najważniejsze zadanie będzie miało prawe skrzydło, że przeciwko niemu zwróci nieprzyjaciel swoje główne siły; albowiem skrzydło to wyciągnięte ku południowi, zagrażało jego linii odwrotu, a wysunąwszy się z wąwozów Dornbachu, miało działać na równinie to jest na terenie, na którym armia turecka, przeważnie z jazdy złożona, mogła siły swoje rozwinąć i szukać rozstrzygnięcia bitwy. Przewidywał to Sobieski, powtarzam, a pragnąc sławę i zasługę z pokonania Turków pozyskać dla siebie i wojska polskiego, przeczynał mu stanowisko na prawem skrzydle ²⁾. Nawet niektórzy niemieccy historycy przyznają, iż Sobieski układając szyk bojowy lub wpływając na jego ułożenie, wojskom polskim przeznaczył dlatego stanowisko na prawem skrzydle, gdyż przewidywał, że skrzydło to stoczy bój rozstrzygający bitwę ³⁾.

¹⁾ Odpowiednio do dokumentów w archiwach ministerstwa wojny, czytamy w dziele „Das Kriegsjahr 1683,“ że armii polskiej, stanowiącej prawe skrzydło, dodano cztery bataliony piechoty niemieckiej. Lecz ponieważ batalion piechoty niemieckiej liczył do tysiąca ludzi, ówczesny zaś pułk piechoty w wojsku polskim tylko do 500 ludzi, dlatego król Jan w liście do królowej z 12 września napisał, że dodano wojsku polskiemu „cztery wielkie regimenty piechoty.“

²⁾ Tém pragnieniem Sobieskiego tchnie wiele ustępów w jego listach do królowej i ks. Lotaryńskiego. Obawia się, że ks. Lotaryński, naglający na Sieniawskiego o szybkie z nim połączenie się, uderzy na Turków przed nadejściem jego z główną armią polską; dlatego wyprzedza tę główną armią i dopędza Sieniawskiego. W liście z 4 września z Stetteldorfu pisze: „Nie trzeba było widzieć obawiać się, aby byli czego przed nami nie zaożęli“...

³⁾ W dziele „Die Türken vor Wien im Jahre 1683“ wydaném w Lip-

Drugą mniej ważną zmianę w planie szyku bojowego spowodowało lepsze obrachowanie długości, jaką pragniono nadać frontowi armii chrześcijańskiej, w stosunku do sił, które można było poprowadzić w bitwę pod Wiedeń. Mianowicie postanowiono, że wojska staną do bitwy w trzy linie, a nie w pięć linii, jak początkowo projektowano; albowiem obliczono, że front armii oparty lewem skrzydłem o Dunaj, a ustawiony w trzy linie, nie dosięgnie nawet Wiedenki.

Stosownie do tego zmienionego „ordre de bataille,“ oznaczającego ogólny zarys szyku w którym wojska chrześcijańskie miały stanąć do bitwy, ułożono szczegółowy plan uszykowania ich w trzy linie, w którym naznaczono stanowiska dla każdego oddziału. Nie chcąc rozszerzać granic niniejszego ogólnego zarysu dziejów pogromu Turków pod Wiedniem, muszę pominąć te szczegóły.

Marsz wojsk z pod Tulln ku Wiedniowi przez góry „Lasu wiedeńskiego“ odbył się już odpowiednio do tego szyku bojowego.

(d. n.)

sku i Pradze 1883 przez Karola Toifel ozytamy na stronie 526: „Bez wątpienia do zwycięstwa przyczyniło się dobre rozłożenie wojsk; a jak zaś Sobieski o to się starał, wnosić można ztąd, iż przy sobie zatrzymał dowództwo prawego skrzydła, które miało walczyć na równinie. Jeżeli weźmiemy pod uwagę teren i skład obu armij, mianowicie okoliczność, że nieprzyjaciół miał wielką przewagę w jeździe, ujrzymy, iż zatrzymanie przez króla bezpośrednio dowództwa nad prawym skrzydłem znaczyło tyle, co przyjęcie przez niego najważniejszego i najtrudniejszego zadania. Bo z pewnością należało się spodziewać, że nieprzyjaciół ufny w przeważne siły swojej jazdy, będzie szukał rozstrzygnięcia bitwy na terenie otwartym, gdyż to mu dawało większe prawdopodobieństwo zwycięstwa.“

SEJM GALICYJSKI

w roku 1884.

NAPISAŁ

Dr. Bronisław Łoziński.

Odkąd sejm istnieje, po raz pierwszy w tym roku pominięty został tradycyjny ceremoniał przy otwarciu sesyi. Było wprawdzie jak zwykle nabożeństwo w kościele, na ratuszu powiewały chorągwie o barwach krajowych, ale sala sejmowa na pierwszym posiedzeniu miała powszednią fizyognomią. Marszałek kilku słowy zagaił posiedzenie, a namiestnik nie wystąpił wcale z przemową inauguracyjną, która w naszych stosunkach odgrywa do pewnego stopnia rolę mesażu rządowego. Powód do téj zmiany dany był w fakcie, że sejm po raz pierwszy został przed rokiem tylko odroczoney a nie zamknięty, więc zbierał się teraz na nowy okres przerwanéj sesyi a nie na nową sesyę. Wszystko to prawda, ale zawsze pozostaje ten fakt wyjątkowy, że w tydzień później formalne otwarcie nowéj sesyi odbyło się znowu bez przemowy namiestnika, a nawet już i bez przemowy marszałka.

Wielkiéj wagi do tego faktu przywiązywać niemożna, ale i zupełnie pominąć tego nie wypada, jeżeli się zdaje sprawę z całej sesyi naraz. Zresztą wypadek ten mimo bagatelnej natury swojej do pewnego stopnia uchodzić może za jedno z akcesoryów tego ponurego tła, na którym zarysował się sam początek sesyi. Tło było tak ponure, jak nigdy przedtém. W dniu otwarcia sesyi dziesiąty zaledwie tydzień upływał od téj strasznej, niezapamiętanéj katastrofy powodziowej, która w tym roku Galicyę nawiedziła. Krótki, ale cyframi z przerażającą dokładnością objaśniony obraz téj katastrofy, dała mowa wstępna marszałka krajowego. Wniesione wkrótce potem do sejmu urzędowe sprawozdanie wydziału krajowego wypełniło jeszcze cokolwiek ten obraz nowemi cyframi. Jeden krótki cytat z tego obszernego sprawozdania wystarczy zupełnie, aby objaśnić czytelników o ogro-

mie kłęski, a zarazem i o ogromie zadania, jakie spadło na sejm jako reprezentację kraju, powołaną do niesienia pomocy i obmyślenia środków zaradczych na przyszłość.

„Wylewy rzek—mówi sprawozdanie urzędowe—dotknęły 52 powiatów, a więc przeszło $\frac{2}{3}$ części kraju, wyrządziły szkody w 2,699 gminach i obszarach dworskich z ludnością 1,620,221 i zrujnowały 95,608 gospodarstw z liczbą 396,183 członków rodzin. Powódź zalała 39·19 mil □ czyli 391,943 morgów gruntów uprawnych, zabrała lub zburzyła 3,541 budynków wartości 232,120 złr., zerwała 4,697 morgów najżyźniejszych pól nadbrzeżnych, które już bezpowrotnie przepadły dla gospodarstwa krajowego wartości 612,358 złr. i zasypała piaskiem lub żwirem obszar 9,000 morgów gruntów, które już nadal nie będą zdawnymi pod uprawę, albo z wielkim tylko nakładem mogą być do stanu pierwotnej żyzności przywrócone. Szkody, wykazane przez wydziały powiatowe w zabranych lub uszkodzonych domach i zakładach wodnych, w zerwanych lub zasypanych żwirem gruntach, w zniszczonych lub uszkodzonych prywatnych budowlach wodnych, wreszcie w płonach rolnych wynoszą w 52 powiatach i m. Krakowie 11,811,588 złr.; w komunikacjach powiatowych i gminnych w 50 powiatach 437,456 złr.; szkody na drogach krajowych 105,934 złr.; szkody na gościńcach państwowych i drogach strategicznych 113,759 złr.; szkody w rządowych budowlach wodnych, na rzekach Przemszy, Sole, Wiśle, Dunajcu, Wisłóce, Sanie i Dniestrze 180,500 złr.; szkody w konkurencyjnych budowlach ochronnych (wałach) na Wiśle i dopływach 87,536 złr.; szkody na kolejach żelaznych: Karola Ludwika, Tarnowsko-Leluchowskiéj, Przemysko-Łupkowskiej, Albrechta, Dniestrzańskie i Czerniowieckiej, według wykazów przedłożonych przez dyrekcję tych kolei, oraz na przestrzeniach Żywiec-Żwardoń, Żywiec-Nowy, Sącz, Grybów-Zagórz i Stanisławów-Husiatyn kolei transwersalnej wedle wykazu przedsiębiorstwa budowy 997,261 złr. Cała szkoda, powodzią wyrządzona, wynosi tedy 13,734,034 złr. w. a.“ Co za kolosalna cyfra dla kraju tak ubogiego jak Galicya, dla kraju, którego reprezentacja corocznie zastanawia się z pewnym lękiem nad pytaniem, czy można inwestycyjną rubrykę wydatków w budżecie podnieść o kilkadziesiąt tysięcy!

Dięto ratunku dla ludności, dotkniętej katastrofą powodzi, zastał sejm już częściowo dokonane. Pierwszą pomoc otrzymała ludność od komitetu krajowego ze składek, a następnie od rządu, który ofiarował pół miliona złr. na zapomogę a 300,000 złr. na zakupno zboża na zasiew. Zwrot téj ostatniei kwoty musiał sejm poręczyć imieniem kraju i uczynił to zaraz na jedném z pierwszych posiedzeń swoich. Ale pozostała jeszcze dalsza, większa część zadania, t. j. obmyślenie środków pomocy w czasie zasiewów wiosennych i środków zaradczych przeciw ponowieniu się takich powodzi, jak tegoroczna. Na pomoc dalszą ofiarował sejm, mimo bardzo przykrego stanu finansów pokaźną sumę 200,000 złr., a od rządu zażądał dalszej za-

pomogi 300,000 złr., oraz dalszej pożyczki bezprocentowej 300,000 złr. Żeby raz na zawsze zabezpieczyć kraj od powodzi, przynajmniej o tyle, o ile hydrotechnika uznaje to możliwem, zaproponował sejm rządowi podjęcie regulacji rzek na wielką skalę. W ciągu lat piętnastu ma w myśl uchwały sejmowej powstać osobny fundusz regulacyjny w wysokości 13 milionów. Półczwarta miliona daje kraj, resztę dać ma rząd. Osobna komisya krajowa, złożona z delegatów rządowych i autonomicznych, zajmie się ułożeniem i przeprowadzeniem całego planu regulacji. Wybranej ze swojego łona deputacyi, polecił sejm podziękować cesarzowi za użyczoną dotąd pomoc państwa i prosić, aby podany projekt przeprowadzenia regulacji rzek naszych został przez rząd przychylnie przyjęty i energicznie przeprowadzony.

Nie godzi się może w obec takiej katastrofy przypominać przystawia naszego, że nie ma nic złego, coby na dobre nie wyszło. Ciśnie się ono jednak pod pióro, bo są już pewne wskazówki, z których wnosić można, że rząd najprzychylniej jest usposobiony dla projektu sejmowego i pewnie wniesie do rady państwa potrzebne przedłożenia. Stanie się to na najbliższej sesyi rady państwa, a więc jeszcze w jej składzie dzisiejszym, tak korzystnym dla nas pod każdym względem. Powodzią, tedy okupione zostanie jedno z najważniejszych, corocznie powtarzanych i rządowi przypominanych życzeń kraju, t. j. regulacja rzek. Można było spodziewać się tego i bez tak bolesnej ofiary, należało się to Galicyi nawet bez takiej dotkliwej interwencyi wyższych sił przyrody, ale skoro już inaczej być nie mogło, szukajmy pociechy w tém przynajmniej, co dziś nam jest danem.

Już w połowie sesyi koła poselskie otrzymały pewne zapewnienie, że sejm liczyć może na wszelkie poparcie rządu dla uchwał swoich w sprawie dalszej akcyi ratunkowej. Z tą świadomością wstąpiła otucha, więc można już było potem ze swobodną do pewnego stopnia głową wziąć się do pracy ustawodawczej. Była ona tak intensywną a co najważniejsza tak obfitą w rezultaty, że zdaniem wszystkich pod tym względem sesya tegoroczna nietylko prześcignęła zeszłoroczną, lecz nawet z wyjątkiem sesyi w r. 1865 i 1866 nie ma równej sobie w poprzednich kadencyjach. Na pierwszym miejscu wypadła położyć ustawę drogową. Po kilkunastoletnich daremnych usiłowaniach, uchwalił wreszcie sejm ustawę, zmieniającą najuciążliwsze i najwątpliwsze w zastosowaniu postanowienia obecnej ustawy drogowej. Były dwa projekty opracowane przez większość i mniejszość komisyi. Mniejszość zwyciężyła w pełnej izbie. Projekt większości szedł w reformie dalej, projekt mniejszości ograniczył się do uchylenia najwięcej rażących usterek z obecnie obowiązującej ustawy drogowej. Oba jednak projekty miały tę zaletę niezawodną, że poprawiały obecny stan rzeczy, że mianowicie, w sposób stosunkom i wymaganiom słuszności najodpowiedniejszy starały się rozłożyć ciężary drogowe na gminy i dwory, a nadto zapewnić większą sprężystość w zarządzie drogowym. Bliższe szczegóły i różnice między obu projektami może-

by nie zajęły czytelników, bo jestto kwestya żywotna i ciekawa tylko dla nas w Galicyi. Ze jednak nowa ustawa drogowa będzie lepszą od dzisiejszej, to już nie stanowi najmniejszej wątpliwości dla najwytrawniejszych znawców stosunków i potrzeb. Jeden z posłów bardzo znakomitych głosował za projektem większości komisji, a gdy projekt ten upadł, powstał zaraz potem także za poddanym pod głosowanie projektem mniejszości komisji. Kiedy reflektowano tego posła, że głosuje za dwiema różnemi rzeczami, odparł głośno: Będę głosować za każdym projektem nowym, bo każdy musi być lepszy od dzisiejszej ustawy. W tém powiedzeniu zawiera się drastyczna, ale niestety słuszna krytyka obecnych stosunków. Twórcą uchwalonego projektu ustawy drogowej był poseł Alfons Czajkowski, jeden z najznakomitszych posłów młodszej generacji, wzór niedościgniony w sumienném i gruntowném traktowaniu spraw krajowych. Pan Alfons Czajkowski jest jednym z filarów klubu środka, który słusznie sobie windykuje zasługę przeprowadzenia nowej ustawy drogowej, bo także projekt większości wypracowany został przez członka tego klubu, posła Józefa Męcińskiego. Dyskusya, w której ścierali się z sobą tacy dwaj znamienicy adwersarze parlamentarni jak posłowie Czajkowski i Męciński, była bardzo ciekawą i należy niezawodnie do świetniejszych epizodów ubiegłej sesji sejmowej.

Częściowa reforma ustaw o szkołach ludowych stanowiła i w tym roku przedmiot obrad sejmowych, gdyż ustawy w zeszłym roku uchwalone nie otrzymały sankcyi. Hr. Wojciech Dzieduszycki usunął z ustaw tych wszystko, co sankcyi stanęło na przeszkodzie, a sejm uchwalił jego wnioski. Głównie chodzi o to, aby osobną krajową ustawą został niejako wzięty w posiadanie ów szerszy zakres ingerencji ustawodawstwa krajowego, jaki państwową ustawą szkolną przed dwoma laty przyznany został krajom co do szkół wydziałowych. Zresztą ustawy szkolne nie budziły w tym roku takiego zajęcia, jak przed rokiem, gdyż główna rzecz osiągnięta została bez ustawodawczych środków, w drodze administracyjnej. Jak wiadomo czytelnikom, którzy przed rokiem śledzili obrady sejmu galicyjskiego, chodziło głównie o reformę w tym duchu, aby mniej szkół organizowano, a za to więcej nowych zakładano, aby przynajmniej w okresie dziesięcioletnim zabezpieczono wszystkim gminom w kraju posiadanie własnej szkoły. Była to idea marszałka dr. Zyplikiewicza, idea, która odrazu podbiła sobie koła sejmowe i znalazła wyraz w osobnej ustawie. Tymczasem rząd powiedział, że na wykonanie téj wszelkiego poparcia i uznania godnej idei niepotrzeba osobnej ustawy. Jakoż istotnie krajowa Rada szkolna już w roku bieżącym zastosowała się do nowego programu i założyła bez obciążenia budżetu w jednym roku niemal tyle szkół nowych, ile ich pozostało za dawnego systemu w całym szeregu lat (5—8). W ogóle Rada szkolna wzięła sobie do serca pamiętną dyskusję zeszłoroczną i starała się zadowolić sejm pod każdym względem. Szczególnie tém zadowoliła sejm, że wzięła się ener-

gicznie do uporządkowania rachunków i zabezpieczyła zachowanie porządku budżetowego na przyszłość. Do roku rachunki będą zupełnie uporządkowane, a do 10 lat nie będzie w Galicyi ani jednej gminy nieposiadającej własnej szkoły ludowej,—powtarzam ani jednej, chociaż dziś jest ich jeszcze 1500. Wykazał to w świetnej mowie hr. Stanisław Badeni, jeden z najmłodszych, ale już teraz jeden z najużyteczniejszych postów naszego sejmu. Hr. Stanisław Badeni po zeszłorocznej burzy, jaką w sejmie wywołał budżet krajowej Rady szkolnej, został mianowany jej członkiem w miejsce ś. p. Henryka Szmitta. Odrazu zapowiadano, że z wejściem hr. Stanisława Badeniego wiele korzystnie zmieni się w naszej magistraturze szkolnej. Była obawa że opinia za wiele wymaga po tej młodej i znakomitej ale niedoświadczonej jeszcze sile, że zatem spotka ją zawód, który w takich razach byłby fatalnym dla dalszej kariery publicznej hr. Stanisława Badeniego. Wygórowane nadzieje nie zostały jednak zawiedzione. Sejm oklaskami oddał uznanie hr. Stanisławowi Badeniemu, a oklaski te stanowiły obok aprobaty dla zmian także pocieszający dla kraju dowód, że wraca napowrót gorąco upragniona harmonia pomiędzy sejmem a najwyższym organem szkolnym.

Do ważniejszych ustaw przez sejm uchwalonych, a tylko ważniejsze rzeczy w ogóle pobieżny ten przegląd objąć może, należy niewątpliwie ustawa normująca prawne stosunki przemysłu naftowego. Rząd wniósł projekt tej ustawy, a sejm uchwalił go bez zmian zasadniczych, bo czyni on w zupełności zadość życzeniom niejednokrotnie przez reprezentacyą kraju wyrażonym. Ustawa ta raz na zawsze pozostawia naftę i wosk ziemny jako przynależność gruntu, a to znaczy, że co ustawa górnicza co do minerałów dopuszcza, t. j. poszukiwanie na obcych gruntach bez oglądania się na zgodę ich właścicieli, którym jednak pozostawione są wszelkie prawa do odszkodowania, niema zastosowania do wosku ziemnego i nafty. Odkąd w Galicyi pokazała się nafta (przed 24 laty) zaraz powstała kwestya, czy ustawa górnicza ma być zastosowaną do tej nowej gałęzi kopalnictwa. Powstała trwoga formalna, żeby obcy kapitaliści nie rzucili się na nasz kraj pozbawiony kapitałów i nie zajęli według przepisów ustawy górniczej całego terenu naftowego. W r. 1861 na prośbę sejmu wydał cesarz rozporządzenie orzekające, że w Galicyi nafta i wosk ziemny są wyłączone z pod postanowień ustawy górniczej. Lata całe spierali się rzeczoznawcy i w sejmie i poza sejmem o to, czy powyższe rozporządzenie stanowi dobrodziejstwo dla kraju, czy przeciwnie nie należałoby zrzec się go dobrowolnie i poddać przemysł naftowy pod ustawę górniczą. Jedni twierdzili, że poddanie nafty i wosku ziemnego pod ustawę górniczą, a tem samym umożliwienie poszukiwań niezależnie od zgody właściciela gruntu naftodajnego, który go sam dla braku kapitału eksploatować nie może, ściągnie do biednej Galicyi miliony i rozwinię kopalnictwo naftowe na stopę amerykańską. Była w tém niezawodnie racya, ale przeciwna strona zarzucała temu zapatrywa-

niu jednostronne forytowanie interesu pieniężnego z pomięciem społecznego. Przyznawano, że niezawodnie spłynęłyby na Galicyę milionowe kapitały, bez których dotąd nie można eksploatować terenów naftodajnych, ale miliony te przyszłyby z zagranicy, a z niemi razem rzuciliby się na kraj obcy przybysze, którzy podwoiwszy lub potroiwszy kapitał, wynieśliby się pozostawiając właścicieli gruntów ogołoconych ze wszystkiego. Chodziło głównie o włościan, którzy w takim razie en masse byłiby wywłaszczani z gruntów. Dla włościanina naszego sprzedaż gruntu najkorzystniejsza, jest zawsze ruina, bo pieniądź znika mu z rąk maruie, a nieporadność nie pozwala mu znaleźć bytu na inném polu. Raz w sejmie omal nie zapadła uchwała korzystna dla zwolenników ustawy górniczej. Zapobiegł temu (tylko większością jednego głosu) w ostatniej chwili dzisiejszy marszałek, jeszcze jako poseł. Jego wymowne refleksye zaważyły wtedy na szali. Nowa ustawa zatrzymuje i ustawodawczo zabezpiecza obecny stan rzeczy, a pod względem technicznym i administracyjnym wprowadza zmiany, które umożliwią szybszy rozwój przemysłu naftowego za pomocą własnych sił i na własną naszą korzyść.

Wymownym wyrazem ciągłej troskliwości sejmu o rozwój przemysłu rodzimego jest uchwalona ustawa, którą nowe fabryki uwolnione zostają na okres dziesięcioletni od opłaty dodatków do podatków. Chodzi tu o takie fabryki, które powstaniem swoim dadzą impuls do rozbudzenia się pewnej gałęzi produkcyi krajowej, zapewnią zbyt surowym produktom krajowym i zatrudnią większe ilości robotników. O wydanie takiej ustawy upominano się oddawna. Przed rokiem w dwóch publikacjach ekonomicznych, które zwróciły na siebie uwagę, w broszurze dyrektora banku krajowego p. Antoniego Wrotnowskiego i w książce d-ra Tadeusza Rutowskiego, uwolnienie nowych zakładów przemysłowych w kraju od dodatków, przedstawiono jako jeden z najlepszych środków podniesienia przemysłu rodzimego. Można by się o to spierać, czy twierdzenie powyższe ma realną podstawę. Chociażby nietylko kraj od swoich podatków, lecz także i państwo od swoich ciężarów uwolniło nowe fabryki, to jeszcze dla tej tylko ulgi, nikomu, kto praktycznie rzeczy bierze (a fantaści nie powinni rzucać się do zakładania fabryk), nie przyjdzie na myśl podejmować przedsięwzięcia przemysłowego, wymagającego tysięcy na samo założenie a potem dalszych tysięcy na utrzymanie w ruchu. Jak pewną jest rzeczą, że gdzie warunki ekonomiczne sprzyjają rozwojowi przemysłu, tam się on rozwinie mimo uciążliwych nawet podatków i różnych opłat, tak samo pewnym jest, że suma dodatków krajowych a nawet i podatków, jako stanowiąca ułankowy tylko procent sumy kosztów założenia i utrzymania, nie zdoła nigdy pokonać trudności ze składu stosunków wynikających. Kto mniema, że wiele gałęzi przemysłu posiada już u nas wszelkie warunki naturalnego rozkwitu, ten niezawodnie nawet taką pomoc, jak uwolnienie od dodatków krajowych, powitać musi z radością. Kto innego jest zdania, dla tego uchwalona

przez sejm ustawa posiada tylko charakter moralnej podniety do dalszych usiłowań, charakter dowodu, że wszelkie zabiegi około rozbudzenia przemysłu rodzimego zawsze liczyć mogą na pomoc reprezentacy kraju.

Bank krajowy, którego działalność coraz zbawienniejsze przynosi rezultaty, mianowicie na polu konwersyi lichwiarskich długów zamkniętego Banku włościańskiego, otrzymał od sejmu, wprawdzie nie bez walki uporczywej, ważny dowód zaufania a zarazem ważny nowy czynnik powodzenia. Sejm przyznał gwarancję kraju wydawanym przez Bank krajowy obligacyom komunalnym, które w skutek tego wznoszą się i ustalą w kursie, tak samo jak obligacye krajowe i poręzione przez kraj listy zastawne. Emisya obligacyi komunalnych wynosi pięć milionów a celem jej jest pożyczanie pieniędzy gminom na cele użyteczności publicznej. Nawet konwersya lichwiarskich długów Banku włościańskiego dokonywana być może przez gminy za pomocą pożyczek komunalnych. Biorąc pożyczkę w papierach przez kraj zagwarantowanych, gminy nasze otrzymują za nie niemal nominalną wartość a ponieważ Bank krajowy na koszt administracyi dolicza tak mało, jak żadna inna instytucya finansowa, przeto uzyskały teraz nasze gminy kredyt niemal idealny. Jeżeli w tym roku gwarancya kraju dla obligacyi komunalnych natrafiła na opór, to przypisać to należy tylko tej okoliczności, że sejm nie otrzymał jeszcze pierwszego zamknięcia rachunków Banku krajowego i w skutek tego brał rzecz trwożliwie. Na drugi rok sejm otrzyma te rachunki a z rezultatów, co już dziś stanowczo powiedzieć można, przekonają się najtrwożliwie, że w obec świetnego rozwoju zakładu, fundusz krajowy gwarancyi obawiać się niepotrzebuje, że nawet niezadługo fundusz ten otrzymywać będzie od Banku krajowego pokaźny zasitek z rozporządzalnej części czystego zysku.

Budżet i w tym roku sprawił niemało trudności. Kiedy przed rokiem sejm, zamiast zgodnie z wnioskiem wydziału krajowego podnieść dodatek krajowy z 27 na 31 centów od każdego złr. podatków rządowych, postanowił zaciągnąć pożyczkę na pokrycie niedoboru, już wówczas pisząc o tém zaznaczyliśmy, że coroczne, niejako systematyczne pokrywanie niedoborów pożyczkami jest niepodobieństwem i wiedzy prędzej lub później do katastrofy finansowej. Raz można było pozwolić sobie taki eksperyment, zwłaszcza na piérwszej sesyi nowego peryodu, kiedy względy politycznej natury kazały omijać przykre wrażenie, jakie na ludności wiejskiej musiałoby sprawić podniesienie ciężaru. Zresztą raz można było zastąpić się nadzieją, że za rok wzmoże się dobrobyt, wskutek czego podniesie się suma podatków w kraju opłacanych, a z nią w konsekwencyi także wydatność każdego centa od tej sumy dla kraju. Kto przedmiotowo i bez uprzedzeń zapatrywał się na stan finansów krajowych, musiał mimo to już przed rokiem przepowiadać potrzebę podniesienia ciężaru krajowego w budżecie na r. 1885. Tylko pewni publicyści, którzy uwzięli się przed-

stawiać pożyczkowy pomysł zeszlóroczny jako rodzaj dobrodziejstwa wyświadczonego ludności przez nowo-zorganizowany klub środkowy, gorszyli się pesymistycznemi horoskopami „zacofanych podolaków i stańczyków.” Jakżeż wygląda dzisiaj to dobrodziejstwo? Wydatki zwyczajne nie zmniejszyły się mimo najskrupulatniejszej oszczędności wydziału krajowego przy układaniu preliminarza, a dochód z jednego centa do dochodu krajowego do podatków rządowych także nie mógł się zmienić. Natomiast przybyły nowe pozycje wydatków, z których jeden jest tylko skutkiem zeszlórocznego eksperymentu pożyczkowego. Wypadło bowiem już w budżet na r. 1885 wstawić kilkadziesiąt tysięcy na oprocentowanie i częściowe umorzenie zeszlórocznej pożyczki niedoborowej. Oprócz tego wydatku przybył jeden nowy, mimo charakteru inwestycyjnego tak niezbędny, że ciężkim grzechem byłoby uchylanie się od téj ofiary. W r. b. przyszła do skutku państwowa ustawa melioracyjna, która tworzy z corocznych na dziesięć lat z góry prelimitowanych zasiłków wielki fundusz melioracyjny państwa o 5 milionach. Fundusz ten przeznaczony jest na subwencyonowanie większych przedsięwzięć melioracyjnych w całym państwie, ale tylko o tyle, o ile fundusze krajowe ustawami zobowiązane zostaną do udzielenia subwencji. Rzecz więc naturalna, że kraj każdy otrzyma z funduszu państwowego, ile sam poświęci na melioracye, a ponieważ Galicya co najmniej pretendować może o $\frac{1}{5}$ całego państwowego funduszu melioracyjnego, przeto chcąc ten cel osiągnąć, musiała zobowiązać się do wstawiania corocznie w budżet po 100,000 złr. Suma ta wraz z podniesioną na subwencyonowanie rodzimego przemysłu dotacją krajową (80,000 złr.) zaciężyła bardzo na tegorocznym preliminarzu, ale sytuacja była już przymusową. Ostatnią pozycyją usiłowała komisya budżetowa zniżyć na poziom zeszlóroczny (50,000 złr.), co równałoby się było pod pewnym względem zaniechaniu tak szczęśliwie dotąd prowadzonej akcji około rozbudzenia i popierania przemysłu krajowego. W obronie téj akcji, inaugurowanej i prowadzonej wytrwale przez marszałka d-ra Zyblikiewicza, stanęła większość w sejmie. Utrzymała się po zaciętej walce krasomówczej nie zniżona cyfra komisji budżetowej, lecz pełna dotacja według wniosku wydziału krajowego.

Te nowe pozycje wydatków sprawiły, że już wydział krajowy nie mógł się ograniczyć do żądanej przed rokiem nadwyżki czterocentowej, lecz wniósł podwyższenie dodatku krajowego o 5 centów. Sejm, który przed rokiem nie chciał słyszeć o żadnym podwyższeniu ciężaru, w tym roku już tylko nad tém się zastanawiał, jakoby można bodaj cokolwiek umniejszyć nieunikniony wzrost wydatków. Po wszelkich wysileniach redukcyjnych komisji budżetowej okazało się, że najniezbędniejsze wydatki wymagają podwyższenia dodatku krajowego z 27 centów na 30 i to tylko pod warunkiem, że dwa większe wydatki, nie należące do normalnego budżetu (fundusz pożyczkowy dla gmin na budowę koszar i zapomoga dla ofiar powodzi) pokryte zosta-

ną znowu za pomocą pożyczki. Wniosła tedy komisya budżetowa podniesienie dodatku na 30 centów i równocześnie upoważnienie dla wydziału krajowego do zaciągnięcia pożyczki w sumie 320,000 złr. Wśród danych stosunków wyjście to było jeszcze najszcześniejszym. O dodatku podniesionym z 27 na 30 centów można już prędkiej powiedzieć, że okaże się w przyszłości wystarczającym, bo w miarę jak wzrasta suma podatków, wzrastać także będzie wydatność każdego centa dodatków krajowych, jeżeli znowu nadzwyczajne klęski, jak np. powódź tegoroczna, nie zwichną rachuby.

Polegać na takiej rachubie niepewnej nie można. Przeworność każe owszem uważać kryzys finansów krajowych za uśmierzoną tylko, ale nie za zupełnie zażegnaną. Do pewnego stopnia bowiem klęski elementarne powtarzają się u nas corocznie, więc corocznie pewien zawód w wydatności każdego centa dodatków krajowych należy do rzeczy nie tylko możliwych, lecz nawet mniej lub więcej prawdopodobnych. Kto więc, czy za rok bodaj o jeden cent nie wypadnie podwyższyć dzisiaj już podwyższonej stopy dodatków. Trzeba w rzecz głębiej wglądać, żeby znaleźć drogę do trwałej naprawy stosunków. Ani 30, ani 31, ani nawet 35 centów dodatku krajowego nie stanowiłoby rzeczy nadzwyczajnej, gdyby przed temi dodatkami nie szły rozliczne inne ciężary, mianowicie dodatek indemnizacyjny, który jeszcze jedenaście lat musi być pobierany, dodatek powiatowy, gminny, szkolny, różne prestacje i t. d. Wszystkie te dodatki i ciężary wypełniają kielich, który potem przelewać się musi od każdej nowej kropli! Gdyby inne opłaty dały się zniżyć, dodatek dla kraju mógłby śmiało być jeszcze podwyższony. Indemnizacyi i dodatków na szkoły ani usunąć ani umniejszyć niepodobna; ale te ciężary, których dziś wymaga administracya, niezawodnie mogłyby być zmniejszone, gdyby dzisiejszy ciężar, skomplikowany i — rzecz naturalna — z tego powodu kosztowny aparat administracyjny został zastąpiony nowym, mniej uciążliwym, mniej kosztownym a mimo to lepszym. Na każdym kroku przypomina się potrzeba reformy administracyi, którą w r. 1881 odrzeczono. Kiedy tego roku uchwalano ustawy mniej lub więcej zależne w wykonaniu od sprężystości organów autonomicznych, często odzywały się głosy, że w dzisiejszym ustroju administracyjnym żadna taka ustawa nie może być dobrze wykonaną. Więc i finanse krajowe i interesa publiczne w administracyi angażowane, usilnie dopominają się o reformę. Dlaczegoż nie pomyślał o niej dotąd klub środka, który teraz w pierwszym rządzie jest do tego powołany, skoro genezę swoją wyprowadza z pamiętnej rozprawy sejmowej w r. 1881? Wtedy projekt reformy krakowskiego stronnictwa (Stańczyków) nazwano zaprzeczaniem autonomii i zrobiono secesyą. Po takim kroku secesyoniści, dziś w klub środka zorganizowani, powinni poczuwać się do obowiązku obmyślenia nowego projektu reformy administracyi. Tylko spełnienie tego zadania mogłoby uzasadnić pretensyą tego klubu do stanowiska rządzącej partyi.

Miała ubiegła sesja sejmowa, czego dawno już nie było, polityczną cause célèbre, około której starły się ze sobą, nawet walną stoczyły bitwę kluby przed rokiem nowo zorganizowane. Tę cause célèbre stanowił wniosek posła Hausnera, żądający od sejmu, aby na podstawie statutu krajowego zbadał i wyraził opinią, w jaki sposób oddziałal na interesa kraju wydany w lecie r. b. statut organizacyjny dla kolei państwowych. Jestto sprawa nadto ważna, aby ją można było tak samo, jak tyle innych tutaj podniesionych, zbyć tylko krótką uwagą a przytem zamało znana czytelnikom warszawskim, aby odrazu przystąpić można do przedstawienia przebiegu i wyniku stoczonej walki.

Od chwili, gdy zadecydowaną została budowa wielkiej linii kolejowej t. z. transversalnej w Galicyi kosztem skarbu państwa i za subwencją krajową w sumie jednego miliona ztr. a równocześnie i co do innych kolei galicyjskich miała być zastosowana zasada inkameracyi za przykładem pruskim, sejm osobnemi rezolucjami do rządu wyrażał życzenie, żeby administracja galicyjskiej kolei transversalnej i w ogóle kolei państwowych w Galicyi została zorganizowana w duchu autonomicznym. Żądano mianowicie w tych rezolucjach oprócz szerszych praw dla języka polskiego, także rezleglejszego zakresu działania dla dyrekcyi w kraju ustanowić się mającej. Długą i rozwlekłą jest historia ciągle ponawianych rokowań naszej delegacyi w wiedeńskiej Radzie państwa o zaspokojenie żądań przez reprezentację krajową wyrażonych. Niezawodnie ważność sprawy obudzała powszechnę uwagę, ale agitacya z innych pobudek płynąca dodała sprawie wiele drażliwości.

Postanowienia centralnego rządu o statucie organizacyjnym dla kolei państwowych miały zapaść właśnie w chwili, kiedy w Galicyi po ostatnich wyborach sejmowych żywiły skłonności do radykalizmu politycznego t. j. do prowadzenia polityki opozycyjnej quand même, znalazły w wyniku tych wyborów niejako zachętę do podjęcia stanowczej akcji w swoim duchu. Krakowski klub reformy (Stańczycy), na którego wrzekomą uległość dla gabinetu hr. Taaffego składano całą winę za skąpą zdobycz polityczną w ostatniem sześcioleciu, wyszedł z ostatnich wyborów tak znacznie osłabiony, że uznał konieczność zlania się z drugą t. z. podolską frakcją konserwatywną. Opozycyi quand même wydało się niezawodnie stosownem obudzać i podsycać niezadowolone w kraju tak, aby przyszłoroczne wybory do Rady państwa przyniosły klęskę także i dzisiejszej umiarkowanej i konserwatywnej większości naszej delegacyi wiedeńskiej. W miarę tedy, jak wiadomości z Wiednia nadchodzące wykluczały możliwość zaspokojenia wszystkich żądań sejmu co do organizacji kolei państwowych, w miarę jak wskutek stanowczego oporu kół wojskowych, mających na oku nietylko głównie lecz niemal wyłącznie interesa armii, nawet koncesye pierwotnie przez gabinet za możliwe uznane, stawały się niepodobnemi do osiągnięcia, prasa opozycyjna w kraju ustawicz-

nie przypominała wszystkie aspiracje zawarte w rezolucjach sejmowych, wpajała w opinię konieczność wytrwania przy każdym żądaniu, a zarazem konieczność wywierania jaknajwiększego nacisku na wrzekomo zbyt uległą i zbyt słabą delegację naszą w Radzie państwa. Z poza zasłony dyskrecyi politycznej nie mogły przedrzeć się szczegóły świadczące, że w rokowaniach o organizację kolei państwowych delegacja uczyniła wszystko, co było możliwem, że nie miała żadnego środka do wywarcia nacisku, bo nawet postawienie kwestyi na ostrzu t. j. odmówienie poparcia gabinetowi hr. Taaffego, musiałyby się być skończyć tylko upadkiem tego gabinetu (oczywiście na korzyść gorszego dla nas systemu), ale nie następstwami żądaniami. Co tylko osiągnąć się dało, to zostało osiągnięte. Wydany przez ministerstwo statut organizacyjny zawiera mimo całego przykrojenia postanowień do wymagań kół wojskowych, dzięki interwencji hr. Taaffego u cesarza i jego przychylności dla Galicyi, pewne cenne ustępstwa na rzecz języka polskiego i organizacji krajowych organów kolejowych. Ale ponieważ to wszystko nie dorównywało aspiracyom w celach agitacyjnych ciągle stopniowanym, przeto po ogłoszeniu statutu organizacyjnego powstał w całej prasie naszej jeden okrzyk, już nietylko niezadowolenia, lecz poniekąd nawet oburzenia na rząd i delegację polską. Frazesy o serwilizmie, zaprzeczaniu praw krajowych i t. p. sypały się gradem i przyjmowały się w płytkich pojęciach téj rzeszy, którą głos nosi pretensjonalną nazwę opinii publicznej! Wszystko to składało się razem na wielki akt oskarżenia przeciw naszej delegacji wiedeńskiej z ukrytą napozór, ale dla każdego zrozumiałą tendencją nieprzyjazną dla jej prezesa, dr. Grocholskiego, który rokowania z gabinetem wiedeńskim prowadził.

Już przed zwołaniem sejmu organ malkontentów, najwięcej dystygowany, ale mimo to tak samo nieumiarkowany jak cała reszta naszej prasy opozycyjnej (krakowska „Nowa Reforma“), zapowiedział konieczną potrzebę podniesienia całej sprawy w sejmie. Redaktorem „Nowej Reformy“ jest poseł Romanowicz, więc on a nie poseł Hausner jest właściwym ojcem całej tegorocznej cause célèbre w sejmie, więc za p. Romanowiczem, typowym reprezentantem naszej opozycyi quand même, poszli oprócz p. Hausnera ci wszyscy, którzy jego wniosek poparli. Poseł Romanowicz zapewne bardzo chętnie odstąpił p. Hausnerowi rolę wnioskodawcy, bo chodziło mu o rzecz a nie o reklamę dla swój poselskiej karyery, już i bez tego wcale głośniejszej, bo postawienie kwestyi pod firmą tak znakomitą, jaką bezwątpienia w naszym świecie politycznym stanowi p. Hausner, rokowało wiele efektu i wiele szans dla zamierzonego celu.

Po tém zwięzłym objaśnieniu czytelnicy uznają, że wniosek p. Hausnera, chociaż zawierał tylko żądanie, aby sejm statut kolejowy zbadał i o nim swoje zdanie wypowiedział, pojęty został odrazu jako cios wymierzony nietylko na rząd, lecz co ważniejsza, na naszą delegację w Wiedniu, jako demonstrację i rekryminację polityczną bez

praktycznego celu, bo nikomu pewnie na myśl przyjść nie mogło, żeby statut kolejowy zaledwie w dwa miesiące po ogłoszeniu mógł na żądanie sejmu naszego uleść rewizji i zmianie w duchu pierwotnych wymagań. Mowa, którą poseł Hausner uzasadnił swój wniosek w pierwszym czytaniu, nie usuwała téj obawy, owszém w całym brzmieniu swoim miała charakter demonstracyjny, wprawdzie otwarcie tylko przeciw rządowi skierowany, ale dla delegacji tém przykrzejszy, że po p. Hausnerze, jako świadku jéj usiłowań i napotkanych w Wiedniu trudności, oczekiwać mogła większej wyrozumiałości w sądeniu rzeczy.

Uzasadniony swój wniosek p. Hausner wniósł wybór osobnej komisji (kolejowej) dla zbadania statutu kolejowego i przedstawienia wniosków. Imieniem prawicy hr. Alfred Potocki zaznaczył niestosowność badania skutków rozporządzenia we dwa miesiące zaledwie po jego ogłoszeniu i wskutek tego wniósł, aby wniosek p. Hausnera odesłany został do wydziału krajowego, który w charakterze stałej komisji wykonawczej sejmu, będzie mógł rzecz powoli i sumiennie zbadać. Inni mówcy, między nimi wiceprezes koła polskiego w Wiedniu p. Jaworski, przemawiali za wyborem osobnej komisji, bo wniosek hr. Alfreda Potockiego wydał się im tylko parlamentarnym sposobem ubicia sprawy. Dyskusya toczyła się tylko około formalnej kwestyi, dokąd wniosek ma być odesłany, bo według regulaminu przy pierwszym czytaniu niewolno wchodzić w merytoryczny rozbiór samej rzeczy. Niestety brakło głosu najpoważniejszego w sejmie, głosu, który niejednokrotnie już w ostatniej chwili wywołał refleksyą i powstrzymał sejm od niestosownej uchwały — brakło d-ra Grocholskiego. Prezes koła polskiego w wiedeńskiej radzie państwa, dr. Grocholski, którego wniosek p. Hausnera zapewne żywo dotknąć musiał, nie mógł przybyć na posiedzenie, gdyż właśnie wtedy przebywał ciężką kryzys po ataku apoplektycznym. Brak Grocholskiego i obawa o jego życie oddziaływały przynębiająco na prawicę. Była to chwila poważna, kiedy sejm przystąpił do imiennego głosowania, dokąd wniosek p. Hausnera ma być odesłany: do wydziału krajowego, jak żądała prawica przez usta hr. Alfreda Potockiego, czy do osobnej komisji, jak wymagał sam wnioskodawca, a za nim wszyscy podtrzymujący demonstracyjną i rekryminacyjną dążność wniosku. Wśród uroczystej ciszy i naprężonej uwagi całej izby i tłumnie galerye zalegającej publiczności, postawie po imieniu wywoływani, głosowali: „tak“ lub „nie.“ „Tak“ oznaczało, że wniosek p. Hausnera ma być odesłany do wydziału krajowego. Pięćdziesiąt razy padło „tak,“ pięćdziesiąt i cztery razy „nie!“ Zapanowała sensacja, klub środka w koalicji z postępowcami i rusinami odniósł walne zwycięstwo nad prawicą pod wodzą takiej powagi jak hr. Alfred Potocki! Wprawdzie przypadek odegrał tu ważną rolę, bo z prawicy więcej postów było nieobecnych, aniżeli ze środka i z lewicy, ale w takich razach przypadek stanowi tylko jedną ze szans parlamentarnéj walki, więc przegrana pozostała przegrana!

Zdawało się, że sejm wszedł w nową fazę, w fazę polityki negacyjnej, której pierwszym następstwem musiałyby być zerwanie obecnego stosunku naszego z gabinetem hr. Taaffego. W Wiedniu głosowanie nad wnioskiem Hausnera sprawiło niekorzystne wrażenie, które spotęgowała znacznie przyjęta później przez komisję rezolucya z ostrą krytyką statutu kolejowego i wezwaniem do rządu, aby statut poddał ścisłej rewizyi. Do téj chwili sytuacja była przykrą, po uchwaleniu rezolucyi takięj w komisyi stawała się groźną, bo już tylko kwestyą czasu było postawienie na porządek dzienny obrad pełnego sejmu elaboratu komisyi i jęj wniosku (drugie czytanie). Nagle sytuacja zmienia się do niepoznania. Zanim komisya oddała swój elaborat do druku, rozbiegła się po izbie wieść, że minister dr. Ziemiałkowski, który po całotygodniowym pobycie w sejmie już był powrócił do Wiednia, zapowiedział telegraficznie swój ponowny przyjazd do Lwowa. Domysł naturalny wskazywał, że minister Ziemiałkowski zamierza odwieść sejm od zamierzonego aktu polityki demonstracyjnej i rekryminacyjnej. Cel ten wydawał się naturalnym, ale niepodobnym do osiągnięcia. Jakżeż bowiem możnaby przypuścić, że zwycięzcy wczorajsi, którzy darować nie mogli naszej delegacyi tego, że w obec całego gabinetu i cesarza nie chciała głową muru przebijać, a tém samém okazała się wrzekomo zbyt uległą rządowi, ze szkodą dla kraju, iż ci zwycięzcy, którzy zapowiadali nową erę śmiałej i niezależnej polityki, złożą broń na skinienie jednego ministra! A jednak minister Ziemiałkowski po jednodniowym pobycie w sejmie mógł już odjechać do Wiednia z pewną wiadomością, że pogromcy prawicy i hr. Alfreda Potockiego wprawdzie nie złożyli broni ale — ustąpili ze zdobytego stanowiska za zastrzeżeniem pewnych honorów parlamentarnych. Nazajutrz po wyjeździe d-ra Ziemiałkowskiego, komisya złagodziła do niepoznania pierwotny swój wniosek, a gdy sprawa weszła do izby jeszcze i ten wniosek został przez poprawkę ks. Adama Sapiehy złagodzony tak, że zostało tylko niewinne, nieszkodliwe i usprawiedliwione nawet wezwanie, aby rząd statut kolejowy — nie rewidował, lecz tylko wykonywał zgodnie z interesami kraju! Taka zmiana stanowiała zupełny tryumf prawicy, to téż hr. Alfred Potocki oświadczył, że nie myśli już wcale wznawiać swojego wniosku, aby sprawę odsyłano do wydziału krajowego. Ogromną większością przeszedł wniosek ks. Adama Sapiehy. Głosowała za nim prawica w komplecie i znaczna część niedawnych jęj pogromców. Poseł Hausner z powodu słabości nie przyszedł na to posiedzenie, więc nie było nawet mowy efektownej. Poseł Romanowicz gorszył się tą zmianą frontu, wyrzucił swoim niedawnym towarzyszom chwiejność, ale to narzekanie nie mogło już odnieść żadnego skutku. Dla świadków téj sceny był to widok ciekawy. Czy przynajmniej w téj chwili klub środka, tak uroczyście zaręczający zawsze swój konserwatywny charakter, spostrzegł się, że całą etapę od pierwszego do drugiego czytania wniosku p.

Hausnera przebył pod komendą wodza najskrajniejszej w naszym sejmie frakcyi, pośta Romanowicza?

Równocześnie z tém zwycięstwem odniosła prawica drugie, także na polu tyle dziś ważnych i aktualnych spraw kolejowych. Hr. Alfred Potocki wniósł umotywowane wezwanie do rządu, aby na kolejach państwowych i prywatnych uregulował taryfy w sposób korzystny dla produkcji krajowej. Jestto kwestya nadzwyczajnej doniosłości dla kraju, bo jak w motywach wniosku wykazano, jak to zresztą wszyscy widzimy, jednym z głównych powodów stopniowego upadku produkcji krajowej a tém samém i ubożenia kraju, jest niesłuszna i nieracjonalna polityka taryfowa kolei żelaznych, forytująca obce produkty kosztem krajowych. Stu dziesięciu posłów podpisało wniosek hr. Alfreda Potockiego, sejm uznał nagłość wniosku i uchwalił go bez najmniejszej zmiany a w kilka dni później odczytano już w sejmie pismo namiestnika do marszałka ze stanowczém zapewnieniem, że minister handlu uznaje słuszność żądań zawartych we wniosku hr. Alfreda Potockiego i uczyni im zadość. Jestto może pierwszy wypadek tak rychłego i pomyślnego załatwienia sprawy. Posłowie oklaskami przyjęli pismo namiestnika, a oklaskom tym wtórowało zadowolenie wszystkich interesowanych klas ludności w kraju.

Wszystko to stało się ku końcowi sesyi. Przed rozejściem się, posłowie mieli wybrać centralny komitet wyborczy, który kierować będzie w bieżącym sześcioleciu wyborami do sejmu i do Rady państwa. W przyszłym roku kończą się mandaty obecnych posłów do Rady państwa, więc wybór centralnego komitetu wyborczego, wywołał w kołach poselskich niezwykle zajęcie. Zmierzyły się znowu stronnictwa ze sobą, stoczyły cichą, zakulisową ale mimo to gorącą walkę. Zwycięzka w sejmie prawica zwyciężyła także i w kole poselskiem. Centralny komitet wyborczy zawiera stanowczą większość konserwatyistów a na czele lwowskiego oddziału komitetu stoi hr. Alfred Potocki.

Odegrał tedy hr. Alfred Potocki w tegorocznym sejmie rolę nadzwyczaj sympatyczną i zaszczytną, dotrzymał do końca silną dłońią ten sztandar, który z rąk swych wypuścić musiał na chwilę dr. Grocholski. Da Bóg, za rok znowu ujrzymy w sejmie d-ra Grocholskiego a gdy na straży zdrowych zasad konserwatywnych, którym po zeszłorocznych wyborach chwilowo zagrażać się zdawało niebezpieczeństwo, staną tacy dwaj znakomici mężowie stanu, zapędy negacyjne nie będą się tak często ponawiać. Hr. Alfred Potocki już na czterech wysokich stanowiskach: jako minister rolnictwa, później minister-prezydent, potem marszałek krajowy a w końcu namiestnik, położył wielkie zasługi dla kraju i zapisał swoje imię nazawsze w historii Galicyi. Kto wie jednak, czy kiedyś nie będzie mu to poczytaném za najwyższą zasługę obywatelską, iż w chwili krytycznej dla kraju, mimo podeszłego wieku i wątłego zdrowia, nie wahał się wejść do sejmu jako zwyczajny poseł i stanąć w pierwszym szeregu w walce z szkodliwemi dla kraju prądami. Prawica sejmowa osobuym bankietem uczciła w tym

roku swoich przewodzców. Wznoszono toasty za zdrowie d-ra Grocholskiego i cześć Alfreda hr. Potockiego. Był to bankiet polityczny w całym tego słowa znaczeniu. Mowa hr. Ludwika Wodzickiego uwydatniła misję stronnictwa konserwatywnego a telegram wysłany do d-ra Grocholskiego stwierdził najzupełniejszą harmonię stronnictwa. D-r Grocholski odpowiedział telegramem, stwierdzającym jeszcze dobitniej tę pocieszającą zgodność szczerze konserwatywnych żywiołów w programie dalszej pracy i — walki.

Skonsternowana z początku chorobą d-ra Grocholskiego prawica, zamknęła tegoroczną sesję z najlepszą otuchą i wiarą w dalsze powodzenie swojej polityki. Otucha podwójnie jest uzasadniona: raz w najświeższych tak pięknych zwycięstwach parlamentarnych a nadto w szczęśliwym zbiegu okoliczności, które w rozprawie nad wnioskiem p. Hausnera odsłoniły przed krajem nienaturalność i zgubność sojuszków, do jakich wiodła dotychczasowa polityka drugiego stronnictwa, mieniaącego się także konserwatywnym a idącego mimo to czasem za pomysłami skrajnego obozu, za wnioskami przemycanemi przez pana Romanowicza i jego organ krakowski.

Był jeszcze jeden epizod polityczny na tegorocznej sesji sejmowej, epizod wcale ważny i ciekawy, chociaż znowu nie tak niezmiernie doniosły, jak usiłowano przedstawić z pewnej strony, raz ze względu na bohatera tego epizodu, hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, a powtórę z zamiarem zatarcia w ten sposób przygnębiającego wrażenia, które sprawiło w pewnej frakcyi załatwienie wniosku p. Hausnera. Epizod ten miał za tło kwestyę ruską, która weszła teraz w inny okres, niejako kompromisowy. Dzisiejsi posłowie ruscy w niczóm niepodobni do dawniej: falangi świętojurskiej, hołdującej jednej tylko ale niezmiennęj zasadzie politycznej, że wszystko jest czarném, co z polskiej strony jako białe przedstawione zostało i odwrotnie, owóz dzisiejsi posłowie ruscy zapamiętali sobie dobrze, co im przed rokiem ks. Roman Czartoryski powiedział. Wystąpcie z konkretnymi żądaniami, a dla miłej zgody uczynimy im zadość w miarę słuszności. Taką była treść zesztorocznego przemówienia ks. Romana Czartoryskiego. Stosownie do téj inwitacyi poseł Romańczuk, niezawodnie po p. Siengalewicu najsympatyczniejszy poseł z klubu ruskiego, wystąpił z wnioskiem zmiany ustawy o języku wykładowym w szkołach ludowych i średnich w ten sposób, aby w miejscowościach z mieszaną (polsko-ruską) ludnością w jednej ze szkół, a jeżeli jedna tylko szkoła istnieje, w klasach równoległych, język ruski był wykładowym. Uzasadniając swój wniosek p. Romańczuk powiedział znacząco, że jestto dla polskiej większości sejmu wyborna sposobność do okazania czynem pojednawczych dążeń, do odparcia wobec całego świata zarzutu, jakoby polacy z rozmysłem i systematycznie uciskali i wynaradawiać chcieli rusinów. Po takiej apostrofie komisya szkolna, której przekazano wniosek p. Romańczuka, odrazu uznała, że koniecznie trzeba uczynić pewne ustępstwa. Komisya szkolna byłaby zaraz

przystąpiła do ustawodawczego spełnienia życzeń ruskich postów, ale kwestya przedstawiała tyle wątpliwości przedmiotowych, że bez bliższego zbadania stosunków można było chyba na oślep ułożyć ustawę, która zaraz w rok później wymagałaby rewizyi. Sam wnioskodawca nie mógł zaprzeczyć, że istnieją pewne wątpliwości, które poprzednio wyświecić wypada. To też utrzymał się wniosek, zawierający polecenie do wydziału krajowego, aby rzecz dobrze zbadał i na następnej sesyi sejmowej przedłożył gotowy już projekt ustawy. Wniosek ten utrzymał się w sejmie. P. Romanczuk, chociaż z komisji niezawodnie wyniósł wrażenie, że jęj polscy członkowie, a za nimi i większość sejmowa, szczerze pragnie uczynić ustępstwa, nie powstrzymał się od zarzutu, że sprawa takim wnioskiem skazaną zostaje niepotrzebnie na całoroczną delatę. Sejm poszedł za wnioskiem komisji szkolnój po dłuższej debacie, w której bohaterem był hr. Wojciech Dzieduszycki.

W mowie swojej hr. Wojciech Dzieduszycki wystąpił z ideą w naszym sejmie nową, ale w sejmie czeskim już przedtém przez czeskich postów podniesioną. Hr. Dzieduszycki powiedział, że takie wnioski jak powyższy p. Romanczuka wiodą tylko do większego rozdziału między dwiema narodowościami, w jednym kraju osiadłemi. Nie dzielić więc szkoły i klasy według języków, lecz zaprowadzić naukę ruskiego języka w całej zachodniej Galicyi, aby mazurzy władali obu językami tak samo, jak ludność wschodniej Galicyi! Hr. Wojciech Dzieduszycki żalił się w mowie swojej, że wskutek oporu prawicy nie mógł już na tegorocznej sesyi ująć swojego pomysłu w formę wniosku. Zapowiedział to jednak w najbliższej przyszłości, więc w roku przyszłym. Mowa hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, oczywiście świetna pod względem budowy i formy, sprawiła głębsze wrażenie w izbie, a czytana później w dziennikach, niezawodnie w najszerszych kołach pobudziła głębsze umysły do refleksyi.

Dlaczegoż prawica oparła się pomysłowi hr. Wojciecha Dzieduszyckiego? Miała do tego ważne powody, z których tutaj nie wszystkie przytoczyć wypadnie a te, które przytoczyć się dają, zaledwie mimochodem zazuaczyć można. Prawica miała podwójne, ważne wątpliwości. Najpierw obawa o polityczne konsekwencye oddziałała w sposób zniechęcający. W Austrii zmieniają się systemy i zasady rządzenia. Dziś nieby to nie szkodziło, żeby mazur uczył się ruskiego języka, ale mogłaby przyjść chwila, w której fakt, że w zachodniej Galicyi młodzież uczy się po rusku, postużyłby mężom stanu pewnego autoramentu do wysnucia i przeprowadzenia w Wiedniu najzgunniejszych dla kraju wniosków, do zniszczenia wszystkiego, cośmy w rozwoju naszym pod systemem konstytucyjnym dotąd zdobyli i osiągnęli. Nadto fakt, że mazur umie po rusku nie usuwałby bynajmniej kwestyi ruskiej we Lwowie wobec rusinów, domagających się ustępstw nie w Tarnowie lub Krakowie, lecz w wschodniej części kraju. Wreszcie względ praktyczny zniechęcał do pomysłu hr. Wojciecha Dzieduszyckiego. Komplikować plan naukowy szkół średnich,

obciążać jeszcze więcej młody umysł już i tak obciążony, warto tylko dla ważnych celów i korzyści. Konsekwencye polityczne, jak wyżej powiedziano, są bardzo wątpliwe, a korzyść praktyczna żadna, bo młodzież szkół zachodnich galicyjskich zgoła nic nie zyska na tém, jeżeli cokolwiek przyswoi sobie język, nieposiadający nie już światowego, lecz nawet ogólnie krajowego znaczenia. Taka pobieżnie nabyta znajomość języka ruskiego nie uchyli przecież tego rozdziału, jaki stosunki historyczne i plemienne wytworzyły między zachodnią a wschodnią częścią kraju. Trzeba zawisnąć w obłokach idealnej polityki, żeby zentuzyazmować się dla pomysłu, świetnie nadającego się do efektownej mowy, ale nie do programu na realnej podstawie politycznej opartego.

Hr. Wojciech Dzieduszycki rzucił myśl swoją w sejmie w południe a już na wieczorniej kontynuacji przerwane go posiedzenia, cały jej urok polityczny zbladł pod wrażeniem mów, wypowiedzianych w tej samej debacie przez dwóch posłów ruskich, reprezentujących dwa odmienne prądy w świecie ruskim, przez pojednawczego Romańczuka i członka dawnego legjonu świętojurskiego d-ra Antoniewicza. I jeden i drugi powiedział, że myśl hr. Wojciecha Dzieduszyckiego pięknie przedstawia się w mowie, ale nie ma praktycznego znaczenia. Obaj posłowie powiedzieli mniej więcej co następuje: rusinom pochlebiałoby to niezawodnie, jeżeliby język ruski zaprowadzony został jako przedmiot obowiązkowy w szkołach średnich zachodniej Galicyi, ale nieskończenie większą wartość ma dla rusinów każde mniejsze nawet ustępstwo we wschodniej Galicyi. Rusini nie chcą zmuszać mazurów do uczenia się języka ruskiego, tak samo, jak sami protestować będą zawsze przeciw wszelkiemu przymusowi na rzecz języka polskiego. Kogo stosunki zmuszają do osiedlania się we wschodniej Galicyi i do styczności z rusinami, ten bez przymusu prędko nauczy się ruskiego języka. Jeżeli zaś polakom naprawdę tak wiele zależy na wspólności i harmonii językowej, to niech w domu uczą dzieci swoje mówić po rusku, tak samo jak rusini swoje dzieci po polsku uczą.

Nie jestże to zupełne *desaveu* tego wszystkiego, co hr. Dzieduszycki obiecywał sobie i swoim przyjaciółom politycznym po myśle swoim, a właściwie przez siebie z czeskiego sejmu do lwowskiej sali sejmowej przeniesionym? I wartoż maltretować młodzież szkolną w zachodniej Galicyi nowym przedmiotem nauki? wartoż stwarzać niebezpieczny precedens polityczny i wywoływać niebezpieczne konsekwencye dlatego tylko, aby to rusinom, jak sami ich posłowie stwierdzili, jedynie pochlebiało? Że w kilka dni później ks. Tytus Kowalski, ksiądz ruski, patetycznie wynosił mowę i pomysł hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, to nie zaciera wrażeń odniesionych z mów posłów Romańczuka i Antoniewicza. Ks. Tytus Kowalski bowiem, jako wybrany przez szlachtę polską w Sokalskiem, nie może głosem swoim rozstrzygać kwestyi przeciw dwom innym posłom ruskim przez włościan ruskich wybranym.

Za rok hr. Wojciech Dzieduszycki ma na seryo podnieść myśl swoje w formie wniosku. Do roku wiele zmienić się może. Do roku wyjdzie z wyborów ogólnych nowa reprezentacja państwa a więc i nowa delegacja galicyjska do Rady państwa. Jeżeli rusini wybiorą do Rady państwa w miejsce dzisiejszych weteranów świętojurskiego legionu (pp. Kowalskiego i Kutaczkowskiego), takich postów jak ks. Tytus Kowalski, Romanczuk i Siengalewicz, to hr. Wojciech Dzieduszycki będzie miał możność ponowienia sprawy. Jeżeliby jednak wybory do Rady państwa w okręgach ruskich wypadły w duchu świętojurskim, to już względy na przyszłość kraju nietylko utrudniałyby urzeczywistnienie pomysłu, lecz nawet wprost niepozwalalyby zapuszczać się w awanturę. A pewnie awanturą byłoby ziszczenie pomysłu hr. Dzieduszyckiego przed uzyskaniem niezawodnej rękojmi, że doszliśmy już szczęśliwie do kresu waśni domowej, że szczerze i trwałe porozumienie się z rusinami jest tylko kwestyą czasu.

Na razie pomysł hr. Wojciecha Dzieduszyckiego przyniósł tę tylko korzyść, iż zadał wobec świata kłam twierdzeniu, jakby dogmatyczną aspiracją polityki naszej w Galicyi było zniszczenie ruskiej narodowości, spolonizowanie całej wschodniej części kraju. Z drugiej strony zaprzeczyc się nie da, że ruscy postowie w tym roku tak samo jak na sesyi zeszłorocznej całym postępowaniem swoim utwierdzili nas w oczekiwaniu, iż powoli zrywają z tradycjami świętojurskiej polityki, polegającej na podburzaniu przeciw wszystkiemu, co polskie, na negowaniu wszystkiego, co z polskiej strony pochodzi. To też mógł marszałek w końcowej mowie swojej zamykającej sesyę sejmową zaznaczyć z radością fakt, że dzieło stałego i szczerego porozumienia się polaków z rusinami zrobiło znowu znaczny postęp. Pod przyjemnym wrażeniem tych słów zakończyła się tegoroczna sesya sejmowa.

Lwów, 8 listopada 1884 r.

JAN ŁASKI, PRYMAS,

jako obrońca interesów narodowych w walce z polityką
Zakonu krzyżackiego w Polsce.

NAPISAŁ

Stanisław Maroński *).

W dniu 18-go czerwca stanął w. mistrz w Toruniu ¹⁾. Układy szły dość rączo, bo już 26 czerwca przyobiecał wykonać bez zwłoki przysięgę wierności w d. 28 czerwca i hołd przynależny „solennie“ złożyć ²⁾. Król uradowany donosi szwagrowi swemu Bogusławowi, ks. pomorskiemu, „że mistrz, wyrzekłszy się dotychczasowych swoich zamysłów, rozumnie sobie teraz poczyna, gdyż przedsięwzięcie swoje zupełnie zmienił“ ³⁾. Aliści nie długo było tój radości! Nazajutrz po uczynieniu obietnicy powyższej, w d. 27 czerwca przybiegł do Wiednia goniec od komtura królewieckiego z wiadomością, że nadeszło mu z Danii w pomoc 2,500 lancknechtów ⁴⁾ i że tatarzyn rozpoczął zagonny swoje na Podolu ⁵⁾. Rezolutny Albrecht, rozumiejąc iż taka pomoc starczy, by nieporadności polskiej w boju śmiało stawić czoło, zrywa rokowania, cofa obietnicę i uzyskawszy list żelazny, opuszcza Toruń ⁶⁾;

*) Dokończenie—patrz zeszyt za listopad r. b.

¹⁾ Acta Tom. V, 266.

²⁾ Tamże. Hanscat. Chron. w Script. Rer. Pruss. V, 508.

³⁾ Acta Tom. V, 247.

⁴⁾ Acta Tom. V, 266, 276, 279, Script. Rer. Pruss. V, Zeror, str. 335. Eyn neues geticht, str. 344. Hanscat. Chron. str. 509. Faber. Chron. str. 535. Chronik Oliv. str. 641. Schütz, str. 464 — 468. Runau, str. 166.

⁵⁾ Acta Tom. V, 234.

⁶⁾ Script. Rer. Pruss. V. Zeror, str. 335. Hanscat, Chron. str. 509. Chron. Oliv. str. 641. Schütz, str. 468.

a przybywszy 2 lipca ¹⁾ do Królewca, pokrzepiony na duchu, z zdumiewającą ruchliwością, energią i odwagą, nieprzyjacielskie rozpoczyna kroki. Polacy spokojnie dotychczas pod Królewcem rozłożeni, dowiedziawszy się o przybyciu mistrza i jego posiłków, zatrwożeni, spalili 18 wsi w okolicy ²⁾, i niebawem obóz ruszyli, nie kusząc się wzięciem o zdobycie miasta. Posypały się też za nimi w Królewcu satyry, pełne naigrywań z polskich bojowników i z ich wodza, przezywając go „der Pan Fierle“ ³⁾. Polskie wojsko, cofając się ku Brunsberkowi, całą nieomal okolicę w pustynią obróciło; a rozłożywszy się pod tymczasem obozem, miesiącami je oblegało ⁴⁾. Zerer, sekretarz mistrza, z powodu tego szydęro pisze ⁵⁾: „Cóż to ci polacy tak o sobie wiele rozumieją, iż się poważyli powziąć zamiar zajęcia ziemi pruskiej i miasta Brunsberka, kiedy oni nawet owemu biednemu młynowi (pod Brunsberkiem) nic uczynić nie mogli.“ Po kilkumiesięcznym oblężeniu, gdy lada chwilę spodziewano się kapitulacyi zamku, gdy nawet gotowano zbrojną wycieczkę na Królewiec ⁶⁾, nadchodzi wiadomość, że z Niemiec ciągnie 10,000 lancknechtów i 3,000 rejtarów mistrzowi na pomoc ⁷⁾. Odstąpiono zatem od oblężenia, cofając się w popłochu ⁸⁾ na południe, dla wzmocnienia załóg, przez mistrza zagrożonych ⁹⁾. Niedołężny sposób prowadzenia wojny wywołał w szeregach polskich niechęć i oburzenie, tak, iż zdemoralizowany żołnierz począł się rozchodzić. Pełen nieukontentowania pisze ¹⁰⁾ król Zygmunt do hetmana Firleja: „Dziwimy się jaknajmocniej, że ludzie nasi, którzy w waszém się znajdują wojsku, nie są waszym rozkazom posłuszni, i co więcej: że się odgrażają, iż odejdą i obóz nasz opuszczą, nie zważając na to, iż nieprzyjaciel nasz przeciw nam się zbroi i posiłki zewsząd ściąga.

¹⁾ Schütz, str. 469.

²⁾ Zerer, Script. Rer. Pruss. V, 336.

³⁾ Eyn neues geticht, tamże, V, 340—347. Czy też lokucyi: „stroić z kogo firleje = kpić z kogo“ nie dała początek aluzya do owego Firleja?

⁴⁾ Script. Rer. Pruss. V, Zerer, str. 336. Eyn neues geticht, str. 344, Pomes. can. brev. Chron. str. 438. Hanscat. Chron. str. 509. Schütz, str. 472.

⁵⁾ Script. Rer. Pruss. V, 337.

⁶⁾ Voigt, IX, 614.

⁷⁾ Liczbę powyższą podał elektor brandenburski w liście swym do mistrza z d. 17 sierpnia 1520. Voigt, IX, 616. Wedle Hanscat. Chron. w Script. Rer. Pruss. V, 509 zawerbowano 5,000 rejtarów i 10,000 knechtów. Zygmuntowi doniesiono, że ich przeszło 20,000 być miało. Acta Tom. V, 324.

⁸⁾ „...Sed cum magna confusione recesserunt civitatem dimittentes.“ Pomes. canon. brev. Chron. w Script. Rer. Pruss. V, 438.

⁹⁾ Script. Rer. Pruss. V, Zerer, str. 337. Eyn neues geticht, str. 345. Hanscat. Chron. str. 509. Voigt, IX, 614—618.

¹⁰⁾ Acta Tom. V, 316.

Gdy im gotówką regularnie płacimy i już nie małe sumy wydaliśmy, słusznie jest, że powinni mieć wzgląd równie na honor swój, jak i na godność naszą i na przykrość położenia. Żądamy od was, abyście ludzi swych mieli w karcach powinności i służby naszej, a nie dozwolili, by się rozbiegali... Tak samo macie się starać i baczyć, by wszystkie rotty i kompanie jeźdźców i piechoty miały komplet ludzi i koni. Słyszemy bowiem, że codzień wielu ludzi opuszcza wojsko i manowcami się rozbiega.⁴⁴

Krzyżak, chwyciwszy za broń, wysłał przedewszystkiem na Mazowsze silny hufiec, który, zgromiwszy pod Jandzorkiem rycerstwo polskie, opanował zamek ¹⁾, a spustoszywszy okolice, spalił obok przeszło 200 wsi, miasto Kolno i Wąsosz i z wielką zdobyczą do Prus powrócił ²⁾. Wypędziwszy dalej załogi polskie z Sępopola (Schuppenbeil), Bartoszyca (Bartenstein), z Iławy (Pr. Eylau), Rastemborka ³⁾; rozbiwszy pod Róślem tatarów, których tu przeszło 600 legło ⁴⁾, wyparł polaków z ziemi barcińskiej i Natangii. Równocześnie wkroczywszy do Warmii z 5.000 żołnierza, spustoszył ją wdłuż i wszerz, a zagroziwszy Pażłękowi (Pr. Holland ⁵⁾), przedsięwziął oblężenie Hilsberku, zamku biskupa warmińskiego ⁶⁾. Powodzenie takie rozzułchwaliło do tego stopnia mistrza, że oświadczył, iż nietylko hołdu nie złoży, ale nadto żąda wydania sobie Prus królewskich ⁷⁾.

Król Zygmunt nakazał pospolite ruszenie na św. Michał 1520 r. pod Wągrówcem ⁸⁾. Zebrało się tu około 100,000 (?) szlachty ⁹⁾—wedle innych źródeł ¹⁰⁾ miało ich tylko być 70,000 (?) ¹¹⁾—a że właśnie przed paru tygodniami narodził się królowi syn, Zygmunt August, ogromna ztąd w obozie radość i wesele, „boć jest prawy następca do

¹⁾ Script. Rer. Pruss. Zerer, str. 336. Eyn neues geticht, str. 346. Voigt, IX, 608, 609.

²⁾ Script. Rer. Pruss. V, Zerer, 336. Eyn neues geticht, str. 346. Voigt, IX, 609,

³⁾ Zerer, tamże, V, 337. Pomes. can. brev. Chron. tamże, V, 448. Voigt, IX, 613.

⁴⁾ Script. Rer. Pruss. V, Zerer, str. 337. Eyn neues geticht, str. 343. Hanscat. Chron. str. 512. Freibergs Chronik, str. 342. Voigt, IX, 613.

⁵⁾ Zerer, tamże, V, 337. Voigt, tamże.

⁶⁾ Hilsberk oblężony przez Krzyżaków od 18 sierpnia do 28 listopada. Hanscat. Chron. w Script. Rer. Pruss. V, 509.

⁷⁾ Script. Rer. Pruss. V, Zerer, 338. Hanscat. Chron. str. 509. Ferber. Chron. str. 532. Chron. Oliv. str. 641. Schütz, str. 472. Voigt IX, 613, 618, 621, 623.

⁸⁾ Tamże, IX, 610.

⁹⁾ Acta Tom. V, 323, 324, 337.

¹⁰⁾ Acta Tom. V, 437.

¹¹⁾ Pomes. canon. brev. Chron. w Script. Rer. Pruss. V, 438.

tronu¹⁾. Podczas tego nadchodzi nowina, że lancknechty i rejтары niemieckie już na wielkopolskiej stanęli ziemi pod Międzyrzecem. Król przeniósł się tedy do bezpieczniejszej Bydgoszczy²⁾; a szlachta, po znacznej części do domów się rozbiegła. Powiada wprawdzie Stanisław Górski³⁾, „że król z „całym rycerstwem“ (cum tota militia) do Bydgoszczy się przeniósł,“ ale dalszy bieg wypadków i kara, którą król chciał mieć wymierzoną na „rycerzach,“ co się swym obowiązkiem przenievierzyli, inaczej świadczy.

Tymczasem zastępy krzyżacko-niemieckie⁴⁾, wyrznawszy załogę, Międzyrzec spalili (12 października⁵⁾); poczem zwróciwszy się na Drezdenko, wkroczyli do województwa pomorskiego. Zajęto bez wszelkiego oporu Chojnicę, Starogard, Tczew niszcząc, pustosząc i pałac okolicę⁶⁾. Od Tczewa ruszono d. 6 listopada na Gdańsk⁷⁾, gdzie ich nader przykry spotkał zawód, bo spodziewany tu według umowy mistrz z licznym wojskiem, ogromnym przyborem wojennym, działami, bronią i amunicją, a przedewszystkiem z potężną kasą nie przybył. Oprócz tego nie spełniała się obietnica, że skoro się pod Gdańskiem wojsko krzyżackie ukaże, to im lud, nieprzychylny patrycyuszom trzymającym z Polską, bramy miasta otworzy⁸⁾. Mistrzowi brakowało pieniędzy, bo nie był w stanie wypłacić żołdu nawet tym żołnierzom, których miał przy sobie⁹⁾. To téż nie tyle Kościelecki, starosta malborski, stojący w Żuławach wzdłuż Wisły z 3000 żołnierza, by nieprzyjacielowi nie dozwolić przejścia, przeszkodził połączeniu sił armii krzyżackiej, jak to Górski utrzymuje¹⁰⁾, ile raczej kłopotliwe mistrza stosunki były tego przyczyną. Mistrz, nie mogąc się pokazać pod Gdańskiem z prozną ręką, stał tylko obietnice, że wkrótce przybędzie, sam zaś swoich knechtów zabawił to oblężeniem Hilsber-

¹⁾ Moraw. II, 322. Wapowski, str. 578. Acta Tom. V, 337.

²⁾ Quo ex loco (Węgrowiec) quum germanicus ille exercitus propius Prussiam accederet, castra ipsa cum tota militia ad Bidgostiam transtulit. Acta Tom. V, 337.

³⁾ Tamże.

⁴⁾ Hanscat. Chron. w Script. Rer. Pruss. V, 512.

⁵⁾ Script. Rer. Pruss. V, Zerer str. 338. Hanscat. Chr. str. 509, Schütz, str. 474. Runau. str. 167. Voigt, IX, 619.

⁶⁾ Script. Rer. Pruss. V, Zerer, str. 510. Schütz, str. 474. Runau tamże.

⁷⁾ Schütz, Runau, tamże. Voigt, IX, 620. Faber-Chron. Script. Rer. Pruss. V, 531. Hanscat. Chr. str. 510.

⁸⁾ Script. Rer. Pruss. V, Spieszen Bericht vom Proussischen Krieg, str. 355. Hanscat. Chronik, str. 511. Schütz, str. 474, 475.

⁹⁾ Zerer, Script. Rer. Pruss. V, 338.

¹⁰⁾ Acta Tomio. V, 337. Porówn. Baczko, Ueber die militärischen Kenntnisse des Markgrafen Albrecht, Beiträge zur Kunde Preuss. III, 351.

ku ¹⁾, to wyrznięciem polskiej załogi i ludności bezbronnej w Gutzstacie, to zajęciem Ornety, którą mu był przekupiony Radwankowski, starosta polski, poddał ²⁾.

Zawód, na jaki wystawił mistrz lancknechtów niemieckich, wywołał ogromne w obozie wzburzenie. A gdy niedostatek, głód, słoty, brak odzieży, choroby zaczęły dokuczać ³⁾; gdy wycieczki gdańszczan, wsparty dwoma tysiącami polskiego żołnierza ⁴⁾, wielce ich niepokoiły, cofnęli się z pod Gdańska ⁵⁾ i w dniu 11 listopada stanęli w Oliwie, z kąd w kilka dni zwrócili się do starostwa puckiego. Ścigająca ich lekka jazda polska mocno cofających się niepokoiła; ale najbardziej dokuczali im chłopcy kaszubskie, co z nienacka na nich napadając niemiłosiernie zabijali ⁶⁾. Chociaż może być nieco w tém przesady, gdy kronikarz oliwski zapisuje, że cała droga od Gdańska do Lemburga, 10 mil długa, zastana była trupami niemieckich rycerów, rejtarów, i lancknechtów ⁷⁾, to jednakowoż pewną jest rzeczą, iż mała tylko liczba ucieczką do Pomeranii się ratowała. Najlepiej jeszcze wyszli jeńcy. Król Zygmunt kazał się z nimi po ludzku obchodzić, a zaopatrzwszy ich w pieniądze i odzież, pod okiem przewodników do Niemiec odprawił ⁸⁾.

Szczęśliwy zatem zbieg okoliczności obok dzielności rycerskiej, którą może za chepliwie sławią Krzycki i Dantyszek ⁹⁾, odwrócił od Polski groźne niebezpieczeństwo. Zdumiewa, iż polacy nic nie czynili, by owych łupieżców w granice polskie nie puszczać, po których

¹⁾ Voigt, IX, 621.

²⁾ Script. Rer. Pruss. V, Zerer, str. 338, 339. Pomes. can. brev. Chron. str. 438. Hanscat. Chron. str. 509, 511, 512. Schütz, str. 472, 474, 475. Acta Tom. V, 337, VI, 2.

³⁾ Acta Tom. V, 337. Schütz, str. 475. Autor kroniki hanzeatyckiej (Bernt Stegman) w niemieckim języku spisaną tak opowiada (Script. Rer. Pruss. V, 512): „Znaleźli oni przy Gdańsku kłopoty i biedę, im brakło wszystkiego, czego potrzebowali; nie mieli ani chleba, ani soli, ani téż pieniędzy, za coby sobie kupić mogli, ale nic nawet do kupienia nie znaleźli; a było téż zimno, piechury mieli mało co do ubrania. To i tym podobne okoliczności były przyczynami etc.“

⁴⁾ Acta Tom. V, 337. Schütz, 474, 475. Hanscat. Chronik, Script. R. Pr. V, 510.

⁵⁾ Script. R. Pr. V, Zerer, str. 355, 511, Schütz, str. 475.

⁶⁾ Script. Rer. Pruss. V, Pomes. canon. brev. Chron. str. 439. „aufugit exorostus turpiter versus Olivam, Putzigk et Pomeraniam. Hanscat. Chron. str. 511. Feber. Chron. str. 532. Schütz 475. Runau, str. 169, 170.

⁷⁾ ...in tantumque in caedibus ipsorum grassati sunt, ut totum iter, a Gedano usque ad Lembergsm Germanius stratum cadaveribus faereret. Chron. Oliv. Script. Rer. Pruss. V. 641.

⁸⁾ Acta Tom. V, 338, 344.

⁹⁾ Tamże, V. 344—346.

Tom IV. Grudzień 1884.

się w całych Niemczech spodziewano, iż pod wodzą w. mistrza „pożrą“ ¹⁾ polaków. Nie można wierzyć, żeby, jak to Górski pisze ²⁾, 100,000 „rycerstwa“ stać miało wówczas pod Bydgoszczą, przyglądającego się spokojnie owemu najazdowi. „Wojsko niemieckie, pisze Górski ³⁾, mogło być przez takie mnóstwo rycerstwa polskiego łatwo zniszczonem; ale król, pobożny, chrześcijański książę, mając wstręt do przelewu krwi chrześcijańskiej, postanowił bez mordów i krwi rozlewu, wyrzucić z granic swoich tych najezdników“ W tym samym duchu odzywa się Krzycki ⁴⁾ i sam król w liście swoim do królowej Bony ⁵⁾.

Król przeniósłszy się z Wągrówca do Bydgoszczy, zwołał tutaj sejm, który się w d. 2 listopada zebrał. Sejm ten odznaczał się burzliwością ⁶⁾ przy „niedbalstwie powszechném o dobro państwa,“ jak to rozżalony król nadmieniał, wskazując że każdy tylko o sobie samym myślał. To też w obec takiego usposobienia przedewszystkiem „skarżono się na niesprawiedliwość sądów, na jednoczenie urzędów w jednej osobie i wynajdywano rozmaitego rodzaju krzywdy“ ⁷⁾; wymyślano nowe i utwierdzano dawne uchwały dla ciemienia poddanych, jako to: o zbiegłych kmięciach, o pańszczyźnie itp. ⁸⁾. Wreszcie nastąpiła zgoda na pogłównie po złotemu od każdej szlacheckiej głowy, po 15 groszy od stugi ⁹⁾. Sądzono też, „że miryady powinny były wnieść do skarbu, i że jeszcze w kraju o tak strasznym podatku nie słyszano“ ¹⁰⁾. Ale „choćby poborcom przydano dozorców, jedni jak drudzy złodzieje skradli połowę“ ¹¹⁾. Na tymże sejmie zażądał król, by wedle praw pospolitego ruszenia ukarano tych, co pod Wągrówcem i pod Bydgoszczą obowiązku swego zaniedbali. Gdy jednak dla niezmiernie wielkiej liczby winnych niepodobieństwem było egzekucją przeprowadzić, powzięto uchwałę, odraczającą tę sprawę do przyszłego sejmu ¹²⁾.

Po sejmie gdy w. mistrz szybkimi swemi operacyami wojennemi niepokoił okolice pograniczne, udał się król w połowie grudnia z Bydgoszczy do Brześcia Kujawskiego. Tomicki zaś chorowity, opuściwszy króla, przeniósł się do Poznania ¹³⁾, zostawiając jako za-

1) Acta Tom. V, 338.

2) Tamże, V, 337.

3) Tamże.

4) Tamże, V, 344, 345.

5) Tamże, V, 347.

6) Tamże, V, 338.

7) Tamże. Moraw. II, 323.

8) Acta Tom, V, 338, 341.

9) Tamże. V, 338.

10) Tamże, V, 338.

11) Tamże.

12) Tamże, V, 338, 341.

13) Tamże, V, 338, 339.

stępując przy boku królewskim Krzyckiego, siostrzeńca swego, proboszcza katedralnego poznańskiego, a późniejszego prymasa ¹⁾).

W. mistrz nie upadł na duchu, chociaż miał już tylko 9000 lancknechtów i rajtarów, a całe jego wojsko razem z uzbrojoną ludnością wiejską 15 do 16,000 mogło chłopą liczyć ²⁾, których po większej części utrzymywał rabunkiem i przynusowemi kontrybucjami, tak, że ich bunt i nieposłuszeństwo często akcją jego paraliżowały. Po stronie polskiej było widoczne pewne znużenie: żołnierza było coraz mniej, a dla nieregularnej wypłaty żołdu karność się chwiała. Najgorszem zaś było to, iż plan wojenny na radzie w Bydgoszczy ułożony, wykonanym nie został. Według tego planu miano, skupiwszy wszystkie siły polskie, wynoszące 18,000 żołnierza, obrócić do Warmii dla uwolnienia jej od nieprzyjaciela, a potem w kraju Zakonu zajmować te zamki, które (jako Ostrodę, Dobrymłyn (Liebemühl) utraciono ³⁾). Ale nadaremne to były zamysły. Tylko świetna bohaterska obrona Hilsbergu, pod wodzą dzielnego Jakóba Sącigniewskiego przez polskich i czeskich żołnierzy prowadzona, co po 2 miesięcznym oblężeniu zmusiła mistrza do odwrotu ⁴⁾, jasną świeci gwiazdą w smutnej tej kampanii, co tak ubogą w świetne była czyny.

Albrecht, uspokoiwszy buntujących się żołnierzy wypłaceniem żołdu, zebranego z porabowanych sreber i klejnotów z kościołów i klasztorów brunsburskich ⁵⁾, zaopatrzywszy Brunsbek w żywność i przybory wojenne ⁶⁾, uwijał się po całych Prusiech, szarpiąc bezczynnie leżące wojska polskie, co nie umiały czasu swego skorzystać z buntów wszczętych przez załogi w Orniecie, Gutsztacie i Brunsbeku, gotowe oddać się polakom ⁷⁾. Ta niedbałość polska podniosła śmiałość mistrza, który w styczniu r. 1521, pobiwszy oddział wojska polskiego, ruszył na Nowe Miasto, które zajął, nim Jan Boratyński z odsieczą był nadciągnął ⁸⁾. Dowiedziawszy się atoli, że mu polacy od Morąga i Pażłęku tył chcą odciąć, cofnął się do Prus, by w 3000 żołnierza wpaść do Mazowsza, gdzie pałac i rabując, srogie poczynił spustoszenie. Ośm tysięcy polaków wyszło przeciwko niemu; ale nie śmiało zaczepić na-

¹⁾ Acta Tom. V, 348.

²⁾ Voigt, IX, 627.

³⁾ Voigt, IX, 627. Pomes. Canon. brev. Chron. Script. Rer. Pruss. V, 438.

⁴⁾ Tamże, V, Zerer, str. 338, Hanseat Chron. str. 509. Ferber Chron. str. 533. Chron. Oliv. str. 641. Bielski, str. 494.

⁵⁾ Voigt, IX, 628.

⁶⁾ Tamże.

⁷⁾ Tamże, IX, 626. 628.

⁸⁾ Script. Rer. Pruss. V, Zerer, str. 339. Hanseat. Chron. str. 512. Acta Tom. V, 360.

jeźdźcy, który przez sześć dni na to czekał ¹⁾). Wróciwszy do Prus, gotował się do napaści na Elbląg ²⁾).

Ten niekorzystny bieg dzieł wojennych nawet i Krzyckiego oburzać począł. Skarżąc się na niedbałość polską z powodu, iż dozwolono Albrechtowi Nowe Miasto zająć, pisze Tomickiemu, że rzeczy teraz tak stanęły, „iż jak się zdaje, nie my mistrzowi, ale mistrz nam dokuca“ ³⁾). W innym znów liście pisze: „dawniej myżeśmy byli zwycięzcami, a teraz nieprzyjaciel szyderstwo z nas czyni“ ⁴⁾). A gdy dozwolono posiłkom krzyżackim z Inflant przez Litwę ciągnąć, sarka, „że w obec tych ruchów... z naszej strony żadnego nie widać starania“ ⁵⁾). W liście zaś z dnia 6 lutego, 1521 roku pisze znów do Tomickiego ⁶⁾): „Mistrz mając 4000 żołnierza, robi co chce, a my z jak największą sromotą temu się przyglądamy. Listy niektóre jego wpadły w nasze ręce, z których dowiedzieliśmy się, iż się do nowego na Mazowsze najazdu gotuje. A tu nie ma nikogo, któryby o to dbał i o środkach zaradczych pomyślał. Wypłaca się żołd dla 5000 żołnierzy a do potrzeby zaledwie ich 700 stawa.“

Gdy więc w taki sposób ciągnęła się owa „tragedya“, jak rozżalony król trafnie wojnę tę nazwał ⁷⁾); gdy sam król niezupełnie zdrow, już blisko półtora roku od domu i od rodziny oddalony, za powrotem do Krakowa tęsknił; gdy wreszcie i synowiec jego, król Ludwik, niedoświadczony szesnastoletni młodzieniec w obec rozruchów czeskich, gdzie na życie jego nastawano, w obec swarów i kłótni magnatów i szlachty węgierskiej, nieustannie go prosił, by zechciał mu przybyć z radą i pomocą do Brzetysławia ⁸⁾); odezwała się na nowo w nim skłonność do układów i to ze zwiększoną powolnością wskutek podszeptów rozmaitych pośredników, na których nigdy nie zbywało. Cesarz Karol V, który w potrzebie przychylnym się Zygmunta okazał, wstąpił znów na te ścieżki polityki krzyżackiej, któremi dziad jego Maksymilian był chodził. W czerwcu tedy roku 1520 doradzał królowi, „iż ponieważ w. mistrz w Prusiech jest członkiem św. rzymskiego imperyum, a Zakon przytuliskiem szlachty nacyi niemieckiej: byłoby ubliżeniem imieniowi i władzy cesarskiej, gdyby za jego rządów miał Zakon

¹⁾ Script. Rer. Pruss. V, Zerer, str. 339. Eyn neues geticht, str. 346.

²⁾ Tamże, V, Zerer, str. 339. Eyn neues geticht, str. 346. Hansent. Chron. str. 513. Ferber Chron. str. 533. Acta Tom. V, 366, 367.

³⁾ ...nihil tamen est provisum. Quam autem ipse magister premeret nos nunc, non premi videtur. Acta Tom. V, 360.

⁴⁾ Tamże, V, 364.

⁵⁾ Tamże, V, 369.

⁶⁾ Tamże, V, 362.

⁷⁾ „tragedia ista.“ Tamże, V, 374.

⁸⁾ Acta Tom. V, 234, 235, 237. Dubrawski, Histor. Bohem. str. 307, 312.

być osłabionym lub co gorsza, zniesionym. Obowiązkiem tedy cesarskim jest mistrzowi dać przynależną pomoc i opiekę“¹⁾). Papież Leon X także odzywać się nie przestawał, ofiarując się z gotowością załatwienia sporu. „boć on równą a sprawiedliwą wszystkich obsługuje miarą“²⁾); a zaklinając króla „na miłość Chrystusa, błagał go, żeby mistrza nie prześladował wojną; żeby złego ztem nie odpłacał“³⁾); ale też karcić go nie przepomniął, z powodu rzekomego „jego niechrześcijańskiego usposobienia ku krzyżakom i niepostuszeństwa względem stolicy Apostolskiej“⁴⁾). Tego przecież i dla cierpliwego Zygmunta było zawiele. Odpowiadając tedy papieżowi, pisze: „iż się mocno dziwi, że papież tak usilnie ujmuje się za Zakonem, o którym przecież wiadomo, że niczem ani Kościołowi, ani wierze chrześcijańskiej się nie zasłużył; iż z bólem serca widzi, iż stolica Apostolska sojusznika wrogów Kościoła przenosi nad najwierniejszego sługę tegoż Kościoła“⁵⁾).

Wtórował owym głosom pośredniczącym także Ludwik, król węgierski, który dał się powodować fakcją habsburską, jak dawniej tak i teraz na dworze węgierskim największe znaczenie i wpływy mającą, a naglącą go by szedł ręką w rękę z Habsburgami, cesarzem Karolem V i szwagrem Ferdynandem, arcyksięciem austryackim.

Od tych więc pośredników przybyli posłowie w końcu stycznia roku 1521 do Torunia⁶⁾), dokąd przeniósł się król z Brześcia Kujawskiego z dworem i panami rady swojej. Układy ze strony polskiej prowadził Krzycki, zwolennik najgorliwszy polityki krzyżackiej Tomickiego, którego wielkie zdolności szły w parze z lekkomyślnością, tak że się okazał jeszcze mniej przezornym od Tomickiego w akceptowaniu warunków, ubliżających godności króla i Rzpltej. Uniewiniając się pisze do Tomickiego: „niechaj wasza przewielebna dostojność się nie dziwi, że teraz w sprawach tych rzecz mniej godnie, jak dawniej się traktuje, aleć inny jest teraz ustrój rzeczy“⁷⁾); i gdy zaręcza, „że zabiegi jego otwarcie tak król jak panowie pochwalają, dla czego też „momusy“ pokątnie mruczą“⁸⁾), rozumiejąc przez owych momusów nie kogo innego tylko stronictwo Łaskiego na dworze. Łaski wybierał się wprawdzie do Torunia⁹⁾); ale zanadto śpieszno mu nie było, ponieważ wiedział, że rady i propozycje jego w obec silnej koalicji przeciwników nie odniosą zwycięstwa¹⁰⁾). Jednakoż, gdy się dowiedział,

1) Acta Tom. 274 squ. Voigt, IX, 606, 607.

2) „qui aequa lance omnibus ministramus. Dogiel, IV, 212.

3) Acta Tom. V, 281.

4) Encyklop. Kościeln. IX, 501.

5) Tamże. Dogiel, IV, 206.

6) Acta Tom. V, 360 squ.

7) Tamże, V, 364.

8) „quod Momi mussant.“ Tamże.

9) Tamże, V, 356, 368.

10) „herobimus in aliquo luto.“ Tamże, V, 364.

na jak zgubnej drodze Krzycki prowadził układy, sporządził w imieniu synodu w Łęczycy, pod jego przewodnictwem właśnie zebranego, pismo do papieża, w którym go prosi, by zechciał, gwoli korzystnego dla Rzpltej załatwienia sprawy krzyżackiej przybyć Polsce w pomoc, wytuszczając obszernie a gruntownie cały przebieg i znaczenie sprawy krzyżackiej¹⁾. Pismo to przesłał prymas do Torunia królowi, ażeby papieżowi mogło być przesłanem²⁾. Widać więc, że była chwila, gdzie prymas mimo skrupułów swoich, czynny chciał wziąć udział w rokowaniach i to w opozycji do Krzyckiego. Donosząc Tomickiemu o tém piśmie, nadmienia Krzycki, że prymas „rzecz od Adama rozpoczął, a na dziecinnych swoich lamentacjach i niegodnych a nader szkodliwych jeremiadach skończył.“ „Przyślę to pismo waszjej wielbności, gdy będzie zdrowszą, gdyż teraz obawiam się, aby czytanie jego w recydywę nie popchnęło“³⁾.

Czy pismo do papieża wysłaniem zostało, nie wiemy; co się zaś dotyczy przybycia Łaskiego do Torunia i tego zaniechano. Dopiero gdy pertraktacje już ukończone były, zjawił się prymas w Toruniu. Albrecht doczekał się tryumfu zupełnego: nietylko uniknął upokorzenia wypędzenia go z kraju, ale nadto osiągnął to, że król 7 kwietnia 1521 roku, przyzwolił na rozejm do czterech lat, zostawiając mistrza przy grodach, które podczas wojny w Warmii był zajął; sprawa złożenia przysięgi i hołdu, oddaną została pod sąd arbitrow: cesarza i Ludwika, króla węgierskiego⁴⁾.

Nie dosyć na tém: daleko gorszym jeszcze miał się okazać owoc polityki rakuskiej Tomickiego.

W kilka miesięcy po zawarciu rozejmu udał się w. mistrz do Niemiec, jużto dlatego, żeby protektorów swoich nakłonić do nastawiania na szybkie, a ostateczne załatwienie zatargu jego z Polską po jego myśli⁵⁾, lub też, żeby szukać u nich pomocy i posiłków do ewentualnego podjęcia walki z Polską. Pragnąc sobie témbarziej ująć cesarza, ofiarował mu usługi swoje przeciw królowi francuzkiemu, Franciszkowi I⁶⁾; krom tego, aby znów dać dowód, że Zakon i teraz jeszcze odpowiada swemu celowi, oświadczył się także z gotowością, stanąć na czele zamierzonej przeciw osmanom krucjaty, dobrze wiedząc, że ona wedle ówczesnej konstelacji politycznej, do skutku przyjść nie może.

Zachody mistrza były jednak w danej chwili daremne. Ludwik.

1) Acta Tom. V, 362.

2) Tamże.

3) Tamże.

4) Dogiel, IV, 219—225. Acta Tom. 374 sq. Script. Rer. Pruss. V, Spiesz, Script. str. 358. Hanseat. Chron. str. 513. Ferber-Chron. str. 533. Moraw. II, 324.

5) Schütz, str. 491.

6) Voigt, IX, 680.

równie jak i arcyksiążę Ferdynand, niemniej i papież Adryan, za pośrednictwem królowej Bony, wstawiali się u Zygmunta za w. mistrzem, ale bezskutecznie ¹⁾. W Niemczech zaś stosunki polityczne były w wysokim stopniu zamieszane. Nowości religijne wszczęte przez Lutra, pogrążyły kraj w otchłań zamętu, niepokojów i domowych wojen: książęta, grafy i biskupi, nienawiścią wzajemną miotani, krwawe między sobą zawodzą zatargi i kłótnie ²⁾, a pomiędzy gminem niedwuznacznie, złowieszcze pokazywać się począły poruszenia, grożące zniszczeniem wyższym stanom, tronem i ołtarzom. Tak samo liczyć nie mógł mistrz na cesarza, co straszną ku Franciszkowi pałający nienawiścią, zacięte z tymże staczał walki. Krom tego, nieustanne waśnie i kłótnie pomiędzy Albrechtem a nieprzychylnym mu mistrzem prowincyi niemieckiej (Deutschmeister), niechącym uznać jego zwierzchności ³⁾; wszystko to nie dodawało mu otuchy. Co więcej, byli nawet książęta niemieccy, co z królem Zygmuntem zawierali przymierza zaczepno odporne przeciw mistrzowi, jakie zawarł prymas Łaski z polecenia króla w Gdańsku na początku roku 1524 z pełnomocnikami książąt Henryka meklemburskiego, Jerzego pomorskiego i Barnima, także pomorskiego ⁴⁾. Ostatni dwaj byli synami Anny, siostry Zygmunta. Ale największy kłopot czynił Albrechtowi stan kraju własnego, gdzie nędza i bieda w straszny odzywała się sposób. Lud przez wojnę do zupełnego ubóstwa przyprowadzony, dręczony drożyzną bez sposobu zarobku; handel i rzemiosła całkiem upadły, tak że o wyciśnięciu zasiłków pieniężnych i mowy być nie mogło. Mistrz sam upadał pod ciężarem długów, które przybrały takie rozmiary, że kupcy augsburscy, nawet na zastaw bursztynu krajowego najmniejszych nie chcieli płacić zaliczeń ⁵⁾. Wolf Szomberg, gdy mu mistrz poręczonych pieniędzy nie płacił, czatował na niego po drogach publicznych, by go schwycić wszdy, do więzienia wtrącić ⁶⁾. Stany zaś pruskie chciały kraj poddać mistrzowi inflanckiemu ⁷⁾; o poddaniu go Polsce, jak to dawniej nieraz

1) Voigt, IX, 677, 685, 705.

2) Tamże, IX, 675. Philipp Creutz, Relation, Scriptor. Rer. Pruss. V, 366.

3) Tamże, IX, 670, 672, 705.

4) Acta Tom. VII, 2 — 16, 375. Bernt Stegmann's Chronik vom Aufruhr 1525. Script. Rer. Pruss. V, 554 sq. X. Korytkowski mówi (Żywot Łaskiego, str. 49) o „księciu barnimskim.“ Jestto błąd. Książęta barnimacy nigdy nie egzystowali. Barnim jest imieniem osobowém, używaném bardzo w rodzie książąt pomorskich. Ziemia barnimska zaś w Marchii Brandenburskiej w historii jako księstwo wcale nie jest znana.

5) List mistrza z d. 4 marca 1524. Voigt, IX, 706.

6) List elektora brandenburskiego do w. mistrza, z dnia 21 kwietnia 1524, Voigt, IX, 707.

7) Voigt, IX, 724.

zamierzano, już teraz mowy nie było, gdy wojna dopiero co ukończona straszną jej niemoc wykazała.

Wskutek tak rozpaczliwego położenia swego postanowił Albrecht godność swoją zdać na Eryka, ks. brunszwickiego i komtura w Klajpedzie, sam zaś chciał, wstąpiwszy w stan świecki, udać się w służbę rycerską króla Franciszka I i w celu tym wysłał do niego krzyżaka, Wolfa-Dytrycha Knorrigen, który pierwsze miał nawiązać układy ¹⁾). Ciekawem jest, jak Faber, niegdyś (około r. 1820) tajny archiwaryusz w Królewcu, pojmował doniosłość tego kroku. „Gdyby Albert był plan swój wykonał, a godność w-go mistrza ks. Erykowi, brunszwickiemu, oddał; gdyby potem Zakon był wojnę rozpoczął, gdzieby wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przez Polskę zwyciężonym, a kraj ten z polskimi Prusami połączonym został... jakżeby całkiem inaczej losy Prus w biegu wypadków dziejowych się były ułożyły! cóżby teraz było? Z pewnością byłby bez tej posiadłości elektorsko-brandenburski dom mniej potężnym, a Fryderyk I. nie byłby sobie w Królewcu korony królewskiej na głowę włożył ²⁾). Aleć jak dawniej plan przeniesienia Zakonu do Fryzyi, który mistrz był powziął, tak i tą razą plan złożenia godności nie przyszedł do skutku.

Za pośrednictwem poselstwa francuzkiego w Krakowie dostała się wiadomość powyższa na dwór królewski. Oczywiście, że polska dyplomacya skwapliwie myśl tę pochwyciła, by ją na korzyść interesów polskich wyzyskać i mistrza spowdować, aby wielkie mistrzostwo ustąpił królowi Zygmunтови. Celem prowadzenia przynależnych układów, podkanclerzy Tomicki i kanclerz Szydłowiecki, wysłali do Albrechta, bawiącego w Norymberdze, Achacyusza Ceme, podkomorzego pomorskiego i starostę człuchowskiego. Połączenie miecza krzyżackiego z berłem królewskim, ulubionym było oddawna planem prymasa; Cema, który wspólnie z nim w Gdańsku zawierał powyższe z książętami pomorskimi przymierze ³⁾, zwolennikiem był tej polityki czynu i wyrugowania Zakonu niemieckiego z Prus; zważywszy wreszcie, że właśnie w tym czasie synowiec prymasa, Hieronim Łaski, z ważną misją od króla na dworze francuzkim przebywał: to i wnioskować wolno, iż to prymasa dziełem było podsuniecie królowi myśli, by wysłanym został Cema z odnośnym projektem do mistrza. Projekt wspomniany miał teraz tém większe widoki powodzenia, iż w sprawę tę wchodził także w rachubę król Franciszek I, który w zatargach z cesarzem powikłany, jak wszędzie, tak i w Polsce szukał sprzymierzeńców. Toczyły się właśnie układy pomiędzy dworami polskim i francuzkim „o odnowienie starych, a zawiązanie nowych przyjaznych stosunków i związków“ i o ustalenie związków małżeńskich pomiędzy dziećmi Zygmunta i Franciszka ⁴⁾).

¹⁾ Voigt, IX, 729.

²⁾ Beiträge zur Kunde Preussens, IV, 85.

³⁾ Acta Tom. VII, 12.

⁴⁾ Tamże, VI, 167, 169, 209 — 216. Dr. Hirschberg w piśmie

Rozmowę, którą w. mistrz miał z Cema w sprawie powyższej, opisuje sprawozdanie jego w ten sposób ¹⁾: „Zapisuje się dla potomności, co Achacyusz Cema, starosta starogrodzki, w r. 1524 w Norymberdze sekretnie a poufnie w nocy w domu Michała Rodera z polecenia pana Tomickiego, teraźniejszego biskupa poznańskiego, podkanclerzego Królestwa Polskiego i pana Krzysztofa Szydłowieckiego, wojewody krakowskiego, Królestwa Polskiego wielkiego kanclerza, ze mną traktował, wręczywszy mi pismo, własnoręcznym ich podpisem opatrzone... Jego Król. Mości pana Francyi poseł, przebywający na dworze Królewskiej Mości w Krakowie, zawiadomił powyższych panów, że się ofiarowałem ze służbą królowi francuzkiemu, że się chce do tegoż pana króla udać i ziemię i lud mój księciu Erykowi brunszwickiemu przekazać. Gdy się o tém dowiedzieli, wysłali mnie (Cemę) do Waszój Ks. Mości poufnie, by mu (mistrzowi) postanowienie takie odradzać, albowiem, jako panowie rady korony polskiej zwrócili uwagę na pokrewieństwo i na to, iż ich pana siostrzeńcem jestem. Gdy zaś wymiarkowali, że ja godność w. mistrza innemu zdać zamierzam, tedy radzili, żebym jój nikomu innemu nie ustępował, tylko ich panu, a mojemu wujowi, a ten mnie hojnie w ziemię i ludność tudziei i w pieniądze zaopatrzy... Na co udzieliłem następującą odpowiedź: Kochany Panie Cemo! Ponieważ, gdym Boską prawdę czytał i jój się przysłuchiwał, zrozumiałem słowo Boskie, że ja w tym stanie świętemu słowu więcéj się sprzeciwiam, aniżeli po jego woli sobie postępuję. Jak wiele krwi ja w tym moim stanie przelałem, i to w czasie, gdy nie miałem jeszcze poznania Boga, to Wy, którzyście to wszystko widzieli a przy tém byli, wiecie najlepiej... Ale, kochany panie Cemo, ponieważżście odemnie słyszeli, iż czytałem i pilnie się przysłuchiwałem prawdzie Boskiej, tedy ofiarowałem się, (to jest prawdą), królowi francuzkiemu służyć; jestem téż prawie gotów wzmiankowanemu (księciu) brunszwickiemu godność mistrza odstąpić, ponieważ Zakon i urząd w. mistrza zawsze i nieustannie z koroną żył w niezgodzie i wielki był krwi przelew. Ne chcę jednak gardzić wierną radą obydwóch panów i wezmę rzecz tę pod dalszą rozwagę; ale niechaj to największą pozostanie tajemnicą.“

Kto był winien, że plan, na który w. mistrz godzić się już począł, nie przyszedł do skutku, zaraz zobaczymy.

Podczas częstego swego pobytu w Norymberdze, przysłuchiwał się w. mistrz ciekawie kazaniom Osyandra, wymownego propagatora

swojém: „Przymierze z Francją z r. 1524“ twierdzi, że przymierze rzeczywiście przyszło do skutku. Temu sprzeciwił się Stanisław Łukas w recenzji umieszczonej w *Ateneum*, 1882, I, 566—572. Na wywody Łukasza zupełnie się godzimy. Były wprawdzie odnośne porozumiewania się, rokowania, umowy i rozmowy;—ale oo do zawarcia formalnego traktatu, świadectwa dotychczasowe historyczne niedopisują.

¹⁾ Memoryał ten przechowuje się w oryginale w archiwum królewie-

nowości religijnych, wzniesionych przez Marcina Lutra. Wrażenie, jakie nauki te na nim sprawiły, opisuje w jednym liście z późniejszych czasów (r. 1540) do Osyandra pisanym, w którym powiada ¹⁾: „Otóż przedewszystkiem Bogu a potem Waszój osobie cześć i dzięki za to, iżście Wy sami stali się tym środkiem, przez który do Boskiego, prawdziwego i prawego przyszedłem rozpoznania.“ Przez tego nowatora poznał się Albrecht z innymi nowatorami, a głównie z Lutrem, który dobrze rozumiał, że mistrz będzie jednym z najpotężniejszych odszczepieństwa jego filarem. Już w r. 1523 wysłał był Albrecht dwóch zagorzałych, przez Lutra gorąco mu zaleconych eksmników, Brismauna i Amanda jako kaznodziejów do Królewca, którzy, poparci przez biskupa sambijskiego, Jerzego Pohlenza, już od dawnego czasu nowój sprzyjającego nauce, pełnemi rękoma ziarno odszczepieństwa siać poczęli. Krom tego pozwolił Albrecht sekretarzowi swemu założyć w Królewcu drukarnią dla propagandy luterskiej ²⁾. Wnet téż rozwieliżniła się na dobre nowa nauka tak w Królewcu jak w innych miastach pruskich. Mnichy i mniszki opuszczali klasztory, zabierali z sobą srebra kościelne ³⁾; rycerze Zakonu nie śmieli się publicznie ukazać w płaszczu zakonnym, jeżeli nie chcieli się wystawić na urągowisko i pośmiewisko pospólstwa; to téż wielu z nich, porzuciwszy i życie konwentualne i habit, żony sobie pobrało ⁴⁾. Sam biskup Pohlenz, a wnet téż i brat jego po duchu, Eberhard Queiss, biskup pomezanski, będący już zwolennikiem Lutra, nim biskupem obrany (r. 1523) został, jawnie występowałi jako gorliwi poplecznicy odszczepieństwa ⁵⁾. Pierwszy w d. 15 stycznia r. 1524 wydał rozporządzenie, żeby chrzest w niemieckim języku się odbywał, żeby księża pisma Lutra i jego wykład pisma św. pilnie czytali; przyrzekł téż, że się postara, „aby i litwinom, staroprusakom i polakom nie zbywało na chrześciańskiej nauce” ⁶⁾; w pierwsze zaś święto wielkanocne, wstąpiwszy na ambonę, prawił przeciw odpustom, postom, mnichom i przeciw czyścowi, poczem pierwszy z biskupów katolickich oświadczył publicznie, iż jest zwolennikiem nauki Lutra ⁷⁾. Naturalnie, że z powodu tego wszystkiego w Rzymie ogromne powstało oburzenie. Papież Klemens VII, co dawniej jako kardynał protektorem był Zakonu, grozi mistrzowi,

ckiem; drukowanym jest w *Beiträge zur Kunde Preussens*, IV, 82 — 85. Błędna konstrukcją zatrzymaliśmy w jedném miejscu, dodając dla objaśnienia przynależne wyrazy w nawiasach.

¹⁾ *Beiträge zur Kunde Preussens* IV, 84.

²⁾ *Guericke, Kirchengeschichte*, III, 245. *Rhena, Programma. Vita Brismanni*, str. 8—10. *Voigt*, IX, 699, 700.

³⁾ *Tamże*, IX, 716.

⁴⁾ *Tamże*, IX, 715, 722.

⁵⁾ *Tamże*, IX, 696, 701.

⁶⁾ *Tamże*, IX, 710.

⁷⁾ *Rhena*, str. 11, 12.

„że odtąd po stronie tych stanie i tych będzie popierał,—(rozumiał on tu króla Zygmunta) — u których skuteczną a trwałą pomoc znajduje”¹⁾. A gdy się dowiedziano, że Albrecht zenić się chce, gniew Klemensa tak był wielkim, iż na tajnym konsystorzu radzono o potrzebie złożenia go z urzędu mocą rozkazu papieżkiego²⁾. Mistrz, przerażony tą groźbą, rozumiejąc, że jeszcze nie było na czasie, by się do czynionych mu zarzutów przyznał, wstrętą obłudą, co prof. Voigt „mądrością i ostrożnością” zowie³⁾, starał się zuchwałém zaprzeczaniem niewinność swoją okazać. W listach, pisanych do brata swego, margrafa Jana Alberta, bawiącego na dworze watykańskim prefata, i do prokuratora, zaklinając się, zaręcza, „że zawsze i wszędzie o to się starał, to czynił i nadal to czynić będzie, co mu się przynależy jako chrześcijańskiemu księciu św. rzymskiego imperium;” „że wszystkie oskarżenia przeciw niemu są tylko kłamstwem i oszczerstwem niezyczliwych zazdrośników.” „Żebyśmy luteraninem być mieli — piśze — nieprawdą jest. To przecież dobrze wiemy, iż przez całe życie nasze wszystkich sekt, któreby się chciały wynieść nad prawdziwą chrześcijańską wiarę, wrogami i nieprzyjaciołmi byliśmy; i dotąd, o ile wiemy, ani po litewsku ani inaczej tylko jak honorowemu, pobożnemu, chrześcijańskiemu księżęciu przystoi, nie postępowaaliśmy. Skoro tylko moja i Zakonu sprawa dobrze się zakończy... zamyślam wiernym a gorliwym być sługą papieża... od czego mnie za pomocą Bożą ani Luter ani żaden inny człowiek na ziemi nie odwiedzie.” Tak pisał 5 sierpnia, 27 i 30 listopada r. 1524⁴⁾. W d. zaś 8 listopada tegoż roku, gdy mu legat papieżki w Wiedniu wyrzucał zgorszenie, jakie daje, a mianowicie, że proteguje swego biskupa, jawnego heretyka, Jerzego Pohlenza, napisał mistrz list do biskupa, zawiadamiając go o oburzeniu papieża, jakoteż wypowiadając równocześnie swoje zdumienie, iż bez jego wiedzy tyle nowości do kościoła wprowadził. Nakazuje mu tedy, „żeby natychmiast wszystkich zaprowadzonych niechrześcijańskich obrzędów zaniechał i nie obrażał wicęć równie kościoła rzymskiego jak i papieża⁵⁾. List ten, przedstawivszy go legatowi, wysłał natychmiast do biskupa; ale równocześnie załączył potajmuje inne pismo, w którym go zawiadamia o tém, że rozkaz, który odbierze, jest „tylko pozorny, wywołany popędlivością legata —

1) List margrafa Jana Alberta z Rzymu do mistrza, z d. 11 marca 1524 r. Voigt, IX; 714.

2) Tamże, IX, 728. Listy Jana Alberta z Rzymu do Kazimierza, margr. brand. i do w. mistrza z d. 12, 23, 24 września, 1524.

3) Tamże, IX, 702.

4) Listy mistrza do margr. Jana Alberta 5 sierpnia 1524, 27 listop. 1524, do prokuratora z d. 30 listop. r. 1524. Voigt, IX, 727, 733.

5) List mistrza do Pohlenza z d. 8 listop. r. 1524 z Wiednia. Tamże IX, 732. Rhena, str. 17.

i obawą denuncyacji" ¹⁾). Voigt tłumaczy to w ten sposób ²⁾: „Podczas tego (gdy się tak w. mistrz uniewiniał), kazał sobie Albrecht przez sekretarza brata swojego Kazimierza, protestanta Jerzego Voglera, rozmaite traktaciki przysyłać, które wtenczas w sprawie Lutra tak licznie wychodziły, wypowiadając do niego i do innych powierników głośno swoje postanowienie, iż ewangelii niewzruszenie wiernym pozostanie, jakotóż, że najświętszą swoją poczytuje być powinnością, wszystko czynić, coby rozszerzenie słowa Bożego popierać i przyspieszać mogło.“

Przewrót religijny w Prusiech krzyżackich, druzgoczący zarazem wątplą podstawę polityczną Zakonu, przybrał dopiero w końcu r. 1523 groźną swą postać; a więc dopiero potem, gdy mistrz był powziął zamiar wstąpienia do służby francuskiej. Gdy się zaś sytuacja całkiem zmieniła, ociągał się z wykonaniem zamiaru swego. Żeby sobie, jak to był Cemie powiedział, rozważyć propozycją gabinetu polskiego, udał się do najkompetentniejszego swego doradcy, do Lutra Marcina, który, gdy już był dawniej rycerzów Zakonu napominał, żeby „porzucili fałszywą czystość a w małżeńskieji żyli czystości” ³⁾, następującą dał mu radę: „Zrzuć mistrzu płaszcz mniszy, pogardź ową głupią i przewrotną regułą Zakonu, ożeń się, zamień Prusy na księstwo świeckie; z owego ohydneho Zakonu, będącego mieszańcem, ni świeckim, ni duchownym, z owego monstrum niech się stanie państwo rozsądne.” Luter, donosząc Brisemannowi o téj radzie pisze d. 4 lipca 1524 r.: „Mistrz na to się uśmiechał, ale nic nie odpowiedział. Tymczasem widzę, że mu się rada moja podobała” ⁴⁾. Tak samo radził mistrzowi i drugi przywódzca odszczepieńczego ruchu religijnego, Filip Melancton ⁵⁾. Rady protestantów miały praktyczne cele na okul. Gdyby się Albrecht wyniósł do Francyi, pozbawiłby przez to Lutra jednej z najsilniejszych podpór gmachu, który z taką namiętnością budował. Aby zaś Zakon można sekularyzować, a Prusy jako księstwo świeckie Albrechtowi oddać, do tego potrzeba było pomocy i zezwolenia pana zwierzchniego, t. j. króla Zygmunta, u którego nie spodziewano się przeszkody stanowczej, ponieważ w czasie ostatniej wojny nie przestawał zaręczać, że nie pożąda ziemi Zakonu, że hołdem zupełnie się zadowolni. Albrecht, znalazłszy się w powyższych warunkach, nie miał powodu ociągać się dłużej ze złożeniem hołdu, a jako w. mistrz krzyżacki nie wahał się potargać ślubów i obowiązków zakonnych, tym bardziej, że co do tego naglił Zakon, co zwykł był sobie szydzić z układów poprzysiężonych. Zamierzona zaś zmiana stosunków przenosiła dziedziczną koronę książęcą do dynastyi brandenburskiej,

¹⁾ List mistrza do Pohlensa z tegoż dnia. Voigt, IX, 733.

²⁾ Voigt, IX, 738, 739,

³⁾ Voigt, IX, 689.

⁴⁾ Acta Boruss. I, 794, 795.

⁵⁾ Tamże.

a zwierzchność lennicza Polski miała więc formalne, aniżeli materyalne znaczenie. Zresztą przekonał się, że nie ma widoków, żeby się Zakon mógł uwolnić spod zwierzchności polskiej, że ani cesarz ani Rzesza nie są w stanie wyswobodzić go z pod panowania polskiego. Wreszcie widział, że król, chociażby i chciał, nie będzie mógł wielkich czynić trudności, ponieważ w potężnych miastach niemieckich w Prusiech królewskich, w Gdańsku, Elblągu i Toruniu, luteranizm wziął górę. Fanatyczni predykanci luterscy już namietności pospółstwa do tyła byli wzburzyli, że nowa Lutra nauka coraz głębsze zapuszczała tam korzenie. W obec tego łatwoby się stać mogło, gdyby do wojny pomiędzy Polską a luterskimi Prusami przyjsć miało, że miasta, które dotąd tak wiernie po stronie Polski stały, a pełne poświęcenia ogromną ją wspierały pomocą, pomoc tę współwiercom i współplemiennikom swoim skwapliwieby ponięsty.

Zrozumiał to Luter dobrze, dla tego, widząc, że tu religijny przewrót z politycznym się łączył, napominał i naglił, aby wszelkimi siłami jaknajergiczniej szerzyć naukę jego w Prusiech. Obok tego poszedł on jeszcze dalej; poradził bowiem, żeby w tój myśli silną pomocą agitacyą, aby z pomiędzy ludu odezwały się głosy, żądające zniesienia Zakonu i ogłoszenia mistrza ksiąźciem świeckim. Zgodnie z tym poglądem czytamy w liście Lutra do Brisemanna ¹⁾: „To jednakowoż (przemiana formy politycznej Prus) najlepiej da się zrobić, gdy lud pruski wraz z panami swymi, stosownie pouczony, pośbami swemi będzie go naglił, ażeby sprawę tę podjąć zechciał; wtenczas nastąpi, iż będzie miał konieczną a ważną przyczynę wykonać dzieło, którego pragnie. W tym interesie przybędzie, jeżeli się nie mylę, do was Spalatus... Owa zaś agitacya pomiędzy ludem niechaj nie będzie ani za nagłą ani za gwałtowną; najprzód w potocznych mowach trzeba rzecz objaśniać i wygłaszać, np. w ten sposób: gdy widoczną jest rzeczą, iż Zakon to tylko ochydną obłudą, jakżeż to pięknie będzie, jeżeli mistrz pojmie małżonkę i wspólnie z innymi panami nada krajowi, za zezwoleniem ludu, odpowiednią formę polityczną! Gdy na ten temat czas niejaki dysputować się będzie i już się pokaże, że umysły na tę rzecz się godzą, wtedy otwarcie licznemi i silnemi argumentami popierać ją trzeba.“ Instrukcyą tę wykonano z najlepszym skutkiem.

Gdy już tedy plan powyższy w. mistrz i Luter ułożyli, chodziło tylko o zbliżenie się do dworu polskiego, który jeszcze zawsze sądził, iż mistrz się do Francyi wyniesie. Za pośredników użyto ²⁾ Jerzego, marchiona brandenburskiego, brata w. mistrza i siostrzeńca Zygmunta, oraz Fryderyka, ksiąźcia lignickiego, którego pierwszą żoną była Jagiellonka, Elżbieta, siostra króla, a drugą (po r. 1517) tegoż siostrze-

¹⁾ Acta Boruss. I, 795, 796.

²⁾ Philipp Creutz, Relation, Script. Rer. Pruss. V, 366, 370. Voigt, IX, 709, 729.

nica, siostra mistrza. Obydwaj książęta byli zwolennikami nauki Lutra ¹⁾. Jerzy odznaczył się później jako gorliwy protestant, gdy na sejmie w Augsburgu r. 1530 w imieniu stanów protestujących, w obecności cesarza żarliwą wygłosił mowę, w której w zapale wykrzyknął: „nimbym się miał mego Boga i jego ewangelii zaprzecić, wołałbym tu ukłęknać i dać sobie głowę uciąć“ ²⁾. Fryderyk zaś, książę liguicki, był już od r. 1522 głównym poplecznikiem luteranizmu na Ślązku ³⁾. Lepszych zatem nie mógł mistrz znaleźć pośredników nad tych, którzy już dawniej pośredniczyli, którzy wtajemniczeni byli we wszystkie jego stosunki i zamysły ⁴⁾. Po jednej więc stronie łączyło ich pokrewieństwo z królem, a po drugiej nietylko pokrewieństwo; ale i braterstwo po duchu czyniło ich gorliwymi obrońcami planów Albrechta.

Wiadomość tak niespodziewana sprawiła w Polsce bardzo nie-miłe wrażenie. Odzywały się głosy, ażeby za pomocą oręża machinacyom tym położyć ostatecznie koniec. Na sejmach piotrkowskich w r. 1523 i 1524 ⁵⁾ wołano, by wojnę z mistrzem popierać i Zakon niemiecki z Prus wypędzić ⁶⁾. Głosy i uchwały w powyższym duchu wychodziły z pośród stronnictwa Łaskiego, z pośród szlachty, którą Tomicki mottochem ⁷⁾ nazywał, a na której prymas się opierał ⁸⁾. Prymas radził królowi pokój z Solimanem, sultanem tureckim, który zajmawszy Białogród, zagrażał Węgrom a pośrednio i Polsce ⁹⁾, ażeby mieć rękę wolną do rozprawy z Albrechtem; Tomicki zaś opierał się i jednemu i drugiemu, przez co nie małe w kraju obudził przeciwko sobie nieukontentowanie, jak to widać z jego własnych słów, pisanych do króla ¹⁰⁾. „Donoszą mi przyjaciele moi, pisze Tomicki, że niektórzy poruszyli pomiędzy ludem wielkie tragedye przeciwko mi, jako-by za radą moją się stało, iż dekret sejmu piotrkowskiego co do rozpoczęcia wojny nie został wykonanym, wskutek czego powstać miało tyle nieszczęść, których w tym czasie państwo doznało. Ja zaś przedewszystkiem Bogiem i Waszą Król. Mością, jakoteż sumieniem się mojemu świadczę, że nie odradzałem nigdy niczego, coby z korzyścią Rzeczypospolitej być mogło, że wszystko to dobre, co przezemnie w tém mojem stanowisku, jakie z łaski Wszechmocnego Boga i Waszej Królewskiej Mości zajmuję, wykonaném zostało wedle moich

1) Acta Tom, VII, 271,

2) Guericke, III, 179,

3) Tamże, III, 238.

4) Voigt, IX, 702, 745. Acta Tom. VII, 76.

5) Acta Tom. VI, 308, VII, 241, 251, 258, 287.

6) Porówn. niżej.

7) Porówn. niżej.

8) Acta Tom. VI, 78.

9) Tamże, VII, 69.

10) Tamże, V, 58.

zdolności, i za mojem poparciem przyszło do skutku; dlatego opieram się też na mojej niewinności, która mi powiada, że „ani się trwożyć, ani do żadnej winy poczuwać nie potrzebuję.“ Tak samo odzywa się w liście do Krzyckiego ¹⁾: „Co do kwereli ludzi, którzy nie wiem przez jakiego ducha podbechtani, na mnie się skarżą, jakobym ja był przyczyną, że dekret sejmu piotrkowskiego co do rozpoczęcia wojny udaremnionym został, nie wiem ani co mam powiedzieć ani co czynić, gdyż pojmuję, że nie jest rzeczą łatwą niedoświadczony motłoch (*imperitam multitudinem*) w takich skargach postrzymać.“

Tak więc gdy podkanclerzy niechętnym był podjęciu akcji wojennej, wołał nad sprawą mistrza, jak się teraz wykłuwiała, z królem „ubolewać“ ²⁾. Gdy jednak „ubolewania na nic się nie zdały“, radził tedy Tomicki wraz z innymi panami w duchu swojej polityki. Rozważano zatem sprawę pod różnemi względami ³⁾. Wskazane powyżej przymierze francuzkie nie szczególnie nęciło. Z ewentualnem małżeństwem córki Zygmunta i Bony z synem Franciszka, Henrykiem, tytułującym się księciem Medyolanu ⁴⁾, łączył się interes i sprawa księstwa Medyolańskiego. Bona była córką prawowitego ks. medyolańskiego, Jana Galeazzo Maria, którego kazał otruć jego stryj, Ludwik Moro, poczem księstwo opanował. Pozbawiony jednak téj zdobyczy przez króla francuzkiego Ludwika XII-go, w więzieniu życie zakończył. Cesarz zaś Maksymilian, a po nim i Karol V, nie chcąc, żeby w lennie niemieckiego cesarstwa, jakim księstwo było, królowie francuzcy się usadowili, popierał w krwawych wojnach synów tegoż Moro jako pretendentów do tronu, jednakowoż Bona wedle praw lennych, wykluczających córki od sukcesyi, do księstwa rościć nie mogła pretensyi, a Franciszek z wielkiem niepowodzeniem prowadził o nie wojnę z cesarzem Karolem V. W obec tego nie miały widoki medyolańskie zbyt praktycznego znaczenia. Oprócz tego wiadano, że Franciszek, folgując przyjaźni swój względem mistrza i bacząc na swój program polityczny, będzie go popierał w jego planach i zamiarach. Polityka Franciszka zasadała się zaś na tém, ażeby wrogowi swemu, jakim był cesarz, przeciwników i kłopotów coraz to więcej przysparzać, tak dalece, że nawet wyzyskując zamieszki i kłótnie religijne w Niemczech, podniecał je w tym celu, otaczając swoją opieką stronników nowój nauki i do oporu przeciw cesarzowi ich podżegając. To też bez zawodu mógł tylko mistrz, a nie Zygmunt, liczyć na jego pomoc, sko-

¹⁾ Acta Tom. VII, 68.

²⁾ „*gravi acerbissimo animo fert Mtas domini mei, et mecum saepissime queritus*,” pisze Tomicki do Władysława, podkanclerzego węgierskiego. Acta Tom. VI, 305.

³⁾ Tamże, VII, 250.

⁴⁾ Tamże, VI, 211.

ro chodziło o utworzenie państwa luterskiego, odrywającego się na zawsze od św. imperium rzymskiego.

Co do cesarza nastęrczała polityka następujące względy. Matka królowej Bony, Izabela, z domu królów aragońskich właśnie umarła, pozostawiając córce w spadku księstwo Bari, w królestwie neapolitańskim położone. Do tego spadku rościł sobie pretensye Franciszek ¹⁾, syn Ludwika Moro, ksiązę medyolański, przez protekcyę Karola V-go. Gdy zaś cesarz był także i królem neapolitańskim, a zatem równocześnie zwierzchnikiem księstwa Bari, nie wypadało go drażnić. Zgodnie z temi widokami Zygmunt nie szczędzi równie cesarzowi jak i Franciszkowi zaręczeń przyjaźni, ale nadmienienia ostrożnie, że co do czynienia usług zawsze do nich gotów, o ile mu na to pozwolą względy na własne obowiązki i na własne interesy ²⁾. Porozumienie jak najlepsze z Ludwikiem, królem węgierskim, zaczynało się właśnie niefortunnie wyteęzać. Lekkomysłny młodzieniec nie małe czynił zgorzenie przez hulaszczy tryb swojego życia, martwiło to poważnego stryja, którego napomnienia nie podobały się młodzieńcowi i wywołały między Polską a Węgrami pewien chłód i niepożądaną obojętność.

Papież wreszcie występował zawsze jako najgorliwszy obok cesarza obrońca interesów krzyżackich, nie rachując się bynajmniej z żadnemi względami na interes polityczny Polski.

Zważywszy to wszystko i dodawszy do tego jeszcze oczywisty wstręt do wojny w najwyższych, decydujących sferach rządu polskiego, nie będziemy się dziwić temu, że równie król Zygmunt jak i Tomicki przyszli do przekonania, że najnowsze zamysły mistrza bynajmniej nie są tak niebezpieczne, jak im się z początku zdawało. Mistrz ofiarował się prócz tego z gotowością złożenia hołdu, o który królowi i podkanclerzemu głównie chodziło! Oprócz tego zdawały się na przyszłość stosunki ze samym książęciem pruskim lżejsze aniżeli z Zakonem ³⁾. Gdy Zakon będzie sekularyzowany a świecki ksiązę lennikiem polskim, nie będzie już w Prusiech więćej mowy o św. imperium rzymskiem, a cesarz nie będzie miał powodu mieszać się do spraw polsko-pruskich. Że w to miejsce elektorowie brandenburscy znajdują sposobność mieszanania się do spraw polsko-pruskich, o tém nikt nie myślał, gdyż niestrudzone zabiegi dyuasty margrabskiej, przy jawnej ambicyi do coraz więkšej potęgi realnej wytrwale zmierzające, wciągnąwszy ziemię pruską w sferę swoich dynastycznych planów i interesów zdawały się krótkowidzącej polityce daleko zuośniejszemi aniżeli rozszczenia rzeszy niemieckiej, na idealnym pierwiastku wszechchrześciańskiego cesarstwa oparte!

¹⁾ Acta Tom. VII, 112, 125.

²⁾ Tamże, VI, 210.

³⁾ Moraw. II, 334.

Bądź co bądź, oswojono się z planem mistrza. Religijne względy czyniły jeszcze nieco skrupułu. Król katolicki i biskupi, czyż mieli popierać zniszczenie zakonu duchownego? czyż mieli dopomagać mistrzowi, związanemu trzykrotnym ślubem, do potargania najświętszych jego obowiązków? czyż mieli poniekąd uświęcać odszczepieństwo Prus? Uwagi powyższe zdawały się jednak milknąć obok tego faktycznego stanu rzeczy, że Zakon nieposłuszny i cesarzowi i papieżowi ¹⁾, był stowarzyszeniem religijném już zepsutém i szkodliwém, jak kiedyś Templarysze ²⁾. Na usunięcie jednak wszelkich poważnych konsydera-cyi, rodzących się w sferach decydujących, wpłynęła agitacya pomiędzy ludem, podjęta w myśl planu Lutra Marcina. Nacoczny świadek, rycerz Zakonu, Filip Creutz, dozorca zamku w Instrucie, który czasu swego przy wyborze w. mistrza głosował za wyborem Albrechta, pozostał wiernym Kościołowi i nie chcący nic słyszeć o sekularyzacyi, daje nam dokładną o tych zabiegach relacyą ³⁾: „oni, (to jest mistrz Albrecht, Fryderyk, książę lignicki i Jerzy, margrabia brandenburski) postanowili, żeby pan Fryderyk Heideck (towarzysz i dozorca zamku jandzborskiego, przebywający u w-go mistrza) jechał do Prus, i poburzył ziemstwo; jeździł też od jednego do drugiego co najznakomit-szego w ziemi i wiódł z nim rozmowy chytremi słowy tak długo, aż go na swoje stronę nie skłonił. Zapewniwszy sobie zgodę szlachty, wezwał ich do Bartoszyc (Bartenstein) i tutaj rozprawiano jakby to Zakon niemiecki wytępić i ziemię prusakom oddać. Brali udział w tym handlu w Bartoszycach: Jerzy Pohlenz biskup sambijski, Fryderyk Heideck, Michał Drache, Zygmunt, Daniel. Na tych pięciu krzyżaków spada wina rady i czynu, a na żadnego innego krzyżaka; chociaż Erhard Queis, biskup prabucki (pomezkański), jest także jednym z najlepszych radców; ale do tej chwili nie był w Bartoszycach obecny. Oprócz powyższych, należeli do tej rady: Botho Eilenburg, Henryk Kitlitz, Piotr Dunin; wszyscy trzej baronowie. Ze szlachty biorącej udział w naradzie spotykamy: Kunca Trukszes, Yorg Kunheim, Melchior Kreutz, Piotr Kobersche, Fabian Maulen, Haus Leszgevant, Dytryk Weissel, Hans Kannevitz, Zygmunt Raiter, Kristoffel sekretarz. Ci

1) Acta Tom, VII, 252.

2) Tamże, 251.

3) Relation Script. Rer. Prus., V, 366 squ. Rozżalony ten krzyżak pisze między innymi (tamże, V, 376): Ty nowy książę w Prusiech, jakżeś ty po zdradziecku z Zakonem sobie postąpił. Obraliśmy i zrobiliśmy ciebie panem kraju w nadziei, że Zakonu i szlachty niemieckiej położenie się polepzy i wszelką nadzieję i pociechę na tobieżeśmy pokładali; a otóż gorszego od ciebie na całym świecie ani pomiędzy Turkami ani Tatarami nie byłibyśmy mogli znaleźć. I gdybyś nas był mógł zrobić Zakonu żebrakami albo pastuchami, tobyś to był uczynił... Tyś zawsze złe prowadził rządy i zły miał porządek, chociaż my cię często od tego wstrzymywali, i codziennie upadek Zakonu naszego widzieli... i tak wpadliśmy w przepaść z otwartymi oczyma.

zatem byli w Bartoszycach i jeszcze więcej innych, których mi nie podano; oni to sprzysięgli się w powyższym celu, a chociaż to całkiem potajemnie uczynili, jednakowoż od dobrego przyjaciela dowiedziałem się o tém, że oni przyzwolili na ten handel i podpisem i pieczęcią zawarowali i wysłali swoich postów niebawem do margrafa Albrechta, co był wielkim mistrzem, z którym potem szybko a potajemnie dalej handel prowadzili, o co tam jednak chodziło, dociec nie mogłem... Biskup sambijski i Fryderyk Heideck wszystkich tych panów i junkrów uwiedli, oni są tego handlu i téj zdrady przywódcami, i gdy wielu totrów się zjedzie, trzeba ich słusznie na pierwszym posadzić miejscu... Skoro za ich radą i zdradą postanowioném zostało, pojechał Heideck do Królewca... tutaj zwołał mieszczan, z którymi długo się umawiał nim ich na tę samą drogę wprowadził, na której szlachta już bez skrupułu chodziła.“ Agitacya w taki sposób prowadzona, doskonale pociągała za sobą skutki! Wnet téż lud począł wołać, że w. mistrz nie może inaczej z Niemiec wracać, tylko jako dziedziczny książe, a jeżeli tego nie uczyni, to sobie innego pana znajdzie a jemu państwo odbierze ¹⁾).

Oprócz głosu ludu i decyzji Stanów, inny jeszcze argument kruszył skrupuły króla i jego podkanclerzego. Luteranizm rozszerzył się w Prusach w nader krótkim czasie do tego stopnia, że o jego wytępieniu mowy już być nie mogło. Tego przekonania był król, gdy pisał do papieża ²⁾, że „religia tam do szczytu przepadła;“ tego przekonania był i Tomicki, gdy przepowiadał, że luteranizm wielkie jeszcze zamieszanie w Kościele wywoła i Zakon z Prus wypłoszy ³⁾. Wobec takiego położenia rzeczy, zastanawiano się nad tém, że skoro Za-

¹⁾ List Breuera do w. mistrza z Królewca, po ś. Łukaszu, 1524. Voigt, IX, 743. Nicolovius: Die bischöfliche Würde, str. 97. Acta Tomioiana, VII, 252.

²⁾ „...de tota prorsus religione actum esse.“ Acta Tom., VII, 258.

³⁾ Acta Tom., VII, 210. Zakrzewski (Ateneum, 1882, II, 507), twierdzi, „że uznanie w Prusiech złutzonego księcia, nie zdawało się współczesnym zagrażać religii katolickiej i Kościołowi w Prusiech. Wśród współczesnych, w obu obozach religijnych, nikt jeszcze wtedy nie wątpił, że rozdział kościelny jest chwilowy, że jedność religijna znów powróci.“ Że zapatrywanie takie jest mylném, o tém przekonywają przytoczone powyżej świadectwa Zygmunta i Tomickiego. Właśnie z zupełnie przeciwnego pojmowania odnośnej sytuacji czerpią obydwaj argumenty dla uniewinienia postępowania swojego. Że zresztą wówczas ruch odszczepieńczy współczesnym tak niewinnie się nie przedstawiał, na to posiadamy dużo bardzo świadectw. Luteranizmu inaczej nie nazywano jak sektą (Voigt, IX, 733, 734, 744); a byli téż biskupi, co wołali, że lepiej lutrów, niż turków wytępić. Z drugiej zaś strony, papieża inaczej nie nazywano jak antychrystem; naigrawano się z obrządków rzymsko-katolickich, wyrzucano obrazy i świętości z kościołów. Straszny obraz téj wzajemnej, groźnej nienawiści, kreślą nam współczesne kroniki. Dość

kon bezwąt্পienia musi ustąpić herezyi, to lepiej a i sprawiedliwiej będzie, że kraj wróci do swego dziedzicznego pana, to jest do króla, który go po swęj myśli jako lenno innemu dać może wasalowi; że dalej nie jest rzeczą króla w Prusiech, jako w lennym kraju przeciw Lutrowi występować; że wreszcie gdy w całych Niemczech straszliwie miota „furya odszczepieństwa,“ a książęta niemieccy temu poradzić nie mogą, to i od króla, „który pod berkiem swoim liczy rusinów, tatarów, ormianów i żydów, żądać nie można, żeby pruscy poddani uroczystszym a ściślejszym węzłem przysięgi mu byli zobowiązani, od tego, jakim są zobowiązani rusini, ormianie, żydzi i tatarzy ¹⁾.

W miarę osuwania się na dworze polskim z nowym planem mistrza, postępowały i układy ²⁾, prowadzone przez dwóch wyżej wymienionych pośredników, których już w maju 1524 r. spotykamy w Krakowie. Z początku postępowano w tęj sprawie z największą tajemnicą, dla tego nie mamy o szczegółach dokładnych wiadomości. Przed cesarzem, równie jak i przed papieżem należało sekret dobrze zachować, dopóki rzecz nie dojrzeje zupełnie. Pośrednicy prosili tedy króla Zygmunta o przedłużenie rozejmu, albo tóż o zwołanie nowego zjazdu; króla zaś Ludwika i arcyksięcia Ferdynanda wzywali, żeby raczyli nakłonić Zygmunta do wysłuchania powyższych rzekomych przedstawień. Król odmawiał stale jednego i drugiego ³⁾.

W dniu 3 listopada 1524 roku zawiadomili Ludwik i Ferdynand Zygmunta, iż na Trzy Króle 1525 roku, odbędzie się w sprawie mistrza kongres pełnomocników w Brzetysławiu (Presburg), upraszając zatem, ażeby i polscy przybyli postowie ⁴⁾. Chociaż niektórzy z postów niemieckich już byli przybyli, to i tęj prośbie król nie był gotów uleść ⁵⁾. W obec takiego stanowiska dworu polskiego, podejrzewa już nawet mistrz krzyżacki „króla polskiego o tajemne kabały“ ⁶⁾. Gdy wreszcie Albrecht zaprosił na kongres Jerzego, księcia saskiego, Ludwika, księcia bawarskiego i innych, co byli najzaciętszymi wrogami Lutra ⁷⁾; gdy nadto w dniu 8 grudnia 1524 roku wyjechali z Królewca postowie stanów pruskich z mandatem, aby zażądali sekularyzacyi Zakonu, i powrotu Albrechta nie jako mistrza, ale jako księ-

będzie, gdy wskażę na kronikę oliwską (Script. Rer. Pruss., V, 641—642) i na kronikę saskańską (Stenzel. Script. Rer. Siles., I, 451 squ.

1) Acta Tom., VII, 252, VII, 293.

2) Por. Relation, Creutz, Script. Rer. Pruss. V, 366.

3) Voigt, IX, 709.

4) Acta Tom. VII, 82 et libi.

5) Tamże, VII, 87—87. Voigt, IX, 730.

6) Tamże VII, 89. Voigt, IX, 736.

7) Voigt, IX, 736.

8) Tamże, IX, 731.

cia świeckiego¹⁾; to przyznać trzeba, że przesądzono naprzód decyzyc kongresu. Filip Creuz mówi w tej sprawie: „przybyli (postowie stanów pruskich) do Szlązka, do naszego mistrza i mieli jechać do Brzetysławia, aliści omylili drogę i przybyli do Krakowa. Uzbrowiono ich w instrukcyą, którą mieli przedstawić w Brzetysławiu, lecz oni zaprodukowali ją królowi w Krakowie. Sądzę, że to jest honor na gwóźdź powiesić... A gdy do Krakowa się zjechali, to już wszystko było umówione z królem i koroną polską, jako owi dwaj książęta, książę Fryderyk lignicki i margraf Jerzy brandenburski naprzód byli postanowili“²⁾).

Na początku r. 1525 przeniósł się w. mistrz z Wiednia i Budy na Szlązk³⁾, dla większej dogodności układów z Krakowem. Najprzód bawił w Brzegu, potem w Kluczborku, a w końcu w Bytomiu. Tymczasem już w lutym radzono w pełnym senacie w Krakowie nad sprawą mistrza, na podstawie jego propozycyi. W głównych punktach zapadła już zgoda, tylko warunki i żądania mniejszej wagi, zwlekaly stanowczą decyzją senatu. Wtém nadchodzi wiadomość o katastrofie pod Pawią (25 lutego), gdzie król Franciszek klęskę poniósł i do Madrytu jako jeniec odprowadzonym został. Przez taki obrót rzeczy wzmożła się niepomiernie potęga cesarza, przeciwnika ruchu odszczepieńczego. Z obawy, żeby cesarz nie zechciał nadać sprawie polsko-pruskiej innego kierunku w myśli idei uniwersalnej cesarstwa, spieszono z ostatecznym układem, żeby w danym razie można wystąpić z faktem dokonanym. Zresztą i sprawa barska nie wymagała już dawniejszej powściągliwości, bo w d. 17 grudnia 1524 udzielił cesarz Bonie i Zygmuntovi inwestyturę na to księstwo⁴⁾.

Pośrednicy mistrza, bawiący w Krakowie⁵⁾, dokładali tedy wszelkich starań, by przyspieszyć koniec układów, które ostatecznie zamknięto traktatem pomiędzy królem a mistrzem w d. 8 kwietnia r. 1525 formalnie zawartym. Mocą tego traktatu Prusy krzyżackie zamienione w księstwo świeckie, Albrechtowi jako dziedziczne lenno polskie oddane zostały, z obowiązkiem składania hołdu królowi polskiemu, jako zwierzchnikowi swemu i panu Prus wszystkich. Król Zygmunt nie pierwszy raz ze szkodą narodu i własnych interesów, uniósł się dobroduszością i „przez szczególną łaskawość dla domu anspachsko-brandenburskiego,” uczynił współlennikami braci Albrechta, Jerzego, Kazimierza i Jana, oraz ich potomków płci męzkiej, nie wątpiąc, że „książęta, doznawszy takiego dobrodziejstwa i takiej ła-

1) Philipp. Creutz Script. Rer. Pruss. V, 369 squ. Schütz, 491. Bock, str. 127.

2) Script. Rer. Pruss. V, 369, 370.

3) Voigt, IX, 730—745.

4) Acta Tom. VII, 140—145.

5) Schütz, str. 491. Voigt, IX. 746.

ski, zastępować się będą jak przystało uczciwym sługom i krewnym" ¹⁾. Dobrotliwy, ale niebacznym król, nie rozważył, iż łaskawość jego uunęła bezpowrotnie połączenie obojga Prus pod berłem polskiem, a margrabiom otworzyła wrota do mieszania się do spraw polskich!

W dniu tedy 10 kwietnia r. 1525 na rynku w Krakowie wzniesionym został wspaniały tron, na którym zasiadł Zygmunt w koronie i płaszczu królewskim. Towarzyszyli mu z ratusza prymas Łaski i biskup krakowski Tomicki; przed nim szli Andrzej Górka i kasztelan krakowski Mikołaj Firlej. Pierwszy niósł miecz poźłocisty, a drugi złotem i drogiemi kamieniami lśniącej berło. Za nimi postępował wojewoda sieradzki, Hieronim Łaski, z czteroletnim królewiczem na ręku. Za królem szło 6 biskupów z sekretarzami i księżę mazowiecki. Królowa, otoczona świetnym wieńcem pań dworskich, zajęła miejsce na estradzie, naprzeciw tronu ustawionej. Naokół zaś stało 2,000 zbrojnej piechoty i niezliczone mnóstwo ludu. Gdy król zasiadł na tronie, padli postowie księżęcy na kolana z prośbą, aby raczył przyjąć hołd od ich pana. Gdy po mowie Tomickiego król przychylił się do zanieśonej przed jego majestat prośby, wjechał mistrz w towarzystwie ks. Fryderyka i margrafa Jerzego, jakoteż postów pruskich, na dzielnym rumaku, poraz ostatni przyodziały w płaszcz Zakonu z krzyżem; a zsiadłszy z konia, przystąpił przed tron i podziękował za wyświadczoną mu przez króla łaskę, oświadczając zarazem gotowość wykonania przysięgi wierności królowi i koronie polskiej. Poczém, gdy zgiął kolano wspólnie z obydwoma księżętami, zdjęto mu płaszcz zakonny, a włożono księżęcy; Tarło, chorąży koronny, podał chorągiew białą adamaszkową, którą zdołał orzeł czarny ze złotą koroną na szyi i ze złotemi szponami, cyfrą pańską (głoską S.) na piersiach pokryty; na kolanach króla złożyli Łaski i Tomicki księgę ewangelii; mistrz, położywszy rękę na ewangelii św. następującą złożył przysięgę: „Ja, Albrecht, księżę pruski, margraf brandenburski i t. d., ślubuję i przysięgam Bogu Wszechmogącemu, że od téj chwili na wieczne czasy będę wiernym, uległym, hołdownym i posłusznym ze wszystkich mými poddanymi, duchownymi i świeckimi Najjaśniejszemu Miłościwemu Panu Zygmuntowi, królowi polskiemu i jego potomkom, oraz całej koronie polskiej w ten sposób, w jaki należy się i przystoi księżęciu lennemu, miłośnikowi pokoju, a to według opisu i w sprawach, jak jest rozporządzone. Tak mi Boże dopomóż i święta ewangelii!” Poczém wziął król miecz w rękę. Mistrz znów ukląkł, a król trzykrotném uderzeniem ponownie na rycerza go pasował, a potém złotym kosztownym łańcuchem przyozdobił. Nabożeństwo i uczta zakończyły uroczystość ²⁾.

¹⁾ Dogiel, IV, 225—236. Acta Tom. VII, 217—240. Script. Rer. Pruss. V, 359, 366, Schütz, str. 495—501.

²⁾ Schütz, str. 500—501. Faber, Preuss. Arch. II, 109, 113. Philipp, Creutz, Relation, w Script. Rer. Pruss. V, 370. Acta Tom. VII, 253, 254. Bock, str. 135, 136.

Czy rzeczywiście z rozradowanego serca płynęły słowa Tomickiego, gdy do Dantyszka pisał ¹⁾: „Otóż mistrz z wilka jagnięciem, z najzaciejszego wroga uniżonym i jaknajpostulszniejszym stał się poddany! Rzecz podziwienia godna, o której ani my, ani przodkowie nasi nie myśleli.” Może być, że konsyderacye polityka krótkowidzącego, co się nie kusi o to, co w przyszłości z danego faktu wyniknie, może być, że świetny pozór sukcesu chwili sumienie jego uspokoiło. Luter, dowiedziawszy się, że po jego myśli sprawa w Krakowie się zakończyła, pełen tryumfu, pisze do biskupa Pohlenza ²⁾: „Patrz, otóż i cud! w pełnym biegu, pełnemi żaglami spieszy ewangelia do Prus!”

Gdy wiadomość o tém wszystkiém do Madrytu przybyła, ogólne zapanowało oburzenie na dworze cesarza Karola, tak, iż zrozpaczony Dantyszek, poseł Zygmunta, pisze do Tomickiego ³⁾: „Z powodu tej nowiny, wielu tu na mnie spogląda, jakoby na monstrum jakie.” Ale i papież, Klemens VII, zasmucony był niemało takiém zakończeniem zatargu krzyżackiego ⁴⁾. Grubą niewdzięcznością odplacił się papieżtwu „Achilles niemiecki,” jak Albrechta nazywali. Do niego zatem słuszny mogła mieć żal kurya rzymska: ale przy nieżyczliwości, jaką w całej tej sprawie równie cesarz jak i papież względem interesów polskich okazywali, nie godziło się w obec naturalnej konsekwencyi ich polityki krzyżackiej, czynić Zygmunta odpowiedzialnym „za zgubę wiary” ⁵⁾. Słusznie też odparł król, „że tyle razy powściągany od oręża przeciw krzyżakom przez samego Ojca św., pojsć musiał w ostatku za jego tylokrotnie objawioném życzeniem i przeniósł pokój nad wojnę. Do zmiany, jaka zaszła, on nie pomagał; owszem -- ile sił -- przeszkadzał” ⁶⁾. Uspokoił się wreszcie papież Klemens: z uśmiechem odpowiedział już Myszkowskiemu, sekretarzowi prymasa: „Otóż wasz król w ugodzie pruskiej zdaje się naśladować Maksymiliana cesarza, który najprzód to uczynił, co uznał za korzystne dla cesarstwa i państw swoich, a potem dopiero prosił o apostolskie zezwolenie na czyn już spełniony” ⁷⁾.

Na rynku krakowskim skończył się tedy z okazałym efektem dramat krzyżacki. Król, mistrz, Tomicki, a na uboczu Łaski, to główne figury na scenie. Epilog w 250 lat później odegranym został. Nie minęło pół wieku, a przekupstwo dokonano ⁸⁾, iż na sejmie w Lublinie, r. 1569, pokrewni Albrechtowi elektorowie brandenburscy

¹⁾ Acta Tom. VII, 274.

²⁾ List Lutra do Pohlenza w kwietniu, w De Wette, II, 649.

³⁾ Acta Tom. VII, 271.

⁴⁾ Tamże, VII: 203.

⁵⁾ Moraw. II, 337.

⁶⁾ Tamże, II, 336.

⁷⁾ Acta Tom. VII, 284.

⁸⁾ Tamże, II, 455. Helwing, Geschichte des brandenburgischen Staates I, 799.

przypuszczeni zostali do współlennictwa z prawem następstwa; w roku zaś 1657 anarchia i bezwładność państwa sprawiła, iż zwierzchność lennicza oddawna de facto zapomniana, na mocy traktatu welawskiego i de jure zupełnie zniesioną została. A elektorowie, późniejsi królowie pruscy, zostawszy z Łaski nieprzezorną polityką Tomickiego i słabości Zygmunta udzielnymi panami księstwa pruskiego, wytknęli sobie jako wyraźny cel swojej polityki: połączenie księstwa pruskiego z dziedzicznym swym krajem, z elektoratem brandenburskim, przez zagarnięcie ziem Prus królewskich, rozdzielających ich dynastyczne terytorya. Z otchłani tej polityki wypłynęła idea wymazania z karty europejskiej nazwiska swego dawnego lenniczego pana.

To był tryumf polityki rakuzkiej Tomickiego nad polityką antyrakuzką, narodową prymasa Łaskiego.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Uroczystość Piotra Kornela w Rouen.—Mowa akademika Boissier.—Zmarły Paweł Lacroix (Le Bibliophile Jacob).—Doroczne zebranie pięciu Akademii.—Mowy pp. Fryderyka Passy i Saint-Saëns.—Opera „Etienne Marcel.—„La patrie Hongroise,“ opis podróży po Węgrzech pani Edmond-Adam.—„Akademia za czasów Dyktoryatu,“ przez Juliusza Simon.— Powitanie Ignacogo Domejki w Towarzystwie literacko-historycznym w Paryżu.

W tym roku właśnie, kiedy my obchodziliśmy trzechsetletnią pamiątkę skonu Jana Kochanowskiego, Francya czcila pamięć Piotra Kornela, zmarłego dwieście lat temu. Nie będziemy opisywać tych uroczystości, odbytych tak w Paryżu jak w mieście Rouen, normandzkim gnieździe poety: dość już mówiły o nich pisma codzienne i tygodniowe. Nie możemy jednak pominąćfaktu bardzo charakterystycznego. Podczas kiedy wszystkie towarzystwa tak literackie jak przemysłowe i rzemieślnicze, zacząwszy od poważują Akademii francuzkiej, aż do cechu rzeźników i kominiarzy rouenskich, sypały wieńce u stóp Kornelowskiego pomnika, sami jedni koryfeusze sztuki dramatycznej, nie wzięli udziału w godach na cześć ojca teatru francuzkiego, jak od dwóch wieków nazwano Kornela. Wiktor Hugo wymówił się przynajmniej grzecznym listem, gdy tymczasem młodszy latami panowie, Dumas, Augier, Sardou i Pailleron, uwolnili się nawet od tój formalności. Dzienniki zgorzone tén zaniedbaniem, zapisały je w kolumnach swoich; rzecz jednak dziwna, że żaden z nich nie odgadł istotnego powodu nieobecności tych głośnych dziś dramaturgów; powód ten uderza jednak w oczy.

Delegowany od Akademii francuzkiej p. Gaston Boissier przygotował mowę na dzień uroczysty, i odczytał ją według zwyczaju w gronie kolegów, zanim ją wypowiedział w Rouen. Otóż więc ta mowa, nakreślona z akademicką biegłością, pełna delikatnych, ale ostrych pocisków, ukazuje smutny stan sztuki dramatycznej w obe-

cnój chwili, kiedy ubieganie się za efektem zastępuje myśl wyższą i doprowadza teatr do upadku. Przytaczamy pełną znaczenia mowę pana Boissier.

„Akademia francuzka łączy się z wami w hołdzie, jaki po dwóch wiekach składacie wielkiemu Kornelowi, łączy się tém chętniej, że cześć oddana jednemu z jój członków, spada na całą literaturę. Niech co chcą uowią pesymiści, literatura musi poruszać jeszcze umysły, skoro wśród zaciętych sporów politycznych, wśród tylu stroniczych nienawiści, ludzie wszelkich barw i odcieni zaprzestają na chwilę namiętnych walk i łączą się razem, na hasło literackich godów!

„Pamiętajmy że mąż, którego sława tu nas zgromadziła, nie był żołnierzem ani politykiem, nie brał udziału w rządach, nie posiadał ani bogactw, ani potęgi. A jednak pamięć jego żywą pozostała w narodzie, skoro tłumy ciągną ze wszystkich stron, aby uczcić drogą nam jego pamięć. Dwa wieki temu Rassyn, głosząc pochwałę Kornela w obec Akademii, powstawał na śmieszny przesąd, mieniący utalentowanych autorów ludźmi nieużytecznymi w państwie: utrzymywał on, że jakikolwiek przedział mógł istnieć za życia między nimi a słynnymi ludźmi czynu, przedział ten znika jednak po śmierci, a potomność wykształcona pod wpływem wielkich pisarzy, stawia w myśli swojej genialnego poetę obok tryumfującego wodza. Dumne te słowa zdziwiły zapewne słuchaczy, dla wielu z nich były może skandalem; Rassyn miał jednak słuszność, uroczystość dzisiejsza wymownie o tém świadczy. Z pomiędzy słynnych ludzi tamtych czasów, wielużto po śmierci otrzymało zaszczyt, jaki dziś oddajecie Kornelowi? Kto pamięta owe osobistości tak wtedy głośne, które zajmowały tak wiele miejsca, pociągały do siebie oczy wszystkich: owych generałów, wielkich panów, bankierów, ministrów, w obec których Kornel wydawał się tak małym, na których poglądał zdaleka, zmuszony nieraz dla kęsa chleba skłonić przed nimi głowę? Czas zatartł do szczytu ich pamięć. Kto dziś nie przepomniał ich imion?

„Czas nieprzebiegany dla ludzi, zburzył wraz z nimi istniejący porządek. Od śmierci Kornela stare społeczeństwo rozprzęgło się i znikło. Królestwo, arystokracja, parlament, wszystko to dziś stuletniami przywalone gruzami. Z zabytków przeszłości pozostała tylko Akademia, którą tu mam zaszczyt przedstawiać. Rzecz godna uwagi: w kraju, gdzie wszystko zużywa się i mija, sama jedynie literatura zdołała utworzyć trwałą instytucją.

„Jeśli chwata Kornela przetrwała nietknięta na tych zwaliskach, jeśli blyszezy dotąd w świecie, który nie jest już jego światem, to dlatego, że pisząc dla teatru, gdzie publiczność narzuca zwykle prawa autorom, gdzie moda panuje wszechwładna, miał odwagę zerwać ze skażonym smakiem swój epoki, że wolał raczej niepodobać się współczesnym, aby kiedyś podobać się potomności. Przeczuwał on siłą geniuszu, czém powinien być dramat francuzki; podczas gdy współzawodnicy jego starali się pobudzać ciekawość widzów, poplątaną intry-

gą, nagromadzeniem dziwacznych przygod i efektów, on szukał wyższych pobudek, malując serce ludzkie, wprowadzając w grę namiętności, słowem przenosząc na scenę obrazy wzięte z życia. A ponieważ dusza ludzka nie zmienia się nigdy, ponieważ życie, objawiając się w różnych formach, pozostaje w gruncie jeduém i temże samém, Kornel przeto pisał dla wszystkich wieków.

„Nasz wiek szczególniej wiele skorzystać może, rozczytując się w jego dziełach. Są choroby, na które jedynym środkiem pobyt na szczytach gór, wśród czystej i orzeźwiającej atmosfery. Azaliż w chwili kiedy literatura nasza chyli się do poziomu, nie byłoby zdrowo i pożytecznie ożywić ją tchnieniem wielkiego poety, który może podnieść ją na wyżyny. La Bruyere chwalił Kornela za to, że malował ludzi, jakimi być powinni, my tymczasem mamy dziś szkołę, przedstawiającą ich gorszymi niżli są rzeczywiście. Jeżeli szkoła ta mniema, że grubiańska forma sztuki, sama jedna odpowiada społeczeństwu demokratycznemu, przypomnę jój, że najdawniejszy z realistów, Petroniusz, kreślił bezecne obrazy, gwoli ucieście rospasanego dworu Nerona.

„Dzieła prawdziwie popularne są te, które wrywają tłum choćby na chwilę, które pocieszają go, podnoszą, ukrzepiają, otwierając przed nim szerszy widnokrąg. Takie dzieła jedynie przejdą do potomności. Co zaś do autorów, którzy wypowiedziawszy walkę ideałom, usiłują poniżyć się, a zarazem poniżyć społeczeństwo i marnotrawią talent na malowanie brzydoty i skaz natury naszój, ci mogą zjednać sobie jednoliniowy poklask współczesnych, lecz nie pracują dla potomności. Do nich-to można zastosować słowa Kornela:

Imię ich przebrzmi, wnet czas je zanurzy
Na wieki wieków w bezdennój kałuży.“

Przytoczyliśmy w całości tę mowę, dotyka bowiem najważniejszych zagadnień poruszających świat literacki. Boissier wystąpił śmiało przeciw prądom, które wstrząsły dziś do gruntu literaturę francuzką i grożą na zewnątrz wylewem niebezpieczniejszym nad inne, bo zatruwającym ducha w społeczeństwach dotkniętych tą zgubną powodzią!

Umarł w tych czasach w Paryżu zasłużony i sympatyczny pisarz, który od lat sześćdziesięciu nie składał na chwilę pióra, a którego różnostronna działalność zmagala się, rzec można, z wiekiem. Mówiny o Pawle Lacroix, znanym w literaturze pod pseudonimem Jakóba Bibliofila. Wziął on czynny udział w zapasach romantyków z klasykami, nie tyle oryginalnością utworów, jak raczej zbieraniem dawnych, zapomnianych tradycji, w których budownicy nowego gmachu literackiego znajdowali niewyczerpany zasób.

Od najntodszych lat Paweł Lacroix. w oczach tych co go nie

znali osobiście, uchodził za starca, wyschłego nad księgami, z okiem zakłętym, cerą pergaminową. Rad z tego, lubił sam wprowadzać w błąd czytelników przez to, że do książek swoich takie naprzykład wybierał tytuły: „Gawędy starego Bazarza,“ „Opowieści Jakóba Bibliofila dla swoich wnucząt,“ „Kiedy byłem młody“ i t. p. Z drugiej znów strony inne dzieła pełne erudycyi utrzymywały ogół w przekonaniu o późnym wieku autora. Nie mały też podziw sprawiały sypiące się z każdym rokiem coraz to liczniejsze jego prace, w najrozmaitszych przedmiotach, dotyczących zwykle przeszłości. Z wielu bardzo względów postać Bibliofila Jakóba łączy się w myśli naszej z postacią nieodżałowanego Kazimierza Władysława Wójcickiego. Urodzeni w jednymże roku 1807, obaj wystąpili z drukowanymi dziełami w roku 1829, prace ich jeden miały charakter. Miłość przeszłości ożywiła obu jednak i do wytrwałej pobudzała ich pracy. Obaj zachowali w pamięci nieprzebrany zasób tradycyi domowych i z upodobaniem udzielali ich młodszemu pokoleniu. Wójcicki tak samo jak Lacroix, pełen powagi w młodzieńczych jeszcze latach, uchodził za sędziwego męża w przekonaniu tych, którzy go nie znali. Sam opowiadał nam ze śmiechem, jak badacz starożytności płockich Gawarecki, przybywszy do Warszawy w czasie, kiedy wyszły z druku trzy tomy „Przysłów narodowych,“ zapragnął poznać się z ich autorem. Gdy mu przedstawiono dwudziestoletniego ucznia uniwersytetu, obraził się widząc w tém niewczesną mistyfikacją,

Do obu zasłużonych pracowników, możnaby zarówno zastosować ów wierszyk jednego ze współczesnych poetów.

Kiedy był młody—ludzie mówili: on stary już,
Spragniony wiedzy, przebiegł swą ziemię: wszecz i wzdłuż,
Zna ksiąg tyiące, sam ich nakreślił nie mały stos,
Przy twardej pracy zbladły mu lica, pobielał mu włos!

Kiedy był stary—ludzie mówili: snąc młody on!
Głos jego mężki, niby spiżowy pobrzmiwa dzwon.
Wciąż sieje ziarno, z serca współbaci wyplenia ohwast,
Rozbudza pastwo,—do nowych lotów pędzi je z gniazd.

A kiedy spoczął znojnny pracownik po latach prób,
Ludzie pytali: zaliż go zimny pochłonał grób?
Do wieka trumny kto z nas przyłoży serce i słuch,
Wie, że w téj piersi—pod śmierci lodem, drga żywy duch.

Zakłęty w słowo, ten duch nam przedzie złociąta nić,
Uczy jak zbierać na łanach kłosy, jak wiersze wić,
Jak woli młotem skrę z granitowych wykruszać skał,
Nie miłozy w grobie, kto w znojnnej pracy pół wieku trwał!

Niepodobna nam wyliczyć wszystkich dzieł Bibliofila Jakóba. W czasach, kiedy smak powszechny zwracał się ku badaniu starodawnych zabytków, bądź przechowanych w tradycji ludowej, bądź przyrosłych do gruzów starych zamczysk, coraz to nowe obrazy sypały się spod jego pióra. W powieści „Król rybałtów,” ożywił pamięć tych wędrownych gędźbiarzy, co w XV wieku przebiegali z pieśnią miasta i zamki panów, objawwszy puściznę po dawnych trubadurach. W innej powieści „Dwaj trefnisie,” wy dobył z niepamięci postać Trybuleta, którego Wiktor Hugo uczynił później bohaterem dramatu („Le Roi s'amuse.”) Inna znów kronika fantastyczna z XV w., „Taniec śmierci,” o mało że nie przyprawiła o śmierć młodego autora.

Było to w r. 1832, cholera pojawiła się w Paryżu poraz pierwszy, zabierała codziennie setki ofiar. W zakładzie typograficznym Cosson, gdzie drukowano dzieło Bibliofila Jakóba, w ciągu dni kilku padło jój ofiarą pięciu zecerów. Ilekroć który z nich dotknął rękopisu, śmierć brała go w wirowe obroty. Przerażeni zecerzy wdziali w tém sprawę szatańską. W mniemaniu ich rękopisem był zaklęty, autor trzymał z piekłem. Zrozpaczeni, postanawiają zgładzić czarownika: szczęściem roztrośniejsi powstrzymali towarzyszków od zbrodni. Skończyło się na tém, że nakładca musiał przerwać druk książki. „Taniec śmierci” opuścił dopiero prasę, kiedy cholera ustąpiła z Paryża.

Spokrewniony i ścisłą złączony przyjaźnią z młodym podówczas Henri Martin, Bibliofil popchnął go pierwszy do wielkiej pracy nad „Historją Francji; dostarczał mu skrętnie materiałów, udzielał rad, zachęcał do wytrwania. Obaj wykonali razem inną konkursową pracę: „Historją miasta Soissons.“ Henri Martin napisał tom pierwszy, dociągnięty do XII w. Lacroix w tomie drugim doprowadził rzecz do czasów współczesnych. Sąd konkursowy przyznał im nagrodę 12,000 fr. z zapisu zmarłej pani Marechal, rozmiłowanej w rodzinném swoim mieście. Do sędziów należał słynny historyk Augustyn Thierry. Miasto Soissons tymczasem rozrzuciło się inaczej: połowę nagrody przeznaczyło jednemu z miejscowych erudytów. Wyniknął ztąd proces; wygrali go paryzcy laureaci. Owóż ta suma o mało znów nie zgubiła Bibliofila. Na ręce jego nadeszła z Soissons kwota, złożona ze srebrnych pięciofrankówek. Opieczętowane wory leżały właśnie na biurku, kiedy ukazał się we drzwiach człowiek dziwnej postaci, z cerą śniadą i odrażającym wyrazem twarzy. Zapytany czego żąda, oznajmił, że jest oficerem, że matka umiera gdzieś na prowincyi; musi czemprędzej dążyć do niej, prosi więc o pożyczkę na drogę.

— Wierutne bajki — odrzeczze ze śmiechem Lacroix — proszę ustąpić, inaczej dam znać policyi.

— Biała temu, ktoby dotknął wojskowego! — zawołał przybysz, to rzekłszy, dobywa długi sztylet. Cofnął się jednak, spostrzegłszy w téj chwili, że Lacroix nie był sam: krzepki towarzysz prac jego, przeglądając książki w bibliotece.

Natręt znikł w okamgnieniu.

Upłynęło kilka miesięcy; przed sądem przysięgłych miała się wytoczyć sprawa mordercy Lacenaira, schwytanego właśnie na gorącym uczynku. Lacroix pospieszył na sądy. Wzdrygnął się przerażony widokiem zbrodniarza: poznał w nim gościa swego.

W miarę, jak wytrwały pracownik, ogarniał coraz szersze wiodokreśli dziejowe, rozszerzały się ramy jego dzieł historycznych. Od r. 1847—1852, wydał 5 wielkich tomów, p. t.: „Sztuka w średnich wiekach i w epoce odrodzenia.“ Dalszym ciągiem téj pomnikowej pracy była przepyszna publikacya, p. t.: „Społeczeństwo francuzkie w XVII i XVIII w.,“ wydana u Didota, w czterech wielkich tomach, ozdobionych mnóstwem wytwornych drzeworytów i chromolitografii. Każdy tom, tworzący odrębną całość, wychodził zwykle na Nowy Rok, i stanowił nader cenny upominek kolendowy. Zeszłoroczny tom obejmuje czasy dyrektoryatu i pierwszego cesarstwa.

Przez lat 17 Paweł Lacroix był jednym z współwydawców pisma p. t.: „l'Intermediaire de chercheurs et curieux“ (Pośrednik ciekawych poszukiwaczy). Oryginalny ten przegląd ma osobną rubrykę pytań, zadawanych w rozmaitych przedmiotach naukowych, literackich, archeologicznych i t. d. Odpowiedzi głoszone są w następującym numerze. W tém piśmie drukował Bibliofil ciekawe ustępy z pamiętników swoich. Pamiętniki te pozostały w rękopiśmie, obejmą tomów 10. Jestto, jak mówią, najdokładniejsza historia ruchu literackiego pomiędzy r. 1820 a 1848. W roku zeszłym wydawcy brukselscy usiłowali nabyć tę ważną pracę, Lacroix odmówił: nie chciał za życia ogłaszać drukiem osobistych swych wspomnień.

Złączony gorącą przyjaźnią z Aleksandrem Dumasem, w ostatnich czasach zajmował się jego biografią: ta nieskończona praca dodaną będzie, jak mówią, do pamiętników. Z Balzakiem łączyły go stosunki nietylko literackie, ale i familijne. Dwie siostry, Rzewuskie z domu, poślubiły dwóch słynnych literatów francuzkich. Jedna, zmarła niedawno, była żoną Balzaka, druga, żyjąca dotąd, jest żoną Juliusza Lacroix, znakomitego poety, rodzzonego brata Bibliofila Jakóba.

Od r. 1855 do końca życia, Paweł Lacroix był bibliotekarzem w księgozbiornie „Arsenału.“ Miejsce to objął po skonie Mickiewicza; zajmował nawet ten sam lokal przywiązany do urzędu, w którym wielki nasz poeta mieszkał przez kilka lat ostatnich życia swego.

W dniu 25 października, Instytut francuzki obchodził 90-cio-letnią pamiątkę założenia swego: delegowani pięciu Akademii wystąpili z mowami, przy niezwykłym napływie publiczności. Ogromny ten napływ spowodowany był przemówieniem księcia Aumale, w imieniu Akademii francuzkiej, co dla republikanów tutejszych ma zawsze niepospolity urok. Rozprawa księcia, wyjęta z drugiego tomu historii Kondeuszów, przygotowanego do druku. Nie będziemy zatrzymywać

się nad nią, gdyż strategia, przechodząca zakres naszej wiedzy, wyłącznym jej była tematem. Przyznać jednak musimy, że autor umiał ożywić suchy przedmiot. Postać Turenusza, zdaniem ogólném, skreślona po mistrzowsku. Zdziwiło nas tylko wyrażenie, że Turenusz był jednym z pierwszych, a może i najpierwszym wodzem w świecie. Takie przepomnienie Napoleona wydaje nam się rażąco niesprawiedliwém.

W imieniu Akademii nauk moralnych i politycznych, wystąpił Fryderyk Passy. Z niesłychaną zawziętością powstał przeciw kiermaszom zarogatkowym, w których lud paryżki tak wielkie ma upodobanie. Surowy ekonomista widzi największą plagę społeczną w tych zbiegowiskach szarlatanów, cyganów, rzeczimieszków i t. p., wyzyskujących lud łatwowierny, do zbytku chciwy wrażeń. Gorąco też napomina administracye municypalne, aby położyły tamę owym ulicznym saturnaliom, które odrywają od pracy rozpróżnioną gawieź. Z równém oburzeniem potępia akademik owe tobole i jarmarczne zabawy, powtarzające się dziś w samym Paryżu, za każdą klęskę publiczną: widzi w nich istne urągowisko z też nieszczęśliwych ofiar.

Te klątwy ekonomisty wywołały żywą polemikę. Jedni utrzymują, że się porwał z maczugą na komara, inni przyklasnęli mu szczerze. Głos ogólny uznaje, że jeśli niepodobna odmówić ludowi wszelkich zabaw, należałoby jednak nadać im szlachetny charakter i usunąć z nich gorszące nadużycia.

P. Saint Saëns, przedstawiający Akademią sztuk pięknych, przemówił o muzyce: określił ją w przeszłości i w czasie obecnym, rzuca nawet hipotezy na przyszłość. Bardzo trafnie uczony kompozytor odróżnia operę francuską od włoskiej i niemieckiej.

„We Francji — mówi on — opera nie miała nigdy cechy harmonicznej, ani metodycznej, w ścisłym znaczeniu słowa, ale była przeważnie dramatyczną. Podczas, gdy Włochy, ojczyzna liryzmu, poświęcały dramat dla melodyi, podczas, gdy Niemcy, posunawszy wysoko instrumentacją, dały uczonej symfonii zapanować nad dramatem, Francja pochwyciła dramat liryczny, a skłaniając się to do Włochów to znów do Niemców, nie spuszczała nigdy z oka własnego celu; opera była dla niej przedewszystkiem dramatem, poddawała więc i śpiew i symfonię pod prawa akcji dramatycznej. Najśłynniejsi kompozytorowie zagraniczni, kiedy pracowali dla Francji, musieli stosować się do jej poglądu, z niemałym dla siebie pożytkiem. Wiadomo powszechnie, że Gluck, Spontini, Rossini i Majerbeer, znaleźli w smaku francuzkim niemylnego przewodnika, a idąc za nim, rozwinęli geniusz swój do najwyższej potęgi.

„Francja muzyczna, była nie tylko dramatyczną, ale zarazem i uczoną. Kiedy Sebastyan Bach budował olbrzymie dzieło, rodzaj budowy gotyckiej o wspaniałych łukach i kolumnach cudnie rzeźbionych, nasz wielki Rameau tworzył zasady harmonii i stosował je sam do śmiałych i potężnych kompozycji swoich. Piękny zatem dział

przypadł Francji i niesłuszny spotyka ją zarzut, iż w muzyce naśladowała drugich. Jeśli ulegała wpływom sąsiadów, wywierała ze swjej strony ogromny wpływ na zewnątrz. Kto badał dzieje sztuki, ten wie, że Niemcy bardziej niż Francya składały haracz Włochom.

„Za dni naszych muzyka w Niemczech przyszła do najwyższego rozkwitu; piękna jej epoka krótko jednakże trwała. Polyfonia rozrosła się potwornie pod wpływem nowego rozwoju instrumentacyi, gdy tymczasem harmonia, wzbogacając się coraz bardziej, dodała nowe czary do uroków orkiestralnego kolorytu. Odtąd objawiła się w Niemczech pogarda dla melodyi, jak niegdyś w XVI wieku w szkole Palestriny.”

Co teraz będzie? — zapytuje Saint-Saëns — czy Francya, która w muzyce przynajmniej unika wszelkich ostateczności, zdoła powstrzymać ten popęd wpływem swoim, czy też ulegnie nowym prądom? Walka się toczy, od losów jej zależy przyszłość muzyki w świecie. „Jeśli niemcy zwyciężą — kończy mówca — może być, że melodia ustąpi przed uczoną instrumentacją, tak, jak było w w. XVI, ale po tym tryumfie wygórowanej polyfonii, nastąpi znów reakcja i powrót do prostoty. Historia sztuki we wszystkich jej gałęziach przedstawia nam podobne zjawisko.”

Mowa Saint-Saënsa wywołała liczne oklaski; wszyscy odczuli słuszność jego poglądów, stosując je nie do samej tylko muzyki, ale do każdego działu sztuk pięknych. W każdym z nich rzeczywiście, tak w rzeźbie jak w malarstwie, tak w dramacie jak w poezji, biegłość techniczna, podniesiona dziś tak wysoko, panuje nad uczuciem; artyści, uganiając się za sztucznymi efektami, szarpią nerwy widzów i słuchaczy, ale nie poruszają nic serca; wszędzie forma zapanowała nad duchem, ogół woła o powrót do prostoty, ale jak głos wołającego na puszczy, vox populi brzmi dotąd bez oddźwięku.

Od mowy Saint-Saënsa przejdźmy teraz do opery tegóż mistrza, przedstawionej niedawno w teatrze lirycznym Chateau d'Eau. Wielka ta opera, osnuta na wątku historycznym, nosi tytuł „Etienne Marcel.” Libretto do niej ułożył Ludwik Gallet, utalentowany poeta. Już przed pięciu laty liryczny ten dramat odgrywany był w Lyonie z niematém powodzeniem. Mimo rosnącej wziętości kompozytora, teatru francuzkie nie kwapiły się z przyjęciem utworu, a to z powodów niezależnych od sztuki muzycznej. Wówczas właśnie, kiedy Saint-Saëns ukończył dzieło i przedstawił je dyrekcjom paryzkich teatrów, magistrat Paryża, w nienawiści dla dawnej monarchii, wziął sobie za cel podnieść w osobie Etienne Marcel bohaterkiego protoplastę Dantonów i Robespierów. Zbudowano mu pyszny pomnik; jedną z najpiękniejszych ulic uczczono jego imieniem. Nie była to właściwa chwila do ukazania na scenie takiej osobistości, której ani kompozytor, ani autor libretta, nie mógł z pogwałceniem dziejów ukazać w świetle bohaterkiem. Dziś jednak rosnąca sława Saint-Saënsa,

przemogła nad innymi względami; Etienne Marcel ukazał się na scenie. Rzućmy nasamprzód okiem na tę postać, głośną w dziejach Francji.

W wrześniu, r. 1356, król Jan, w chwili, gdy przemyślał, jak skarcieć przeniewierstwo Karola Złego, króla Nawarry, odbiera wieść, że armia angielska wyruszyła z Guyany, pod dowództwem ks. Walii, że zajęła już środkową Francją i posuwa się nad Loarę. Przerażony król rzuca się na anglików, stacza bitwę pod Poitiers; pokonany, walczy z rozpaczliwym wysiłkiem; dzielne rycerstwo zaścięła trupem ziemię. Po daremnych oporze, król Jan ulega przemocy; ujęty w niewolę, nie puszcza z rąk porąbanego w kęsy, nie ściekłego z krwi toporu. Ks. Walii otacza królewskiego jeńca poszanowaniem i względami, sam mu posługuje u stołu, nie śmie się przy nim „przez skromność i pokorę.”

Wraz z królem ujęli Angliki w niewolę arcybiskupa, 17 hrabiów, 70 baronów, 2,000 rycerstwa. Wkrótce potem zwycięzcy, nie wiedząc, jak strzedz tylu jeńców, puszczają wszystkich na słowo, oznaczywszy termin okupu, na święta Bożego Narodzenia.

Podczas, gdy odwieczny wróg Francji tak umiał uczcić waleczność pokonanych, kraj przyjął ich całkiem inaczej. W każdym mieście sypano im w oczy grad obelg, mieniono ich nikczemnymi tchórzami.

W pierwszych dniach grudnia Paryż burzyć się począł; za poduczeniem władz municypalnych, niepodległych koronie, 20 stycznia insurgenci odnieśli pierwsze zwycięstwo nad Delfinem, księciem Normandii, który podczas niewoli ojca rządził państwem jako regent, później zaś panował pod imieniem Karola IV.

Po całorocznych zapasach z regentem, municypalność paryzka postanowiła wymierzyć ostatni pocisk. Etienne Marcel, starszy w cechu kupieckim, burmistrz Paryża wszechwładnym był panem stolicy. Z rozkazu jego lud uderzył na pałac regenta, zamordował dwóch ministrów, marszałków Normandii i Szampanii. Sam Delfin o mało że nie padł ofiarą; ocalił go przecież Etienne Marcel, kładąc mu na głowę czapkę czerwoną z błękitnym, godło insurgentów paryzkich.

Działo się to pod okiem nieprzyjaciół, sprzysiężonych na zgubę Francji. Z jednej strony Angliki posuwali się zbrojnie, z drugiej strony król Nawarry rozbił już namioty pod Paryżem. Etienne Marcel, szarpany wyrzutem w obec groźnego niebezpieczeństwa, upadł pod brzemieniem win własnych. Lud przejrzał na oczy, odebrał mu ufność, groził zemstą. Doprowadzony do szału burmistrz, wchodzi w zmwowę z królem Nawarry, obiecuje ogłosić go w ratuszu królem Francji, po wymordowaniu stronników królewskich.

Ale patriotyzm nie wygaś do szczytu w kilku odważnych paryżanach. Jeden z nich ławnik, Jan Maillard, rozrąbał toporem głowę Marcela w chwili, gdy ten otwierał bramę św. Antoniego wojskom nieprzyjacielskim, w nocy 1 sierpnia r. 1358. Paryż, oswobodzony od

tyrańskię komuny, przywołał rejenta w mury swoje. Wchodząc do stolicy Delfin, widzi na stopniach kościoła św. Katarzyny oblane krwią ciało Marcela.

Tak Etienne Marcel przedstawia się w historii. Dziś po przebiegu 400 lat, po gwałtownych przewrotach, nienawiść przeciw dawnym rządóm, przemieniła go w bohatera!

Autor libretta, wybierając Marcela za główną osobę poematu, nie otacza go bynajmniej bohaterską aureolą; sądzi go przecież zbyt łagodnie; podnosi żal jego za popełnione błędy, pokazuje w nim ofiarę tego ludu, któremu służył tak gorliwie.

Opera, złożona z sześciu obrazów, idzie w ślad za historią; zmyślony w niej tylko miłosny epizod Beatryksy, córki Marcela, z dworzaninem Delfina, Robertem de Loris.

Pierwszy obraz przedstawia główne targowisko. Ruch wielki: wojsko w małowicznych mundurach snuje się między tłumem mieszczan i rzemieślników. Przy odgłosie trąb i huku bębnów występuje herold: czyta wyrok śmierci, wydany na Marka Perin, młodego mieszczanina, który zamordował jednego z dostojników dworskich. Perin schronił się do kościoła St. Merry; tu marszałek Normandii rozkazał pochwycić go mimo oporu duchowieństwa, za gwałt, popełniony w domu Bożym, gdzie tradycyjny zwyczaj zapewniał bezpieczeństwo największym zbrodniarzom.

Wśród tłumu, Beatryksa ścigana przez żołnierzy znajduje obrońcę w koniuszym Delfina, Robercie Loris. W chwili, gdy zbrojna straż prowadzi Perina pod pręgierz, bractwa cechowe występują pod znakami swemi, wszyscy mają na głowie czapki czerwone z błękitnem. Z wściekłym okrzykiem bieżną na zamek królewski. Etienne Marcel powołuje lud: sam tylko Jan Maillard usiłuje go wstrzymać. „Strzeż się! — rzecze — grom, wywołany przez ciebie, ugodzi w twoję głowę.”

Marcel gardzi przestrogą, staje na czele tłumów, wiezie je do zapasu.

W akcie drugim tłumy obległy pałac, mordują Jana Clermont, marszałka Normandii. Etienne Marcel osłania Delfina przed morderczym żelazem, ale na tém większą ohydę kładzie mu na głowę czapkę dwubarwną, godło insurgentów paryzkich.

Obraz trzeci ukazuje wnętrze domu burmistrza. Robert Loris wkradł się tam potajemnie, śpiewa duet miłosny z Beatryksą. Przerwywa im Etienne Marcel. Uniesiony gniewem powołuje straż, ale zrezygnowany koniuszy, ze szpadą w ręku, przedziera się przez zbrojny orszak, otwartém oknem wybiega na ulicę.

W czwartym obrazie lud paryzki obchodzi płasmi uroczystość świętojańską. Burmistrz występuje z pośród tłumu, oskarża Roberta o szpiegostwo. „Śmierć zdrajcy!” — woła tysiące głosów. Na to wbiega Jan Maillard, osłania Roberta piersią własną.

„Dość już zbrodni, dość ofiar!” — woła z uniesieniem. Zmieniamy tłum przyklaskuje mu gorąco, jak przed chwilą przyklaskiwał bur-

mistrzowi. Tu szala przeważać się zaczyna; Etienne Marcel czuje się opuszczonym. Tajemny agent króla Nawarry, korzystając z rozpaczliwego stanu, podsuwa mu myśl zdrady.

W akcie piątym Etienne Marcel, głuchy na błagania i łzy córki, postanawia wpuścić do miasta wojsko nieprzyjacielskie. Ugodzony toporem Maillarda, obłany krwią, pada trupem u bramy św. Antoniego. W szóstym obrazie tryumfujący Delfin wchodzi do Paryża przy radosnych okrzykach ludu.

Takiem jest libretto historyczne. Co do znaczenia kompozycji głosy krytyków bardzo w tym względzie podzielone. Jedni twierdzą że Saint Saëns nie rozwinął tu jeszcze takiego mistrzostwa, jak w następnym swym utworze „Henryk VIII., inni tymczasem, a między nimi uczony krytyk i kompozytor Reyer, podnoszą z uniesieniem nie tylko piękność pojedynczych ustępów, ale zarazem harmonijną całość kompozycji, a szczególnie niesłychaną potęgę dramatyczną. Saint-Saëns szedł widocznie za tradycją opery francuskiej, która wymaga przedewszystkiem akcji, poddając pod jej prawa i śpiew i symfonię. Dramatyczność dochodzi do szczytu, kiedy w ostatnim akcie łzy i skargi Beatryksy nad trupem ojca, odbijają sprzeczenie od radosnych okrzyków ludu, na widok tryumfującego Delfina po zażegnaniej zdradzie.

Głos powszechny zalicza dziś Saint-Saënsa do najpierwszych kompozytorów francuskich.

Pani Adam, redaktorka Przeglądu (Revue Nouvelle), sprawiła nam niespodziankę w ostatniem półroczu swęj dwutygodniowęj publikacji. W ciągu lata odbyła podróż do Węgier: był to, rzec można, pochód tryumfalny po szerokiej przestrzeni nad Cissą i Dunajem. Madziarzy ze zwykłą im gościnnością podejmowali znaną autorkę, chcąc uczcić w nięj przedstawicielkę Francji. Wdzięczna za odbierane hołdy pani Adam uczciła nawzajem Madziarów, kreśląc najsympatyczniejszy obraz ich społeczeństwa i zapisując doznane wrażenia w publikacji swojej. Wszystko ją zachwyca, począwszy od pięknych krajobrazów naddunajskich, od domowego życia rodzin tak w pałacu magnackim, jak i w chacie wieśniaczej, aż do życia umysłowego w stołecznym Peszcie, aż do instytucji politycznych. Wszędzie spostrzeżę myśl żywotną, gorącą miłość kraju, gotowość do poświęceń, a nade wszystko cześć dla odwiecznych tradycji. Cześć ta przeszła w serce patriotki francuskiej, czytamy z podziwem, jak żarliwa republikanka dochodzi do rezultatu, że dzieje Francji nie zaczynają się bynajmniej od wielkiego przewrotu z końca wieku zeszłego, że przeszłość położyła kamień węgielny, którego naruszyć nie wolno bez narażenia gmachu na zgubę. Co chwila spotykamy w jej słowach zbawienne rady dla Francji. Rzucając w oczy ziomkom patriotyzm madziarów, radaby widocznie roztląć w ich sercach płomień przygasły

w samolubstwie i stronnicych szermierkach. Oto jój słowa na szczególną zasługującą uwagę.

„Jeżeli Francya pragnie zorganizować się i pracować według wrodzonych sobie zdolności, wzbogacić się według danych jój środków, odzyskać moralność polityczną, patrzeć na rzeczy tak trzeźwem okiem, jak pracowity lud rolniczy! jeśli chce rządną być i oszczędną jak wyborowe jój mieszczaństwo, rycerską jak dawna jój szlachta, sprawiedliwą jak starzy jój prawnicy, uczciwą, bezinteresowną, jak deputowani dawnych Stanów, łatwo jój to przyjdzie, gdyż posiada ku temu odpowiednie zalety. Posiada je we krwi własnej, w obyczajach, w rozumie, w dążnościach, w uczuciu godności narodowej. Ale w takim razie powinna koniecznie zwrócić się w przeszłość i szukać narodowego geniuszu w demokratycznych tradycjach, w starodawnj swj monarchii.“

Łatwo pojąć, że te i tym podobne uwagi nie mogły przypaść do smaku fanatycznym czcicielom wielkiej rewolucji francuzkiej, która, zdaniem ich, zburzyła do gruntu przeszłość, a na gruzach jój nowe zatknęła drogokazy. Węgrzy za to z najwyższem uwielbieniem wyrażają się o francuzkiej autorce. „Od słynnego dzieła pani de Staël o Niemczech, mówi jeden z krytyków peszteńskich, żadne dzieło nie sprawiło tak potężnego wrażenia, jak książka pani Adam o „Ojczyźnie Węgierskiej,“ żadne nie uwydatniło wierniej rysów obcego społeczeństwa, nie określiło lepiej stopnia jego cywilizacyi, nie zbiło silniej panujących uprzedzeń.

Ktokolwiek czytał, ciągnie krytyk dalej, opisy dawnych turystów, wyobrażał sobie Węgry jako kraj zamieszkały przez szlachtę, przez amazonki, przez zbójców i dzikie zwierzęta, w których niepodobna wyjść za próg bez rewolweru albo strzelby. Ileżto wierutnych bajek rozpuszczono po świecie? Im dziwniejsze były opisy, im bardziej przedstawiały nas jako szaleńców i wartogłowów, tém większą obudzały ciekawość. Podróżnicy, zwłaszcza niemieccy przesadzali się w tym kierunku. Owóż francuzka autorka przypatrzyła się społeczeństwu naszemu i z całą opisała je prawdą. Dała poznać Europie, że nie jesteśmy półdzikim azyatyckim ludem, że w piersi naszj biją ludzkie serca, że chciwi postępu pragniemy iść na równi z innymi ludami, przyswajamy sobie ich cywilizacyjne zdobycze, ale obok tego usiłujemy zachować charakter samoistny, cechujący narodowość naszą.“

Znane były nam dawne sympatyje pani Adam, sympatyje, których, uczczeni dziś przez nią madziarowie, podzielać w żaden sposób nie mogli. Widzimy téż w zdolnej pisarce nową ewolucyą i szczerze jój przyklaskujemy.

W ostatnim zeszytcie „Nowego Przeglądu“ czytamy ciekawą rozprawę o Kraszewskim, pióra pana Hołyńskiego. Jestto życiorys połączony z ocenieniem prac niewyczerpanego autora, podjętych w różnych gałęziach literatury. Dla współziomków, obeznanych z owemi

pracami, rozprawa ta nie ma nic nowego, muszą nawet razić nas niekiedy, niedość wytrawne sądy autora, na przykład, gdy ocenia w Kraszewskim historyka, stawia go tuż obok Lelewela i Maurycego Mochnackiego! Te ustępki ujdą przed okiem czytelników francuzkich, a gorące sprawozdanie pana Hołyńskiego da im poznać żywotność literatury polskiej, przedstawiając ją w jednym z najczynniejszych i najzdolniejszych jej reprezentantów. Przyklaskujemy też chętnie autorowi rozprawy, jak niemniej redaktorce Przeglądu, która umieściła ją w kolumnach swego pisma.

Juliusz Simon, były minister oświecenia, wydał ważne dzieło historyczne pod tytułem: „Jedna z Akademii za czasów dyrektoryatu.“ Opowiada w nim przemiany, jakie po szalonych czasach terrorizmu przeszły tu ciała naukowe, jak odrodzone, niby Feniks z własnych popiołów, skupiły się w jedną całość i dziewięćdziesiąt lat temu utworzyły instytut francuzki.

Potrzeba było wszystko organizować na nowo, w czem niemałe zachodziły trudności. Grono akademików składało się w części z duchownych, którzy jak i Abbé Gregoire zrzucili sutannę i wyrzekli się wiary. Z drugiej strony jednak należeli tam ludzie głęboko religijni przywiązani do dawnych tradycji. Organizatorowie musieli żeglować zreszcie pomiędzy Charybdą a Scyllą, by uniknąć skandalicznych zatargów. Po długich sporach przywrócono pogrzeby zgodne z powagą zmarłych akademików. Łatwiej przyszło ustanowić strój urzędowy, w tych bowiem czasach wielką wagę przywiązywano do zewnętrznej okazałości. Kostyum akademicki haftowany w palmy zielone, przyjęty został jednomyślnie, członkowie nosili go na każdym wystąpieniu publicznem, dziś przywdziewa go tylko dyrektor i sekretarz, oraz nowy członek w dniu urzędowego przyjęcia.

Wśród mnóstwa ciekawych wspomnień, znajdujemy w dziele pana Simon zajmujący obraz jednego z akademików, Bernardin de St. Pierre, słynnego autora „Pawła i Wirginii.“ Od dzieciennych lat okazywał on dziwnie awanturnicze usposobienie. Dnia jednego uciekł do lasu, chciał zostać pustelnikiem. Niespokojni rodzice, nie wiedząc jak utrzymać w domu burzliwego chłopca, wysłali go do Martyniki, poczem umieścili go w kolegium Jezuitów w Cean, z kąd wydalono go wkrótce dla niesforności umysłu. Przerzucany z miejsca na miejsce, dzięki wyższym zdolnościom, odbył wreszcie kurs nauk w szkole dróg i mostów. Jako inżynier wysłany został na wyspę Malte, ale w ciągu przeprawy tak zawzięcie kłócił się z kolegami, tak krnąbrnym okazywał się względem zwierzchników, że zaledwie okręt przybił do lądu odesłano go czempredzój do Paryża. Tu dawał lekcye matematyki. Wkrótce jednak wpadł w ostateczną nędzę; pospieszył do Amsterdamu, pracował tam w redakcyi francuzkiego dziennika. Krótko to trwało; duch awanturniczy popychał go z kraju do kraju; zaciągał się

do służby to w Polsce, to w Rosyi, to w Saksonii, to w Prusach. Wszędzie znajdował życzliwą protekcją, ale skłócony ze wszystkimi, najgorliwszych opiekunów zamieniał w zawziętych nieprzyjaciół. Po sześcioletniej włóczędze powrócił do Francyi, zkąd jako inżynier puścił się do Ile de France. Znienawidzony i tam przez kolegów, musiał opuścić korzystne stanowisko. W trzydziestym roku życia, w samej sile męskiego wieku, pełen talentu i nauki, znalazł się sam na bruku paryżkim bez chleba, bez zasobu, a co gorsza bez duszy przyjaznej.

Poznał się wtedy z Janem Jakóbem Rousseau, wspólne zamiłowanie w botanice zbliżyło ich do siebie.

Charaktery ich dosyć sobie odpowiadały. Ale wówczas właśnie Rousseau oddał się do Ermenonville, co uchroniło przyjacielski węzeł od gwałtownego zerwania.

Wprowadzony przez d'Alemberta do kilku literackich salonów, Bernardin de St. Pierre, nie mógł wytrwać w dusznej ich atmosferze. Zabrał się nakoniec do pracy. Za pobytu swego w Ameryce spisał wielką moc notat, postanowił je spożytkować. Mimo rzeczywistej wartości dzieło to przeszło bez rozgłosu. Nie zraza to przecież autora; wśród głodu i najokropniejszej nędzy, pracuje wytrwale przez lat kilka; wykończy „Studia nad przyrodą,” ale niestety próżno biega od jednego wydawcy do drugiego; nikt nie chce odczytać rękopismu; imię autora nieznanne odstręcza wszystkich, postać niepoczesna odbiera zaufanie. Znajduje nakoniec odważnego nakładcę: tymrazem dzieło zdobyło wielki rozgłos.

W cztery lata potem wydaje „Pawła i Wirginią:“ przyklasnął mu Paryż; sława rozpromieniła posępne czoło autora. Zachęcony uznaniem, wśród wzbierającej burzy rewolucyjnej, w roku 1789 ogłasza nowe dzieło „Voeux d'un solitaire” (Pragnienia Samotnika); przedstawia w niem wymownie zasady liberalne, z których wyszedł prąd rewolucyjny. Nieco później w powieści „Chata indyjska,” wymierza ostrą satyrę przeciw akademiom. Wówczas-to zaszczyty i dostojęstwa sygnęły się na niego. Wraz z Sieyesem, Condorcetem i Berquinem pomieszczono go w liczbie kandydatów na przewodniczącego wychowaniu następcy tronu. Ludwik XVI mianował go intendentem ogrodu botanicznego i gabinetu historii naturalnej. Nakoniec wyrok Konwencji z 1794 r., przeznaczył go na profesora moralności w szkole Normalnej. Przy pierwszej lekcji uczniowie wyprawili mu gorącą owacyą.

Pomimo tych zaszczytów Bernardin de St. Pierre, przywieziony był znów do nędzy. Urząd intendenta ogrodu botanicznego zwinęty został, szkoła Normalna rozwiązana. Dzieła jego, rozpowszechnione bezkarnym przedrukiem, nic mu nie przynosiły. Zmuszony twarzą koniecznością do żądania narodowej jałmużny, nieraz doznał upokorzącego zawodu. Gorycz przepełniła jego serce: stał się więcej niż kiedy, kłótliwym i wstrętnym dla ludzi. Cały instytut zniena-

widził go; sam tylko stary poeta Ducis utrzymywał z nim związki. W listach do niego skarży się Bernardin na prześladowania i zniewagi ze strony kolegów. Czuł on instynktem, że przerósł wszystkich głową a jednak poniżany systematycznie przez drugich, stracił wiarę sam w siebie, co tém bardziej rozdrażniało niesforny jego umysł. „Jeden kolec, mówi trafnie Simon, więcej sprawiał mu bólu, niż mu przyjemną była woń stu róż posypanych w hołdzie.“ Jak Tasso, jak Paskal, jak J. J. Rousseau, należy on do rodziny słynnych a nieszczęśliwych geniuszów.

Miał on jednak czasami jaśniejsze nieco chwile. W roku VIII rzeczypospolitej, minister marynarki zażądał od Instytutu wskazówek dla kapitana Baudin, wybierającego się w podróż około kuli ziemskiej. Bernardin de St. Pierre mianowany został komisarzem. Na ten raz przyjęto z uznaniem jego raport i zastosowano jego rady. Jedna z nich polegała na tém, aby statek opatrzył się w instrument muzyczny zwany biniou (rodzaj ligawki), drugi, aby załoga okrętowa od czasu do czasu rzucała w morze butelkę obejmującą datę dnia, oraz zapisany stopień długości i szerokości geograficznej. Żatwa to była i niekosztowna wskazówka rozlicznych prądów oceanu. Autor studyów nad przyrodą, uważał ligawkę za stokroć pożyteczniejszą nad aptekę. Widział on sam, jak mówi, majtków bretońskich, którzy na dźwięk znanj piosenki zapominali o szkorbutcie i z radością oddawali się płasom, co zbawiennie oddziaływało na ich zdrowie.

Ale największym tryumfem genialnego myśliciela był raport z podanego do konkursu pytania: jakie są najważniejsze instytucje, które mogą ugruntować moralność ludu? Ztąd powstała polemika nadzwyczaj zaszczytna dla niego a rzucająca światło na stan umyśłów w wydziale Instytutu, do którego należał. Między członkami dwóch tylko było zaciętych ateuszów: Cabanis i Nageon; ale zato liczono wielu tolerantów ateizmu, którzy nie chęć narazić się potężnej mniejszości, deptali skrupuły większości zanadto pobłażliwej i poddającej się nikczemnie. Taką sama słabość cechowała czynności i słowa rządu. Postanowiono nie wspominać imienia Boga. Po gwałtownej i krwawej bezbożności 1794 roku, nastąpił peryod milczenia. Współzawodnicy konkursowi, wierni doktrynom, jakie popłacały w szkołach i aktach urzędowych, przekonani zresztą, że Instytut był żywem uosobieniem encyklopedyi, mówili tylko o moralności, wynikającej z umowy społecznej, czyli z dobrze zrozumianego interesu jednostek i społeczeństwa; słowem, była to moralność nie podlegająca ani żadnemu pozytywnemu dogmatowi, ani żadnej idei religijnej. Bernardin de St. Pierre odwołał się bez wahania do idei Boga i oparł moralność ludzką na moralności bożej. Co więcej, przypomniał w raporcie swoim główne dowody istnienia Bóstwa: „można było oczekiwać tego po nim, mówi Simon, nigdy bowiem nie zrzekł się ani ukrywał swojej wiary. W studyach nad przyrodą wspomina ciągle o Bogu z zapalem godnym Fenelona i to właśnie stanowi żywotną stronę jego dzieła.“

Ustęp z raportu, w którym wyznaje swoją filozoficzną wiarę przyjęty był z szemraniem: przerwano mu silną protestacją. Nageon w tém śmiałym wyznaniu widział osobistą zaczepkę. Cabanis zwykle zimny i spokojny, wybuchnął gwałtownym gniewem. „Przysięgam, zawołał, że Bóg wcale nie istnieje!“ W obec téj dziwnej przysięgi, wśród burzliwego zgietku, Bernardin de St. Pierre usunął się do poblizkiej biblioteki; tam napisał list do kolegów, zaklinając ich, aby przy czytaniu raportu nie opuścili wyznania wiary, którém go zakończył. „Ja w niém nic nie odmienię, mówi stanowczo, idzie tu o wasz i mój honor! Niektórzy członkowie podali wniosek, aby nie wspominać o Bogu przez wzgląd na wolność sumienia, gdyż delikatne sumienie ateuszów nie mogło zcierpieć w drugich takiej manifestacyi. Złość ludzka nie daje im uznać Opatrzności w przyrodzie. Czynimy jak dzieci, co odpychają matkę, odebrawszy ranę od towarzyszy a przecież w objęciach matki znaleźćby mogli jedyną ulgę!“

List ten nie sprawił najmniejszego wrażenia. Zabroniono publicznego odczytania raportu. Bernardin zaprotestował przeciw temu w swój sposób: kazał wydrukować ów raport i rozdawać go u drzwi Akademii w czasie publicznych posiedzeń.

Juliusz Simon rehabilituje z zapałem pamięć znakomitego akademika; stawia go w rzędzie tych zapoznanych karczowników, którzy męczeństwem całego życia okupić musieli promień geniuszu otrzymany udziałem, a których prototyp widzimy w Ikarach i Prometeuszach greckich!

Kończymy kronikę naszą pod najmilszém wrażeniem. Towarzystwo historyczno-literackie, na zwykłym miesięcznym zebraniu witało czcigodnego Domejkę. Prawdziwie uroczysty obraz przedstawiała sala posiedzeń. Po jednej stronie prezesa zasiadł poważny lirnik nasz Bohdan, z siwą do pasa brodą, po drugiej rówieśnik jego i przyjaciel, który po 50 latach, przeżytych w wytrwałej pracy na drugiej półkuli świata, wracał do swoich, przynosząc bogate plony i wieńce, zebrane u podnóża Kordyliarów.

Po serdeczném powitaniu prezesa, Domejko, poruszony do łez, odpowiedział krótkimi, ale dziwnie rzewnymi słowy. Pięćdziesiąt lat temu należał on do założycieli tutejszego Towarzystwa. Kiedy wezwany do Chili opuszczał Europę w r. 1838, na takiem jak dziś miesięcznym zebraniu, żegnał z uczuciem zgromadzonych kolegów. Pamięć dnia tego uniósł z sobą za fale Oceanu, karmił się nią pod obcym niebem i przechował ją żywą. Przypomniat też owo bratnie grono, które w tym dniu widział poraz ostatni. Z obecnych wówczas członków on sam jeden pozostał. Kilka dni temu właśnie, w Dzień Zaduszny, pospieszył do Montmorency, złożył wieńce z niesmiertelników na grobach Niemcewicza, Kniaziewicza i Morawskiego i tyłu in-

nych, a między nimi drogiego sercu druha Adama! Wspomnienie to zdławiło głos w piersi, niewystygłej pod wpływem wieku, a żyzy starca silnie przemówiły do nas niż najwymowniejsze wyrazy.

Zabrał następnie głos zasłużony wiceprezes Towarzystwa, dr. Michałowski. W treściwych i pełnych miłości słowach opowiedział długi szereg zasług Domejki, położonych na krańcach nowego świata, gdzie nieznanie imię kraju swego zapisał w sercach i w dziejach niezliczonymi dobrodziejstwami.

Radzibyśmy powtórzyć całą tę piękną mowę; opuszczamy jednak początek, obejmujący znane w kraju naszym szczegóły o przygotowawczych pracach Domejki w Paryżu i dalekiej jego przeprawie na brzegi Oceanu Spokojnego. Idźmy za mową prosto do Chili.

„Rzeczpospolita chilijska — mówi dr. Michałowski — zawierająca w ziemi swojej trochę srebra i rtęci, a wiele miedzi, ołowiu, niklu, kobaltu, żelaza i węgla ziemnego, jest krajem obiecany dla geologa, lecz krajem, który na założenie szkoły górnictwa i metalurgii, koniecznej do zużytkowania tych mineralnych bogactw, posiadał jednego tylko, sprowadzonego z Europy Domejkę; nie więcej... lecz to wystarczyło. Dzielny profesor sam wybudował bez pomocy panów ministrów dom dla owęj szkoły, a w domu tym wystawił piec niezbędny dla chemicznego laboratorium. Przywiózł z Paryża trochę instrumentów fizycznych i aparatów chemicznych, tak, iż brakowało tylko studentów, aby utworzyć szkołę. Chodził więc od domu do domu, wykładając rodzicom dorosłych chłopców, jakie to nieraz korzyści i zyski wypływają z nauki. Tym sposobem namówił sobie ze dwunastu słuchaczy. Zaczął wykładać pod koniec r. 1838, a już w r. 1840 miał kilku uczniów tak usposobionych, że mogli mu pomagać w niezliczonych, a codzień wzrastających zatrudnieniach. Ktokolwiek np. znalazł jaki błyszczący kamyk, dalejże do owęj szkoły, żeby mu don Ignacio Domejko powiedział, ile w nim jest złota czy srebra, t. j., żeby wykonał z łaski na uciechę mozolną, a nawet kosztowną analizę.

„Musiał Domejko wykładać po kolei wszystkie przedmioty, niezbędne do metalurgii praktycznej, od samych początków fizyki aż do geognozy i geologii. Nie było do tego ani jednej książki elementarnej; zabrał się więc do autorstwa i wydał z czasem całą elementarną biblioteczkę. Niejedna z jego książek, jak np. „Królestwo mineralne w Chili,” jest dotąd i pozostanie na długo dziełem źródłowym dla naukowego świata. A ileż rozpraw uczonych i memoriałów wyprawił do Akademii nauk w Paryżu, do Roczników górnictwa i innych pism tego rodzaju; ile set listów naukowych i literackich nakreślił po polsku, po francuzku, po hiszpańsku, tego wyliczyć niepodobna. Analizował wszystkie tanceczne minerały, odkrył kilka nieznanych, rozbiierał wody mineralne, zwiedzał i opisał góry, wulkany, kopalnie, nieraz z niebezpieczeństwem życia; stworzył nareszcie geologią całego kraju. Ta „geologia podgórze Andów“ jest także dziełem źródłowym.

„Już Humboldt cytuje w „Kosmosie“ wędrowkę Domejki na górę Newada Descabezade, najwyższą w Chili, a nikt dziś nie dotknie geologii i geognozyi, czy nawet antropologii tamecznej, nie odwołując się do odkryć Domejki.“

Jedno z tych odkryć, najważniejsze dla świata naukowego, gdyż wprowadziło geologią na całkiem nowe tory, przytacza szczegółowo dr. Michałowski: powtarzamy za nim ten ważny ustęp:

„Z wędrowek i opisów południowej Ameryki, przez takich poprzedników Domejki, jak Humboldt, Darwin, d'Orbigny, Bonnengault i t. d., wypadło, że tam istnieją pokłady geologiczne, zwane po francuzku Salurien, Devonien, Carbonifeu, Trisiaque, Cretacé i Terciaire, ale nie ma żadnego śladu pokładów jurasskich (jurassiens), co jeśli istotne, byłoby zaprzeczeniem panujących obecnie teorii kosmogonicznych. Już domyślał się Buffon i Oswald Heer udowodnił i dziś to powszechnie uznano, że pierwotnie, a mianowicie w epoce formacji węgla, klimat był prawie jednakowy na całej kuli ziemskiej, bardzo wilgotny i ciepły zarazem. Na wytłomaczenie stanu rzeczy, po wielu mniej więcej udanych domysłach, przyjęła się hipoteza d-ra Blondet, że słońce nasze było wówczas niesłychanie większe, więc bliższe ziemi, grzejące ją i oświecające nierównie szerszym pasem. Dopiero w ciągu nieprzeliczonych wieków, owo rozrzedzone słońce, skręcając się ciągle około osi, zgęstniało, stało się mniejszém, ogrzewającym równik coraz mocniej, a coraz mniej bieguny.

„Jeżeliby, jak Blondet utrzymuje, nie stan naszej własnej ziemi, ale stan słońca miał stanowić o epokach geologicznych, to te epoki powinny być na całej ziemi jednakie i współczesne mniej więcej. Brak peryodu jurasskiego w Ameryce południowej wyrzuciłby całą teorią. Szczęściem dla niej Domejko odkrył na Kordylierach i nazbierał wiele Spiriferów, Terebratulów i innych dziwołagów przedpotopowych, należących niewątpliwie do pokładów jurasskich, jak mu to przyznała rada nierada Akademia nauk w Paryżu.“

Przechodził potem mównicę do wielkiego uznania ze strony chilijszczyków, jakiego najśluszniej stał się celem nasz niezmordowany geolog.

„Już w r. 1841 prefekt Sereny raportuje do rządu o szczególném poświęceniu się Domejki krajowej służbie; zaleca go wdzięczności władz najwyższych. W r. 1843, powołany do stolicy kraju San Jago, staje się doradcą rządowym we wszelkich naukowych i ekonomicznych sprawach, reformatorem niektórych instytucji krajowych, promotorem wniosków do uchwał prawodawczych. Skromny i cichy litwin jest tam utajoną sprężyną i duszą wszystkiego, co dobre i pożyteczne. W r. 1846 minister spraw wewnętrznych pisze do dyrektora skarbu, że rząd nasz nie jest w stanie nagrodzić usług, jakie codziennie oddaje don Ignacio Domejko, niechże mu skarb wypłaci przynajmniej parę tysięcy pezów za kosztą jego naukowych wędrowek, podejmowanych w interesie publicznym. W parę lat potem, r. 1848, rząd wnosi do

izb prawodawczych projekt do prawa, jednomyślnie przyjęty, nadający Domejce obywatelstwo tameczne za nadzwyczajne zasługi. W r. 1867 nareszcie, podany przez wyborców (swoich własnych kolegów) jako pierwszy kandydat na rektora uniwersytetu, otrzymuje ten zaszczyt najwyższy i pełni urząd z powszechném zadowoleniem i z prawdziwą chwałą przez lat kilkanaście, aż go złożyć przymusiła tęsknota do wszystkiego, co mu najdroższém było na ziemi.

„Że świat naukowy ocenił pracę Domejki, świadczą między innymi: Nautilus Domeykus (mięczak) którego chrzestnym ojcem był Alcyd d'Orbigny; Ammonitus Domeykanus, tak nazwany przez naturalistów Boyle i Heloquand; Viola Domeykana, nieznaną wprzód fiołkę amerykańską, ochrzczony przez don Claudio Gay'a; Domeykit, arszenian miedzi, minerał odkryty przez Domejkę, t. zw. przez Hejdinger'a, znakomitego mineraloga z Wiednia.

„W trzech królestwach przyrody zapisane imię! rzadki zaiste honor, nie wiem, czy kogokolwiek spotkał w podobnym stopniu!“

Zakończenie mowy, nadzwyczaj rzewne, pobudziło do łez słuchaczy. „Niechże skończę, dodał dr. Michałowski, króciutką wzmianką (bo to rzecz prosta i naturalna u niego), że ile razy rząd chilijski w kłopotcie, Domejko się domaga, żeby mu wolno było niepobierać pensyi, za któryś z jego urzędów, na co minister przystaje najchętniej. Rektorstwo np., podwoiło mu pracę, a pensyą zmniejszyło o sto pezów, bo sobie wyprosił, żeby za jego poprzednie dochody wysłać na naukę do Europy dwóch młodych chilijszyków.

„A więc za ową, tak zaszczytną dla charakteru narodowego bezinteresowność i z wielu innych powodów, które już twoim biografom zostawić muszę; my tu do ciebie, przezacny mężu, a starszy i kochany bracie, zanosim prośbę najczulszą. Zpracowana od lat 70 kilku twoja sędziwa głowa, spocząć już nie potrafi, niechajże dla swoich tylko pracuje. Jak to uczyniłeś ongi dla filaretów i filomatów, wystaw coprędzej w obszernych pamiętnikach na naukę i zbudowanie następcom własnego życia pomnik. Ty, najdoświadczeńszy i najbieglejszy może naszych czasów pedagog, wszak byłeś długie lata z niespodziewaném powodzeniem twórcą, rzec można, i przewodnikiem edukacyi publicznej w twój przybranój ojczyźnie, zróbże, co możesz, dla twój własnej.

„Naucz nas, jak młodzież naszą obronić od wciskającój się zarazy materyalizmu, a nawet nihilizmu, tój całej niepolskiej filozofii zmysłów i przysposobić ojczyźnie, zamiast owych filozofów, — takich jak ty pobożnych, świątłych pracowników, gotowych zawsze do posługi. Będzie to godny życia twój wieniec. Prosimy Boga o pomnożenie dni twój!“

Gorący poklask obecnych potwierdził słowa mówcy. Godnie zakończył uroczystość piękny wiersz p. Waliszewskiego, odczytany przez autora.

Z EKONOMIKI.

II.

Wstęp.—Jakich instytucji kredytowych potrzebują nasze miasta.—Centralne Towarzystwo kredytowe miejskie. — Towarzystwo kredytowe miast oddzielnych w Królestwie.—Bank hipoteczny i banki miejskie jako najodpowiedniejsze instytucje dla miast naszych.—Banki miejskie w Cesarstwie.—Początek ich powstania, rozpowszechnienie i obroty.—Banki miejskie na Litwie i Rusi.—Ustawa normalna banków miejskich z r. 1883.—System bankowy w Szwecyi.—Zdanie p. Wallenberga o nich.—Sverges Riksbank i Enskilda banki.—Wielki przemysł w Szwecyi. — Kasy oszczędności w Norwegii w porównaniu z Królestwem Polskiem. — Ks. Ksawery Lubecki i jego szkoła. — 50 lat szyfowej pracy i wielkiej polityki: spóźniony Sedan.—Obecno nasze położenie, brak podstaw i systematu. — Najpilniejsze nasze potrzeby ekonomiczne: skanalizowanie oszczędności, rozwój rzemiosł i przemysłu ludowego.—Elewatory i warranty.—Początek warrantów i doków. — System angielski warrantów.—Entrepôts i magasins généraux we Francyi.—System francuzki warrantów.—Warranty w Niemczech. — Projekta ks. Lubeckiego — Singels, kanał ugruzski. port, doki i magazyny na Pradze. — Ubóstwo literatury o warrantach. — Prasa socyjalistyczna i anarchiczna we Francyi. — Bibliografia.

W pierwszej kronice ekonomicznej (Bibl. Warsz. paźdz. str. 121 i nast.) zwracaliśmy uwagę na podniesienie miast i miasteczek polskich, przez rozwinięcie w nich rzemiosł i napływ ludności wiejskiej, bezrolnej. Myśl naszą objaśniła redakcja uwagą, że proletaryat wiejski, owi glebae adscripti XIX w., nie pójdzie dziś do miasteczek dla zwiększenia zastępu rzemieślników. Zapewne, jeżeliby rzemiosła w małych miasteczkach miały i nadal pozostawać w tym stanie, w jakim się obecnie znajdują, — to niewiele możnaby liczyć na przyływ ludności wiejskiej. Lecz jeżeli w tychże miasteczkach skupiać się będą rzemiosła jednorodne, t. j. przekształcą się w osady szweców, krawców, ślusarzy i t. p. i powstaną w nich szkoły fachowe i wielkie

warsztaty, to niewątpliwie ogniska takie przyciągną proletaryat głodny, przynajmniej z bliższych okolic, który i dziś chętnie szuka zarobku w wielu fabrykach, np. Łodzi, Żyrardowa, Zawiercia i innych. Zresztą jestto kwestya przyszłości: a w tój cywili zastanowimy się nad drugim środkiem rozwoju naszych miast i miasteczek.

Wiadomo już czytelnikom Bibl. Warsz., że projekt utworzenia instytucji kredytowej hipotecznej dla większych miast w Królestwie Polskiem, wygotowany przez Towarzystwo kredytowe ziemskie, nie został zatwierdzony. Ministerjum skarbu nie uznało właściwem rozszerzyć zakres działań Tow. kredytowego ziemskiego i nie uważało za rzecz pożyteczną stworzenie instytucji chociażby i samoistnej, ale centralnej dla większych miast Królestwa. Kwestya ta może być przedmiotem dyskusyi. Kredyt bowiem hipoteczny ziemski różni się od kredytu hipotecznego, opartego na nieruchomościach miejskich i łączenie ich w jedną instytucji, chociażby tylko pośrednie, uważalibyśmy w naszych warunkach wprost za szkodliwe ¹⁾. Już-to w ogólności niektóre organa prasy zawiele wymagają od Towarzystwa kredytowego ziemskiego, żądając, aby ono udzielało pożyczki miejskie, melioracyjne, krótkoterminowy kredyt weksłowy swym członkom, a nawet, żeby zajęło się działem ubezpieczeń od ognia. Sześćdziesięcioletni ciągły i pomyślny rozwój Towarzystwa był następstwem skupienia się w sobie ścisłego, wytrwałego dążenia do jedyne go celu, wskazanego ustawą. Wielokrotne burze polityczne i przesilenia finansowe ani na chwilę nie zachwiały Towarzystwem, dzięki jedynie jednorodnej jego działalności. Towarzystwo kredytowe ziemskie, rozszerzając a choćby tylko proponując rozszerzenie zakresu swój działalności, przedewszystkiem winno mieć na uwadze, aby nowe operacje bezpośrednio lub pośrednio dopełniać się mające, nie naraziły nawet w owe dies irae tój instytucji na niebezpieczeństwo. Własność ziemska, jako nadająca barwę całemu krajowi, w szczególnej zawsze winna być opiece nietylko samych organów Towarzystwa, ale i w prasie, która w kwestyach tój doniosłości do większej przezorności i trzeźwości sądu jest obowiązana.

Stworzenie centralnej instytucji kredytowej dla miast Królestwa, chociażby i samoistnej, nie zdaje nam się rzeczą praktyczną. Nasze miasta, chociażby tylko większe, jeszcze są zbyt małe i ubogie, aby można było dla nich stworzyć instytucją na wzór Towarzystwa kredytowego ziemskiego, t. j. instytucją z wielu dyrekcjami szczegółowymi, komitetami, delegacyami ²⁾. Władze te byłyby konieczne, ale przytém zbyt kosztowne dla instytucji, która, ze względu na ubóstwo miast naszych, nie mogłaby wypuścić Listów zastawnych więcej nad 10 — 12 milionów rubli.

¹⁾ Władze Tow. kred. ziem., zajmując się tą kwestyą wskutek odezwy ministra, zapatrywały się z innego stanowiska na ten przedmiot. Zob. Pamiętnik Tow. kr. ziem. Warsz., 1884, str. 286.

Red.

²⁾ Projekt Tow., przedstawiony w „Pamiętniku,” powinien był szan.

Powołanie do życia Towarzystw kredytowych dla oddzielnych miast Królestwa jeszcze mniej ma widoków powodzenia, już-to dla znacznych wydatków na administracyą, w obec małoważnej sumy ogólnej wypuścić się mogących Listów zastawnych, już-to z powodu niskiego kursu i trudności ich umieszczenia. Jeżeli Listy zastawne bogatego miasta Łodzi dziś jeszcze po kilkunastu latach notowane są zaledwie po kursie 82 — 85%, to Listy zastawne np. Siedlec, Radomia lub nawet Lublina osiągnęłyby kurs co najwyżej 70 — 75%. I w tym ostatnim nawet razie wątpliwem jest, czy znalazłyby chętnych nabywców. Wszak Listy zastawne m. Łodzi, dotąd jeszcze znajdują się w bardzo nielicznych rękach i gdyby nie kilku, wyraźnie kilku kapitalistów, którzy posiadają znakomitą ich część i wartość podtrzymują, kurs ich znacznej uległby obniżce.

Naszem zdaniem, ani stworzenie centralnej instytucji kredytu hipotecznego dla większych miast Królestwa, ani też Towarzystw kredytowych dla oddzielnych miast nie uważamy za praktyczne. A jednak miasta nasze dla wewnętrznego swego rozwoju potrzebują koniecznej i szybkiej pomocy kredytowej. Sądzimy, że utworzenie ogólnej instytucji kredytu hipotecznego, t. j. założenie Banku hipotecznego, w naszych warunkach byłoby bardzo pożądanem i nader praktycznem. Bank hipoteczny bowiem, działając na całe Królestwo Polskie i to nietylko w zakresie hipotek miejskich, ale i wiejskich, udzielając pożyczki nietylko na domy mieszkalne, ale i na ziemię, zakłady fabryczno-przemysłowe i oparty na znacznym kapitale zakładowym, działając zatem na rozległą skalę, mógłby jedynie dostarczyć kredytu taniego. Listy zastawne emitowane przez instytucyą poważną — (bank hipoteczny), znalazłyby łatwiejszy popyt, i osiągnęłyby znacznie wyższy kurs aniżeli Listy zastawne Radomia, Lublina lub Siedlec ¹⁾.

Powołanie zatem do życia banku hipotecznego, powinnyby być głównym celem różnych kółek, pragnących przyjść w pomoc naszym miastom. Lecz ani Towarzystwa kredytowe miejskie, ani też bank hipoteczny, nie spełniłyby jeszcze wszystkich nawet i najgłówniejszych potrzeb miast naszych. Kredyt bowiem hipoteczny przyszedłby z pomocą tylko tym, którzy posiadają własność nieruchomą, objętą hipoteką, gdy tymczasem inne stany może jeszcze w większej znajdują się potrzebie i naglejszej jeszcze domagają się pomocy kredytowej.

Równoległe zatem do usiłowań założenia banku hipotecznego

autora dokładniej poinformować o zamierzonej instytucji kredytowej miast Król. Pol. oraz jej organizacyi. Dyrekcyi szczegółowych z całym mechanizmem biurowym nie projektowano; a o komitecie mowy być nie mogło. Delegacye nie są organem stałym Tow. kr. z.; ale składa je tylko kilku Członków, powołanych do szeregówowego wyrobienia danego projektu.

Red.

¹⁾ Mamy nadzieję, że autor znajdzie sposobność rozwinąć i umotywować dokładniej tę hipotezę, której w tym miejscu okolicznościowo rozbiierać nie możemy.

Red.

w Królestwie Polskiem, należałoby miastom poczynić starania o utworzenie takich instytucji kredytowych, któreby w zupełności odpowiedziały potrzebom wszystkich mieszkańców miasta.

Takimi instytucjami mogą być jedynie Banki miejskie. Pierwszy bank miejski w Cesarstwie powstał w Słobódzku, w gubernii wiackiej, w r. 1809, a za jego przykładem w ciągu pół wieku założono jeszcze 19. Liczne starania innych miast o koncesye banków zniewoliły ministeryum skarbu do wypracowania w r. 1862 łącznie z ministeryum spraw wewnętrznych ustawy normalnej dla banków miejskich (normalnoje położenie o gorodskich obszczestwiennych bankach). Odtąd kwestya kredytu miejskiego w Cesarstwie została rozwiązana. Z każdym rokiem a nawet miesiącem, powstawały nowe banki miejskie, tak ogólnie pożądane.

Nadzieje prawodawców bynajmniej nie zawiodły, a lubo grunt dla rozwoju nowych instytucji nie był jeszcze dostatecznie przygotowany, wydały pomyślne rezultaty, jak tego dowodzi zdanie sprawy z działalności banków miejskich w Cesarstwie za r. 1883.

Obecnie istnieją w Cesarstwie 282 banki miejskie, które w d. 1 stycznia r. b. posiadały:

w stanie czynnym:		
gotowizny w kasach	rs.	13,887,000
weksli w portfelach	"	92,220,000
pożyczek krótkoterminowych	"	18,463,000
" długoterminowych	"	43,878,000
w stanie biernym:		
kapitałów własnych (zakł. i zapas.)	"	29,120,000
wkładów rozmaitych	"	134,046,000

Niektóre banki dopełniają znakomitych obrotów, jak np. Char-kowski, posiadają w portfelu rs. 3,654,000. W ogóle z początkiem roku bieżącego:

72	banki miejskie miały w portfelu	niziej	rs. 100,000
158	" "	od 100,000 —	500,000
35	" "	" 500,000 —	1,000,000
17	" "	wyżej	1,000,000

Podług szczegółowego zdania sprawy za rok 1880 na Litwie i Rusi tylko w trzech guberniach istniały banki miejskie, mianowicie w gubernii Kijowskiej (Czerkasy, Czechryń), Mohylewskińskiej (Homel) i Witebskiej (Dyneburg, Połock).

Stan główniejszych rachunków pięciu tych banków w d. 1 stycznia 1881 r. był następujący:

	Czechryń	Czerkasy	Homel	Połock	Dyneburg	razem
	t y s i ę c y r u b l i					
portfel wekslowy	66,7	279,6	350,1	150,2	255,2	1,101,8
pożyczki	20,6	63,5	38,5	42	107,7	272,3
Kap. zakł. i zap.	72,1	82,1	50,7	28,2	36,5	278,6
wkłady	20,6	277,3	357,9	167,2	310,8	1,133,8
zysk ogólny	8,8	34,9	40,5	29,8	42,1	156,1

t y s i ę c y r u b l i

w ciągu zaś 1880 roku:

skupiono weksli	137,1	571,2	777,4	581,	881,8	2,748,5
przyjęto wkładów	23,6	115,2	150,2	95,3	406,3	790,6
wydano pożyczek	69,4	40,	51,6	29,7	112,8	303,5

Z biegiem czasu i nabytym doświadczeniem okazały się pewne braki i niedokładności w normalnej ustawie z d. 18 lutego 1862 r., które w latach 1866, 1870 i 1879 starano się usunąć. W rezultacie przystąpiono do nowej redakcyi normalnej ustawy o bankach miejskich, i ta drogą prawodawczą w d. 8 maja 1883 r. została zatwierdzoną.

Dla zaznajomienia czytelników streścimy ustawę normalną o bankach miejskich w główniejszych punktach, w nadziei, że znajdą się osoby lub kółka, które postarają się zaszcześcić na naszym guuncie tak pożyteczne i konieczne dla naszych miast instytucye kredytowe.

Ustawa normalna o bankach miejskich wymaga, aby kapitał zakładowy banku miejskiego przy jego otwarciu wynosił przynajmniej 10,000 rubli. Kapitał ten składa miasto lub też osoba prywatna tytułem darowizny.

Jeżeli na założenie banku miejskiego kapitał zakładowy ofiaruje osoba prywatna, to ustawa dozwala, aby tej osobie przyznano tytuł kuratora, z prawem otrzymywania peryodycznych zdań sprawy o działalności banku. Przytem dozwala się, aby bank nosił nazwę swego założyciela-ofiarodawcy, np. bank publiczny miasta Lublina Stefana Bychowskiego.

Bank miejski jest instytucją publiczną miejską i dlatego podlega władzy rady miejskiej, której też zdaje sprawę.

Zarząd banku miejskiego stanowią: dyrektor i przynajmniej dwóch vice-dyrektorów wybranych przez radę miejską.

Rada miejska wybiera również komitet eskontowy z pośród osób, mających prawo głosu na wyborach miejskich. Komitet ten wspólnie z zarządem banku decyduje o przyjęciu lub odrzuceniu przedstawionego do dyskonty wekslu. Korespondencyą bank prowadzi na zwyczajnym papierze, operacye jednak banku podlegają ustawie stemplowej. Zarząd banku wspólnie z prezydentem miasta (głowa) i dwoma członkami zarządu miejskiego (gorodzkiej uprawy) rewiduje stan kasy w naturze, porównywając z księgami. Corocznie przed 1 marca bank składa zdanie sprawy zarządowi miasta, który je komunikuje radzie miejskiej. Rada miejska wybiera komisją rewizyjną dla szczegółowego sprawdzenia zdania sprawy z księgami i naturą.

Rada miejska może zażądać interwencyi rządu, wskutek czego na przedstawienie gubernatora, minister skarbu, po porozumieniu z ministrem spraw wewnętrznych, naznacza z urzędu delegatów dla rewizyi banku. Wiinni wykroczeń podlegają odpowiedzialności kar-

néj i cywilnéj t. j. z osoby i majątku. W zakres czynności banków miejskich wchodzi następujące operacje:

- a) przyjmowanie wkładów,
- b) skup weksli,
- c) wydawanie pożyczek,
- d) inkasowanie należności z weksli i dokumentów,
- e) kupno i sprzedaż papierów publicznych na swój rachunek, lub téż na zlecenie klientów,
- f) redyskontowanie weksli i zastaw papierów publicznych własnych.

Suma wszystkich zobowiązań banku nie powinna przenosić kapitału własnego (zakładowego i zapasowego) więcej nad pięć razy. Jedna osoba nie może korzystać z kredytu ogólnego większego nad $\frac{1}{10}$ wszystkich swoich zobowiązań. Oprócz ofiarowania kapitału na założenie banku, miasto może przedstawić ministrowi skarbu wykaz swego majątku ruchomego i nieruchomego, a to dla zabezpieczenia wkładów. W tym razie minister poleca zapisać na tymże majątku ostrzeżenie w formie właściwej. Wkłady bank miejski przyjmuje:

- a) dla przechowania,
- b) dla oprocentowania na termin oznaczony do lat dwunastu, lub téż do dojścia do pełnoletności osoby, na której imię wniesiono kapitał,
- c) bezterminowe,
- d) na rachunek bieżący.

Wkłady wieczyste tylko w tym razie mogą być przyjmowane, gdy odsetki od nich deponent przeznacza na cele użyteczności publicznej. Na otrzymane wkłady bank może wydawać bilety, ale tylko imienne. Bank miejski eskontuje weksle opatrzone przynajmniej dwoma podpisami i których termin nie jest dłuższym nad dwanaście miesięcy. Bank miejski wydaje pożyczki na zastaw:

- a) papierów procentowych,
- b) towarów,
- c) kosztowności i innych przedmiotów nie ulegających zepsuciu.
- d) nieruchomości.

Ustęp dotyczący zastawu nieruchomości jest niezmierniej doniosłości, bank miejski bowiem może wydawać pożyczki na zastaw:

- a) domów kamiennych i drewnianych,
- b) sklepów handlowych,
- c) fabryk i rozmaitych zakładów przemysłowych, oraz ziemi, znajdujących się nietylko w dauém mieście, ale i w całej gubernii.

Wysokość pożyczki może dosięgać połowy szacunku (taksy). Pożyczki na domy murowane mogą być spłacane w ciągu ośmiu lat, a na ziemię w ciągu najwyżej dwunastu lat. Z czystych zysków osiągniętych z operacji banku oddziela się 10—20% na sformowanie kapitału zapasowego, który winien być umieszczony w banku państwa, albo téż w państwowych papierach publicznych. Dalsza część zysków

może być użytą na cele publiczne np. na oświatę, na szpitale, na dobroczynność i t. p. Pozostałą część zysków dołącza się do kapitału zakładowego banku miasta.

Te są główne zasady normalnej ustawy banków miejskich. Widzimy z nich, że zakres banku miejskiego jest nader rozległym i różnorodnym i naszym zdaniem w zupełności odpowiadałby potrzebom kredytowym miast naszych. Wprawdzie przeszkodą wprowadzenia u nas ustawy normalnej en bloc byłby brak w Królestwie samorządu miejskiego, na którym ona się opiera, lecz tę przeszkodę możnaby usunąć (jeżeli samorząd miejski w krótkim czasie nie będzie wprowadzony) przez odpowiednie zmiany w ustawie. (Czy to w naszym ręku? Optymizm nasz nie sięga tak daleko. Red.).

Sprawa powołania do życia banków miejskich w Królestwie jest nader pilną, pilniejszą od banku hipotecznego lub też towarzystw kredytowych miejskich, które w najszcześniejszym razie mogą otrzymać tylko kilka miast większych. Banki miejskie, jako instytucje kredytowe rozległego zakresu i stworzone dla wszystkich stanów, są nierównie donioślejszego ekonomicznego znaczenia od towarzystw kredytowych. Większość naszych miast znajduje się w tym szczęśliwym położeniu, że nie potrzebuje się troszczyć o zebranie kapitału zakładowego, posiada go bowiem gotowym w Banku polskim, w którym złożone są ich fundusze na lokacyi stałej lub czasowej. Miasta od swoich funduszy w Banku polskim złożonych otrzymują zaledwie 3—4%, gdy tymczasem powoławszy temi funduszami do życia banki miejskie, zwiększyłyby swój dochód i szybkim krokiem zaczęłyby postępować po drodze pomysłowości ogólnej.

Nie wątpimy też ani na chwilę, że znajdują się i szlachetni ofiarodawcy, którzy złożą odpowiednie fundusze na założenie banku ich imienia, zwłaszcza w tych miastach, które nie posiadają dostatecznych kapitałów miejskich.

Dobry system bankowy i szeroko rozgałęzione kasy oszczędności, oto trwała i niewzruszona podstawa rozwoju ekonomicznego, nawet w stronach upośledzonych od przyrody. Że tak jest, dowodem Szwecya i Norwegia, o których słów parę. Każdy, któremu przyszło choć parę dni pobyć w Skandynawii przyzna, że przyroda bynajmniej chojną nie była dla tych okolic. Bez względu na ciepły golfstrom obmywający Norwęgją, zima tu trwa całych ośm miesięcy, dnie krótkie a klimat surowy. Ludność rozrzucona na wielkich obszarach jest tak rzadką, że gdy np. w Królestwie Polskiem na kilometr kw. przypada 58 mieszkańców, to w Szwecyi tylko 10 mieszk., a w Norwegii 5½ mieszk. A jednak krajny te, tak srodze upośledzone, do znakomitych doszły rezultatów na polu ekonomicznem. To też zniwoliło nas do przypatrzenia się owocom usilnej i wytrwałej pracy ludności skandynawskiej. Pomocą w tém były nam wskazówki łaskawie udzielone przez p. Wallenberga, znakomitego ekonomistę skandynawskiego, członka izby wyższej szwedzkiej i dyrektora Enskilda banku w Stockholmie.

Zdaniem p. Wallenberga, dzisiejszy stan pomyślny ekonomiczny zawdzięcza Szwecya głównie dobremu systemowi bankowemu i uorganizowanej oszczędności narodowej.

Przypatrzmy się systemowi bankowemu w Szwecyi.

Pierwszy bank w Szwecyi ufundował genialny Plamstruch w 1656 r. pod nazwą Stockholms banco. Działalność jego była zrazu tak doniosłą, że już w dwanaście lat później sejm przekształcił go na bank państwowy pod nazwą „Sverges Riksbank“ (bank Szwecyi). Dziś bank Szwecyi jest gwarantowany przez sejm i administrowany przez siedmiu jego posłów.

Do 1830 roku bank Szwecyi był jedyną instytucją kredytową, lecz w tym roku powstał pierwszy bank prywatny pod opieką rządu (Enskilda bank). Nowe instytucje uwzorowano na bankach szkockich, a system ten okazał się tak odpowiednim, że dziś w Szwecyi znajduje się 27 Enskilda banków to jest banków prywatnych z 136 filiami; łącznie zaś z Bankiem Szwecyi i jego oddziałami, Szwecya przy ludności 4½ miliona, to jest nie wiele więcej nad połowę Królestwa Polskiego, posiada jednak 170 instytucji kredytowych.

Czyli, gdy w Królestwie na jeden bank przypada 450,000 mieszkańców, to w Szwecyi tylko 27,000.

Enskilda banki są to instytucje akcyjne z solidarną odpowiedzialnością członków. Prawo wymaga, aby Enskilda bank posiadał przynajmniej trzydziestu akcyonaryuszów, z kapitałem zakładowym nie mniejszym nad jeden milion koron szwedzkich (345,000 rubli). Większa część kapitału zakładowego to jest 60% musi być zamienioną na dokumenty hipoteczne, które znajdują się pod kluczem inspektora, mianowanego przez prefekta. Na te dokumenta wolno bankowi emitować swoje bilety obiegowe.

Prawo również wymaga, aby w razie, gdy Enskilda bank utraci swoją rezerwę i 10% kapitału zakładowego, bank był zlikwidowany lub też, aby akcyonaryusze nanowo utworzyli fundusz rezerwowy. Wzorowa jednak administracya banków szwedzkich nie dała powodu, aby w ciągu przeszło pięćdziesięciu lat, choć jeden grosz był stracony.

Banki szwedzkie nie lubią chować swego stanu rachunków pod korcem; miesięczne ich sprawozdania mogłyby służyć za wzór nie tylko nam tak drażliwym, gdy tylko idzie o zasięgnięcie jakich nadprogramowych wiadomości, ale i całej pozostałej Europie. Doprawdy, zdumiewającą jest ta jasność, ścisłość i drobiazgowość miesięcznych sprawozdań szwedzkich Enskilda banków. Dlatego też sprawy bankowe nie obce są ogółowi; interesuje się nimi każdy i każdy z dziwną ciekawością śledzi za ich rozwojem.

Obieg papierowy powierczy w Szwecyi składa się:

z biletów Banku Szwedzkiego w sumie około . . .	40 mil. koron
„ zemitowanych przez Enskilda banki . . .	55 „
i z biletów na okaziciela tychże banków (Postremissvexlar)	10 „

Razem 105 mil. koron,

nie licząc monety złotej, srebrnej i czeków, które w ostatnich czasach nadzwyczaj szybko mogły się rozpowszechnić w Szwecyi.

Dzięki tak świetnie rozwijającemu się systemowi bankowemu, Szwecya przeszła już okres przemysłu domowego (ludowego), oraz okres rękodzieł i rzemiosł. Te ostatnie utrwaliły grunt, na którym od kilku dziesiątków lat począł się szybko rozwijać wielki przemysł. Wielki zaś przemysł prawidłowo rozwinięty, to jest poprzedzony rozwojem rękodzieł i rzemiosł, jest oznaką ekonomicznej dojrzałości narodu.

Przemysł wielki w Szwecyi opiera się na naturalnych bogactwach tego kraju, to jest na lasach i na górnictwie. Lasy w Szwecyi pokrywają 42% ogólnej przestrzeni kraju, lecz z dawniejszych czasów gospodarka leśna bynajmniej nie była prowadzoną w sposób tak rabunkowy, jak się to u nas jeszcze dzieje. Wywóz materyałów leśnych w roku 1880 wynosił 117 milionów marek, ale drzewo prawie wyłącznie eksportowane było w stanie nawpół obrobionym, lub też pod postacią mebli, narzędzi, naczyń, różnych sprzętów, zapalek i t. p.

Tartaki powstały tam jeszcze w połowie XVI wieku. W 1879 roku w samej Norwegii liczono 743 tartaki, w téj liczbie 112 parowych. Fabryki dla strużki drzewa 51 z 2532 robotnikami. W tymże roku istniało w Szwecyi 28 fabryk zapalek z produkcją 7½ milionów marek, w Norwegii zaś 14 fabryk z 1200 robotnikami.

Dobroć żelaza szwedzkiego znaną jest w całej Europie; produkcya jego w 1880 r. wynosiła 775,000 tonn, stali zaś 57,500 tonn. Również pomyślnie rozwijają się fabryki maszyn.

Przędzalni i tkalni bawełny Norwegia posiadała w 1879 r. 32, Szwecya zaś 50, które łącznie z 38 fabrykami sukna, wyprodukowały towarów za 43 miliony marek. Prócz tego istnieją w Szwecyi 122 browary z produkcją 11½ milionów marek, 9 cukrowni z produkcją 17 mil. marek, 50 fabryk papieru z produkcją 6½ mil. marek i t. p.

Widzimy więc, że Szwecya bez względu na ubóstwo przyrody, warunki klimatyczne, oraz rzadkość zaludnienia, doszła do znakomych rezultatów na polu rozwoju ekonomicznego. Zdaniem p. Wallenberga, Szwecya wszystko to zawdzięcza swemu systemowi bankowemu, tak świetnie się rozwijającemu.

Pan Wallenberg szlusznie twierdzi, że gdyby nie Enskilda banki, rozrzucone po wszystkich zakątkach kraju, Skandynawia nie miałaby dziś 7,868 kilometrów kolei żelaznych, ani też nie potrzebowałaby 2,793 biur pocztowych i 309 telegraficznych, obecnie istniejących.

Jeszcze jeden szczegół, dotyczący wyłącznie Norwegii. Kraj ten, liczący około dwóch milionów ludności, w 1880 roku miał jednak 311 kas oszczędności, a w nich na 316,445 książeczkach 157,000,000 koron (53,165,000 rs.). System oszczędności w kraju tak upośledzonym od przyrody, jakim jest Norwegia w porównaniu z Królestwem Polskiem tak się przedstawia:

w Norwegii jedna kasa oszczędności przypada na	6,190 mieszk.
w Królestwie Polskiem „ „	402,500 „

w Norwegii oszczędza jeden mieszkaniec na	6	miesz.
w Królestwie Polskiem „ „ „	190	„
w Norwegii na każdego mieszkańca przypada 27 rs. 97 k. oszczędn.		
w Królestwie Polskiem zaś tylko „ — 21 „ „		

Od kilku lat coraz częściej słyszymy okrzyki radości, że kraj nasz bystrym krokiem podąża na polu pracy ekonomicznej, że się bogaci i że nawet stał się już Belgią Północy. Gdy jednak opuścimy to mniemane Eldorado i zdala od krzykliwej gawiedzi, oddając się cichój, ciężkiej a wytrwałej pracy, porównamy naocznie chociażby taką Norwegią, to dopiero wtedy wyjdzie na jaw cała nagość i przekonamy się jacyśmy jeszcze biedni, jacy mali. Ten szybki postęp przedstawi nam się biegiem zółtwa, co najwyżej wytresowanego do wścigów.

Naszém zdaniem rzeczywiste obecne położenie Królestwa Polskiego da się tak określić: że na niezmierną metę odstaliśmy od Zachodu, a i Wschód w kilku kierunkach pracy ekonomicznej daleko już nas pozostawił za sobą. Wskutek tego pomiędzy Zachodem i Wschodem tworzy się jakby próżnia, która siłą faktów coraz bardziej ulegać będzie wpływom zewnętrznym, o ile rozumie się będziemy dalej zniewoleni być apatyczni na sprawy publiczne, a zwłaszcza ekonomiczne kraju.

Stanu apatycznego, systemu biernego zachowywania się i wyczekiwania, nie powinniśmy bezwarunkowo przedłużać. Wiek XIX jest wiekiem pary i elektryczności, wszystkie objawy życia społecznego kroczą pospiesznie. Żywy i rozległy ruch ekonomiczny i socyalny w nim dopiero wystąpił z całą mocą i jak wezbrana rzeka bieży naprzód pomimo wszelakich przeszkód. Ruch ekonomiczny ogarnął całą Europę, biada tym krajom, które pozostają w bezczynności, gdyż czeka ich los tych melizn, które wezbrana rzeka zalewa. Za utratą samodzielności politycznej nastąpić może utrata autonomii społecznej.

Jakżeż zachowywaliśmy się w wieku obecnym odnośnie do spraw ekonomicznych kraju?

Dzieje ostatnich stu lat kilkakrotnie zaznaczają, że i my wytrwale pracowaliśmy na polu ekonomiczném. Była nadzieja, że i my nie odstaniemy od ogólnej pracy i równolegle postępować będziemy z europejskim ruchem ekonomicznym. Było tak rzeczywiście; ale te kilkakrotne objawy ożywionej działalności, zawsze dotąd przecinała nieubłagana jakaś fatalność zewnętrzna.

Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta, a zwłaszcza sejm czteroletni, niezwykle odznaczały się żywotnością. Już wtedy podnoszono myśl podźwignięcia rolnictwa, przemysłu i handlu przez utworzenie banku narodowego i innych instytucji kredytowych. Utrata bytu politycznego przerwała te prace. Ziemie polskie pogrążyły się w ciemności i ubóstwie. Zwycięstwa Napoleona odżywiły nadzieje i wwały otuchę w upadłych na duchu. Powstało Księstwo Warszawskie i znowu widzimy cały zastęp mężów stanu, radzących nad podźwignięciem narodu z upadku materyalnego. Ojcowska troskliwość księcia warszawskiego i pracowitość ministrów wydała wiele nowych

urządzeń i praw, które jednak nie miały dosyć czasu, aby się utrwalić, gdyż weszbrane potoki przerwały służy i zniszczyły owoce kilkoletniej pracy. Z utworzeniem kongresowego Królestwa Polskiego zjawił się człowiek genialny, nie dosyć jednak, a raczej nader stronniczo dotąd oceniany. Mówię tu o księciu Ksawerym Lubeckim ministrze skarbu.

Ks. Lubecki był pomimo niektórych niedostatków największym mężem stanu i ekonomistą, jakiego wiek XIX wydał z pomiędzy Polaków. Głęboka nauka, energia, rozległa wiedza, doświadczenie i niezwykła przenikliwość cechowała tego męża. Piętnastoletnie jego rządy, to nieprzerwane pasmo wytrwałej pracy nad materialnym podźwignięciem kraju z upadku. Objął rządy w epoce, kiedy kraj był raczej podobny do stepu niż do europejskiego państwa: ubóstwo i ciemnota raziły oko na każdym kroku. Ks. Lubecki wszystkie przełamiał przeszkody: uporządkował skarb, zbudował sieć dróg doskonałych, podźwignął rolnictwo, zaszczerpił przemysł, rozwinął handel, powołując do życia dwie najważniejsze instytucje finansowe, to jest Towarzystwo kredytowe ziemskie i Bank Polski. Ks. Lubecki miał przy sobie cały sztab ludzi uczonych, doświadczonych i ożywionych gorącą miłością kraju. Słowem, geniusz ks. Lubeckiego stworzył szkołę, która wydała takich mężów jak Kajetan Kalinowski, hr. Ludwik Jel-ski, ks. Leon Sapieha, hr. Henryk Żubieński, Adam Bagniewski, Skarbek, Morawski, Plater i wielu innych. Lecz i teraz *non erat in fatis*, żeby Królestwo Polskie mogło się rozwijać prawidłowo i organicznie na polu interesów ekonomicznych. Jeżeli usiłowania Stanisława Augusta i księcia warszawskiego przerwała, że tak powiem, siła wyższa, to pracę księcia Lubeckiego i towarzyszy zniszczyła wielka polityka. Całej winy za te klęski nie składamy na głowy przodków naszych, bo to była do pewnego stopnia konieczność historyczna. Upadłe narody nie łatwo godzą się z faktami spełnionymi. Dopiero groźniejsze, coraz straszliwsze klęski budzą trzeźwiejszy pogląd na rzeczywiste położenie ¹⁾.

Wadą jest naszą, że w wielu kierunkach, szczególnie zaś w kierunku pracy ekonomicznej nie chcemy czy też nie umiemy być cierpliwiymi. Nie zaczynamy pracy od fundamentu; ale zabieramy się do kładzenia dachu nad budynkiem, nie bacząc, że on wzniesiony bez trwałych, silnych podstaw, ma tylko wartość względną, czasową. Że zatem dach, acz piękny i misterny, nie może jednak znaczniejszej nadać wartości budynkowi wątltemu ²⁾.. Wznosiny kosztowne fabry-

¹⁾ Autor potępiając tak ryczałtowo apatyą ekonomiczną po r. 1830 — 1861, zapomniał lub też widzieć nie chciał poważnych usiłowań w tym kierunku mężów takich, jak Szeinkeler, Andrzej hr. Zamoyski, twórca warsztatów żeglugi parowej i Towarzystwa rolniczego, Leopold Lronenberg i i. Wreszcie i powstałe domy zleceń rolników dowodziły, że społeczeństwo nasze rwała się do pracy i na polu ekonomiki w granicach bardzo małej polityki. *Red.*

²⁾ Autor, którego szlachetne pobudki tych konsyderacyi dobrze rozu-

ki, które po kilku latach zaprzestają wytwarzać dla braku zbytu; nie troszcząc się wcale o zwiększenie liczby konsumentów, przez podniesienie dobrobytu klas pracujących. Zakładamy instytucje bankowe, które nie mogą mieć większej doniosłości, z powodu braku organizacyjnej oszczędności uarodowej.

Jeżeli silnego rozwoju wielkiego przemysłu nie poprzedzi kwitnący stan przemysłu ludowego i rzemiosła. jeżeli w skutek tego nasz włościanin i rzemieślnik będzie biedny, to i fabryki, nie mając dostatecznej liczby miejscowych konsumentów, nie będą się też opierać na trwałych podstawach.

Gdy w społeczeństwie nie będzie dostatecznie rozpowszechnionem pojęcie oszczędności, lub gdy ta narodowa oszczędność nie będzie odpowiednio zorganizowaną, to jest skanalizowaną w poważnej instytucji, to i działalność banków będzie bardzo ograniczoną. Wtedy bowiem banki będą mieć bardzo małe fundusze rozporządzalne, składające się przeważnie z kapitału zakładowego, który przecież nie może być tak znacznym, aby zadosyć uczynił wszystkim potrzebom ekonomicznym.

Przypatrzmy się np. naszym instytucjom bankowym:

Z ogłoszonych bilansów widzimy, że:

			rs.	kop.
Bank polski	miął 13 sierpn.	r. b. wkładów pryw.	6,415,605	61½
„ handlowy	„ 1 wrześn.	„ „	5,206,705	80
„ dyskont.	„ 1 „	„ „	1,715,136	29
„ w Łodzi	„ 1 paźdz.	„ „	908,353	58
Tow. wzaj. kred.	„ 1 wrześn.	„ „	2,091,591	85
razem wkładów prywatnych			16,334,393	13½
w tymże samym czasie miął weksli w portfelu:				
Bank polski	za	rs.	21,471,690	kop. 98
„ handlowy	„	„	10,681,516	„ 23
„ dyskont.	„	„	1,776,417	„ 40
Tow. wzaj. kred.	„	„	3,024,986	„ 09
Bank w Łodzi	„	„	1,056,758	„ 58
razem weksli za			rs. 38,010,769	kop. 28

Wkłady zatem prywatne w naszych bankach, złożone na rachunek bieżący lub też na lokacyą terminową są tak małe, że nawet nie dorównywają ich kapitałom zakładowym (18,683,812 rs.), skutkiem czego i portfel wekslowy zaledwie dorównywa dwa razy wziętemu kapitałowi zakładowemu. Gdyby jednak zamiast 16 milionów, banki miały 80 milionów wkładów, t. j. sumę przybliżenie odpowiednią do dzisiejszego stanu ekonomicznego kraju, to ileżby na tém zyskał przemysł, handel, rolnictwo i ogólna pomyślność narodowa?

miemy, zapomina o tój dura lex, że są położenia, są owe dies irae, w których nie to się robi ooby się robić chciało; ale to, co robić można. Red.

Jeżeli banki będą się głównie opierać tylko na swoim kapitale zakładowym, to będą zawsze bezsilne i zawsze też stopa procentowa w kraju utrzymywać się będzie wysoka, gdy tymczasem obfitość wkładów obniży odsetki i powoła do życia nowe instytucje finansowe i zakłady przemysłowe.

Bez wątpienia brakujące 64 miliony rs. (t. j. 9 rs. na głowę) znajdują się w kraju, lecz znajdują się w kufrach, skrzynkach, węzełkach, pod strzechą, pod piecem, podłogą, a nawet zakopane w ziemi pod drzewem. Leżą tam beczynnje, a nawet giną marnie od ognia, wilgoci, przedawnienia i złodziei, gdy tymczasem skanalizowanie tych milionów w bankach zapewniłoby ich całość i jakżeż doniosły wywarłoby wpływ na ubogi nasz rynek pieniężny.

Podniesienie zatem dobrobytu klas pracujących przez rozwój przemysłu ludowego (domowego) i rzemiosł, oraz zorganizowanie oszczędności narodowej przez pokrycie całego kraju gęstą siecią kas oszczędności, oto dwie najgłówniejsze i najpilniejsze potrzeby ekonomiczne naszego kraju. Rozwój rzemiosł i rękodzieł oraz kanalizacja oszczędności; oto kwestye, dla których rozwiązanie całą naszą energią, usilność i wytrwałość skierować winniśmy. Bez rozstrzygnięcia tych fundamentalnych, podstawowych kwestyi, próżne nasze usiłowania ożywienia ruchu ekonomicznego i bezpłodne wszelkie starania Towarzystw popierania przemysłu i handlu.

Sprawa elewatorów, która tak gorące i namiętne wywołała pro i contra w prasie rosyjskiej, zwłaszcza tak zwanęj samobytnęj, jak wiadomo, zawieszoną została do czasu wydania przepisów o warrantach. Obecnie, jak dowiadujemy się, ustawę o warrantach już przygotowano i wniesiono na obecną sesyą rady państwa.

Z powodu doniosłości tak samęj sprawy elewatorów, jak i nierozdzielnej z nimi ustawy o warrantach, które niewątpliwie i u nas znajdują zastosowanie, a tak mało są nam znane, podajemy tu krótki szkic o warrantach, które tak wielką rolę odgrywają na zachodzie Europy i w Ameryce.

Jak sama nazwa wskazuje, warrant jest wynalazkiem angielskim. Historia zaznaczyła pierwsze jego pojawienie się w r. 1737 w księgach kompanii wschodnio-indyjskiej. Był to dowód rzeczonęj kompanii na kupiony u niej na licytacji towar zamorski, znajdujący się jeszcze pod jęj kluczem i na który kupujący złożył tylko zadatek. Taki pierwotny charakter miał warrant do wydania Trading Charter w r. 1834. Obecnie warranty mają zupełnie inne znaczenie w Anglii. Zdaje się nie ma podróżnika, bądź z własnej woli, bądź też wyrzuconego przez smutne losy z ziemi ojczystęj na brzegi mglistęj Brytanii, któryby, kierowany ciekawością lub studjami, nie oglądał wspaniałych doków w Liverpool, Londynie lub Leeds.

Pierwsze doki zbudowane były w r. 1709 w Liverpool i przeznaczone dla towarów zamorskich, opłacie celuęj podlegających. Doki są to sztuczne jakby jeziora głęboke, z jednęj tylko strony wązkim

przesmykiem połączone z otwartém morzem. Tym-to przesmykiem wchodzą do doków choćby największe okręty i wyładowują towary do specjalnych magazynów na brzegu wystawionych. Za przykładem Liverpoola, zbudował i Londyn wspaniałe doki w r. 1799 i u. (West-India-Docks, London-Docks, Commercial Docks i inne), a za nim poszły inne wielkie miasta, jak Glasgow, Hull, Leeds i t. d. Doki zroszyły magazyny (dock albo bondet-warrarehouse), te zaś spowodowały powstanie warrantów.

Odnosnie do warrantów, w Anglii nie ma dotąd specjalnej o nich ustawy, lecz jak w wielu kierunkach, tak i tu istnieje zwyczaj praktyką życia i jurisprudence uświęcony. Obecnie zatem, skoro towar został wyładowany do składów, tam go natychmiast klasyfikują, ważą brutto, oznaczając przytém wagę opakowania (tare). Następnie właściciel otrzymuje dowód w formie książeczki, zwanój lauding-weight, w której każda paka towaru oddzielnie jest opisana, drugi zaś egzemplarz pozostaje w zarządzie składów

Na żądanie właściciela towaru dock albo bondet-warrehouse wydaje warrant trojakiiego rodzaju:

1) warrant zwyczajny, wydany na imię tego, dla kogo towar został przysłany;

2) weight-note, jeżeli towar sprzedaje się na wagę
 gauge-note „ „ miarę objętości
 lote-note „ „ sztuki.

Warrant zwyczajny różni się zupełnie od warrantów w punkcie drugim wymienionych; gdy bowiem pierwszy oznacza, że towar w chwili wydania warrantu pozostaje w posiadaniu pierwotnego właściciela i może być natychmiast wydany, za zwrotem tylko kosztów przewozu, to warranty drugiego rodzaju oznaczają, że towar został już sprzedany na termin oznaczony, niekrótszy jednak od 2—6 miesięcy.

3) pismo warrant, wydawane zwykle zaraz po przybyciu towaru i przed jego opisaniem, t. j. ważeniem. Służy on głównie dla otrzymania na towar zaliczki od bankiera, lub też u specjalnych agentów (advance-brokers), za wydaniem im oprócz warrantu zobowiązania (letter of hypothecation), na mocy którego w razie uchybienia w terminie, wierzyciel może towar sprzedać.

Jak widzimy, warrant w Anglii jest przedstawicielem towaru, ma zatem charakter rzeczowy, co jednak bynajmniej mu nie przeszkadza do przechodzenia z rąk do rąk. Obroty warrantami dochodzą w Anglii do olbrzymich rozmiarów, bez względu na brak specjalnych ustaw i zawłość procedury. Warranty w handlu angielskim mają to samo znaczenie, co w obrotach pieniężnych czek i. Bez warrantów w handlu towarami i czeków w codzienném życiu, Anglik nie pojmuje dziś ruchu ekonomicznego, a jeżeli mu wspomnieć, że w danym kraju pierwsze są nieznane, a drugie jakby w pieluchach, to praktyczny Anglik zrobi taki grymas i półuśmiech, który daje ci do zrozumienia, że kraj ten w jego pojęciu jest krajem barbarzyńskim. Prak-

tyka życia handlowego we Francyi różni się od angielskiej, stworzyła też odmienne zwyczaje i wywołała ustawy, które dla swój prostoty i jasności szerokie znalazły zastosowanie w ościennych państwach. Rewolucya lutowa i wślad za nią powstałe wielkie przesilenie handlowe zniewoliło rząd Rzpltej w r. 1848 do urządzenia *entrepôts* i *magasins généraux*, w których składano towary, wyroby i produkta surowe, tudzież wywołało ustawę o warrantach. Pierwsze usiłowania wydały liche owoce, dopiero ustawy z r. 1858 i 1870 ożywiły znakomicie obroty warrantami.

Obecnie istnieją we Francyi następujące rodzaje składów: 1) *entrepôts réels*, zostające pod kluczem komory i pod kluczem delegata handlowego; 2) *entrepôts fictifs*, t. j. składy, zostające pod opieką rządu; 3) *magasins généraux*, zostające pod opieką osób lub kompanii prywatnych, wydające warranty. Składający w nich towary, wyroby lub też produkta surowe, otrzymują dwa dokumenta: a) *récépisse*, obejmujący nazwisko, zajęcie i miejsce zamieszkania właściciela towaru, oraz rodzaj towaru i signum, po którym możnaby rozpoznać tożsamość towaru i b) *warrant* teje samej treści co i *recepisse*. *Recepis* jest dowodem posiadania towaru i służy dla obrotów handlowych; bez poruszania towaru z miejsca, *warrant* zaś ma na celu otrzymanie zaliczki na towar i jest niejako rzeczowém zabezpieczeniem dla wierzyciela. *Warrant* może być ustąpiony przez pierwotnego właściciela, za pośrednictwem całkowitego *indosu* i za pomocą przepisania w księgach *magasin général*, następne jednak przelewy mogą następować *in blanco* i bez *adnotacyi* w księgach. Z powyższego wynika, że *warrant* i *recepis* mogą oddzielnie przechodzić z rąk do rąk i to właśnie stanowi nieoceniony przymiot prawodawstwa francuzkiego.

Posiadacz *recepisu* może otrzymać towar nawet przed upływem terminu zaliczki na *warrant*, byleby wniósł całkowitą sumę zaliczenia. Jeżeli zaliczenie na *warrant* nie zostało w terminie wniesione, to wierzyciel protestuje *warrant*, wywiesza ogłoszenie na giełdzie i w ośm dni może zażądać przedaży towaru, bez sądowej procedury. *Magasins généraux* z otrzymanych ze sprzedaży pieniędzy potrącają przedewszystkiem podatek celny i *octroi*, oraz składowe, asekuracyję i wydatki przetargu, a następnie zwracają zaliczkę na *warrant* wraz z podatkami.

Bank francuzki, najpotężniejsza instytucja finansowa w świecie, a przytém, że tak rzekę, najbardziej demokratyczna, szczerze pomagająca pracy ekonomicznej we wszelakim jój objawie oddaje i sprawie *warrantów* nieocenione usługi. Przy *magasins généraux* znajdują się stale urzędnicy banku francuzkiego dla wydawania zaliczek na *warranty*.

Właściciel towaru, otrzymawszy *recepis* i *warrant*, udaje się do zawsze obecnego agenta banku, wręcza mu *warrant* wraz z szematem obejmującym: numer, pod którym zapisany towar w księgach maga-

sins généraux, imię, nazwisko, zajęcie i miejsce zamieszkania właściciela towaru, nazwę instytucji, za której pośrednictwem towar złożono; rodzaj towaru, liczbę collis i signum; gatunek i wagę brutto towaru; datę oraz podpis dyrektora i drugiego agenta składów. Na receptyś urzędnik banku oznacza wysokość wydanego zaliczenia (zwykle odpowiednio taksie z odliczeniem 10—30%) i zwraca ją interesantowi, zatrzymując warrant i wydając czek na bank francuzki. Cała operacya nie trwa dłużej nad pół godziny.

Warranty we Francuzi są nadzwyczaj rozpowszechnione, uważają się za papier pewny i dlatego są poszukiwane dla lokacyi krótkoterminowej. System francuzki warrantów, jako wzorowy przyjęty jest we Włoszech, Hiszpanii, Szwajcaryi, Belgii, a nawet po części i w Niemczech.

Tak jak w Anglii, nie ma również dotąd i w Niemczech specjalnej ustawy o warrantach, lubo system francuzki coraz większego nabiera prawa obywatelstwa mianowicie w Bremen, Lipsku, Mannheimie i innych. Obecne prawo handlowe niemieckie, jakkolwiek nie przyznaje ważniejszej różnicy pomiędzy receptyśm i warrautem, różni jednak: Verpflichtungs-schein t, j. zobowiązanie, jakie wydaje właściciel towaru na osobę oznaczoną, dla odbioru części lub całości złożonego towaru, — oraz Auslieferungs-schein, właściwy warrant, wydawany przez instytucye, przez rząd koncesyonowane dla składu towarów i wyrobów, z celem otrzymania na niego pożyczki.

I w Niemczech uznano tedy potrzebę wydania specjalnej ustawy o warrantach.

Genialny ks. Lubecki i u nas zajmował się wprawdzie nie wprost sprawą warrantów, ale składami na towary. W tym celu powołał pewnego hydraulika niderlandzkiego do wygotowania projektu połączenia Warszawy z Narwią, a ewentualnie z Litwą i Rusią, za pośrednictwem kanału, który przekopać miano pomiędzy Zegrzem i Warszawą. Ujście kanału do Wisły miało być pomiędzy Pragą i Saską kępą, gdzie również miał być zbudowany port i doki wraz z magazynami towarowemi. Był to projekt wielkiego znaczenia, tém większego, że w tym systemie grało ważną rolę dalsze połączenie z Niemnem i morzem Bałtyckim za pośrednictwem kanału Augustowskiego. Nieszczęściem wielkie zamiary tego męża stanu przerwała rewolucya 1830 r., a z całego przygotowanego już projektu hr. Henryk Żubieński urzeczywistnił tylko budowę kanału Augustowskiego i magazynów zbożowych, ale już na lewej stronie Wisły.

Literatura o warrantach jest dotąd ubogą. Najważniejszém dziełem jest rozprawa F. Hechta „Die Warrants,“ Lager und Lagerpfandscheine. Mit Beiträgen zur Geschichte und Statistik d. Lagerhauswesens, str. X i 259 wraz z tablicami i formularzami wydana w Stuttgardzie 1884 r. W tymże przedmiocie pisał Goldschmidt w „Handbuch des Handelsrechst“. Wiele także dorywczych wskazówek znajdujemy w „The Economist“, w „L'Economiste français,“ oraz

w pracy Henningsa i Mertensa o składach towarowych, wydanéj w Petersburgu w 1881 r.

Kwestya socyalna, tak ogólnie dziś zajmująca najpotężniejsze nawet umysły starego i nowego świata, nigdzie może mniej nie zagraża bezpieczeństwu publicznemu, jak we Francyi. Przyczyną tego nader małożnaczny wzrost ludności, ogólny dobrobyt oraz swoboda w publiczném traktowaniu kwestyi.

Ta swoboda jest przyczyną, że najskrajniejsze nawet opinie nie potrzebują się posługiwać prasą podziemną, która jest tém niebezpieczniejszą, im bardziej ściganą przez prawo. Francya zrozumiała, że utopiom należy odjąć cechę męczeństwa, dozwolił jawną dyskusyą, która najlepiej wyświecła prawdę i okazuje całą nagość i nicosć skrajnych teoryi. Nie mówiąc już o literaturze, prasa francuzka nader bogatą jest w przedstawicieli skrajnych teoryi. Wymieniamy tu główniejsze organa w tym kierunku:

„L'affamé“ wychodzący dwa razy miesięcznie w Paryżu.

„Bulletin de la libre pensée“

„Le Bulletin,“ wychodzący co dwa tygodnie w Bordeaux.

„Le Défi“ „ tygodniowo w Lyonie.

„L'Émeute“ „ „ „

„L'Esclave w Armantières“

„L'Hôtel de la Ville“ tygodnik w Paryżu.

„La Montagne radicale socialiste“ dziennik w Saint-Etienne.

„Le Progrès social,“ dwa razy tygodniowo w Béziers.

„Le Quatrième Etat“ tygodnik w Toulouse.

„La Revanche du forçat“ w Roubaix.

„Le Travailleur“ co sobotę w Marsylii.

„Le Vengeur“ co niedziela w Lille.

Z powyższego spisu widzimy, co to za kwiatki kwitną na niwie francuzkiéj, nikt się jednak niemi nie przeraża, nikt bowiem nie nadaje większój wartości tym efemerycznym płodom rozbującéj po większój części fantazyi; a jednak z drugiéj strony prasa tego odcienia jest nader pożyteczną i konieczną dla ludzi nauki i stanowiska, dobitnie bowiem przedstawia niedolę klas pracujących, ich życzenia, zamiary, oraz sposób pojmowania poprawy bytu materialnego i moralnego.

W ostatnich czasach następujące ważniejsze prace z zakresu ekonomiki opuściły prasę drukarską:

„Statistisches Jahrbuch f. das Deutsche Reich.“ 5 Jahrg. 1884 str. VII i 200 z trzema kartami chromolitograf. w Berlinie.

Locher F. „Der Staatssocialismus und seine Consequenzen“ 2 Aufl. Zurich.

„Das Recht auf Arbeit“ von H. R. von N. Leipzig.

Ruprecht W. „Die Wohnungen der arbeitenden Classen in London“ str. VIII i 288, Freiburg 1884.

„Social-Gesetz-Sammlung,“ zeszyt 2 i 3. München.

Block M. „Annuaire de l'Économie politique“ str. 967. Paris 1884.

Villard P. „Des Administrateurs dans les sociétés anonymes“ str. 272 Paris 1884.

Levis L. „American corporation cases and English“ v. 2. Nothport 1884, str. 4 i 726.

Jevons, V. Stanley. „Investigations in currency and finance. Edited, with an introduction, by H. S. Foxvell. London 1884.

Capelli V. „Della questione sociale in Italia“ str. 314. Bologna 1884.

Lampertico F. „Il credito“ str. XXIV i 320, Milano 1884.

Ralbeno U. „Saggio di sociologia economica nella evoluzione del lavoro. Torino 1884.

Salviati E. „Capitale e lavoro“ str. 174. Geneva. 1884.

„Oesterreichisches Statistisches Handbuch“. 2 Jahrg. 1883.

„Statisticzeskij wremiennik Rosijskoj impierji“ II sierja 25 wypusk.

F. Fendi.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Liske Ksawery dr. Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej polskiej, z archiwum t. z. bernardyńskiego we Lwowie, wskutek fundacyi ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydane staraniem galicyjskiego wydziału krajowego. Tom X. Lwów 1884. 4^o str. VI i 542.

Ilećroć jest mowa o dawnych naszych aktach sądowych, a mianowicie o aktach grodzkich i ziemskich, nasunąćby się mogło nieobznajomionym bliżej z rzeczą przypuszczenie, że akta te prócz zapisek sądowych, w ścisłym tego słowa znaczeniu, a więc prócz spraw procesowych, prywatno-prawnych i karnych, i oprócz spraw jurysdykcyi niespornój, nie zawierają w sobie żadnych zresztą innych materyałów do poszukiwań naukowych, że zatem przedstawiają interes jedynie tylko dla badaczy dawnego naszego prawa sądowego, nie dostarczają zaś żadnego plonu dla tych, którzy w innych kierunkach zajmują się naszą przeszłością. Przypuszczenie takie nie miałoby żadnej racyi już z tego powodu, że nawet z owych właściwych zapisek sądowych da się wycisnąć mnóstwo wskazówek do rozjaśnienia całych naszych dziejów wewnętrznych; gdybyśmy wszakże pominęli i tę okoliczność, to jednak byłoby ono jeszcze zupełnie bezpodstawnym. Poza całym, ściśle prawnym, nieprzebrany zasobem źródeł, którego dostarczają te akta, znajduje się w nich jeszcze ogromny, samoistny materyał historyczny.

Istota i urządzenie ksiąg sądowych polskich, przedewszystkiem zaś zakres pism, które obejmowały, były tedy wcale inne niż dzisiaj. I oto nasuwa się mimowoli pytanie, w czym spoczywa przyczyna téj różnicy? Odpowiedź jest tu bardzo prosta, a leży ona w uwzględnieniu

danych stosunków. Dawniejsza organizacja administracyjna państwa polskiego nie rozporządzała tak bogatym zasobem najróżnorodniejszych środków, do jakich dzisiaj uciekać się można celem publikacji, uprzystępnienia dla ogółu tych rzeczy, które przeznaczone były dla jego wiadomości; główną, jedyną niemal instytucją, służącą ku temu celowi były księgi sądowe. Urządzone na zasadzie jawności, a więc dostępne dla wszystkich interesowanych, mogły dać szczegółowe wyjaśnienie co do wszystkich punktów, objętych odnośnym aktem urzędowym, który do nich wpisano, z drugiego zaś strony wpis taki służył za dowód dokonanej przez woźnego promulgacji, o ile ona w poszczególnych wypadkach była potrzebna. Wpisywano więc w księgi nasze nie tylko najrozmaitsze trauzakcyje w sprawach prywatnych, o ile zwłaszcza dotyczyły nieruchomości — rzecz, która dzisiaj jeszcze ma zastosowanie w instytucji ksiąg hipotecznych, — ale zarazem mnóstwo pism, mających doniosłość publiczną, dostarczających zatem dzisiaj cennego materiału do badań nad wewnętrznymi dziejami Rzeczypospolitej. Wpisy skuteczniiano w formie o b l a t y, t. j. w dosłownym odpisie, któremu na czele i u końca dodawano tylko krótką formułkę oblatuacyjną, dająca się zresztą w każdym wypadku oddzielić z łatwością od właściwego dokumentu, a skuteczniano je z polecenia bądźto władz ustawodawczych, bądź wykonawczych, bądź też wreszcie na żądanie stron prywatnych. Tak więc znajdujemy tutaj konstytucyje i recesy sejmowe, uniwersały poborowe, akty elekcyjne i układy z elektami (*pacta conventa*), uchwały konfederacyi, uniwersały, lauda i instrukcyje sejmikowe; obok tego nieprzebrany prawie zasób rozporządzeń i mandatów królewskich w najrozmaitszych gałęziach administracyi, uniwersały w sprawach ogólnej doniosłości, jak np. nakazy szanowania neutralności krajów ościennych, zawiadomienia o zawartych z nimi traktatach handlowych lub pokojowych, o cłach granicznych, o walucie monetarnej i t. p., nominacyje na rozmaite dostojności i urzędy, począwszy od najpierwszych w państwie, a skończywszy na najniższych, jak np. nominacyje na woźnych, nadania szlachectwa i indygenatów, wici, zwołujące pospolite ruszenie, *vadia*, t. j. zakłady ustanawiane przez króla lub urzędników pomiędzy stronami spór wiodącymi, ażeby pod pewną karą pieniężną wstrzymały się aż do rozstrzygnięcia sporu od wszelkich względem siebie kroków nieprzyjaznych, glejty czyli listy bezpieczeństwa, udzielane skazańcom; desygnacyje opiekunów dla małoletnich i kuratorów dla umysłowo chorych; dalej rozmaite rozporządzenia władz wojskowych, sądowniczych, administracyjnych, zwłaszcza zaś mnóstwo aktów, dotyczących skarbowości, jako to: lustracyje województw, ziem, ekonomii i starostw, taryfy podatkowe, rachunki i kwitancyje z uiszczonych przez poborców podatków, inwentarze majątków miejskich, kościelnych i w ogóle korporacyjnych. To znowu za inicjatywą stron prywatnych wnoszono do aktów lokacyje, uposażenia i darowizny królewskie; zatwierdzenia cesyj co do dóbr nieruchomości; spisywano rejestra szkód popełnionych przez

wojsko i t. d. Wreszcie, jeżeli się znalazł pisarz w sądzie, mający więcej niż inni ochoty do pisania i czasu do stracenia, wpisywał niejednokrotnie do aktów całe broszury polityczne, mające związek z bieżącymi wypadkami w kraju, lub aforyzmy i wierszyki okolicznościowe, rzucające nie mało światła na ówczesne stosunki obyczajowe i panujące w danej chwili prądy polityczne i społeczne.

Już samo to wyliczenie, któremu zresztą daleko do wyczerpującej dokładności, dać nam może chociażby tylko słaby obraz o nieprzebranym bogactwie materyałów historycznych, które kryją w sobie akta sądowe polskie. Prawda, że nie na wszystkie sądy i nie na wszystkie czasy rozdziela się w równej mierze cały ten zasób źródeł. I tak akta sądów ziemskich, jako przeznaczonych w pierwszej linii do wykonywania czynności sądowych, zawierają ich stosunkowo daleko mniej niż akta grodów, które nie były wyłącznie tylko władzą sądowniczą, ale zarazem także i organem administracyjnym w powiatach. Powtóre, w wiekach średnich ograniczano się przeważnie, nie tylko w ziemstwach, ale zarazem także i w grodach, na samych zapiskach ściśle sądowych, wpisując w księgi wyjątkowo tylko rzeczy szerszej ogólnej doniosłości. Dopiero około połowy w. XVI liczba wpisów aktów publicznych wzrasta bardzo znacznie i potęguje się odąd coraz bardziej z postępem czasu. Tak więc księgi sądowe zawierają przedewszystkiem materyał do dziejów wewnętrznych Polski z wieku XVI, XVII i XVIII-go; nie są one wszakże obojętne i dla czasów dawniejszych, a to z dwóch powodów. Raz dlatego, że jeśli w wieku XV-ym nie wpisywano ich w takiej ilości, jak później, to jednak wpisywanie to nie było przecież zupełnie wykluczonem; powtóre dlatego, że w księgach sądowych z trzech ostatnich stuleci umieszczano często w odpisie dokumenta wystawione o kilka wieków wstecz, a zatem sięgające nie tylko w głąb tych czasów, z których zachowały się nam księgi sądowe, ale nawet i tych, w których księgi te albo wcale nie istniały, albo też uległy zatracie.

Gdy tedy w księgach tych znajduje się tyle ważnego materyału historycznego dla całej prawie doby istnienia państwa polskiego, musiało się stać rzeczą ze wszech miar dla nauki pożądaną, ażeby materyał ten wciągnąć do badań nad przeszłością Polski. Nasuwały się tu jednak trudności prawie niedoprzelamania. Aktów sądowych jest ilość niezmierna; w obu np. galicyjskich archiwach (lwowskiem i krakowskiem) zalegają ich tysiące grubych foliantów. Czyż można było zająć np. od badacza opracowującego dzieje poszczególnej jakiejś instytucji polskiej, ażeby kartka za kartką przerzucił owe tysiące foliantów, szukając w nich wśród mnóstwa obojętnych dla siebie rzeczy, materyału do swjej pracy? Niedogodność tę usunąć mogło tylko wy dawnictwo aktów sądowych, prowadzone w sposób umiejętny i racjonalny, któreby poddało ważniejsze i ciekawsze zabytki w nich przechowane, gdyż o ogłoszeniu wszystkich oczywiście nigdy mowy być nie może. Przyznać trzeba, że pod tym względem objawił się u nas od

niejakiego czasu ruch dosyć ożywiony. Zainaugurował go Helcel wydaniem drugiego tomu „Starodawnych prawa polskiego pomników,“ obejmującego bogaty zbiór zapisek sądowych z archiwum krakowskiego; poszli zaś w jego ślady ks. Lubomirski, w najnowszych wreszcie czasach Ulanowski. Wszystkie te wydawnictwa zawierają jednak przeważnie tylko właściwy materiał prawniczy, a to z tego powodu, że ograniczają się tylko do akt polskich średniowiecznych, w których, jak już wspomnieliśmy powyżej, właściwe dokumenty historyczne w całej tylko znajdują się ilości. Akta z trzech ostatnich wieków istnienia Rzpltej pozostały dotąd nietknięte prawie; częśćkę ich wydał wprawdzie Bobrzyński w VI-ym tomie „Starodawnych prawa polskiego pomników,“ założywszy sobie wszakże ogłosić tylko wyroki sądów królewskich z czasów Zygmunta I-go, pominął znowu całą dziedzinę materiałów właściwego historycznego znaczenia.

Na tę dziedzinę, leżącą dotąd niemal zupełnie ugiorem, wprowadza nas poraz pierwszy prof. Liske publikacją, zawartą w X-ym tomie znanego dobrze światu naukowemu zbioru, wychodzącego we Lwowie od lat kilkunastu pod nazwą „Akta grodzkie i ziemskie.“ Zabierając się do tej pracy miał tu wydawca dwie drogi przed sobą, albo ogłosić dany materiał w całej jego rozciągłości, t. j. wszystkie poszczególne akta w dosłownym odpisie, albo też materiał ten streścić tylko, t. j. podać rejestra dokumentów oblatownych w księgach sądowych. O ile metoda pierwsza wydać się mogła ponętną na pierwszy rzut oka, jako że uprzystępniałaby źródła w całej ich osnowie, o tyle znowu okazać się musiała niewykonalną w praktyce, z powodu ogromnej ilości tych źródeł, które ogłoszone w całości, chociażby tylko z jednego grodu i ziemstwa, zająłoby musiały conajmniej kilkadziesiąt tomów druku. Nie pozostawało tedy nic innego, jak tylko chwycić się metody drugiej, rejestrowania, ażeby w ten sposób w możliwie najkrótszym czasie podać do wiadomości ogółu całą treść bogatą, jaką zawierają nasze archiwa. Tém snadniej zaś było można obrać tę drogę, że w obec ułatwionego dzisiaj przystępu do archiwów galicyjskich, każdy komu na tém tylko zależy, uzyskać będzie mógł z łatwością kopie potrzebnych materiałów, bądźto sam, bądź też za pośrednictwem władz archiwalnych. Wydawcy chodziło zatem słusznie jedynie tylko o to, ażeby zwrócić uwagę na to, że dokument jakiś istnieje i wskazać miejsce, gdzie go odszukać można; z tego powodu nie starał się nawet w regestach swoich zastąpić całej, szczegółowej treści dokumentu, podaje tedy każdy regest w formie jaknajzwięźlejszej; a w ten sposób uzyskuje możność objęcia swém wydawnictwem materiału stosunkowo bardzo obszernego. Regesta te ułożone są w porządku chronologicznym według dat dokumentów, a każdy z nich opatrzony jest osobną liczbą porządkową.

Postawiwszy tę główną zasadę na czele swego wydawnictwa, nie przystąpił wszakże prof. Liske, zdaniem naszym całkiem słusznie, do ogłoszenia regestów wszystkich bez wyjątku oblat, zawartych w księ-

gach; znajdują się bowiem pośród nich niekiedy rzeczy bardzo pod-
 rzędnej wagi, nie przedstawiające większego interesu dla badań nau-
 kowych; albo rzeczy wprawdzie ważne, ale powtarzające się tak czę-
 sto w jednej i w tej stereotypowej formule, że przytoczenie jednej
 tylko ich części, z opuszczeniem reszty uczynić może w zupełności
 zadość wymaganiom nauki. Wydawca nie ogłasza tedy spisu swego
 bez żadnego wyboru, owszem, opuszcza niekiedy to, co na publikacyą
 nie zasługuje; że jednak postępował tu nadzwyczaj ostrożnie, że nie
 uronił niczego, coby miało donioślejszą wartość historyczną, niechaj
 udowodni przytoczenie zasad, których się pod tym względem trzymał.

Do końca wieku XVI-go podaną jest treść oblat wszystkich do-
 kumentów tak królewskich, jak i niekrólewskich, z wyjątkiem jedy-
 nie pozwów sądowych, jako takich, które mogłyby mieć znaczenie
 tylko w związku z samemi aktami procesowemi, oderwane zaś od
 nich, na nie się przydać nie mogą. Od początku wieku XVII podano
 z oblat niekrólewskich, zwłaszcza zaś prywatnych, już tylko wybór
 cenniejszych i ciekawszych, czy to ze względu na treść ich, czy też
 ze względu na osoby, od których pochodzą, lub do których się odno-
 szą. Co do dokumentów królewskich, to po rok 1680 umieszczono
 wszystkie, odtąd zaś opuszczono nominacye woźnych, dlatego, że lubo
 wystawione w imieniu króla, nie zawsze pochodziły od niego, tak że
 data dokumentu takiego nie przyda się nawet do ustalenia itine-
 rium królewskiego. Od początku wieku XVIII-go wreszcie opuszczo-
 no wszystkie wadya, moratoria i listy bezpieczeństwa.

Zdarzało się częstokroć, iż do księgi grodzkiej wpisywano doku-
 menta, które właściwie składały się z kilku samoistnych części. I tak:
 jeżeli np. korporacya jaka otrzymała przywilej w wieku XIV, mogła
 go sobie dać potwierdzić przez któregoś z późniejszych panujących,
 dajmy na to raz w wieku XV, raz w XVI i raz w XVII. Przy ka-
 żdém takim późniejszym potwierdzeniu, odpisywano dosłownie cały
 dokument poprzedni, dodając doń na początku i końcu formułkę po-
 twierdzającą. Jeżeli tedy też korporacya przywilej taki w wieku XVII
 kazała wpisać dla bezpieczeństwa do ksiąg sądowych, to właściwie
 przywilejów było tu cztery: jeden pierwotny i trzy następane potwier-
 dzenia, każdy opatrzone nazwiskiem swego wystawcy i osobną datą
 wystawienia. Przywileje takie, profesor Liske według przyjętej już
 w poprzednich tomach wydawnictwa swego metody, rozdziela na pier-
 wotne ich części składowe i umieszcza każdy w tém miejscu, które
 mu z jego daty przypada. Moznaby wprawdzie zarzucić, że w takim
 razie wystarczyłoby umieszczenie przywileju pierwotnego, pod-
 czas gdy dalsze potwierdzenia, jako zawierające zwykłą, stereotypową
 formułkę, dałyby się z łatwością opuścić. Zarzut taki, po bliższem
 rozpatrzeniu rzeczy, upada wszakże sam z siebie. Raz dlatego, że
 późniejsze potwierdzenia dają wskazówkę do ułożenia itinerariów kró-
 lewskich, powtóre dlatego, że sam fakt potwierdzenia przez później-
 szego panującego, rzuca już wiele światła na stosunek jego do odnoś-

nój osoby lub korporacyi, stanu i t. p. a wreszcie dlatego, iż w późniejszych dokumentach nie zawsze ograniczano się tylko do gołosłownego zatwierdzenia dokumentu dawniejszego, ale czasami rozszerzano go nowemi przywilejami i nadaniami, które jako takie przedstawiają już samoistną wartość historyczną.

Nie można powiedzieć, żeby wszystkie bez wyjątku dokumenta oblatowane w księgach, były autentyczne. Zdarzało się czasami, zwłaszcza przy oblatowaniu rzeczy z czasów dawniejszych, że podsuwano kancelaryi dokument sfałszowany, który pisarz, w braku krytyki, wciągał do aktów z całą wiarą w jego autentyczność. W obec tego rodzaju pism, wydawca miał do wyboru w ogóle dwie drogi: albo dokument poddać krytyce i uznać go za fałszywy, nacechować w każdym poszczególnym wypadku jako taki, albo też podać tylko jego treść, pozostawić zaś krytykę specjalnym badaniom. Pierwsza droga byłaby jedynie właściwą, gdyby dokumenta ogłoszone były w całej ich rozciągłości; ponieważ jednak wydanie, o którym mowa, zawiera tylko regista, przeto krytyki takiej nie można było rozwinąć, publiczność bowiem nie miałaby podstawy do skontrolowania wywodów wydawcy, nie mając całkowitego tekstu przed sobą. Prof. Liske rejestruje zatem zarówno dokumenta autentyczne, jak i sfałszowane; tych ostatnich jest wszakże tak mało, że, jak zaznaczono trafnie w przedmowie, z wyjątkiem dokumentu wymienionego pod numerem pierwszym, (w Paryżu, roku 1065, Filip I, król francuski, poświadcza na prośbę Ludwika z Brzezia rodowód Zadory, brata Ludwika), który jest niewątpliwie fałszykiem i z wyjątkiem kilku jeszcze innych początkowych numerów wątpliwój natury, wiarogodność reszty nie obudza żadnych podejrzeń.

Natomiast zwrócił wydawca bardzo pilną uwagę na sprostowanie dat, które w aktach sądowych podawano niekiedy mylnie. Oblaty wpisywano do ksiąg czasami bardzo niedbale, zwłaszcza zaś w wieku XVII; zdarzało się wtedy, że kopista podawał albo fałszywą datę ery chrześcijańskiej, albo mylny rok panowania monarchy, mimo że w oryginale data była całkiem dokładną. Mnóstwo takich uchybień zostało teraz należyście zreaktyfikowanych.

Musimy przy końcu wspomnieć jeszcze o indeksie. Kto zna dawniejsze tomy wydawnictw prof. Liskego, temu zapewne nie trzeba przypominać wszystkich stron dodatnich, jakimi cechują się jego indeksy. W niniejszym tomie opracowany jest indeks z równą starannością i dokładnością i na tych samych oparty zasadach, co i dawniej. Zmiana, spowodowana potrzebami praktycznemi, zachodzi tylko pod jednym względem. Oto z powodu ogromnego nawału imion własnych, zarówno osób jak i miejscowości, niepodobna było wydawcy podawać każdej osobistości pod jój imieniem chrzestném, pod nazwą rodową i godnościami, które piastowała; w ten sposób bowiem indeks urosłby do niezwykłych rozmiarów. Przytoczone są więc wszystkie osoby tylko pod nazwą rodową, a zarazem dodane im wszystkie godności, z jakie-

mi w zapiskach w tomie niniejszym objętych występują. Oprócz spisu osób i miejscowości, znajduje się jeszcze spis ważniejszych rzeczy; o dokładnym, wyczerpującym indeksie rzeczowym oczywiście mowy być nie mogło, jeżeli sam indeks nie miał co najmniej przerzósć w dwójnasób samego wydawnictwa. Mimo tych wszystkich uproszczeń, urósł on przecież do bardzo wielkich rozmiarów (100 stron bitego druku w dwóch kolumnach in quarto).

Oto ogólne zasady, na których prof. Liske oparł swoje wydawnictwo. Nie wyczerpnęło ono całego materiału historycznego, zawartego w księgach archiwum lwowskiego, mamy bowiem przed sobą tylko regesta oblat zawartych w aktach byłego ziemstwa i grodu lwowskiego, których liczba wynosi 1272 tomów. Jestto zaledwie piąta część wszystkich ksiąg znajdujących się w rzeczonym archiwum. A jednak, jakiz olbrzymi materiał udało się zebrać z tej jednej tylko części! Liczba regestów ogłoszonych w tomie niniejszym, wynosi nie mniej jak 7446 numerów ¹⁾, a właściwie obejmuje około 8000 dokumentów, gdyż wydawca pod jeden numer ściągał niejednokrotnie po kilka dokumentów jednolitej treści i tej samej daty. Świat naukowy przyjąć musi z prawdziwą wdzięcznością plon ten tak umiejętnie zebrany, tak bogaty a zupełnie prawie dotąd nieznan. Jakkolwiek bowiem z pośród zregestowanych przez wydawcę dokumentów, niektóre znane już były z dawniejszych publikacji, to jednak liczba ich jest tak nieznaczna w stosunku do innych nieznanych dotąd źródeł, że gubi się pośród nich prawie zupełnie.

Wynika z istoty rzeczy, że zbiór tego tomu, jako obejmujący akta grodu i ziemstwa lwowskiego, służyć będzie w pierwszej linii do rozświecenia dziejów Lwowa, ziemi lwowskiej i województwa ruskiego. Pod tym względem jest to niezawodnie obok dawniejszych tomów „Aktów grodzkich i ziemskich“ najbogatsza skarbnica źródeł, jaką posiadamy dotychczas; szczegółowe wyzyskanie dokumentów, streszczonych przez wydawcę, pozwoli rzucić całkiem nowe a jasne światło na historią tej prowincyi. Najwięcej zyskają tu dzieje trzech ostatnich stuleci, z powodu, że jak już wspomnieliśmy, z czasów tych najwięcej stosunkowo istnieje materiału historycznego; ale i do wyjaśnienia dziejów dawniejszych znajdujemy tu wiele wskazówek; kilka z nich pochodzi jeszcze z epoki przed zajęciem Rusi przez Kazimierza Wielkiego. Przedewszystkiem zaś zyska niewątpliwie wiele historia

1) Z téj liczby przypada:		numerów
na wiek XI		1 (falsyfikat)
„ XIII		3
„ XIV		28
„ XV		154
„ XVI		2704
„ XVII		3496
„ XVIII (do r. 1783). . .		1060
Razem		7446

rodzin polskich, które się przesiedliły do Rusi i tamże coraz większego dobijały się wpływu, znaczenia i majątku, jak niemniej cała historia polszczenia téj prowincyi i stopniowego rozszerzania się kultury i cywilizacji polskiej. Myliłby się wszakże bardzo, ktoby w wydawnictwie tém dopatrzeć się chciał wyłącznie tylko takiego znaczenia partykularnego. Ponieważ do ksiąg sądowych wciągano mnóstwo pism odnoszących się do stosunków całego państwa polskiego, przeto téż wydawnictwo to staje się zarazem bogatym źródłem do rozświecenia wewnętrznych dziejów całej Rzpltej. Nie ma prawie pod tym względem pytania, do którego nie znaleźlibyśmy tutaj wielu wskazówek; więc zarówno do dziejów ustawodawstwa, administracji, skarbowości, sądownictwa, wojskowości, do dziejów miast i mieszczaństwa, kościołów, klasztorów i duchowieństwa; do dziejów wyznań, mianowicie zaś unitów, ormian i żydów, jak wreszcie do rozświecenia stosunków ekonomicznych, przedewszystkiém zaś rolnictwa, przemysłu i handlu, a w części nawet do dziejów oświaty i cywilizacji. Wydawnictwo prof. Liskego, uprzystępnivszy w ten sposób światu naukowemu tyle wszechstronnego i cennego a przeważnie dotąd nieznanego materiału, stało się rzeczą, z którą każdy badacz historii naszej wewnętrznej liczyć się będzie musiał koniecznie.

Jesteśmy w tém szczęśliwém położeniu, że możemy zarazem podać czytelnikom wiadomość o treści przygotowującego się właśnie do druku następnego (XI) tomu „Aktów grodzkich i ziemskich. Niewątpliwém jest, że dalszy ciąg publikacji rozpoczętej w tomie dziesiątym, a więc wyzyskanie oblat, zawartych w księgach sądowych innych grodów i ziemstw, które się przechowują w archiwum lwowskiém, byłoby rzeczą zewszech miar dla nauki pożądaną; gdy jednak opanowanie tak ogromnego materiału, przejrzanie nowego tysiąca ksiąg sądowych, wymaga dłuższego czasu, skutkiem czego publikacja musiałaby doznać stagnacji, przeto wydawca, nie zanedbując zresztą pracy nad tém pierwszym zadaniem, zwrócił się obok tego do drugiego jeszcze, i zamierza nam w tomie najbliższym podać zbiór średniowiecznych wiadomości sądowych, przechowanych w aktach archiwum lwowskiego, na wzór tych, jakie z archiwum krakowskiego ogłosił swojego czasu Helcel. Zamierza on przedewszystkiém wyzyskać materiał, zawarty w księgach sanockich, a to z tego powodu, że z przechowanych obecnie we Lwowie, sięgają chronologicznie w czasy najodleglejsze, bo jeszcze w czasy, kiedy na Rusi nie polskie, ale ruskie obowiązywało prawo. Już sam ten wzgląd wskazuje, jak ciekawym będzie ten nowy zbiór zamierzony. Przyjdą więc naprzód akta ziemstwa sanockiego, poczynwszy od r. 1423, akta grodzkie od r. 1435, a wreszcie akta sądu wyższego prawa niemieckiego w Sanoku od r. 1457, początkowo w całości, później zaś z opuszczeniem wiadomości mniej ważnych lub w streszczeniu. Praca przygotowawcza postąpiła już dość znacznie, i należy spodziewać się rychłego jój ukończenia.

Dr. Oswald Balzer.

„Szkice estetyczne” przez Maryana Massoniusa. Warszawa
1854 roku.

„Idealizm jest jedynym racjonalnym kierunkiem w sztuce, i wszyscy wielcy artyści byli idealistami.“—Dosyć byłoby tego jednego wyrażenia dla pokazania, na jakim stanowisku stoi autor „Szkiców” i z jakiego punktu zapatruje się na sztukę. To stanowisko nie jest bynajmniej jego oryginalnością; autor ma przed sobą całe stronnictwo, całą szkołę wyznawców idealizmu nie tylko w sztuce, lecz i w świecie; najwyrazistsi jednak nawet realiści, jak Taine, nie odmawiają sztuce żywiołu idealnego i odmawiać nie mogą bez zniesienia a przynajmniej zamącenia całego o niej pojęcia. Czémżeż bo nareszcie różniłaby się sztuka od natury i rzeczywistości absolutnej, gdyby nie ten pierwiastek, pozornie rzeczywistości obcy, a jednak rzeczywistość najwyższą stanowiący, jaki ożywia sztukę godną tego nazwania? Co do tego nie może więc być dwóch zdań: sztuka polega na ideale, albo nie jest sztuką, tylko zimną, martwą, prozaiczną rzeczywistością reprodukcyjną.

Tylko, idealizm autora, w odniesieniu do sztuki, nie ogranicza się na wymaganiami w niej owego pierwiastku, lecz mieści w sobie całą metodę zapatrywania się na świat. Według niego, światem rządzą i panują nad nim idee, jako to, prawda, dobro i piękno, a wszystkie zjawiska są tylko odbiciem tych idei, w których przegląda się Bóg, najwyższa prawda, najwyższe dobro i najwyższe piękno. Myśl ta zasiała wszystkie kartki „Szkiców.“ — Człowiek zmierza do urzeczywistnienia tych idei, a sztuka jest objawem jego dążenia do piękna, rozlana „wszędzie w dziele najwyższego Artysty“ (str. 16).

Nie wiem jakby dzisiaj stała estetyka, gdyby był Plato nie napisał swojego traktatu o ideach: wszystko bowiem, cokolwiek ukazało się potem na stole idealistycznym w przedmiocie zasad estetyki, jest tylko komentarzem albo rozrówką jego traktatu aż do Hegla i Vischera. I co prawda, byłoby to bardzo pożądanem, gdyby wszyscy poeci, powieściopisarze, artyści byli mocno przekonani i do głębi serca przejęci tém, że powołani są na kapłanów tego kultu idei, a dzieła ich mają stanowić reprodukcją „piękności najwyższej.“ Możeby wtedy nie doszło do tych orgii powieściopisarskich i artystycznych, do tego kultu cielesności, zmysłowości i do tego cynizmu, jakiemu poświęca się dziś tyle piór i pędzli. Ale na nieszczęście, teoria nigdy jeszcze nie nadała inicjatywy, ona powołana jest tylko objaśniać i porządkować praktykę.

Teoria trzech idei tém mniej jeszcze objaśnia praktykę, że sama potrzebuje objaśnienia. Po długim zastanawianiu się, i to na innej drodze, można było dojść do tego, że prawda, jestto byt, byt rzeczywisty; że dobro jest tém, co urządza stosunki bytu. Lecz jakże to jest względem i zależnem! Za byt, a więc za prawdę, przyjmuje-

my to, my ludzie, co istnieje w warunkach dostępnych naszemu poznaniu, a sprawdza się środkami, na jakie nas stać: jestto zatem tylko byt względny, nie żaden absolutny: i na takim pojęciu jego porzucić musimy. A też stosunki, to dobro, czemżeż inném jest, jeśli nie tém tylko, co nam albo stale, albo nawet tylko w danéj chwili wygadza? To pojęcie względności nasuwa nam oczywiście szereg stopniowań i budzi wiarę w to, że poza nami istnieje bezwzględność; lecz ani nasz rozum, ani nasza wyobraźnia, niezdolne są warunków jéj określić.

Jeżeli jednak z temi dwiema ideami mogliśmy sobie jakotako poradzić, inaczej się ma z ideą piękna. Tyle wieków urzeczywistnia się ona (mówiąc językiem idealistów) na ziemi, już-to w obyczajach, już w sztuce, ale czém ona jest sama w sobie, pomimo zapisanych o niéj bibliotek, nie dowiedzieliśmy się wcale. Przejęcie się nią u filozofów ateńskich i aleksandryjskich było tak głębokie, że istotnie z nią niemal identyfikowali Boga. I nasz nawet autor „Szkiców“ zdaje się, że tylko co wyszedł z prelekcji Plotyna, taką wagę przywiązuje do téj idei. Piękno, podług niego (str. 109), lubo nie niższém jest od prawdy i dobra, ale pełniejszym, bo mieści w sobie obie te idee, gdy przeciwnie, one nie zawierają go w sobie: co większa, ani prawda, ani dobro, nie wypełniają pojęcia cywilizacyi, czyli, że „najmędrzy, albo najlepsze człowiek może pomimo to pozostać barbarzyńcem.“ Zapewne, autor będzie miał słuszność, jeżeli do wyrazu, do pojęcia piękna, przywiążemy takie znaczenie, jakie on mu za platonistami przypisuje: lecz, jeżeli je ograniczymy tylko do tego co nam daje i dać może sztuka, jako wyraz piękna, zarazem musimy i to wyobrażenie znacznie zredukować, gdyż bylibyśmy w sprzeczności z faktami. Czyż społeczeństwa skandynawskie mniej są ucywilizowane, a raczej czy są barbarzyńskie, w porównaniu np. z włoskimi, że mniej oddają się kulturze piękna?

Ale mniejsza na ten raz o to. Autor za podstawę do swych rozumowań o sztuce, przyjmawszy teorią rzuconą zgóry, tyle téż tylko z niéj wyczerpuje, ile wyczerpać można, t. j. same ogólniki. Teorya ta nie wypowiedziała czém jest piękno samo w sobie, jako specjalny objaw ducha; czém jest sztuka jako *sui generis* objaw umysłu; czém jest nareszcie artysta, jako umysł odrębny: dla tego téż i dwa rozdziały, w których tu poważnie mowa jest o tych przedmiotach, nie dają więcéj objaśnień nad to, o czém obszerniej i dokładniej dowiedzieć się można ze wszystkich estetyk w tym samym kierunku ułożonych, a w szczególności z listów Kremera.

I zdaje mi się, że zawsze to nastąpi, ilekroć badaniu przewodniczyć będzie metoda apryoryczna. Jakoż, czegoż to dowiadujemy się na rzecz teoryi ogólnej z rozdziału: „Idealizm, realizm i naturalizm w sztuce,“ stanowiącym autorskie credo. Trzy cechy odznaczać mają idealny kierunek w sztuce, a mianowicie:

1) „Dla oddania charakterów i okoliczności artysta poznaje

i pojmuje ich ideje, i następnie tworzy je przez nadanie im odpowiedniej formy. — 2) Artysta idealizuje ludzi i wypadki swojego dzieła. — 3) Artysta dąży do ideałów i przedstawia je w swoim dziele.“

Rozbierzmy te trzy punkta dla dowiedzenia się co w nich znaleźć można. W pierwszym powiedziano, że artysta poznaje i pojmuje ideje charakterów i okoliczności, a następnie je tworzy. Gramatycznie tak tu postawiono wyrazy, że niewiadomo, co artysta tworzy, czy ideje, czy charaktery i okoliczności. Przypuszczam, że te ostatnie, przy czém autor bardzo słusznie wymaga, ażeby one tworzyły się nie z żywiołów powierzchownych, podrzędnych, ale na podstawie ożywiającej je idei. W drugim punkcie powiedziano, że artysta idealizuje, a w trzecim że dąży do ideałów: albo tego nie rozumiem, albo jestto jedno i to samo. Czyli, zebrawszy razem wszystko, wypada w ostatecznym streszczeniu, że kierunek idealny w sztuce jest wtedy, gdy artysta idealizuje. Jak zaś rozumieć to idealizowanie, autor wykazuje w rozwinięciu tych trzech punktów; odróżnia ideał od rzeczywistości z jednej strony, z drugiej od mrzonek; żąda, ażeby idealizowanie odbywało się na gruncie prawdy, ale pod rozumowanie jego nie podchodzą wszystkie wypadki sztuki.

Mówi on o ludziach, charakterach, okolicznościach—zgoda. Ale weźmy np. wypadek krajobrazu. Czy tu artysta idealizuje? Zapewne, inaczej bowiem obraz byłby tylko odbiciem zwierciadlaném, fotogramem kolorowanym, kopia wierzytelna, nie zaś dziełem artystycznym. Jakże w tym wypadku rozumieć idealizowanie? Czyż natura sama w sobie nie jest dość piękną, ażeby ją jeszcze trzeba idealizować? Dalej, weźmy jedną, jedyną głowę i to wcale nie Antinousa, ale prostą głowę człowieka natury prostaczéj, w której nie ma miejsca na ideał w znaczeniu moralném, a jednak pod pędzlem mistrza głowa ta stanie się idealnie piękną, choć on w nią żadnego ideału nie włożył. Na czém tu więc idealność, wymagana w sztuce, polegać będzie? Następnie, do jakiego kryterium odnieść ideał, zastosowany wprost do krainy fantazyi, zaludnionej istotami nadprzyrodzonymi; albo co większa, do sfery religijnej?

Powiedzmy prawdę, czy dla prowadzenia kogoś po przepaściach ideału, można tworzyć prawidła a priori? W sztuce, jak nas poucza jej historia, wszystko jest indywidualném i wszystko zależy od indywidualności artysty. Zbyt wiele mówimy o ideach, a zupełnie zapominamy o wrażeńiach, a przecież sfera estetyki, jak sama nazwa wskazuje, jest przede wszystkim sferą wrażeń. Artysta, to żywa istota wrażliwa, to pajak, z natury swéj snujący tkankę piękną, za stosowném pobudzeniem organizmu. Jego dzieło, to odbicie przedmiotu pobudzającego, przedstawiające się w takiej formie, jaką przedmiot ten przybrał, przechodząc przez ten umysł wrażliwy, wypełniony żywiołem piękna: to ideał jego własny, jego własne widziadło, czyli to, co i jak on w przedmiocie widział osobiście, indywidualnie. Skutkiem téż téj indywidualności, ideał jednego i tego samego przed-

miotu nie będzie jeden i ten sam, tak, jakby to z teorii a priori wynikało. Stu artystów jednej lub przybliżonej siły, przedstawi ten przedmiot w stu jednakięj wartości odmianach, stosownie do stanu indywidualnego artysty, do sposobu otrzymanego wrażenia, do rodzaju wrażliwości. W dziele sztuki nie przedmiot stanowi wartość, bo ten dokładnięj poznać możemy na innęj drodze, lecz sposób, w jaki go widział (rozumie się i ujawnił) artysta: i oto jest właściwie to, co nazywamy ideałem. A widzenie to tak samo dotyczy sfery zmysłowej, jak moralnięj, historycznięj, nadzmysłowej, wszelkięj. Zbierzmy razem Madonny niemieckie, włoskie, hiszpańskie (Holbein, Rafael, Murillo), zgoła w charakterze oblicza niepodobne między sobą, a wszystkie piękne. Do jakiegoż-to forum udamy się po rozstrzygnięciu, gdzie jest ideał Madonny i który charakter temu ideałowi odpowiada? Dajmy temu pokój; idei Madonny nie było i nie ma, ideały jęj wynikają z głowy i uczucia artystów, zadawalniające albo nie, które możemy krytykować ze strony artystycznęj, ale na których typ żadnego nie mamy sprawdzianu. Ile jest ideału w sztuce, tyle go weszło przez artystów, a nie przez jakąś ideję piękną zgóry ustanowioną. Ściągając pojedyncze objawy sztuki w obszerniejsze kłęby, przekonamy się, że każdy jęj okres, stosownie do czasu i narodowości, ma ideał inny, który wzrasta od dołu, wspina się do pewnego szczytu i tam się kryształizuje, a potęm już nie wraca. Sztuka jednak nie martwieje, rozpoczyna nowy okres i nowy ideał, a postępuje tą samą drogą, za pośrednictwem artystów, którzy są tłumaczami ducha swojego czasu.

Oczywiście, że im od wyższych i godniejszych przedmiotów wrażenie otrzymuje artysta, tęm donioślejszego znaczenia jest jego dzieło, stosownie wykonane, czyli osiągnące doskonałą harmonię formy z treścią; co tęż autor dobrze określił, głownie w rozdziale: „Myśl i tendencya sztuki.“ Jest sztuka wielka i sztuka mała. Ale, na innem znów miejscu; zanadto poniża dzieła artystyczne o treści pomniejszjęj. Pochodzi to ztąd, że ciągle zajęty jest „jedną, wielką w nieskończenie wielkięj ilości form wyrażającą się Ideą,“ że według niego „niema i nie może być prawdy ani piękna w tęm dziele sztuki, w którego głębi nie leży ta wszystko przenikająca i wszystko ogarniająca Idea; — niema piękna tam, gdzie niema Boga“ (str. 53). Ztąd wynikałaby dla sztuki konieczność wyszukiwania, czy w danęj treści, w przedmiocie, jest Bóg albo go niema, a przedewszystkięm konieczność znalezienia i posiadania sprawdzianu tego odkrycia. Jakim sposobem, uzasadnić ten sprawdzian pozytywnie i umiejętnie, skoro Bóg jest dla nas wielkim nieznanym, skoro po wszystkie czasy ludzie tworzyli go na obraz i podobieństwo swoje? Pozostaje wiara pozytywna, która określa stosunki Boga do świata i ona to jedna chyba rzucić może pewne światło na wartość przedmiotów względnie do idei Boga. Wchodzimy tym sposobem w nieprzebrnięte koło domysłów, wątpliwości i kontrowersyi, z któremi gdyby miała rachować się sztuka, nie wiedziałaby nareszcie czego się trzymać. I nasz tęż autor zostaje

czasami w sprzeczności sam z sobą. Ma on za złe mistrzom z przed Renesansu nadziejską mistycyzność ich postaci, dla których przestają one być „ludźmi naturalnemi, a stają się alegoryami artystycznemi idei oderwania się od ziemi“ (str. 98), chociaż, według jego zasady, już ciż byłby tam Bóg więcej niż gdziekolwiek. Na ten raz woli autor, ażeby tu byli ludzie naturalni. W inném też miejscu potwierdza niejako tę predylekcyą do natury rzeczywistój i powiada (str. 53), że „ten sam Bóg, który jest cały i niepodzielny w Madonnie (Rafaela), jest też cały i niepodzielny w „Matce Rembrandta.“ Nawiasem mówiąc; ja, ani w jednym, ani w drugim obrazie, nie widziałem Boga całego i niepodzielnego. W pierwszym (Mad. Syxt.) spostrzegłem tylko urocze zjawisko naiwności, czystości, pogodnego zachwyty, uwydatnione w dziewicy prostój o cudownie piękném obliczu, z wyrazem u istot pospolitych niebywałym: taką pod wpływem natchnień religijnych widział w swój duszy zadziwiający geniusz artystyczny, i w dziele swém ideał własny przedstawił. W drugim, trudno mi dopatrzeć coś innego nad energicznie namalowany portret niewiasty uczciwój, dość pospolitej. Lecz jeżeli autor w reprezentacji tworów bożych rad widzieć całego Boga, — to dlaczegoż tak bardzo tę reprezentacyę ogranicza, jakie ma zasady do wbiać słupa granicznego tu nie gdzieindziej? Natura, jako krajobraz, jeszcze znajduje u niego uwzględnienie, ale natura-zwierzę, broń Boże. U niego (str. 55), „artysta, który maluje zwierzę, nie podnosi się, lecz poniża, nie zbliża się do Boga, lecz się od niego oddala,“ to poprostu widowisko nie dla ludzi, lecz dla koni. Idzie zatem, że dla ludzi właściwe są tylko przedmioty ze świata ludzkiego, ale zapewne także nie wszystkie. Autor, który zobaczył Boga w jednej „głowie staruszki,“ nie wiem czyby go ujrzał w jakiej naprzykład dzielnej pohulance karczemnej. Wątpię, bo o to co powiada na stronie 57: — „jeżeli między malarzami rodzajowemi szkoły niderlandzkiej jest wielu prawdziwie genialnych, to jest też wielu i takich, których dzieła muszą wzbudzać podziw dla swojej naturalności i głęboko pojętej prawdy wewnętrznej, lecz nie przedstawiając nic pięknego nie mogą być zaliczone do dobrych dzieł sztuki.“ Pod ten wyrok oczywiście podejść muszą tacy artyści jak Teniers, angielski Hogart, a nawet i hiszpański Murillo, jako twórca owego małego zebra w łachmanach, tak podziwianego przez krytyków i znawców; — a tak niechlujnego w całej osobie i przyborach.

Niel Chyba autor nie myśli tego co napisał, inaczej, wzięlibyśmy go za kszonozieżę estetycznego a nie za badacza. Nasamprzód, jak pogodzić tę sprzeczność wyrażenia, że dzieła wzbudzające podziw dla swój naturalności i głęboko pojętej prawdy, nie mogą być zaliczone do dobrych dzieł sztuki? Autor tłumaczy tę sprzeczność tém, że nie przedstawiają nic pięknego. Otóż, czy niema czasem samowolności w oznaczeniu charakterystyki tego piękna? Czy pojęcie to autor nie zawiele a dość zasadnie odnosi tylko do obiektu, z pominię-

ciem strony subiektywnej? Powiada: nie przedstawiają nic pięknego; lecz, czyż za nic się uważa w sztuce to, iż owo nic pięknego wykonanem jest pięknie? Kupa rądli i przyrządów kuchennych, za pewne to nic pięknego, a jednak sposób jakim oddaje malarz Van Ostade tę kupę przez użycie światła i koloru, obraz jego czyni artystycznym bez żadnego ze strony artyzmu zaprzeczenia. Zapewne, że redukować sztukę do podrzędnych i poziomych zjawisk, wystawiać na plan naczelny to tylko, co w życiu małą odegrywa rolę, znaczyłoby to ją degradować, lecz niemniej dobrem (w znaczeniu artystycznym) będzie to, co jest wykonane dobrze.

Dalecy jesteście od obojętności na tematy, jakie obiera sobie sztuka i rozumiemy ile społeczności odpowiedzialne są za upadek jej ducha, bo koniec końców, jakie społeczeństwo taka sztuka; lecz nie sądzimy, ażeby nie należało oddzielać jej charakteru społecznego od strony artystycznej i wykonawczej. Wreszcie pomiędzy tematami poziomem jedne są tylko małe i niewinne, drugie są zdrożne, wykraczające już to przeciw naturze estetyki samej lub przeciw moralności zasadniczej. W tym tylko ostatnim razie autor miałby zupełną słuszność powiedzieć, że przedmiot nawet najlepiej wykonany, do dobrych dzieł sztuki zaliczyć się nie powinien, gdyż grzeszy przeciwko samej zasadzie Piękna; bo pięknem nie może być to co jest wstrętnem naturze ludzkiej, czyli obrzydliwem, albo wstrętnem pojęciu dobra, czyli złem. Dlatego też nie imponuje nam bynajmniej dzisiejsza tak powszechna exhibicya nagości w sztuce i literaturze nadobnej, która, pomimo pozornego artyzmu, z niskich pobudzeń pochodząc, do niskich też instynktów ludzkich, do zmysłowości i lubieżności jedynie przemawia. I potworności moralne, naprzykład Szekspirowskie, także pięknem nie są w zasadzie; ale tu właśnie pięknem artystycznie czyni je intencya autora, krytyka wewnątrz dzieła utajona a przeciwieństwo dobra doskonale w nich uwydatniająca; straciłyby one zaś na wartości, gdyby te objawy psychiczne autor malował na biało, tak jak to czynią w niektórych swych kompozytach francuzi, począwszy od Marion Delorme.

Tylko więc sofizmaty moralne, które nicują prawdę; pornografia zwąca się naturalizmem, która talenta sprowadza do chlewów ludzkich, jako rzeczy odbiegające od samej natury Piękna, mogą podpaść pod miecz cherubina strzegącego przybytku sztuki. I o nich jednak nie możemy powiedzieć ażeby bezwarunkowo nie były dziełami artystycznymi, ze względów subiektywnych, jako twory talentu; zawsze to sztuka, tylko w swym charakterze negatywnym.

Oprócz tego, nie widzimy dlaczegooby wszystko co się na świecie rozwija prawidłowo, nie miało być godnym przedmiotem sztuki, bez względu na swą większą lub mniejszą doniosłość. Nie nakładajmy sobie tylko zbyt wielkich, a zwłaszcza nieokreślonych wymagań; nie chcemy zaraz bezpośrednio wszędzie widzieć „Boga,“ lecz stojąc nawet na stanowisku dogmatycznym i idealnym, które z pojęciem

sztuki nie ma nic sprzecznego, powiedzmy sobie, że w świecie fizycznym i moralnym panuje Piękno, skoro z tamąd przeszło do naszego umysłu, uczuć i instynktów. Odczuć je, odgadnąć, wyszukać, to rzecz artysty, a gdzie on je wynajdzie, z kąd refleks padnie na jego duszę, to tajemnica przypadku. Jeżeli Piękno przenika całą naturę, to tkwi ono w najdrobniejszej cząstce jak w całości, w każdym jestestwie połyskuje nić jego złota. Naprzykład, te odtrącone przez autora zwierzęta, czyż nie posiadają dotykanych żywiołów piękności? Ten przedstawia siłę, ów dobroduszość, tamten naiwność, ów gracyę wytworną. Wszak nieraz w ich przymioty, przez porównanie przybieramy człowieka; tém samym przyznajemy istnienie w nich jakiejś idei.

Wprawdzie autor nie wyłącza ich z dziedziny sztuki, redukuje ich tylko do znaczenia akcesoryów, za nic w świecie nie pozwalając ażeby zajmowały w utworze miejsce bohaterskie. Rzecz to dyskusyi, ale już na grunt czysto artystyczny przeniesiona z gruntu filozofii sztuki. Nie bardzo zapewne radzi jesteśmy obrazom artystów tak zwanych *peintres des bêtes*, gdzie ludzie stanowią tylko okazję, przydatek trzeciorzędny do koni lub bydła; lecz gdyby zwierzęta zawsze służyły jedynie za akcesorya krajobrazów, sztuka plastyczna nigdyby nie zdołała ujawnić tych rzeczywistych żywiołów piękna jakie w nich natura złożyła. Skoro zaś jedno drzewo czasami jest bohaterem obrazu i czyni go sławnym, nie wiem dlaczego mniejby do tego miało prawa jestestwo organizmu wyższego, które potęgę natury w wyższym reprezentuje stopniu.

W każdym razie ta koncesya autora wskazuje, że nad doktrynerem filozofii sztuki wziął górę obserwator artystyczny. I rzeczywiście, ilekroć autor pozostaje tylko na tém stanowisku, rozumowania jego są jasne i przekonujące.

Za przykład możemy wskazać dość szczegółową, a ze wszech miar zasadniczą krytykę „Dziewicy Orleańskiej“ Szyllera (str. 83—88), w której autor wytyka wszystkie błędy i niekonsekwencye jakich dopuścił się poeta przy naciągnięciu charakteru téj postaci do swych widoków dramatycznych, czyli poprostu przez jój sfałszowanie. Nader trafną uwagą, dowodzącą dobrej znajomości warunków poezyi, kończy autor tę krytykę, mówiąc: — „Postać Joanny, nadając się w wysokim stopniu do poezyi, istotnie nie nadaje się do dramatu; jest to postać całkiem epicka, najstosowniejsza na bohaterkę poematu: elementów dramatycznych, rozdwojenia i walki wewnętrznej, brak téj czystej, spokojnej, beznamiętnej naturze.“ Uwaga to słuszna i nowa, nie wpadł na tę myśl nawet Kremer w długiej swój o tym przedmiocie rozprawie. Nie zgadzamy się wszakże z autorem, gdy w następnym ustępie nazywa geniusz Szyllera czysto dramatycznym, a wcale nie epickim. Natura talentu Szyllera bynajmniej nie była pozbawioną przymiotów epickich, okazał on to dostatecznie w swoich balladach, zwłaszcza w „Gang nach den Eisenhammer.“ Czyby mu

dopisał talent przy utworze większej skali, nie wiemy. Ale talentu dramatycznego objawił on bardzo mało; z wyjątkiem Wallenstējua, żaden jego bohater dramatycznym nie jest, żaden dramat prócz „Kabile und Liebe,“ nie ma rozwiązania dramatycznego, a osobiście też Wilhelm Tell, który cały ogon piątego aktu wlecze za sobą jako usprawiedliwiający komentarz czynu, w którym wszystko jest wyrozumianiem i obrachowaniem, nie zaś doraźnie namiętnościowem. Wszystko to tylko poezya, wielka poezya, a Szyller jest przeważnie potężnym i uroczym lirykiem.

Niezaprzeczenie również zasadniczem jest określenie tragiczności i komizmu (str. 62 i nast), wskazanie na czem polega jedno i drugie, ażeby z granic piękności nie wykraczało. W tém wszystkiem znać umysł bacznie wpatrujący się w naturę objawów estetycznych i z krytyką głębszą obeznany.

Najwięcej jednak samodzielności a zarazem odwagi w obec nowych i dość utartych opinii, okazał autor w otwartej walce z jaką wystąpił przeciw tendencyjności w sztuce (rozdział 1), jako warunkowi jej koniecznemu. Nie wiem rzeczywiście żkąd wytynęła tułająca się od jakiej ćwierci wieku u nas ta teoria tendencyjności, dobrze czy źle rozumiana; ale to pewna, że w prądach naukowych osnutych na materializmie a zwłaszcza utylitarystyce znalazła silne poparcie. Zdaniem naszym, ilekroć okoliczność stosowna je wywoływała, było zawsze to, że rozmyślna tendencyjność i twórczość artystyczna wyłączają się wzajem. Ale kto tam takich rzeczy słuca: adeptci i profani mają wiecznie w ustach wyrazy uznania i pierwszeństwa dla powieści tendencyjnej, dla dramatu tendencyjnego, bodaj dla farsy tendencyjnej (libretto „Pięknej Heleny“). Wydrwiwać i wysmiewać wyrażenie: sztuka dla sztuki, stało się modą wśród szampierzy chorągwi utylitarnej. Można się domyślcć na jakie toiry mogłaby pójść poezya i sztuka za takimi hasłami. Służycyby musiała tylko za oprawę dla doktryn socyalnych, moralnych, politycznych, religijnych i t. p., zeszlaby może czasem na komentarz przepisów policyjnych; pod okiem zapracowanych robotników społecznych pot ocierających z czoła, wstydziłaby się Piękna bezinteresownego, będącego samemu sobie celem, nareszcie razem z niem wyszlaby ze świata cała estetyka życia. Budynki odartoby z fryz, kapitele z akantusów, marmury szłyby tylko za bloki do mostów nie na figury mitologiczne lub martyrologiczne; muzykę zastosowanoby do leczenia obłąkanych, poezyą do reklam dla dzieł cechujących postępowo odkryć i wynalazków; bo żaden objaw sztuki nie mający widocznego celu realnego nie miałby nawet racji bytu. Są nawet już praktycy instynktownie wyprzedzający taką teorię i przekonani swych dowodzący czynem, dokonany choćby na kolumnie z placu Vendôme.

Ej! sztuka mieści w sobie to wszystko, czego od niej żądają hasła utylitarne: przeczytajmy tylko ustępow Mickiewicza o „pieśni gmiunnej.“ Ma ona i aureole gotowe dla dobra i wieńce wawrzynu dla prawdy i bicz dla występku i fałszu: tylko nie trzeba czynić na nią o to

nacisku, bo gotowa odmówić. Ona wtedy tylko staje się pożyteczną, gdy jest zupełnie w państwie swém swobodną: słuca natchnień własnych a nie przepisów. Kto chce uczynić z niej służebnicę idei obcych, choćby nie wrogich, kto na nią zakłada łańcuch tendencyjności, może ją tym łańcuchem zdusić.

Przeciwno téż takim zachciankom występuje autor z argumentami wcale poważnemi, ale niedostatecznemi: a iżby skuteczniej zwalczyć przeciwnika, trzeba iść do jego obozu. Czego jest wynikiem sztuka? Oczywiście, instynktów estetycznych. Ten wyraz wprowadza nas w inną grupę faktów, zgoła odmiennych od ideału, lecz wcale mu nieprzeciwnych. Instynkt estetyczny jest faktem pozytywnym, poświadczonym i niepotrzebującym dowodzenia. Przybywa on do organizmu kolejną rozwojowi, dziedzicznie, tak jak wszystkie inne instynkta jego i altruistyczne: posiada on jednak sobie tylko właściwe cechy. Dla zrozumienia natury tego instynktu, a zarazem jego odrębności od instynktów innych, należy wypatrzeć te cechy, towarzyszące jego zaczątkowi i genezie. Powiadamy, zaczątkowi — gdyż tym tylko sposobem stoimy na drodze doświadczalnej, czyli rozwojowej; tak jak kiedy kto chce zrozumieć naturę naprzykład, mowy, nie szuka jęj w języku rozwiniętym gramatycznie i krasomówczo, lecz w dźwiękach najpierwotniejszych. Owóż, instynkt estetyczny w najpierwotniejszej swęj formie wyobraża się przez grę przyrządów; ale grę nie służącą bynajmniej do zachowania jednostki i gatunku. Przeciwnie, im jestestwo jest słabsze, a zatem im więcej potrzebuje zużyć gry przyrządów ustrojowych dla zdobycia sobie środków do utrzymania nędznego życia, tém mniej używa ono ruchów bezcelowych: płazy, gady, myszy leśne, wszystko co żyje w warunkach ciężkich, ledwie wydoła siłami dla dostarczenia sobie potrzeb rzeczywistych. A teraz zobaczmy naprzykład, młode kotki, dobrze i darmo wypasione, ile to one wykonywają ruchów bezcelowych, czyli właściwie mówiąc, nie mających na celu utrzymania bytu. Przypatrzmy się choćby tym jednym ruchom, a one nam uchylą pierwszą zasłonę okrywającą naturę sztuki. Te kotki czają się do siebie, podbiegają, robią fałszywe obroty, łapką i zębem zdają się coś chwycić, przytrzymywać; puszczają i znowu rozpoczynają podobną grę, która kończy się na niczém rzeczywistém: to zabawa, przedstawiająca jednak zupełny obraz rzeczywistości, jaka nastąpi dla nich kiedyś, gdy będą się rzucały na zdobycz rzeczywistą i gdy ich przodkowie rzucali się, będąc jeszcze w stanie dzikim, ażeby zdobyć sobie sposób do życia. Podobna gra odbywa się między dziećmi, kiedy bawią się w wojnę, w wizytowanie, w urządzanie ogródków.

Zkąd zaś pochodzą te ruchy bezcelowe i bezpośrednio niepożyteczne? Oto z nadmiaru sił, tworzącego się poza wyczerpaniem ich części na potrzeby rzeczywistą organizmu.

Nadmiar sił zatem, ich remanent, powoduje te ruchy potrzebą nieusprawiedliwioną, które z czasem wrastają w naturę organi-

zmu, stają się instynktem, czyli nową potrzebą: instynkt ten nazwalibyśmy estetycznym. Instynktu tego funkcje mają cechę podwójną: naprzód, atawistycznie przypominają rzeczywistość; powtóre, przybierają pozór rzeczywistości. Uważmy, że takie same są cechy sztuki w całym jej rozwinięciu.

Naturalnie, pomiędzy grą kotka, który jak doskonały aktor udaje manewra rzeczywistej zdobyczy, a Szekspirem, reprodukującym grę namiętności ludzkich, jest przestrzeń niemała, ale zasada też sama: znamieniem jej generycznym — symulacja. Jak w ciele, tak i w umyśle człowieka, powstał także nadmiar sił, niezużytych na konieczne potrzeby organizmu; przez ciągły przyrost nowych żywiołów przybył do niego nowy przymiot, fantazyja, która w dalszym ciągu przybrała ten charakter twórczości, jaki widzimy dzisiaj. W szerokim wykładzie moglibyśmy kolejno przejść te wszystkie stopnie, po jakich wspiwała się fantazyja, ażeby od potrzebnego szafasu przejść do niepotrzebnego Westminsteru: tutaj początek tylko ich zaznaczamy.

Jeżeli więc uznamy prawdziwość tego początku, to możemy sobie utworzyć szereg sylogizmów. Jakoż, sztuka jest wynikiem uczuć estetycznych, powstałych z instynktu estetycznego, którego znamieniem generycznym są ruchy bezcelowe, zgoła nieutilitarne i symulujące rzeczywistość. Jeżeli zatem sztuka ma być sztuką a nie czem innym, znamię to pozostać jej musi wiecznie, albo istnieć ona nie będzie: gwałcić ją w innym kierunku, znaczyłoby to, uderzać w samo serce instynktu, z którego powstała. Kto zatem wypiera się zdania: sztuka dla sztuki, kto za warunek jej kładzie tendencją, czyli bezpośredni cel utilitarny, ten dowodzi tylko, że zgoła nie zna ani jej natury, ani jej pierwiastku.

Wszak cała rzeźba grecka jest beztendencyjną, oblicza jej miłą; odzywają się nawet głosy przeciw Laokoonowi za odcień wyrazu bólesci rysujący się na jego twarzy: a przecież dzieła te posiadają nieśmiertelną wartość, tak, jak posiadają nieśmiertelną piękność. I w ogólności, w sztuce plastycznej trudno dopatrzeć tendencyjności. Wyraz ten też głównie odnosi się do dzieł literackich, ale i tu też sama stosuje się uwaga; i zapytujemy, czy Pan Tadeusz traci co bądź na tym, że jest beztendencyjnym w porównaniu np. z tendencyjnym Walenrodem?

Tendencją wreszcie bynajmniej nie przeszkadza dziełu sztuki, o ile jest odbiciem wrażenia od przedmiotu, z natury swój bogatego w żywioł moralny i socyalny, o ile zatem jest przypadkową, doraźną i zgoła nie na zimno obrachowaną. Sztuka zagląda do najzawikłańszych labiryntów życia, z tym samym upodobaniem i z tą samą swobodą, z jaką buja po najskromniejszych jego zakątkach. Jeżeli z tych labiryntów wyniesie myśl dźwigającą jakąś kwestję społeczną wysokiego znaczenia i zdoła, uiby duszę, tchnąć ją w godne ciało artystyczne, tym większa dla niej chluba, bo tym samym i ciało wspaniałszym, piękniejszym się stanie: lecz my tylko według tego ciała sądzić

będziem o duszy. Może sobie być „Grünwald“ wzniosłą epopeją; my-
byśmy nic o tém nie wiedzieli, gdyby nas nie zawiadomił apokalipty-
czny wzrok i rycerski ruch Witolda: gdyby na jego miejscu był jaki
manekin, wysoka tendencya historyczna nie uratowałaby dzieła i od-
wróciłibyśmy oczy na maleńki obraz, przedstawiający zbieranie jagód
przez dwoje dzieci wśród cichéj ustroni leśnej, na przedmiot bez treści
tendencyjnej, tylko doskonale spełniający zadanie artystyczne pod
względem prawdy i piękna. To nam nasuwa przekonanie, że naturą
i celem sztuki jest nie tendencya, ale obraz.

Tyle mieliśmy w krótkości do powiedzenia tendencynistom, je-
żeli jeszcze mówić o tém warto.

Kazimierz Kaszewski.

POLEMIKA.

Z powodu recenzji przekładu Korneliusa, umieszczonej w lipcowym zeszycie „Bibl. Warsz.“ z r. 1884.

Recenzent, oddawszy sprawiedliwość sumiennemu opracowaniu uwag i objaśnień, uważa sam przekład za mniej szczęśliwy, a mianowicie zarzuca mi, że używam archaizmów, które „nie bardzo rozumiałe.“ I tak zamiast „skazano go na worku“ należało się pisać „na grzywny;“ zamiast: Thrasybul zwyciężywszy przeciwników „nie ruszył niczego prócz oręza, którego miał omal,“ należało się pisać „mało.“ Że wyrażenia nie tak archaiczne można się przekonać z Lindego i z przekładu Korneliusa z r. 1783 w każdym razie „rozumiałe.“ Następnie zamiast: Miltiades do mieszkania czasu nie mając, każe pisać: Milt. do ociągania się czasu nie mając; co zupełnie jest błędnie, bo co innego jest „ociągać się“ a co innego „długo gdzie przebywać, bawić; mieszkać,“ jak tego chce tekst łaciński. Recenzent gani wyraz „radniej“ w zdaniu: „Eforowie osądzili, że radniej go pojmać w mieście,“ nie wiedząc widocznie o tém, że „radniej“ ma dwa znaczenia: 1) mędrzej, opatrniej, 2) raczej, z których pierwsze jak najdokładniej odpowiada myśli łac. tekstu. Pytam się dla czego nam wskazywać dobrowolnie na zatracenie słowa, używane przez wzorowych prozaistów wieku złotego i wieku następnego, jakimi są Górnicki, X. Pilchowski, Grochowski, Budny, Bielski, X. Wysocki i inni, którzy właśnie tych wyrazów używali. Czy jedynie dla tego, że ten i ów, pozbywszy się poczucia językowego wskutek zaniedbania literatury wieku złotego, nie zna właściwego tych wyrazów znaczenia? ¹⁾ Recenzent przygania mi także, że napisał „w Gre-

¹⁾ Uwagi Recenzenta oo do téj kwestyi nie zamierzały bynajmniej obniżyć wartości filologicznej tłumaczenia sz. profesora; ale płynęły z tego przekonania, że tłumaczenie klasyków; podjęte pod opieką kasy imienia ś. p. Mianowskiego,—powinno dążyć do tego, aby stało się prawdziwem zubożeniem literatury i języka polskiego, którego rozwój organiczny, naturalny, od-

cyi“ a nie w Krecie, jak w jego (jak się zdaje Siebelisa) stoi wydaniu. Oto prosto dla tego, że nie goniąc za konjekturami, jakie wydrukowało wydanie recenzenta, idę za tradycją kodeksu i za wydaniem wszystkich innych uczonych. To nie jest błędem, owszem zdaniem mojem, zaletą; zresztą trzeba było przeczytać moją do tego miejsca uwagę p. 12. Następnie uczy, że we frazie „(vidua) mercede conducta“ ostatni wyraz odnosi się do vidua, a nie do mercede. W przekładzie wprawdzie czytamy: „za pieniądze najęte“ ale, gdyby kto chciał, ławoby wyrozumiał, że to błąd drukarski, zamiast: „za pieniądze najęta.“ Wszakże tyle wiadomości przyznać mi można, że pieniądze się nie najmuje. Dalej zarzuca mi recenzent, że w zdaniu: „Flota za morską siłą króla się parła“ należało się dodać „perskiego,“ gdyż to co było jasnym dla greków lub rzymian, to nie każdy polak rozumie. Zarzut ten widocznie zbyt naciągany; poczuwałbym się do winy, gdybym wyraz „perski“ pominął, zastawszy go w tekście łacińskim, nie dodałem go zaś dla tego, że nie mogłem i nie mogę przypuścić, żeby ktokolwiek nietylko „polak“ jaki istniał, któryby czytając Neposa nie rozumiał, że kiedy w wojnach greków z persami mowa jest o królu, bez wszelkich dodatków jaki (!), tym królem jedynie perski być może. Recenzent wreszcie sam się przyznaje (str. 147), że wytknięte zarzuty nie należą do „kardynalnych“ oprócz jednego, a mianowicie „za złe uważa tłumaczowi zbyt niewolnicze w wielu miejscach trzymanie się konstrukcyi tekstu, zbytnie staranie się o oddanie w przekładzie właściwości stylu Korneliuszowego i łacińskiego toku w ogóle,“ czém „krzywdę wyrządziłem językowi naszemu.“ Obaczymy, jaka to krzywda. Jeśli mi się udało bez nadwężenia właściwości języka polskiego oddać właściwości Korneliusa, poczytywałbym to sobie za pochwałę, jeżeli zaś tok języka polskiego niekiedy się równa tokowi języka łacińskiego i to nie będzie przygana, ponieważ powinno być wiadomem, że styl języka polskiego wyrabiał się na łacińskim. Więc do owych krzywd, wyrządzonych językowi polskiemu zalicza recenzent: że niejednokrotnie łaciński zaimek *quod*, zaczynający zdanie główne, przekładam na język polski przez „który“ po głównym znaku pisarskim. Ten zarzut dosadnie świad-

znaczający się prostotą obok majestatu stylu jasnego i potoczystego, pod wpływem zewnętrznym w tak wysokim stopniu jest utrudniony. Sz. profesor nie zechce sam utrzymywać, żeby wykład, do którego zrozumienia dzisiejsze pokolenie miałoby szukać tłumacza w „Słowniku“ Lindego, żeby wykład taki odpowiadał najdoskonalej idei pielęgnowania czystości i poprawności języka Kochanowskich i Skargów i tylu innych wzorowych mistrzów stylu polskiego, przez niego powołanych. W każdym razie dyskusya poważna, na tém polu zagajona przez tak wytrawnego filologa jak p. profesor, może nie być bez korzyści dla rzeczy samej, bo obok wzorów stylu w. XVI-go przypomni nam Krasickich, Naruszewiczów, Śniadeckich, Kremerów i Libeltów, których dzisiejsza młodzież szkolna bez pomocy Lindego czyta i rozumie. *Red.*

czy, jak mało są znane dzisiejszemu pokoleniu arcydzieła i wzory naszej literatury. Wszakże zdaje się, nie ma nikogo, któryby odmówił Skardze, że dobrze pisał po polsku; wszakże na dzieła jego powołujemy się, jako na wzór godny naśladowania. Otóż ten wzorowy pisarz na niezliczonych miejscach po głównym znaku pisarskim zaczyna zdanie od „który.“ Np. kazanie 36-te „O chwalebnej Eucharystii“ str. 429 wydania 1610. „Którymi słowy to tylko znać daje, że prawem Bożym nie jest zakazane używanie kielicha.“ Str. 430 (nie tylko po kropce, ale nawet po cytacie łacińskiej) „Ktorey ofiary krwie... nietylko żadnemu nie bronią“ lecz... i t. d. A nieco niżej: „Z których (sc. słów) nie może się to zawiązać, co chcą adwersarze.“ Przykłady te nie są wyszukiwane, lecz znajdują się na jednej kartce 429/30. W XVII znów wieku pisze Adam Bursius do owdowiałej hetmanowej Zamojskiej (Bibl. Warsz. czerw. 1884 p. 329) „Który przy panu Tomaszu się bawią... po czterech, po pięci złotych i dalej biorą.“ Tutaj wyraz „który“ nawet w swym właściwym znaczeniu użyty, staje na początku zdania, a nie w znaczeniu „a ten.“

Nareszcie niedawno pisze Sienkiewicz, naśladując sposób mówienia wieku przeszłego („Ogniem i mieczem.“ wyd. 1-sze, str. 33): „O którym-to wyratowaniu się Chmielnickiego wczesnie waci zawiadamiam.“ str. 120. „Któremu za jeduo, czyby mu tę dziewczkę odjąć, czyby go nożem pchnąć!“

Otóż otwarcie wyznaję, że już wolę iść za powagą najlepszych pisarzy, uświęconą wiekami, jak za bardzo wątpliwą powagą nowszych „mistrzów (!) słowa“¹⁾. Więc wytknięty mi przekład łacińskiego zdania: „Cuius ratio etsi non valuit, tamen magnopere est laudanda“ na polskie: „Którego myśl, aczkolwiek zesła bez skutku, wielkiej jednak pochwały jest godna,“ ma być złym przekładem dla tego, 1) że zaczyna się od wyrazu który i 2) że w nim zachowany porządek słów łacińskich. Trudno zaiste uwierzyć.

Daleki jestem od tego mniemania, jakoby w moim przekładzie nie było usterek. Ale w każdym razie byłoby dla nauki rzeczą daleko ważniejszą, gdyby recenzya zamiast gonienia za drobiazgami, chwytanemi chętnie, jak recenzentowi dobrze wiadomo, przez niezawców do potępienia skorych i zamiast ganienia tego, co na naganę nie zasługuje, zechciała zwrócić uwagę na całość pracy i porównać ten przekład z przekładami dawniejszemi lub równoczesnemi i nareszcie w końcu orzekła, czy w całości pracy widać postęp jaki²⁾. Gdybym tego do-

¹⁾ Redakcyja sądzi, że w tój sprawie zachodzi tylko pewne nieporozumienie między recenzentem a tłumaczem. Kwestyi, o którą chodzi, nie mogą rozstrzygać wyrwane z tekstu pojedyncze zdania; ale zasada logiczna, którą rządzi się składnia języka polskiego przy wiązaniu zdań względnych ze zdaniem lub wyrazem, do którego się odnoszą. *Red.*

²⁾ Drukując krytykę, którą sz. profesor nieco za drażliwie ocenia uczyniliśmy to dla tego, że recenzent zaznaczył właśnie w czém leży

piął, uważałbym swoje zadanie i cel za spełniony, i nie zwróciłbym uwagi na wytknięte mi drobiazgi, z których nadto, jak wykazałem, część wielka jest błędnie wytknięta. Atoli dla rozwiązania podobnych kwestyi potrzeba nam wiedzieć i zgodzić się na to, jakie przymioty stanowią o dobroci przekładu. Wymienione przez recenzenta (p. 145) kryteria, bezwątpienia są ważne i przez wszystkich uznane, ale zbyt ogólnikowe; są jeszcze inne i niemniej ważne i tu łatwo być może, że się w naszych zdaniach rozminiemy.

W końcu słówko o pisowni imion własnych. Rozumny i światły recenzent, zarzucając także dawną, nauce nieodpowiednią pisownię, poleca własną, w większej części podobną do pisowni przezemnie używanéj, i tém daje poznać, że głębiej się nad tą kwestyą zastanowił i że kwestya ta nie daje się tak łatwo rozwiązać, jakby się niektórym płytkim myślicielom wydawało. Moje zdanie pod tym względem wyrzekłem na str. 9 przekładu; nieomylny nie jestem i niezawodnie pójdę za zdaniem tych, którzy kwestyą tę naukowo gruntowniej rozwiążą.

Dnia 18 października 1884.

A. Mierzyński.

postęp pracy sz. profesora w porównaniu z jego poprzednikami, a uwagi swoje krytyczne wyrażał w formie i tonie, nieubliżającym pracom i powadze naukowej.

Red.

WIADOMOSCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Listopad 1884. — „Towarzystwo popierania przemysłu i handlu“ w Warszawie rozwija ciągłą, od swojego ukonstytuowania się nie słabnącą chwalebłą energią. Widzimy wszędzie nietylko szeroki, poważny pogląd Zarządu na wszystkie gałęzie pracy społecznej, ale i nie-milknącą ruchliwość w sekcjach pojedynczych, co jest dowodem żywotności instytucji i świadectwem jej potrzeby w danych warunkach. Ponieważ „Kronika ekonomiczna“ Bibl. Warsz. zajmuje się rozbiorem poruszanych przez Zarząd Tow. pop. prz. i handlu, przeto ograniczamy się w tém miejscu na zaznaczeniu samych faktów główniejszych. W zeszycie październikowym przedstawiliśmy czytelnikom Bibl. Warsz. odezwę Zarządu Towarzystwa w sprawie „Przemysłu drobnego wiejskiego“ — dzisiaj zaznajmiamy czytelników Biblioteki z „Kwestyonaryuszem w sprawie obniżania się cen naszych produktów wywozowych“, który zarząd motywuje w sposób następujący:

Wobec stałego obniżania się cen najważniejszych produktów wywozowych, a z tego powodu poważnej obawy o przyszłość bytu materialnego naszego społeczeństwa, sądzimy, że niezbędnem jest:

1) zbadanie przyczyn, które spowodowały to groźne położenie, wyjaśniając jednocześnie jego trwałość i doniosłość;

2) obliczenie kosztu produkcji wytworów naszego przemysłu rolnego, a to w celu wynalezienia minimalnej ceny, za którą w terażniejszych miejscowych warunkach ekonomicznych i społecznych producenci swój towar wywozowy sprzedawać mogą;

3) obmyślenie środków, mogących wpłynąć na obniżenie kosztów produkcji.

Dla ułatwienia tej pracy odwołuje się Zarząd do wszystkich osób interesowanych w tej tak żywotnej kwestyi, prosząc o udzielenie mu odpowiedzi na wskazane pytania.

Zarząd wyraża nadzieję, że osoby, zajmujące się handlem wewnętrznym i międzynarodowym, dostarczą mu pouczających objaśnień

na pytania, stosujące się do ich specjalności, ekonomiści zaś i rolnicy na te, które więcej wchodzą w zakres ich działania. W ten sposób rozpoczęte badanie najważniejszej w tej chwili dla nas kwestyi ekonomicznej, nastęrczy mu możność zastanowienia się z większą świadomością przedmiotu nad zmianami, jakie przemysł rolniczy będzie musiał zaprowadzić w swojej eksploatacyi i otworzy zarazem szerokie pole do technicznych studyów, mających na celu wprowadzenie gospodarstwa krajowego na nowe drogi praktyczne. Po odebraniu tych odpowiedzi Zarząd Towarzystwa utworzy delegacyą, do której zaprosi osoby do tej pracy najbardziej odpowiednie, dla rozpatrzenia tego cennego materiału i przygotowania sprawozdania w celu umożliwienia wyczerpującej pożytecznej dyskusyi w odpowiednich sekcjach, a następnie na ogólném zebraniu Towarzystwa. Zarząd Towarzystwa uprasza o nadsyłanie odpowiedzi pod adresem Zarządu Towarzystwa: ulica Ordyńska nr. 2.

Kwestionaryusz, o którym mowa, żąda odpowiedzi na następujące pytania:

1^o O ile nowo zbudowane koleje w Rosyi i taryfy bezpośredniego związku wpłynęły na zmianę kierunku wywozowego i o ile wpłynąć mogą w przyszłości na powiększenie w tym kraju produkcji roślinnej i zwierzęcej:

a) czy terazniejsze koszta produkcji nie będą się zwiększać w miarę jej powiększania i w jakim stosunku?

b) czy zwiększenie produkcji zbożowej nie zmniejszy zwierzęcej i w jakiej proporcji?

c) czy w danym razie pomiędzy temi krajami a Królestwem nie mogłaby nastąpić wymiana pewnych wytworów, jakiej natury i doniosłości?

2^o O ile współzawodnictwo Ameryki oddziaływa na targi europejskie i do jakiego minimum obniżyć ono może cenę wywozowych swoich produktów?

3^o Kanał Suezki czy wpłynął na ułatwienie współzawodnictwa Azji południowej i Australii na targach europejskich i o ile ono może rozwinąć się w przyszłości?

4^o Przekopanie miedzymorza Panama, jaki prawdopodobnie będzie miało wpływ na targi europejskie i na produkcją wywozową północnej Ameryki?

5^o Jakie są w terazniejszych warunkach koszta produkcji w Królestwie: zboża, roślin okopowych, wełny, bydła (mleka, serów, masła), koni, owiec, trzody chlewniej?

6^o Jaką być powinna minimalna cena poprzednio wymienionych produktów, żeby pokryć poniesione wydatki:

a) podatki rządowe, opłaty gminne?

b) procent od kapitału zakładowego?

c) procent od kapitału obrotowego?

d) koszt robocizny?

- e) koszt przewozu na miejsce zbytu?
- f) asekuracja nieruchomości i ruchomości?
- g) koszty ogólne pośrednie i bezpośrednie?

7^o Co uczynić należy, żeby koszty produkcji zmniejszyć odnośnie do powyżej wymienionych działów? —

— Na jedném z posiedzeń Akademii umiejętności w Krakowie wydziału matematyczno-przyrodniczego, pod przewodnictwem dyrektora dr Teichmana, zawiadomił sekretarz dr. Kuczyński wydział, że druk dzieła wydanego z funduszków wydziału na uczczenie 300-jej rocznicy urodzin Brosciusza jest na ukończeniu. Dzieło to pod tyt.: „Jan Brożek, akademik krakowski 1585—1652,“ opracował prof. Franke. Rozpoczęto się także wydawnictwo atlasu geologicznego Galicyi przez komisją fizyograficzną i z jej funduszków; zeszyt pierwszy tego atlasu, obejmuje cztery mapy według skali 1:75,000, z których dwie opracował prof. Alth, a dwie p. Bieniasz; wykonaniem tego dzieła zajmuje się c. k. zakład geograficzny wojskowy w Wiedniu. Prof. dr. Kuczyński przedstawił wydziałowi dwa modele narzędzia, służącego do podzielenia kąta na trzy równe części, zrobione przez Juliana Konopkę w roku 1881, jak to udowadnia list mechanika w Wiedniu p. G. Starkego, z dnia 31 grudnia 1881 r. do p. Konopki pisany. Obadwa te modele polegają zupełnie na tej samej zasadzie, co narzędzie do tego samego celu służące, którego opis p. K. J. Poniatowski, inżynier w Petersburgu, Akademii krakowskiej, w swym liście z d. 15 stycznia 1884 r. przysłał i dzieliłkątem nazwał. Następnie sekretarz przedstawił wydziałowi dwie prace p. Wł. Gosiewskiego: pierwszą pod tyt.: „Łatwy sposób dowodzenia twierdzenia odwrotnego twierdzeniu Jakóba Bernoulliego;“ drugą: „O średnich składowych odkształcenia ciała stałego sprężysto-jednorodnego, a w szczególności izotropowego.“ Rozprawy te oddano dwóm członkom wydziału do ocenienia i sprawozdania na najbliższém posiedzeniu. Prof. dr. Karliński zdał sprawę z pracy dr. Birkenmajera: „O kształcie i grawitacji sferoidu ziemskiego.“ Pracę tę odesłano do komitetu redakcyjnego. Prof. dr. Kuczyński odczytał nadesłaną przez prof. dr. Olszewskiego tymczasową wiadomość pod tyt.: „Oznaczenie ciepłoty krytycznej i ciśnienia krytycznego tlenku węgla, jakoteż ciepłoty jego zestalenia się,“ którą to wiadomość uchwalono umieścić w sprawozdaniu z posiedzenia wydziału. Nad treścią tej pracy dr. Olszewskiego odbyła się krótka dyskusya, w której udział brali: dr. Rostafiński, dr. Wróblewski i dr. Kuczyński.

— Posiedzenie sekcji geologicznej Akademii umiejętności odbyło się dnia 11 b. m. Przewodniczy prof. dr. Alth. Sekretarz sekcji dr. Zaręczny odczytuje protokół z posiedzenia poprzedniego, a po przyjęciu go bez zmiany, przewodniczący wzywa do sprawozdań z czynności tegorocznych tych członków sekcji, którzy w ciągu ubiegłego lata dokonywali badań geologicznych z polecenia komisji fizyograficznej. Następuje sprawozdanie p. G. Ossowskiego z ba-

dań jego, dokonanych w jaskiniach okolic Ojcowa. Sprawozdawca wyłuszcza w krótkości i w ogólnych zarysach swe czynności, podjęte przy budowie jaskini Wierchowskiej-Górnej, którą rozpoczął podczas ubiegłego lata. Jaskinia ta, jedna z największych jaskiń krajowych, ma według planu i pomiarów dokonanych przez sprawozdawcę, 643 metry długości, licząc według kierunku i rozgałęzień jej chodników. Wprowadzają do téj jaskini trzy otwory, czyli wejścia, z których dwa znajdują się obok siebie na poziomie mało co wyższym od dna wąwozu wierchowskiego, a trzeci występuje o 50 mniej więcej metrów wyżej i o tyleż metrów odległy jest od dwóch poprzednich ku południowi. Roboty badawcze téj jaskini rozpoczęte zostały w trzech punktach: w dwóch miejscach i w ostatniej tylnéj jego komorze. We wszystkich trzech punktach zdobycze wykopaliskowe były obfite i pod względem naukowym wielce interesujące. Pomijając zdobyty materiał paleontologiczny, o którym będzie mowa na swoim miejscu, wydobyto przy tych badaniach ogromną ilość kostnych szczątków zwierząt zaginionych, pomiędzy którymi znajdują się szczątki gatunków rzadko się u nas przytrafiających. Ponieważ sprawozdawca zaledwo przed kilkoma dniami zakończył swe tegoroczne badania, zdobyty zatém materiał nie mógł być w tak krótkim czasie dostatecznie rozpatrzone i oceniony. Ograniczając się przeto do ogólnego tylko poglądu, przytacza rzadsze tylko gatunki zwierzęcych szczątków, które zdobyte zostały, mianowicie: kilka szczątków lwa, hyeny, wilków kopalnych, oraz niezmiernie rzadki okaz piźmowca (*Ovibos moschatus*), który poraz już drugi sprawozdawca znalazł w namuliskach naszych jaskiń. Wydobyto przytém ogromną ilość rozmaitych szczątków niedźwiedzia jaskiniowego, między którymi znajduje się kilka jego łbów. — Z kolei porządku dziennego p. Bieniasz zdaje sprawę z czynności, którymi w ciągu ubiegłego lata uzupełnił swe prace geologiczne z lat poprzednich w tych miejscowościach, w których, po uskutecznieniu dawniejszych jego badań, przeprowadzenie linii kolei transwersalnej dało możliwość odkrycia szczegółów geologicznych przedtém nieznanych. Przy sprawozdaniu tém złożył referent także i mapy geologiczne tychże okolic, które jako materiał ostatecznie opracowany pod względem geologicznym, przeznaczają do rozpoczętego wydawnictwa atlasu geologicznego Galicyi. Dalej, p. Zaręczny przedstawia stan badań, dokonanych w okręgu krakowskim, z czego się pokazuje, że mapa geognostyczna tego obszaru, opracowana przez referenta jest już prawie ukończoną. Naostatek przewodniczący sekcji, prof. dr. Alth, zdał wkrótkości sprawę z postępu swych prac, podjętych około klasyfikacji i oznaczenia gatunkowego skamieniałości krajowych, zgromadzonych różnemi czasy w zbiorach Akademii umiejętności. Przeszedł w końcu do kwestyi wydawnictwa Atlasu geologicznego Galicyi, którego dwa pierwsze arkusze przedstawione już zostały przez zakład geograficzny państwowy w Wiedniu do pierwszej korekty. Przedstawienie tych arkuszy wywołało ożywioną dyskusyą, która przerwana została przez pana

Szajnochę, żądającego w imieniu swoim i kółka geologów lwowskich, aby wybrany został osobny komitet redakcyjny dla wydawnictwa tego atlasu, i żeby w składzie owego komitetu mogli brać udział geolodzy przebywający we Lwowie przy Wydziale krajowym. Komitet taki powinien działać zupełnie niezawisłe i bez porozumienia się z komisją fizyograficzną. Mając na względzie, że komisja fizyograficzna, przystępując do wydawnictwa Atlasu, zabezpieczyła już kierownictwo redakcyjne, że usunięcie takiego projektowanego komitetu z pod zarządku od komisji, nie może nastąpić już chociażby z powodu potrzebnych na wydawnictwo funduszy, które się czerpią jedynie z budżetu komisji fizyograficznej, a wreszcie że geolodzy lwowscy, będąc prawie wszyscy członkami téjże komisji fizyograficznej, mogą zostać członkami komitetu redakcyjnego w drodze wyboru, żądano cofnięcia postawionego w ten sposób wniosku, co gdy nie nastąpiło, członkowie sekcji przekazali go przewodniczącemu dla bliższego rozpatrzenia.

G. O.

— Wychodzący w Berlinie „Archiv für slavische Philologie“ pod redakcją Jagicza i przy współpracownictwie A. Leskienu i rodaka naszego A. Brücknera, w tomie VII-ym między innymi zawiera następujące ciekawsze dla nas rozprawy. A. Brückner rozbiera „Ortyłe magdeburskie“ pod względem gramatycznym i leksykalnym, w tomie VI-ym porównywał je był z oryginałem staroniemieckim. Jan Hanusz pisze o akcencie rzeczowników w języku małopolskim w porównaniu do akcentu w innych językach słowiańskich. J. Baudouin de Courtenay pisze o narzeczu Cirklańskim języka słoweńskiemu, którym mówią w północno-wschodnim zakątku Gorycy. Ciekawym wielce dla lingwistów jest rozbiór R. Scholwina ewangelii bułgarskiej z wieku XIV-go, która to ewangelia miała należeć do cara bułgarskiego Jana Aleksandra. Rękopism znajdował się na górze Athos w klasztorze św. Pawła, gdzie mnisi podarowali go angiłkowi Robertowi Curzewowi w r. 1837, oświadczając, że starych ksiąg nie potrzebują. Cenny zabytek dostał się do muzeum brytańskiego, gdzie dopiero niedawno na jaw go wydobyto. W rękopiśmie znajduje się 369 miniatur, z tych dwie, zajmujące po całej stronie, wyobrażają cara Jana Aleksandra i jego rodzinę. P. Syrku ogłasza dwie powieści nowobułgarskie z rękopismu z XVI-go stulecia, jedna należy do cyklu trojańskiego, druga mówi o żywocie Ezopowym, do obu W. Jagicz dodał przekład łaciński. O Kaemmel mówi o słowiańskich imionach miejscowych w Austrii dolnej i wylicza ich 65. Józef Perwolf rozpoczął artykuł o imionach narodów słowiańskich, wywodząc je etymologicznie. W dziale recenzji A. Brückner ocenia literaturę polską Wł. Spasowicza.

B. G.

— 26 października r. b. przypadła pięćdziesięcioletnia rocznica popularnej pieśni czeskiej „Hěj Slovane, jeszte nasza slovanská rzecz žije,“ która śpiewa się na nutę polskiej pieśni i u chorwatów i słoweńców rozumie się w odpowiedniej przeróbce. Rocznicę tę ob-

chodzono uroczyście w Wiedniu, Pradze; w św. Marcynie Turczańskim oraz przez „biesiadę czeską“ w Zagrzebiu. R. 1834 Samuel Tomaszik, poeta i nowelista słowacki, jako kandydat teologii jechał przez Pragę do Jeny. 26 października był poraz pierwszy w życiu na przedstawieniu słowiańskim w teatrze i to do tego stopnia podziątało na jego szlachetną duszę, że, powróciwszy do domu, natychmiast napisał tę pieśń podniosłą ¹⁾. Na chorwacki przerobił ją inny słowak, Mojzes, profesor teologii w Zagrzebiu, a później biskup w Węgrzech. Tomaszik żyje jeszcze i jest proboszczem ewangelickim w Chiżnem w komitecie Gemerskim. Czesi i słowacy mają sędziwemu pocie ofiarować dar honorowy.

— Od nowego roku 1884 wychodzi we Wrocławiu tygodnik dla ewangelików szlązkich p. t. „Nowiny Szlązkie, pismo dla ludu ewangelickiego.“ Między innymi pomieściły „Nowiny“ powiastkę p. t. „Bogumił.“ Opowiadanie, jako biblia ocalała od śmierci. Z mowy łużyckiej przetłomaczył i dla ewangelicko-polskiego ludu na „Szlązku i w Prusach Wschodnich opowiedział Niklot.“ Jest to pierwsza książka serbsko-łużycka, przełożona na język polski. Oryginał wydała Matica budyszyńska w obu narzeczach łużyckich, górno i dolno-łużyckiem.

— Donat Fabianicz, franciszkanin dalmacki, historyk zakonu swego w Dalmacyi, wydał po włosku „Fermany nie wydane sułtanów Konstantynopolitańskich, udzielone klasztorom franciszkańskim i władzom Bośni i Hercegowiny (Florencya 1884).“ Jest tu 53 fermanów i 4 bajruntye wezyrskie, zebrał je nieb. Anioł Kraljewicz, wikaryusz apostolski i biskup w Hercegowinie, przełożył z turecko-arabskiego na łacinę i oddał znajomemu swemu Fabianiczowi. Zaczynają się od fermanu sułtana Machometa II z r. 1463, a kończą na r. 1845 i rzucają jasne światło na pełne luk i niedokładności dzieje Bośni i Hercegowiny pod panowaniem tureckiem. Zakon Franciszkanów był, jak wiadomo, jedynym naonczas żywiołem cywilizacyjnym w obu prowincyach. Z niego wyszli mężowie tacy jak Jukicz, Marticz, którzy przyłączyli się do ruchu literackiego w Chorwacyi.

— Fra Marticz, franciszkanin bośniacki, znany pod imieniem Radowana, jako poeta w duchu ludowym, opiewający boje bośniaków z Turkami, obecnie zabrał się do ułożenia rapsodu o „boju na Kosowém polu“ w jedną epopeję w X pieśniach. Pobudką do tego była mu rozprawa prof. Arnima Pawicza, „w której uczony do podobnej pracy zachęca. Marticz uzupełnia luki w pieśniach ludowych i oddzielne rapsody i ułamki spaja w jedną całość. Na próbę pieśń pierwszą drukował w ilustracyi zagrzebskiej „Vienac.“ B. G.

— Najnowsza, dziewiętnasta z rzędu powieść historyczna J. I. Kraszewskiego: „Jaszka, Orfanem zwanego, żywota i spraw pamiętnik“ (Kraków 1884, nakład Gebethnera i Wolffa, 4 tomy) wprowa-

¹⁾ Po słowacku, stosując ją do Słowaków.

dza czytelników w czasy Jagiellonów, Kazimierza, Olbrachta i Aleksandra. Opowiadanie, stosownie do formy pamiętnika, jest proste, bez stylistycznej ornamentyki i bez kunsztownych efektów, ale mimo to budzi żywe zajęcie, gdyż tło dziejowe ma charakter odpowiedni epoce. Wybitniejsze postacie historyczne, jak król Kazimierz i królowa Elżbieta, królewicze: Władysław, Kazimierz św., Olbracht, Aleksander, Zygmunt i Fryderyk, Długosz, Łaski, Kalimach i Gliński, scharakteryzowane wyraziście, a wplecione w opowiadanie epizody historyczne, jak np. zabicie Tęczyńskiego przez mieszczan krakowskich, wyprawa wołoska Olbrachta, opisane żywo na podstawie ostatnich rezultatów badań naukowych.

— Nakładem Franciszka Bondy w Wiedniu rozpoczęto wydawnictwo, które może się stać prawdziwem wzbogaceniem środków pomocniczych do nauki szkolnej. Dzieło, o którym mówimy, ma tytuł „Historja naturalna świata zwierzęcego, czyli atlas z tekstem do nauki szkolnej i domowej.“ Atlas w formacie małego folio składać się będzie z 80 wielkich tablic, obejmujących przeszło 1000 kolorowanych rycin, i z 40 arkuszy tekstu objaśniającego z licznemi drzeworytami. Tekst opracowali na podstawie oryginału niemieckiego profesorowie J. Bąkowski i M. Łomnicki. Wyszły dotychczas dwa pierwsze zeszyty téj publikacji, zawierające trzy arkusze tekstu i sześć tablic. Objaśnienia są dokładne i jasne, a odznaczają się poprawnością języka. Ilustracye wykonane z wielką starannością. Nie mieliśmy dotąd w języku polskim obszerniejszego atlasu zoologicznego z tekstem objaśniającym, i musieliśmy się posługiwać atlasami i rycinami, wydanemi w językach obcych, co oczywiście naukę zoologii wiele w szkołach utrudniało. Publikacya niniejsza czyni zadość ogólnej potrzebie naszej szkoły. Cena jest bardzo przystępna, bo zeszyt kosztuje tylko 45 krajcarów. Całe dzieło obejmować ma 30 zeszytów.

— P. S. Lewental powziął obecnie szczęśliwą myśl, ofiarować, jako premium do wydawanych przez siebie „Kłosów“, na rok 1885, „Dodatek bezpłatny“, złożony z „Pism Michała Bałuckiego.“ W poprzednim zeszycie wzmiankowaliśmy o 4-ch tomach opowiadań M. B., które wydał p. T. Paprocki, lecz wydanie to nie zawiera wszystkich dzieł literackich M. B. Większa część „Powieści“ obszerniejszych i wszystkie utwory dramatyczne oczekują jeszcze rozpowszechnienia w wydaniu zbiorowém. Ponieważ p. Michał Bałucki, jako nowelista i pisarz sceniczny, posiada nie tylko uznanie poważnej krytyki, lecz także i sympatyą w szerokiem kole czytelników polskich, przeto pomysł p. Lewentala ofiarowania prenumeratorom „Kłosów“ premium z wszystkich dzieł jego, będzie zarazem jednym więcej dowodem uznania dla talentu i zasług pisarza, w rocznicę jego 25-letniej pracy na polu piśmiennictwa polskiego.

— Biblioteka przy klasztorze OO. Augustyanów w Krakowie, zostająca od 200 lat w zupełnem zaniedbaniu, dzięki staraniom przeora ks. Sutora została nareszcie zabezpieczoną i odpowiednio urządzo-

ną. Obecnie dokonywa się skatalogowanie dzieł, których liczba dochodzi do 6,000, nie licząc ani manuskryptów ani dyplomataryuszów.

— Ks. Franciszek Doucha, zasłużony pisarz czeski, zmarł w Pradze na początku listopada r. b. Doucha urodził się w roku 1810, po ukończeniu gimnazjum wstąpił do seminaryum, zkąd w roku 1834 wyszedł jako kapłan. Był to pisarz wszechstronny i płodny; ogłaszał dzieła z zakresu pedagogiki, filologii, etnografii, literatury nadobnej, ułożył słownik czesko-słowacki, przetłumaczył dzieło „O naśladowaniu Chrystusa,” oraz „Komedya Bozka“ Dantego; przekładał téż Szekspira, Thompson'a, Kleist'a i Wiktora Hugo. Jego powiastki dla dzieci rozchodziły się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy.

N e k r o l o g i a.

— † Dnia 10 listop. r. b. umarł w Moskwie *Henryk* dr. *Giwartowski*. Ś. p. G. urodził się w Warszawie w r. 1817-ym. Po ukończeniu szkół tutejszych, udał się do Wilna dla studyowania nauk lekarskich. Stopień lekarza pozyskał w r. 1843-im w Moskwie, gdzie objął katedrę chemii i farmacyi, na której dosłużył się emerytury. Z prac jego wymieniamy: 1) „De urolithiasi,” Moskwa 1843. 2) Observations faites à Moscou sur l'électricité pendant l'épidemie,“ 1848 3) „Analyse de la Glaucolythe Fischer.“ 1848. Po polsku drukował kilka rozpraw, specjalnie o cholery, w Klinice. Giwartowski był członkiem kilku stowarzyszeń naukowych za granicą. Podczas cholery Giwartowski z powodzeniem stosował w leczeniu metodę angielską, polegającą na silnych dawkach spirytusowych. Wykład sposobu tego znajdujemy w jego obszerniej monografii niemieckiej tłumaczonej na rosyjski.

— † Ś. p. *Baltazar Kalinowski*, prawnik, profesor i pisarz, zmarł w połowie m. listopada w Petersburgu. Kalinowski urodzony na Podlasiu w r. 1834, po ukończeniu szkół udał się w r. 1853 do Petersburga i tam w r. 1862, po obronieniu rozprawy „O wolnym handlu,“ otrzymał stopień magistra. Następnie Kalinowski zajmował katedrę statystyki w szkole prawa i skarbowości w uniwersytecie. Studya swoje drukował w warszawskiej Kronice Wiadomości, w Tygodniku Petersburskim i w Kurjerze Wileńskim. W Piśmie Zbiorowém Ohryzki znajduje się cenny jego traktat „O klasie robotniczej w Anglii.“ Wreszcie brał udział w ostatniem wydawnictwie Dykcyonarza Coquelin'a. Człowiek prawy, najlepszy kolega, był ozdobą towarzystwa Polskiego nad Newą. Cześć jego pamięci!

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny *J. K. Plebański.*

Wydawca *Józef Berger.*

OGŁOSZENIA.

OD REDAKCYI.

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY

NA ROK

1885.

Biblioteka Warszawska, pismo poświęcone naukom, literaturze, sztukom i przemysłowi, wychodzić będzie w r. 1885 na początku każdego miesiąca zeszytami, obejmującemi 10 arkuszy druku.

Usilne staranie Bibl. Warsz. o utrzymanie peryodyczności naukowej w literaturze polskiej; gruntowny rozbiór spraw nietylko swojskich, ale i obcych, społeczeństwo nasze żywo obchodzących; pilna uwaga na postęp w rozmaitych gałęziach nauk dokonany, z uwzględnieniem zadania naszej cywilizacji i oświaty narodowej we wszystkich kierunkach pracy umysłu ludzkiego; sprawozdania krytyczne z dzieł naukowych i literackich, wreszcie ogłaszanie utworów literatury pięknej, zajmującej nietylko fantazją, ale całą umysłowość naszą—to są ideały, które Bibl. Warsz. od lat 42-óch urzeczywistnić pragnie. Program z tych myśli wysnuty i szczegółowo w zeszycie grudniowym z r. 1880 przedstawiony, będzie i nadal celem, który Redakcja Biblioteki Warszawskiej osiągnąć zamierza, a to w następujących działach:

I. **Filozofia**: rozbiór nietylko systemów filozoficznych, ale i najnowszych kierunków badań filozoficznych.

II. **Historja i geografia**: obok dziejów powszechnych, dzieje własnego narodu, oraz innych narodów słowiańskich, w ich indywidualnym rozwoju.

III. **Statystyka**: ważniejsze kwestye społeczne i ekonomiczne.



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM.

Z R. 1884.

stron

Skarbowość.

Oplaty stemplowe w Polsce. (1775 — 1884). Napisał Michał dr. Szymanowski. 1

Podróże.

Wycieczka do Madrytu. Przez Eugeniusza Lipnickiego. . 25. 242

Literatura.

Mickiewicz w podróży po Niemczech i Szwajcaryi w r. 1829.
Napisał Teofil dr. Ziemia. 37
Kochanowski w Paryżu. Wspomnienie jednej chwili z życia
poety. (Przyczynek do charakterystyki obyczajów wieku odrodzenia).
Przez Adama Rządewskiego. 103
Płonne zachcianki. Satyra X-ta Juwenalisa. Przetłóżył z łacińskiego Felicyan. 321

Pedagogika.

Zjazd Towarzystwa pedagogicznego w Tarnowie dnia 17, 18
i 19 lipca r. b. 63
Nowe przepisy egzaminacyjne dla kandydatów naucozyieli
szkół średnich w Austrii. (Dok). 336

Ekonomia.

Z ekonomiki. I. Kwestyonaryusz Tow. pop. przem. i handlu.—Brak organizaoyi handlowej rzemiosł u nas.—Skargi warsztatów i kupców z Cesarstwa. — Czy u nas istnieje nadprodukcya wyrobów rękodzielniczych? — Ogniska produkcji rzemieślniczej jednorodnej. — Czy Warszawa może i powinna być centrum produkcji rzemieślniczej? — Podniesienie miast i miasteczek polskich przez skierowanie do nich ludności wiejskiej i bezrolnej, — i rozwój rzemiosł. — Tworzenie oddzielnych osad szewców, krawców, stolarzy, koszykarzy, ślusarzy, zdunów i t. p. — Cechy. — Niedola rzemieślnika. — Książeczki rachunkowo-służbowe i wspólne kuchnie. — Konieczność obowiązkowej oszczędności dla rzemieślników. — O kasach oszczędności. — Początek ich powstania w Niemczech, Anglii, Francji, w Cesarstwie i Królestwie Polskiem. — Oszczędność angielska i japońska. — Porównanie oszczędności u nas, w Galicji i Czechach. — Czy słuszne są utyskiwania na zbytne formalności u nas. — Porównanie formalności w angielskich kasach oszczędności z naszymi. — Wyższość kas angielskich i co u nas uczynić należy. — Zamierzone reformy ministerjum skarbu. — Interwencya Banku Polskiego. — Utworzenie 70 agentur Banku Polskiego i zakres ich działalności. — Spodziewane ztąd korzyści dla Banku i dla pomyślności narodowej. — Czy uzasadnione są narzekania na wzrost cen przedmiotów pierwszej potrzeby. — Zdania Giffona, Laveleye, Leroy-Beaulieu, Soëtbeera. — Indye wschodnie w roli groźnego konkurenta na rynkach zbożowych. — Gorzelnictwo w Król. Pol. — Produkcya w kampanii 1882/3 r. — Ulgi skarbowe w wywozie spirytusu zagranicę. — Zakończenie. — Bibliografia ekonomiki.

121

II. Wstęp. — Jakich instytucji kredytowych potrzebują nasze miasta. — Centralne Tow. kred. miejsk. — Towarzystwo kredytowe miast oddzielnych w Królestwie. — Bank hipoteczny i banki miejskie jako najodpowiedniejsze instytucje dla miast naszych. — Banki miejskie w Cesarstwie. — Ich powstania, rozpowszechnienie i obroty. — Banki miejskie na Litwie i Rusi. — Ustawa normalna banków miejskich z r. 1883. — System bankowy w Szwecji. — Zdanie p. Wallenberga o nich. — Sverges Riksbank i Enskilda banki. — Wielki przeżytek w Szwecji. — Kasy oszczędności w Norwegii w porównaniu w Król. Pol. — Ks. Ksawery Lubecki i jego szkoła. — 50 lat syzyfowej pracy i wielkiej polityki: spóźniony Sedan. — Obecne nasze położenie, brak podstaw i systematu. — Najpilniejsze nasze potrzeby ekonomiczne: skanalizowanie oszczędności, rozwój rzemiosł i przemysłu ludowego. — Elewatory i warranty. — Początek warrantów i doków — System angielski warrantów. — Entrepôts i magasins généraux we Francji. — System francuzki warrantów. — Warranty w Niemczech. — Projekta ks. Lubeckiego. — Singels, kanał ugruzki, port, doki i magazyny na

	stron.
Pradze. — Ubóstwo literatury o warrantach. — Prasa socjalistyczna i anarchiczna we Francyi. — Bibliografia. Przez F. Fendi. . . .	485

Historya.

Odsiecz Wiednia w bitwie walnej 12 września 1683 r. Opowiedziana na podstawie źródeł współczesnych. Przez Leona Chrzanoskiego.	165. 352
Jan Łaski, prymas, jako obrońca interesów narodowych w walce z polityką Zakonu krzyżackiego w Polsce. Napisał Stanisław Maroński. (Dok.)	216. 389

Sprawy społeczne.

Parlamentaryzm w Anglii i izba lordów. Przez Edmunda Naganowskiego.	189
Sejm galicyjski w r. 1884. Napisał Br. dr. Łoziński.	371

Filozofia.

Ostatni poganie. Ustęp z historii filozofii starożytnej. Napisał Wojciech hr. Dzieduszycki. (Dok.).	193
---	-----

Geografia historyczna.

Liubusua, Lubusz, Lubusza. Studium Geograficzne. Przez E. Callier.	266
Gdzie należy szukać historycznego „Crisgove.“ Przez E. Callier.	277

Kronika z kraju i z zagranicy.

KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Życie koczownicze w Anglii w XIV-ym wieku p. Jusserand. — Podręcznik archeologiczny. „Życie starożytnych greków i rzymian,“ dzieło erudytów niemieckich Gubla i Konera, przekład na język francuzki pana Trawińskiego. — Nowy życiorys Dawida Liwingstona, według własnoręcznych notat i listów. — Mowa profesora Joliffier w Sorbonie. — Odezwa akademika Legouvé w sprawie wychowania kobiet. — Zadania konkursowe. — Konferencya o Egipcie Gustawa Olen-dorfa. — Rozprawa Gounoda o sztuce. — Odkrycie pomnika Georges

Sand w La Chatre.—Tom szósty listów téjże autorki.—Pomnik Klau- dyusza Jouffroy w Besençon —Rozmaitości.	78
Uroczystość Piotra Kornela w Rouen.—Mowa akademika Bo- issier.—Zmarły Paweł Lacroix (Le Bibliophile Jacob). — Doroczne zebranie pięciu Akademii. — Mowy panów Fryderyka Passy i Saint- Saëns. — Opera „Etienne Marcel. — „La patrie Hongroise,“ opis podróży po Węgrzech pani Edmond-Adam.—„Akademia za czasów Dyrektoryatu,“ przez Juliusza Simon. — Powitanie Ignacego Domejki w Towarzystwie literacko-historycznym w Paryżu.	416

Korespondencya.

Z W. Ks. Poznańskiego. Przez Ludwika Żychlińskiego.	280
---	-----

Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.

„Slovansky Sbornik—artykuły z dziedziny etnografii, historyi kultury i dziejów, z życia literackiego oraz towarzyskiego.“ Rocznik II. Redaktor Edward Jelinek. Praga, nakładem J. Otty. 1883 r. (Dok.).	138. 296
„Liebsch Georg, Syntax der wendischen Sprache in der Ober- lausitz.“ Bautzen, 1884. Przez I. F. Gajalera.	147
„Gramatyka czeska,“ napisana przez I. Szasteckiego; Warsza- wa, 1884.	286
„Sposób nauczania się po czesku w 18 lekcjach,“ podany przez Pawła Byczkowskiego; Warszawa, 1884. Przez Bronisława Grabow- skiego.	290
Dr. Ksawery Liske. Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzpltej polskiej, z arch. t. zw. bernardyńskiego we Lwowie, wskutek fundacyi ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego, wydane staraniem galicyjskiego wydziału krajowego. Tom X. Lwów, 1884. 4, str. XVI, i 543. Na- pisał dr. Oswald Balzer.	453
„Szkice estetyczne” przez Maryana Massoniusa. Warszawa, 1884 .Napisał Kazimierz Kaszowski.	461

Polemika.

Odpowiedź na recenzją tłumaczenia Korneliusa. Przez A. Mierzyńskiego.	472
--	-----

WIADOMOŚCI BIEŻ., NAUK., LITER., ART: I SPOŁECZNE.

Październik.—Odezwa zarządu Tow. pop. przem. i handl. w spra-
wie drobnego przemysłu ludowego (150—152).—VI zjazd archeologów

rosyjskich w Odessie.—Jubileusz 50-letni uniw. Kijowskiego. — Najnowsza ustawa dla uniwersytetów rosyjskich (154). — Posiedzenie wydz. hist.-lit. Tow. Prz. N. w Poznaniu d. 15 września (155).—Korespondencya posła włoskiego w Petersburgu, margr. Pepoli, o przebiegu sprawy polskiej w r. 1863 (155, 156, 157). — Marcina Bielskiego nieznaną „Komedyą Justyna i Konstancyi,” r. 1557 (157). — Jelinka „Bibliografia przekładów z polskiego na czeskie” (158) i „Bibliografia dzieł, rozpraw i artykułów czeskich, dotyczących rzeczy polskich” (159). — Wspomnienia Barwieńskiego.—N. J. Petrow (Liter. ukraińska w. XIX).—E. Odyniec „Wspomnienia przeszłości, opowiedane Deotymie” (159). — Thompsona „Elektryczność i magnetyzm” (160).—„Złota przędza” zesz. 6 tomu 2.—Marya Ciświcka (Przygody dziatwy w domu i w szkole). — „Przegląd polski” zesz. sierpniowy na 300 rocznicę śmierci Jana Kochanowskiego. — Dr. Stocki docentem filologii słowiańskiej w uniwersytecie wiedeńskim.—Wyprawa hrabiego Lanckorońskiego do Azji mniejszej (161).—„Toruń.”—Tadeusza Korzona (Hist. wieków średnich).—B. Znatowicz „Zasady chemii ogólnej.—K. Król (Słownik naukowy rosyjsko-polski).—Pieśni litewskie, zebrane przez Ant. Juszkiewicza (162). — Z. Mellerowa (komedyja „Uwięziona”).—J. Czubek (O tłumaczeniu). — „Kredyt melioracyjny” (162). 150—162.

Listopad.—Akt zamknięcia roku szkolnego w Uniw. Warsz.—Konkurs Wydz. filol.-histor. (305). — Doroczne posiedzenie Zakładu Im. Ossolińskich. (306).—Ustęp z mowy dr. Klossa, rektora Uniwersytetu lwowskiego, przy otwarciu roku szkolnego (308).—Tom IV-ty „Pomników do dziejów polskich.” (309). — Wydawnictwo dzieł Długosza (310). — Kwestya gładolicy i cyrylicy (310). — Wydawnictwa Akademii Um. w Zagrzebiu (312). — Matica chorwacka w Zagrzebiu (312. — Antologia słowiańska“ Franciszka Vymazal (313). — B. Popelka (Gramat. starobułgarska)“ — Pr. Ewernioki (O topografii Siczy zaporoskiej)“ (313). — Dyplomatarysz biskupstwa chełmińskiego (313). — Aleks. Strasburger (Podręcznik do przepisów o opłatach stemplowych (314). — T. Korzona (Dzieje wewnętrzne za St. Aug. t. 3) (314).—Wyd. ksiąg. Gebethnera i Wolffa (Ant. Prohaska, Dr. Ant. J.—Sienkiewicza: Ogniem i mieczem wyd. 2-gie) (str. 315); T. Paprockiego (M. Bałuckiego Nowelle) Tow. pedagogicznego (Biblioteka dziełek ludowych, — Bibl. dla młodzieży) — 316). Wład. Nehring (Studia literackie) — Jul. B. (Jan Sobieski do 20-go roku życia) (316). — Ferd. Kudelka (Wojenne siły polskie w odsieczy wiedeńskiej) — Gustaw Blatt (Język Jana Kochanowskiego). — Promyk (Jan Kochanowski). — T. Stahlberger (Treny J. Kochanowskiego). — M. Sokołowski (O wpływach włoskich na sztukę odrodzenia u nas). — Ferdynaud Bostel (Zakaz Miechowity). (str. 320). 305—320

Grudzień. — Kwostyonaryusz zarządu Tow. przem. i handlu w sprawie handlu wywozowego (476). — Posiedzenie wydz. matematyczno-przyrodniczego — tudzież sekcji geologicznej Akad. um. w Krakowie (478). — „Archiv für slavische Philologie“ (480). Rocznicia 50-cio-letnia pieśni czeskiej: „Héj Slovane, jeszte nasza slovanska rzecz žije“ (480). — „Nowiny szląskie“ (481). — Fermany sultańskie dla klasztorów franciszkańskich w Bośni i Hercegowinie, Fra Martioz (Epopoea o boju na polu Kosowém), J. I. Kraszewskiego 19 powieść historyczna („Jaszka, Orfanem zwanego, pamiętnik“) — Historia naturalna świata zwierzęcego z Atlasem (482). — Zbiorowe wydanie pism M. Bałuckiego. — Biblioteka OO. Augustyanów w Krakowie. — Ks. Fr. Doucha, pisarz ludowy czeski (483). 476 — 483

Nekrologia.

Bł. p. Jakób Natanson (163). — Ś. p. Bernard Kalicki	
(164).	163—164
Ś. p. Edward dr. Kliuk.	319
Ś. p. Henryk dr. Giwartowski (483). Ś. p. Baltazar Kalicowski.	483
Ogłoszenia.	

